

EPOPEJA

LEGENDY FANTASY

redakcja

JOHN JOSEPH ADAMS

Patrick Rothfuss
Tad Williams
Ursula K. Le Guin
Orson Scott Card
Trudi Canavan
Brandon Sanderson
Robin Hobb

i inni

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

PRZEDMOWA

WSTĘP

POWRÓT DO DOMU Robin Hobb

ZAKŁĘCIE ROZWIAZANIA Ursula K. Le Guin

CZŁOWIEK Z PŁOMIENI Tad Williams

GDY KRĘCI SIĘ KOŁO Alette de Bodard

ALCHEMIK Paolo Bacigalupi

MAGIA PIASKU Orson Scott Card

DROGA DO LEVINSHIR Patrick Rothfuss

RYSN Brandon Sanderson

GDY BOGOWIE SIĘ ŚMIEJĄ Michael Moorcock

MATKA CAŁEJ RUSI Melanie Rawn

BRZEGIEM RZEKI ŚMIERCI Kate Elliott

ODDANY SŁUGA Mary Robinette Kowal

NARKOMANTA N.K. Jemisin

KONFLIKT TRWA W PAMIĘCI Carrie Vaughn

ZALONY UCZEŃ – OPOWIEŚĆ O CZARNYM MAGU Trudi Canavan

INNY Juliet Marillier

PODZIĘKOWANIA

EPOPEJA

LEGENDY FANTASY

Redakcja
John Joseph Adams

Przełożyli
Jerzy Moderski
oraz Mirosław P. Jabłoński, Radosław Kot i Paweł Kruk



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

*Robertowi Bartonowi Blandowi,
najbardziej powieściowemu facetowi
ze wszystkich, jakich znam*

PRZEDMOWA

Brent Weeks

Każda powieść jest kłamstwem różniącym się od innych jedynie skalą i śmiałością. Epicka fantasy jest zaś kłamstwem wyolbrzymionym wielokrotnie. Wyrzutkiem, żyjącym na marginesie naszych literackich map, gdzie zalękniony skryba dopisał: „Tu żyją smoki”

Tłumaczy to zapewne stały opór ze strony licznej grupy krytyków i czytelników. Czy znacie jakiegoś głośnego, zawziętego kłamcę? Może być zabawny przez dziesięć, co najwyżej przez dwadzieścia minut. Po cóż zatem ślęczyć nad tysiącem stron, podążając tropem wytworów czyjejs rozgorączkowanej wyobraźni? Nawet Tolkien musiał stawić temu czoło – krytykom, którzy chcieli powiesić literaturę na ścianie, ująwszy ją w grube ramy mające ukryć zakłopotanie spowodowane głupstwami pojawiającymi się na jej marginesach.

Każdy gatunek jest jednak kwestią umowy. Istnieją pewne wymagania wobec czytelników i określone oczekiwania wobec autora. Jeśli piszesz powieść historyczną i osadzasz jej akcję w Nowym Jorku 12 września 2001 roku, to pewnych wydarzeń po prostu nie da się pominąć. Jeśli napisałeś romans, w którym dziewczyna decyduje się zostać zakonnicą, to zawiodłeś oczekiwania. Jeśli spod twojego pióra wychodzi dreszczowiec, w

którym nikt nie umarł – a dwukrotnie rozwiedziony dyrektor generalny Tom nikczemnie rozkoszuje się wakacjami na Fidżi – to jako strawę dałeś swoim czytelnikom kamienie zamiast chleba. Kiedy piszesz policyjny kryminał, w którym podejrzany zostaje do nieprzytomności pobity przez gliniarzy w jakimś zaułku w Seattle, a jego prawa nigdy nie zostają mu odczytane, to powinieneś znaleźć jakiś dobry powód, dlaczego nie zostaje potem uniewinniony. (Natomiast podobna scena nie zdziwi wcale, gdy powieść będzie westernem, którego akcja rozgrywa się w tym samym mieście w roku 1860).

W przypadku epickiej fantasy umowa jest po prostu szerzej zakrojona: Opowiedzcie mi cudowną historię, mówi czytelnik. Postaram się zapamiętać mnóstwo tych dziwnych imion, obcych nazw, niezwykłych cywilizacji oraz zadziwiających zdarzeń, jeśli porwiecie moją wyobraźnię.

No i autorzy wyświadczają mu tę przysługę.

Przekonacie się, że w książce tej zawarta jest wielka różnorodność epickiej fantasy. Od opowieści pocieszających, w stylu Tolkiena ukazujących dobrych bohaterów jako zwycięzców (choć czasami ponoszących wielkie koszty), do historii prowokacyjnych, w stylu Abercrombiego: „nie ma dobrych facetów, a zwycięskich jest jeszcze mniej”, wszystkie jednak starają się opowiadać poruszające historie z sugestywnie ukazanych, wciągających światów.

Kiedy autor o wielkiej wyobraźni, zdolny do zręcznych opisów, trafia na wnikliwego czytelnika, następuje coś magicznego: skala opowieści zmienia jakościowe doświadczenie całej historii. To, co tak pracowicie próbowaliśmy strawić, nagle

nas pochłania. Epicka fantazy jest wyjątkowo wciągająca. Wkraczamy do nowego świata i jakże często tak bywa, że nie chcemy go opuścić. (Oto częściowa przyczyna pewnej tendencji do rozwlekłości).

Czyż jednak owa cecha nie wskazuje na eskapizm gatunku fantazy? Bardziej nadającego się dla dzieci i tych, którzy nie są zdolni do zmierzenia się z rzeczywistym światem?

W swoim studium *On Fairy Stories (O baśniach)* Tolkien napisał, że ci, którzy dyskwalifikują fantastykę jako eskapistyczną, myślą „wyzwolenie więźnia z ucieczką dezertera (...) Dlaczegoż to mamy gardzić człowiekiem za to, że znalazłszy się w więzieniu, próbuje się z niego wydostać i wrócić do domu? Albo że kiedy nie może tego dokonać, myśli i rozprawia na inne tematy niż strażnicy więzienni i więzienne mury?”

Rama określa cały obraz, a kiedy umieścisz ramę zbyt wąską, która zakrywa „nonsens” na brzegach malowidła, gdzie napisano „tu żyją smoki”, usuniesz bardzo istotny element. Nie tylko stracilibyśmy wówczas z naszej literatury wszystko od Homera do Wergiliusza i od Dantego do Beowulfa, ale stracilibyśmy też jakiś zakres ludzkiej kreatywności. To tak, jakbyśmy powiedzieli artyście, że Prawdziwa Sztuka nie może przedstawiać fioletu. Bez wątplenia mnóstwo arcydzieł mogłoby powstać bez udziału fioletu, ale dlaczego mielibyśmy się godzić na takie ograniczenia?

Jeśli możemy zaakceptować mapę wykraczającą poza tradycyjne ramy naszej krytyki, to fantazy może też zabrać nas w podróż poza tradycyjne ramy odniesienia. Może dostarczyć nam wytchnienia i pociechy; może rzucić nam wyzwanie; może powiedzieć nam prawdę, podsuwając to, co słuszne, w miejsce

naszych uprzedzeń. Często dopiero z perspektywy czasu, kiedy już przyswoiliśmy sobie daną opowieść i pochłonęła nas ona bez reszty, dostrzeżemy, jak bardzo nas ukształtowała. Kiedy czytamy opowieść, która do nas pasuje, staje się ona częścią naszego układu odniesienia. Żydowski chłopczyk przygotowujący się do zawodów sportowych może poczuć się jak Dawid stojący naprzeciw Goliata – i czerpać siłę z tego, że Dawid zwyciężył! *Władca pierścieni* nie jest powieścią o ochronie naturalnego środowiska, ale niszczenie przyrody przez Sarumana napawa zgrozą miliony. *Odyseja* nie jest opowieścią o narkotykach, ale spotkanie Odyseusza z Lotofagami od 2800 lat ostrzega czytelników przed zgubnymi skutkami zażywania narkotyków.

Wielkie opowieści nie zmieniają umysłów, ale zmieniają serca.

G.K. Chesterton powiedział żartobliwie: „Baśnie nie mówią dzieciom o tym, że istnieją smoki. Dzieci już wiedzą, że smoki istnieją. Baśnie mówią dzieciom, że smoka można zabić”.

Smoki są. I niech tu pozostaną.

Dobrej zabawy.

Brent Weeks

WSTĘP

John Joseph Adams

Epicką fantasy dobrze określa słowo „więcej”. Charakteryzuje ją więcej stron, niż zawiera przeciętna książka, a także więcej książek w przeciętnej serii. Jest w niej więcej postaci, więcej map, więcej nazw i więcej dat. Opowieści i światy są większe, aby mogły zmieścić w sobie wszystkie te „więcej”. A kiedy już wszystkie te książki połkną ich entuzjaści, to z pewnością zechcą ich więcej.

Pięćdziesiąt lat temu było ich niewiele. W początkach dwudziestego wieku, zanim ukazał się *Władca pierścieni* J.R.R. Tolkiena, współczesna epicka fantasy nie istniała. Tu i ówdzie odnajdujemy oderwane przykłady klasyki gatunku, które dołączyły w następnych latach do panteonu, ale poza tym nikt wówczas nie wierzył, żeby epicka fantasy mogła w sprzedaży zasługiwać na miano odrębnego gatunku. Publikacje na tym obszarze były rzadkością. Wszystko się zmieniło w roku 1977, kiedy to *Miecz Shannary* Terry’ego Brooksa został pierwszym dziełem z gatunku fantasy, które znalazło się na liście bestsellerów „New York Timesa”, a reszta przeszła już do historii.

Ale jest to tylko współczesna historia. Epicka fantasy ma bardzo głębokie korzenie. Poczynając od prastarej tradycji długich poematów i ustnych opowieści z początków literatury,

eposy należą do ulubionych form naszej kultury. Nawet w tych starożytnych opowieściach odnajdujemy klimat współczesnej epopei: egzotyczne, fantastyczne scenerie zaludnione nadludzkimi postaciami, gdzie los całych światów spoczywa często na ich barkach, zmuszając albo do zostania bohaterami, albo do ugięcia się pod presją.

Najstarszym znanym nam dziełem literackim jest *Epos o Gilgameszu* ze starożytnej Mezopotamii, opisujący dzieje króla, który wykorzystuje daną mu władzę na szkodę swoich poddanych. W trakcie przygód doświadcza rozpacz, konfliktu z bogami, a nawet staje w obliczu własnej śmiertelności... wreszcie powraca do domu i uświadamia sobie piękno i dobro cywilizacji, którą powinien zarządzać i chronić. Dzięki swej podróży zostaje lepszym człowiekiem. Cykl taki, opowieść o prostym lub pełnym wad człowieku, który zмага się z ogromnymi przeciwnościami, aby uratować świat, pojawia się nieustannie w literaturze. Mitolog Joseph Campbell nazywał tego rodzaju cykl „monomitem” lub barwniej – wyprawą bohatera. Dowodził, że opowieści o postaciach z różnych religii i mitów w większości układają się w taki sam cykl poświęcony bohaterowi, który korzysta z nadarzającej się okazji uratowania swego ludu lub swojej cywilizacji.

Wraz z rozwojem współczesnej epickiej fantazy dążącej do swego „więcej” literatura ewoluowała w sposób, który z pewnością zafascynowałby Campbella. Kiedy gatunek ten rozkwitł w latach 80., wiele dzieł tej dekady – przynajmniej w formie książkowej – wzorowało się na modelu Tolkienowskim: prastare wszechmocne zło, zwykle pod postacią Mrocznego

Władcy, rozrasta się, próbując zawładnąć innym światem, pełnym cudowności i magii, aż mała grupka bohaterów zdobywa potężny artefakt, który wspiera armie dobra w ostatniej bitwie. Model ten, sprowadzony w zasadzie do dziejów ras podobnych mitycznych stworzeń, królował na półkach księgarskich, a wydawcy rzucali na rynek bestseller za bestsellerem.

Jakkolwiek epicka fantasy na dobre rozwinęła się dopiero w latach 80., ze wszystkimi opisanymi wyżej szablonami, to w tym gatunku zaistniało już wcześniej kilka znaczących dzieł, które przełamały Tolkienowski wzorzec. Ged, protagonista *Czarnoksiężnika z Archipelagu* (1968) Ursuli K. Le Guin, odsyła nas do starożytnych opowieści o dumnym, pełnym wad i czyniącym wiele zła człowieku, który musi zapanować nad swoją magią i cechami charakteru, zanim upodobni się choćby z grubsza do bohatera. A tacy antybohaterowie fantasy, jak Thomas Covenant (1977) Stephena R. Donaldsona czy Elryk z Melniboné (1961) Michaela Moorcocka, byli poprzednikami moralnie wątpliwych bohaterów, których polubiła liczna grupa czytelników na początku XXI wieku.

Tyrion Lannister z serii „Pieśń lodu i ognia” George’a R.R. Martina stał się sztandarowym modelem ambiwalentnego, „szarego” bohatera fantasy, a powieści tego autora – obszerne, tysiącstronicowe „cegły” – stanowią dobry przykład owego wszechwładnego „więcej”, choć model trylogii ustanowiony przez Tolkiena i jego wydawców przełamały najpierw książki Roberta Jordana z cyklu „Koło czasu”, które ukształtowały współczesny rynek epickiej fantasy.

Poza wspomnianą wyżej niejednoznacznością postaw

moralnych dzisiejsze epopeje opierają się na tworzeniu złożonych światów i głębokim wglądzie w ludzką kondycję. Innym popularnym składnikiem jest walka z niedającymi większych szans przeciwnościami i/lub przeważającymi mocami, co powoduje znaczące zmiany w świecie. Choć ten ostatni element zapewnia często dobrą fantazy, to owe monumentalne zmagania nie są absolutnie niezbędne, co pokazują niektóre z zawartych w tym zbiorze opowieści. *Człowiek z płomieni* czy *Powrót do domu* rozgrywają się w światach epickiej fantazy, które ich autorzy opisywali w wielu książkach; historie te utrzymane są w mniejszej skali, ale dzięki osadzeniu ich w tym samym świecie sprawiają wrażenie eposów. Poza wspomnianymi opowiadaniem Tada Williama i Robin Hobb miłośnicy gatunku znajdą w tej antologii inne historie rozgrywające się w sceneriach znanych z serii ich poszczególnych autorów. *Konflikt trwa w pamięci* Carrie Vaughn zbija argument o potrzebie monumentalnych zmagania – opowiadanie to zaczyna się w chwili, gdy wielka bitwa już się odbyła. Mamy tu też opowiadania bez nawiązań i aluzji do apokaliptycznych bitew, ale nie umniejsza to ich epickości.

Opowiadania zawarte w tej antologii są epopejami z powodu egzotyki konstrukcji ich światów i nadzwyczajnego człowieczeństwa postaci zmagających się ze swoją sytuacją. Każdy epos zaczyna się i kończy w sercu swego bohatera. Kiedy wiemy, jakie siły świata ukształtowały to serce, i dowiadujemy się, co popycha tę postać do przekroczenia jej ograniczeń, poznajemy kształt jej własnego, osobistego doświadczenia.

Niech nas zatem nie dziwi, że każda opowieść, która okaże się

w naszych oczach historią o charakterze epickim, niezależnie od liczby stron i wielkich bitew wstrząsających królestwem... potrafi sprawić, że zechcemy „więcej”.

Robin Hobb

POWRÓT DO DOMU



Robin Hobb (vel Megan Lindholm) jest autorką cyklu epickiej fantazy „Kraina najstarszych”, składającego się z kilku serii, a mianowicie trylogii „Skrytobójca”, „Kupcy i ich żywostatki”, „Złotoskóry” oraz „The Rain Wild Chronicles”. Niedawno ukazał się jej zbiór The Inheritance and Other Stories, zawierający opowiadania opublikowane pod obydwoma pseudonimami. W 2013 roku wydała Blood of the Dragons, czwartą i ostatnią część serii „The Rain Wild Chronicles”. Robin Hobb mieszka w Tacomie w stanie Waszyngton.

*7 dzień miesiąca ryby
14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświatniejszego Satrapy Esklepiusa*

Skonfiskowano mi dzisiaj, bez powodu i usprawiedliwienia, pięć skrzyń i trzy kufry. Doszło do tego podczas załadunku statku *Wędrowiec* wyruszającego z nakazaną przez Satrapę Esklepiusa szlachetną misją kolonizacji Przeklętego Brzegu. Zawartość skrzyń była następująca: jeden blok doskonałego białego marmuru w rozmiarze odpowiednim na popiersie, dwa bloki artystycznego nefrytu w rozmiarach odpowiednich na popiersia, jeden duży blok świetnego steatytu wysokości i objętości dorosłego mężczyzny, siedem dużych sztab miedzi wyśmienitej jakości, trzy sztaby srebra zadowalającej jakości oraz trzy baryłki wosku. Jedna ze skrzyń zawierała wagę, narzędzia do obróbki metalu i kamienia oraz przyrządy miernicze. Zawartość kufrow była następująca: dwie jedwabne suknie, jedna błękitna, druga różowa, szyte przez szwaczkę

Wistę i opatrzone jej znakiem. Miara cienkiej tkaniny odpowiedniej na suknię, zielonej. Dwa szale, jeden z białej wełny, drugi z błękitnego lnu. Po kilka par pończoch różnej grubości, na zimę i lato. Trzy pary pantofli, jedna z jedwabiu haftowanego w różyczki. Siedem halek, trzy jedwabne, jedna lniana i trzy wełniane. Jeden gorset, jedwabny z cienkimi fiszbinami. Trzy tomiki poezji własnoręcznie przeze mnie napisanej. Miniatura pędzla Sojiego przedstawiająca mnie, panią Carillion Carrock, z domu Waljin, zamówiona przez moją matkę, panią Arston Waljin, z okazji moich czternastych urodzin. Były tam również ubranka i pościel dla dzieci, czteroletniej dziewczynki i dwóch chłopców, sześć- i dziesięcioletniego, w tym ich zimowe i letnie stroje na uroczyste okazje.

Odnotowuję tę konfiskatę, żeby złodzieje mogli zostać doprowadzeni przed oblicze sprawiedliwości po moim powrocie do Jamaillii. Kradzieży dokonano tak: gdy nasz statek ładowano przed wyjściem w morze, bagaż należący do osób ze szlacheckich rodów zatrzymano na nabrzeżu. Kapitan Triops poinformował nas, że nasz majątek będzie przez nieokreślony czas przechowywany pod pieczęcią Satrapy. Nie ufam temu człowiekowi, bo nie okazał ani mnie, ani mojemu mężowi należnego szacunku. Dokonuję więc tego zapisu i kiedy następnej wiosny powrócimy do naszego miasta, Jamaillii, mój ojciec, lord Crion Waljin, wniesie w moim imieniu skargę do Trybunału Satrapy, ponieważ mój mąż najwyraźniej nie kwapi się do tego. Przysięgam, że tak się stanie.

Lady Carillion Waljin Carrock

10 dzień miesiąca ryby

14 rok panowania Najszlachetniejszego

i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa

Warunki na pokładzie statku są nie do przyjęcia. Jeszcze raz uwieczniam w moim dzienniku niesprawiedliwość i krzywdę, jakiej doświadczamy, aby ci, którzy są za to odpowiedzialni, mogli zostać ukarani. Choć jestem szlachetnie urodzona i pochodzę z domu Waljinów, a mój małżonek jest nie tylko szlachcicem, ale i dziedzicem tytułu lorda Carrocka, to przydzielono nam kwaterę w niczym nie lepszą od tych, które przypadły w udziale zwykłym emigrantom i handlarzom, czyli cuchnący skrawek w ładowni. Jedynie pospolici przestępcy, przykuci łańcuchami w najgłębszych czeluściach statku, cierpią straszliwsze katusze.

Podłogę tworzą nieoheblowane deski, a ściany to nagie poszycie kadłuba. Wszystko wskazuje na to, że ostatnimi mieszkańcami tej części ładowni były szczury. Traktuje się nas niczym bydło. Moja pokojówka nie ma osobnego pomieszczenia, więc muszę znosić jej obecność niemal przy naszym pośłaniu! Aby uchronić moje dzieci przed prostackimi bachorami emigrantów, oddzieliłam naszą przestrzeń trzema adamaszkowymi zasłonami. Ci ludzie nie okazują mi szacunku. Sądzę, że po kryjomu plądrują nasze zapasy pożywienia. Kiedy ze mnie kpią, mąż każe mi ich ignorować. Wszystko to paskudnie wpływa na zachowanie służącej. Tego ranka moja pokojówka, która służy w naszym pomniejszonym domostwie również jako niania, odezwała się ostro do małego Petrusa, każąc mu być cicho i nie zadawać pytań. Kiedy ją ofuknęłam, ośmieliła się spojrzeć

na mnie gniewnie.

Moja wizyta na górnym pokładzie była stratą czasu. Pełno tam lin, zwiniętego płótna i prostackich mężczyzn, nie ma dogodnego miejsca dla kobiet i dzieci chcących zaczerpnąć świeżego powietrza. Morze było nudne, w oddali majaczyły tylko zamglone wyspy. Nie ujrzałam niczego, co mogłoby mnie pocieszyć, gdy ten znienawidzony statek unosił mnie coraz dalej od wysokich białych wież Przenajświętszego Miasta Jamailli, poświęconego Sa.

Nie mam na statku przyjaciół, którzy mogliby dostarczyć mi rozrywki czy pociechy w smutku. Raz odezwała się do mnie lady Duparge, a ja byłam dla niej grzeczna, ale różnica naszych pozycji nie ułatwiła konwersacji. Lord Duparge odziedziczył niewiele więcej ponad swój tytuł, raptem dwa statki i jedną posiadłość graniczącą z bagnami Gerfen. Panie Crifton i Anxory najwyraźniej zadowolają się własnym towarzystwem i nie skontaktowały się ze mną. Obie są zbyt młode, aby móc się pochwalić jakimiś dokonaniem, ale ich matki powinny były je pouczyć o towarzyskich zobowiązaniach wobec lepszych od siebie. Obie mogłyby bardzo skorzystać na przyjaźni ze mną po powrocie do Jamailli. To, że nie próbują odwołać się do mojej łaskawości, raczej źle świadczy o ich intelekcie. Z pewnością by mnie zanudziły.

Jestem bardzo nieszczęśliwa w tym odrażającym otoczeniu. Nie mam pojęcia, dlaczego mój mąż postanowił zainwestować swój czas i pieniądze w to przedsięwzięcie. Niewątpliwie ludzie o bardziej awanturniczej naturze lepiej przysłużyliby się naszemu Prześwietnemu Satrapie w tej odkrywczej wyprawie. Nie potrafię

też pojąć, dlaczego ja z dziećmi muszę mu towarzyszyć, zwłaszcza w moim stanie. Nie sądzę, żeby mąż poświęcił choć jedną myśl trudnościom, jakie podróż taka sprawić może kobiecie noszącej dziecko w łonie. Jak zawsze, nie uznał za stosowne przedyskutować swoich decyzji ze mną, podobnie zresztą jak ja nie byłabym skłonna omawiać z nim moich artystycznych poszukiwań. Przy tym moja ambicja cierpi z powodu tego, że muszę podążać za jego dążeniami! Ta nieobecność z pewnością opóźni realizację moich *Karylionów z kamienia i metalu*. Brat Satrapy zapewne będzie rozczarowany, bo ich instalacja miała uświetnić jego trzydzieste urodziny.

15 dzień miesiąca ryby

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Byłam naiwna. Nie. Oszukano mnie. Nie jest naiwnością ufać, gdy ma się pełne prawo oczekiwać, że drugi człowiek jest godzien zaufania. Kiedy mój ojciec powierzył moją rękę i los lordowi Jathanowi Carrockowi, uważał go za majątnego mężczyznę o dobrej reputacji. Błogosławił imię Sa za to, że moje artystyczne dokonania przyciągnęły kandydata o tak wysokiej pozycji. Gdy lamentowałam, że los oddał mnie w ręce człowieka o wiele starszego ode mnie, matka radziła mi pogodzić się z tym i zadbać o swoją sztukę oraz sławę pod osłoną jego wpływów. Zaakceptowałam tę mądrość. Przez ostatnie dziesięć lat, gdy moja młodość i uroda blakły w jego cieniu, urodziłam mu troje dzieci, a teraz nosiłam pod sercem załazek kolejnego. Byłam dla

niego ozdobą i błogosławieństwem, a on mnie oszukał. Gdy pomyślę o godzinach poświęconych na prowadzenie jego domu, godzinach, które mogłam poświęcić na moją sztukę, moja krew kipi goryczą.

Dziś najpierw usilnie poprosiłam, a potem, w poczuciu dbałości o dobro naszych dzieci, zażądałam, żeby zmusił kapitana do przyznania nam lepszych kwater. Odesławszy dzieci z nianią na pokład, wyznał mi, że nie jesteśmy ochoczymi inwestorami w kolonizacyjnym planie Satrapy, ale wygnańcami, którym dano szansę ucieczki od hańby. Wszystko, co zostawiliśmy, włości, domy, cenne majątkości, konie, bydło... wszystko to stało się własnością Satrapy, podobnie jak rzeczy, które zabrano nam podczas załadunku. Mój wspañiały, szacowny małżonek zdradził naszego szlachetnego i umiłowanego Satrapę i spiskował przeciwko Najświętszemu Tronowi Sa.

Wyciągnęłam to wyznanie od niego kawałek po kawałku. Wciąż powtarzał, że nie powinnam zawracać sobie głowy polityką, że to wyłącznie jego interes. Powiedział, że żona powinna zaufać mężowi w życiowych sprawach. Powiedział, że gdy następnej wiosny przyplyną do naszej osady statki z zaopatrzeniem, zdołam odzyskać swoją fortunę i powrócimy do jamailskiego społeczeństwa. Ja jednak wciąż zadawałam głupie kobiece pytania. Czy naprawdę przejęto cały twój majątek? – spytałam. Wszystko? A on odparł, że zrobiono to w celu ocalenia reputacji Carrocków, tak żeby jego rodzice i młodszy brat mogli żyć godnie, bez skazy wywołanej skandalem. Bratu zezwolono na odziedziczenie niewielkiej posiadłości. Dwór Satrapy będzie myślał, że Jathan Carrock zainwestował całą fortunę w

przedsięwzięcie Satrapy. Tylko ci z najbliższego kręgu władcy wiedzą, że była to konfiskata. Aby wyblagać te ustępstwa, lord Carrock korzył się wiele godzin na klęczkach, uniżenie prosząc o wybaczenie.

Długo się nad tym rozwodził, najwyraźniej chcąc zrobić na mnie wrażenie. Nie obchodziły mnie jednak jego prośby na kolanach.

— Co z Thistlebend? Co z tamtejszą strażnicą u brodu i dochodami z niego? – spytałam.

Wniosłam je do małżeństwa i choć nie było to wiele, sądziłam, że będą wianem dla Narissy, gdy wyjdzie za mąż.

— Przepadła – powiedział. – Wszystko przepadło.

— Ale dlaczego? Ja nie spiskowałam przeciwko Satrapie. Dlaczego więc zostałam ukarana?

Gniewnie odparł na to, że jestem jego żoną i oczywiście dzielę jego los. Nie rozumiałam dlaczego, a on nie potrafił mi tego wytłumaczyć. W końcu powiedział, że taka głupia kobieta jak ja nie zdoła tego pojąć, i poradził mi, bym raczej trzymała język za zębami i nie trzepała nim bez powodu, okazując swoją ignorancję. Kiedy zaprotestowałam, że nie jestem idiotką, tylko uznaną artystką, oznajmił, że teraz jestem żoną kolonisty i powinnam wybić sobie z głowy artystyczne mrzonki.

Ugryzłam się w język, żeby nie zacząć na niego krzyczeć. Moje serce łomotało jednak z furii przeciwko takiej niesprawiedliwości. Thistlebend, gdzie brodziłam w wodzie z młodszymi siostrami, zrywając wodne lilie i udając boginkę z biało-złotymi berłami... przepadło z powodu zdradzieckich, kretyńskich poczynań Jathana Carrocka.

Słyszałam wcześniej plotki o odkryciu spisku przeciwko Satrapie. Nie zwracałam na nie uwagi. Myślałam, że nie mają nic wspólnego ze mną. Gdybym nie wpadła z moimi niewinnymi dziećmi w jedną sieć ze spiskowcami, powiedziałabym, że kara jest zasłużona. Wszystkie skonfiskowane dobra posłużyły do sfinansowania tej ekspedycji. Wszyscy skompromitowani arystokraci zostali zmuszeni do przyłączenia się do spółki złożonej ze spekulantów i odkrywców. Co gorsza, z chwilą zejścia na ląd skazani przestępcy, złodzieje, dziewczki wszeteczne i zbiry zostaną uwolnieni z łańcuchów w ładowni i znajdą się na wolności. W takim środowisku będą dorastać moje drogie dzieci.

Nasz Przenajświętszy Satrapa wspaniałomyślnie dał nam szansę odkupienia. Nasz Wspaniały i Miłosiwy Satrapa każdemu członkowi naszej wyprawy przeznaczył dwieście lefferów ziemi, które można będzie objąć gdziekolwiek wzdłuż Rzeki Deszczowej wytyczającej naszą granicę z barbarzyńskimi Chalcedami lub wzdłuż Przekłętego Brzegu. Nakazał nam założyć pierwszą osadę nad Rzeką Deszczową. Wybrał dla nas to miejsce z powodu starożytnych legend o Starych Królach i Nierządnych Królowych. Dawno temu, jak mówią, ich niezwykle miasta leżały wzdłuż rzeki. Zdobili skórę złotym pyłem i nosili klejnoty nad oczyma. Tak głoszą opowieści. Jathan powiedział, że niedawno przetłumaczono stary zwój zdradzający położenie ich osad. Jestem sceptyczna.

W zamian za szansę zdobycia nowego majątku i uratowania reputacji Nasz Wielki Satrapa Esklepius chce jedynie połowy tego, co tam znajdziemy lub wytworzymy. Chronić nas będzie jego opiekuńcza ręka, odmawiane będą modlitwy za nasze

powodzenie, a dwa razy do roku statki jego poborców podatkowych przyplýwać będą do nas, aby się upewnić, że dobrze nam się wiedzie. Gwarantuje nam to statut naszej kolonii, podpisany przez samego Satrapę.

Lordowie Anxory, Crifton i Duparge dzielą naszą niedolę, choć jako mniejsi panowie nie doświadczyli upadku z tak wysoka. Na pokładach dwóch pozostałych statków z naszej floty są jeszcze inni przedstawiciele szlchetnych rodów, ale nie znam dobrze nikogo z nich. Cieszę się, że moim bliskim przyjaciołom nie przypadł w udziale ten sam los, ale przygnębia mnie, że płynę na wygnanie sama. Nie liczę na pociechę męża w nieszczęściu, które ściągnął na nasze głowy. Sekretów na dworze nie da się długo utrzymać. Czy to dlatego nikt z moich przyjaciół nie przybył do portu, aby mnie pożegnać?

Nawet moja matka i siostry też nie znalazły zbyt wiele czasu na pomoc w spakowaniu mnie i pożegnanie. Płakały, gdy żegnały mnie w domu ojca, ale nie pojechały ze mną na to brudne nabrzeże, gdzie czekał wygnańczy statek. Dlaczego, o Sa, żadna z nich nie powiedziała mi prawdy o moim losie?

Na tę myśl ogarnęła mnie histeria, łkałam roztrzęsiona, a chwilami nie mogłam powstrzymać się od krzyku. Nawet teraz ręce moje drżą tak mocno, że pismo moje zamienia się w wędrujące po stronicy gryzmoły. Wszystko straciłam, dom, kochających rodziców i co najgorsze, sztukę, która przepełniała moje życie radością. Pozostawione dzieła nigdy nie zostaną ukończone, a to boli mnie tak, jakbym poroniła dziecko. Żyję tylko dla tego dnia, w którym powrócę do leżącej nad morzem wdzięcznej Jamailli. A tę chwilę – wybacz mi, Sa – chciałabym

przeżyć już jako wdowa. Nigdy nie wybaczę Jathanowi Carrockowi. Żółć wzbiera mi w gardle na myśl, że moje dzieci muszą nosić nazwisko tego zdrajcy.

*24 dzień miesiąca ryby
14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświeźszego Satrapy Esklepiusa*

Ciemność przepelnia moją duszę; ta podróż na wygnanie trwała całą wieczność. Mężczyzna, którego muszę nazywać mężem, nakazuje mi lepiej zajmować się sprawami rodzinnymi, ale ja ledwo mogę utrzymać w ręku pióro. Dzieci płaczą, kłócą się i skarżą nieustannie, a moja służąca nie zadaje sobie najmniejszego trudu, by je czymś zająć. Z każdym dniem rośnie jej wzgarda. Gdybym miała dość siły, starłabym z jej twarzy ten arogancki grymas solidnie wymierzonym policzkiem. Choć jestem w ciąży, pozwala dzieciom mnie szarpać i zawracać mi głowę. Powszechnie wiadomo, że kobieta w moim stanie powinna wieść spokojne życie. Wczoraj po południu, gdy chciałam odpocząć, zostawiła śpiące dzieci obok mnie, a sama poszła flirtować ze zwykłym marynarzem. Obudził mnie płacz Narissy, musiałam wstać i jej śpiewać, dopóki się nie uspokoiła. Skarżyła się na ból brzucha i gardła. Ledwo ucichła, zbudzili się Petrus i Carlmin i zaczęli tę swoją chłopięcą szarpaninę, która kompletnie wyprowadziła mnie z równowagi. Kiedy wróciła służąca, byłam na progu hysterii. Obsztorcowałam ją za zaniedbywanie obowiązków, a ona zuchwale stwierdziła, że jej matka wychowała dziewięcioro dzieci i nie miała żadnych służących do pomocy. Jakby taka pospolita harówka była czymś,

do czego powinnam dążyć! Gdyby była pod ręką jakaś inna osoba na jej miejsce, to już dawno bym ją odprawiła.

A gdzie jest w tym wszystkim lord Carrock? Otóż oczywiście na pokładzie, gdzie naradza się z tymi samymi szlachcicami, z których winy popadł w niełaskę.

Pożywienie jest coraz gorsze, a woda ma zgniły smak, ale nasz tchórzliwy kapitan nie zejdzie na ląd, żeby poszukać lepszej. Służąca twierdzi, że jej marynarz oznajmił jej, że Przeklęty Brzeg ma stosowną nazwę, a tych, którzy tam wylądują, zło dopada równie pewnie jak tych, którzy tam kiedyś żyli. Jak kapitan Triops może wierzyć w te nonsensowne przesady?

27 dzień miesiąca ryby

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Szaleje sztorm. Statek cuchnie wymiotami nieszczęśników zamieszkujących jego trzewia. Ciągłe kołysanie miesza cuchnącą wodę w zębie, a my musimy wdychać jej odór. Kapitan nie pozwala nam wychodzić na pokład. Powietrze tutaj jest gęste i duszne, z belek kadłuba kapie na nas woda. Z pewnością już umarłam i odbywam karę w jakichś pogańskich zaświatach.

Ponadto w całym tym mokrym otoczeniu z ledwością starcza nam wody do picia, a do mycia nie ma jej wcale. Zabrudzone wymiocinami ubrania i pościel musimy płukać w morskiej wodzie, po której pozostają sztywne i noszą ślady soli. Mała Narissa czuje się najgorzej ze wszystkich dzieci. Przestała wymiotować, ale dzisiaj praktycznie nie wstała ze swojej pryczy, biedna mała istotka. Proszę cię, Sa, zakończ jak najprędzej to

straszliwe kołysanie i chlupotanie.

29 dzień miesiąca ryby

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświatniejszego Satrapy Esklepiusa*

Moje dziecko nie żyje. Zmarła Narissa, moja jedyna córeczka. Sa, zlituj się nade mną i wymierz sprawiedliwość zdradzieckiemu lordowi Jathanowi Carrockowi, bo wyrządzone przez niego zło stało się przyczyną całego mojego nieszczęścia! Zawinęli moją maleńką córeczkę w płótno i wrzucili ją wraz z dwójgiem innych do wody, a pracujący marynarze ledwo zwrócili na to uwagę. Chyba wtedy wpadłam w szal. Lord Carrock pochwycił mnie w ramiona, gdy próbowałam skoczyć za nią w morze. Szamotałam się z nim, ale był zbyt silny. Wciąż tkwię w sidłach tego życia, na które skazał mnie swoją zdradą.

7 dzień miesiąca pług

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświatniejszego Satrapy Esklepiusa*

Moje dziecko nadal nie żyje. Ach, jaką szaloną myśl zapisuję, ale wciąż wydaje mi się to niemożliwe. Narisso, Narisso, przecież nie mogłaś odejść na zawsze. To z pewnością jakiś potworny sen, z którego się obudzę!

Dzisiaj, kiedy siedziałam zapłakana, mój mąż podsunął mi tę książkę i powiedział:

— Napisz wiersz, żeby się pocieszyć. Ukryj się w swojej sztuce, aż poczujesz się lepiej. Zrób cokolwiek, tylko przestań płakać!

Jakby podsuwał smoczek wrzeszczącemu niemowlakowi. Jakby sztuka miała odciągać człowieka od życia, zamiast rzucać go weń z impetem! Jathan zganił mnie za mój smutek, mówiąc, że taka lekkomyślna rozpacz przeraża naszych synów i zagraża dziecku w moim łonie. Jakby go to naprawdę obchodziło! Gdyby rzeczywiście dbał o nas jako mąż i ojciec, nigdy nie zdradziłby naszego drogiego Satrapy i nie skazał nas na ten los.

Jednakże aby zniknął z jego twarzy ten grymas, będę tu siedzieć i pisać trochę jak dobra żona.

Równy tuzin pasażerów i dwóch członków załogi zmarło na biegunkę. Ze stu szesnaściorga, którzy wyruszyli w tę podróż, pozostało nas dziewięćdziesiąt dwoje. Pogoda się uspokoiła, ale ciepłe promienie słońca padające na pokład tylko drwią z mego smutku. Nad morzem wisi mgiełka, a na zachodzie widać jakby zadymione kształty odległych gór.

18 dzień miesiąca pługa

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Brak mi chęci do pisania, ale tylko tym potrafię zająć mój znużony umysł. Ja, która tworzyłam kiedyś najdowcipniejszą prozę i najbardziej wzniosłą poezję, brnę teraz, słowo po słowie, w dół stronicy.

Kilka dni temu dopłynęliśmy do ujścia rzeki; byłam tak przygnębiona, że nawet nie zapisałam daty. Wszyscy mężczyźni wiwatowali, gdy je zobaczyliśmy. Niektórzy mówili o złocie, drudzy o plądrowaniu legendarnych miast, jeszcze inni o czekających na nas dziewiczych lasach i ziemi pod uprawę.

Sądziłam, że dotarliśmy do celu, ale nasza podróż wciąż jeszcze trwa.

Na początku wzbierające fale przypływu pomagały nam posuwać się w górę rzeki. Teraz, aby przepłynąć kolejną długość kadłuba, załoga musi ciężko pracować przy wiosłach. Więźniów uwolniono z łańcuchów i wykorzystano w małych łodziach jako wspomagających wiosłarzy. Stawiają kotwice i holują nas pod prąd. Gdy kotwiczymy na noc, wsłuchujemy się w plusk wody i głosy niewidocznych stworzeń dobiegające z dżungli zarastającej brzegi. W ciągu dnia sceneria staje się bardziej fantastyczna i groźna. Wzdłuż brzegów rosną drzewa dwukrotnie wyższe od naszego masztu, a te za nimi jeszcze je przerastają. Gdy rzeka się zwęża, rzucają na nas głęboki cień. Patrzymy na gęstą, niemal nieprzenikalną ścianę zieleni. Nasze poszukiwanie bardziej przyjaznego brzegu zakrawa na szaleństwo. Nie widać żadnych oznak, by kiedykolwiek żyli tu ludzie. Jedynymi żyjącymi istotami, które udaje nam się spostrzec, są jaskrawo opierzone ptaki i duże jaszczurki wygrzewające się w słońcu na korzeniach drzew na skraju wody, a także jakieś skrzeczące stworzenia przemykające po szczytach drzew. Nie ma łagodnych łąk ani twardej ziemi, tylko bagniste brzegi i gęsta, zbita roślinność. Gigantyczne drzewa wyrastają prosto z wody, opierając się na korzeniach jak na szczudłach, podtrzymywane przez wiszące festony nurzających się w kredowej wodzie pnączy. Niektóre z nich mają kwiaty połyskujące białawo nawet w nocy. Są grube i mięsiste, a wiatr niesie ich słodkawy, zmysłowy zapach. Dręczą nas kąśliwe owady, które zostawiają też bolesne ślady na ciałach wiosłarzy. Woda z rzeki nie nadaje się do picia; co gorsza, wżera

się w drewno i w ciało, nadwerężając wiosła i zostawiając wrzody na skórze. Kiedy napełnia się nią wiadra, jej górna warstwa po pewnym czasie nadaje się do picia, ale osad przeżera metal. Ci, którzy ją piją, skarżą się na bóle głowy i dziwne sny. Jeden z przestępców śnił o „ślicznych węzłach”, a potem wyskoczył za burtę. Dwóch członków załogi trzeba było skuć łańcuchami, bo mówili szalone rzeczy.

Nie widać końca tej okropnej podróży. Straciliśmy z oczu oba towarzyszące nam statki. Kapitan Triops ma wysadzić nas na ląd w bezpiecznym miejscu, gdzie będzie można się osiedlić i uprawiać rolę. Nadzieje członków naszej grupy na ujrzienie zalanych słońcem łąk i łagodnych wzgórz bledną z każdym dniem. Zdaniem kapitana ta woda szkodzi kadłubowi statku. Chce zostawić nas na moczarach i twierdzi, że drzewa na brzegu zapewne zasłaniają wyżej położone tereny i suche lasy. Nasi mężczyźni sprzeciwiają się temu, na dowód rozwijają zwój z podpisem Satrapy i podkreślają, że co innego nam obiecano. Kapitan w odpowiedzi pokazuje rozkazy Satrapy, które mu wręczono. Mówi się w nich o charakterystycznych punktach krajobrazu, których nie ma, o żeglownych kanałach, które są płytkie i kamieniste, oraz o miastach w miejscach, które wypełnia jedynie dżungla. Tłumaczenia dokonali kapłani Sa i z pewnością nie kłamali. Najwyraźniej coś jednak jest nie tak.

Wszyscy się martwią. Często wybuchają kłótnie, a załoga szemrze przeciw kapitanowi. Potwornie się denerwuję i nieustannie jestem bliska płaczu. Petrus ma koszmary senne, a Carlmin, który od małości był odludkiem, teraz prawie oniemiał.

Ach, piękna Jamaillo, moje rodzinne miasto, czy kiedykolwiek ujrzę twoje łagodne wzgórza i wdzięcznie wznoszące się wieże? Matko, ojczy, czy opłakujecie mnie jako utraconą na zawsze?

A Petrus brudzi mnie, wdrapując się na moje kolana, i jęczy, że się nudzi. Służąca jest do niczego. Niezbyt się stara, by zapracować na pożywienie, które pochłania w dużych ilościach, a potem ucieka i krąży po statku jak kotka w rui. Wczoraj powiedziałam jej, że jeśli wyniknie z tego dziecko, to pożegnam się z nią natychmiast. Ośmieliła się odpowiedzieć mi na to, że jej dni w mojej służbie i tak są już policzone. Czy to głupie babsko zapomniało, że spisało z nami umowę na kolejne pięć lat?

22 dzień miesiąca pługa

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświętniejszego Satrapy Esklepiusa*

Stało się to, czego się obawiałam. Przycupnęłam na wielkim wygiętym korzeniu, za biurko służy mi skrzynka zawierająca mój skromny dobytek. Drzewo za moimi plecami jest szerokie jak wieża. Płataniną korzeni, a niektóre z nich są grubości beczki, kotwiczy w bagnistym gruncie. Siedzę na jednym z nich, żeby nie ocierać się suknią o grudy tej mokrej ziemi. Na statku na środku rzeki padały na nas przynajmniej promienie słońca. Tutaj listowie ocienia nas zupełnie i panuje wieczny zmierzch.

Kapitan Triops zostawił nas na tych bagnach. Oznajmił, że jego statek przecieka i jedynym wyjściem jest pozbyć się obciążenia i opuścić żrące wody tej rzeki. Nie chcieliśmy wysiąść, ale załoga uciekła się do przemocy. Jeden z naszych mężczyzn został wyrzucony za burtę i uniósł go nurt, a wówczas zaniechaliśmy

oporu. Zapasy, które miały zapewnić nam przetrwanie, padły łupem załogi. Któryś z naszych kurczowo chwycił klatkę z ptakami pocztowymi i walczył o nią. Wśród szamotaniny klatka pękła, stado ptaków uleciało i po chwili zniknęło nam z oczu. Załoga wyrzuciła skrzynie z narzędziami, nasionami i prowiantem, które miały nam pomóc w założeniu kolonii. Nie zrobili tego dla nas, ale po to, by odciążyć statek. Wiele skrzyń wpadło do wody poza naszym zasięgiem. Mężczyźni wyciągnęli część z tych, które zaległy na łagodnie opadającym dnie. Resztę wessał muł. Jesteśmy siedemdziesięcioma dwiema duszami w tym zapomnianym miejscu, z których czterdzieści to sprawni mężczyźni.

Ogromne drzewa wznoszą się nad nami. Grunt ugina się pod nogami jak górna warstwa budyniu, a tam, gdzie mężczyźni szli po skrzynie, napływa teraz woda, wypełniając ślady ich stóp.

Wartki nurt prędko porwał sprzed naszych oczu statek wraz z jego wiarołomnym kapitanem. Niektórzy mówią, że należy zostać tu, w pobliżu rzeki, i wypatrywać dwóch pozostałych statków. Są pewni, że tamci nam pomogą. Ja sądzę, że powinniśmy ruszyć w głąb lasu, poszukać twardszego gruntu i uwolnić się od dokuczliwych owadów. Jestem jednak tylko kobietą i nie mam tu nic do powiedzenia.

Mężczyźni naradzają się teraz, żeby wybrać przywódców naszej grupy. Jathan Carrock wysunął swoją kandydaturę, podkreślając szlachetność swego rodu, ale został zakrzyczany przez innych, byłych więźniów, spekulantów i handlarzy, którzy stwierdzili, że nazwisko jego ojca nie ma tu żadnego znaczenia. Drwili z niego, bo najwyraźniej wszyscy znali już nasz „sekrety” i

wiedzieli, że zostaliśmy wygnani z Jamailii. Oddaliłam się stamtąd, nie chcąc już na nich patrzeć i czując ogarniającą mnie gorycz.

Moja sytuacja jest rozpaczliwa. Nieodpowiedzialna służąca nie opuściła statku razem z nami, tylko pozostała na pokładzie jako ładowniczka żeglarzy. Życzę jej wszystkiego tego, na co zasługuje! A teraz Petrus i Carlmin tulą się do mnie i skarżą, że mają przemoczone buty i pieką ich stopy. Nie wiem, kiedy znajdę chwilę dla siebie. Przeklinam artystkę w sobie, bo gdy widzę promień słońca przedzierający się ukosem przez warstwy gałęzi i listowia, dostrzegam groźne piękno tego miejsca. Lękam się, że jeśli mu się poddam, to okaże się ono tak pociągające jak dzikie spojrzenie nieokrzesanego mężczyzny.

Nie wiem, skąd biorą się te myśli. Po prostu chciałabym wrócić do domu.

Gdzieś ponad liśćmi nad nami pada deszcz.

24 dzień miesiąca pługa

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Obudziłam się niespodziewanie przed świtem, a miałam niezwykle żywy sen o jakimś egzotycznym ulicznym festynie. Było tak, jakby ziemia miotała się pod nami. A później, kiedy już słońce stanęło wysoko na niewidocznym niebie, znowu poczuliśmy jej drżenie. Trzęsienie ziemi przeszło przez Deszczowe Ostępy jak fala. Doświadczałam dawniej trzęsień ziemi, ale na tym zimnym odludziu wstrząsy wydały się mocniejsze i bardziej niebezpieczne. Łatwo było wyobrazić sobie,

jak to bagniste podłoże wciąga nas w siebie niczym żółty karp połykający okruszek chleba.

Choć posuwaliśmy się w głąb lądu, grunt pod naszymi stopami pozostawał bagnisty i zdradliwy. Dziś zobaczyłam tuż przed sobą węża zwisającego z płataniny zieleni. Serce moje przejęły zachwyty i zgroza zarazem. Przestał mnie obserwować, a potem jakże lekko dźwignął się z powrotem w górę, aby kontynuować wędrówkę po splecionych nad moją głową gałęziach. Gdybym potrafiła tak zgrabnie przemierzać tę krainę!

27 dzień miesiąca pług

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświatniejszego Satrapy Esklepiusa*

Piszę, przysiadłszy na drzewie niczym jedna z tych jaskrawo opierzonych papug, które dzielą ze mną gałąź. Czuję się jednocześnie głupio i wspaniale, pomimo głodu, pragnienia i wielkiego zmęczenia. Być może ten stan jest ubocznym skutkiem niedożywienia.

Przez pięć dni z trudem szliśmy przez rozmiękły teren i gęste zarośla, daleko od rzeki, wypatrując bardziej suchej ziemi. Niektórzy z naszej grupy protestowali, mówiąc, że gdy przyplynie wiosną obiecany statek, to nie zdoła nas odnaleźć. Powstrzymałam się od uwag, ale tak po prawdzie to nie wierzę, żeby kiedykolwiek jeszcze przyplłynął tą rzeką jakiś statek.

Wędrówka w głąb lądu nie poprawiła naszego położenia. Grunt nadal jest chybotliwy i drżący. Po naszym przejściu pozostaje błotnisty, nasiąkający wodą szlak. Wilgoć wywołuje zaognienie skóry stóp i sprawia, że gnije tkanina mojej sukni.

Kobiety ledwo się już wloką.

Zostawiliśmy wszystko, czego nie zdołaliśmy unieść. Każdy z nas, mężczyzna, kobieta czy dziecko, dźwiga tyle, ile potrafi. Maluchy są coraz bardziej zmęczone. Dziecko wewnątrz mnie z każdym krokiem robi się coraz cięższe.

Mężczyźni utworzyli Radę, która ma nami rządzić. Każdy mężczyzna ma jeden głos. Uważam to ignorowanie naturalnego porządku za niebezpieczne, ale nie ma sposobu, by wygnać ze szlachejnych rodów zdołali wymusić swoje prawo do sprawowania władzy. Jathan powiedział mi w sekrecie, że niech póki co będzie tak, jak jest, bo wkrótce i tak wszyscy się połapią, że zwyczajni rolnicy, złodzieje i awanturnicy nie nadają się do tej roli. Na razie uznajemy ich prawa. Rada utworzyła z topniejących resztek jedzenia jeden wspólny zapas żywności. Każdego dnia wydziela się przewidziane racje. Rada uznała, że wszyscy mężczyźni wykonywać będą taką samą pracę. Przez to Jathan musi stać na nocnej warcie jak zwykły żołnierz. Mężczyźni pełnią wartę parami, bo pojedynczy strażnik jest bardziej podatny na grożące tutaj szaleństwo. Mało o tym mówimy, ale wszyscy miewamy dziwne sny, a niektórzy z naszej grupy chyba cierpią na halucynacje. Mężczyźni winią za to wodę. Mówią o wysłaniu grup zwiadowczych w celu znalezienia dobrej okolicy, w której założymy osiedle.

Ich odważne plany nie wzbudzają mojego zaufania. To dzikie miejsce jest obojętne wobec naszych praw czy Rady.

Znaleźliśmy tu niewiele pożywienia. Roślinność jest dziwna, a zwierzęce życie widać jedynie w wyższych partiach drzew. Mimo to w tej dzikiej płataninie uważny człowiek może dostrzec

piękno. Blask słoneczny, który dociera do nas przez gęstwą drzew, jest łagodny i rozproszony, gdy rozświetla pierzaste mchy opadające z pnączy. Przeklinam wiszące sieci, gdy się przez nie przedzieramy, a chwilę później zachwycam się przydymioną zielenią ich misternej koronki. Wczoraj, pomimo zmęczenia i niecierpliwości Jathana, zatrzymałam się, by nacieszyć się pięknem kwitnącej latorośli. Zauważyłam, że rurkowate kielichy jej kwiatów zawierają na dnie odrobinę wody osłodzonej kwietnym nektarem. Wybacz mi, Sa, że opróżniliśmy z dziećmi wiele tych kielichów, zanim powiedziałam innym o moim odkryciu. Znaleźliśmy też grzyby, które rosły niczym półki na pniach drzew, oraz pnącza, które miały czerwone jagody. To nie wystarczy.

To moja zasługa, że tej nocy zasnęliśmy w suchym miejscu. Lękałam się przespać kolejną noc na wilgotnym gruncie i obudzić przemoczona ze swędzącą skórą albo kulić się na szczycie kupki bagażu zagłębiającego się powoli w bagnistej ziemi. Tego wieczoru, gdy zapadał coraz głębszy zmrok, zauważyłam ptasie gniazda zwisające luźno z niektórych gałęzi jak torebki. Dobrze wiem, jak sprawnie Petrus wdrapuje się na meble, a nawet wspina po draperiach. Wybrałam drzewo o licznych mocnych gałęziach wyrastających niemal na jednakowej wysokości i zapytałam syna, czy potrafiłby się tam dostać. Chwycił za spowijające drzewo pnącza, a jego małe stopy znalazły oparcie w chropowatej korze. Chwilę potem siedział już wysoko nad nami na grubym konarze, machając nogami i śmiejąc się z naszych min.

Poprosiłam Jathana, by poszedł w ślady syna, zabrawszy

adamaszkowe zasłony, które taszczyłam ze sobą tak daleko. Inni niebawem pojęli mój plan. Nosidła wszelkiego rodzaju zwisają teraz w gęstwinie drzew jak barwne owoce. Niektórzy śpią też na grubszych konarach lub w ich rozgałęzieniach, jeszcze inni w hamakach. Jest to ryzykowny wypoczynek, ale przynajmniej suchy.

Wszyscy mnie wychwalali.

— Moja żona zawsze była mądra – stwierdził Jathan, jakby chciał przypisać sobie moje zasługi.

Napomniałam go więc:

— Mam własne nazwisko. Zanim zostałam panią Carrock, byłam Carrilion Waljin! Niektóre z moich najlepszych dzieł w karierze artystki, *Wiszące misy* czy *Latające latarnie*, wymagały zdobycia wiedzy na temat podpór i zasad równowagi! Inna jest tylko skala, nie właściwości.

Kilka kobiet z naszej grupy parsknęło, posądzając mnie o przechwałki, ale lady Duparge zawołała:

— Ona mówi prawdę! Zawsze podziwiałam prace pani Carrock.

Jeden nieokrzesany mężczyzna miał czelność dorzucić:

— Teraz będzie mądra tylko jako żona handlarza Carrocka, bo tutaj nie ma już żadnych panów.

Ta myśl mnie otrzeźwiła, bo obawiam się, że człowiek ten miał sporo racji. Urodzenie i wychowanie niewiele tutaj znaczą. Już przecież przyznano prawo głosu mężczyznom z gminu, mniej wykształconym niż lady Duparge lub ja. Rolnik ma w naszych planach więcej do powiedzenia ode mnie.

A co wyszeptał do mnie mój małżonek?

— Ośmieszylaś mnie, ściągnając na siebie uwagę. Cóż za próżność – chwalić się swoimi „dokonaniami artystycznymi”. Zajmij się lepiej potrzebami swoich dzieci, zamiast się pysznić.

I tak oto usadził mnie z powrotem na moim miejscu.

Co z nami będzie? Co za pożytek z suchego posłania, gdy brzuch pozostaje pusty, a gardło spragnione? Tak mi żal dziecka, które w sobie noszę. Wszyscy mężczyźni krzyčili: „Ostrożnie!”, gdy podsadzali mnie na tę gałąź. A jednak żadna ostrożność na świecie nie uchroni tego dziecka przed dziczą, która będzie miejscem jego narodzin. Wciąż jeszcze brakuje mi mojej Narissy, a jednak wydaje mi się, że jej śmierć była łaskawsza od tego, co być może zgotuje nam ten dziwny las.

29 dzień miesiąca pługa

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Wieczorem zjadłam kolejną jaszczurkę. Ze wstydem przyznaję się do tego. Za pierwszym razem zrobiłam to równie odruchowo jak kot rzucający się na ptaka. Podczas wypoczynku zauważyłam niewielkie stworzenie na liściu paproci. Było zielone jak drogocenny kamień i nieruchome. Tylko błysk jego barwnych oczu i delikatny puls życia na szyi zdradziły mi jego obecność. Uderzyłam szybko jak wąż. Chwyciłam je i błyskawicznie przytknęłam jego miękki brzuch do ust. Wgryzłam się weń, czując jego gorycz, odór i słodycz zarazem. Pożarłam je z kostkami, jakby był to pieczony skowronek na ucztach u Satrapy. Po chwili nie mogłam już uwierzyć, że to zrobiłam. Spodziewałam się mdłości, ale nic takiego się nie stało. Mimo

wszystko byłam zbyt zawstydzona, by powiedzieć o tym komukolwiek. Takie jedzenie nie wydaje się stosowne dla cywilizowanego człowieka, nie wspominając już o sposobie, w jaki je pochłonęłam. Tłumaczyłam sobie potem, że takie były potrzeby rosnącego we mnie dziecka, że była to chwilowa aberracja wywołana doskwierającym mi głodem. Postanowiłam nigdy więcej tego nie robić, po czym zapomniałam o całej sprawie.

Ale dziś wieczorem zrobiłam to znowu. Był to smukły szary osobnik w kolorze drzewa. Dostrzegł ruch mojej ręki i schował się w zagłębieniu kory, ale wyciągnęłam go stamtąd za ogon. Trzymałam go jak w szczypcach między palcem wskazującym a kciukiem. Z początku miotał się dziko, a potem uspokoił się, gdy zrozumiał próżność swoich wysiłków. Przyjrzałam mu się z bliska, myśląc, że to wystarczy i że zaraz go wypuszczę. Był piękny, miał lśniące oczka, małe pazurki i giętki ogon. Grzbiet miał szary i szorstki jak kora, ale jego miękki brzusek miał barwę śmietany. W jego dolnej partii i zgięciu szyi zauważyłam leciutki odcień błękitu. Łuski na brzuchu były maleńkie i delikatne, gdy dotknęłam je językiem. Poczulałam bicie małego serca i zapach strachu, gdy jego małe łapki czepiały się moich spierzchniętych warg. To wszystko wydało się znajome. Potem zamknęłam oczy i nadgryzłam go, przyciskając ręce do ust, żeby nie stracić najmniejszego kawałeczka. Na dłoni pozostał potem drobny ślad krwi. Zlizalam go. Nikt nic nie widział.

Sa, najśłodszy Panie wszechrzeczy, kimże się staję? Co każe mi zachowywać się w taki sposób? Wygłodzenie czy może zaraźliwa dzikość tej krainy? Nawiedzają mnie we śnie wizje, które nie

przystoją kobiecie z wyższych sfer Jamaillii. Tutejsza wilgoć parzy mi dłonie i wgryza się w stopy, a skóra robi się chropawa jak polepa. Nie chcę nawet myśleć, jak wyglądają moja twarz i włosy.

2 dzień miesiąca zieleni

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Zeszłej nocy umarł chłopiec. Wszyscy byliśmy w szoku. Po prostu nie obudził się tego ranka. Był zdrowym dwunastolatkiem. Na imię miał Durgan i choć był tylko synem handlarza, intensywnie dzielę smutek jego rodziców. Petrus go lubił i wydaje się bardzo poruszony tą śmiercią. Szepnął mi, że ostatniej nocy przyśniło mu się, że ta kraina go pamięta. Gdy zapytałam, co przez to rozumie, nie potrafił wyjaśnić, ale dodał, że być może Durgan zmarł, bo to miejsce go nie chciało. Nie brzmiało to zbyt sensownie, ale Petrus powtórzył to samo z naciskiem, więc przytaknęłam i powiedziałam, że być może ma rację. Słodki Sa, nie pozwól, by mojego synka ogarnęło szaleństwo. Tak się tego boję. Może to dobrze, że mój syn przestanie przebywać w towarzystwie chłopca z pospólstwa, ale mimo wszystko będzie nam brakowało Durgana z jego wesołym, szerokim uśmiechem.

Gdy tylko mężczyźni wykopali grób, wypełniła go mętna woda. Trzeba było odciągnąć matkę chłopca na bok, gdy ojciec powierzył jego ciało tej błotnistej wodzie. Gdy modliliśmy się do Sa, by dał mu pokój, dziecko w moim wnętrzu kopnęło gniewnie. Wystraszyło mnie to.

8 dzień miesiąca zieleni

(Tak mi się zdaje. Marthi Duparge twierdzi, że to już 9 dzień.)

14 rok panowania Najszlachetniejszego i Najświatniejszego Satrapy Esklepiusa

Znaleźliśmy skrawek suchej ziemi i większość z nas zamierza odpocząć tu przez kilka dni, gdy wybrana grupka mężczyzn ruszy na zwiady w poszukiwaniu lepszej okolicy. Nasze schronienie nie jest jednak tylko zwykłą wysepką suchej ziemi pośród bagien. Nauczyliśmy się, że pewien rodzaj kolczastych krzewów wskazuje na twardszy grunt, a w tym miejscu jest ich dość dużo. Zawierają dość żywicy, by dobrze się paliły, nawet gdy są zielone. Wydzielają gęsty i duszący dym, ale dzięki temu przynajmniej kłujące owady trzymają się od nas z daleka.

Jathan jest jednym z naszych zwiadowców. Myślałam, że ze względu na nasze dziecko, które niebawem ma przyjść na świat, powinien zostać tutaj, żeby opiekować się mną i chłopcami. Oznajmił, że musi iść, żeby zostać przywódcą naszej kolonii. Lord Duparge również wyrusza jako zwiadowca. Ponieważ Marthi Duparge też jest ciężarna, Jathan dodał, że możemy pomagać sobie nawzajem. Z takiej młodej żony jak ona niewiele będzie pożytku przy porodzie, ale lepsze jej towarzystwo niż żadne. My, kobiety, mocniej zżyłyśmy się ze sobą, gdy głód zmuszał nas do dzielenia się swoimi wątłymi racjami dla dobra naszych dzieci.

Inna kobieta, żona tkacza, wymyśliła sposób robienia mat ze wszechobecnych tu pnączy. Zaczęłam się tego uczyć, bo jestem już tak ociężała, że niewiele mogę robić. Maty można wykorzystywać jako materace, a także łączyć je ze sobą w ścianki

i daszki. Wszystkie drzewa w okolicy mają cienką korę, a pierwsze gałęzie wypuszczają bardzo wysoko, więc musimy spędzać noce na ziemi. Wiele kobiet przyłączyło się do nas i zapanował bardzo miły, wręcz domowy nastrój, kiedy tak siedziałyśmy razem, rozmawiałyśmy i pracowałyśmy. Mężczyźni śmiali się z nas, gdy stawiałyśmy nasze plecione ściany, i pytali, przed czym nas obroni taka wątła bariera. Było mi głupio, ale gdy zapadł zmrok, było nam całkiem przytulnie w naszej lichej chacie. Tkaczka Sewet ma melodyjny głos i przywiodła mnie do łez, śpiewając swojemu najmłodszemu dziecku do snu starą pieśń pochwalną na cześć Sa w zgryzocie. Zdaje mi się, że całe wieki upłynęły od czasu, gdy ostatni raz słyszałam muzykę. Jak długo moje dzieci będą musiały żyć bez kultury i bez nauczycieli, zdane jedynie na bezlitosny osąd tego dzikiego miejsca?

Chociaż gardzę Jathanem Carrockiem za to, że przywiódł nas na wygnanie, brakuje mi go tego wieczoru.

12 lub 13 dzień miesiąca zieleni
*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Zeszłej nocy szaleństwo ogarnęło nasz obóz. Zaczęło się, gdy jedna z kobiet wybiegła w ciemność, krzycząc:

— Posłuchajcie! Posłuchajcie! Czy nikt poza mną nie słyszy ich śpiewu?

Jej mąż próbował ją uspokoić, ale wtedy któryś z młodszych chłopców zawołał, że on słyszy ten śpiew już od kilku nocy, po czym rzucił się pędem w noc, jakby dobrze wiedział, dokąd biegnie. Jego matka ruszyła za nim. Potem ta pierwsza kobieta

wyrwała się swojemu mężowi i pobiegła prosto na bagna. Trzy inne poszły za nią, ale nie po to, by ją sprowadzić z powrotem, tylko z krzykiem:

— Zaczekaj, zaczekaj, idziemy z tobą!

Wstałam i przytrzymałam przy sobie obu synów, w razie gdyby ich także ogarnęło szaleństwo. Coś dziwnego przepełnia w nocy tę dżunglę. Świetliki to rzecz znana, ale dziwny pająk zostawiający w środku sieci kulkę świetlistej śliny nie jest niczym normalnym. Małeńkie owady fruną prosto do niej jak ćma lecąca do płomienia latarni. Są także wiszące mchy, które połyskują bladym i zimnym światłem. Nie ośmielałam się powiedzieć chłopcom, że wzbudza to we mnie strach. Powiedziałam tylko, że dygocę z zimna i troski o tych nieoświeconych biedaków, którzy pobiegli i zniknęli na bagnach. Ale jeszcze bardziej się przeraziłam, kiedy mały Carlmin zaczął mówić o tym, jak piękna staje się dżungla nocą i jaki słodki jest zapach zakwitających nocnych kwiatów. Powiedział, że pamięta, jak robiłam ciasteczka o zapachu tych kwiatów. Nie mieliśmy takich kwiatów w Jamaillii, ale gdy to powiedział, przywołałam jakoś z pamięci małe brązowe ciasteczka, miękkie w środku i chrupiące na brzegach. Nawet teraz, pisząc te słowa, nieomal przypominam sobie, jak formowałam ich płatki przed wrzuceniem do wrzącego oleju.

Nigdy nie robiłam takich ciasteczek, przysięgam.

Do południa nie otrzymaliśmy żadnych wieści o tych, których zabrało nocne szaleństwo. Grupa poszukiwawcza wyruszyła na ratunek, ale powróciła z niczym, wszyscy przemoczeni, pogryzieni przez owady i zrozpaczeni. Tamtych pochłonęła

dżungla. Jedna z kobiet zostawiła małego synka, który płakał za nią przez większość dnia.

Nikomu nie mówię o muzyce, która prześladowa mnie w snach.

14 lub 15 dzień miesiąca zieleni
14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa

Nasi zwiadowcy dotąd nie powrócili. W ciągu dnia odnosimy się do tego beztrąsko ze względu na dzieci, ale wieczorem, gdy chłopcy śpią, Marthi Duparge i ja rozmawiamy o naszych obawach. Oczywiście jest, że nasi mężczyźni powinni byli wrócić do tej pory, choćby po to, żeby powiedzieć, że nie znaleźli miejsca lepszego od tej bagiennej wysepki.

Wczoraj wieczorem Marthi rozplakała się i powiedziała, że Satrapa rozmyślnie wysłał nas na śmierć. Byłam zszokowana. Kapłani Sa przetłumaczyli starożytne zwoje opisujące miasto na tej rzece. Ludziom oddanym Sa nie wolno kłamać. Może jednak się pomylili, na tyle poważnie, że będzie nas to kosztować życie.

Nie ma tu obfityści, tylko obcość, która przeziera ze wszystkiego za dnia, a nocą skrada się między naszymi chatkami. Niemal codziennie jedna lub dwie osoby budzą się w środku nocy z krzykiem po sennych koszmarach, których nie mogą sobie przypomnieć. Pewna młoda kobieta lekkich obyczajów nie pojawiła się od dwóch dni. Była tanią dziwką na ulicach Jamaillii, a tutaj nadal uprawiała ten zawód, za swoje usługi wyprasząc od mężczyzn jedzenie. Nawet nie wiemy, czy gdzieś powędrowała, czy została zabita przez któregoś z naszych ludzi. Nie wiemy, czy wśród nas jest morderca, czy może ta straszliwa

kraina upomniała się o kolejną ofiarę.

My, matki, cierpimy najbardziej, bo nasze dzieci błagają nas o więcej niż te nędzne racje, które nam przyznano. Zapasy ze statku się skończyły. Codziennie szukam czegoś do zjedzenia, a dzieci mi towarzyszą. Przed kilkoma dniami znalazłam kopczyk luźnej ziemi i szturchając go, odkryłam w środku jajka o brunatnych, nakrapianych skorupkach. Było ich prawie pięćdziesiąt i choć niektórzy mężczyźni odrzucili ten poczęstunek, mówiąc, że nie będą jeść jaj węża czy jaszczura, żadna z matek tego nie zrobiła. Jedną z roślin, podobną do lilii, trudno jest wyrwać z płytkich mokradeł, bo ma długie, włókniste korzenie i trzeba się przy tym porządnie pochłapać gryzącą wodą. Na tych korzeniach ma narosłe, nie większe od dużych pereł, które mają przyjemny, lekko pieprzny smak. Sewet pracowała sporo przy tych korzeniach, wyrabiając z nich koszyki, a ostatnio nawet zgrzebne płótno. Bardzo się to przyda. Nasze suknie są w strzępach do kolan, a buty zrobiły się cienkie jak papier. Wszyscy się dziwili, gdy odkryłam te perły na korzeniach lilii. Wielu dopytywało się, skąd wiedziałam, że są jadalne.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Kwiaty wyglądały jakoś znajomo. Nie wiem, co kazało mi wyrwać korzenie ani co popchnęło mnie do oderwania perłowych narośli i włożenia ich do ust.

Mężczyźni, którzy tu zostali, nieustannie skarżą się, że muszą sprawować nocne warty i podtrzymywać ogień naszych ognisk, ale uważam, że my, kobiety, pracujemy równie ciężko. Dbanie w tych warunkach o to, by nasze dzieci były bezpieczne, czyste i

nakarmione, wymaga wielkiego wysiłku. Przyznaję, że gdy chodzi o zajmowanie się moimi chłopcami, bardzo wiele nauczyłam się od Chellii. Była w Jamailii praczką, a jednak tutaj została moją przyjaciółką i dzielę z nią chatę, którą zbudowałyśmy dla siebie i pięciorga naszych dzieci. Jej mężczyzna, niejaki Ethe, również poszedł z grupą zwiadowców. Mimo to Chellia jest pogodna i nalega, by trójka jej dzieci pomagała w codziennych pracach. Naszych starszych synów wysyłamy razem do lasu, by zbierali suche drewno na ogień. Ostrzegamy, by nigdy nie oddalali się poza zasięg odgłosów naszego obozu, ale obaj, zarówno Petrus, jak i Olpey, twierdzą, że w pobliżu nie ma już żadnego drewna. Jej córki Piet i Likea pilnują Carlmina, podczas gdy ja z Chellią zbieram wodę z kielichów deszczowych kwiatów i chodzę na grzyby. Odkryłyśmy korę, z której można zaparzyć herbatę o korzennym smaku, łagodzącą uczucie głodu.

Jestem wdzięczna za jej towarzystwo; Marthi i ja z radością przyjmiemy jej pomoc, gdy nadejdzie czas mojego i jej porodu. Natomiast jej syn Olpey jest starszy od mojego Petrusa i nakłania go do nazbyt śmiałych i ryzykownych zachowań. Wczoraj obaj wyszli przed zmrokiem i wrócili jedynie z małymi wiązkami drewna. Mówili, że usłyszeli odległą muzykę i poszli w jej kierunku. Jestem pewna, że zapuścili się w ten bagnisty las głębiej, niż nakazuje rozwaga. Skarciłam ich obu. Petrus się tym przejął, ale Olpey zapytał matkę, co innego miał począć, zostać tu w błocie i zapuszczać korzenie? Byłam zaszokowana, kiedy usłyszałam, w jaki sposób odezwał się do matki. Jestem przekonana, że to on stoi za sennymi koszmarami, które dręczą

Petrusa, bo lubi opowiadać straszne historie o pasożytniczych duchach unoszących się jak mgła oraz jaszczurkach wysysających ludzką krew. Nie chcę, by Petrus wysłuchiwał tych przesądnych bzdur, ale tak po prawdzie cóż mogę zrobić? Chłopcy muszą znosić dla nas drewno, a ja nie mogę posyłać go samego. Wszystkim starszym chłopcom z naszej grupy wyznacza się tego rodzaju obowiązki. Martwię się, kiedy patrzę, jak Petrus, spadkobierca dwóch linii szlacheckiej krwi, wykonuje tę samą pracę co pospolici chłopcy. Lękam się, że zanim wrócimy do Jamailli, poważnie mu to zaszkodzi.

I dlaczego Jathan wciąż do nas nie wraca? Co się stało z naszymi mężczyznami?

19 lub 20 dzień miesiąca zieleni
*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Dziś do naszego obozowiska wkroczyli trzej ubłoceni mężczyźni i jedna kobieta. Gdy posłyszałam wrzawę, serce podskoczyło we mnie z przejęcia, bo myślałam, że powrócili nasi mężowie. Byłam zaszokowana, widząc, że jest to grupa pochodząca z jednego z pozostałych statków.

Kapitan, załoga i pasażerowie wpadli do rzeki któregoś wieczoru, kiedy statek po prostu się rozpadł na kawałki. Nie mieli wielkich szans na uratowanie zapasów. Stracili też ponad połowę ludzi na pokładzie. Z tych zaś, którzy dotarli do brzegu, wielu ogarnęło szaleństwo i w kolejnych dniach po katastrofie skończyli ze sobą lub zniknęli w dżungli.

Wielu zmarło w ciągu pierwszych kilku nocy, bo nie mogło

znaleźć ani skrawka twardej ziemi. Zatkanam uszy, gdy opowiadali, jak ludzie upadali i dosłownie tonęli w błocie. Niektórzy budzili się ogłupiali i otumanieni po dziwnych snach. Jednym udało się jakoś wyzdrowieć, inni zaś uciekli na bagna i nigdy już ich nie odnaleziono. Tych trzech szło na czele pozostałej przy życiu grupki. Po kilku minutach zaczęła nadciągać reszta. Przybywali trójkami, czwórkami, przemoczeni, pogryzieni przez owady, potwornie poparzeni przez długi kontakt ze żrącą wodą. Jest ich sześćdziesięcioro dwoje. Kilkoro z nich to wygnana szlachta, pozostali zaś to ludzie z gminu, którzy mieli nadzieję zbudować dla siebie nowe życie. Najbardziej rozgoryczeni są, jak się zdaje, spekulanci, którzy zainwestowali cały majątek w tę podróż w nadziei zdobycia bogactwa.

Kapitan nie przetrwał pierwszej nocy. Ci członkowie załogi, którzy przeżyli, są mocno zdumieni i przerażeni faktem nagłego znalezienia się na wygnaniu. Niektórzy trzymają się na uboczu, stroniąc od „kolonistów”, jak nas nazywają. Inni zaś zrozumieli, że albo znajdą sobie miejsce pośród nas, albo zginą marnie.

Niektórzy z naszej grupy zebrali się na boku i szemrają, że nie mamy dość miejsca i wiktuałów nawet dla siebie, ale większość z nas chętnie się podzieli. Nigdy nie sądziłam, że dane mi będzie zobaczyć ludzi bardziej zdesperowanych od nas. Mam wrażenie, że wszyscy na tym zyskaliśmy, a najbardziej chyba ja i Marthi. W grupie przybyszów bowiem znalazła się Ser, doświadczona akuszerka. Jest wśród nich także rzemieślnik kryjący domy strzechą, cieśla okrętowy i kilku mężczyzn znających się na polowaniu. Marynarze są zdrowymi i krzepkimi ludźmi, którzy, jeśli się przystosują, mogą być bardzo użyteczni.

Nadal żadnych wieści o naszych mężczyznach.

26 dzień miesiąca zieleni
*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Mój czas nadszedł. Dziecko się urodziło. Nawet go nie widziałam, bo akuszerka zaraz zabrała je na bok. Marthi, Chellia i Ser mówią, że to dziewczynka i że przyszła na świat martwa, ale jestem pewna, że raz słyszałam jej płacz. Byłam zmęczona i na granicy omdlenia, ale pamiętam, co słyszałam. Moja córeczka płaczem przyzywała mnie, zanim umarła.

Chellia powiada, że to nieprawda, że dziecko urodziło się sine i nieruchome. Zapytałam, dlaczego nie mogły dać mi go potrzymać, zanim pogrzebały je w ziemi. Akuszerka odparła, że dzięki temu mój smutek jest mniej dotkliwy. Ale twarz jej blednie za każdym razem, gdy o to pytam. Marthi w ogóle o tym nie mówi. A może lęka się, co będzie, gdy jej czas nadejdzie, czy coś przede mną ukrywa? Dlaczego, Sa, odebrałaś mi obie moje córeczki tak okrutnie?

Już Jathan usłyszy swoje ode mnie, kiedy powróci. Może gdyby był tutaj, aby pomagać mi w ostatnich dniach przed porodem, nie musiałabym tak ciężko pracować. Może moja córeczka pozostałaby przy życiu. Ale wtedy go przy mnie nie było i teraz też go przy mnie nie ma. A kto teraz będzie opiekował się moimi chłopcami, zdobywał dla nich pożywienie i upewniał się, że każdego wieczoru powracają cali i zdrowi, podczas gdy ja leżę tutaj i krwawię z powodu dziecka, które nie żyje?

1 dzień miesiąca ziarna

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświetniejszego Satrapy Esklepiusa*

Podniosłam się z połogu. Czuję się tak, jakby moje serce zostało pochowane wraz z moją córeczką. Czy na próżno dźwigałam ją tak daleko i pokonywałam wszystkie te trudy?

W naszym obozowisku jest teraz tylu nowo przybyłych, że z trudem można przejść pomiędzy prowizorycznymi chatkami. Mały Carlmin, rozdzielony ze mną na czas mojego połogu, towarzyszy mi teraz jak nieodłączny, wąły cień. Petrus umocnił swoją przyjaźń z Olpeyem, nie zważając zupełnie na moje słowa. Kiedy proszę go, by nie oddalał się zanadto od obozu, prowokacyjnie zapuszcza się coraz głębiej na bagna. Chellia mówi, żeby mu na to pozwolić. Chłopcy są ulubieńcami całego obozu, bo odkryli zwisające z krzewów kiście małych kwaśnych jagód. Te małe owoce mają jaskrawożółty kolor i są bardzo cierpkie w smaku, ale nawet takie nikczemne jedzenie jest zbawieniem dla ludzi tak głodnych jak my. Złości mnie jednak to, że wszyscy zachęcają mojego syna do nieposłuszeństwa wobec mnie. Czyż nie słyszą tych dzikich historii, które opowiadają chłopcy, o dobiegającej z daleka dziwnej muzyce? Chłopcy przechwalają się, że znajdą jej źródło, a serce matki podpowiada mi, że nie ma nic naturalnego ani dobrego w tym, co wciąga ich coraz głębiej i głębiej w tę paskudną dżunglę.

W obozie z każdym dniem jest gorzej. Ścieżki zostały rozdeptane i zmienione w błoto. Zbyt wielu ludzi nie robi nic, żeby polepszyć nasz los. Żyją dniem dzisiejszym, nie robiąc zapasów na jutro i licząc w kwestii pożywienia na pozostałych.

Jedni siedzą i gapią się wokoło, inni modlą się i płaczą. Czy oczekują, że Sa zstąpi na ziemię i ich uratuje? Zeszłej nocy znaleziono martwą pięcioosobową rodzinę, przytuloną do pnia drzewa, pod żalonym przykryciem z resztek żaglowego płótna. Nie wiadomo, co ich zabiło. Nikt nie mówi o tym, czego wszyscy się boimy: że jest jakieś podstępne szaleństwo w wodzie, a może w samej ziemi, wkradające się do naszych umysłów pod postacią nieziemskiej muzyki. Obudziłam się ze snu o jakimś dziwnym mieście, sądząc, że jestem kimś innym, przebywającym w innym miejscu. A kiedy otwieram oczy i patrzę na to błoto, te owady i głód, to tęsknię czasem do tego, by zamknąć je z powrotem i najzwyczajniej powrócić do mego snu. Czy to właśnie przydarzyło się tej nieszczęsnej rodzinie? Oczy całej piątki były szeroko otwarte i w coś wpatrzone, kiedy ich znaleźliśmy. Oddaliśmy ich ciała rzece. Rada zabrała ich skromny dobytek i rozdzieliła go, ale wielu sarka, że Rada daje wszystko swoim przyjaciom, a nie tym, którzy naprawdę są w potrzebie. Rośnie niezadowolenie z tej kilkuosobowej Rady, która narzuca wszystkim swoje prawa.

Nasze niepewne schronienia zaczynają nas zawodzić. Nawet niewielka waga naszych plecionych chatek zmienia cienką darń w błoto. Zwykle wyrażałam się z pogardą o ludziach wegetujących w nędznych warunkach, mówiłam, że „żyją jak zwierzęta”. Tak po prawdzie to zwierzęta w tej dżungli, która nas otacza, żyją lepiej niż my. Zazdroszczę pająkom mieszkającym w sieciach zawieszonych wysoko w promieniach słońca. Zazdroszczę ptakom, których plecione gniazda wiszą wysoko, poza zasięgiem węży i błota. Zazdroszczę nawet szerokostopym

bagiennym królikom, jak nasi myśliwi nazywają małe zwierzątka, które czmychają przed nami tak lekko po warstwach sitowia i liści zalegających na moczarach. Za dnia ziemia przysysa się do moich stóp z każdym krokiem. Nocą nasze plecione materace zagłębiają się w mokrym gruncie i budzimy się przemoczeni. Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie, ale wszyscy mówią: „Poczekajmy. Wrócą nasi zwiadowcy i zaprowadzą nas w lepsze miejsce”.

Myślę sobie, że jedynym lepszym miejscem, jakie udało im się znaleźć, jest łono Sa. Wszyscy możemy tam trafić. Czy ujrzę jeszcze kiedyś ciepłą Jamaillię, czy odbędę spacer w ogrodzie pełnym przyjaznych roślin, czy kiedykolwiek najem się do syta i napiję bez troski o jutro? Rozumiem pokusę ucieczki od życia w sen i marzenia senne o lepszych miejscach. Tylko moi synowie trzymają mnie przy życiu na tym świecie.

16 dzień miesiąca ziarna

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświatniejszego Satrapy Esklepiusa*

Czego nie widzi umysł na jawie, to serce już wie. We śnie przemykałam jak wiatr przez te Deszczowe Ostępy, szybując zrazu nad rozmiękłą ziemią, a potem lecąc między kołyszącymi się gałęziami drzew. Niehamowana przez błoto i alkaliczną wodę, nagle mogłam dostrzec wielorakie piękno naszego otoczenia. Balansowałam, kołysząc się jak ptak, na pierzastych liściach paproci. Jakiś duch Deszczowych Ostępów wyszeptał do mnie: „Spróbuj to opanować, a wtedy cię to wchłonie. Stań się częścią tego i żyj”.

Nie wydaje mi się, żeby mój świadomy umysł uwierzył kiedykolwiek w takie rzeczy. Moje serce oplakuje białe wieże Jamaillii, spokojne błękitne wody jej portu, cieniste mury i słoneczne place. Jestem spragniona sztuki, wina i poezji, pożywienia, którego nie muszę szukać, pełzając w plątaninie tej złowrogiej dżungli. Tęsknię do piękna, które zastąpiłoby tę nędzę.

Dziś nie zbierałam jedzenia ani wody. Zamiast tego poświęciłam dwie strony tego dziennika na szkice mieszkań bardziej pasujących do tego bezlitosnego miejsca. Zaprojektowałam też pływające chodniki łączące nasze przyszłe domostwa. Będzie to wymagało wyrębu drzew i docinania tarcicy. Kiedy pokazałam to pozostałym, jedni początkowo kpili ze mnie, mówiąc, że praca jest zbyt wielka dla tak małej grupy ludzi. Inni wskazywali, że narzędzia zaczęły tu szybko rdzewieć. Odparłam, że musimy użyć naszych narzędzi teraz, żeby zbudować schronienia, które nas nie zawiodą, kiedy narzędzi już nie będzie.

Niektórzy chętnie oglądali moje szkice, potem jednak wzruszali ramionami i pytali, jaki sens ma taka ciężka praca, skoro lada dzień wrócą zwiadowcy i przeprowadzą nas na lepsze miejsce. Nie możemy przecież, powiadali, żyć na tych bagnach w nieskończoność. Odparowałam ostro, że mają rację, bo jeśli nie zaczniemy działać, to tutaj umrzemy. Żeby nie kusić losu, nie mówiłam o swoich najgorszych obawach: że na setki mil wokoło ciągną się pod tymi drzewami tylko bagna, a nasi zwiadowcy nigdy nie wrócą.

Większość ludzi wycofała się po moim wybuchu, ale dwaj

mężczyźni zostali i krzyczeli na mnie, pytając, jaka przyzwoita Jamailijka ośmieliłaby się podnieść w gniewie głos przy mężczyznach. Ci dwaj byli ludźmi z gminu, podobnie jak ich żony, które stały za nimi i kiwały głowami. Nie mogłam powstrzymać łez ani drżenia głosu, kiedy zapytałam, jakimi są mężczyznami, skoro śmiały wysyłać moich chłopców do dżungli po jedzenie, a sami siedzą beczynnie i czekają, aż ktoś inny rozwiąże ich problemy. Unieśli ręce i zrobili gest oznaczający bezwstydną kobietę, jakbym była uliczną dziewczką. Potem odeszli.

Nie dbam o to. Udowodnię im, że się mylą.

24 dzień miesiąca ziarna

*14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświatniejszego Satrapy Esklepiusa*

Jestem rozdarta pomiędzy radością i smutkiem. Moja córeczka nie żyje, Jathana wciąż nie ma, a jednak dziś właśnie odniosłam triumf przerastający największe pochwały moich artystycznych prac. Chellia, Marthi i mały Carlmin trudzili się ze mną. Tkaczka Sewet zaproponowała kilka udoskonaleń w moich eksperymentach. Piet i Likea zbierały żywność zamiast mnie. Maleńkie rączki Carlmina zadziwiły mnie swoją sprawnością i wzruszyłam się, gdy patrzyłam na jego determinację w pracy. Carlmin okazał się w każdym calu podobny do mnie.

Stworzyliśmy podłogę w największej chacie dzięki położeniu warstw mat na podłożu z cienkich gałęzi i trzciny. Konstrukcja rozkłada ciężar w taki sposób, że unosi nas ponad gąbczastym gruntem, a maty znajdują się znacznie wyżej od otaczającej nas

wody. Pozostałe chaty codziennie się zapadają i trzeba je przesuwać, ale nasza przetrwała cztery dni bez przestawiania. Dziś, widząc, że nasz dom będzie trwały, dalej go udoskonalaliśmy. Nie korzystając z narzędzi, wyłamałyśmy młode drzewka i obrałyśmy je z gałązek. Kawałki cienkich pni powiązane korzeniami lilii na kształt poziomej drabiny tworzą chodnik wokół naszej chaty. Położone na nich jutro warstwy plecionych mat pogrubią i wzmocnią nasze chwiejne chodniki. Cała sztuka, jak się zdaje, polega na rozłożeniu ciężaru na jak największej powierzchni; tak jak w wypadku szerokich łap bagiennych królików. Chodnik po najbardziej mokrej stronie, za chatą, zawiesiłyśmy wyżej, niczym pajęczynę, mocując go najlepiej jak się dało do sąsiadujących drzew. Nie było to łatwe, bo drzewa te mają bardzo grube pnie i gładką korę. Niektórzy z patrzących drwili z nas, gdy dwa razy bezowocnie próbowaliśmy zaciągnąć więzy, ale trzecia próba uwieńczona została powodzeniem. Nie tylko udało się przejść po naszym chwiejnym mostku bezpiecznie kilka razy, ale mogliśmy stać na nim i patrzeć z góry na naszą osadę. Nie był to rozległy widok, bo chodnik przebiegał mniej więcej na wysokości bioder nad gruntem, ale wystarczyło, by dać mi obraz naszej niedoli. Z powodu krętych przejść i ścieżek między chatami rzuciło się w oczy wielkie marnotrawstwo przestrzeni. Jeden z żeglarzy podszedł rozkołysanym krokiem, żując łodyżkę trawy, żeby przyjrzeć się naszym dokonaniom. Potem zaś miał czelność zmienić połowę naszych węzłów.

— To wytrzyma, droga pani – powiedział – ale niezbyt długo i nie pod dużym obciążeniem. Potrzebujemy lepszego olinowania,

żeby to wzmocnić. Proszę popatrzeć w górę. Tam powinniśmy wejść i przywiązać liny do tych gałęzi.

Spojrzałam na przyprawiającą o zawrót głowy wysokość, gdzie zaczynały się gałęzie, i powiedziałam, że bez skrzydeł raczej tam nie sięgniemy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i odparł:

— Znam takiego jednego, może dałby radę. Jeżeli ktoś uzna, że warto spróbować.

Potem wykonał jeden z tych dziwacznych marynarskich ukłonów i odszedł.

Musimy wkrótce przystąpić do działania, bo nasza drżąca wysepka z każdym dniem się zmniejsza. Grunt jest wydeptany i w śladach stóp gromadzi się woda. Chyba oszalałam, podejmując taką próbę; jestem artystką, nie inżynierem ani budowniczym. A jednak, skoro nie ma nikogo, kto by się tego podjął, muszę to zrobić. Może mi się nie uda, ale przynajmniej podejmę próbę.

*5 lub 6 dzień miesiąca modlitwy
14 rok panowania Najszlachetniejszego
i Najświatniejszego Satrapy Esklepiusa*

Dziś zarwał się jeden z moich mostów. Trzej mężczyźni wpadli w bagno, a jeden z nich złamał nogę. Obwinił za swoje nieszczęście mnie i oświadczył, że tak się dzieje, kiedy kobiety wykorzystują swoją umiejętność robienia na drutach do budowy domów. Jego żona przyłączyła się do oskarżeń. Nie ugięłam się jednak przed nimi. Powiedziałam, że wcale nie prosiłam, żeby łazili po moich chodnikach, i że każdy, kto nie przyłożył ręki do ich budowy i ośmiela się z nich korzystać, zasługuje na taki los, jaki Sa ześle mu za jego niewdzięczność i lenistwo.

Ktoś krzyknął: „Błudnierstwo”, ale ktoś inny dodał: „Prawda jest mieczem Sa”. Poczułam się oczyszczona z zarzutów. Mój zespół tak się rozrósł, że można go podzielić na dwie grupy. Postawię Sewet na czele drugiej i biada temu, kto podważy mój wybór. Jej tkackie umiejętności już się sprawdziły.

Jutro chcemy zacząć umieszczać na drzewach pierwsze podpory dla moich wielkich platform. Mogę ponieść sromotną porażkę. Belki są ciężkie, a my nie mamy prawdziwych powrozów do ich wciągania, jedynie liny splecione z korzeni. Marynarz sporządził dla nas kilka prymitywnych wielokrążków. Tylko on i mój Petrus wdrapali się na gładki pień aż do miejsca, gdzie wyrastały ogromne konary. W miarę wchodzenia wbijali w drzewo kołki, ale i tak moje serce drżało z lęku, gdy patrzyłam, jak są wysoko. Marynarz Retyo powiada, że dzięki jego wielokrążkom nasze siły wystarczą do wszystkich zaplanowanych zadań. Chcę to zobaczyć. Obawiam się, że doprowadzą tylko do tego, że nasze prowizoryczne liny jeszcze prędzej się przetrą. Powinnam już spać, a wciąż się zastanawiam, czy wystarczy nam lin do zamocowania belek. Czy drabinki sznurowe wytrzymają codzienne użytkowanie przez pracowników? Czego ja się podjęłam? Jeżeli któryś spadnie z tej wysokości, z pewnością się zabije. Ale lato w końcu minie i nadejdą zimowe deszcze, a my musimy wtedy już mieć suche schronienie.

12 lub 13 dzień miesiąca modlitwy

14 rok Satrapy Esklepiusa

Nieustanne porażki. Niechętnie o tym piszę. Marynarz Retyo

mówi, że musimy poczytać sobie za sukces, że nikt nie został ranny. Kiedy spadła nasza pierwsza platforma, nie uległa rozbiciu, bo wbiła się w rozmiękły grunt. Pogodnie stwierdził, że zyskaliśmy dowód, że jest solidnie zrobiona. Jest pomysłowym młodym człowiekiem, bardzo inteligentnym mimo braku wykształcenia. Zapytałam, czy nie czuje goryczy z powodu tego, że los kazał mu budować kolonię w Deszczowych Ostępach, zamiast żeglować na statku. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Był druciarzem i rolnikiem, zanim został żeglarzem, toteż stwierdził, że tak naprawdę nie wie, który z tych losów jest jego losem. Może przyjąć którykolwiek z nich i obrócić go na swoją korzyść. Chciałabym mieć jego animusz.

Próżniacy z naszej kolonii gapią się i kpią z nas. Ich sceptycyzm podkopuje moje siły w taki sam sposób, jak wapienna woda wżera się w skórę. Ci, którzy żalą się najbardziej na naszą sytuację, robią najmniej, by ją poprawić. „Poczekajcie – mówią – aż wrócą nasi zwiadowcy i zaprowadzą nas w lepsze miejsce”. Przy tym nasze położenie się pogarsza. Chodzimy już prawie w łachmanach, chociaż Sewet eksperymentuje codziennie z włóknami, które da się wyciągnąć z pnączy albo z miazgi trzciny. Ledwie znajdujemy dość jedzenia, by zaspokoić codzienne potrzeby, i nie gromadzimy nic na zimę. Próżniacy jedzą tyle samo co pracujący. Moi chłopcy trudzą się przy nas każdego dnia i dostają takie same racje jak ci, którzy leżą i narzekają na los. Petrus ma poszerzającą się wysypkę u nasady szyi. Jestem pewna, że winne temu są nędzna dieta i wszechobecna wilgoć.

Chellia z pewnością czuje to samo. Jej małe córeczki Piet i Likea to sama skóra i kości, bo inaczej niż w przypadku naszych

chłopców, którzy dożywają się w trakcie zbierania, muszą zadowalać się tym, co dostaną pod koniec dnia. Olpey stał się ostatnio dziwnym chłopcem i to tak bardzo, że nawet Petrus się go lęka. Choć jak zwykle wychodzą codziennie razem, Petrus często wraca wcześniej, przed Olpeyem. Zeszłej nocy obudziłam się, słysząc, jak Olpey śpiewa cicho przez sen. Przysięgam, że nigdy przedtem nie słyszałam melodii i języka tej pieśni, która jednak w jakiś dręczący sposób była mi znajoma.

Dziś ciężkie ulewy. Nasze chaty wytrzymały większość z nich. Żał mi tych, którzy nie podjęli żadnego wysiłku, by zapewnić sobie schronienie, choć jednocześnie dziwi mnie ich zupełny brak inteligencji. Dwie kobiety przyszły do naszej chaty z trójką małych dzieci. Marthi, Chellia i ja nie chciałyśmy pozwolić, by tłoczyły się razem z nami, ale nie mogłyśmy znieść widoku tych dygoczących dzieci. W końcu postawiłyśmy warunek, że muszą pomagać jutro przy budowie. Jeśli się zgodzą, to pomożemy im wznieść własną chatę. Jeśli nie wyrażą zgody, muszą sobie iść. Być może trzeba zmuszać ludzi, by zechcieli działać dla własnej korzyści.

17 lub 18 dzień miesiąca modlitwy

14 rok Satrapy Esklepiusa

Unieśliśmy i osadziliśmy pierwszą wielką platformę. Sewet i Retyo upletli drabiny sznurowe, które zwisają do samej ziemi. Była to dla mnie chwila wielkiego triumfu, gdy patrzyłam z dołu na platformę solidnie umieszczoną między trzema konarami. Zwisające gałęzie niemal całkowicie ją zasłaniają. To moje dzieło, pomyślałam. Retyo, Crorin, Finsk i Tremartin to mężczyźni,

którzy najwięcej napracowali się przy wciąganiu i wiązaniu, ale projekt platformy, to, jak lekko balansuje na konarach, obciążając je tylko w najmocniejszych punktach, a także wybór miejsca, to wszystko moje dzieło. Byłam bardzo dumna.

Nie trwało to jednak długo. Wchodzenie po drabinie, która z każdym krokiem w górę kołysze się coraz bardziej, nie jest łatwe dla ludzi bojaźliwych ani dla słabszych kobiet. W połowie drogi zabrakło mi sił. Wisiałam niemal w omdleniu i Retyo musiał ruszyć mi na ratunek. Ze wstydem przyznaję, że ja, zamężna kobieta, zarzuciłam mu ręce na szyję jak małe dziecko. Ku mojej konsternacji nie zniósł mnie na ziemię, tylko uparł się, by zanieść mnie na górę, abym mogła zobaczyć widok rozciągający się z platformy.

Poczułam wielką radość i rozczarowanie zarazem. Staliśmy wysoko ponad bagnistym gruntem, który tak długo przysysał się do naszych stóp, a jednak wciąż pod osłoną liści, które przepuszczały tylko najmocniejsze promienie słońca. Patrzyłam w dół, na pozornie solidny grunt z liści, gałęzi i pnączy. Choć inne wielkie pnie częściowo zasłaniały mi widok, to mogłam nagle zobaczyć las we wszystkich kierunkach na większą odległość. Wygląda na to, że ciągnie się w nieskończoność. Gdy jednak zobaczyłam, jak gałęzie sąsiednich drzew niemal dotykają naszego, to poczułam nagły przypływ ambicji. Nasza następna platforma oprze się na trzech sąsiadujących drzewach. Wiszący pomost połączy pierwszą platformę z drugą. Chellia i Sewet już wyplatają siatki, które zabezpieczą nasze dzieci przed upadkiem z pierwszej platformy. Kiedy skończą, polecę im wiązać pomosty i sieci, które będą stanowić ich ściany.

Starsze dzieci najszybciej się wspinają i przyzwyczajają do naszych nadrzewnych mieszkań. Już stają się okropnie nieostrożne, gdy wychodzą z platform na podtrzymujące je konary. Kiedy ostrzegłam je, by uważały, Retyo łagodnie mnie skarcił:

— To ich świat – powiedział. – Nie mogą się go bać. Staną się tak pewne jak marynarze wspinający się po rejach i takielunkach. Te konary są szersze niż chodniki wielu miast, w których bywałem. Przed wyjściem na konar i spacerowaniem wzdłuż niego powstrzymuje cię jedynie twoja wiedza o wysokości, z której mogłabyś spaść. Zamiast tego myśl o solidnym drzewie pod twoimi stopami.

Pod jego opieką, trzymając go za rękę, przeszłam wzdłuż jednego z konarów. Kiedy zaszliśmy dość daleko, a gałąź zaczęła chwiać się lekko pod naszym ciężarem, wystraszyłam się i uciekłam na platformę. W dole dostrzegłam zarysy chatek w naszej błotnistej osadzie. Weszliśmy do innego świata. Światło jest tu piękniejsze, ale wciąż rozproszone, i mamy bliżej do owoców i kwiatów. Jaskrawo upierzone ptaki skrzeczą na nas, jakby kwestionowały nasze prawo do przebywania tutaj. Ich gniazda się kołyszą jak koszyki zwisające z drzew. Patrząc na te ich wiszące domki i zastanawiam się, czy nie mogłabym posłużyć się tym przykładem, aby zbudować bezpieczne „gniazdo” dla siebie. Już czuję, że to nowe terytorium jest moje z racji ambicji i sztuki, jak gdybym zamieszkała wewnątrz którejś z moich wiszących rzeźb. Czy można wyobrazić sobie miasto złożone z wiszących domów? Nawet ta platforma, pusta jeszcze, ma wdzięk i równowagę.

Jutro siądę z marynarzem Retyo i tkaczką Sewet. Pamiętam o sieciach przenoszących ciężkie ładunki z nabrzeży na statki. Czy nie można by umieścić platformy wewnątrz takiej siatki, splecionej gęsto dla zapewnienia prywatności, i zawiesić całości na solidnym konarze, aby stała się wspaniałym, zacisznym pomieszczeniem? Czy uda się jednak połączyć takie mieszkanie z wielkimi platformami? Uśmiecham się, kiedy to piszę, bo wiem, że się uda, a ja myślę jedynie o tym, jak to zrobić.

Zarówno Petrus, jak i Olpey mają na głowach wysypkę, która obejmuje też szyję. Drapią się i narzekają, a skóra robi się w tych miejscach szorstka w dotyku jak łuski. Nie znajduję żadnego sposobu, by im ulżyć, i boję się przy tym, że choroba przeniesie się na innych. Widziałam już sporo dzieci drapiących się rozpaczliwie.

6 lub 7 dzień miesiąca złota

14 rok Satrapy Esklepiusa

Dwa wydarzenia wielkiej wagi. Jestem tak znużona i zniechęcona, że nie bardzo mam chęć o tym pisać. Wczoraj wieczorem, gdy zasypiałam w tym kołyszącym się ptasim gnieździe, czułam się bezpieczna i byłam nieomal wesoła. Dziś to wszystko zostało mi odebrane.

Pierwsza rzecz: w nocy obudził mnie Petrus. Drżąc, wpełzł na moją matę i położył się obok, jakby znowu był małym dzieckiem. Wyszeptał, że Olpey go przeraża swoimi pieśniami z miasta, a on musi mi o tym powiedzieć, chociaż obiecał, że tego nie robi.

Petrus i Olpey, zapuszczając się coraz dalej w poszukiwaniu pożywienia, odkryli w lesie kopiec o nienaturalnej kwadratowej

podstawie. Petrus poczuł się zaniepokojony i lękał się podejść bliżej. Nie chciał mi powiedzieć dlaczego. Olpeya natomiast coś przyciągało. Dzień po dniu nalegał, by tam powrócili. Za każdym razem, kiedy Petrus wracał sam, Olpey pozostawał, by badać kopiec. W końcu, po licznych próbach kopania i nakłuwania, znalazł wejście. Chłopcy dostali się do środka kilkakrotnie. Petrus opisał to jako zakopaną wieżę, choć wydaje mi się to pozbawione sensu. Powiedział, że mury są popękane i wilgoć przenika do środka, ale w sumie budowla jest solidna. W środku są tkaniny ścienne i stare meble, niektóre w dobrym stanie, niektóre zmurszałe, a także inne świadectwa, że kiedyś żyli tam ludzie. Petrus z drżeniem powiedział, że jego zdaniem nie byli oni takimi ludźmi jak my. Dodał, że z wnętrza dobiega muzyka.

Petrus zszedł tylko jedno piętro w głąb budowli, ale Olpey opowiadał, że zapuścił się znacznie głębiej. Petrus lękał się zejść w ciemność, a wtedy Olpey dzięki jakiejś magii sprawił, że wnętrze wieży jakby zakwitło światłem. Kpił ze strachliwości Petrusa i opowiadał o ogromnych bogactwach oraz dziwnych przedmiotach w głębinach budowli. Utrzymywał, że przemawiały doń duchy, ujawniając swoje sekrety, w tym miejsce ukrycia skarbów. Potem zaś dodał, że kiedyś mieszkał w tej wieży, dawno temu, kiedy był starym człowiekiem.

Nie czekałam do rana. Obudziłam Chellię, a ona, po wysłuchaniu mojej relacji, zbudziła Olpeya. Chłopiec był wściekły i wysyczał, że już nigdy nie zaufa Petrusowi i że wieża jest jego sekretem, wszystkie skarby należą do niego i z nikim się nimi nie podzieli. Noc była jeszcze ciemna, gdy Olpey uciekł, nie wiadomo dokąd, pobiegłszy wzdłuż jednego z konarów

stanowiących teraz popularne ścieżki dla dzieci.

Kiedy poprzez osłonę gałęzi przedarło się pierwsze światło poranka, zabrałam Chellię i ruszyliśmy przez las za Petrusem do jego kopca-wieży. Retyo i Tremartin poszli z nami, a mały Carlmin nie chciał zostać z córkami Chellii. Gdy ujrzałam ten kwadratowy kopiec wyrastający z bagna, opuściła mnie odwaga. Nie chciałam jednak, żeby Retyo uznał mnie za tchórza, więc wzięłam się w garść.

Szczyt wieży był grubo porośnięty mchem i pnączami, ale miał zbyt regularny kształt, by wtopić się w dżunglę. Po jednej stronie chłopcy odgarnęli pnącza i mchy, odkrywając otwór w kamiennej ścianie. Retyo zapalił pochodnię, którą zabrał ze sobą, po czym, jedno za drugim, ostrożnie weszliśmy do środka. Pędy roślinności i korzenie dostały się już do wnętrza. Na brudnej podłodze pozostały zabłocone ślady chłopięcych stóp. Podejrzewam, że badali to miejsce znacznie dłużej, niż Petrus gotów był przyznać. Jeden z narożników pomieszczenia zajmowała rama łoża z wiszącymi resztkami tkaniny. Myszy i owady zmieniły draperie w opadające łachmany.

Mimo półmroku i rozkładu w pomieszczeniu pozostały jakieś echa wspaniałości. Wzięłam w dłoń garść zbutwiałych zasłon i przetarłam nimi fryz, wzbijając tuman kurzu. Zdumienie stłumiło mi kaszel w gardle. Moja artystyczna dusza poszybowała w górę w obliczu finezyjnych kształtów i wyrafinowanych kolorów odsłoniętej przeze mnie ceramiki. Serce matki zamarło jednak na widok tego, co się ukazało. Postacie były wysokie i smukłe, przypominające patyczaki. Nie sądzę jednak, by była to kwestia manieri artysty. Niektóre

trzymały coś na kształt instrumentów muzycznych lub broni. Nie mogliśmy tego rozstrzygnąć. W tle robotnicy kładli pokotem trzciny jak chłopci koszący pole. Kobieta na wspaniałym złotym tronie pilnowała ich i wydawała się zadowolona z tego, co widzi. Jej twarz była sroga, a zarazem dobra; odniosłam wrażenie, jakbym już wcześniej ją widziała. Patrzyłabym dłużej, ale Chellia chciała szukać swego syna.

Z surowością w głosie, jakiej naprawdę nie czułam, nakazałam Petrusowi pokazać, gdzie się bawili. Zbladł, widząc, że odgadłam prawdę, ale nas poprowadził. Wyszliśmy z sypialni krótkimi, prowadzącymi w dół schodkami. Na podeście były dwa grubo oszklone okna, ale gdy Retyo zbliżył do jednego z nich pochodnię, oświetlił długie białe robaki wijące się w mokrej ziemi za szybą. Nie wiem, jakim cudem szyby wytrzymały jej napór. Weszliśmy do obszernej komnaty. Pod naszymi stopami dywany rozpadały się na mokre nici. Minęliśmy kilkoro drzwi, niektóre zamknięte, inne zaś, o łukowatych nadprożach, ziejące ciemnymi otworami, ale Petrus prowadził nas dalej. Dotarliśmy w końcu do szczytu schodów, dużo większych niż poprzednie. Gdy schodziliśmy w dół tej otwartej klatki schodowej, byłam wdzięczna, że Retyo jest przy mnie. Jego spokój wzmacniał moją nadwątloną odwagę. Chłód starożytnych kamieni przenikał przez moje znoszone pantofle i pełził w górę nóg i kręgosłupa, jakby chciał dosięgnąć serca. Pochodnia oświetlała niewiele więcej oprócz naszych zalęknionych twarzy, a nasze szepty ginęły w mroku, budząc upiorne echa. Minęliśmy jeden podest, potem drugi, a Petrus nic nie mówił, prowadząc nas pewnie w dół schodów. Czułam się tak, jakbym zstępowała przez gardło do brzucha jakiejś

ogromnej bestii.

Kiedy wreszcie dotarliśmy na dół, nasza samotna pochodnia nie mogła przeniknąć otaczającego nas mroku. Ruch powietrza w znacznie większej sali chwiał płomieniem pochodni. Nawet w tym mroku wiedziałam, że ta przestrzeń wielokroć przerasta ogromem salę balową w pałacu Satrapy. Powoli posuwałam się po omacku naprzód, aż zniemacka Carlmin ruszył bez lęku przed siebie i znalazł się poza zasięgiem mojej ręki i światła pochodni. Zawołałam go, ale usłyszałam tylko szybki odgłos jego kroków w ciemnościach.

— Och, biegnij za nim! – poprosiłam Retya.

Gdy jednak ten tylko się ruszył, komnatę wokół nas wypełniło światło, jakby tłum duchów nagle zapalił latarnie. Krzyknęłam przestraszona, a potem oniemiałam.

W centrum sali wspinał się na tylnych łapach wielki zielony smok. Szpony łap zagłębiały się w kamieniu, a wijący się ogon sięgał daleko, do połowy komnaty. Szmaragdowe skrzydła były szeroko rozpostarte i podtrzymywały w górze sklepienie. Na końcu wygiętej szyi widniała głowa wielkości wozu. Srebrne oczy błyszczały inteligencją. Krótsze przednie łapy trzymały pałąk wielkiego kosza. Sam kosz był misternie zdobiony kokardami z nefrytu i wstęgami z kości słoniowej. Wewnątrz kosza siedziała, lekko podparta w odchylonej pozie, kobieta emanująca nadnaturalnym autorytetem. Nie była piękna; władza, którą uosabiała jej postać, czyniła urodę nieistotną. Nie była też młoda ani pociągająca. Była kobietą w średnim wieku; z oddanych przez rzeźbiarza rysów jej twarzy, zmarszczonych brwi i zmarszczek w kącikach oczu biły mądrość i głębokie zamyślenie.

Nad brwiami i na szczytach kości policzkowych osadzono drogie kamienie, które miały imitować smoczą łuskę. To dzieło nie przypominało pozbawionych wyrazu posągów kobiecej natury Sa. Wiedziałam bez cienia wątpliwości, że ta statua została wykonana dla uczczenia rzeczywistej kobiety, i przejęło mnie to do głębi. Giętka szyja smoka była ugięta, a jego głowa zwracała się ku twarzy osoby, którą niósł; mimo gadziego wyglądu wyrażała głęboki szacunek.

Nigdy nie widziałam takiego przedstawienia kobiety. Słyszałam dawne cudzoziemskie opowieści o Nierządnych Królowych i innych władczyniach, ale zawsze zdawało mi się, że były to uwodzicielskie i złe kobiety z jakiegoś barbarzyńskiego, zacofanego kraju. Ona stanowiła dowód, że tamte legendy kłamały. Przez chwilę widziałam tylko ją. Potem powrócił rozsądek, a wraz z nim moje poczucie obowiązku.

Mały Carlmin, szczerząc ząbki w szerokim uśmiechu, stał w pewnej odległości od nas, opierając się ręką o przytwierdzoną do kolumny tablicę. Ciało jego wyglądało jak lód w nadnaturalnym świetle. Jego drobna sylwetka ukazała we właściwej perspektywie całą komnatę, a ja dopiero teraz dostrzegłam to, co przesłonił mi widok kobiety i smoka.

Światło opływało blade gwiazdy i latające smoki na stropie komnaty. Pełzało jak pnącza po ścianach i ujmowało w ramy cztery odległe przejścia i ciemniejące za nimi korytarze. Wyszłe fontanny i rzeźby przełamywały ogrom pokrytej pyłem posadzki. Był to wielki plac zamknięty we wnętrzu, plac dla ludzi, którzy mogli się na nim zbierać, naradzać albo po prostu leniwie spacerować pomiędzy statuami i fontannami. Po smukłych

kolumnach wił się roślinny ornament o liściach z nefrytu i kwiatach z karneolu. Rzeźba skaczącej ryby przeczyła suchości basenu pod spodem. Tu i ówdzie widać było w komnacie sterty zrujnowanych drewnianych konstrukcji, resztki jakichś scen czy pawiloników. A jednak żaden brud i żadne ruiny nie zdołały przyćmić niezwyklego piękna tego miejsca. Skala i wdzięk tej sali zaparły mi dech w piersiach i wprawiły w zachwyt oraz lęk zarazem. Lud, który stworzył coś takiego, nie mógł tak łatwo wyginąć. Jaki los stał się udziałem tych istot, których magia potrafiła rozświetlać to pomieszczenie długie lata po ich odejściu? Czy niebezpieczeństwo, które ich zniszczyło, groziło również nam? Na czym polegało? Dokąd odeszli?

Czy rzeczywiście odeszli?

Podobnie jak w komnacie piętro wyżej, wyglądało na to, że po prostu wyjechali, pozostawiając wszystkie swoje dobra. Ślady zabłoconych stóp chłopców na posadzce zdradzały, że także tutaj byli już wcześniej. Większość prowadziła do jednych drzwi.

— Nie sądziłem, że to miejsce jest takie ogromne. — Onieśmielony głos Petrusa wydawał się ginąć w tej przestrzeni, gdy patrzył na smoka i jego panią. Powoli się obrócił, patrząc na strop. — Musieliśmy korzystać tutaj z pochodni. Jak to oświetliłeś, Carlminie? — spytał zbity z tropu wiedzą młodszego brata.

Carlmin nie odpowiedział. Dreptał po rozległej komnacie jakby w poszukiwaniu jakiejś rozrywki.

— Carlmin! — zawołałam, a mój głos obudził echa setek duchów. Gdy się rozglądałam, Carlmin zniknął w jednym z łukowych przejść. Zapłonęło ciemnym, niepewnym światłem. Pobiełam za nim, a inni podążyli moim śladem. Już gdy

przebyłam plac, zabrakło mi tchu, ale pobiegłam za Carlminem dusznym korytarzem.

Gdy wbiegłam za nim do jakiejś ciemnej komnaty, wokół rozbłysło światło. Mój syn siedział u szczytu długiego stołu wśród gości odzianych w egzotyczne szaty. Wokół rozbrzmiewały śmiechy i muzyka. Mrugnęłam i po obu stronach stołu stały już tylko puste krzesła. Cała uczta skurczyła się do kilku płam w kryształowych kielichach i półmiskach, ale muzyka dobiegała skądś dalej, stłumiona i odległa. Znałam to z moich snów.

Carlmin uniósł w górę kielich i odezwał się głucho:

— Za moją panią!

Uśmiechnął się serdecznie, gdy jego dziecięce spojrzenie napotkało niewidzialne oczy. Gdy zaczął unosić kielich do ust, złapałam go za przegub i wytrąciłam mu kryształ z ręki. Upadł i rozprysnął się w pyle posadzki.

Carlmin spojrzał na mnie takimi oczyma, jakby mnie nie poznawał. Mimo że ostatnio bardzo urósł, pochwyciłam go w ramiona i przytuliłam do siebie. Drżąc, oparł głowę na moim ramieniu i zamknął oczy. Muzyka cichła, a wreszcie zamilkła. Retyo wziął Carlmina ode mnie i rzekł stanowczo:

— Nie powinniśmy byli pozwolić chłopcu tu przyjść. Im prędzej opuścimy to miejsce z jego gasnącą magią, tym lepiej. – Rozejrzał się wokół niepewnie. – Targają mną myśli, które nie są moje, i słyszę głosy. Czuję, że byłem tu już kiedyś, choć wiem, że nie byłem. Powinniśmy pozostawić to miasto duchom, które je nawiedzają. – Najwyraźniej czuł się zawstydzony, że przyznał się do lęku, ale ja poczułam ulgę, kiedy usłyszałam, że przynajmniej jedno z nas powiedziało to głośno.

Potem Chellia zaczęła krzyczeć, że nie możemy zostawić tu Olpeya na pastwę nie wiadomo jakiej magii, która już zawładnęła Carlminem. Wybacz mi, Sa, ale myślałam tylko o tym, żeby złapać moje własne dzieci i uciekać. Jednak Retyo, niosąc i pochodnię, i mego syna, prowadził nas. Jego przyjaciel Tremartin połamał krzesło, uderzając nim o kamienną posadzkę, i wziął w rękę jedną jego nogę jako pałkę. Nikt nie pytał, na co jego zdaniem przyda mu się pałka przeciwko usidlającej nas obcej pamięci. Petrus wysunął się naprzód, aby objąć przewodnictwo. Kiedy spojrzałam wstecz, światła komnaty zamigotały i zgasły.

Poszliśmy korytarzem, a potem po kolejnych schodach prowadzących do mniejszego przedsionka, przez który wcześniej weszliśmy. Posągi w niszach stały wzdłuż ścian z ogarkami niedopalonych świec przed sobą. Wiele z nich przedstawiało kobiety, ukoronowane i wystrojone jak królowe. Ich rzeźbione suknie błyszcząły, wysadzone maleńkimi klejnotami, a włosy zdobiły perły.

Nienaturalne światło miało błękitne zabarwienie i było drżące, jakby cofało się przed grozą otaczających je głębokich ciemności. W dziwny sposób wywoływało u mnie senność. Najpierw pomyślałam, że dobiegł mnie szept, a gdy przeszłam przez drzwi, posłyszałam oddalone głosy dwóch śpiewających kobiet. Zadrżałam z lęku, ale Retyo obejrzał się, jakby on również je usłyszał. Żadne z nas się nie odezwało. Szliśmy dalej. Niektóre przejścia rozbłyskiwały światłem, gdy tylko wchodziliśmy. Inne uparcie pozostawały ciemne i sprawiały, że niepewny płomień naszej pochodni wydawał się kłamstwem. Nie wiem, co bardziej

mnie zniechęcało.

W końcu znaleźliśmy Olpeya. Siedział w małym pomieszczeniu na wystawnie rzeźbionym fotelu przed męską toaletką. Pozłota odpadła z drewna i przyprószyła wszystko wokół. Wpatrywał się w lustro poczerniałe ze starości; ciemne plamy pokrywały jego powierzchnię. Stolik przed nim zaśmiecały grzebienie w perłowych oprawach i uchwyt szczotki do włosów. Mała kasetka była otwarta, a na piersiach Olpeya wisiały liczne naszyjniki. Jego głowa opadła na jedną stronę, ale oczy były otwarte i w coś wpatrzone. Mamrotał do siebie. Gdy podeszliśmy bliżej, sięgnął po buteleczkę z perfumami i wykonał gest skrapiania się dawno wyschłym pachnidłem, kręcąc głową na boki przed mętnym lustrzanym odbiciem. Jego ruchy były wielkopańskimi ruchami wymuskanego zarozumialca.

— Przestań! – wrzasnęła w przestrachu jego matka.

Nie drgnął nawet i niemal poczułam, że jesteśmy dla niego tylko duchami. Pochwyciła go i potrząsnęła. Ocknął się wówczas, ale był przerażony. Krzyknął, gdy ją rozpoznał, rozejrzał się wokół dzikim wzrokiem i zemdłał.

— Och, pomóżcie mi go stąd wydostać – błagała nieszczęsna Chellia.

Tremartin zarzucił sobie rękę Olpeya na ramiona i niemal go ciągnął, gdy stamtąd umykaliśmy. Światła gasły, gdy opuszczaliśmy kolejne pomieszczenia, jakby podążająca naszym tropem ciemność była tylko krok za nami. Czasami muzyka rozbrzmiewała głośno wokół nas, by chwilę potem milknąć, gdy uciekaliśmy. Kiedy w końcu wyleźliśmy przez okno na powietrze, bagno wydało się nam zdrowym miejscem, pełnym światła i

świeżości. Byłam w szoku, stwierdziwszy, że spędziliśmy tam na dole większość dnia.

Carlmin na świeżym powietrzu prędko doszedł do siebie. Tremartin przemówił ostro do Olpeya i potrząsnął nim, na co ów odzyskał zmysły. Gniewnie wyrwał się Tremartinowi i nie chciał z nami sensownie rozmawiać. Na przemian ponury lub bezczelny, nie chciał wyjaśnić, dlaczego uciekł do miasta i co tam robił. Wypierał się, że zemdłał. Był wściekły na Petrusa i nie pozwalał nikomu tknąć wysadzanych klejnotami naszyjników, które miał na szyi. Połyskiwały wielobarwnym światłem szlachetnych kamieni, ale wolałabym już raczej założyć sobie węża na szyję, niż przymierzyć któryś z nich.

— Są moje! – krzyczał. – Moja ukochana dała mi je dawno temu. Nikt ich mi teraz nie odbierze!

Trzeba było całej matczynej cierpliwości Chellii, żeby przekonać Olpeya do powrotu. Włókł się w tyle nadąsany. Gdy dotarliśmy do granic naszej osady, wątle światło dnia niemal zanikło i owady zaczęły nas kąsać niemiłosiernie.

Platformy wysoko nad nami huczały gwarem podekscytowanych głosów jak niespokojny ul. Weszliśmy po drabinach, a ja byłam tak wycieńczona, że myślałam już tylko o domu i śnie. Jednakże gdy weszliśmy na platformę, powitały nas podekscytowane okrzyki. Powrócili nasi zwiadowcy. Na widok mojego męża, wychudłego, obdartego i brodatego, ale żywego, serce zabiło mi mocniej. Mały Carlmin stał nieruchomo, patrząc na niego tak, jakby był kimś obcym, ale Petrus rzucił się naprzód, by go powitać. Retyo zaś z powagą skinął mi głową na pożegnanie i wmieszał się w tłum.

Jathan nie od razu rozpoznał syna. Kiedy to nastąpiło, przeniósł spojrzenie wyżej, na tłum, i zaczął się rozglądać. Gdy dwukrotnie ominął mnie spojrzeniem, wystąpiłam krok do przodu, trzymając Carlmina za rękę. Myślę, że rozpoznał mnie bardziej po wyrazie twarzy niż po wyglądzie. Podszedł do mnie wolno i powiedział:

— Czy to naprawdę ty, Carillion? Miłosierny Sa, miej nas w swojej opiece.

Zrozumiałam przez to, że moja aparycja mu się nie spodobała. I nie wiem też, dlaczego tak mnie to zabolowało ani dlaczego tak bardzo poczułam się zażenowana, gdy wziął mnie za rękę, ale nie przytulił do siebie. Mały Carlmin stał obok mnie, patrząc obojętnie na ojca.

Teraz jednak przestanę się nad sobą uzalać i podsumuję ich raport ze zwiadu. Znajdowali tylko kolejne moczary. Dzika Rzeka Deszczowa jest głównym ciekim wodnym rozległego dorzecza, w którym liczne strumyki przez ogromną dolinę torują sobie drogę ku morzu. Woda płynie nie tylko na powierzchni, ale też pod nią. Nie znaleźli twardego gruntu, tylko same bagna, mokradła i trzęsawiska. Od chwili, gdy nas opuścili, nie zobaczyli czystej linii horyzontu. Z dwunastu ludzi, którzy wyruszyli w drogę, powróciło siedmiu. Jeden utonął w grzęzawisku, jeden zniknął w nocy, a pozostałych trzech zabrała gorączka. Ethe, mąż Chellii, nie wrócił.

Nie potrafili ocenić, jak daleko się zapuścili. Gęste korony drzew niweczyły wszelkie wysiłki kierowania się gwiazdami i w rezultacie zatoczyli chyba wielkie koło, bo ponownie znaleźli się nad brzegiem rzeki.

W drodze powrotnej do nas natknęli się na resztę tych, którzy byli na pokładzie trzeciego statku. Ci zatrzymali się w dole rzeki znacznie poniżej miejsca, w którym nas porzucono. Ich kapitan zrezygnował z kontynuowania misji, kiedy zobaczył przepływający obok wrak statku. Był znacznie bardziej miłośnierny od naszego, bo wysadził ich na ląd razem z ładunkiem i dał nawet jedną z szalup. Ich żywot nie stał się jednak przez to łatwiejszy i wielu zapragnęło powrotu. Na szczęście okazało się, że pozostały im cztery pocztowe ptaki. Jeden został wysłany zaraz po wylądowaniu na brzegu. Drugi wyleciał po miesiącu z wiadomością o ich niedoli.

Nasi zwiadowcy zniweczyli wszystkie ich nadzieje. Postanowili zrezygnować z prób założenia osady. Siedmiu młodych mężczyzn wyruszyło w drogę razem z naszymi zwiadowcami, żeby dopomóc nam w ewakuacji. Kiedy połączymy się z ich grupą, zostanie wysłany do Jamailli kolejny ptak z prośbą o przysłanie statku ratunkowego, a my podążymy wzdłuż rzeki do morskiego wybrzeża w nadziei na pomoc.

Gdy Chellia, Retyo i ja wróciliśmy do osady, nasza kolonia gorzko przepowiadała, że żaden statek po nas nie przypłynie. Mimo to jednak wszyscy się pakowali, gotowi ruszyć w drogę. W tym właśnie momencie pojawiła się Chellia ze swoim przystrojonym klejnotami synem. Gdy próbowała wszystko opowiedzieć tłumowi, który był zbyt wielki, by ją posłyszeć, pod naszym bokiem wybuchł harmider. Niektórzy mężczyźni, pomimo zapadającego zmroku, chcieli natychmiast ruszać do zakopanej wieży. Inni koniecznie chcieli przyjrzeć się bliżej drogocennym klejnotom, a gdy Olpey zabronił komukolwiek ich

dotykać, zrobił się wokół niego ścisk. Chłopiec wyrwał się i zeskoczywszy z krawędzi platformy, zaczął przeskakiwać z konaru na konar jak mała, aż jego sylwetka zniknęła w ciemnościach. Modłę się o jego bezpieczeństwo tej nocy, ale obawiam się, że ogarnęło go szaleństwo.

Naszycy ludzi opętało co innego. Kulę się w swojej kryjówce, tuląc do siebie obu synów. Na zewnątrz, na platformach, pośród nocy słyhać krzyki. Słyszę kobiety, które błagają, by opuścić już to miejsce, oraz mężczyzn mówiących tak, tak, zrobimy to, ale najpierw zobaczymy, jakie bogactwa są w zakopanym mieście. Mówią ze śmiechem, że pocztowy ptak z klejnotem przywiązany do nogi znacznie prędzej ściągnie dla nas pomoc. Oczy im błyszczą, a głosy brzmią donośnie.

Męża przy mnie nie ma. Pomimo długiego rozstania bardziej woli tkwić w gorączce tej dyskusji, niż przebywać ze swoją żoną i synami. Czy nie zauważył, że moja ciąża się rozwiązała, a moje ramiona są puste? Chyba nie.

Nie wiem, dokąd poszły Chellia z córkami. Kiedy się dowiedziała, że Ethe nie żyje, załamała się. Mąż umarł, a Olpey zaginął, a może i gorzej. Boję się o nią i przeżywam jej żalobę. Myślałam, że powrót zwiadowców przepełni mnie radością. Teraz nie wiem, co czuję. Wiem jednak, że nie jest to ani radość, ani nawet ulga.

7 lub 8 dzień miesiąca złota
14 rok Satrapy Esklepiusa

W ciemnościach nocy przyszedł do mnie, a ja, pomimo bólu serca i dwóch śpiących obok synów, dałam mu to, czego szukał.

Jakaś część mnie tęskniła do czułości; część natomiast szydziła z tego, bo przyszedł do mnie dopiero wtedy, gdy już załatwił inne, ważniejsze sprawy. Mówił mało i po ciemku znalazł zaspokojenie. Czy mogę go za to potępiać? Wiem, że zostały ze mnie skóra i kości, cera stała się szorstka, a włosy suche jak słoma. Wysypka, która najpierw dokuczała dzieciom, teraz pnie się jak wąż w górę mojego kręgosłupa. Bałam się, że jej dotknie, głównie dlatego, że dotyk taki przypomniałby o tym zwłaszcza mnie samej, ale nie dotknął. Nie tracił czasu na pieszczoty. Nad jego ramieniem wpatrywałam się w ciemność i nie myślałam o swoim mężu, ale o Retyu, zwykłym marynarzu, który mówi z akcentem z nadmorskich wybrzeży.

Kim się tutaj stałam?

Popołudnie

Tak więc znowu jestem żoną lorda Jathana Carrocka, który może kierować moim życiem. To on zdecydował o naszym losie. Gdy zniknął Olpey, a Retya i Tremartina nie można znaleźć, Jathan oznajmił, że ma pierwszeństwo do wszystkich znalezionych skarbów, bo to jego syn odkrył miasto. Petrus poprowadzi jego i innych mężczyzn do zakopanej wieży. Przeszukają ją systematycznie w poszukiwaniu skarbów, które kupią nam prawo powrotu do łask Satrapy. Z dumą głosi, że to Petrus odkrył wieżę i przez to Carrockom należy się większa część przy podziale skarbów. Nie przeszkadza mu, że wciąż nie ma Olpeya, a Chellia z córkami umiera ze zmartwienia. Mówi tylko o tym, jak skarb zapewni nam chwalebny powrót do społeczeństwa. Zdaje się zapominać o setkach mil bagien i morza dzielących nas od Jamaillii.

Powiedziałam mu, że zakopane miasto jest niebezpiecznym miejscem i nie powinien się tam zapuszczać, myśląc tylko o łupach. Ostrzegłam go przed jego chorobliwą magią, przed światłem, które samo się zapala i gaśnie, przed głosami i dźwiękami muzyki słyszanyymi z daleka, ale on z pogardą uznał to za „rojenia wyczerpanej kobiety”. Powiedział, żebym unikała niebezpieczeństw, została w moim „małym gniazdku” i czekała na jego powrót. Wtedy powiedziałam mu jasno, jak się sprawy mają. Nasza kolonia nie ma dość zapasów żywności ani sił na drogę do morza. Jeśli nie przygotujemy się lepiej, wymrzemy po drodze, ze skarbami czy bez nich. Uważam, że powinniśmy poczekać tutaj, aż przyplynie po nas statek albo przygotujemy się lepiej. Nie możemy dopuścić do porażki. Moglibyśmy wiele osiągnąć, gdybyśmy skierowali wszystkich mężczyzn do zbierania pożywienia i gdybyśmy wymyślili skuteczny sposób gromadzenia wody deszczowej. Nasze nadrzewne miasto mogłoby być pięknym, pełnym uroku miejscem. Pokręcił na to głową, jakbym była dzieckiem bajdurzącym o skrzatach żyjących w kwietnych altankach.

— Wciąż zatopiona w swojej sztuce – powiedział. – Nawet głodna i w łachmanach nie potrafisz dostrzec rzeczywistości.

Potem dodał, że podziwia to, jak dawałam sobie radę pod jego nieobecność, ale teraz on już wrócił i zajmie się rodziną.

Miałam ochotę splunąć mu w twarz.

Petrus nie chce poprowadzić mężczyzn. Jest przekonany, że wieża zabrała Olpeya i że nigdy go już nie zobaczymy. Mówi o podziemiach z głębokim strachem. Carlmin natomiast powiedział, że nigdy nie był w zakopanym mieście, po czym

usiadł i zaczął ssać kciuk, czego nie robił od czasu, gdy skończył dwa lata.

Gdy Petrus próbował ostrzec Jathana, ten się zaśmiał i stwierdził:

— Jestem już innym mężczyzną, nie tym delikatnym arystokratą, który opuścił Jamailię. Nie martwią mnie strasydła waszej głupiutkiej mamusi.

Kiedy odpowiedziałam ostro, że ja również stałam się inną kobietą od tej, którą zostawił samą w tej dziczy, odparł na to z hamowanym gniewem, że widzi to wyraźnie i ma tylko nadzieję na to, że powrót do cywilizacji przypomni mi o właściwym zachowaniu. Potem kazał Petrusowi zaprowadzić ich do ruin.

Żadna ilość skarbów nie mogłaby mnie przekonać do powrotu tam, nawet gdyby na posadzkach rozrzucono brylanty, a sznury pereł zwisały ze stropów. Nie wymyśliłam sobie tego niebezpieczeństwa i nienawidziłam Jathana za to, że z powrotem wciąga w nie Petrusa.

Spędzę dzień z Marthi. Jej mąż wrócił bezpiecznie tylko po to, by ją zostawić i wyruszyć na poszukiwanie skarbów. Marthi, inaczej niż ja, jest zachwycona jego planem i powtarza, że to pozwoli im powrócić do społeczeństwa i dawnego bogactwa. Trudno mi słuchać tych bredni.

— Moje dziecko będzie dorastać w błogosławnym mieście Sa – twierdzi.

Jest chuda jak sznurek, a jej brzuch wygląda jak zawiązany na nim supeł.

8 lub 9 dzień miesiąca złota

14 rok Satrapy Esklepiusa

Zabawna data. Nie będzie tu miesiąca złocistych plonów, a i Satrapa nic już dla mnie nie znaczy.

Wczoraj Petrus pokazał im okno w wieży, ale uciekł, gdy mężczyźni tam weszli, choć ojciec krzyczał w gniewie, żeby wracał. Przyszedł do mnie blady i roztrzęsiony. Powiedział, że śpiew z wieży był tak głośny, że nie słyszał własnych myśli. Niekiedy, w korytarzach z czarnego kamienia, dostrzegał dziwnych ludzi. Opowiadał, że pojawiali się i znikali jak migotliwe światło. Uciszyłam go, bo jego słowa niepokoiły Marthi. Mimo planów Jathana spędziłam ten dzień na przygotowaniach do zimy. Położyłam drugą warstwę pokrycia na obu naszych wiszących domkach, używając do tego wielkich liści powiązanych pnączami. Myślę, że nasze budowle, zwłaszcza mniejsze wiszące pawiloniki i małe pomosty, które łączą je z wielkimi platformami, będą wymagały wzmocnienia, które pozwoli im oprzeć się zimowym wiatrom i deszczom. Marthi niewiele mogła mi pomóc. Z powodu ciąży jest niezgrabna i powolna, ale prawdziwym problemem jest to, że wierzy w nasz rychły powrót do Jamaillii. Większość kobiet już tylko czeka na opuszczenie tego miejsca.

Kilku poszukiwaczy skarbów powróciło ubiegłej nocy z wieściami o rozległym zakopanym mieście. Bardzo się różni od Jamaillii, wszystko jest tam połączone jak w labiryncie. Być może niektóre jego części były od początku pod ziemią, bo w najniższych komnatach nie ma okien ani drzwi. Wyższe kondygnacje budynków były prywatnymi mieszkaniami, na niższych znajdowały się chyba sklepy, magazyny i pomieszczenia

handlowe. Część miasta od strony rzeki się zapadła. W niektórych komnatach panuje wilgoć i ich wyposażenie zbutwiało, inne jednak oparły się czasowi, a znajdujące się w nich rzeczy i tkaniny przetrwały. Ci, którzy wrócili, przynieśli ze sobą krzesła, dywany i biżuterię, a także rzeźby i narzędzia. Jeden z mężczyzn miał pelerynę, która wraz z poruszeniami mieniła się jak płynąca woda, miękka i delikatna. W jednym ze sklepów odkryli amfory z winem, wciąż zapieczętowane i nietknięte. Wino ma złocisty kolor i jest tak mocne, że ci, którzy go spróbowali, byli od razu pijani. Wrócili ze śmiechem, pełni animuszu, zachęcając nas wszystkich, byśmy udali się do miasta i świętowali winem bogactwo, jakie odnaleźliśmy. W ich oczach był jakiś dziki błysk, który mi się nie spodobał.

Inni wrócili wystraszeni i skuleni, nie chcąc rozmawiać o tym, czego doświadczyli. Ci zaczęli natychmiast robić plany wyruszenia już nazajutrz o świcie, pomaszerowania wzdłuż rzeki i odnalezienia czekającej tam grupy.

Jathan nie wrócił.

Ci owładnięci obsesją plądrowania rozmawiali głośno, pili stare wino i snuli szalone marzenia. Już zaczęli gromadzić skarby. Dwaj z nich pobili się o jakąś wazę. Dokąd zaprowadzi nas chciwość? Czuję się samotna z tymi posępnymi myślami.

Miasto nie jest podbitym terytorium pozostawionym do splądrowania, przypomina raczej opuszczoną świątynię i powinno się je traktować z szacunkiem należnym każdemu nieznanemu bogu. Czyż nie jest tak, że rozmaici bogowie są tylko różnymi przejawami obecności Sa? Ale słowa te przyszły mi na myśl zbyt późno, bym mogła je wypowiedzieć. Nie zostałabym

wysłuchana. Mam jakieś straszliwe przeczucie, że ta orgia rabunku będzie miała złe skutki.

Dzisiaj wczesnym rankiem nasza nadrzewna osada była niemal zupełnie opustoszała. Nasi ludzie w większości ulegli gorączce skarbów i zeszli pod ziemię. Pozostali tylko kalecy i kobiety z małymi dziećmi. Rozglądam się wokoło i czuję bezbrzeżny smutek, bo widzę śmierć moich marzeń. Czy powinnam być bardziej wymowna, bardziej dramatyczna i poetycka niż dotąd? Nie. Stwierdzam po prostu, że jestem głęboko rozczarowana. I zaszokowana tym uczuciem.

Trudno mi zmierzyć się z tym, co opłakuję. I waham się, czy przelać to na papier, bo moje słowa na nim pozostaną i później będą dla mnie oskarżeniem. Jednakże sztuka jest przede wszystkim uczciwością, a ja jestem artystką bardziej niż żoną, matką czy nawet kobietą. Będę więc pisać. I nie chodzi tylko o to, że pojawił się mężczyzna, którego wolę od swego męża. Nie dbam o to, że Retyo jest zwykłym marynarzem, o siedem lat młodszym ode mnie, bez wykształcenia i rekomendacji wynikającej z rodowodu krwi. Moje oczy i serce zwraca ku niemu nie to, czym on jest, ale kim jest. Jeszcze dzisiejszej nocy zaprosiłabym go do mego łóża, gdybym nie narażała przez to przyszłości moich synów. Piszę to wyraźnie. Czy mam się wstydzić tego, że cenię jego względy bardziej niż względy mego męża, skoro mój mąż wyraźnie pokazał, że od miłości żony ważniejsze są dla niego względy innych mężczyzn z naszej osady?

Nie. Powrót mego męża, odkrycie skarbów w zakopanym mieście oraz rozmowy o powrocie do Jamailii zamieniają dziś

moje serce w popiół, bo obracają wniwecz życie, które tu zbudowałam. Czuję żal. Trudno mi się z tym pogodzić. Kiedy nastąpiła we mnie taka zmiana? To życie jest trudne i ciężkie. Piękno tej krainy jest pięknem wygrzewającego się na słońcu węża. Kuszącym, ale groźnym. Cieszy mnie, że potrafię nad nim zapanować, bo mam dla niego głęboki respekt. Bezwiednie zaczęłam odczuwać dumę ze swoich umiejętności przetrwania i z tego, że oswoiłam maleńką część tej dziczy. I z tego, że pokazałam innym, jak to zrobić. Dokonałam tu wielu znaczących rzeczy.

A teraz mam je utracić. Znowu staję się żoną lorda Jathana Carrocka. Moja ostrożność będzie nazywana kobiecą strachliwością, a moja ambicja zbudowania pięknej osady wśród drzew traktowana będzie z pogardą jako głupie kobiece rojenia.

Może będzie miał rację. Wiem, że ma rację. Ale w jakiś sposób nie dbam już o to, co słuszne i rozsądne. Zostawiłam za sobą życie, w którym tworzyłam imponującą sztukę dla ludzi. Teraz moją sztuką jest to, w jaki sposób żyję, i codziennie podtrzymuje mnie to na duchu.

Nie sądzę, bym zdołała to porzucić. Prawdę mówiąc, byłoby to dla mnie więcej, niż mogłabym znieść. I dla czegoż to? Dla powrotu do świata, w którym nie znaczyłabym więcej niż zabawny ptaszek w ślicznej klatce.

Marthi była ze mną dzisiaj, gdy Chellia przyszła prosić Petrusa, aby pomógł jej odnaleźć Olpeya. Petrus nie chciał nawet na nią spojrzeć. Chellia zaczęła błagać, a Petrus zakrył dłońmi uszy. Naprzykrzała mu się tak długo, aż zaczął płakać, czym wystraszył Carlmina. Chellia zaczęła wykrzykiwać jak szalona,

oskarżając Petrusa, że nie dba o swego przyjaciela, a obchodzą go tylko bogactwa z zakopanego miasta. Podniosła rękę, jakby chciała go uderzyć, a wtedy ja rzuciłam się ku niej i popchnęłam ją. Upadła, a jej córki podniosły ją i odciągnęły na bok, błagając tylko: „Chodź do domu, mamó, chodź do domu”. Kiedy się odwróciłam, Marthi uciekła.

Dziś w nocy siedzę samotnie na konarze powyżej mego domku, a chłopcy śpią wewnątrz. Jest mi wstyd. Ale moi synowie są wszystkim, co mam. Czy można mnie potępiać za to, że ich chronię przed niebezpieczeństwem? Jaki byłby z tego pożytek, gdybym poświęciła swoich synów, żeby ratować jej syna? Mogłybyśmy tylko stracić ich wszystkich.

5 dzień miasta

1 rok Deszczowych Ostępów

Obawiam się, że przeszliśmy przez wszystkie te ciężkie próby i udręki tylko po to, by zginąć wskutek własnej chciwości. Wczorajszej nocy trzech mężczyzn umarło w mieście. Nikt nie potrafił powiedzieć, jak to się stało. Przynieśli z powrotem ich ciała, na których nie było żadnych śladów. Niektórzy mówili, że to z powodu utraty zmysłów, inni obwiniali złą magię. W obliczu tych przerażających zdarzeń siedemnastu ludzi skrzyknęło się i pożegnało z nami. Daliśmy im liny, plecione maty i cokolwiek jeszcze zdołaliśmy zgromadzić. Gdy wyruszali, życzyliśmy im dobrej drogi. Mam nadzieję, że uda im się bezpiecznie dotrzeć do drugiej osady i że ktoś kiedyś dowie się w Jamailii, co nas tu spotkało. Marthi błagała, żeby po dotarciu do tamtej grupy poczekał dzień czy dwa przed wyruszeniem ku morzu, bo jej

mąż z pewnością wróci po nią lada dzień i będą mogli się z nimi połączyć.

Od powrotu mego męża nie widziałam Retya. Nie sądziłam, żeby wyruszył na poszukiwanie skarbów, ale najwyraźniej musiało tak być. Przyzwyczaiałam się do życia bez Jathana. Niczego nie oczekuję od Retya, ale z nich obu jego brakuje mi bardziej.

Znowu odwiedziłam Marthi. Zrobiła się jeszcze bledsza, a teraz też ma wysypkę. Jej skóra jest sucha jak skóra jaszczurki. Bardzo doskwiera jej ociążałość. Z ogromnym przejęciem opowiada o wielkich skarbach, jakie znalazł jej mąż, i o tym, jak będzie pysznić się swoim bogactwem przed tymi, którzy nas wygnali. Fantazjuje na temat tego, jak to z chwilą, gdy dotrze do Jamaillii pocztowy ptak z wiadomością, Satrapa wyśle po nas natychmiast szybki statek, który nas zabierze, a jej dziecko urodzi się w Jamaillii, bezpiecznie i w dostatku. Jej mąż wrócił na krótko z miasta, by przynieść jej mały koszyczek biżuterii. Ozdobiła swoje matowe włosy powiązanymi klejnotami, a połyskujące bransolety pobrzękują na jej wychudłych nadgarstkach. Unikam jej, nie chcąc wytykać, że oszalała. Oczywiście tak naprawdę nie jest szalona, tylko żywi nadzieje, które nie mogą się spełnić. Nienawidzę tego bogactwa, którego nie możemy zjeść ani wypić, bo wszyscy się na nim skupili i dobrowolnie skazują się na zaturę, próbując gromadzić wciąż więcej i więcej.

Nasza uszczuplona kolonia podzieliła się teraz na stronnictwa. Mężczyźni utworzyli grupy, dzieląc miasto na przypisane im terytoria. Wybuchają też kłótnie przy stertach odłożonych

skarbów, bo padają wzajemne oskarżenia o kradzież. Mężczyźni zawiązują sojusze, w których część pilnuje skarbów, podczas gdy inni plądrują miasto w poszukiwaniu kolejnych bogactw. Dochodzi do tego, że uzbrojeni w noże i pałki wystawiają warty w tych korytarzach, które uznali za swoje. Jednakże miasto jest labiryntem, w którym wiele dróg się krzyżuje. Podczas rabunku mężczyźni cały czas ze sobą walczą.

Ja z moimi synami zostaję tu, na platformie, w towarzystwie inwalidów, starców, dzieci i ciężarnych kobiet. Tworzymy nasze własne przymierza, bo gdy mężczyźni są pochłonięci wzajemnym okradaniem, wszyscy zapominają o zbieraniu pożywienia. Łucznicy, którzy polowali, zdobywając dla nas mięso, teraz polują na skarby. Mężczyźni, którzy przedtem zastawiali sidła na bagienne króliki, teraz zastawiają pułapki na siebie nawzajem. Jathan wrócił do naszej chaty, zjadł wszystkie zgromadzone zapasy, po czym znowu wyszedł. Na mój gniew odpowiedział śmiechem i oznajmił, że martwię się o nasiona i korzonki, podczas gdy tam czekają na zebranie kamienie szlachetne i monety. Byłam zadowolona, że w końcu poszedł z powrotem do miasta. Niech to miasto go pożre! Wszelkie pożywienie, jakie teraz znajduję, niezwłocznie podaję chłopcom albo zjadam sama. Gdy tylko wymyślę jakiś dobry schowek, zacznę je tam składać.

Petrus, któremu zakazałam chodzić do miasta, podjął swoje zwykłe obowiązki zbieracza pożywienia i dobrze się sprawdza. Dziś wrócił z trzcina, jaką uprawiali chłopcy na oglądanych przez nas w mieście mozaikach. Powiedział, że mieszkańcy miasta nie uprawialiby jej, gdyby nie widzieli dla niej żadnego

zastosowania, a my musimy je odkryć. Wzburzyły mnie jego słowa, gdy powiedział, że dobrze pamięta, że na tę porę roku przypadają zbiory tej trzciny. Odparłam, że nie może pamiętać nic takiego, a on potrząsnął głową i oznajmił, że to „wspomnienia z miasta”.

Mam nadzieję, że wpływ tego dziwnego miejsca osłabnie z czasem.

Wysypka na skórze Carlmina wygląda coraz gorzej, obejmując już policzki i brwi. Robię mu okłady w nadziei, że przyniosą jakąś ulgę. Mój młodszy syn prawie się do mnie dziś nie odzywa i boję się, że wiem, co zaprzęta jego myśli.

Moje życie stało się tylko czekaniem. W każdej chwili mój mąż może wrócić z miasta i obwieścić, że nadszedł czas wyruszenia w drogę w dół rzeki. Wszystko, co teraz buduję, nie ma żadnej przyszłości, skoro wiem, że niebawem będę zmuszona to porzucić.

Olpeya nie odnaleziono. Petrus czuje się winny. Chellia niemal odchodzi od zmysłów z rozpaczy. Obserwuję ją z daleka, bo już nie odzywa się do mnie. Wychodzi na spotkanie każdego mężczyzny wracającego z miasta, pytając o swego syna. Większość z nich reaguje na to obojętnością; niektórzy się złością. Wiem, czego się obawia, bo sama się tego boję. Myślę, że Olpey wrócił do miasta. Czuł się właścicielem swoich skarbów, ale zapewne nikt nie zwracał uwagi na jego roszczenia, zwłaszcza że nie ma ojca i pochodzi z gminu. Czy możliwe, że go zabili? Wiele bym dała, żeby zdjąć z siebie to poczucie winy za los Olpeya. Cóż jednak mogę zrobić? Nic. Dlaczego więc czuję się tak źle? Jaki byłby pożytek, gdybym zaryzykowała życie Petrusa,

podejmując następną wyprawę do miasta? Czy nie dość tej jednej tragedii zaginionego chłopca?

8 dzień miasta

1 rok Deszczowych Ostępów

Jathan przyszedł dziś w południe. Przytaszczył ze sobą kosz skarbów, rzeczy wysadzane drogimi kamieniami, dziwne ozdoby, małe narzędzia z nieznanego metalu oraz torebkę plecioną z metalowych ogniwek, wypełnioną nieznanymi złotymi monetami. Twarz miał brzydtko posiniaczoną. Nieoczekiwanie stwierdził, że ma dość plądrowania miasta i zamierza dogonić innych, którzy już wyruszyli. Obwieścił, że miasto nie ma nam już nic dobrego do zaoferowania i że mądrzej będzie umknąć z tym, co przyniósł, niż walczyć o więcej i umrzeć tutaj.

Nie jadł od czasu ostatniej wizyty u nas. Zrobiłam mu mocną herbatę z kory i papkę z narośli korzenia lilii, po czym zachęciłam, by opowiedział, co się dzieje w podziemiach. Początkowo mówił tylko o naszych ludziach i o tym, co tam robią. Z goryczą oskarżał ich o zdradę i oszustwa. Wywiązała się krwawa walka o skarby. Podejrzewam, że Jathan umknął z tym, co zdołał unieść. Są jednak gorsze wieści. Całe partie miasta się zawaliły. Wyważono zamknięte drzwi i dokonano tego z katastrofalnym skutkiem. Niektóre z nich nie były zamknięte na klucz, tylko przygnięcione ciężarem ziemi znajdującej się za nimi. Teraz sączy się zza nich mokre błoto, stopniowo zalewając korytarze. Pewnymi korytarzami prawie nie da się już przejść, ale mężczyźni ignorują niebezpieczeństwo, próbując wydobyć tyle skarbów, ile się da, zanim zostaną pogrzebane na zawsze.

Napływające błoto zdaje się osłabiać starożytną magię miasta. Wiele komnat ogarnia mrok. Światła błyskają krótko, po czym gasną. Muzyka odzywa się głośno, by po chwili cichnąć do ledwie słyszalnego szeptu.

Kiedy spytałam, czy to go wystraszyło, gniewnie odparł, żebym zamilkła i okazywała mu szacunek. Z drwiną odniósł się do mojej sugestii, że uciekł. Powiedział, że oczywistą rzeczą jest to, że prastare miasto wkrótce się zawali pod naporem bagna, a on nie ma ochoty tam umierać. Nie wydaje mi się, żeby to było wszystko, ale jestem zadowolona, że okazał się wystarczająco inteligentny, by opuścić to miejsce. Prosił, żebym przygotowała dzieci do drogi i zabrała tyle żywności, ile zdołam.

Niechętnie zaczęłam robić to, co kazał. Petrus z ulgą rzucił się do naszych skromnych pakunków. Carlmin siedział spokojnie, zdrapując maść pokrywającą jego wysypkę. Pospiesznie znowu go posmarowałam. Nie chciałam, żeby Jathan dostrzegł na skórze swego syna łuskę o miedzianej barwie. Wcześniej próbowałam ją poluzować i zrywać, ale gdy to robiłam, ciało pod nią krwawiło. Wygląda to tak, jakby wyrastały mu rybie łuski. Próbuję nie myśleć o podobnej wysypce biegnącej wzdłuż mego kręgosłupa. Piszę ten fragment w pośpiechu, a potem zawinę starannie tę małą książeczkę i dorzucę ją do kosza, który będę nieść. Jeszcze parę cennych uwag chcę w niej zapisać.

Bardzo niechętnie zostawiam to wszystko, co tu zbudowałam, ale nie mogę ignorować wyrazu ulgi, który pojawił się w oczach Petrusa, gdy jego ojciec obwieścił, że ruszamy w drogę. Chciałabym, żebyśmy nigdy nie weszli do tego miasta. Ale gdybyśmy tu zostali, to zapewne nawet to nawiedzone miejsce

moglibyśmy z czasem uczynić swoim domem. Boję się tej podróży, ale nic nie mogę na to poradzić. Być może kiedy stąd odejdziemy, Carlmin znowu zacznie mówić.

Później

Napiszę to w pośpiechu, a potem zabiorę tę książeczkę ze sobą do miasta. Jeśli ktoś kiedyś znajdzie moje ciało, być może zabierze ją z powrotem do Jamailli i przekaze moim rodzicom wiadomość o tym, co się stało z Carillion Waljin i gdzie zakończyła swoje dni. Najpewniej jednak i ta książka, i ja zostaniemy pogrzebane na wieki w błocie wypełniającym ukryte miasto.

Właśnie ukończyłam pakowanie, gdy przyszła do mnie Chellia z Tremartinem. Mężczyzna był wycieńczony, a jego ubranie pokryte było błotem. Znalazł w końcu Olpeya, ale ten najwyraźniej postradał zmysły. Zabarykadował się za zamkniętymi drzwiami i nie zamierza stamtąd wyjść. Retyo z Tremartinem przez cały ten czas szukali go w mieście. Retyo został przed drzwiami, żeby sprawdzać napływ błota wypełniającego korytarz. Tremartin nie wiedział, jak długo tam wytrzyma. Retyo uznał, że tylko Petrus potrafi przekonać Olpeya do otwarcia drzwi. Tremartin z Chellią przybiegli, by błagać nas o tę przysługę.

Nie mogłam już dłużej ignorować rozpacz przyjaciółki i poczułam wstyd, że trwało to tak długo. Zaproponowałam Jathanowi, że moglibyśmy pójść prosto do miejsca, gdzie jest chłopiec, przekonać go do wyjścia, po czym razem stąd odejść. Próbowałam nawet go przekonywać, że taka większa grupa lepiej poradzi sobie w Deszczowych Ostępach, niż gdybyśmy

poszli sami, tylko z naszymi synami.

Nawet nie poprosił mnie na bok ani nie zniżył głosu, gdy zapytał, dlaczegoż to miałby ryzykować życie swojego syna i spadkobiercy dla ratowania dziecka praczki, którego nawet nie zatrudnilibyśmy w roli służącego po powrocie do Jamaillii. Zgromił mnie za dopuszczenie do tego, by Petrus przywiązał się do takiego prostaka, a potem głośno oświadczył, że jestem w wielkim błędzie, jeśli uważam go za głupca, który nie wie nic o Retyu. Powiedział jeszcze do mnie wiele złych rzeczy, że jestem ladaczną, skoro zaprosiłam do naszego lordowskiego łóżka człowieka z gminu i zdradliwie wspierałam zwykłego marynarza, gdy ten rościł sobie prawo do przewodzenia naszej kolonii.

Nie będę tu powtarzać wszystkich jego haniebnych oskarżeń. Po prawdzie to nie wiem, dlaczego ma jeszcze nade mną taką władzę, że potrafi doprowadzić mnie do płaczu. Na koniec sprzeciwiłam mu się. Gdy oświadczył, że albo pójdę za nim teraz, albo wcale, odpowiedziałam:

— Wcale. Zostanę tu i pomogę mojej przyjaciółce, bo nie dbam o to, jaką wykonuje pracę. Tutaj jest moją przyjaciółką.

Ta decyzja kosztowała mnie wiele. Jathan zabrał ze sobą Petrusa. Widziałam, że mój starszy syn czuje się rozdarty, ale jednak pragnie odejść stąd razem z ojcem. Nie mam do niego żalu. Jathan zostawił Carlmina, rzucając na odchodnym, że mój brak rozsądku uczynił zeń głupka i dziwaka. Carlmin zdrapał maść z twarzy, odsłaniając łuski zarastające teraz jego kości policzkowe i brwi. Nawet nie mrugnął w odpowiedzi na słowa swego ojca. Ucałowałam Petrusa na pożegnanie i obiecałam, że

podążę za nimi tak prędko, jak tylko się da. Mam nadzieję, że zdołam dotrzymać tej obietnicy. Jathan i Petrus zabrali ze sobą tyle rzeczy z naszego dobytku, ile zdołali unieść. Kiedy ruszę za nimi z Carlminem, niewiele będziemy mieli zapasów na drogę, zanim zdążymy ich dogonić.

A teraz owijam tę małą książeczkę i wsuwam ją do małego podróżnego koszyka, który mi zostawili, razem z piórem, kałamarzem, pasami tkaniny do owijania pochodni oraz narzędziami do krzesania ognia. Kto wie, kiedy znów coś napiszę. Moi rodzice, jeśli to czytacie, wiedzcie, że zanim umarłam, kochałam was bardzo.

Chyba 9 dzień miasta

1 rok Deszczowych Ostepów

Jak szaleńczo i melodramatycznie wygląda teraz mój ostatni zapis.

Piszę prędko, aby zdążyć przed zmrokiem. Moi przyjaciele czekają na mnie cierpliwie, choć Chellia uważa, że moje upieranie się przy pisaniu przed wyruszeniem w drogę jest niemądre.

Mniej niż dziesięć dni minęło od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłam to miasto, ale w tym czasie postarzało się ono o całe lata. Gdy weszliśmy, kierunek wytyczony przez wiele zabłoconych stóp był oczywisty, a wszędzie widać było ślady grabieży pozostawione przez poszukiwaczy skarbów. Jak rozzłoszczeni chłopcy niszczyli na swej drodze wszystko, czego nie mogli zabrać, zrywając płytki mozaik, krusząc nogi zbyt dużych posągów i używając pięknych starych mebli jako drewna

na ogień. I choć miasto wciąż mnie przeraża, to nie mogę pogodzić się z widokiem tego rabunku i spustoszenia. Długie lata broniło się przed naporem błota, by w kilka dni paść łupem naszej chciwości.

Jego magia słabnie. Światło oświetla już tylko małe fragmenty komnaty. Smoki na sklepieniu przygasły. Wielka rzeźba kobiety na smoku nosi ślady przypadkowych uderzeń młota. Nefryt i kość słoniowa na koszyku kobiety pozostały poza zasięgiem łowców skarbów. Reszta sali nie przetrwała w tak dobrym stanie. Fontanna z rybą posłużyła komuś jako wielki pojemnik na stertę jego skarbów. Na szczycie tego stosu stał mężczyzna uzbrojony w pałkę i nóż, wykrzykując do nas, że zabije każdego złodzieja, który się zbliży. Wyglądał tak dziko, że uwierzyliśmy mu na słowo. Wstyd mi było za niego. Gdy przebiegaliśmy, rozglądałam się szybko na boki. W sali płonęły ogniska, a przy każdym leżał stos przedmiotów pilnowany przez jednego strażnika. Z oddali dobiegały głosy, a czasem ostrzegawcze krzyki i uderzenia młotów. Kątem oka zauważyłam czterech mężczyzn wchodzących po schodach z workami łupów.

Tremartin odpalił jedną z naszych pochodni od porzuconego ogniska. Wyszliśmy z komnaty tym samym przejściem, co poprzednim razem. Carlmin, niemy od samego rana, zaczął nagle mrużyć jakąś dziwną melodię, która zjeżyła mi włosy na karku. Prowadziłam go, a córki Chellii szły naszym śladem w półmroku, popłakując i trzymając się za ręce.

Minęliśmy wyważone drzwi jakiejś komnaty. Wyciekała z niej gęsta błotnista woda. Zajrzałam do środka; szerokie pęknięcie na przeciwległej ścianie pozwoliło błotowi wypełnić już połowę

pomieszczenia. A jednak ktoś tam wszedł i szukał skarbów. Zapleśniałe malowidła zostały oderwane od ściany i płótno zwisało luźno, zanurzone we wzbierającym błocie. Przyspieszyliśmy kroku.

Na skrzyżowaniu korytarzy ujrzeliśmy wolno napływającą błotną falę, a z daleka dało się słyszeć głębokie skrzypienie, jakby grube belki powoli ustępowały pod naporem. A jednak na tym skrzyżowaniu stał strażnik, ostrzegając nas, że wszystko za nim należy do niego i jego przyjaciół. Jego oczy błyszczały jak u dzikiego zwierzęcia. Zapewniliśmy go, że tylko szukamy zaginionego chłopca, i pobiegliśmy dalej. Zza pleców mężczyzny dobiegł huk młotów, wyraźnie świadczący o tym, że jego przyjaciele właśnie wyważają następne drzwi.

— Powinniśmy się pospieszyć – powiedział Tremartin. – Kto wie, co się ukaże za kolejnymi drzwiami, które wyłamią. Nie spoczna, dopóki nie wpuszczą tu rzeki. Zostawiłem Retya przed drzwiami, za którymi siedzi Olpey. Baliśmy się, że inni tu przyjdą i pomyślą, że Retyo strzeże skarbów.

— Po prostu chcę odzyskać mojego chłopca. Wtedy chętnie opuszczę to miejsce – powiedziała Chellia.

Na to wciąż mamy nadzieję.

Niewiele już napiszę o tym, co widzieliśmy, bo światło słabnie. Widzieliśmy mężczyzn taszczących skarby, których nigdy nie zdołaliby przenieść przez moczary. Zostaliśmy zaatakowani przez kobietę o dzikim spojrzeniu, która krzyczała: „Złodzieje, złodzieje!”. Odepchnęłam ją i uciekliśmy stamtąd. Biegając, znów napotkaliśmy najpierw wilgoć, potem sączącą się wodę, a wreszcie ciągnące się błoto. Mlaskało pod stopami, gdy

przechodziliśmy przez małą garderobę, w której ostatnim razem znaleźliśmy Olpeya. Komnata była teraz ruiną, piękną toaletkę porąbano na kawałki. Tremartin poprowadził nas bocznym korytarzem, którego wcześniej nie zauważyłam, a potem w dół po wąskich schodach. Poczułam zapach stojącej wody. Kiedy schodziliśmy po kolejnych, krótszych schodach do szerokiego holu, starałam się nie myśleć o nieustannie napierającej z zewnątrz mokrej ziemi. Drzwi, które teraz mijaliśmy, były zrobione z metalu. Niektóre nosiły ślady młotów, ale najwyraźniej oparły się oblężeniu poszukiwaczy skarbów.

Minąwszy kolejne skrzyżowanie korytarzy, posłyszeliśmy odległy trzask jakby błyskawicy, a potem głosy mężczyzn krzyczących w przestrachu. Nienaturalne strumienie światła zatańczyły na ścianach, a potem zgasły. Chwilę później jacyś mężczyźni przebiegli w pędzie obok nas, zmierzając w stronę, z której przyszliśmy. Za nimi płynęła zwalnająca powoli w miarę rozlewania się na boki fala wody, która zmoczyła nas do kostek. Za nią postępowało głębokie, złowieszcze dudnienie.

— Szybko! – rozkazał Tremartin, a my ruszyliśmy za nim, choć, jak sądzę, wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że brniemy coraz głębiej w niebezpieczeństwo, zamiast się od niego oddalać.

Skręciliśmy jeszcze dwa razy. Kamienne ściany raptem się zmieniły. Ogromne szare kamienne bloki ustąpiły miejsca gładkim czarnym kamieniom poprzecinanym tu i ówdzie srebrnymi żyłkami. Zeszliśmy po niskich stopniach długich schodów i nagle znaleźliśmy się w szerszym korytarzu o wyższym stropie, tak jakbyśmy przeszli z części dla służby do części dla uprzywilejowanych. Nisze w ścianach zostały

obrabowane z posągów. Pośliznęłam się na mokrej posadzce. Kiedy dotknęłam dłonią ściany, żeby się oprzeć, zobaczyłam nagle rojący się wokół nas tłum postaci. Dziwnie wyglądały. Był to dzień targowy, pełen światła, gwaru rozmów i smakowitego zapachu pieczywa. Wokół tętniło życie miasta. W następnej chwili Tremartin złapał mnie za ramię i odciągnął od ściany.

— Nie dotykajcie czarnego kamienia – ostrzegł. – On wyśle was do świata duchów. Chodźcie. Za mną.

W pewnej odległości przed nami zauważyłam jaśniejsze światło żarzącego się ognia rzucającego przytłumiony, migotliwy poblask.

Światło pochodziło z pochodni Retya. Cały był wysmarowany i brudny. Nawet gdy już nas dostrzegł, próbował odgarniać błoto sprzed drzwi surową deską. Wodnista maź wciąż napływała z holu; nawet tuzin ludzi nie miałby wielkich szans w walce z nią. Jeżeli Olpey nie otworzy prędko drzwi, to gdy błoto wypełni korytarz, pozostanie tam uwięziony.

Zeszłam na dół do płytkiego zagłębienia, z którego Retyo starał się odgarniać błoto. Ucałowałam go, nie bacząc na brud i na spojrzenia mojego syna i jego przyjaciela. Gdybym tylko miała czas, chętnie zrobiłabym tu na miejscu to, o co tak oskarżał mnie mój mąż. Być może w duchu jestem już niewierną żoną. Nie dbam o to. Dochowałam wierności przyjacielom.

Nasz uścisk trwał krótko. Nie pozostało nam wiele czasu. Nawoływaliśmy Olpeya przez zamknięte drzwi, ale on milczał aż do chwili, gdy usłyszał płacz swoich siostrzyczek. Wówczas gniewnym głosem kazał nam odejść. Jego matka błagała go, by wyszedł stamtąd, powtarzając, że miasto jest stracone i wkrótce

je zaleje napływające błoto. On zaś powtarzał, że należy do tego miejsca, że zawsze żył tutaj i tutaj umrze. A przez cały ten czas, gdy my krzyczeliśmy i błagaliśmy Olpeya, Retyo zawzięcie odgarniał sprzed progu napierające błoto. Gdy nasze błagania okazały się bezowocne, Retyo i Tremartin zaatakowali drzwi, ale solidne drewno nie ustąpiło pod uderzeniami butów i pięści, a narzędzi żadnych nie mieliśmy. Tremartin wyszeptał, że teraz musimy odejść. Gdy to mówił, płakał. Błota napływało więcej, niż obaj mężczyźni zdołaliby odgarnąć, a my mieliśmy troje innych dzieci, o które trzeba było się zatroszczyć.

Podniesiony w proteście aż do krzyku głos Chellii utonął w ogłuszającym huku dobiegającym z tyłu. Coś wielkiego ustąpiło pod naporem. Strumień błota podwoił się i napływał teraz z dwóch kierunków. Tremartin wzniósł pochodnię. Korytarz z obu stron tonął w mroku.

— Otwórz drzwi, Olpeyu! – błagałam. – Bo wszyscy utoniemy w błocie. Wpuść nas, w imię Sa!

Nie sądzę, żeby zważał na mój głos. To raczej głos Carlmina, rozkazujący i donośny, w języku, którego nie znałam, zmusił go do reakcji. Usłyszeliśmy zgrzyt zasuw, a potem drzwi uchyliły się ze skrzypieniem na zewnątrz, przegarniając błoto. Światło zalewające komnatę oślepiło nas, gdy runęliśmy do środka. Woda i błoto próbowały podążyć za nami na bogatą mozaikową posadzkę, ale Retyo i Tremartin z trudem domknęli drzwi za nami, a Retyo musiał przy tym paść na kolana i odgarnąć błoto z progu. Błotnista woda wciąż jednak ciekła spod zamkniętych drzwi.

Komnata była najlepiej zachowana ze wszystkich, które

oglądałam. Byliśmy olśnieni jej bogactwem i osobliwością w połączeniu ze złudzeniem bezpieczeństwa. Na półkach z połyskującego drewna stały wspaniałe wazony i małe kamienne posążki, a ich misterne rzeźbienia i srebrne ozdoby poczerniały ze starości. Małe kręte schodki prowadziły w górę i znikwały gdzieś wysoko w mroku. Krawędź każdego stopnia świeciła własnym światłem. Zawartość tylko tej jednej komnaty wystarczyłaby całej naszej kolonii do wykupienia się z powrotem w łaski Satrapy, tak piękne i dziwne zarazem były te przedmioty. Olpey schylił się, by zwinąć dywan zagrożony zamoczeniem przez błotnistą wodę. Był giętki w jego rękach, a w miejscach, gdzie opadł z niego kurz, zabłysnął żywymi kolorami. Przez parę chwil nie mówiliśmy nic. Gdy Olpey się podniósł i stanął przed nami, wydałam stłumiony okrzyk. Miał na sobie szatę, przez którą przy poruszeniach przebiegały barwne fale. Nad czołem upiął sznur połączonych ze sobą metalowych krążków, które zdawały się świecić własnym światłem. Chellia nie ośmieliła się go ucałować. Mrugał jak przebudzony ze snu, a Chellia nieśmiało zapytała, czy ją poznaje.

Dopiero po dłuższej chwili odpowiedział:

— Śniłem kiedyś o tobie. – Potem rozejrzał się po komnacie i dodał zakłopotany: – Albo może znowu wkroczyłem w jakiś sen. Tak trudno to odróżnić.

— Za dużo dotykał czarnej ściany – burknął Tremartin. – Ona budzi duchy i odbiera rozum. Dwa dni temu widziałem takiego jednego. Siedział pod tą ścianą, oparłszy o nią głowę, uśmiechał się i gadał z ludźmi, których tam nie było.

Retyo potwierdził to ponurym skinieniem głowy.

— Nawet bez dotykania ściany potrzeba wielkiej siły woli, aby trzymać te duchy na dystans po jakimś czasie przebywania w ciemnościach tu na dole. – Potem dorzucił z wahaniem: – Może być już za późno, by ściągnąć Olpeya z powrotem. Ale możemy próbować. Wszyscy musimy trzymać w ryzach nasze umysły, głównie przez rozmawianie ze sobą. I musimy jak najszybciej zabrać stąd tych malców.

Zrozumiałam, co ma na myśli. Olpey podszedł do małego stolika stojącego w rogu. Czekał tam pusty srebrny dzbanek obok małego srebrnego kubeczka. W milczeniu patrzyliśmy, jak nalał sobie odrobinę niczego z dzbanka do pucharka, a potem szybko pociągnął z niego łyk. Otarł usta wierzchem dłoni i zrobił taką minę, jakby właśnie napił się zbyt mocnego trunku.

— Jeżeli mamy stąd wyjść, to musimy iść teraz – rzucił Retyo.

Nie musiał dodawać: „zanim będzie za późno”. Wszyscy myśleliśmy o tym samym.

Ale rzeczywiście już było za późno. Spod drzwi stale sączyła się woda, a kiedy mężczyźni spróbowali je otworzyć, nie zdołali ich ruszyć. Nawet gdy wszyscy naparliśmy na nie ramionami, drzwi ani drgnęły. A potem światła zaczęły złowieszczo migotać.

Teraz nacisk błota na drzwi narasta i drewno zaczyna trzeszczeć. Muszę być zwięzła. Schody prowadzą w górę w absolutną ciemność, a pochodnie, które zrobiliśmy ze znalezionych w komnacie rzeczy, nie będą płonąć długo. Olpey wpadł w stan otępienia, a Carlmin nie wygląda dużo lepiej. Odpowiada nam tylko zdawkowymi pomrukami. Mężczyźni wyprowadzą chłopców, a Chellia poprowadzi córki. Ja poniosę nasz zapas pochodni. Pójdziemy tak daleko, jak zdołamy, z

nadzieją, że uda nam się znaleźć inną drogę do komnaty z kobietą i smokiem.

Dzień – nie wiem

1 rok Deszczowych Ostępów

Tak zaczynam tę relację, bo nie mamy pojęcia, ile czasu upłynęło. Zdaje mi się, że mogą to być lata. Dygocę, ale nie jestem pewna, czy z zimna, czy od prób pozostania osobą, jaką jestem. Jaką byłam. Mój umysł rozplywa się od wszystkich tych różnic. Jeśli jednak relacja ta ma przynieść jakikolwiek pożytek dla innych, muszę narzucić sobie dyscyplinę i uporządkować myśli.

Gdy weszliśmy po schodach, resztki świateł w komnacie zgasły. Tremartin dzielnie trzymał wzniesioną pochodnię, ale w ogarniającej nas ciemności oświetlała ona zaledwie jego twarz i ramiona. Nigdy nie doświadczyłam tak absolutnego mroku. Tremartin trzymał Olpeya za przegub i ciągnął za sobą. Za nim szedł Retyo, niosąc Carlmina, a potem Chellia prowadząca swoje dwie córeczki. Ja szłam na samym końcu, obarczona pochodniami zrobionymi z połamanych mebli i podartych zasłon z komnaty. To właśnie doprowadziło do furii Olpeya. Rzucił się na Retya i nie przestawał go atakować do chwili, gdy ten wymierzył mu otwartą dłońią siarczysty policzek. Oszłomiło to chłopca i przejęło zgrozą jego matkę i siostry, ale odtąd był bardziej uległy.

Schody zaprowadziły nas do pomieszczeń służby. Niewątpliwie uprzywilejowany wielmoża z pokoju na dole potrzasał dzwonkiem, a wówczas służący przybiegali, by spełnić jego życzenia. Zanim Tremartin pociągnął nas dalej, zdążyłam

zauważyć drewniane wanny i stół do pracy. Było stamtąd tylko jedno wyjście. Korytarz za nim tonął w ciemności po obu stronach.

Odgłos żarzącej się pochodni wydawał się niemal głośny; jedynym dźwiękiem poza nim było kapanie wody. Bałam się tej ciszy. Gdzieś na jej skraju czaiły się upiorne głosy i muzyka.

— Płomień pali się równo – zauważyła Chellia. – Nie ma przeciągów.

Nie pomyślałam o tym, ale miała rację.

— Wszystko wskazuje na to, że między nami a wyjściem na zewnątrz są jakieś drzwi. – Sama wątpiłam w sens tego, co powiedziałam. – Musimy je znaleźć i otworzyć.

— Którędy pójdziemy? – zapytał nas wszystkich Tremartin.

Już dawno straciłam tu orientację, więc zachowałam milczenie.

— Tędy – odpowiedziała Chellia. – Myślę, że tak powrócimy tam, skąd przyszliśmy. Może zobaczymy coś znajomego, co rozpoznamy, a może znów zapali się światło.

Nie miałam żadnych lepszych pomysłów do zaoferowania. Oni szli przodem, ja w ślad za nimi. Każde z nich miało kogoś, kogo mogło się trzymać, aby bronić się przed duchami tego miasta. Ja natomiast ścisnęłam tylko wiązkę pochodni. Przyjaciele byli cieniami pomiędzy mną a światłem łuczywa na przedzie. Gdy patrzyłam wyżej, światło mnie oślepiało. Opuściwszy głowę, widziałam upiorny taniec cieni pod swoimi stopami. Nasze ochryple oddechy, odgłos powłóczenia nogami po mokrej kamiennej posadzce i trzask płomienia pochodni były jedynymi dźwiękami, jakie z początku do mnie docierały. Dopiero potem

zaczęły dobiegać moich uszu inne odgłosy, albo przynajmniej miałam złudzenie, że je słyszę: nierówny plusk wody, a jeden raz odległy odgłos przesuwania czegoś, co ustępowało pod naciskiem.

I muzyka. Była to muzyka słaba, rozcieńczona jak rozwodniony atrament, przytłumiona przez grube kamienie i czas, ale jednak dochodziła do mnie. Byłam zdecydowana iść za radą mężczyzn i ignorować to. Aby zachować tok moich własnych myśli, zaczęłam nucić starą kołysankę z Jamailii. Dopiero gdy Chellia syknęła do mnie: „Carillion!”, uświadomiłam sobie, że moje mruczenie harmonizowało z pieśnią dobiegającą z kamieni. Stałam, zagryzając wargi.

— Podaj mi następną pochodnię. Lepiej zapalmy nową, zanim ta zgaśnie zupełnie.

Gdy Tremartin to powiedział, dotarło do mnie, że powtarza to już drugi raz. Oszołomiona wystąpiłam do przodu i wyciągnęłam przed siebie naręcze pochodni. Pierwsze dwie, które wybrał, w ogóle nie chciały się palić. Nie wiem, z czego były zrobione te tkaniny, którymi je owinęliśmy, ale nie zajęły się ogniem. Trzecia pochodnia zrobiona była z poduszki ciasno owiniętej wokół nóżki stolika. Płonęła, dymiąc straszliwie i wydzielając okropny swąd. Nie mogliśmy jednak wybrzydzać, więc wysoko trzymając zwęglające się szybko drewno i płonącą na nim poduszkę, posuwaliśmy się wolno naprzód. Drewno pochodni paliło się już blisko palców Tremartina, a do oświetlenia drogi pozostał nam tylko żar tłęcej się poduszki. Ciemność napierała coraz bliżej, a swąd przyprawiał mnie o ból głowy. Wlokłam się powoli, wspominając, jak bardzo się męczyłam, kiedy obtartymi palcami

wypychałam tę poduszkę zwiniętym włosiem i włóknem trzciniowym, aby była bardziej sprężysta i trwała.

Retyo potrząsnął mną mocno, a potem Carlmin padł mi w ramiona, pochlipując.

— Może powinnaś ponieść go trochę – powiedział do mnie marynarz, bez cienia skargi zbierając z posadzki zapasowe pochodnie, które upuściłam.

Reszta naszej grupki była tylko cieniami w mroku, z majaczącą przed nami czerwoną plamką żaru. Przed chwilą zatrzymałam się w miejscu. Nie wiem, co by się stało, gdyby Retyo nie zauważył mojej nieobecności. Wciąż jeszcze czułam się tak, jakbym była dwiema osobami.

— Dziękuję – powiedziałam zawstydzona.

— W porządku. Po prostu bądź blisko – odparł.

Szliśmy dalej. Dokuczliwy ciężar Carlmina w moich ramionach zmuszał mnie do koncentracji. Po jakimś czasie postawiłam go na ziemi i kazałam iść obok siebie, lecz myślę, że było to dla niego lepsze. Po tym, jak raz wpadłam w pułapkę duchów, byłam bardziej czujna. Jednakże jakieś strzępy dziwnych snów, wizji i odległych głosów przebiegały przez moją głowę, gdy tak szłam przez ciemność z szeroko otwartymi oczyma. Wlekliśmy się bez końca. Głód i pragnienie zaczęły dawać się nam we znaki. Cieknąca woda smakowała gorzko, ale i tak ją piliśmy, choć z umiarem.

— Nienawidzę tego miasta – powiedziałam do Carlmina. Jego małe rączki były coraz zimniejsze, w miarę jak to pogrzebane miasto okradało nas z ciepła. – Jest pełne pułapek i zasadzek. Komnaty pełne błota czekają na to, żeby nas zgnieść, a duchy

próbują skraść nam rozum.

Mówiłam bardziej do siebie niż do niego. Nie oczekiwałam odpowiedzi. Ale on wtedy właśnie się odezwał:

— Nie zostało zbudowane po to, żeby stało puste i ciemne.

— Może nie, ale teraz jest takie. A duchy tych, którzy je zbudowali, próbują pozbawić nas rozumu.

Bardziej posłyszałam, niż zobaczyłam jego grymas.

— Duchy? Nie duchy. Nie złodzieje.

— Kim zatem są? – zapytałam, bardziej po to, by podtrzymać rozmowę.

Milczał przez chwilę. Wsłuchiwałam się w nasze kroki i oddechy. Potem odpowiedział:

— To nie są żadne istoty. To ich sztuka.

Sztuka wydała mi się rzeczą bezużyteczną i drugoplanową. Kiedyś uprawiałam ją dla uzasadnienia swojej egzystencji. Teraz zakrawało to na wybieg i próżniactwo, na coś, co miało zasłonić bezsens mego codziennego życia. Samo to słowo niemal mnie zawstydziło.

— Sztuka – powtórzył. Nie sprawiał wrażenia małego chłopca, gdy podjął: – Sztuka polega na tym, jak definiujemy i tłumaczymy siebie samym sobie. W tym mieście postanowiliśmy, by sztuka była codziennym życiem ludzi. Z roku na rok nasilały się trzęsienia ziemi, burze niosące piasek i popiół. Schowaliśmy się przed nimi, zamykając nasze miasta i wkopując je w ziemię. Wiedzieliśmy jednak, że przyjdzie czas, gdy nie zdołamy już zapanować nad ziemią. Niektórzy chcieli wyjechać, a my im na to pozwoliliśmy. Nikogo nie zmuszano do pozostania. W naszych miastach, kiedyś tętniących życiem, zostało nas niewielu. Ziemia

na razie się uspokoiła, drżąc tylko z lekka od czasu do czasu, jakby chciała nam przypomnieć, że życie jest tymczasowym darem i w jednej chwili może nam zostać odebrane. Wielu z nas zdecydowało jednak, że skoro żyliśmy tutaj od pokoleń, to tutaj też zginiemy. Że nasze jednostkowe życia, choć długie, zakończą się tutaj. Ale nie nasze miasta. Nie. One będą żyć dalej i przypominać o nas. Przypominać... i przywoływać nas do domu, kiedy tylko ktoś zbudzi echa, które tu zawarliśmy. Wszyscy jesteśmy tutaj, całe nasze bogactwo i cała złożoność, wszystkie nasze radości i smutki... – Jego głos raz jeszcze zamarł w cichej kontemplacji.

Poczułam chłód.

— Magia, która przywołuje z powrotem duchy.

— Nie magia. Sztuka. – Wydawał się znudzony.

Nagle odezwał się niepewnie Retyo:

— Wciąż słyszę głosy. Niech ktoś do mnie przemówi.

Położyłam dłoń na jego ramieniu.

— Ja też je słyszę. Ale to mowa z Jammailli.

Z bijącym sercem pospieszyliśmy tam. Na następnym przecięciu korytarzy skrzyliśmy w prawo i głosy stały się wyraźniejsze. Krzyknęliśmy, a oni nam odpowiedzieli. Posłyszeliśmy szybki tupot ich nóg w ciemnościach. Błogosławili naszą kopcącą czerwoną pochodnię; ich własne już się wypaliły. Grupa składała się z czterech młodych mężczyzn i dwóch kobiet z naszej kolonii. Choć przerażeni, wciąż taszczyli ze sobą naręcza łupów. Nie posiadaliśmy się z radości po ich spotkaniu, ale nasze nadzieje prędko się rozwiały, zmieniając w rozpacz. Wyjście na zewnątrz było zablokowane. Byli właśnie w wielkiej sali ze

smokiem, gdy dobiegł do nich z górnych komnat potężny huk. Potem słyszeli powolny trzask kolejno ustępujących pod naporem belek. W miarę narastania tego zgrzytliwego hałasu światła w wielkiej sali zaczęły migotać i gasnąć, a przez szerokie schody zaczęło napływać z góry wodniste błoto. Próbowali niezwłocznie przedostać się wyżej, ale w górze schodów natrafili na blokującą przejście stertę gruzu, spod której sączyła się błotna maź.

W wielkiej sali ze smokiem zgromadziło się może pięćdziesięciu ludzi, którzy cofnęli się tam po usłyszeniu złowieszczonego hałasu. Gdy światła przygasły, niektórzy wyszli z sali w jedną stronę, inni w drugą, szukając dróg ucieczki. Nawet w takim zagrożeniu ich wzajemna podejrzliwość o złodziejstwo była tak wielka, że uniemożliwiała im połączenie sił. Poczulałam do nich obrzydzenie i nie omieszkałam tego wyjawić. Ku memu zdziwieniu z zakłopotaniem zgodzili się ze mną. Potem przez jakiś czas staliśmy bez celu w ciemnościach, słuchając odgłosu dopalającej się pochodni i zastanawiając się, co począć.

Kiedy nikt inny nie zabrał głosu, zapytałam:

— Czy znacie drogę do komnaty ze smokiem? – Ze wszystkich sił starałam się, by mój głos zabrzmiał spokojnie.

Jeden z mężczyzn odparł, że tak.

— Musimy więc tam wrócić. Zebrać tylu ludzi, ilu się da, i połączyć ze sobą wszystko, co wiemy o tym labiryncie. Naszą jedyną nadzieją jest znalezienie drogi wyjścia, zanim wypalimy wszystkie pochodnie. Inaczej możemy się tu błąkać, aż pomrzemy.

Ponura cisza była jedyną odpowiedzią. Młody mężczyzna

poprowadził nas z powrotem. Mijając splądrowane komnaty, zbieraliśmy wszystko, co nadawało się do spalenia. Niebawem ci, którzy do nas dołączyli, będą musieli porzucić swoje łupy, aby móc dźwigać więcej drewna. Sądziłam, że prędzej odłączą się od nas, niż pozbędą się swoich skarbów, ale postanowili zostawić je w jednej z komnat. Napisali na drzwiach, że to ich własność, dodając groźby pod adresem ewentualnych złodziei. Pomyślałam, że to zupełne szaleństwo, bo ja byłabym gotowa oddać każdy klejnot tego miasta za możliwość ponownego ujrzienia światła dziennego. Potem ruszyliśmy dalej.

Dotarliśmy w końcu do komnaty ze smokiem. Uświadomiło nam to bardziej echo niż widok, jaki oferowała nasza gasnąca pochodnia. Małe ognisko wciąż się tam tliło, a wokół niego tłoczyła się grupka nieszczęśników. Dorzuciliśmy do ognia, aby ożywić płomień. Przyciągnęło to do nas innych, a my nawoływaliśmy wszystkich, którzy mogliby nas usłyszeć. Wkrótce wokół ognia stłoczyło się w kręgu jakieś trzydzieści ubłoconych i zmęczonych postaci. W świetle płomieni ukazały mi się wystraszone twarze, podobne do masek. Wielu z nich wciąż trzymało kurczowo naręcza łupów i spozierało podejrzliwie na pozostałych. Było to chyba jeszcze bardziej przerażające od powolnego napływu błota z klatki schodowej. Ciężkie i gęste, spełzało nieubłaganie i wiedziałam, że miejsce naszego zgromadzenia nie pozostanie długo poza jego zasięgiem.

Byliśmy żalosną zbieraniną. Niektórzy z tych ludzi byli lordami i paniami z wyższych sfer, a inni zwykłymi złodziejaskami i ladacznicami, ale tutaj nareszcie staliśmy się równi i traktowaliśmy się nawzajem zgodnie z tym, kim byliśmy:

grupą zdesperowanych ludzi, zależnych od siebie. Zebraliśmy się u stóp posągu smoka. Retyo wdrapał się na jego ogon i nakazał:

— Cicho! Słuchajcie!

Głosy przycichły. Słyszeliśmy trzask ognia, a poza tym odległe pomruki drewna i kamienia oraz kapanie wodnistej błotnej mazi. Były to przerażające odgłosy i zastanawiałam się, dlaczego kazał nam się w nie wsłuchiwać. Gdy przemówił, jakże miły był dźwięk jego ludzkiego głosu na tle groźby płynącej z pękających ścian.

— Nie mamy czasu martwić się o skarby lub kradzieże. Nasze życie jest jedyną rzeczą, którą możemy mieć nadzieję stąd wynieść, i to tylko wtedy, gdy zbierzemy razem wszystko, co wiemy. Nie traćmy więc czasu na sprawdzanie korytarzy, które prowadzą donikąd. Czy wszyscy są zgodni co do tego?

Po jego słowach zapadła cisza. Potem odezwał się brudny, brodaty mężczyzna:

— Moi wspólnicy i ja opanowaliśmy korytarze od strony zachodniego łukowego przejścia. Sprawdzaliśmy je już od kilku dni. Nie ma tam schodów prowadzących na górę, a główny korytarz jest na końcu zawalony.

Były to ponure wieści, ale Retyo nie dał nam czasu na ich rozważanie.

— Dobrze. Ktoś jeszcze?

Niektórzy poruszyli się nerwowo.

Retyo rzucił surowo:

— Wciąż myślicie o rabunku i ukrytych skarbach. Porzućcie je albo zostańcie tu z nimi. Ja chcę jedynie poznać drogę do wyjścia. Teraz. Interesują nas tylko schody prowadzące w górę. Czy ktoś

wie o jakichś?

W końcu niechętnie odezwał się jakiś mężczyzna:

— Były dwie klatki schodowe od strony wschodniego łuku. Ale... no tak, mur się tam zawalił, gdy otworzyliśmy drzwi. Nie można już do nich dojść.

Zapadła jeszcze głębsza cisza, a płomień ogniska zdawał się kurczyć.

Gdy Retyo odezwał się znowu, jego głos był niewzruszony:

— Cóż, to upraszcza sprawę. Mniej będzie do przeszukiwania. Musimy utworzyć dwie duże grupy, które będą rozdzielać się na każdym rozgałęzieniu. Każda grupa zaznaczać będzie przebytą trasę. Wchodźcie do każdej otwartej komnaty i szukajcie tylko schodów na górę, bo to dla nas jedyne wyjście. Zaznaczajcie wszystkie drogi, którymi pójdziecie, żebyście mogli do nas wrócić. – Odchrząknął i dodał: – Nie muszę was ostrzegać. Jeżeli jakieś drzwi nie będą chciały się otworzyć, zostawcie je w spokoju. Musimy teraz się umówić, że ktokolwiek znajdzie wyjście, zaryzykuje swoje życie raz jeszcze, żeby wrócić i wyprowadzić wszystkich pozostałych. Umowa z tymi, którzy idą, jest taka, że my, którzy pozostaniemy tutaj, będziemy podtrzymywać ogień, żeby ci, którzy nie znajdą wyjścia, mogli do nas powracać i podejmować kolejne próby. – Spojrzał uważnie na wszystkie zwrócone ku niemu twarze. – W tym celu wszyscy pozostawią tutaj wszelkie skarby, które znaleźliśmy. To po to, by każdego, kto znajdzie wyjście, skłonić do powrotu tutaj, gdyby nie wystarczyła chęć dotrzymania umowy.

Ja nie odważyłabym się rzucić im takiego wyzwania. Rozumiałam jednak jego zamysł. Stos spiętrzonego bogactwa da

nadzieję tym, którzy muszą tu zostać, by podtrzymywać ogień, a tym, którzy znajdą wyjście, przyda odwagi do powrotu po pozostałych. Tym, którzy nalegali, by jednak zabrać łupy ze sobą, Retyo powiedział po prostu:

— W porządku. Pamiętajcie jednak dobrze, co wybieracie. Żaden z tych, którzy tu zostaną, nie będzie zobowiązany udzielać wam żadnej pomocy. Jeżeli wrócicie i znajdziecie gasnący ogień, a wszyscy już odejdą, nie liczcie na to, że po was wrócimy.

Trzej mężczyźni odeszli na bok i zaczęli się gorączkowo naradzać. Inni ludzie, którzy wycofali się do sali ze smokiem, zostali szybko poinformowani o zawartej umowie. Ci jednak, spróbowaawszy już szukania drogi wyjścia, prędko zgodzili się na warunki. Ktoś powiedział, że być może reszta naszej kolonii przekopie się tutaj i nas uwolni. Myśl tę powitała głęboka cisza, ponieważ wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jak wiele stopni zeszliśmy w głąb, by dotrzeć do tego miejsca, i jak gruba warstwa błota i ziemi dzieli nas od świeżego powietrza na powierzchni. Nikt już więcej nie wspomniał o tym pomysle. Na koniec wszyscy postanowiliśmy trzymać się planu Retya, policzyliśmy się nawzajem i stwierdziliśmy, że jest pięćdziesięcioro dwoje wycieńczonych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Obie grupy wyruszyły. Zabrały ze sobą większość naszego drewna przerobionego na pochodnie. Zanim wyszli, odmówiliśmy wspólną modlitwę, ale wątpię, czy Sa słyszał nas tak głęboko pod ziemią i tak daleko od świętej Jamaillii. Pozostałam z synem, żeby podtrzymywać ogień. Na zmianę zapuszczaliśmy się do sąsiednich pomieszczeń, zbierając wszystko, co tylko nadawało się na opał. Poszukiwacze skarbów

spalili już większość łatwopalnych rzeczy, ale wciąż jeszcze znajdowaliśmy chociażby masywne stoły, które musieliśmy taszczyć w ośmioro, lub kawałki połamanych krzeseł czy strzępy zasłon.

Większość dzieci pozostała przy ognisku. Poza moim synem i dziećmi Chellii było ich czworo. Na zmianę opowiadaliśmy im bajki lub śpiewaliśmy piosenki, starając się trzymać ich umysły z dala od duchów, które tłoczyły się coraz bliżej naszego ogniska, w miarę jak przygasał płomień. Jak najdłużej przetrzymywaliśmy każdy kawałeczek drewna, zanim rzuciliśmy go w ogień.

Pomimo naszych wysiłków dzieci milkły i kolejno pogrążały się w snach pogrzebanego miasta. Potrząsnęłam Carlminem i uszczypnęłam go, ale nie znalazłam w sobie dość okrucieństwa, by go zbudzić. Po prawdzie duchy szarpały również mój umysł, skutkiem czego odległe rozmowy w nieznanym języku zaczęły wydawać mi się bardziej zrozumiałe od rozpaczliwego mamrotania pozostałych kobiet. Przysnęłam, potem zbudziłam się nagle, gdy dogasające ognisko przypomniało mi o moich obowiązkach.

— Może byłoby znacznie lepiej pozwolić im zaśnąć się na śmierć – powiedziała jedna z kobiet, pomagając mi wepchnąć do ognia jeden koniec ciężkiego stołu. Odetchnęła głęboko i dodała: – Może wszyscy powinniśmy podejść do czarnej ściany i oprzeć się o nią.

Pomysł był bardziej kuszący, niż byłam gotowa to przyznać sama przed sobą. Wróciła Chellia, zebrawszy z wysiłkiem nieco drewna.

— Mam wrażenie, że więcej tego drewna spalamy w pochodniach, niż zbieramy – zauważyła. – Posiedzę chwilę z dziećmi. Rozejrzyjcie się, może uda się wam znaleźć coś do spalania.

Wzięłam od niej ogryzek pochodni i poszłam szukać drewna na ogień. Gdy powróciłam z jakimiś żalonymi kawałkami, przybyła właśnie jedna z dwóch grup poszukiwawczych. Prędko wyczerpali wszystkie możliwości i zużyli swoje pochodnie, więc wrócili w nadziei, że inni mieli więcej szczęścia.

Gdy krótko po nich nadeszła druga grupa, poczułam, jak opuszcza mnie odwaga. Przeprowadzili ze sobą siedemnastu nowych, których znaleźli w labiryncie. Ta siedemnastka była „właścicielami” tej części miasta. Powiedzieli, że już parę dni temu odkryli, że wyższe piętra tej części się zawaliły. Przez te dni, kiedy buszowali w tym sektorze, wszystkie dostępne drogi rozchodziły się poziomo i w dół. Dalsze poszukiwania wymagały więcej pochodni, niż mieliśmy obecnie.

Nasze zapasy drewna na ogień się skurczyły, a w sąsiednich splądrowanych pomieszczeniach niewiele już było materiału nadającego się na pochodnie. Ponadto głód i pragnienie dały się wielu z nas mocno we znaki. Niebawem mogliśmy też doświadczyć kolejnego ciosu. Z chwilą zgaśnięcia ogniska znaleźlibyśmy się w zupełnych ciemnościach. Gdy odważyłam się o tym pomyśleć, moje serce zaczęło łomotać i zrobiło mi się słabo. Wystarczająco trudne było już zachowywanie trzeźwego umysłu przy natrętnej „sztuce” tego miasta. Wiedziałam, że w ciemnościach jej ulegnę.

Nie ja jedna zdawałam sobie z tego sprawę. Na mocy niemego

porozumienia pozwoliliśmy ogniowi przygasnąć i podtrzymywaliśmy ognisko znacznie mniejszej wielkości. Błoto spływające po schodach napełniło powietrze wilgocią i chłodem. Ludzie tulili się do siebie w poszukiwaniu ciepła i otuchy. Lękałam się chwili, gdy woda dotknie moich stóp. Zastanawiałam się, co pochłonie mnie prędzej, zupełna ciemność czy wzbierające błoto.

Nie wiem, ile czasu upłynęło do chwili, gdy powróciła do nas trzecia grupa poszukiwawcza. Znaleźli trzy klatki schodowe prowadzące w górę. Wszystkie okazały się zatarasowane i nie zdołali wydostać się na powierzchnię. Im dalej zapuszczali się swoim korytarzem, tym bardziej był zrujnowany. Wkrótce brodzili już w płytkich kałużach, a zapach ziemi stawał się coraz mocniejszy. Gdy pochodnie niemal się wypaliły, a zimna woda sięgała im prawie do kolan, zawrócili. Tremartin i Retyo należeli do tej właśnie grupy. Samolubnie się ucieszyłam, że marynarz znów jest przy moim boku, chociaż znaczyło to, że nasze nadzieje zawisły na jedynej, ostatniej już grupie poszukiwawczej.

Retyo chciał potrząsnąć Carlminem, żeby ocknął się z ośpienia, ale zapytałam:

— Po co? Żeby wpatrywał się w ciemność i wpadał w rozpacz? Niechaj śni, Retyo. Nie wydaje się, żeby miał złe sny. Jeżeli okaże się, że mogę go stąd wynieść na światło dzienne, wtedy go zbudzę i spróbuję ocucić. Do tego czasu zostawię go w spokoju.

Siedziałam otoczona ramieniem przez Retya i rozmyślałam o moim synu Petrusie oraz niegdysiejszym mężu Jathanie. No tak, zdołał jednak podjąć jedną mądrą decyzję. Mimo wszystko byłam mu wdzięczna za to, że nie pozwolił mi zaprzepaścić życia obu

naszych synów. Miałam nadzieję, że on i Petrus dotrą do brzegu morza, a potem bezpiecznie dopłyną do Jamaillii. Przynajmniej jedno z moich dzieci dorośnie.

I tak czekaliśmy, a nasza nadzieja topniała równie szybko jak zapas naszego drewna. Nasi mężczyźni zapuszczali się coraz dalej i dalej w poszukiwaniu opału. Wreszcie Retyo powiedział głośno:

— Albo wciąż szukają w nadziei znalezienia wyjścia, albo je odkryli i okazali się zbyt lękliwi, by po nas wrócić. W każdym razie nie mamy po co siedzieć tu dłużej. Chodźmy zatem tam, dokąd oni poszli, podążając śladem ich znaków. Albo znajdziemy to samo wyjście, albo umrzemy razem z nimi.

Zabraliśmy ze sobą każdy okruszek drewna. Najbardziej szaleni spośród nas próbowali jeszcze zabrać część swoich skarbów. Nikt ich nie ganił, choć wielu śmiało się gorzko na widok tej chciwej nadziei. Retyo bez słowa podniósł Carlmina; wzruszyło mnie, że mój syn tak wiele dla niego znaczy. Nie sądzę, żebym w stanie takiego wygłodzenia i osłabienia zdołała go unieść. Wiem też, że bym go nie zostawiła. Tremartin przerzucił sobie Olpeya przez ramię. Chłopak był bezwładny jak topielec. Zatopiony w sztuce, pomyślałam sobie. Zatopiony we wspomnieniach tego miasta.

Z dwóch córek Chellii przytomna była tylko Piet. Niepewnym krokiem wlokła się żałośnie u boku matki. Młodzieniec o imieniu Sterren zaproponował, że poniesie Likeę. Chellia była mu tak wdzięczna, że aż się rozpląkała.

I tak z trudem wyruszyliśmy. Nieśliśmy jedną zapaloną pochodnię na przedzie i jedną z tyłu, aby nikt się nie zgubił,

padłszy ofiarą sennych wizji miasta. Szłam w środku grupy, a ciemność zdawała się rwać i kaleczyć moje zmysły. Niewiele mogę powiedzieć o tym niemającym końca marszu. Nie odpoczywaliśmy, bo ogień pożerał nasze pochodnie w zatrważającym tempie. Ciemność, wilgoć, mamrotanie głodnych, spragnionych i wycieńczonych ludzi wokół mnie i jeszcze więcej ciemności. Nie widziałam już mijanych pomieszczeń, tylko zadymione światło, za którym podążaliśmy. Kawałek po kawałku oddawałam mój ładunek drewna ludziom z pochodniami. Gdy ostatnim razem przesunęłam się do przodu, żeby podać nowe łuczywo, zauważyłam połysk czarnych ścian poprzecinanych srebrnymi żyłkami. Były misternie ozdobione ludzkimi sylwetkami wykonanymi z jakiegoś błyszczącego metalu. Z ciekawością wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jednej z nich. Przy moim boku natychmiast pojawił się Retyo. Złapał mój przegub, zanim dotknęłam rzeźbionej postaci.

— Nie rób tego – ostrzegł. – Któregoś razu otarłem się o jedną z nich. Wskakują do twoich myśli, kiedy ich dotkniesz. Nie rób tego.

Szliśmy po znakach zostawionych przez ostatnią grupę. Zaznaczali ślepe przejścia i rysowali strzałki w miarę posuwania się naprzód, więc i my posuwaliśmy się z nadzieją. I nagle ku naszej zgrozie spotkaliśmy ich. Tulili się do siebie pośrodku korytarza. Gdy zgasły ich pochodnie, zatrzymali się w tym miejscu, sparaliżowani nieprzeniknioną ciemnością, nie mogąc ani posuwać się naprzód, ani wrócić. Niektórzy byli zupełnie otepiali. Inni skomleli z radości na nasz widok i natychmiast stłoczyli się wokół naszej pochodni, jakby była samym życiem

powracającym do nich.

— Czy znaleźliście drogę na zewnątrz? – zapytali, jakby zapomnieli, że to oni byli poszukiwaczami.

Kiedy w końcu zrozumieli, że byli naszą ostatnią nadzieją, to jakby wszelkie życie ich opuściło.

— Korytarz ciągnie się i ciągnie – oznajmili. – Ale nie znaleźliśmy żadnego punktu, od którego zmierzałyby w górę. Komnaty, które sprawdziliśmy, nie mają okien. Myślimy, że ta część miasta od zawsze była pod ziemią.

Ponure stwierdzenie. Nie warto się nad nim rozwodzić.

I tak poszliśmy dalej razem. Dotarliśmy do kilku rozgałęzień, a kiedy do jakiegoś dochodziliśmy, dokonywaliśmy wyboru drogi niemal na chybił trafił. Już nie mieliśmy w zapasie pochodni, żeby sprawdzać każdą możliwość. Na każdym skrzyżowaniu mężczyźni na czele krótko debatowali, po czym wybierali. Ale za każdym razem lękaliśmy się, czy nasz wybór nie okaże się fatalną pomyłką. Czy zmierzamy do światła i powietrza? Zrezygnowaliśmy z niesienia pochodni w tyle, zamiast tego powiedziano ludziom, by trzymali się za ręce i prowadzili nawzajem. Nawet wtedy już po chwili okazało się, że mamy tylko trzy pochodnie, a potem dwie. Jakaś kobieta zaczęła lamentować, gdy zapaliliśmy ostatnią. Nie paliła się dobrze, a może tak się już baliśmy ciemności, że żadne światło nie było wystarczające. Wiem, że skupiliśmy się ciasniej wokół naszej pochodni. Korytarz rozszerzył się, a strop uciekł w górę. Od czasu do czasu światło płomienia wydobywało z ciemności fragment polerowanej czarnej ściany albo srebrne żyłkowanie, które mrugało do mnie kusząco. Wciąż jednak szliśmy bez wytchnienia przed siebie,

głodni, spragnieni i coraz bardziej wycieńczeni. Nie poruszaliśmy się prędko, ale nie wiedzieliśmy wtedy, czy obrona droga zapewni nam jeszcze inny los poza śmiercią.

Zagubione duchy miasta zaczepiały mnie. Coraz bardziej pragnęłam rozstać się z moim mizernym życiem i zatonać w kuszącej pamięci miasta. Strzępy ich muzyki, rozmowy słyszalne jak odległe pomruki, a nawet, jak mi się zdawało, powiew dziwnych zapachów – to wszystko nękało mnie i pociągało zarazem. No właśnie, czy to nie przed tym zawsze ostrzegał mnie Jathan? Że jeśli nie ujmę mego życia twardą ręką, to sztuka mnie pochłonie, a na koniec pożre? Tak trudno jednak było się bronić; szarpało mnie to i ciągnęło jak haczyk tkwiący w rybnym pyszczku. To coś wiedziało też, że mnie pochwytiło; czekało tylko na zapadnięcie zupełnych ciemności, żeby mnie wciągnąć.

Z każdym naszym krokiem pochodnia płonęła coraz słabiej. Każdy krok mógł być też krokiem w złym kierunku. Korytarz wokół nas rozszerzył się w przedsionek; nie widziałam już połyskliwych czarnych ścian, ale czułam, że domagają się mojej uwagi. Przeszliśmy obok nieczynnej fontanny otoczonej kamiennymi ławami. Na próżno wypatrywaliśmy czegoś, co mogłoby podsycić nasz ogień. Ten prastary lud budował jednak z myślą o wieczności – z kamienia, metalu i ceramiki. Wiedziałam, że komnaty te były skarbnicą wszystkiego, czym sami byli. Wierzyli, że będą tu żyć zawsze, że woda w fontannach i promienie światła na ścianach zawsze zatańczą pod ich dotykiem. Rozpoznawałam to tak jasno jak swoje imię. Oni również, tak samo jak ja, szaleńczo wierzyli, że żyć będą wiecznie dzięki swojej sztuce. Teraz była to jedyna ich częśćka,

która przetrwała.

W tym samym momencie wiedziałam, jaką podejmę decyzję. Objawiła mi się tak jasno, że nie byłam już pewna, czy była tylko moja. A może któryś z tych od dawna umarłych artystów wyciągnął rękę i dotknął mego rękawa, prosząc o popatrzenie i wysłuchanie ten jeden ostatni raz, zanim pogrążymy się w ciemnościach i ciszy, jakie pochłonęły ich miasto?

Położyłam dłoń na ramieniu Retya.

— Podejdę teraz do ściany – powiedziałam po prostu.

Natychmiast domyślił się, co zamierzam.

— Zostawisz nas? – zapytał żałośnie. – Nie tylko mnie, ale i małego Carlmina? Zatoniesz w snach i zostawisz mnie, abym samotnie zmierzył się ze śmiercią?

Wspięłam się na palce, aby ucałować jego zarośnięty policzek i przycisnąć usta do zwieszanej główki mego synka.

— Nie zatonę – obiecałam. Nagle wszystko stało się takie oczywiste. – Wiem, jak pływać w tych wodach. Pływałam w nich jak ryba od samego urodzenia. Popłynę w górę tego strumienia, do samego źródła. A wy popłyniecie za mną. Wszyscy.

— Carillion, nie rozumiem. Czy postradałaś zmysły?

— Nie. Ale nie potrafię tego wytłumaczyć. Tylko proszę, idź za mną, tak jak ja poszłam za tobą, gdy wyprowadziłeś mnie na konar drzewa. Wyczuję ścieżkę. Nie pozwolę ci upaść.

Potem zrobiłam najbardziej skandaliczną rzecz w swoim życiu. Złapałam moją wysłużoną spódnicę, poszarpaną do połowy łydki, i oddarłam ją od paska, pozostając w samej bieliźnie. Zwinęłam tkaninę w kłęb i wcisnęłam w jego otwarte w szoku dłonie. Wokół nas zatrzymali się wszyscy pozostali,

obserwując mój dziwaczny pokaz.

— Podsycajcie tym pochodnię, po małym kawałeczku, żeby podtrzymać płomień. I idźcie za mną.

— Będiesz paradować prawie nago przed nami wszystkimi? – zapytał mnie przerażony, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Uśmiechnęłam się.

— Gdy moje spódnice będą płonąć, nikt nie będzie się przyglądał nagości tej, która je ofiarowała dla światła. A kiedy już spłoną, wszyscy pogrążeni będziemy w ciemnościach. Podobnie jak sztuka tych ludzi.

Potem oddaliłam się od niego i ruszyłam w ogarniającą nas ciemność. Usłyszałam, jak krzyczy do mężczyzny z pochodnią, żeby się zatrzymał, i jak inni mówią, że oszalałam. Ja zaś poczułam się tak, jakbym wreszcie wskoczyła do rzeki, która całe życie pobudzała moje pragnienie. Zbliżyłam się ochoczo do ściany miasta, otwierając swoje serce i umysł na ich sztukę, a gdy wreszcie dotknęłam zimnego kamienia, znalazłam się wśród nich, słysząc szmer ich rozmów, ulicznych muzykantów i kupców.

Byłam na placu targowym. Gdy dotknęłam kamienia, ten obudził hałaśliwe życie wokół mnie. Nagle mój umysł dostrzegł światło tam, gdzie moje zamknięte oczy go nie widziały, poczułam zapach ryb pieczonych na małych dymiących rusztach i zauważyłam owoce w miodzie nadziane na rożny i ułożone na tacy ulicznego sprzedawcy. Jaszczurki w polewie wędziły się nad żarem. Dzieci goniły się wokół mnie. Ludzie przechadzali się po ulicach, ubrani w połyskliwe szaty, mieniające się z każdym ich krokiem innymi barwami. I cóż to byli za ludzie, ludzie z

wielkiego miasta! Niektórzy mogli pochodzić z Jamailli, ale wśród nich byli inni, wysocy i szczupli, pokryci łuską jak ryby lub o skórze w kolorze polerowanego brązu. Ich oczy też świeciły, srebrem, miedzią i złotem. Zwykli ludzie robili przejście dla tych wysoko postawionych, bardziej z radością niż z zimnym szacunkiem. Kupcy występowali ze swoich straganów, aby zaoferować im, co mieli najlepszego, a gapiące się dzieci wyglądały zza przybranych w spodnie nóg swoich matek, aby choć przelotnie zobaczyć ich królewskość. Bo byłam pewna, że mieli ją w sobie naprawdę.

Z pewnym wysiłkiem odwróciłam oczy i myśli od tej bogatej gali. Szukałam w myślach tego, kim i gdzie naprawdę jestem. Przywróciłam Retya i Carlmina do swojej świadomości. A potem już z rozmysłem rozejrzałam się wokół siebie. Wzwyż i w niebo, powiedziałam do siebie. Wzwyż i w niebo, w powietrze. Błękitne niebo. Drzewa.

Dotykając lekko palcami ściany, postąpiłam naprzód.

Sztuka jest zanurzeniem, a dobra sztuka jest zanurzeniem zupełnym. Retyo miał rację. To próbowało mnie zatopić. Ale Carlmin też miał rację. Nie było w tym zatapianiu żadnego zła, było tylko zanurzenie, o które w sztuce chodzi. A ja byłam artystką i jako osoba uprawiająca tę magię przywykłam do tego, by nie tracić głowy nawet wtedy, gdy nurt był najsilniejszy i najszybszy.

Tak czy inaczej mogłam trzymać się tylko tych słów: wzwyż i w niebo. Nie wiedziałam, czy moi towarzysze idą za mną, czy może zostawili mnie na pastwę mego szaleństwa. Retyo by tego oczywiście nie zrobił. Szedłby za mną, niosąc mego syna w

ramionach. Chwilę później nie potrafiłam już przypomnieć sobie ich imion. Takie imiona i tacy ludzie nigdy przecież nie istnieli w tym mieście, a ja byłam teraz jego mieszkanką.

Przedzierałam się przez pracowite targowisko. Wokół mnie ludzie kupowali i sprzedawali egzotyczne i fascynujące towary. Kolory, dźwięki, nawet zapachy kusily mnie do uległości, ale trzymałam się kurczowo mego „wzwyż i w niebo”.

Nie byli ludem, który zachwycał się zewnętrznym światem. Tutaj zbudowali swój ul, którego większą część ukryli pod ziemią, jasny i ciepły, czysty i bezpieczny od wiatru, burzy i deszczu. Umieścili w jego wnętrzu takie stworzenia i rośliny, jakie im odpowiadały, kwitnące drzewa, śpiewające ptaki w klatkach i małe lśniące jaszczurki uwiązane do krzaczków posadzonych w donicach. Ryby skakały i pływały w fontannach, ale nie biegały tutaj i nie czekały żadne psy, żadne ptaki nie fruwały nad głowami. Nie zezwolono na nic, co wprowadzało bałagan. Wszystko było uporządkowane i pod kontrolą, z wyjątkiem tych wysmukłych ludzi, którzy pokrzykiwali, śmiali się i gwizdali na precyzyjnie wytyczonych ulicach.

„Wzwyż i w niebo” – powiedziałam do nich. Oczywiście nie słyszeli mnie. Gwar ich rozmów bezużytecznie brzęczał wokoło, a gdy w pewnej chwili zaczęłam je nawet rozumieć, dotyczyły obcych mi spraw. Co mogła mnie obchodzić polityka królowej sprzed tysiąca lat, małżeństwa z wyższych sfer czy ciche intrygi, o których tak zawzięcie plotkowano? „Wzwyż i w niebo” – powtarzałam sobie i powoli, powoli zaczęły napływać do mnie wspomnienia, których tak szukałam. Bo byli inni w tym mieście, dla których sztuka oznaczała „wzwyż i w niebo”. Była tam wieża,

obserwatorium. Wznosiła się wśród oparów nadrzecznych i mglistych nocy, a w niej uczeni mężczyźni i kobiety badali gwiazdy, by móc przepowiadać, jaki wpływ będą miały na losy śmiertelników. Skupiłam na niej swój umysł i wkrótce „przypomniałam” sobie, gdzie to było. Niech będzie błogosławiony Sa, bo nie było to daleko od ich targowiska.

Raz się zatrzymałam, bo gdy moje oczy mówiły mi, że widzą dobrze oświetloną drogę, moje wyciągnięte i szukające po omacku dłonie natrafiły na zimny zwał kamieni i ziemi, z którego sączyła się woda. Jakiś mężczyzna krzyknął mi coś nad uchem i powstrzymał mi ręce. Mgliście przypomniałam sobie moje inne życie. Jak dziwnie było otworzyć oczy na ciemność i na Retya ściskającego mi dłonie. Wokół mnie słyszałam ludzi łkających lub mamroczących z rozpaczą, że podążyli za śniącą osobą, która powiodła ich ku śmierci. Nie mogłam nic zobaczyć, bo panowała absolutna ciemność. Nie wiem, ile czasu upłynęło, ale nagle zdałam sobie sprawę z pragnienia, które niemal mnie zadławiło. Dłoń Retya wciąż trzymała moją, a ja przypomniałam sobie stojący za mną długi korowód ludzi, trzymających się za ręce, którzy ufnie podążyli za mną.

— Nie poddawajcie się. Znam drogę. Znam. Idźcie za mną – wychrypiałam do nich.

Retyo powiedział mi później, że słów, które wtedy padły, nie wypowiedziałam w żadnym znanym mu języku, ale mój pełen przejęcia krzyk zrobił swoje. Zamknęłam oczy i miasto ponownie ożyło wokół mnie. Inna droga. Do obserwatorium musiała prowadzić jeszcze inna droga. Odwróciłam się plecami do ludnych korytarzy, ale teraz, gdy przechodziłam obok bijących

fontann, kusily mnie zapamiętaną wodą. Sugestywne wspomnienia zapachów pożywienia unosiły się w powietrzu i czułam, jak mój żołądek zaciska się z tęsknoty do nich. Ale „wzwyż i w niebo” były moimi słowami, więc szłam naprzód, choć zdawałam sobie sprawę, że każde poruszenie ciała wymaga ode mnie coraz większego wysiłku. W tamtym innym miejscu język w moich ustach zmienił się w kawał suchej skóry, a brzuch był jedną kulą bólu. Ale tutaj szłam przez miasto, zanurzona w nim. Rozumiałam teraz słowa, które przepływały przeze mnie, wahałam znajome pożywienie, znałam nawet wszystkie słowa pieśni śpiewanej przez ulicznych minstrelów. Byłam w domu, a miasto jako sztuka przepływało na wskroś mnie; było dla mnie domem bardziej niż Jamaillia.

Znalazłam inne schody prowadzące do obserwatorium, boczne schody dla służby i sprzątaczy. Po tych schodach pokorni ludzie wnosili na górę leżaki i tace z kielichami wina dla szlacheckich państwa, którzy mieli ochotę tam poleżeć i pogapić się na gwiazdy. To były zwykłe drewniane drzwi. Uchyliły się pod moim pchnięciem. Za sobą posłyszałam ciche okrzyki zdumienia, a potem wykrzykiwane słowa podziwu, które skłoniły mnie do otwarcia oczu.

Światło dnia, blade i drżące, sączyło się ku nam z góry. Kręte schody były drewniane i chwiejne, ale zdecydowałam, że powinniśmy im zaufać. „Wzwyż i w niebo” – powiedziałam do moich towarzyszy i pierwsza postawiłam stopę na skrzypiącym stopniu. Z trudem powtórzyłam głośno te cenne słowa: „Wzwyż i w niebo”. I poszli za mną.

Gdy wchodziliśmy, światło stawało się coraz mocniejsze, a my

mrugaliśmy jak krety w delikatnym półmroku. Kiedy wreszcie wkroczyliśmy do wyłożonej kamienną posadzką górnej komnaty, uśmiechnęłam się tak, że pękły moje wyschnięte wargi.

Grube szyby okien obserwatorium popękały, wpuszczając do środka wszędobylskie pnącza, które, zostawiwszy za sobą światło dnia, zmieniły się wewnątrz w wyblakłe, kręte zwoje. Światło widoczne za oknami było zielonkawe i mroczne, ale naprawdę było światłem. Pnącza stały się dla nas drabiną do wolności. Wielu z nas płakało suchymi łzami, gdy resztką sił wspinaliśmy się po nich. Nieprzytomne dzieci i otępiałych dorosłych podaliśmy sobie i wyciągnęliśmy na zewnątrz. Pochwyciłam bezwładnego Carlmina w ramiona i trzymałam go w świetle dnia na świeżym powietrzu.

Czekały na nas deszczowe kwiaty, jakby Sa specjalnie chciał nam powiedzieć, że to jego woli zawdzięczamy to, że przeżyliśmy – tyle deszczowych kwiatów, by każdy z nas mógł zwilżyć usta i odzyskać zmysły. Wiatr wydawał się chłodny, ale my śmialiśmy się radośnie, drżąc w jego powiewie. Staliśmy na szczycie niegdysiejszego obserwatorium, a ja patrzyłam z miłością na krainę, którą kiedyś znałam. Moja piękna rzeczna dolina była teraz bagnem, ale wciąż była moja. Wieża, która kiedyś wznosiła się tak wysoko ponad wszystkim, teraz była tylko kopcem, ale wokół nas wystawały zgarbione i omszałe resztki innych budowli, dzięki czemu ziemia pod naszymi stopami była sucha i twarda. Nie było wiele tej suchej ziemi, najwyżej jeden leffer, a jednak po miesiącach bytowania na bagnach wyglądało to na wielki majątek. Ze szczytu mogliśmy podziwiać wolno płynącą rzekę, gdzie ukośne promienie słońca padały na białawą,

kredową wodę. Mój dom się zmienił, ale wciąż był to mój dom.

Wszyscy, którzy wyruszyli z nami z komnaty ze smokiem, dotarli tu żywi i cali. Miasto połknęło nas, wciągnęło w głąb siebie i zawładnęło nami, a potem nas uwolniło, zmienionych, w tym nowym, przyjaźniejszym miejscu. Tutaj dzięki łasce pogrzebanego pod naszymi stopami miasta grunt jest stabilniejszy. W pobliżu rosną wspaniałe drzewa o mocnych konarach, na których będziemy mogli zbudować nową platformę. Jest tu nawet pożywienie, całkiem dużo jak na Deszczowe Ostępy. Z drzew zwieszają się pędy jakiejś odmiany latorośli, ciężkie od mięsistych owoców. Pamiętam, że te same owoce sprzedawano na straganach mego miasta. Utrzymają nas przy życiu. Na razie mamy wszystko, czego nam potrzeba, by przetrwać tę noc. Wkrótce wstanie nowy dzień i wtedy pomyślimy o całej reszcie.

7 dzień światła i powietrza

1 rok Deszczowych Ostępów

Całe sześć dni zajęła nam wędrówka wzdłuż rzeki do naszej pierwotnej osady. Czas spędzony w świetle na powietrzu pozwolił większości z nas powrócić do zwykłego stanu ducha, choć wszystkie nasze dzieci są trochę bardziej zobojętniałe niż zwykle. Myślę, że nie tylko ja miewam barwne sny o naszym życiu w mieście. Tylko że teraz nie bronię się przed nimi. Krajobraz tutejszy zmienił się znacznie od czasów miasta; kiedyś wszędzie było twarde podłoże, a rzeka była srebrzystą, lśniącą wstęgą. W tamtych czasach grunt też bywał czasem niespokojny i zdarzało się, że rzeką płynęła biaława, kwaśna woda. Teraz

drzewa zagarnęły obszary łąk i ziem uprawnych, wciąż jednak rozpoznaję niektóre elementy pejzażu. Poznaję również, które drzewa są dobre na budowę, z których liści można zaparzyć pyszną pobudzającą herbatę, z jakiej trzciny można uzyskać włókna na tkaniny i masę na papier, a także zrobić całą masę innych rzeczy. Przeżyjemy tutaj. Nie będzie to luksusowe ani łatwe życie, ale jeśli zgodzimy się na to, co da nam ta ziemia, wszystkiego nam wystarczy.

I tak jest dobrze. Odnalazłam moją nadrzewną osadę niemal opustoszałą. Po katastrofie, która zamknęła nas w podziemiach miasta, większość ludzi poddała się i uciekła. Ze skarbów, które zgromadzili i ułożyli w stertę na platformie, zabrali jedynie garść. Tylko kilkoro z nich zostało. Marthi z mężem i synem była wśród nich. Gdy wróciłam, na mój widok rozpłakała się z radości.

Gdy z gniewem skrytykowałam to, że inni poszli, nie zabierając jej ze sobą, odparła całkiem poważnie, że obiecali przysłać z powrotem pomoc, a jest pewna, że dotrzymają słowa, bo ich skarby wciąż tu leżą.

Ja natomiast znalazłam już swój skarb. Mimo wszystko Petrus tutaj pozostał. Jathan, człowiek o kamiennym sercu, poszedł dalej bez chłopca, gdy ten powiedział mu, że chciałby jednak poczekać, aż wróci jego mama. Cieszę się, że nie musiał czekać na mnie na próżno.

Byłam początkowo zaskoczona, że Marthi i jej mąż nie odeszli, ale ona wyjawiała mi powód. Urodziła synka i dla niego tu jednak zostali. Jest żywym i mocnym niemowlęciem, ale pokryty jest łuskami jak wąż. W Jamailli byłby dziwolągiem. Należy do

Deszczowych Ostępów.

Tak jak teraz my wszyscy.

Myślę, że najbardziej zaskoczyły mnie zmiany, jakie zauważyłam u Marthi, podobnie jak ona zaskoczona była zmianami, jakie zaszły we mnie. Wokół jej szyi i przegubów, na których nosiła klejnoty z miasta, pojawiły się małe narośle. Gdy przypatrywała mi się uważnie, sądziłam, że to dlatego, że zauważyła, jak bardzo wspomnienia z miasta zmieniły moją duszę. W rzeczywistości jednak jej spojrzenie przyciągały zawiązki pierzastych łusek na moich powiekach i wokół ust. Nie mam zwierciadła, więc nie mogę stwierdzić, jak bardzo są widoczne. A na to, że łuski w dole mego kręgosłupa są bardziej atrakcyjne niż odpychające, mam tylko słowo Retya.

Obserwuję też, jak łuski zaczęły uwydatniać się u dzieci, i prawdę mówiąc, wcale nie wydaje mi się to wstrętne. Niemal każdy z tych, którzy zeszli wtedy z nami do miasta, nosi jakiś znak tej bytności, czasem coś w głębi oczu, czasem delikatny ślad łuski albo kamykową linię na skórze wzdłuż szczęki. Deszczowe Ostępy naznaczyły nas jako swoich i powitały nas z powrotem w domu.

Przetłóżył Jerzy Moderski

Ursula K. Le Guin

ZAKŁĘCIE ROZWIĄZANIA



Ursula K. Le Guin jest autorką niezliczonych klasycznych książek z gatunku SF i fantasy, takich jak Lewa ręka ciemności, Jesteśmy snem, Wydziedziczeni czy Czarnoksiężnik z Archipelagu (oraz inne tomy z cyklu „Ziemiomorze”). Stowarzyszenie Science Fiction Writers of America przyznało jej Grand Master Award, poza tym otrzymała pięć nagród Hugo, sześć nagród Nebula, dwie World Fantasy Awards i dwadzieścia nagród Locusa. Zdobyła nagrodę Newberry, National Book Award, PEN/Malamud Award i została uznana za żyjącą legendę przez Bibliotekę Kongresu.

Gdzie się znajdował? Podłoga była twarda i lepka, powietrze czarne i cuchnące, i to było wszystko. Poza bólem głowy. Leżąc płasko na oślizgłej podłodze, Festin jęknął, a potem powiedział: „Laska!”. Kiedy olchowa laska czarnoksiężnika nie wskoczyła mu do ręki, pojął, że jest w niebezpieczeństwie. Usiadł, a skoro nie miał swojej laski, która zapewniłaby należyte światło, palcem i kciukiem skrzesał iskrę, mamrocząc pewne słowo. Z iskry wyłonił się niebieski błędny ogień i trzeszcząc, toczył się w powietrzu. „Wyżej” – rzekł Festin i kulka ognia ruszyła chwiejnie w górę, aż oświetliła klapę w sklepieniu bardzo wysoko nad nim, tak wysoko, że Festin, przenosząc świadomość w ogień, zobaczył dobre czterdzieści stóp niżej swoją twarz jako bladą plamkę w ciemności. Światło nie rzucało żadnych refleksów na wilgotne ściany; zostały utkane z nocy, dzięki magii. Festin wrócił do siebie i rzucił: „Koniec”. Ogień zgasł. Festin siedział po ciemku, wyłamując palce.

Zaklęcie musiało dopaść go z tyłu, przez zaskoczenie, bo pamiętał, że wcześniej przechadzał się wieczorem po własnym

lesie, rozmawiając z drzewami. Ostatnio, w tych samotnych latach średniego wieku życia, przytłaczało go uczucie straty, niewykorzystanej mocy; aby nauczyć się cierpliwości, porzucił osady i zaczął prowadzić rozmowy z drzewami, zwłaszcza z dębami, kasztanowcami i szarymi olchami, których korzenie pozostają w głębokiej więzi z płynącą wodą. Od sześciu miesięcy nie rozmawiał z żadną ludzką istotą. Zajmował się sprawami podstawowymi, nie rzucał zaklęć i nikomu nie przeszkadzał. Kto zatem związał go zaklęciem i rzucił w głąb tej cuchnącej studni? „Kto?” – zapytał ścian, po czym powoli wyłoniło się z nich imię i spłynęło do niego w dół jak gruba czarna kropla wypocona z porów kamienia i zarodników grzybni: „Voll”.

W tej chwili sam Festin oblał się zimnym potem.

Słyszał już dawno temu o Vollu Straszliwym, o którym powiadano, że był kimś więcej niż czarnoksiężnikiem, ale też i mniej niż człowiekiem; że podróżował od wyspy do wyspy na Zewnętrznych Rubieżach, niwecząc dzieła Starożytnych, zmieniając ludzi w niewolników, wycinając lasy i niszcząc pola, zapieczętowując w podziemnych grobowcach wszystkich czarnoksiężników i magów, którzy ośmielili się z nim walczyć.

Uchodźcy ze zniszczonych wysp powtarzali zawsze tę samą opowieść, że przyleciał wieczorem na mrocznym wietrze ponad morzem. Jego niewolnicy podążali za nim na statkach; te można było zobaczyć. Ale żaden z nich nie widział Volla... Na wyspach było wiele złych ludzi i stworzeń, więc Festin, młody czarownik skupiony na swoich ćwiczeniach, nie przywiązywał większej wagi do tych opowieści o Vollu Straszliwym. Potrafię ochronić tę wyspę, myślał i nie wystawiając na próbę własnej mocy,

powracał do swoich dębów i olch, odgłosu wiatru w ich listowiu, rytmu wzrastania w krągłych pniach, konarach i gałęziach, do smaku słońca na liściach i do ciemnej gruntowej wody wokół korzeni. Gdzie były teraz te drzewa, jego starzy towarzysze? Czy Voll zniszczył las?

Rozbudziwszy się w końcu i podniósłszy na nogi, Festin wykonał sztywnymi ramionami dwa szerokie gesty, wykrzykując głośno Imię, które byłoby zdolne skruszyć wszystkie zamki i wyważyć wszelkie zrobione przez człowieka drzwi. Ale te ściany, przepojone nocą i imieniem swego budowniczego, nie zważały na to, nie słuchały. Imię odbiło się echem, tak uderzając w uszy Festina, że upadł na kolana i chował głowę w ramionach, aż echo zginęło w sklepieniu ponad nim. Potem, wciąż wstrząśnięty tym odzewem, usiadł, rozmyślając.

Mieli rację. Voll był mocny. Tutaj, na jego własnym terenie, wewnątrz tej zbudowanej zakłębionej wieży, jego magia była zdolna odeprzeć każdy bezpośredni atak; siła Festina zaś zmalała o połowę przez utratę laski. Ale nawet jego porywacz nie mógł odebrać mu tych mocy, które odnosiły się do niego samego, a mianowicie Przeniesienia i Przemiany. A zatem, potarłszy podwójnie bolącą głowę, przemienił się. Jego ciało rozplynęło się cicho w obłok delikatnej mgły.

Leniwie, powłóczyście, mgła uniosła się znad posadzki, pełznąc w górę po oślizgłych ścianach, aż znalazła, tam, gdzie sklepienie łączyło się ze ścianą, szczelinę grubości włosa. Przez nią, kropelka po kropelce, zaczęła się przesączać. Była już niemal cała za murem, gdy nagle spadł na nią gorący wiatr, gorący jak żar paleniska, rozpędzając krople i wysuszając je. Mgła

pospiesznie cofnęła się pod sklepienie i spiralą opadła na posadzkę, przybierając postać Festina, który leżał teraz, ciężko dysząc. Dla introwertycznych czarnoksiężników w rodzaju Festina transformacja jest trudnym emocjonalnie przeżyciem; gdy do tego obciążenia dodać jeszcze szok spowodowany perspektywą śmierci w przybranej nieludzkiej postaci, doświadczenie staje się okropne. Festin leżał przez dłuższą chwilę, nie mogąc złapać tchu. Był też zły na siebie. Mimo wszystko podjęcie próby ucieczki pod postacią mgły było dość prostackim pomysłem. Każdy głupiec zna tę sztuczkę. Festin skurczył się teraz do rozmiarów małego czarnego nietoperza, pofrunął w stronę sklepienia, przemienił się w cienki strumień czystego powietrza i raz jeszcze wniknął w szczelinę.

Tym razem wydostał się gładko na zewnątrz i przez przedsionek, w którym się znalazł, powiał ku oknu, kiedy ostre poczucie zagrożenia kazało mu się skupić i przełamać w jedyny stały kształt, jaki przyszedł mu na myśl – w złoty pierścień. Wyszło na to samo. Huragan arktycznego powietrza, który mógł rozwiać jego powietrzną postać w nienaprawialny chaos, zaledwie schłodził formę pierścienia. Gdy burza minęła, leżał na marmurowej posadzce, zastanawiając się, jaka postać najszybciej wydostanie się za okno.

Za późno, bo zaczął się toczyć. Ogromny troll o tępym wyrazie twarzy przeszedł groźnie przez posadzkę, zatrzymał się, złapał toczący się szybko pierścień w ogromną, twardą jak z marmuru dłoń. Po czym zbliżył się do klapy w podłodze, uniósł ją mocarną ręką i rzucił Festina w dół, w ciemność, na kamienną posadzkę – brzdęk.

Powrócił do swojej prawdziwej postaci i usiadł, żałośnie rozcierając stłuczony łokieć. Już dość tych przemian na pusty żołądek. Gorzko zatęsknił za swoją laską, za której pomocą mógłby zapewnić sobie obiad dowolnej wielkości. Bez niej, choć mógł zmieniać postać i używać pewnych zaklęć i mocy, nie mógł przemienić ani przywołać do siebie żadnej materialnej rzeczy – ani błyskawicy, ani jagnięcego kotleta.

„Cierpliwości” – powiedział Festin do siebie, a gdy odzyskał oddech, rozpuścił swoje ciało w niezliczoną delikatność wonnych olejków, stając się aromatem jagnięcej pieczeni na ruszcie. Raz jeszcze przeniknął przez szczelinę w murze. Czuwający troll węszył podejrzliwie, ale Festin, zdążywszy przeformować się w sokoła, już zmierzał na skrzydłach w stronę okna. Troll rzucił się w pogoń, rozminął się z nim jednak o parę jardów i huknął potężnym, kamiennym głosem: „Sokół, łapać sokoła!”. Przelatując nad zaklętym zamkiem w stronę swego lasu ciemniejącego na zachodzie, olśniony słońcem i jego odbłaskiem w morzu, Festin mknął jak strzała na skrzydłach wiatru. Znalazła go jednak szybsza strzała. Z krzykiem upadł. Zawirowały wokół niego słońce, morze i wieże, po czym stracił przytomność.

Ponownie obudził się na posadzce lochu, ręce, włosy i usta miał zalane krwią. Strzała trafiła go w środek skrzydła jako sokoła, a w ramię jako człowieka. Leżąc bez ruchu, wymamrotał zaklęcie zamykające ranę. Teraz mógł usiąść i przypomnieć sobie dłuższe, głębsze zaklęcie leczące. Stracił jednak wiele krwi, a wraz z nią sporą część mocy. Ziąb przeniknął go do szpiku kości, których nawet leczące zaklęcie nie zdołało rozgrzać. W jego oczach była ciemność, nawet gdy skrzesał palcami błędny ognek i

rozświetlił cuchnące powietrze; taka sama ciemna mgła, jaką widział podczas lotu, wisząca nad jego lasem i nad małymi miasteczkami jego kraju.

To on miał bronić tego kraju.

Nie mógł już podjąć bezpośredniej próby ucieczki. Był zbyt słaby i zmęczony. Zbyt ufał swojej mocy, stracił siły. Każda postać, jaką teraz przyjmie, podzieli z nim tę słabość i zostanie pojmana.

Dygocąc z zimna, siedział tam w kucki i pozwalał kulce ognia wydzielać zapach metanu – bagienno-gazowy. Zapach ten przywiódł mu na myśl moczary rozciągające się od ściany lasu do morza, jego ukochane moczary, na które ludzie się nie zapuszczali, gdzie jesienią łabędzie latały długo i równo, gdzie pomiędzy cichymi stawami i kępami trzciny przepływały w stronę morza ciche i wartkie strumyki. Chciałby być rybą w jednym z tych strumieni albo lepiej jeszcze: być rybą daleko w górze strumienia, blisko źródeł, w lesie, w cieniu drzew, w czystej brunatnej wodzie stojącej pod korzeniami olchy, odpoczywając w ukryciu...

To była wielka magia. Festin nie odwołał się do niej bardziej niż jakikolwiek inny człowiek, który na wygnaniu lub w niebezpieczeństwie tęskni za wodą i ziemią swego domu, wzdycha do jego progów, do stołu, przy którym jadał, do gałęzi widocznych za oknem pokoju, w którym sypiał. Tylko we śnie i tylko wielcy magowie potrafią posłużyć się tą magią powracania do domu. Jednakże Festin, czując zimno przenikające do jego szpiku, nerwów i żył, stanął między czarnymi ścianami, skupił swą wolę tak bardzo, że zabłysła jak świeca w mroku jego ciała, i

począł tę potężną i cichą magię wcielać w życie.

Ściany znikły. Był teraz w ziemi, skały i żyły granitu były jego kośćmi, woda gruntowa krwią, a korzenie roślin nerwami. Jak ślepa dżdżownica posuwał się wewnątrz ziemi ku zachodowi, powoli, mając ciemność przed sobą i za sobą. A potem nagle miły chłód przepłynął po jego grzbiecie i brzuchu jak ożywcza, nieodparta, nieskończona pieszczota. Bokami wyczuł wodę, poczuł przepływający nurt; pozbawionymi powiek oczyma ujrzał przed sobą głębokie, ciemne rozlewisko pomiędzy ogromnymi korzeniami olchy. Rzucił się naprzód, srebrzysty, do cienia. Wyrwał się na wolność. Był w domu.

Woda wypływała nieprzerwanie z czystego źródła. Leżał na piasku na dnie rozlewiska, pozwalając, by płynąca woda, mocniejsza niż wszystkie leczące zaklęcia, ukoiliła jego ranę, a jej ożywczy chłód przepędził dojmujące zimno z jego ciała. Kiedy tak odpoczywał, słyszał jednak i czuł drżenie i rozgniatanie ziemi. Kto przechadzał się teraz po jego lesie? Zbyt zmęczony, by próbować zmieniać postać, ukrył swe połyskliwe ciało pstrąga pod łukiem korzenia olchy i czekał.

Wielkie szare palce gmerały po omacku w wodzie, burząc piasek. W mroku ponad powierzchnią wody zamajaczyły puste oczy, po czym zniknęły, a potem ukazały się znowu. Podbierak i dłonie macały wokół, raz i drugi na próżno, aż w końcu pochwyciły go i uniosły trzepocącego w powietrze. Zaciekle próbował odzyskać pierwotną postać, ale wiązało go jego własne zaklęcie powrotu do domu. Trzepotał, dusząc się w suchym, jasnym, straszliwym powietrzu, tonąc w nim. Męczarnia trwała, a on nie doświadczał już niczego poza nią.

Po długim czasie, stopniowo, uświadomił sobie, że powrócił do ludzkiej postaci; w jego gardło wlewano przemocą jakiś ostry, kwaśny płyn. Po dalszym upływie czasu ocknął się znowu, leżąc twarzą do wilgotnej posadzki piwnicy. Ponownie zdany był na łaskę swego wroga. A chociaż mógł znów oddychać, nie był daleki od śmierci.

Zimno przeniknęło go na wskroś; a trolle, sługi Volla, musiały zgnieść kruche ciało pstrąga, bo gdy się poruszył, w żebrach i jednym przedramieniu poczuł rwący ból. Złamany i pozbawiony sił leżał na dnie swej nocnej studni. Nie było już w nim mocy, by zmienić kształt; nie było drogi ucieczki, z wyjątkiem jednej.

Leżąc tak bez ruchu i niemal, choć nie całkiem, poza zasięgiem bólu, Festin myślał: Dlaczego mnie nie zabił? Dlaczego utrzymuje mnie przy życiu?

Dlaczego nikt go nigdy nie widział? Jakimi oczyma można go ujrzeć, po jakiej ziemi chodzi?

Boi się mnie, choć nie mam już siły.

Powiadają, że wszyscy czarnoksiężnicy i wszyscy obdarzeni mocą, których on pokonał, żyją nadal, zapieczętowani w grobach podobnych do tego, żyją wciąż rok za rokiem, próbując się uwolnić...

A co by było, gdyby któryś postanowił przestać żyć?

I tak właśnie Festin dokonał wyboru. Jego ostatnią myślą było: Jeśli się mylę, to ludzie zapamiętają mnie jako tchórza. Ale nie przywiązywał się teraz do tej myśli. Zwracając głowę lekko w bok, zamknął oczy, wziął ostatni głęboki oddech i wyszeptał zaklęcie rozwiązania, które można wymówić tylko raz.

To nie była transformacja. Nie zmienił się. Jego ciało, długie

nogi i ręce, mądre ręce, oczy, które tak lubiły patrzeć na drzewa i strumienie, leżały niezmienione, tylko spokojne, doskonale spokojne i zimne. Ale ściany zniknęły. Sklepienie ściany, które były dziełem magii, zniknęły, a także komnaty i wieże; i las, i morze, i wieczorne niebo. Wszystko to zniknęło, gdy Festin zstępował powoli w dół długiego zbocza wzgórza istnienia, pod nowymi gwiazdami.

W życiu miał wielką moc; teraz więc o niej nie zapomniał. Jak płomień świecy poruszał się w ciemnościach szerszej krainy. I wykrzyknął dobrze zapamiętane imię swego wroga: „Voll!”.

Wezwany, niezdolny do stawienia oporu Voll przybył ku niemu jako gęsty blady kształt w świetle gwiazd. Festin zbliżył się, a tamten skulił się i wrzasnął jak oparzony. Festin ścigał go, gdy tamten uciekał, był tuż za nim. Przebyli tak długą drogę, nad wyschłymi jezorami lawy z wygasłych wulkanów, których stożki mierzyły ku nienazwanym gwiazdom, mijając ciche wzgórza, przez doliny porośnięte krótką czarną trawą, obok miast albo przez ich nieoświetlone ulice, pomiędzy domami, w których oknach nie ukazała się żadna twarz. Gwiazdy wisiały na niebie; żadna nie zachodziła, żadna nie wschodziła. Nie było tu żadnych zmian. Nie miał nastać żaden dzień. Oni jednak podążali naprzód, a Festin poganiał przed sobą tamtego, aż w końcu dotarli do miejsca, gdzie kiedyś, bardzo dawno temu, płynęła rzeka; rzeka z żyjących krain. W jej wyschłym korycie, pomiędzy głazami, leżało martwe ciało: ciało starca, nagiego, o pustych oczach wbitych w gwiazdy, które nie niosą śmierci.

„Wejdz w nie” – powiedział Festin. Cień Volla zaskowyczał, ale Festin zbliżył się doń bardziej. Voll skulił się lękliwie, zgarbił i

wniknął w otwarte usta własnego martwego ciała.

Nagle ciało zniknęło. Pozbawione wszelkich śladów suche głązy połyskiwały w świetle gwiazd. Festin stał chwilę spokojnie, a potem wolno usiadł pomiędzy skałami, aby odpocząć. Odpocząć, nie spać; musi bowiem czuwać w tym miejscu, aż ciało Volla, odesłane do swego grobu, obróci się w proch, a złe moce znikną, rozwiane przez wiatr i splukane deszczami do morza. Musi pilnować tego miejsca, z którego kiedyś śmierć znalazła powrotną drogę do innej krainy. Teraz już spokojny, nieskończenie spokojny, Festin czekał pomiędzy głazami, wśród których nigdy już nie popłynie żadna rzeka, w sercu kraju, gdzie nie ma brzegu morza. Gwiazdy stały nieruchomo nad jego głową, a spoglądając na nie, zaczął powoli, bardzo powoli zapominać głos strumieni i odgłos deszczu na liściach lasów życia.

Przetłóżył Jerzy Moderski

Tad Williams

CZŁOWIEK Z PŁOMIENI



Tad Williams jest bestsellerowym autorem cyklów „Pamięć, smutek i cierń”, „Inny świat” oraz „Marchia Cienia”. Napisał również inne powieści, takie jak Pieśń Łowcy, Wojna kwiatów czy dwie pierwsze części cyklu o Zwyczajnej Farmie, którego współautorką jest jego żona Deborah Beale. Jego opowiadania ukazały się w czasopiśmie „Weird Tales” i „The Magazine of Fantasy & Science Fiction” oraz w antologiach Legendy i Legendy II. W 2006 roku ukazał się zbiór jego opowiadań Rite. Dla DC Comics początkowo napisał miniserię The Next, a potem kilka odcinków Aquamana.

Choć minęło już tyle lat, wciąż zrywam się w środku nocy i widzę jego udręczoną twarz. I za każdym razem, gdy przychodzi kolejny koszmar, nie potrafię ulżyć jego cierpieniu.

Opowiem więc tę historię z nadzieją, że wtedy spoczną może ostatnie duchy, jeśli w ogóle jest to możliwe w miejscu, gdzie żyje więcej duchów niż żywych dusz. Słuchajcie jednak uważnie, gdyż jest to opowieść, której mówiąca te słowa sama w pełni nie pojmuje.

Opowiem wam o Lordzie Sulisie, moim sławnym ojczymie.

Opowiem wam o przepowiedni, którą usłyszałam od wiedźmy.

Opowiem wam o miłości, którą utraciłam.

Opowiem wam o nocy, kiedy ujrzałam człowieka z płomieni.

Tellarin obsypywał mnie drobnymi podarunkami, które dla mnie wcale nie były drobne. Mój kochanek przynosił mi słodycze, a potem śmiał się, widząc, jak pożeram je łapczywie.

— Ach, mała Bredo – mawiał. – Dziwne to, ale i cudowne zarazem, że zwykły żołnierz przemyca miodowe figi dla królewskiej córki. – A potem całował mnie, przytulał swoją

ogorzałą twarz do mojej i składał na mych ustach pocałunki słodsze od wszystkich fig, jakie stworzył Bóg.

Ale Sulis nie był w rzeczywistości królem, tak jak ja nie byłam jego prawdziwą córką.

Tellarin nie we wszystkim się jednak mylił. Rzeczywiście, dziwna i cudowna zarazem była radość, którą czułam, kiedy widziałam mojego żołnierza lub słyszałam, jak gwizdże pod oknem.

Mój prawdziwy ojciec, człowiek, który dał mi życie, zginął w zimnych wodach jeziora Kingslake, kiedy byłam bardzo mała. Jego towarzysze mówili, że w ich sieć wpadł ogromny szczupak, który wciągnął mego ojca Ricwalda do wody, inni jednak szeptali, że zginął z rąk swoich kompanów, a ci obciążyli potem ciało kamieniami.

Wszyscy wiedzieli, że ojciec otrzymałby sztandar i włócznie Wielkiego Tana na następnym zgromadzeniu wszystkich tanów Ludu znad Jeziora. Przed nim Wielkim Tanem wybrano jego ojca i wuja, dlatego niektórzy szeptali, że pokarał go sam Bóg, gdyż jeden ród nie powinien tak długo dzierżyć władzy. Niektórzy natomiast utrzymywali, że towarzyszom ojca zapłacono za jego śmierć, co miało zaspokoić ambicje innej rodziny.

Wszystkiego tego dowiedziałam się z opowieści mej matki Cynethrith. Była młoda, gdy zmarł ojciec, i miała dwoje dzieci: mnie, niespełna pięcioletnią dziewczynkę, i starszego o dwa lata syna Aelfrica. Jako ostatni z rodu zamieszkaliśmy w domu ojca mego ojca, a wśród Ludu znad Jeziora w Erkyndlandzie był to bardzo szacowny dom. Szacowny, lecz nie szczęśliwy. Godric, mój dziadek, przez dwa dziesiątki lat panował jako Wielki Tan,

dopóki choroba nie zakończyła jego rządów. Oczekiwał, że syn pójdzie w jego ślady. Niestety, po śmierci mego ojca musiał patrzeć, jak wojownik z innego rodu dzierży sztandar i włócznie. Od tamtej chwili wszystko, co się działo na świecie, wydawało się tylko potwierdzać jego opinię, że najlepsze dni Erkynlandu i Ludu znad Jeziora minęły.

Godric zmarł, nim skończyłam siedem lat. Cały ten okres między śmiercią ojca a zgonem dziadka nie był szczęśliwy dla mojej matki: przez wszystkie te lata musiała nieustannie wysłuchiwać narzekań i wyrzutów na temat tego, jak prowadziła dom i jak wychowywała mnie oraz Aelfrica, jedyne dzieci jego zmarłego syna. Dziadek spędzał wiele czasu z Aelfrikiem, próbując zrobić z niego mężczyznę, który mógłby kiedyś odzyskać sztandar i włócznie dla naszej rodziny, ale mój brat był drobny i nieśmiały i chyba nikt nie wierzył, że zostanie głową czegoś więcej niż własnego domostwa. Godric winił za to moją matkę, twierdząc, że wychowywała go jak dziewczynę.

Mojej osobie poświęcał mniej uwagi. Nigdy nie był wobec mnie okrutny, raczej srogi i oschły, lecz sama jego postać – szpeciniasta, siwa broda, grzmiący głos i pozbawione kilku palców dłonie – tak mnie przerażała, że w jego obecności kuliłam się odruchowo. Przykro mi, jeśli była to jeszcze jedna z przyczyn, które odebrały mu radość życia.

Krótko mówiąc, lata wdowieństwa mej matki przepełniały smutek i gorycz. Niegdyś pani swojego domu i żona przyszłego Wielkiego Tana, została nagle tylko jedną z trzech dorosłych córek w domu zgorzkniałego starca, gdyż jedna z sióstr mego ojca także straciła męża, najmłodsza zaś, niezamężna, nigdy nie

opuściła domu, by opiekować się ojcem na jego starość.

Myślę, że matka przyjęłaby z radością najbiedniejszego z rybaków, który poprosiłby o jej rękę, gdyby tylko miał własny dom i żadnych żyjących krewnych. Tak się jednak nie stało i zamiast biednego rybaka pojawił się mąż, który wstrząsnął całym stuleciem.

— Jaki on jest? – zapytał mnie kiedyś Tellarin. – Opowiedz mi o swoim ojczymie.

— Jest twoim panem i dowódcą. – Uśmiechnęłam się. – Czy mogę ci powiedzieć coś, czego nie wiesz?

— Powiedz mi, co mówi, kiedy jest w domu, przy stole, powiedz mi, co robi – dopytywał się Tellarin, po czym spojrzał na mnie, a jego długa twarz przypomniała mi nieoczekiwane oblicze zdumionego chłopca. – Ach! Już choćby zastanawianie się nad czymś podobnym graniczy niemal ze świętokradztwem!

— Jest zwykłym mężczyzną – odpowiedziałam mu i przewróciłam oczami. Śmieszne wydawało mi się to, w jaki sposób jedni mężczyźni myśleli o innych: że ten jest taki wielki i ważny, gdy oni sami są tacy mali! – Je, śpi, puszcza wiatry. Kiedy jeszcze żyła moja matka, mawiała, że w łóżku zajmuje miejsca za trzech, ponieważ wciąż się rzucał i mówił głośno przez sen. – Celowo przedstawiałam ojczyma jako zwykłego człowieka, gdyż nie podobało mi się, że Tellarin bardziej interesuje się nim niż mną.

Wtedy mój nabbański żołnierz spoważniał.

— Z pewnością bardzo dotknęła go śmierć twojej matki. Musiał ją bardzo kochać.

Jakbym ja nie cierpiała z tego powodu! Powstrzymałam się,

żeby nie zrobić kolejnej miny, i odpowiedziałam mu, przepełniona młodzieńczą pewnością siebie:

— Myślę, że on jej w ogóle nie kochał.

Matka opowiadała mi kiedyś, że gdy mój ojczym i jego świta pierwszy raz pojawili się na łąkach, zmierzając na północ, w kierunku Kingslake, wydawało się, iż same zastępy niebieskie zstąpiły na ziemię. Ich nadejście obwieszczał dźwięk trąb, przyciągając ludność z najmniejszych osad, jak gdyby przechodziła pielgrzymka albo procesja z relikwiami świętego. Zbroje i kopie rycerzy lśniły oślepiająco, a na wszystkich sztandarach migotała czapla, wyszyty złotą nicią herb ich pana. Nawet konie Nabbańczyków były większe i okazalsze niż nasze biedne erkynlandzkie kuce. Za niewielką armią podążały stada owiec i bydła, a dalej jechały wozy, niezliczone mnóstwo wozów – było ich tyle, że jeszcze dzisiaj, choć minęło już sześć dziesięcioleci, widać koleiny, które odcisnęły na obliczu naszej ziemi.

Byłam wtedy dzieckiem i nic z tego nie widziałam, nie wtedy. Słyszałam tylko pogłoski w wielkiej sali mojego dziadka, szepty moich ciotek i matki, zajętych wyszywaniem. Potężny pan, który do nas przybył, to nabbański szlachcic, mówiono, nazywany przez wielu Sulisem Apostatą. Twierdzi, że przychodzi w pokoju i zamierza osiąść nad brzegami Kingslake. Jest wygnańcem z własnego kraju – heretykiem, jak utrzymywali niektórzy, wypędzonym przez Lektora pod groźbą ekskomuniki z powodu zuchwałych pytań dotyczących życia Usiresa Aedona, naszego błogosławionego Odkupiciela. Nie, mówili inni, musiał opuścić dom z powodu spisku kapłanów. Rozzłościć duchownego to jak

nastąpić na węża, szeptali.

W tamtych czasach Matka Kościół nie miał jeszcze zbyt dużych wpływów w Erkyndlandzie i chociaż większość mieszkańców ochrzczono w wierze aedonickiej, niewielu tylko darzyło pełnym zaufaniem katedrę Sancellan Aedonitis. Ludzie nazywali ją często „ulem kapłanów”, twierdząc, że ci, zamiast służyć Bogu, pragnęli większej władzy.

Wielu wciąż jeszcze tak uważa, ale nie mówią już tego głośno w miejscach, w których mogliby ich usłyszeć obcy.

Dzisiaj wiem o tych rzeczach o wiele więcej niż w dniach, kiedy się wydarzyły. O wiele więcej też rozumiem teraz, gdy jestem stara i żadnego bohatera mojej opowieści nie ma już wśród żywych. Oczywiście nie ja pierwsza przeszłam tę smutną ścieżkę. Zrozumienie zawsze przychodzi za późno, jak sądzę.

Lord Sulis rzeczywiście poróżnił się z Kościołem, a ponieważ w Nabbanie Kościół i państwo były ściśle związane, stał się również wrogiem Imperatora w Sancellan Mahistrevis. Ród mojego przyszłego ojczyma był jednak na tyle potężny, że nie uwięziono go ani nie stracono, lecz poradzono tylko opuścić Nabban. Jego ziomkowie sądzili, że wybrał Erkyndland, gdyż każdy szlachcic mógł zostać królem w tym państewku, w moim kraju, Sulis miał jednak swoje powody, o wiele mroczniejsze i poważniejsze, niż ktokolwiek mógłby się domyślać. Tak więc przybył nad brzegi Kingslake z całym swoim dworem, z rycerzami, piechotą, ich kobietami i dziećmi, a liczebnością dorównywali ludności niewielkiego miasteczka.

Mimo siły swego oręża Nabbańczycy traktowali Lud znad Jeziora z zaskakującą uprzejmością, tak więc w ciągu kilku

tygodni między mieszkańcami ich osady i naszymi ludźmi zawiązały się bardzo przyjazne stosunki i zaczął kwitnąć handel. Dopiero gdy Lord Sulis obwieścił tanom, że zamierza osiedlić się w Wielkiej Twierdzy, opuszczonym zamku na rubieżach naszego kraju, Erkymlandczycy z niepokojem przyjęli nowinę.

Ogromna, pusta budowla, zamieszкана jedynie przez wiatr i cienie, spoglądała z góry na nasze ziemie od czasów narodzin najstarszych legend. Nikt nie pamiętał, kto wybudował Wielką Twierdzę; jedni twierdzili, że olbrzymy, inni zaklinali się, że wzniosły ją czarodziejskie istoty. Podobno jakiś czas panowali w niej Ludzie z Północy, mieszkańcy Rimmersgard, lecz oni dawno już odeszli, wypędzeni przez smoka z fortecy, którą odebrali Miłującym Pokój. Tyle opowieści spowijało ten zamek! Gdy byłam mała, jedna ze służebnic mej matki powiedziała mi, że w fortecy mieszkają już tylko wiedźmy i niespokojne duchy. Wiele razy rozmyślałam w nocy o tym opuszczonym, smaganym wiatrem miejscu na szczycie klifu, od którego dzieliło mnie zaledwie pół dnia drogi, a potem ze strachu nie mogłam zasnąć przez długie godziny.

Tanowie zaniepokoiли się na myśl o tym, że ktoś miałby odbudować starą fortecę, ale nie tylko dlatego, iż bali się budzić duchy. Wielka Twierdza, nawet jeśli była w ruinie, dzięki swemu położeniu była niezwykle silnym posterunkiem, wręcz fortecą nie do zdobycia, gdyby tylko obsadzić jej mury zbrojnymi. Jednak tanowie znaleźli się w trudnej sytuacji. Może nawet Lud znad Jeziora był liczniejszy od ludzi Sulisa, lecz rycerze spod herbu czapli mieli lepsze uzbrojenie, a nabbańscy żołnierze znani byli ze swej dyscypliny – pół legionu Wilków Morskich Imperatora

rozniosło dziesięciokrotnie większą armię Thrithingów w bitwie, którą stoczono zaledwie kilka lat wcześniej. Ponadto Osweard, nowy Wielki Tan, był młody i nie miał doświadczenia jako dowódca. Pomniejsi tanowie zwrócili się o radę do mego dziadka Godrica, prosząc, by pomówił z nabbańskim lordem i odkrył jego prawdziwe intencje.

Tak więc Lord Sulis stanął w progach domu mego dziadka i po raz pierwszy ujrzał moją matkę.

Jako mała dziewczynka lubiałam wierzyć, że Sulis zakochał się w mej matce Cynethrith w tej samej chwili, gdy ujrzał ją stojącą za tronem jej teścia w wielkiej sali Godrica. Była piękna, tyle wiem. Nim zmarł mój ojciec, wszyscy w domu zwali ją Łabędziem Ricwalda z powodu jej długiej szyi i śnieżnobiałych ramion. Włosy miała bladożółte, a oczy tak zielone jak wody Kingslake latem. Przeciętny mężczyzna pokochałby ją od pierwszego wejrzenia. Lecz „przeciętny” to ostatnie słowo, jakim można by opisać mojego ojczyma.

Gdy jako młoda kobieta sama po raz pierwszy się zakochałam, pojęłam, że Sulis nie kochał mej matki. Czy ktoś zakochany mógł być tak zimny jak on? Tak ponuro uprzejmy? Rozkochana w Tellarinie, moim tajemnym kochanku, zrozumiałam wtedy, że człowiek, który został moim ojczymem, a wcześniej spojrzął na moją matkę, nie mógł czuć do niej niczego, co przypominałoby miłość.

Dziś nie jestem już tego taka pewna. Tyle rzeczy wygląda inaczej, gdy myślę o nich teraz. Zaszedłszy tak daleko na ścieżce wieku, nabrałam dystansu, jakbym patrzyła na moje życie ze szczytu wzgórza, choć w pewnym sensie wiele rzeczy widzę o

wiele wyraźniej.

Sulis był roztropnym mężem, dlatego od razu zauważył nienawiść, jaką mój dziadek Godric pałał do Wielkiego Tana – słychać ją było w każdym jego słowie. Kiedy mówił o pogodzie, nie omieszkał nigdy wspomnieć, jak to lato bywało cieplejsze, a zima krótsza, kiedy sam był Wielkim Tanem, i że gdyby jego syn objął po nim rządy, każdy dzień przypominałby pierwszy dzień miesiąca Maia. Kiedy Sulis to spostrzegł, zaczął zabiegać o względy zgorzkniałego starca, wpierw podsuwając mu drobne podarki i prawiąc wyważone komplementy, a potem ubiegając się o rękę jego synowej.

Gdy dziadek miał już wystarczająco dobre zdanie o przybyszu, Sulis wykonał mistrzowskie posunięcie. Poprosił o rękę mej matki, oferując – za wdowę! – wiano, jakiego nie mogłaby się spodziewać córka panującego Wielkiego Tana: okazałą liczbę mieczy i dumnych nabbańskich rumaków, a także złotą zbroję. Obiecał też Godricowi, że zostawi mnie i mojego brata na wychowanie w jego domu.

Godric wciąż jeszcze żywił pewne nadzieje co do Aelfrica, więc bardzo się ucieszył. Ja niespecjalnie go obchodziłam. Potem obaj uznali, że moja matka byłaby szczęśliwsza, gdyby mogła wychowywać w nowym domu choć jedno ze swoich dzieci.

Tak więc zostało postanowione i potężny lord z obcego kraju wszedł do rodziny starego Wielkiego Tana. Godric oznajmił pozostałym tanom, że Sulis nie żywi złych zamiarów i że swoim uczynkiem dowiódł, iż pragnie żyć w pokoju pośród Ludu znad Jeziora. Dodał też, o czym wcześniej zapewnił go szlachcic, że kapłani ze świty Sulisa wypędzą niespokojne duchy z Wielkiej

Twierdzy, dlatego nowy pan w starym zamku przyniesie im podwójne błogosławieństwo.

Nie wiem, co myśleli o tym Osweard i pomniejsi tanowie. W obliczu entuzjazmu Godrica i potęgi nabbańskiego lorda, a być może i zawstydzeni w głębi serca śmiercią mojego ojca, ulegli. Lord Sulis i jego żona otrzymali Wielką Twierdzę, otoczoną pokruszonymi murami i zamieszkaną przez duchy.

Czy moja matka kochała drugiego męża? Tego nie potrafię powiedzieć, podobnie jak nie wiem, co czuł Sulis. Odeszli tak dawno temu, że poza mną nie ma już wśród żywych nikogo, kto by znał ich oboje. Gdy ujrzała go po raz pierwszy na progu domu Godrica, z pewnością prezentował się okazale. Nie był już młody – jak moja matka, zdążył owdowieć, choć od tej chwili minęło tylko dziesięciolecie, tymczasem ona dopiero co utraciła małżonka – lecz był wielkim mężem z największego z miast. Nosił śnieżnobiały płaszcz narzucony na zbroję i spięty na ramieniu lapisową klamrą w kształcie rodowej czapli. Wkroczył do sali z hełmem pod pachą, tak więc matka ujrzała, że niewiele ma włosów – tylko trochę kręconych z tyłu głowy i za uszami. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał ogolony, zarysowany mocno podbródek i szeroki, wydatny nos. Jego silne, grube rysy nadawały mu wygląd kontemplacyjny, a nawet nieco smutny; była to twarz, jak powiedziała mi kiedyś matka, którą mógłby mieć sam Bóg w Dzień Osądu.

Wzbudzał w niej strach i podziw zarazem – wyczułam to, gdy mówiła o ich pierwszym spotkaniu. Ale czy kochała go wtedy lub później? Nie potrafię orzec. Czy ma to jakieś znaczenie? Po tylu latach trudno powiedzieć, że tak jest.

Nie miała łatwego życia w domu swego teścia, więc bez względu na uczucia, jakie żywiła do Sulisa, była z pewnością szczęśliwa, że wychodzi za niego.

W miesiącu, w którym zmarła – miałam wtedy trzynaście lat – matka wyznała mi, że według niej Sulis bał się ją pokochać. Nigdy mi tego nie wyjaśniła, gdyż była już wtedy bardzo osłabiona i nawet mówienie sprawiało jej trudność, dlatego nie wiem, co miała na myśli.

Tuż przed śmiercią powiedziała coś jeszcze mniej zrozumiałego. Gdy ból tak bardzo ścisnął jej pierś, że traciła oddech na długie chwile, zebrała się na wysiłek i wyrzuciła z siebie to jedno zdanie: „Jestem duchem”.

Może miała na myśli swoje cierpienie, może chciała powiedzieć, że trwa uciepiona tego świata jak nieśmiały duch, który miał pójść do Nieba, snuje się wokół miejsc poznanych za życia. Jej ostatnie życzenie upewniło mnie, że miała już dość tego świata. Mimo to wciąż się zastanawiam, czy jej słowa mogły mieć jakieś inne znaczenie. Może chciała powiedzieć, że jej życie po śmierci mojego ojca przypominało życie ducha? A może sugerowała raczej, że stała się cieniem we własnym domu, czymś, co czaiło się w mrokach korytarzy Wielkiej Twierdzy w oczekiwaniu, że jej drugi mąż dostrzeże to w końcu i da mu prawdziwe życie, czego ten milczący, obciążony tajemnicą człowiek nigdy nie uczynił?

Moja biedna matka. Nasza biedna, umęczona rodzina!

Niewiele pamiętam z pierwszego roku małżeństwa mej matki z Lordem Sulisem, ale nigdy nie zapomnę dnia, w którym znaleźliśmy się w nowym domu. Wysłano tam wcześniej ludzi,

by możliwie najbardziej ułatwić nam przyjazd. Wiem, że tak było, bo po przybyciu zastaliśmy ogromny namiot na porośniętym trawą Wewnętrznym Dziedzińcu. Spaliśmy w nim przez pierwsze miesiące, lecz dziecko, jakim wtedy byłam, wyobrażało sobie, że znaleźliśmy się w miejscu, w którym nie stanęła wcześniej stopa śmiertelnika. Za każdym rogiem spodziewałam się ujrzeć ogra lub czarownicę.

Przejechawszy drogą, która wiodła przez szczyt klifu u wybrzeża Kingslake, dotarliśmy do muru kurtynowego i zaczęliśmy okrążyć zamek. Wysłani przodem ludzie wycięli drogę w cieniu murów, co znacznie ułatwiło nam przejazd. Podążaliśmy więc tunelem wyciętym między murem a ścianą lasu. W miejscach, gdzie nie do końca wykarczowano drzewa i krzewy, las Kingswood dochodził do samego zamku, napierając korzeniami i lianami na ogromne kamienie jego murów.

Przy północnej bramie ujrzeliśmy oczyszczoną część zbocza, nic poza pniami i osmaloną ogniem trawą; nikomu się jeszcze nie śniło, że w tym miejscu wyrośnie kiedyś tętniące życiem Erkynchester. Część roślinności pozostała, dlatego kolumny zburzonej na poły wartowni wciąż oplatały liany. Ich korzenie wyrastały ze szczelin dziwnego, lśniącego kamienia, a grube, splątane warkocze pnączy tworzyły coś na kształt altany.

— Widzisz? – Lord Sulis rozłożył silne ramiona, jakby sam zaprojektował i stworzył ciągnące się przed nim pustkowie. – Największy i najstarszy zamek będzie naszym domem.

Gdy poprowadził ją przez próg do ruin prastarej twierdzy, matka zrobiła na piersi znak Drzewa.

Teraz wiem wiele rzeczy, których nie wiedziałam pierwszego

dnia pobytu w Wielkiej Twierdzy. Niektóre z opowieści o tym miejscu, jak się przekonałam, nie są prawdziwe, lecz inne z pewnością tak. Przede wszystkim nie ulega wątpliwości, że mieszkali tam Ludzie z Północy. Co krok znajdowałam monety, na których wybito proste „F”, symbol ich Króla Fingila, a robotnicy mojego ojczyma odkopali na Zewnętrznym Dziedzińcu fragmenty ich długich drewnianych domów. Tak więc doszłam do wniosku, że skoro prawdziwa jest opowieść o Ludziach z Północy zamieszkujących to miejsce, to nie ma powodów, by nie wierzyć w legendę o smoku lub o tym, jak Ludzie z Północy w okrutny sposób wymordowali nieśmiertelnych mieszkańców zamku.

Wcale nie potrzebowałam tak prozaicznych dowodów jak ruiny czy monety, by uwierzyć, że nasz dom pełen jest niespokojnych duchów. Przekonałam się o tym ponad wszelką wątpliwość w noc, kiedy ujrzałam człowieka z płomieni.

Może ktoś, kto wyrósł w Nabbanie albo w jednym z wielkich miast południa, nie dziwiłby się tak bardzo, widząc po raz pierwszy Wielką Twierdzę, ale ja byłam dzieckiem Ludu znad Jeziora. Wcześniej największym budynkiem, jaki kiedykolwiek widziałam, była ogromna sala w naszym mieście, w której każdej wiosny spotykali się tanowie, a którą można by ukryć w jednej z części Wielkiej Twierdzy i nikt nigdy by jej nie znalazł. Już pierwszego dnia naszego pobytu w fortecy uznałam, że jedynie olbrzymy mogły zbudować tak potężny zamek.

Mur kurtynowy robił ogromne wrażenie na małej dziewczynce – dziesięć razy większy ode mnie, z ogromnych, surowych kamieni, które, jak sobie wyobrażałam, tylko

największy spośród ogrów potrafił ustawić na miejscu – lecz mur wewnętrzny, czy raczej jego pozostałości, oprócz tego, że olbrzymi, był także piękny. Ułożono go ze śnieżnobiałego, wypolerowanego jak klejnoty kamienia; ogromne bloki dorównywały rozmiarami kamieniom z muru zewnętrznego, tutaj jednak połączono je tak starannie, że z pewnej odległości wydawały się jednym kawałkiem, jakby z ziemi wyrastał półksiężyc z kości słoniowej lub z innej kości.

Wiele budowli w twierdzy zostało spalonych lub zburzonych, niektóre po to, by dostarczyć kamienia ludziom z Rimmersgard, którzy zbudowali swoją wieżę – pękatą jak beczka, lecz bardzo wysoką. W każdym innym miejscu z pewnością podziwiałabym ogromną budowlę Ludzi z Północy, która zdominowała wszystko dookoła, ale nie w każdym innym mieście mogłabym zobaczyć Wieżę Anioła.

Wtedy jeszcze nie znałam jej nazwy – nie miała żadnej, ponieważ postać na jej czubku była ledwo widoczna – lecz gdy tylko ją zobaczyłam, od razu uznałam, że nigdzie indziej nie znalazłabym czegoś podobnego, i choć raz nie była to przesadna dziecięca gadanina. Wejście blokowały gruzy, których Ludzie z Północy nigdy ostatecznie nie uprzątnęli, a dolna fasada w znacznej części pokruszyła się i odpadła na skutek jakiegoś niewyobrażalnego kataklizmu, tak że pozostała jedynie podstawa z surowego kamienia, która i tak wznosiła się ku niebu niczym ogromny, biały kiel przewyższający każde drzewo, przewyższający wszystko, co zbudowała ręka śmiertelnika.

Podniecona, ale i przestraszona pytałam wciąż matkę, czy wieża nie przewróci się na nas. Próbowwała mnie uspokoić,

tłumacząc, że stoi tam dłużej, niż potrafię to sobie wyobrazić, że może stała tam nawet przed tym, jak u brzegów Kingslake pojawili się ludzie, co z kolei nasunęło mi inne, jeszcze dziwniejsze myśli.

„Przynieś mi smoczy pazur” – to ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do mnie moja matka.

Początkowo sądziłam, że w końcowych godzinach życia wróciła myślami do pierwszych dni naszego pobytu na zamku.

Historia o smoku z Wielkiej Twierdzy, który wypędził ostatnich Ludzi z Północy, była zbyt stara, żeby przestraszyć słuchaczy, chyba że opowiadano ją małej dziewczynce. Ludzie z otoczenia ojczyma przynosili mi kawałki wypolerowanego kamienia – dopiero później dowiedziałam się, że były to okruchy rzeźb umieszczonych na ścianach w najstarszych częściach zamku – i mówili:

— Widzisz, to kawałek pazura ogromnego czerwonego smoka. Bestia mieszka w jaskiniach pod zamkiem, ale nocą wychodzi czasem na górę i węszy dokoła. Szuka dziewczynek na pożarcie!

Z początku wierzyłam im, potem jednak, kiedy urosłam i przestałam być tak łatwowierna, kpiłam sobie na samą myśl o smoku. Teraz, chociaż jestem już stara, znowu dręczą mnie sny o nim. Czasem nawet podczas bezsennej nocy wydaje mi się, że wyczuwam jego obecność w ciemności pod zamkiem, czuję niepokój, który mąci jego długi, głęboki sen.

Tak więc tamtej nocy, kiedy moja umierająca matka kazała mi przynieść smoczy pazur, pomyślałam, że przypomniały jej się chwile z naszego pierwszego roku na zamku. Już miałam pójść poszukać jednego ze starych kamieni, ale zatrzymała mnie jej

służąca, Ulca – tak Nabbańczycy nazywali swoje pokojówki – która powiedziała mi, że nie o to chodziło matce. Smoczy pazur, jak mi wyjaśniła, dawano tym, którzy bardzo cierpieli, by zaznali ulgi szybkiej śmierci. Ulca mówiła to ze łzami w oczach: pewnie jako dość gorliwa aedonitka nie popierała podobnych praktyk, ponieważ jednak była młodą i rozsądną kobietą, nie chciała tracić czasu na dyskusje o tym, co jest złe, a co dobre w danej chwili. Wyjaśniła mi, że coś takiego mogę dostać tylko od kobiety o imieniu Xanippa, która mieszka w osadzie powstałej tuż za murami Wielkiej Twierdzy.

Wtedy wyrastałam już na kobietę, lecz w dużej mierze czułam się jeszcze dzieckiem. Przeraziła mnie myśl, że będę musiała wyjść za mury zamku po zmroku, ale przecież prosiła mnie o to matka, co więcej, odmowa spełnienia prośby na łożu śmierci uznawana była za grzech jeszcze na długo przed tym, nim Matka Kościół określił, co jest dobre, a co złe. A więc zostawiłam Ulcę przy łożu matki i wyszłam w noc wypełnioną ciemnością i deszczem.

Kobieta zwana Xanippą była kiedyś dziwką, gdy jednak przybyło jej lat i tłuszczu, uznała, że czas zmienić zawód, i została zielarką. Jej wałaca się, wypełniona dymem i okropnymi zapachami chata stała przyklejona do południowego muru kurtynowego twierdzy. Włosy tej kobiety przypominały ptasie gniazdo, a wiązała je czymś, co niegdyś było piękną wstążką. Jej być może urodziwa w przeszłości, zmieniona przez tłuszcz i lata twarz wyglądała tak, jakby wyciągnięto ją z sieci rybackiej. Była tak ogromna, że w trakcie mojej wizyty, a podejrzewam, że nie tylko, nie wstawiała wcale ze swojego stołka przy ogniu.

Początkowo Xanippa patrzyła na mnie podejrzliwie, gdy jednak dowiedziała się, kim jestem i po co przyszłam, a wyraz mej twarzy upewnił ją, że mówię prawdę, przyjęła trzy małe monety, po czym kazała sobie podać kuferek z popękanego drewna, który stał w kącie przy palenisku. Jak jego pani, niechybnie pamiętał lepsze czasy. Wsparłszy kufer o brzuch, zaczęła przeszukiwać jego zawartość z niezwykłą ostrożnością, która wcale do niej nie pasowała.

— Jest – powiedziała wreszcie. – Smoczy pazur. – Wyciągnęła rękę w moją stronę i pokazała mi coś czarnego i zakrzywionego. Bez wątpienia był to pazur, lecz stanowczo za mały, by mógł należeć do jakiegokolwiek smoka, którego potrafiłam sobie wyobrazić. Xanippa dostrzegła moje wahanie. – To łapa sowy, głupia. Ale nazywają ją smoczym pazurem. – Wskazała na małą szklaną kulę nasuniętą na czubek pazura. – Nie zdejmuj jej i nie rozbij. W ogóle nie dotykaj. Masz jakąś sakiewkę?

Pokazałam jej mały mieszek, który zawsze nosiłam na rzemieniu, zawieszony na szyi. Kobieta skrzywiła się.

— Materiał jest bardzo cienki. – Z jednej z kieszeni bezkształtnej szaty wyjęła gałgan, owinęła nim pazur i dopiero wtedy wrzuciła go do mieszka, który wsunęła mi z powrotem za stanik. Chowając go, uszczypnęła mnie w pierś tak mocno, że aż syknęłam z bólu, a następnie poklepała po głowie. – Miłościwa Rhiapo, czy ja kiedyś byłam tak młoda? – mruknęła. – Ale co tam, bądź ostrożna, kwiatuszku. Na końcu pazura jest trochę sercojadu z bagien Wranu. Wystarczy jedno ukłucie i umrzesz jako dziewica. – Roześmiała się. – A tego chyba nie chcesz, co?

Wycofałam się do drzwi. Xanippa uśmiechnęła się, widząc, że się boję.

— I przekaz coś ojcu. Nie znajdzie tego, czego szuka, wśród tutejszych bab ani wśród zielarek Ludu znad Jeziora. Powiedz mu, że może mi wierzyć, bo gdybym potrafiła rozwiązać jego zagadkę, z pewnością bym to zrobiła i, och, drogo by musiał zapłacić! Ale nie, będzie musiał odnaleźć Leśną Wiedźmę i jej zadać swoje pytania.

Zaśmiała się raz jeszcze, gdy otworzyłam drzwi i wybiegłam z chaty. Deszcz rozpadał się na dobre, więc potknęłam się kilka razy, mimo to jednak biegłam przez całą drogę na zamek.

Kiedy wróciłam, dowiedziałam się, że kapłan był już i poszedł, podobnie jak mój ojczym, który nie powiedział ani słowa, jak twierdziła Ulca. Matka zmarła wkrótce po moim wyjściu. Zawiodłam ją, zostawiłam, by cierpiała i umarła w samotności, bez rodziny. Przepęlniał mnie pałący smutek i wstyd i myślałam, że ból ten nigdy mnie nie opuści. Kobiety przygotowywały ją do pogrzebu, a ja siedziałam tylko i płakałam. Smoczy pazur kołysał się na mojej piersi, niemal zapomniany.

W ciągu następnych tygodni błąkałam się po zamku, zagubiona i pogrążona w smutku. Minął prawie miesiąc od pogrzebu matki, gdy przypomniałam sobie o wiadomości od Xanippy, którą miałam przekazać ojczymowi.

Znalazłam go na murach, gdzie stał wpatrzony w wody Kingslake, i opowiedziałam mu o tym, co usłyszałam od Xanippy. Nie zapytał, jak to się stało, że jestem posłańcem takiej kobiety. Nie dał mi nawet wyraźnie poznać, że mnie słyszał. Wciąż patrzył na coś w oddali, może na łódzie rybackie, słabo widoczne

we mgle.

Pierwsze lata w zrujnowanej Wielkiej Twierdzy były ciężkie nie tylko dla mnie i dla mojej matki. Nadeszła pierwsza ponura zima i Lord Sulis musiał nadzorować odbudowę, a jednocześnie podtrzymywać na duchu swoich ludzi.

Co innego przysiąc w porywie lojalności, że pójdzie się wszędzie za wypędzonym dowódcą, a co innego, kiedy oznacza to prawdziwe wygnanie. Gdy nabbańscy żołnierze zrozumieli, że zimny Erkynland, liche państewko, już na zawsze będzie ich domem, pojawiły się problemy: pijaństwo, bójkki, a także nieporozumienia między ludźmi Sulisa a miejscowymi... moimi ludźmi, powinnam była powiedzieć, lecz czasami o tym zapominałam. Po śmierci matki czułam się czasem tak, jakbym to ja była wygnańcem, który znalazł się wśród nabbańskich nazw, twarzy i mowy, chociaż stąpałam po mojej ziemi.

Nie mieliśmy powodów do radości tamtej pierwszej zimy, ale przeżyliśmy i trwaliśmy dalej. Jeśli jednak urodził się ktoś, kto miał przetrwać podobne próby, z pewnością był to mój ojczym.

Kiedy patrzę teraz na niego oczyma wyobraźni, widzę jego krzaczaste brwi i surową twarz i wyobrażam go sobie jako wyspę, samotną wyspę po drugiej stronie niebezpiecznych wód, wyspę, która leży blisko brzegu, lecz której nikt nigdy nie odwiedza. Byłam wtedy za młoda i zbyt nieśmiała, by spróbować zawołać do niego ponad przesmykiem, który nas rozdzielał, chociaż nie miało to znaczenia, ponieważ Sulis nie wyglądał na kogoś, kto żałuje swojej samotności. Nawet w pełnej ludzi sali siedział zawsze ze wzrokiem wbitym w ścianę, jakby potrafił dostrzec przez kamień jakieś lepsze miejsce. Nawet w chwilach

najlepszego humoru rzadko słyszałam jego śmiech. Jeśli już, to na jego ustach pojawiał się zdawkowy uśmiech sugerujący, że i tak nikt nie zrozumiałby dowcipów, które uważał za śmieszne.

Nie był złym człowiekiem, czy nawet trudnym w pożyciu, jak mój dziadek Godric, lecz gdy widziałam, jak bardzo oddani są mu jego żołnierze, nie potrafiłam tego pojąć. Tellarin powiedział mi kiedyś, że gdy został towarzyszem Avallesa, usłyszał od innych, jak Lord Sulis wyniósł z pola bitwy dwóch rannych poddanych, a szedł tam dwukrotnie, zasypywany strzałami Thrithingów. Jeśli to prawda, łatwo można zrozumieć, dlaczego jego ludzie tak go kochali, lecz wypełnione echem korytarze Wielkiej Twierdzy nie dawały zbyt wielu sposobności do podobnych wyczynów.

Kiedy jeszcze byłam młoda, Sulis poklepywał mnie po głowie albo zadawał jakieś pytanie, co miało być oznaką jego ojcowskiej troski, a co w rzeczywistości pokazywało, że nie jest do końca pewien, ile mam lat i czym się interesuję. W miarę jak stawałam się kobietą, on stawał się coraz bardziej zasadniczy. Chwalił moje stroje albo robótki w taki sam sposób, w jaki witał mieszkańców Wielkiej Twierdzy w czasie Aedonmansy, gdy wywoływał każdego po imieniu, którego nauczył się z ksiąg zarządcy dworu, i życzył mu dobrego roku.

Po śmierci mej matki Sulis odsunął się od ludzi jeszcze bardziej, jakby strata żony ostatecznie uwolniła go od codziennych obowiązków, które zawsze wykonywał w tak mechaniczny, wyuczony sposób. Coraz mniej czasu poświęcał rządzeniu, coraz częściej za to zagłębiał się w lekturze – czasem spędzał nad książką całe noce, otulając się szczelnie przed chłodem i wypalając świece szybciej niż reszta domowników

razem wzięta.

Z rodzinnego Nabbanu przywiózł głównie opasłe tomy religijnych pouczeń, ale też księgi historyczne i wojskowe. Od czasu do czasu pozwalał mi obejrzeć którąś, lecz wtedy, choć pobierałam już nauki, czytałam jeszcze bardzo wolno i nie rozumiałam dziwnych nazw oraz przeznaczenia urzędzeń, które pojawiały się w opisach bitew. Miał też i inne książki, na które jednak nie pozwolił mi nawet zerknąć. Te, oprawione w zwykłe okładki, trzymał zamknięte w drewnianych skrzyniach. Gdy po raz pierwszy ujrzałam, jak chowa jedną z nich, jeszcze długo potem wracało do mnie wspomnienie tej chwili. Zastanawiałam się, jakież to muszą być księgi, że trzeba je trzymać w zamknięciu.

W jednej z drewnianych skrzyń chował własne zapiski, o czym dowiedziałam się dopiero dwa lata później, kiedy miała nadejść noc Czarnego Ognia.

Było to w tym samym roku, w którym umarła moja matka. Pewnego dnia zastałam go w sali tronowej, pogrążonego w lekturze, i wtedy właśnie Lord Sulis jeden jedyny raz naprawdę spojrzął na mnie.

Gdy zapytałam nieśmiało, co robi, pozwolił mi obejrzeć księgę, którą trzymał na kolanach – pięknie iluminowaną historię proroka Varrisa ze złotą czapłą Honsa Sulis na okładce. Przesunęłam palcem po ilustracji przedstawiającej łamanego kołem Varrisa.

— Biedny, biedny człowiek – powiedziałam. – Jak on musiał cierpieć. A wszystko dlatego, że pozostał wierny Bogu. Z pewnością Pan przywitał go z radością w Niebiosach.

Obraz umęczonego proroka poruszył się niespodziewanie – widocznie mój ojczym drgnął. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że wpatruje się we mnie intensywnie: brązowe oczy miał szeroko otwarte i przepełnione uczuciami, których nie potrafiłam odczytać, więc przez moment bałam się, że chce mnie uderzyć. I rzeczywiście uniósł ogromną dłoń, lecz bardzo powoli. Dotknął moich włosów, a potem zacisnął dłoń w pięść, nie przestając mi się przyglądać.

— Wszystko mi odebrali, Bredo. – Powiedział to przez gardło ściśnięte bólem, którego nie pojmowałam. – Ale ja nigdy nie ugnę karku. Nigdy.

Wstrzymałam oddech, niepewna i wciąż nieco przestraszona. Chwilę później opamiętał się. Przyłożył dłoń do ust, udając kaszel – nie znałam człowieka, który byłby bardziej niezdarny w udawaniu – i kazał mi odejść, by móc dokończyć lekturę, póki miał jeszcze światło. Do dziś nie wiem, kto jego zdaniem odebrał mu wszystko. Imperator i jego dwór w Nabbanie? Kapłani Matki Kościoła? A może Bóg i Jego armia aniołów?

Wiem natomiast, że próbował mi wtedy opowiedzieć o tym, co trawiło jego duszę, ale nie umiał znaleźć słów. Wiem też, że przynajmniej w tamtej jednej chwili współczułam mu całym sercem.

Mój Tellarin zapytał mnie kiedyś:

— Jak to możliwe, że żaden inny nie chciał, byś była jego? Jesteś piękna, a do tego córka króla.

Ale, jak już mówiłam wcześniej, Lord Sulis nie był mym ojcem ani królem, a lustro, które wcześniej należało do mej matki, nie pozostawiało wątpliwości, że mój żołnierz przeceniał mą urodę.

W przeciwieństwie do matki, jasnowłosej, jasnolicej kobiety, byłam ciemna. Ona miała smukłą szyję, długie nogi i ramiona oraz kształtne biodra, ja urodziłam się drobna jak chłopiec. Nigdy nie zajmowałam dużo miejsca na ziemi, pod nią też nie zajmę zbyt dużo. Gdy będą kopać mój grób, nie trzeba będzie wzruszać zbyt wiele gruntu.

Ale Tellarin mówił słowami miłości, która niczym zaklęcie przepędza zdrowy rozsądek.

— Jak to się stało, że wybrałaś takiego prostaka? – zapytał mnie kiedyś. – Jak możesz kochać mężczyznę, który miast ziemi może dać ci tylko farmę, jaką można kupić za żołnierski żołd? Który nie da twoim dzieciom tytułów i zaszczytów?

Bo miłość nie potrafi rachować – powinnam mu wtedy odpowiedzieć. Miłość dokonuje wyboru, a potem oddaje się bez reszty.

Gdyby zobaczył siebie takim, jakim ujrzałam go po raz pierwszy, nie pytałby o nic.

Stało się to pewnego dnia wczesną wiosną, w piętnastym roku mego życia. O świcie straż dostrzegła łodzie na Kingslake. Nie były to zwykłe łodzie rybackie, lecz barki, a na każdej więcej niż tuzin ludzi wraz z rumakami. Wielu mieszkańców zamku wybiegło na brzeg, by zobaczyć podróżnych i wypytać o nowiny.

Kiedy już znieśli na brzeg wszystkie swe dobra, Tellarin i jego kompani dosiedli koni i pojechali ścieżką w górę zbocza, do głównej bramy. Odbudowano ją krótko przed ich przybyciem z prostych, nieokorowanych belek, lecz była wystarczająco mocna, by powstrzymać wroga w wypadku ataku. Ojczym miał powody, by nie zapominać o ostrożności, co potwierdziła delegacja, która

przybyła tamtego dnia.

Na czele grupy stał przyjaciel Tellarina, Avalles, rycerz konny, a jednocześnie jeden z bratanków w rodzinie Sulisów, lecz trudno było nie zauważyć, który z nich tak naprawdę cieszył się oddaniem żołnierzy. Kiedy ujrzałam go po raz pierwszy, mój Tellarin miał zaledwie dwadzieścia lat. Nie był przystojny – twarz miał zbyt pociągłą, a nos za duży, by jego oblicze mogło być wzorem dla wdzięcznych twarzy aniołów z rycin w księgach mego ojczyma – ale wydał mi się całkiem piękny. Jadąc na swym koniu, zdjął hełm, by poczuć poranne słońce, a jego złociste włosy powiewały na wietrze. Nawet ja, niedoświadczona dziewczyna, widziałam, że jest wciąż za młody jak na wojownika, zauważyłam też jednak podziw, którym darzył go jego towarzysze.

Tellarin odnalazł mnie w tłumie otaczającym mojego ojczyma, a potem uśmiechnął się, jakby mnie rozpoznał, choć nie widzieliśmy się nigdy wcześniej. Krew popłynęła szybciej w mych żyłach, lecz tak niewiele wiedziałam wtedy o świecie, że nie rozpoznałam gorączki miłości.

Ojczym uściskał Avallesa, a następnie pozwolił, by Tellarin i pozostali klęknęli przed nim i oddali mu hołd, choć z pewnością pragnął jak najszybciej zakończyć tę ceremonię i wrócić do swoich ksiąg.

Posłańców wysłała z Nabbanu rada rodzinna rodu Sulisa. List przywieziony przez Avallesa informował mojego ojczyma, że znowu mówi się o nim na dworze Imperatora, w dużej mierze za sprawą aedonickich kapłanów. Gdyby chodziło o jakiegoś biedaka żywiącego dziwaczne, może nawet mało religijne

przekonania, nie byłoby sprawy, jeśli jednak podobne poglądy padają z ust szlachcica, który posiada ziemię, bogactwa i znane nazwisko, wielu wpływowych ludzi może się czuć zagrożonych. Dlatego w obawie o życie mego ojczyrna rodzina wysłała ten doborowy oddział wraz z ostrzeżeniem, by zachowywał większą niż kiedykolwiek ostrożność.

Chociaż przybysze mieli ważniejsze zadania, wieści z domu były zawsze mile widziane, a poza tym doszło też do radosnych spotkań, gdyż wielu członków nowego oddziału walczyło niegdyś u boku żołnierzy armii mego ojczyrna.

Kiedy wreszcie Lord Sulis mógł ponownie oddać się lekturze, lecz zanim jeszcze Ulca zdążyła wyprowadzić mnie z sali, Tellarin zapytał Avallesa, czy może zostać mi przedstawiony. Avalles był ponurym młodzieńcem o grubych rysach i twarzy porośniętej słabym zarostem, starszym od Tellarina zaledwie o kilka lat, ale tak przesiąkniętym powagą typową dla jego rodu, że sprawiał wrażenie głupawego starego wuja. Chwyciwszy mnie zbyt mocno za rękę, wymamrotał kilka pochwał pod moim adresem, opowiadając, jakie to piękne kwiaty rosną na północy, po czym przedstawił przyjacielowi.

Tellarin nie ucałował mej dłoni, za to bardzo mocno objął mnie spojrzeniem jasnych oczu i powiedział:

— Pani, ten dzień zostanie w mej pamięci na zawsze. – I skłonił się.

Ulca chwyciła mnie wtedy za łokieć i odciągnęła do tyłu.

Nawet ogarnięta gorączką miłosną, która miała mnie rozpalać przez cały piętnasty rok mego życia, nie mogłam nie zauważyć, że zmiany, jakie dostrzegłam u ojczyrna po śmierci matki,

pogłębiały się.

Lord Sulis nie opuszczał już prawie swoich komnat, a z księgami i zapiskami rozstawał się tylko na krótkie chwile, by zająć się najbardziej palącymi sprawami. Regularnie rozmawiał tylko z Ojcem Ganaristem, prostolinijnym kapelanem wojskowym, który jako jedyny kapłan przybył z nim z Nabbanu. Sulis ulokował dawnego towarzysza z pól bitewnych w nowo wybudowanej kaplicy zamkowej, jednym z nielicznych miejsc, jakie pan Wielkiej Twierdzy jeszcze odwiedzał. Trudno było jednak powiedzieć, aby jego wizyty sprawiały staremu kapelanowi wielką radość. Któregoś razu zobaczyłam ich w chwili, gdy się żegnali. Kiedy Sulis odwrócił się i ruszył przez dziedziniec, walcząc z wiatrem, Ganaris odprowadził go spojrzeniem smutnym i ponurym, spojrzeniem kogoś, kto patrzy na przyjaciela trawionego śmiertelną chorobą.

Może gdybym spróbowała, potrafiłabym jakoś pomóc mojemu ojczymowi. Może znaleźlibyśmy inną ścieżkę od tej, która zaprowadziła nas pod rosnące w ciemności drzewo. Prawda jest jednak taka, że choć widziałam oznaki, nie zwracałam na nie większej uwagi. Tellarin, mój żołnierz, zaczął się do mnie zalecać – najpierw tylko rzucał spojrzenia i pozdrawiał, potem przesyłał drobne upominki – przez co wszystko inne w moim życiu niemal straciło znaczenie.

W rzeczywistości mój świat zmienił się tak bardzo, jakby nad Wielką Twierdzą zaświeciło nowe, większe słońce, którego promienie wypełniły najdalsze zakamarki zamku. Uczucie, jakim darzyłam jasnookiego Tellarina, nadało nowe znaczenie najbardziej nawet przyziemnym czynnościom. Przykładałam się

pilnie do nauk religijnych i lekcji czytania, by sprawić się jak najlepiej w rozmowie z ukochanym... no, może poza dniami, kiedy w ogóle nie miałam na to ochoty, pogrążona w marzeniach o nim. Chodziłam po całym zamku w nadziei, że gdzieś go spotkam, że nasze spojrzenia skrzyżują się choć na chwilę na dziedzińcu albo w korytarzu. Nawet opowieści, które Ulca snuła podczas robótek, a które dotąd sprawiały, że przyjemniej mijał czas, brzmiały inaczej. Teraz to my byliśmy królową i królewiczem, którzy się zakochali. Cierpiałam z nimi, a ich ostateczny triumf przepełniał mnie słodyczą tak ogromną, że bałam się, iż któregoś dnia zemdleję.

W końcu Ulca, która domyślała się, lecz nie miała pewności, nie chciała już więcej opowiadać mi jakichkolwiek historii, w których bohaterowie się całowali.

Wtedy jednak miałam już swoją opowieść, którą żyłam przez cały czas. Moim pierwszym pocałunkiem radowałam się w ogrodzie owianym zimowym wiatrem, w cieniu wieży Ludzi z Północy. Od tamtej chwili ta brzydka budowla zawsze już wydawała mi się piękna, a ilekroć na nią patrzyłam, robiło mi się ciepło, nawet w najzimniejsze dni.

— Twój ojczym mógłby mnie skrócić o głowę – powiedział wtedy mój żołnierz, dotykając delikatnie swoim policzkiem mojego. – Zdradziłem i służbę, i jego zaufanie.

— Skoro więc i tak jesteś już potępiony, możesz ukraść jeszcze trochę – odpowiedziałam mu szeptem, pociągnęłam go głębiej w cień i całowałam tak długo, aż zdrętwiały mi usta.

Czułam, że żyję tak, jak nigdy wcześniej, i niemal napełniało mnie to szaleństwem. Byłam spragniona mojego żołnierza, jego

pocałunków, oddechu, głosu.

Obdarowywał mnie drobiazgami, których próżno było szukać w ponurym domu Lorda Sulisa: przynosił mi kwiaty, słodycze, bawidelka kupione na targach w Erkynchesterze, nowym mieście, które powstało za murami zamku. Z trudem przychodziło mi wkładać do ust miodowe figi, które dla mnie kupował: nie dlatego, że były zbyt drogie na jego sakiewkę – nie był bogaty jak jego przyjaciel Avalles – lecz dlatego, że to on mi je podarował. Jedzenie tak cennych podarunków wydawało mi się ogromnym marnotrawstwem.

— W takim razie zjadaj je powoli. Będą całowały twoje usta wtedy, kiedy ja nie mogę – powiedział mi.

Oddałam mu się, rzecz jasna, całkowicie i bez reszty. Nie zwracałam uwagi na mroczne opowieści Ulki o zbrukanych kobietach, które rzucały się w wody Kingslake, o pannach odsyłanych w niełasce do domu czy o bękartach, które dawały początek okrutnym wojnom. Oddałam Tellarinowi i serce, i ciało. Któż postąpiłby inaczej? Gdyby dane mi było raz jeszcze stać się tamtą dziewczyną, która z ponurego dzieciństwa weszła w dzień pełen blasku, postąpiłabym tak samo, i to równie ochoczo. Chociaż dzisiaj widzę, jaka byłam głupia, nie mogę winić tamtej dziewczyny. Kiedy jest się młodym i ma przed sobą tak wiele życia, brakuje cierpliwości, nie rozumie się, że nadejdą jeszcze inne dni, inne czasy, inne okazje. Bóg takimi nas stworzył. Kto wie dlaczego?

Jeśli chodzi o mnie, nie czułam wtedy niczego poza wrzeniem krwi. Gdy zapukał do mych drzwi w środku nocy, powiodłam go do mego łóża. Potem odszedł, a ja płakałam, lecz wcale nie ze

wstydu. Przychodził do mnie jeszcze wiele razy, kiedy siwiała jesień, a gdy nadeszła zima, zbudowaliśmy nasz sekretny, wypełniony ciepłem świat. Nie wyobrażałam sobie choćby chwili bez niego.

Głupia młodość, bo przecież przeżyłam bez niego już tyle lat. I nawet zaznałam w życiu wiele przyjemności od chwili, gdy go straciłam, choć wtedy nie dałabym wiary, że będzie to możliwe. Myślę też jednak, że nigdy już nie żyłam tak intensywnie i tak prawdziwie jak w pierwszym roku mojego szaleńczego odkrycia. Jakbym przeczuwała, że nie dane nam będzie zostać długo ze sobą.

Jakkolwiek to nazwiemy: losem, przeznaczeniem czy też wolą Niebios, gdy spoglądam wstecz, widzę teraz, jak każde z nas zostało popchnięte na tę ścieżkę, jak wszyscy zostaliśmy przygotowani na drogę do ciemnych miejsc.

Którejś nocy miesiąca Feyevera owego roku zaczęłam zdawać sobie sprawę, że mym ojczymem owładnęło coś więcej niż tylko roztargnienie. Biegłam korytarzem do mojej komnaty – zdążyłam się pożegnać z Tellarinem i byłam jeszcze podniecona spotkaniem z nim – gdy niemal wpadłam na Sulisa. Najpierw zdumiałam się, potem przeraziłam. Byłam pewna, że moje przewinienie jest równie widoczne jak krew na białym prześcieradle. Czekałam, drżąc, aż mnie zdemaskuje. On jednak zamrugał tylko i podniósł wyżej świecę.

— Breda? Co ty wyprawiasz, dziewczyno? – zapytał.

Ostatni raz nazwał mnie „dziewczyną” jeszcze przed śmiercią mej matki. Włosy miał potargane, jakby sam wracał ze schadzki, jeśli jednak nawet tak było, to z pewnością nie była ona

przyjemna. Przygarbiony, wydawał się tak zmęczony, że z trudem utrzymywał głowę w górze. Mężczyzna, który wywarł tak ogromne wrażenie na mej matce w czasie ich pierwszego spotkania w sali Godrica, zmienił się niemal nie do poznania.

Owinięty był w koce, lecz nogi od kolan w dół miał gołe. Czy mógł to być ten sam Sulis, zastanawiałam się, który, odkąd go znałam, ubierał się każdego dnia z taką samą starannością, z jaką wyznaczał linie ataku na polu bitwy? Poczulałam się nieswojo na widok jego bladych, bosych stóp.

— Ja... nie mogłam zasnąć, panie. Zapraǳnęłam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Musnął mnie spojrzeniem, a potem zaczął bacznie wpatrywać się w cienie. Nie wyglądał bynajmniej na zdeorientowanego, raczej na przestraszonego.

— Nie powinnaś wychodzić z komnaty o tak późnej porze. Te korytarze są pełne... – Zawahał się na moment, jakby powstrzymując się przed powiedzeniem czegoś. – Są pełne przeciągów – dokończył wreszcie. – Zmykaj stąd, dziewczyno.

Patrząc na niego, czulałam się nieswojo. Gdy odchodziłam powoli, nie mogłam się powstrzymać i powiedziałam:

— Dobranoc, panie, i niech cię Bóg błogosławi.

Pokręcił głową, niemal jakby zadrżał, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie.

Kilka dni później do Wielkiej Twierdzy przyprawiono w kajdanach wiedźmę.

Od Tellarina dowiedziałam się o sprowadzeniu tej kobiety do zamku. Kiedy leżeliśmy przytuleni, zaspokoiwszy nasze żądze, odezwał się niespodziewanie:

— Lord Sulis pojmał wiedźmę.

Zaskoczyły mnie jego słowa. Nawet ja, tak mało doświadczona, wiedziałam, że nie jest to temat, jaki zwykle porusza się w łóżku.

— Jak to?

— To kobieta, która mieszka w lesie Aldheorte – powiedział, wymawiając erkyndlandzką nazwę z charakterystyczną dla niego czarującą niezdarnością. – Często przychodzi na targ do miasteczka w dole Ymstreccy, na wschód od zamku. Dobrze ją tam znają, bo leczy ziołami, usuwa kurzajki i takie tam. Tak przynajmniej twierdzi Avalles.

Przypomniały mi się słowa niegdysiejszej dziwki Xanippy, które miałam przekazać ojczymowi owej nocy, kiedy zmarła moja matka. Chociaż noc była ciepła, przykryłam kocem nasze wilgotne ciała.

— Dlaczego Lord Sulis ją uwięził? – spytałam.

Tellarin pokręcił tylko głową.

— Pewnie dlatego, że jest wiedźmą i żyje w niezgodzie z Bogiem. Avalles z kilkoma żołnierzami zatrzymał ją i przyprowadził tutaj dziś wieczór.

— Mało to handlarek i zielarek chodzi po targowiskach miasteczek w okolicy jeziora? Dlaczego akurat ją uwięzili?

— Mój pan uważa, że nie jest po prostu starą, nieszkodliwą zielarką – odparł Tellarin. – Kazał ją zamknąć w jednej z najgłębszych cel pod salą tronową i zakuć w kajdany jej ręce i nogi.

Oczywiście musiałam ją zobaczyć, wiedziona tyle ciekawością, ile troską o ojczyma, który zdawał się popadać w coraz większe szaleństwo.

Rano, gdy Sulis spoczywał jeszcze w swym łożu, zesłam do lochów. Kobieta była jedynym więźniem – rzadko korzystano z głębokich cel, gdyż ci, których tam wtrącano, umierali najczęściej od chłodu i wilgoci, nim odsiedzieli karę, służąc za przykład innym – a strażnik ochoczo pozwolił pasierbicy pana zamku pogapić się na wiedźmę. Wskazał ostatnie drzwi w podziemnym korytarzu.

Musiałam się wspiąć na palce, by zobaczyć cokolwiek przez zakratowany otwór w drzwiach. W korytarzu płonęła tylko jedna pochodnia, umieszczona na ścianie za moimi plecami, dlatego wiedźma niemal całkowicie pozostawała w cieniu. Tak jak powiedział Tellarin, na nadgarstkach i kostkach miała łańcuchy. Siedziała na podłodze, w końcu celi pozbawionej okien, zgarbiona, przez co wyglądała jak przemoczony jastrząb.

Kiedy patrzyłam na nią, łańcuchy zadźwięczały lekko, chociaż nie podniosła głowy.

— Czego chcesz, córeczko? – Jej głos był zaskakująco niski.

— Lord... Lord Sulis jest moim ojczymem – bąknęłam w końcu, jakby to coś wyjaśniało.

Otworzyła gwałtownie oczy, ogromne i żółte. Już wcześniej przypominała mi drapieżnego ptaka, teraz wręcz bałam się, że podfrunie i wbije we mnie swe ostre szpony.

— Przyszłaś prosić w jego imieniu? – spytała. – Odpowiem ci to samo co jemu. Nie ma odpowiedzi na jego pytanie. Przynajmniej ja jej nie znam.

— Jakie pytanie? – zapytałam nieśmiało.

Wiedźma przyglądała mi się długą chwilę, a potem dźwignęła się na nogi. Widziałam, że z trudem podniosła łańcuchy. Podeszła

bliżej drzwi, szurając ciężko, aż znalazła się w plamie światła padającego z korytarza. Ciemne włosy miała obcięte krótko, jak męczyzna. Nie była ani ładna, ani brzydka, ani wysoka, ani niska, lecz emanowała z niej jakaś moc, widoczna zwłaszcza w nieruchomych żółtych oczach, które pochwyciły i przytrzymały moje spojrzenie. Była czymś, czego nigdy wcześniej nie widziałam i czego w ogóle nie rozumiałam. Mówiła jak zwykła kobieta, ale miała w sobie dzikość podobną do grzmotu pioruna czy mignięcia spłoszonego jelenia. Stałam bezradnie w objęciach jej spojrzenia i czekałam, kiedy rzuci na mnie urok.

Wreszcie potrząsnęła głową.

— Nie chcę mieszać cię w szaleństwo twojego ojca, dziecinko.

— On nie jest moim ojcem. Ożenił się z moją matką.

Jej śmiech zabrzmiał niemal jak szczeknięcie.

— Rozumiem.

Przestępowałam niepewnie z nogi na nogę, przyciskając wciąż twarz do prętów. Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego w ogóle z nią rozmawiam i czego od niej chcę.

— Dlaczego zakuli cię w kajdany?

— Bo się mnie boją.

— Jak się nazywasz?

Zmarszczyła brwi, lecz nic nie odpowiedziała, więc zapytałam raz jeszcze:

— Naprawdę jesteś wiedźmą?

Westchnęła.

— Idź już, córeczko. Jeśli nie masz nic wspólnego z szaleństwem twego ojczyrna, najlepiej trzymaj się od tego z daleka. Nie trzeba czarownicy, by zobaczyć, że nie skończy się to

dobrze.

Jej słowa przestraszyły mnie, wciąż jednak nie potrafiłam oderwać się od drzwi celi.

— Chcesz czegoś? Jedzenia, picia?

Ponownie skierowała na mnie ogromne, płonące oczy.

— Ten dom jest jeszcze dziwniejszy, niż myślałam. Nie, dziecinko. Pragnę nieba i mego lasu, ale tego ty nie możesz mi dać. Twój ojciec twierdzi, że mnie potrzebuje, więc nie pozwoli mnie zagłodzić.

Potem wiedźma odwróciła się i odeszła w głąb celi, ciągnąc łańcuchy po kamiennej podłodze. Wracalam na górę z głową pełną myśli: podnieconych myśli, smutnych myśli, przestraszonych myśli, a wszystkie one kotłowały się w niej jak ptaki w zamkniętym pokoju.

Po Marrisie nastał Avrel i nadeszły wiosenne dni, a wiedźma wciąż tkwiła w lochach mojego ojczyma. Nie dostał od niej tego, czego pragnął. Odwiedzałam ją wielokrotnie, lecz choć zawsze na swój sposób była dla mnie uprzejma, mówiła jedynie o rzeczach nieistotnych. Często prosiła, żebym opisała jej, jak tego ranka wyglądał szron na ziemi lub jakie ptaki pojawiły się na drzewie i jak śpiewały, ponieważ – zamknięta w pozbawionej okien celi wykutej w kamiennej ścianie – nie widziała i nie słyszała niczego, co działo się na świecie.

Nie wiem, co mnie do niej ciągnęło. Zdawało mi się, że wiedźma dzierży klucze do wielu tajemnic: do szaleństwa mojego ojczyma, do smutku mojej matki, a także do obaw, że podstawy mojego nowego szczęścia nie są solidne.

Wprawdzie było tak, jak mówiła, i ojczym karmił ją, nie

pozwalając przy tym – jeśli nie liczyć samego uwięzienia – by źle ją traktowano, mimo to jednak chudła z dnia na dzień, a cienie pod jej oczyma stawały się coraz głębsze. Tęskniła za wolnością i jak dzikie zwierzę uwięzione w klatce chorowała z powodu swego nieszczęścia. Serce mnie bolało, gdy patrzyłam na nią, i cierpiałam, jakby mnie samej skradziono wolność. Podczas każdej mojej kolejnej wizyty była coraz bardziej osłabiona i zamknięta w sobie, co przywodziło bolesne wspomnienia ostatnich dni mojej matki. Po wyjściu z więzienia zaszywałam się w miejscu, gdzie mogłam być sama, i płakałam. Nawet godziny spędzone z Tellarinem nie potrafiły złagodzić mego smutku.

Pewnie nienawidziłabym ojczyzna za jej cierpienia, gdyby nie to, że i on marniał z każdym dniem jak uwięziony w lustrzanym odbiciu jej zimnej celi. Nie wiem, jakie to było pytanie, lecz – choć zacny był z niego człowiek – gnębiło Sulisa tak bardzo, że zdecydował się odebrać jej wolność. Gnębiło go tak bardzo, że choć prawie już spał, siedział do świtu pogrążony w lekturze lub pisał coś, mrużąc do siebie w dziwnym uniesieniu. Nie wiem, jakie to było pytanie, lecz obawiałam się, że on i wiedźma mogą umrzeć z jego powodu.

Jeden jedyny raz zebrałam się na odwagę i zapytałam, dlaczego uwięził wiedźmę, a on – wpatrzony ponad mą głowę w niebo, jakby przybrało nowe kolory – odpowiedział:

— Zbyt wiele tu drzwi, dziewczyno. Otwierasz jedno, potem inne, i widzisz, że jesteś tam, skąd wyszłaś. Nie mogę odnaleźć drogi.

Jeśli tak brzmiała odpowiedź, to nie rozumiałam jej ani trochę. Zaoferowałam wiedźmie śmierć, a ona w zamian dała mi

przepowiednię.

Kiedy wstałam, wartownicy na murze Wewnętrznego Dziedzińca obwieszczali północną wachtę. Leżałam w łóżku od wielu już godzin, ale sen nie przychodził. Owinięta w najcieplejszy płaszcz wymknęłam się na korytarz. Za drzwiami słyszałam głos ojczyzna, jakby z kimś rozmawiał, co bardzo mnie zasmuciło, bo wiedziałam, że jest sam.

O tej godzinie straż na dole pełnił stary, pokurczony żołnierz, który nawet się nie poruszył, pogrążony we śnie, kiedy go mijalam. Pochodnia na ścianie prawie się wypaliła, więc w pierwszej chwili nie dostrzegłam jej w mroku celi. Chciałam ją zawołać, ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Wydawało mi się, że czuję na sobie ciężar ogromnego, pogrążonego we śnie zamku.

Wreszcie usłyszałam brzęk łańcuchów.

— Czy to ty, córeczko?

Mówiła bardzo słabym głosem. Po chwili wstała i podeszła ciężko do drzwi. Nawet w tak słabym świetle wyglądała okropnie – jakby umierała.

Położyłam dłoń na sakiewce, która wisiała na mej szyi. Odmówiwszy w duchu modlitwę, dotknęłam złotego Drzewa i powiodłam dłonią po łuku przedmiotu, który nosiłam od chwili śmierci mej matki. W następnej chwili, rozświetlonej jakby własnym blaskiem, innym niż migotanie pochodni, wyciągnęłam z sakiewki smoczy pazur i wsunęłam go między pręty.

Uniosła brwi, gdy brała go ode mnie. Delikatnie obróciła przedmiot w dłoni i uśmiechnęła się smutno.

— Zatruty pazur sowy. Bardzo rozsądne. Dla mnie czy dla moich oprawców?

Wzruszyłam bezradnie ramionami.

— Chciałaś być wolna. – Tylko tyle potrafiłam powiedzieć.

— Nie w ten sposób, córeczko – odparła. – Przynajmniej nie tym razem. Poddałam się, czy też raczej zawarliśmy umowę. W zamian za wolność zgodziłam się dać twemu ojczymowi to, czego, jak mu się zdaje, pragnie. Muszę zobaczyć i poczuć niebo. – Ostrożnie oddała mi pazur.

Wpatrywałam się w nią niemal chora z żądzy poznania prawdy.

— Dlaczego nie chcesz zdradzić mi swojego imienia?

Znowu uśmiechnęła się smutno.

— Ponieważ nikt nie zna mego prawdziwego imienia, a każde inne byłoby kłamstwem.

— A zatem skłam.

— Doprawdy dziwny to dom! Dobrze. Ludzie z Północy nazywają mnie Valada.

Wymówiłam powoli jej imię, by poczuć je na ustach.

— Valada. I teraz cię uwolni?

— Wkrótce, jeśli obie strony dotrzymają umowy.

— Na czym polega ta umowa?

— Jest zła dla wszystkich. – Zobaczyła mój wyraz twarzy. – Lepiej, żebyś nie wiedziała, naprawdę. To szaleństwo przyniesie komuś śmierć. Widzę to tak wyraźnie jak twoją twarz między prętami.

Czułam, że zamiast serca mam w piersi zimny kamień.

— Czyją śmierć?

Wydawała się coraz słabsza; domyśliłam się, że męczy ją stanie w kajdanach.

— Nie wiem. I tak powiedziałam ci za dużo, córeczko. To nie są sprawy dla ciebie.

Mogłam już tylko odejść, jeszcze bardziej przybita i zagubiona. Wiedźma będzie wolna, lecz ktoś inny umrze. Nie wątpiłam w jej słowa – nie wątpiłby nikt, kto zobaczyłby przenikliwe spojrzenie jej smutnych oczu. Gdy wracałam do komnaty, korytarze Wewnętrznego Dziedzińca wydawały mi się zupełnie nowym miejscem, dziwnym i nieznanym.

Uczucie, jakie żywiłam dla Tellarina, wciąż było zdumiewająco silne, ale po tym, jak usłyszałam przepowiednię wiedźmy, dręczyły mnie smutek i niepokój, dlatego też nasza miłość przypominała bardziej kominiek, dzięki któremu zimny pokój staje się przytulniejszy, niż słońce, które ogrzewa wszystko – jak to było wcześniej.

Chłód w moim sercu zmienił się w przenikliwe zimno najmroźniejszej z zim, gdy podsłuchałam Tellarina i Avallesa. Rozmawiali o tajemniczym zadaniu, które wyznaczył im Lord Sulis, a które miało coś wspólnego z wiedźmą. Nie mogłam się zorientować, w czym rzecz, gdyż nawet mój ukochany i jego przyjaciel nie znali do końca planów Sulisa, a ponadto słowa były przeznaczone tylko dla nich. Domyślałam się, że ojczym wyczytał w swoich księgach, iż zbliża się czas czegoś ważnego. Należało rozpalić lub odnaleźć jakiś ogień. Mieli odbyć niedługą podróż nocą, choć nie powiedzieli – a może sami jeszcze nie wiedzieli – kiedy dokładnie. Obaj byli wyraźnie zaniepokojeni.

Już wcześniej się bałam, wiedząc, że największe niebezpieczeństwo grozi mojemu biednemu, otumanionemu ojczymowi, teraz jednak wprost umierałam ze strachu. Ledwo

trzymałam się na nogach przez resztę dnia, nie mogąc pozbyć się myśli, że coś złego może się również przytrafić Tellarinowi. Tyle razy gubiłam paciorki podczas wyszywania, że w końcu Ulca zabrała mi robótkę. Gdy nadeszła noc, długo nie mogłam zasnąć, a kiedy wreszcie zapadłam w sen, obudziłam się zdyszana i drżąca: w moim śnie Tellarin płonął w ogniu, a ja nie potrafiłam mu pomóc.

Całą noc przewracałam się z boku na bok. Jak mogłabym obronić ukochanego? Ostrzeżenie na nic by się nie zdało. Był uparty, poza tym wierzył głównie w rzeczy, które mógł dotknąć, więc nie przejąłby się słowami wiedźmy. A gdyby nawet mi uwierzył? Miałby odmówić wykonania rozkazu Lorda Sulisa z powodu ostrzeżenia, jakie otrzymał ode mnie, potajemnej kochanki? Nie, nie potrafiłabym przekonać Tellarina, żeby tam nie szedł; o lojalności wobec swojego pana mówił prawie tak często jak o swoich uczuciach dla mnie.

Umierałam ze strachu i z ciekawości. Co planował mój ojczym? Co takiego wyczytał w swych księgach, że postanowił ryzykować życie nie tylko własne, lecz również mojego ukochanego?

Nie mogłam liczyć na to, że któryś z nich powie mi cokolwiek. Co do tego nie miałam wątpliwości. Nawet wiedźma stwierdziła, że nie jest to sprawa dla mnie. Jeśli chciałam się czegoś dowiedzieć, mogłam liczyć tylko na siebie.

Postanowiłam zobaczyć księgi ojczyma, te, które chował przede mną i wszystkimi innymi. Kiedyś byłoby to niemożliwe, teraz jednak – ponieważ całymi nocami czytał i pisał, mówiąc do siebie – mogłam być pewna, że gdy już wreszcie zaśnie, będzie spał jak zabity.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, zakradłam się do jego komnaty. Dawno już odesłał wszystkich służących, a nikt nie ośmielał się pukać do jego drzwi, jeśli nie został wezwany. Tak więc byliśmy sami.

Leżał rozciągnięty, z głową zwisającą do tyłu z prostego łóżka. Gdybym nie wiedziała, jak surowe prowadził życie, pomyślałabym, że upił się na umór, gdyż oddychał chrapliwie, jego przykrycie zaś było w wielkim nieładzie, ale przecież wiedziałam, że Sulis niezwykle rzadko sięgał po puchar.

Klucz do zamkniętych skrzyń nosił na szyi. Kiedy wyciągałam mu go ostrożnie spod koszuli, mimowolnie zauważyłam, że pogrążony we śnie wydaje się o wiele szczęśliwszy. Jego czoło nie było już tak pobrużdżone jak za dnia, a szczęki zaciśnięte w typowym grymasie roztargnienia. Choć nie mogłam zapomnieć o tym, co zrobił Valadzie, w tamtej chwili szczerze mu współczułam. Bez względu na to, jakie szaleństwo ogarnęło go ostatnimi czasy, onegdaj był na swój sposób miłym człowiekiem.

Poruszył się, wydając nieokreślony dźwięk. Z bijącym mocno sercem szybko przełożyłam nad jego głowę klucz z taśmą.

Odnalazłszy drewniane skrzynie, otworzyłam je i wyciągnęłam zakazane księgi ojczyma, po czym zaczęłam kartkować kolejne tomy, nasłuchując jego oddechu. Większość woluminów napisano w językach, których nie znałam, w dwóch czy trzech zaś nie rozpoznałam nawet rodzaju liter. Te zrozumiałe dla mnie zawierały baśniowe opowieści albo historie dotyczące Wielkiej Twierdzy z czasów, gdy mieszkali tam Ludzie z Północy.

Jakieś pół godziny później natrafiłam na luźno oprawioną

księgę zatytułowaną *Pisma Vargellisa Sulisa, Siódmego Lorda Honsa Sulis, Obecnie Głowy Rodu Sulisów na Wygnaniu*. Pierwsze jej strony ciasno wypełniały kolejne linijki starannego pisma mojego ojczyma, później jednak litery były coraz większe i coraz mniej kształtne, te na ostatnich stronach zaś przypominały dziecięce próby nauki pisania.

W pewnym momencie przestraszył mnie odgłos z łóżka, lecz szybko zorientowałam się, że ojczym chrząknął tylko, przewracając się na bok. Przebiegałam wzrokiem zapiski tak szybko, jak tylko mogłam. Obejmowały ostatni okres jego życia – najwcześniejsze daty pochodziły z pierwszego roku naszego pobytu w Wielkiej Twierdzy. Znaczną część kronik zajmowały opisy kolejnych zadań związanych z odbudową zamku, a także ważnych wyroków, jakie wydał Sulis, pan twierdzy i podległych mu ziem. Tom zawierał także inne zapiski, bardziej osobistej natury, lecz te były lakoniczne. Owego strasznego dnia, prawie przed trzema laty, zanotował tylko: *Cynethrith Zmarła na Gorączkę Płucną. Zostanie Pochowana na Cyplu*.

Moje imię wymienił tylko raz w jednym zdaniu zapisanym kilka miesięcy wcześniej: *Breda szczęśliwa Dzisiaj*. Poczułam dziwny smutek, kiedy przeczytałam, że mój ponury ojczym zauważył to i odnotował.

Dalsze strony nie wspominały już prawie o sprawach związanych z domem czy zarządzaniem, gdyż Sulis stracił dla nich zainteresowanie. Za to coraz więcej jego zapisków dotyczyło chyba rzeczy, o których dowiedział się ze swoich ksiąg. W pewnym miejscu przeczytałam: *Plesinnen twierdzi, że Śmiertelność zostaje strawiona w Bogu, tak jak Ogień trawi Konar czy Gałąź. Jak więc...*

Dalsza część tekstu została zamazana, tak że mogłam odczytać tylko pojedyncze słowa, jak „gwoździe”, a potem „Święte Drzewo”. Inna z jego notatek zawierała listę „Przejsć”, które odnalazł ktoś o imieniu Nisses; każde z nich było opatrzone krótkim komentarzem, który mi niczego nie wyjaśniał. *Zmienił miejsce* – napisał w jednym miejscu drżącą ręką mój ojczym. Gdzie indziej zaś z *Czasów, gdy Nikt nie Przebywał* albo *Spotkał Mroczną Istotę*.

Dopiero na dwóch ostatnich stronach znalazłam słowa dotyczące kobiety uwięzionej w celi pod salą tronową.

Wreszcie Zapisalem Słowa kobiety o imieniu Valada. Nikt inny spośród żyjących na Północ od Perdruin nie posiada Wiedzy na temat Czarnego Ognia. Musi Powiedzieć mi Wszystko, co wie. Poniżej, kilka dni później, zapisał jeszcze bardziej drżącą ręką: Wiedźma wykręca się, ale ja nie mogę pozwolić sobie na kolejne Niepowodzenie, jak w Wigilię Elysiamansy. Noc Kamienowania będzie jeszcze raz Czasem Głośnych Głosów pod Twierdzą. Ściany będą cienkie. Pokaże mi Drogę Czarnego Ognia albo nie ma innej Nadziei. Albo ona mi odpowie, albo Śmierć.

Odłożyłam księgę, usiłując zrozumieć cokolwiek z tego, co przeczytałam. Bez względu na to, co zamierzał mój ojczym, miało się to stać niebawem: Noc Kamienowania, ostatnia noc Avrela, wypadła za kilka zaledwie dni. Na podstawie zapisków nie potrafiłam odgadnąć, czy wiedźmie wciąż grozi niebezpieczeństwo – czy zamierzał ją zabić, gdyby się jej nie udało, czy też gdyby próbowała go oszukać – ale nie miałam wątpliwości, że poszukiwania tego, co zwano Czarnym Ogniem, sprowadzą niebezpieczeństwo na wszystkich, a co najważniejsze i najbardziej przerażające – na mojego żołnierza, Tellarina. Mój

ojczym raz jeszcze poruszył się niespokojnie we śnie i jęknął. Schowałam jego książki i wymknęłam się na korytarz.

Przez cały dzień czułam niepokój i podniecenie, tym razem jednak nie było to podniecenie podsycane miłością. Bałam się bardzo o mojego kochanka, martwiłam o mojego ojczyma i o wiedźmę Valadę, ale przecież nie mogłam wyjawić ani tego, co wiem, ani tego, jak to odkryłam. Po raz pierwszy od dnia, kiedy pocałował mnie mój żołnierz, czułam się samotna. Posiadałam tajemnice, lecz w przeciwieństwie do Sulisa nie miałam nawet książki, której mogłabym je powierzyć.

Pójdę za nimi, zdecydowałam ostatecznie. Pójdę za nimi do miejsca, o którym wspominał mój ojczym, do miejsca, gdzie ściany są cienkie, a głosy mocne. Będę wypatrywała niebezpieczeństwa, kiedy oni zajmą się poszukiwaniami Czarnego Ognia. Ochronię ich wszystkich. Będę ich aniołem.

Wreszcie nadeszła Noc Kamienowania.

Nawet gdybym nie poznała zapisków ojczyma, i tak pewnie bym się domyśliła, że nadszedł czas poszukiwań Czarnego Ognia, gdyż Tellarin stał się bardzo niespokojny. Oczywiście niczego mi nie powiedział, kiedy leżeliśmy obok siebie w mojej komnacie, lecz czułam, że z niepokojem oczekuje wydarzeń tej nocy. Jednak nie miał wyjścia, nie mógł zapomnieć o więzach krwi i honoru.

Żachnął się, kiedy pocałowałam go w ucho i zanurzyłam dłoń w jego włosach.

— Mężczyzna musi mieć trochę spokoju, dziewczyno.

— Dlaczego ty masz być mężczyzną, a ja dziewczyną? – drażniłam się z nim, udając rozbawienie, chociaż wcale nie było mi wesoło. – Czy dzieli nas aż taka różnica wieku? I czy nie

oddałam ci już tego, co czyni mnie kobietą?

Mój żołnierz był zbyt zniecierpliwiony, by usłyszeć choć nutę uczucia w mych słowach.

— Dzieckiem jest każdy, kto nie potrafi przestać, kiedy go o to proszą. A mężczyzną jestem dlatego, że noszę insygnia żołnierskie i muszę oddać życie, jeśli zechce tego mój pan.

Tellarin był starszy ode mnie o pięć lat i wtedy ta różnica wieku imponowała mi niemal tak bardzo jak jemu, teraz jednak uważam, że wszyscy mężczyźni są młodszy od swych kobiet, szczególnie gdy urażony zostanie ich honor.

Kiedy tak leżał, wpatrzony w sufit, wyraz złości na jego obliczu zmienił się w powagę, a ja wiedziałam, że myśli o tym, co miał zrobić tej nocy. Ja także się bałam, więc znów go pocałowałam, tym razem delikatnie, i przeprosiłam.

Gdy wyszedł, maskując wymówkami prawdziwe powody, ja również przygotowałam się do podróży. Już wcześniej ukryłam mój najcieplejszy płaszcz oraz sześć grubych świec; schowałam je w miejscu, w którym nie mogły ich znaleźć ani Ulca, ani inne służące. Gotowa do wyjścia, dotknęłam złotego Drzewa matki, które spoczywało na mej piersi, i odmówiłam modlitwę za bezpieczeństwo wszystkich, którzy pójdą ze mną w ciemność.

Noc Kamienowania – ostatnia noc Avrela, wigilia pierwszego dnia miesiąca Maia, czarne godziny, kiedy to, jak głoszą legendy, duchy wędrują, dopóki nie zapędzi ich z powrotem do grobu świt i pianie koguta. Cisza spowijała Wielką Twierdzę, gdy wyruszyłam w ciemności za ukochanym i pozostałymi. Wydawało się, że zamek nie tyle śpi, ile wstrzymał oddech i czeka.

Pod Wieżą Anioła są schody i tam właśnie się udali. Dowiedziałam się o tym dopiero tamtej nocy, kiedy nasłuchiwałam, otulona moim ciemnym płaszczem, stojąc w cieniu muru naprzeciw wieży. Było ich czworo: mój ojczym, Tellarin, jego przyjaciel Avalles i kobieta zwana Valadą. Mimo umowy ramiona wiedźmy pozostały skrępowane. Bardzo jej współczułam, widząc ją związaną jak zwierzę.

Robotnicy, którzy remontowali wieżę, położyli drewnianą podłogę na pokruszoną starą posadzkę – może dlatego, by nikt nie wpadł do jednej z wielu dziur, jakie pozostały, a może dlatego, by zasłonić wszystkie przejścia do najgłębszych części zamku. Niektórzy proponowali nawet, żeby zamurować całą starą podłogę, tak by nic nigdy nie mąciło snu bogobojnych ludzi.

Właśnie z powodu tej drewnianej podłogi musiałam czekać długo, nim ruszyłam za nimi przez zewnętrzny portal, wiedziałam bowiem, że upłynie trochę czasu, zanim usuną deski. Przyczajona w cieniu, pod ścianą wieży, rozmyślałam o postaci Anioła, którego postawiono na jej szczycie; był czarny od brudu stuleci, którego nie mógł zmyć żaden deszcz, i przechylony tak, jakby miał spaść za chwilę. Kim był? Jednym z błogosławionych świętych? Czy miał to być znak, że strzeże mnie tak, jak ja zamierzałam czuwać nad Tellarinem i pozostałymi? Spojrzałam w górę, ale szczyt wieży tonął w ciemnościach.

Wreszcie odważyłam się nacisnąć klamkę i przekonałam się, że drzwi wieży nie są zaryglowane. Miałam nadzieję, że znaczy to, iż Anioł rzeczywiście czuwa nade mną.

W wieży panował nieprzenikniony mrok, więc jeszcze na progu zapaliłam pierwszą świecę od hubki, która zdążyła się już

niemal wypalić. Odgłos mych kroków w kamiennym korytarzu wydał mi się przerażająco głośny, lecz nie sprowadził nikogo, kto dopytywałby się o cel mojej wizyty w tym miejscu. Nie słyszałam głosów ojczyma ani pozostałych.

Zatrzymałam się na moment przed ogromnymi schodami, które pięły się w górę, zastanawiając się, co znajdą robotnicy, gdy odrzucą wszystkie gruzy i dotrą na szczyt – prace do dziś nie zostały ukończone, a myśl ta wciąż nie daje mi spokoju. Pewnie zabraknie mi życia, by się o tym przekonać. Czy odkryją skarby zostawione przez baśniowe istoty? A może tylko ich kruche kości?

Nawet bez zdarzeń tamtej nocy Wieża Anioła stałaby się nieodłączną częścią moich myśli tak samo, jak trwa nieustannie nad Wielką Twierdzą i leżącymi w jej cieniu ziemiami. Myślę, że żaden śmiertelnik nie pozna wszystkich jej tajemnic.

Kiedyś, dawno temu, śniło mi się, że ojczym kazał mi oczyścić Anioła, a ja mimo wysiłków nie potrafiłam zeskrobać błota z jego twarzy i członków. Potem powiedział mi, że to nie moja wina i że Bóg dałby mi siły, gdyby rzeczywiście chciał odsłonić oblicze Anioła, a jednak płakałam długo, niepokieszona.

Z holu weszłam do miejsca, w którym podłoga odpadła wielkimi płatami. Zastanawiałam się, co mogło roztrzaskać kamienne płyty, nie burząc przy tym całej wieży. Droga, którą podążyli mój ojczym i ukochany, nie była łatwa, dlatego szłam bardzo ostrożnie przez gruzy, pochylając się i trzymając przed sobą świecę. Żałowałam, nie po raz ostatni zresztą, że wybrałam się w miękkich pantoflach. Schodząc coraz niżej, poraniłam stopy i podarłam w kilku miejscach suknię, w końcu jednak dotarłam

do rumowiska mniejszych kamieni, które kiedyś były podłogą, poniżej poziomu Wewnętrznego Dziedzińca. Na środku tego pola usianego drobnymi odłamkami widniała ogromna czarna dziura większa od pozostałych i podobna do otwartej paszczy, która czekała, żeby mnie połknąć. Zbliżywszy się do jej krawędzi, usłyszałam płynące z głębi głosy, które, jak przypuszczałam, musiały należeć do Sulisa i pozostałych, chociaż brzmiały dziwnie. Zobaczyłam odgarnięte kamienie i wejście na ginące w cieniu schody podobne do lśniących, białych ust ze stopniami w środku. Z dołu dobiegł śmiech. Nie był to głos kogoś, kogo znałam.

Mimo przeżyć poprzednich dni nigdy wcześniej tak się nie bałam, wiedziałam jednak, że w ciemnościach na dole jest mój Tellarin. Zrobiłam znak Drzewa na piersi i weszłam na schody.

Początkowo nigdzie ich nie widziałam.

W blasku świecy zejście jeszcze bardziej przypominało mroczną gardziel, która czekała, żeby mnie połknąć, lecz strach nie mógł mnie oddzielić od mojego ukochanego, wręcz przeciwnie – dodawał szybkości moim krokom. Schodziłam szybko na dół, aż w końcu wydało się, że zeszałam pod zamek tak samo nisko, jak wysoko nad nim wznosiła się Wieża Anioła – a mimo to wciąż ich nie widziałam.

Cały czas słyszałam nieznane mi głosy i nie wiedziałam, czy to złudzenie, czy może wiatr, który, jak mówią, nieustannie penetruje pieczary klifów Kingslake. Niektóre zdawały się rozbrzmiewać tak blisko, że – byłam pewna – gdyby nie świeca, mogłabym wyciągnąć rękę i dotknąć osoby, która do mnie szeptała, a jednak nie widziałam nikogo w migocącym świetle.

Głosy mamrotały coś niewyraźnie, a czasem śpiewały w miękkim i smutnym języku, którego nie rozumiałam ani nawet nie rozpoznawałam.

Wiedziałam, że powinnam zawrócić i popędzić z powrotem w blask księżyca, na świeże powietrze, lecz chociaż pozbawione ciał szepty napełniały mnie przerażeniem, nie wyczuwałam w nich wrogości. Jeśli były to duchy, nie wiedziały chyba nawet, że tam jestem. Zupełnie jakby zamek mówił do siebie albo siedzący przed kominkiem starzec wspominał przeszłość.

Schody skończyły się szerokim podestem; na obu jego końcach widniały otwarte wejścia. Patrząc na nie, mimowolnie pomyślałam o przejściach z ksiąg mego ojczyma. Niezdecydowana, którą wybrać drogę, przyjrzałam się płaskorzeźbom w kształcie delikatnych winorośli i kwiatów, jakich nigdy wcześniej nie widziałam. Nad jednymi z drzwi słowik przysiadł na gałęzi drzewa. Inne drzewo rozpościerało swój konar nad kolejnym wejściem, czy raczej, jak się zorientowałam, poruszywszy świecą, były to konary tego samego drzewa wyrzeźbione dokładnie nade mną, na suficie, co sprawiało wrażenie, że to ja jestem jego pniem. Gałąź nad drugim z wejść oplótł smukły wąż. Zadrżałam i ruszyłam w stronę drzwi ze słowikiem, lecz w tym momencie usłyszałam słowa dobiegające z ciemności.

— ...jeśli mnie okłamałaś. Jestem cierpliwy, ale...

Nie miałam wątpliwości, że to mój ojczym. Nawet gdybym nie rozpoznała jego cichego głosu, domyśliłabym się tego z jego słów, bo zawsze tak mówił. Powiedział prawdę – rzeczywiście był cierpliwy. Przypominał jeden z kamieni ułożonych w krąg na

szczytce wzgórza; twarde, chłodne i nieruchome, potrzebowały ciepła całego lata, żeby się rozgrzać. Czasem czułam, że miałabym ochotę złamać kij na jego karku, byleby tylko odwrócił się i naprawdę spojrzął na mnie.

Sądziłam, że zdarzyło się to tylko raz, owego dnia, kiedy powiedział mi, że zabrali mu wszystko. Potem dowiedziałam się, że spojrzął na mnie jeszcze kiedyś; może dostrzegł mój uśmiech tamtego dnia, gdy mój kochanek wręczył mi podarek albo pocałował, i zapisał w swojej księdze *Breda szczęśliwa Dzisiaj*.

Słowa mego ojczyrna dobiegały od drugich drzwi. Zapaliłam kolejną świecę od pierwszej, z której niemal nic już nie zostało, i podążyłam za głosem Sulisa przez wejście ozdobione węzem.

Wciąż szłam w dół, coraz niżej i niżej. Zdawało mi się, że ta podróż trwa długie godziny, gdy przemierzałam opuszczone korytarze, które wiły się niczym nić z rozprutego worka. W blasku świecy widziałam kamień, który, jak wiedziałam, był bardzo stary, a mimo to wydawał się jaśniejszy i młodszy od tych na górze. W niektórych miejscach wejścia z korytarza prowadziły do zawałonych gruzem komnat, które bez wątpienia musiały być równie ogromne i równie wysokie jak najwyższe komnaty w Nabbanie, o jakich słyzałam. Widoczne dokoła rzeźby były tak delikatne i precyzyjne, że można by je wziąć za prawdziwe ptaki, rośliny i drzewa zamienione w kamień magicznymi zaklęciami, które tak często pojawiały się w opowieściach mej matki i Ulki.

Zdumiewała mnie myśl, że cały świat spoczywał w swoim grobowcu pod nami przez cały ten czas, kiedy mieszkaliśmy w Wielkiej Twierdzy i jeszcze pokolenia wcześniej. Wiedziałam, że

patrzę na pradawny dom czarodziejskiego ludu. Choć słyszałam wiele opowieści i na własne oczy oglądałam wieżę, nie wyobrażałam sobie wcześniej, co potrafili robić z kamieniem; w jednym miejscu burzył się jak wodna piana albo migotał jak lód, w innym wyginał się łukiem, imitując najcieńsze gałązki wierzby. Czy rzeczywiście Ludzie z Północy zabili ich wszystkich? Po raz pierwszy zrozumiałam, co to oznacza, i przeraziłam się jeszcze bardziej. Ci, którzy stworzyli całe to piękno, zostali wymordowani, a ich dom zajęty przez morderców – nic dziwnego, że w ciemności słychać było tyle niespokojnych głosów. Nic dziwnego, że cień smutku padał na każdego, kto mieszkał w Wielkiej Twierdzy. Zamek z naszych dni stanął na fundamentach popełnionego dawno morderstwa. Zbudowano go na śmierci.

Myśl ta nie dawała mi spokoju. Połączyła się w moim umyśle ze wspomnieniem nieobecnego spojrzenia mojego ojczyma i skutej łańcuchami wiedzy. Wiedziałam, że dobro nie może pochodzić od zła. Nie bez ofiary. Nie bez krwi i pokuty.

Coraz bardziej się bałam.

Może i tak było, że Miłujący Pokój odeszli, ale ich wielki dom pozostał żywy.

Podążając nieustannie w dół odcisniętymi w pyłe stuleci śladami ojczyma i jego towarzyszy, zorientowałam się nagle, że wybrałam złą drogę. Korytarz zakończył się stosem kamieni, a gdy wróciłam do ostatniej poprzecznej odnogi, nie mogłam nigdzie znaleźć śladów stóp. Także samo miejsce wydało mi się obce, jakby ruiny się przesunęły. Zamknęłam oczy w nadziei, że usłyszę głos Tellarina, który, byłam pewna, moje serce usłyszy

przez wszystkie mury Erkynlandu. Jednak doszedł mnie szept duchów, który niósł się jak jesienny wietrzyk, pełen szelestów i westchnień.

Zgubiłam się.

Po raz pierwszy zdałam sobie jasno sprawę z tego, jak głupio postąpiłam. Znalazłam się w miejscu, w którym nie powinnam się znaleźć. Nikt nie wiedział, że tam jestem, i gdy wypali się ostatnia świeca, nigdy nie wyjdę z ciemności.

Otarłam łzy. Płaczem nie odzyskałam ni ojca, ni matki. Teraz też w niczym mi on nie pomoże.

Próbowałam odnaleźć drogę powrotną, lecz głosy tańczyły dokoła mnie niczym śpiew niewidzialnych ptaków i niebawem zorientowałam się, że błądzę bez celu. Otumaniona szeptami w mej głowie i skaczącymi cieniami dwukrotnie omal nie wpadłam w ogromne dziury w podłodze. Kopnięciem strąciłam kamień do jednej z nich, lecz spadał tak długo, że nie miałam już odwagi nasłuchiwać.

Wydawało mi się, że ciemność zamyka się wokół mnie coraz szczelniej, że już chyba nigdy nie wyjdę z niej i nie dołączę do szepczącego chóru, lecz szczęśliwym trafem, przypadkiem czy zrzędzeniem losu skręciłam w korytarz, którego wcześniej nie widziałam, i znalazłam się u szczytu kolejnych schodów. Z ciemności w dole płynął głos wiedźmy Valady.

— ...ani armii, ani domowników, którym mógłbyś rozkazywać, Lordzie Sulisie. Ci, którzy tu mieszkali, nie żyją, ale żyje ich dom. Musisz wziąć to, co dostaniesz...

Zdawało mi się, że wiedźma poznała moje myśli. Zadrżałam, usłyszawszy me przeczucia, lecz pospieszyłam w kierunku głosu,

bojąc się, że lada chwila ucichnie i nigdy go już nie usłyszę.

Wydawało się, że minęła kolejna godzina, choć tak długo już błądziłam w niespokojnej ciemności, że trudno było cokolwiek powiedzieć. Nawet ukochany i pozostali przypominali duchy unoszące się przede mną jak nasiona mniszka, wciąż poza moim zasięgiem.

Schody nieprzerwanie opadały niczym kręgi spirali. Nim wypaliły się trzecia i czwarta świeca, zdołałam dostrzec ogromne przestrzenie, które mijaliśmy poziom po poziomie, jakby to była pielgrzymka po kolejnych sferach Niebios. Czasem, gdy świece zamigotały na drewnianej podstawie, myślałam, że widzę coś więcej. Zdawało mi się, że ruiny ożywają. Na krótkie chwile głosy stawały się wyraźniejsze, a cienie jakby przybierały konkretne kształty. Gdy przymykałam oczy, widziałam niemal jasne, roześmiane postacie.

Dlaczego Ludzie z Północy zniszczyli coś tak pięknego? I jak to możliwe, że lud, który zbudował takie miejsce, został pokonany przez śmiertelników, choćby nie wiem jak okrutnych i spragnionych krwi?

W ciemności przede mną zakwitło czerwono-żółte światło, a gładkie kamienne schody zdawały się drżeć w jego blasku. Przez moment myślałam, że to raz jeszcze moja wyobraźnia, potem jednak usłyszałam mego ukochanego z tak bliska, że wydawało mi się, iż moglibyśmy się pocałować, gdybyśmy tego chcieli.

— Nie ufaj jej, panie – powiedział Tellarin wyraźnie przestraszonym głosem. – Znowu kłamie.

Niezmiernie uradowana, lecz nagle znów ostrożna zasłoniłam dłonią płomień świecy i najciszej, jak potrafiłam, ruszyłam

szybko w dół schodami. Kiedy głosy stały się wyraźniejsze i przekonałam się, że to światło ich pochodni, zgasłam świecę. Choć bardzo się ucieszyłam, że ich odnalazłam, wiedziałam, że nie byliby zachwyceni.

Podkrađłam się bliżej światła, wciąż jednak nie widziałam Tellarina i pozostałych, gdyż coś na kształt chmury dymu zasłaniało mi widok. Zobaczyłam cztery kształty dopiero wtedy, gdy zeszłam na sam dół i stanęłam na podłodze ogromnej komnaty.

Sala, na środku której stali, była tak ogromna, że nawet światło pochodni mego kochanka i Avallesa nie docierało do jej najwyższych partii. Przed nimi wznosiło się coś, co wzięłam za obłok dymu. Wciąż nie widziałam wyraźnie, co to jest, chociaż pochodnie płonęły w odległości ramienia, teraz jednak wyglądało to jak ogromne drzewo o czarnym pniu i liściach. W głębokim cieniu widać było tylko jego kontury, zupełnie jakby spowijał je ciemny całun podobny do mgły, która zakrywa wzgórze w zimowy poranek. Ale wiedziałam, że to nie mgła. To była czysta Ciemność.

— Musisz się zdecydować, czy będziesz słuchał mnie czy młodego żołnierza – powiedziała wiedźma do mojego ojczyma. – Mówię ci raz jeszcze: jeśli zetniesz choćby liść, zostaniesz naznaczony piętnem niszczyciela i nie wyjdzie ci to na dobre. Nie czujesz tego?

— Moim zdaniem Tellarin ma rację – oświadczył Avalles, lecz powiedział to bez przekonania. – Ona chce nas oszukać.

Ojczym spojrzał na wiedźmę.

— Po co nas tu przywiodłaś, skoro nie możemy zabrać

drewna? – zapytał ją powoli, jakby mówienie kosztowało go wiele wysiłku.

W odpowiedzi Valady wyczułam gorzki uśmiech.

— Więziłeś mnie w wilgotnym, kamiennym lochu przez dwa księżyce, domagając się odpowiedzi na swe szalone pytania. Po coś mnie tu ciągnął, skoro nie wierzysz w me słowa?

— Ale drewno...?

— Nie mówiłam, że nie możesz zabrać niczego na spalenie. Powiedziałam tylko, że byłbyś głupcem, gdybyś przyłożył ostrze noża albo siekiery do pnia Wielkiego Magicznego Drzewa. Pod nim leżą jednak obłamane gałęzie, jeśli masz dość odwagi, żeby ich poszukać.

Sulis zwrócił się do Avallesa:

— Idź, bratanku, i zbierz trochę drewna.

Młody rycerz zawahał się, lecz po chwili wręczył pochodnię mojemu ojczymowi i podszedł nieco niepewnie do ogromnego, ciemnego drzewa. Schylony, wszedł pod gałęzie i natychmiast zniknął. Chwilę później się wynurzył.

— Ciemno... nic nie widzę – powiedział, dysząc ciężko. Oczy miał szeroko otwarte. – Tam coś jest, jakby zwierzę. Czuję... czuję, jak oddycha. Tellarin ma lepsze oczy.

Nie! – chciałam krzyknąć. Drzewo czekało spowite mrokiem, którego nie potrafił przeniknąć blask żadnej pochodni. Zamierzałam już wybiec z kryjówki i błagać ukochanego, by nie zbliżał się do niego, wtedy jednak Lord Sulis, jakby usłyszał mój bezgłośny krzyk, zaklął i oddał pochodnię Avallesowi.

— Na Pelippę i jej puchar! – rzucił. – Sam to zrobię.

Zanim jeszcze zdążył ruszyć ku gałęziom, wydało mi się, że

usłyszałam szept liści, choć nie czułam wiatru. Delikatny szelest wzmógł się, może dlatego, że ojczym przeciskał się przez gęste konary. Mijały długie chwile, a szelest jeszcze bardziej się wzmagał. Wreszcie Sulis, chwając się, wynurzył się spod drzewa, a w obu rękach trzymał coś, co przypominało długi cień. Tellarin i Avalles podskoczyli, żeby mu pomóc, lecz powstrzymał ich, potrząsając głową, jakby otrzymał cios. Nawet w tak ciemnej komnacie widziałam, że bardzo zbladł.

— Mówiłaś prawdę, Valado – powiedział. – Żadnego noża ani siekiery.

Potem kazał Avallesowi i Tellarinowi ułożyć krąg z kamieni. Pośrodku złożył skrzyżowane kawałki drewna, które wyniósł spod drzewa, i podpalił je. Kiedy ożył dziwny płomień czarodziejskiego drewna, w komnacie jakby pociemniało – wydawało się, że ognisko nachyliło ku sobie płomienie pochodni i wessało ich blask. Ogień skoczył wyżej.

Szelest ucichł. Wszystko pogrążyło się w ciszy, nawet płomienie. Z bijącym sercem podeszłam bliżej, zapominając prawie, że powinnam się schować. Rzeczywiście, widziałam Czarny Ogień, który płonął teraz w tym zagubionym miejscu, ogień, który palił się jak każdy inny, a jednak jego płomienie były ranami zadanymi samej materii świata – były to dziury tak ciemne i puste jak bezgwiazdne niebo.

Trudno uwierzyć, ale to właśnie ujrzałam. Patrzyłam przez płomienie Czarnego Ognia, lecz nie widziałam rzeczy po drugiej stronie ogniska. Spoglądałam gdzie indziej, w nicość, jak myślałam z początku, ale niebawem kształt i barwy wynurzyły się nad ogień, jakby coś wywróciło powietrze na drugą stronę.

W ogniu ukazała się twarz. Musiałam zebrać wszystkie siły, żeby powstrzymać krzyk.

Nigdy wcześniej nie widziałam nikogo, kto przypominałby tę postać otoczoną czarnymi płomieniami. Rysy jej twarzy były jakoś zniekształcone, broda zbyt wąska, ogromne oczy skierowane w kącikach ku górze. Mimo że człowiek ten włosy miał długie i siwe, nie wyglądał staro. Był nagi od pasa w górę, a jego bladą, połyskującą skórę pokrywały straszliwe blizny, lecz choć spoczywał w płomieniach, pochodziły raczej z przeszłości.

Czarny Ogień pozbawiał kształtu nawet ciemność. Wszystko dokoła niego pochyliło się, jakby powłoka świata zadrżała, naciągnięta niczym odbicie na wodnej bańce.

Człowiek z płomieni zdawał się drzemać w ogniu, lecz był to sen straszny, niespokojny. Wił się, wznosząc dłonie ku twarzy, jakby bronił się przed okropnym atakiem. Kiedy wreszcie otworzył oczy, były nieprzeniknione jak sama ciemność i patrzyły na rzeczy, których nie widziałam, na cienie gdzieś daleko za ogniem. Jego usta wykrzywił grymas niemego, przeraźliwego krzyku, więc choć bałam się okropnie tej obcej mi istoty, na widok jej cierpienia poczułam głęboki smutek. Jeśli wciąż żył, dlaczego płomienie nie strawiły jeszcze jego ciała? A jeśli był duchem, dlaczego śmierć nie położyła kresu jego cierpieniom?

Tellarin i Avalles, obaj przerażeni, odsunęli się od ognia. Avalles zrobił znak Drzewa.

Mój ojczym zwrócił się do Valady, wpatrzony w twarz człowieka z płomieni:

— Dlaczego nie przemówił do nas? Zrób coś!

Wiedźma roześmiała się piskliwie.

— Lordzie Sulisie, pragnąłeś spotkać jednego z Sithów, jednego z Miłujących Pokój. Pragnąłeś odnaleźć przejście, ale niektóre z nich nie wiedzą gdzie indziej, lecz do kiedy indziej. Czarny Ogień znalazł ci jednego z Sithów. On śpi, ale słyszy cię poprzez wieki. Mów do niego! Ja dotrzymałam obietnicy.

Wyraźnie poruszony Sulis obrócił się do człowieka z ognia.

— Rozumiesz mnie? – zawołał.

Człowiek z płomieni wygiął ciało, ale teraz jego ciemne, pozbawione wyrazu oczy zwróciły się w stronę mego ojczyma.

— Kto tam jest? – zapytał, a ja usłyszałam ten głos bardziej w mojej głowie niż w komnacie. – Kto chodzi Ścieżką Snów? – Zjawa uniosła dłoń, jakby potrafiła sięgnąć poprzez wieki i dotknąć nas. Na moment wyraz zdziwienia zastąpił grymas bólu na jej dziwnej twarzy. – Śmiertelnicy! Dlaczego przychodzicie do mnie? Dlaczego burzycie sen Hakatriego z rodu Tańczącego Roku?

— Jestem Sulis. – Drżący głos ojczyma postarzał go bardzo w tej chwili. – Niektórzy nazywają mnie Apostatą. Poświęciłem wszystko, co mam, wiele lat spędziłem na studiach, by zadać pytanie, na które może odpowiedzieć tylko jeden z Miłujących Pokój. Pomożesz mi?

Wydawało się, że człowiek z płomieni nie słucha go. Na jego ustach ponownie zawitał grymas bólu, tym razem jednak krzyk nie był już niemy. Próbowałam zakryć uszy, lecz brzmiał już w mojej głowie.

— Ach, to boli! – jęknął obcy. – Wciąż czuję na sobie krew bestii, nawet we śnie. Nawet kiedy kroczę Ścieżką Snów!

— Krew bestii...? – Mój ojczym był zdumiony. – Smoka? Co ty mówisz?

— Przypominał ogromną czarną żmiję – mówił dalej Hakatri. – Poszliśmy za nim z bratem do głębokiej jamy, a potem walczyliśmy i pokonaliśmy go. Niestety, paląca krew gada splamiła mnie i nigdy już nie zaznam spokoju. Na Ogród, co to za ból! – Wydał z siebie zduszony szloch i zamilkł na chwilę. – Obaj zanurzyliśmy w nim nasze miecze – podjął opowieść głosem, który teraz brzmiał niemal jak śpiew – ale szczęście dopisało memu bratu Inelukiemu. Uniknął palącej rany. Czarna, czarna była jego posoka i gorętsza nawet od płomieni Tworzenia! Obawiam się, że śmierć sama nie ukołoby tego bólu...

— Zamilcz! – ryknął Sulis, przepełniony gniewem i cierpieniem. – Wiedzmo, czy na nic nasze zaklęcie? Dlaczego on mnie nie słucha?

— Nie ma tu żadnego zaklęcia poza tym, które otwiera przejście – odpowiedziała. – Być może Hakatri dotarł do tego przejścia, bo pali go krew smoka. Nie ma gorszej rzeczy na tej ziemi niż krew bestii. Myślę, że to przez swoje rany trzyma się blisko Ścieżki Snów. Pytaj go, Nabbańczyku. Może ci odpowiedzieć jak każdy inny nieśmiertelny, którego mógłbyś spotkać.

Teraz dopiero to poczułam. Poczulałam uścisk losu, który nas tam sprowadził. Wstrzymałam oddech, uwięziona między przerażeniem, które wypełniało mnie niczym zimny wiatr, domagając się głośno, bym zostawiła Tellarina i wszystko inne i uciekała, a przemożną chęcią przekonania się, co przywiodło mojego ojczyma na to niewiarygodne spotkanie.

Lord Sulis zwiesił na moment głowę, jakby teraz, kiedy nadszedł ten moment, nie był pewien, co chce powiedzieć. Wreszcie zaczął mówić, najpierw cicho, lecz z każdą chwilą jego głos nabierał mocy.

— Kościół naucza nas, że Bóg objawił się na tym świecie pod postacią Usiresa Aedona i że dokonał wielu cudów, leczyl chorych i chromych, aż Imperator Crexis kazał go powiesić na Drzewie Straceń. Wiesz o tym, Hakatri?

Człowiek z płomieni przewrócił niewidzącymi oczami i spojrział w stronę Sulisa. Nie odpowiedział, ale wydawało się, że słucha.

— Aedon Odkupiciel obiecał, że wszyscy żyjący zostaną zebrani i że nie będzie śmierci – mówił dalej mój ojczym. – To prawda, bo był bogiem, który przyszedł na ten świat pod ludzką postacią, i potwierdzają to jego cuda. Jednak czytałem wiele na temat twojego ludu, Hakatri. Cuda, jakie czynił Usires Aedon, mogły być dziełem jednego z was, Sithów, a nawet kogoś, kto tylko w połowie był nieśmiertelny. – Jego uśmiech przypominał uśmiech trupiej czaszki. – W końcu nawet moi najzagorzalsi krytycy na łonie Matki Kościoła przyznają, że Usires nie miał ojca z rodu ludzkiego.

Ponownie spuścił na chwilę głowę, zbierając siły lub może słowa. Zaczerpnęłam powietrza, bo od dłuższego już czasu wstrzymywałam oddech. Avalles i Tellarin patrzyli nieruchomym wzrokiem, przerażeni i zdumieni zarazem. Twarz wiedźmy Valady pozostawała w cieniu.

— Śmierć zabrała mi obie żony, i to bezpowrotnie – powiedział ojczym. – Pierwsza przed śmiercią dała mi syna, pięknego

chłopca imieniem Sarellis. On także zmarł w strasznych mękach, stąpawszy na gwóźdź wystający z podkowy. Gwóźdź! Zabrała go śmiertelna gorączka. Młodzieńcy, którymi dowodziłem, ginęli setkami, tysiącami, ich ciała zaścięły pola bitewne jak łuski szarańczy, a wszystko to za kawałek ziemi albo czasami z powodu kilku słów. Moi rodzice też zmarli, nim zdążyliśmy sobie wszystko powiedzieć. Śmierć zabrała mi wszystkich, których naprawdę kochałem. – Jego ochryple głos nabierał coraz większej siły, jakby samą jego mocą chciał zburzyć mury Niebios. – Matka Kościół nakazuje mi wierzyć, że kiedyś znowu się z nimi połączę – mówił dalej. – Naucza nas tymi słowami: *Niech pociechą dla was będą czyny Usiresa, naszego Pana, gdyż zadaniem jego było pokazać nam, że nie powinniśmy bać się śmierci.* Ale czy mogę mieć pewność? Nie potrafię tak po prostu uwierzyć! Czy Kościół mówi prawdę? Czy ponownie ujrzę tych, których kocham? Czy będziemy żyć dalej? Przywódcy Kościoła ogłosili mnie heretykiem i nazwali Apostatą, bo nie chciałem się wyzbyć wątpliwości dotyczących boskości Aedona. Ale ja muszę wiedzieć! Powiedz mi, Hakatri, czy Usires był jednym z was. Czy uczyniono go bogiem po to tylko, żeby nas uszczęśliwić, a kapłanom zapewnić bogactwo? – Zamrugnął gwałtownie, powstrzymując łzy; złość i cierpienie całkowicie zmieniły jego twarz. – Nawet gdyby Bóg miał mnie skazać na wieczne męki w piekle, muszę wiedzieć. Czy nasza wiara jest kłamstwem?

Trząsł się teraz tak bardzo, że aż zatoczył się do tyłu i nieomal upadł. Nie poruszył się nikt poza człowiekiem z płomieni, którego ciemne, niewidzące oczy podążyły za Sulisem.

Zorientowałam się, że ja także płaczę, i otarłam cicho łzy. Nie

mogłam znieść widoku ojczyzna uginającego się pod ciężarem szczerego bólu, a jednocześnie czułam złość. Wszystko to uczynił z tego powodu? Dla czegoś tak nieodgadnionego odsunął się od mojej matki i niemal zniszczył swoje życie?

Minęły długie chwile ciszy, nim Hakatri raz jeszcze przemówił powoli:

— Wy, śmiertelnicy, zawsze torturujecie samych siebie. – Zamrugnął, a jego twarz poruszyła się w tak dziwny sposób, że musiałam się odwrócić, zanim spojrzałam na niego ponownie, starając się zrozumieć jego słowa. – Lecz najbardziej się zadręczacie, kiedy szukacie odpowiedzi na pytania, na które nie można odpowiedzieć.

— Nie można? – powtórzył Sulis. Wciąż drżał. – Jak to?

Człowiek z płomieni uniósł smukłe dłonie, co, jak się domyślałam, miało być gestem pokoju.

— To bowiem, co zostało przeznaczone dla śmiertelników, nie jest objawione Zida'ya, w każdym razie nie bardziej niż wam wiedza o naszym Ogrodzie czy o tym, dokąd idziemy, gdy opuszczamy to miejsce. Posłuchaj mnie, śmiertelniku. A jeśli nawet wasz mesjasz rzeczywiście był jednym z Dzieci Świtu, czy byłby to dowód na to, że nie było to wolą waszego Boga? Czy przez to słowa waszego Odkupiciela byłyby mniej prawdziwe? – Hakatri pokręcił głową w dziwny sposób, który upodabniał go do ptaka.

— Powiedz mi tylko, czy Usires był jednym z was – domagał się Sulis. – Oszczędź mi swojej filozofii i odpowiedz! Bo ja też płonę! Ten ogień nie daje mi spokoju już od lat!

Kiedy ucichło echo krzyku mego ojczyzna, istota w kręgu

czarnych płomieni znieruchomiła i po raz pierwszy wydawało się, że naprawdę spogląda poprzez czas. Kiedy znowu się odezwała, jej głos przepełniał smutek.

— My, Zida'ya, niewiele wiemy o poczynaniach śmiertelników. Są też tacy wśród nas, którzy odłączyli się i których czyny pozostają dla nas nieznane. Nie sędzę, by wasz Usires Aedon był jednym z Dzieci Świt, ale ani ja, ani żaden z nas nie powie ci nic więcej. – Ponownie uniósł dłonie, splatając palce w dziwnym, niezrozumiałym geście. – Przykro mi.

Hakatri jeszcze mocniej zadygotał, być może znowu czuł ból płomieni, który potrafił jakoś powstrzymać, gdy słuchał mojego ojczyma. Sulis nie czekał, czy obcy powie coś jeszcze. Zbliżył się do ognia i kopnął magiczne drewno, wzniecając snop wirujących iskier, a potem opadł na kolana z twarzą ukrytą w dłoniach.

Człowiek z płomieni zniknął.

Ciszę, która zdawała się nie mieć końca, przerwała wiedźma.

— Lordzie Sulisie, czy teraz dotrzymasz umowy? Powiedziałeś, że uwolnisz mnie, jeśli zaprowadzę cię do jednego z nieśmiertelnych. – Mówiła głosem niepozbowionym łagodności, co mnie zaskoczyło.

Kiedy wreszcie jej odpowiedział, z trudem tylko można było zrozumieć jego słowa. Dał znak ręką.

— Avallesie, zdejmij jej łańcuchy. Nie jest mi już potrzebna.

Pośród długiej nocy smutku poczułam wreszcie ukłucie szczęścia, gdyż zrozumiałam, że mimo moich obaw wiedźma, mój ukochany, a nawet mój udręczony ojczym przeżyją ten koszmar. Kiedy Avalles, roztrzęsiony tak bardzo, że z trudem jedynie trzymał w dłoni klucz, zaczął zdejmować kajdany, przez

moment wyobraziłam sobie, iż mój ojczym powróci do zdrowia, nagrodzi Tellarina za odwagę i oddanie i wraz z moim ukochanym zamieszkamy gdzieś daleko od domu pełnego duchów.

W następnej chwili usłyszałam nieoczekiwany krzyk ojczyma. Odwróciłam się i ujrzałam, że padł na brzuch i drży od płaczu. Widok spokojnego, opanowanego Sulisa tak całkowicie pogrążonego w rozpacz był w pewnym sensie najstraszniejszym obrazem, jaki ujrzałam tamtej nocy.

A potem, kiedy nie ucichło jeszcze echo jego krzyków odbite od niewidocznego sufitu komnaty, echo, któremu zawtórował szelest liści ciemnego drzewa, coś innego przyciągnęło moją uwagę. W miejscu, gdzie wcześniej stała wiedźma, dostrzegłam dwie walczące postacie. Początkowo myślałam, że to Avalles i Valada, lecz natychmiast pojęłam, że wiedźma stoi z tyłu i przygląda się temu zaskoczona. Pochodnie Avallesa i Tellarina leżały na ziemi, a oni sami zwarli się ze sobą. Zdumiona i całkowicie bezradna, patrzyłam, jak się przewracają. Chwilę później zobaczyłam sztylet, który wzniósł się i opadł. Walka ustała.

— Tellarinie! – zawołałam i pobiegłam przed siebie.

Wstał, ocierając brud z twarzy, a potem spojrzał na mnie ze zdziwieniem, kiedy wyłoniłam się z cienia. Dostrzegłam krew na jego ostrzu. Stał nieruchomo, przestraszony albo zaskoczony.

— Breda? Co tu robisz?

— Dlaczego on cię zaatakował?! – krzyknęłam. Avalles leżał skurczony na ziemi w ciemnej, rosnącej kałuży. – Przecież był twoim przyjacielem!

W odpowiedzi pochylił się i pocałował mnie, a potem odwrócił i podszedł do swego pana, który wciąż klęczał na ziemi. Mój ukochany oparł kolano na jego plecach i chwycił go z tyłu za włosy, odciągnął głowę Sulisa, aż ujrzeliśmy jego lśniąca od łez twarz.

— Nie chciałem zabijać Avallesa – wyjaśnił mój żołnierz, zwracając się na poły do mnie, na poły do Lorda. – Ale on nalegał, żeby przyjść tutaj. Bał się, że zdobędę większe względy jego wuja, jeśli nie będzie go w pobliżu. – Pokręcił głową. – Szkoda. Tylko ciebie miałem zabić, Sulisie, i długo czekałem na równie dogodną okazję.

Mimo niewygodnej pozycji ojczym zdobył się na lekki, upiorny uśmiech.

— Kto z Sancellan cię przysłał?

— Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Masz mnóstwo wrogów w Nabbanie, Sulisie Apostato. Heretyk z ciebie i schizmatyk, jesteś niebezpieczny. Powinieneś wiedzieć, że nie pozwolą ci sprawować władzy na tym pustkowiu.

— Nie przybyłem tutaj, by sprawować władzę – jęknął ojczym. – Przybyłem, żeby znaleźć odpowiedzi na moje pytania.

— Tellarinie! – Usiłowałam zrozumieć coś, czego nie potrafiłam ogarnąć. – Co ty robisz?

— To nie ma nic wspólnego z nami, Bredo. – Znowu mówił spokojniejszym głosem.

— Czy ty...? – Nie mogłam tego z siebie wydusić. Łzy przesłoniły mi komnatę, tak samo jak wcześniej przesłonił ją Czarny Ogień. – Czy... udawałeś tylko, że mnie kochasz? Czy wszystko po to, żebyś mógł go zabić?

— Nie! Nie potrzebowałem twojej pomocy, dziewczyno. I tak zdobyłem już jego zaufanie. – Mocniej chwycił mojego ojczyma, aż przestraszyłam się, że zaraz złamie mu kark. – To, co nas łączy, jest dobre i prawdziwe, Bredo. Zabiorę cię do Nabbanu. Teraz będę bogaty, a ty zostaniesz mą żoną. Będziesz mieszkała w prawdziwym mieście, a nie na jakiejś kupie diabelskich kamieni.

— Kochasz mnie? Naprawdę mnie kochasz? – Bardzo chciałam mu wierzyć. – W takim razie wypuść mojego ojczyma, Tellarinie! Zmarszczył brwi.

— Nie mogę. Otrzymałem to zadanie, zanim jeszcze cię poznałem, i muszę je wypełnić. On jest szalony, Bredo! Sama widziałaś dzisiejszej nocy te okropieństwa. Widziałaś demona, którego przywołał zakazanymi czarami, więc wiesz, że nie może dłużej żyć.

— Proszę, nie zabijaj go! Błagam cię!

Uciszył mnie, unosząc dłoń.

— Złożyłem przysięgę memu panu w Nabbanie. Muszę wypełnić to jedno zadanie, a potem będziemy wolni.

Zaklinałam go na miłość, lecz pozostał nieugięty. Zagubiona, nie potrafiąc dłużej sprzeczać się z człowiekiem, który dał mi tyle radości, zwróciłam się do wiedźmy. Liczyłam na jej pomoc, zobaczyłam jednak, że Valada zniknęła. Odeszła na wolność, zostawiając nas, byśmy się pozabijali, jeśli taka była nasza wola. Wydawało mi się nawet, że dostrzegłam jakiś ruch, lecz była to jeszcze jedna zjawia, która unosiła się bezszelestnie na swych skrzydłach.

Lord Sulis milczał. Nie próbował uwolnić się z uścisku

Tellarina, czekał biernie na śmierć niczym stary byk na zarżnięcie. Zobaczywszy, jak skóra na jego szyi naciąga się mocno, kiedy przełyka ślinę, rozplakałam się. Podeszłam bliżej, gdy mój ukochany przyłożył mu nóż do gardła. Sulis spojrzął na mnie, ale nic nie powiedział. Wyraz oczu nie zdradził żadnej z jego myśli, które ukrył głęboko.

— Powiedz mi raz jeszcze, że mnie kochasz – poprosiłam, stając u boku Tellarina.

Kiedy spojrzałam na przestraszoną i triumfującą zarazem twarz mego żołnierza, mimowolnie pomyślałam o Wielkiej Twierdzy, miejscu zbudowanym na morderstwie, w którego zepsutym wnętrzu staliśmy. Przez chwilę zdawało mi się, że wróciły głosy duchów, kiedy przez moją głowę przewalił się okropny huk.

— Powiedz mi to raz jeszcze – błagałam go. – Proszę.

Mój ukochany nie odsunął ostrza od gardła Sulisa, lecz odparł:

— Oczywiście, że cię kocham, Bredo. Pobierzemy się i będziesz miała u stóp cały Nabban. Nigdy już nie będziesz sama i nigdy już nie będzie ci zimno.

Kiedy pochylił się do przodu, poczułam pod palcami, jak napinają się jego wspaniałe mięśnie. Zawahał się, usłyszawszy brzęk szklanej kulki, która spadła na kamień.

— Co...? – zapytał i wyprostował się nagle, przyciskając dłoń do miejsca w pasie, gdzie ukłuł go pazur.

Zatoczyłam się do tyłu i upadłam, zalewając się łzami. Za sobą słyszałam charczący oddech Tellarina, potem jego nóż zagrzechotał o kamienną podłogę.

Nie miałam dość sił, by spojrzeć na niego, ale nigdy nie

zapomnę tego chrapliwego oddechu.

Teraz, kiedy jestem już starą kobietą, wiem, że umrę w tej tajemniczej twierdzy. Gdy dokonam żywota, pochowają mnie pewnie obok mej matki i Lorda Sulisa.

Po owej długiej nocy spędzonej pod zamkiem Król Czapla, jak Lud znad Jeziora nazywał mojego ojczyrna, znowu był taki jak dawniej. Jeszcze przez wiele lat panował w Wielkiej Twierdzy i z czasem nawet mój zazdrosny, awanturniczny lud docenił w nim władcę, choć królewskie rządy nie przetrwały tak długo jak sam Sulis.

Mój ślad na tym świecie będzie jeszcze mniejszy.

Nigdy nie wyszłam za mąż, a mój brat Aelfric spadł z konia i zmarł, nie pozostawiając po sobie potomków. Dlatego więc – choć Lud znad Jeziora wciąż kłóci się o to, kto powinien nieść sztandar i włócznie Wielkiego Tana – nie poprowadzi ich już nikt z mojego rodu. Nie sądzę też, aby po mojej śmierci pozostał ktoś w wielkim zamku, który odbudował Lord Sulis; niewielu już żyje w całym naszym gospodarstwie, a ci, którzy jeszcze tu mieszkają, są tutaj z miłości do mnie. Kiedy odejdę, nie będzie nawet komu doglądać grobów.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego wybrałam na dom to ponure miejsce ani dlaczego przedłożyłam życie mojego ojczyrna nad żywot pięknego, podstępnego Tellarina. Może dlatego, że bałam się budować na krwi coś, co powinno stanąć na czymś lepszym. Może dlatego, że miłość nie potrafi rachować, dokonuje wyboru, a potem oddaje się bez reszty.

Bez względu na powody, dokonałam wyboru.

Po tym, jak ojczyrn wyniósł mnie z wnętrzości zamku, prawie

nigdy nie wspominał o tamtej strasznej nocy. Do końca swoich dni pozostał niedostępny, pogrążony w cieniu, czasami jednak zdawało mi się, że wyczuwam w nim spokój, jakiego wcześniej nie zaznał. Nie potrafiłam powiedzieć, skąd ta odmiana.

Kiedy już legł na łożu śmierci, a jego oddech słabł z każdym dniem, siedziałam przy nim niemal cały czas i opowiadałam o wszystkim, co działo się w Wielkiej Twierdzy – o odbudowie, która jeszcze się nie skończyła, o poddanych i ich zwierzętach – jakby miał wstać w każdej chwili i zabrać się do pracy, chociaż oboje wiedzieliśmy, że tak się nie stanie.

Gdy nadeszła jego ostatnia chwila, leżał z wyrazem spokojnego oczekiwania na twarzy – nie był to strach, lecz coś trudniejszego do opisania. Kiedy wydawał ostatnie tchnienie, nieoczekiwanie przypomniało mi się coś, co przeczytałam w jego książce. I zrozumiałam nagle, jak bardzo pomyliłam się tamtej nocy, dawno temu.

Pokaże mi Drogę Czarnego Ognia albo nie ma innej Nadziei. Albo ona mi odpowie, albo Śmierć – napisał.

Zrozumiałam, że nie zamierzał jej zabić, gdyby nie dała mu tego, czego pragnął. Chciał raczej powiedzieć, że jeśli wiedźma nie pomoże mu znaleźć odpowiedzi, będzie musiał poczekać na śmierć i wtedy dowie się prawdy.

Teraz więc miał otrzymać odpowiedź na pytanie, które dręczyło go od tak dawna.

Bez względu na to, jaka była odpowiedź, Sulis nie wrócił, żeby się nią podzielić. Teraz jestem starą kobietą i wkrótce sama się przekonam. Może zabrzmie to dziwnie, lecz nie obchodzi mnie to specjalnie. Przez rok spędzony z Tellarinem, w ciągu miesięcy

wypełnionych gorącą miłością, przeżyłam całe życie. Potem żyłam już innym: było długie, powolne, a drobne przyjemności w znacznej mierze rekompensowały w nim chwile cierpień. Z pewnością dwa życia wystarczą dla jednej osoby; komu potrzebna wieczność nieśmiertelnych? W końcu, jak wykazał człowiek z płomieni, nie ma nic szczególnego w wieczności wypełnionej bólem.

Teraz, kiedy już opowiedziałam moją historię, nawet duchy, które czasem budzą mnie o północy, przypominają raczej starych przyjaciół niż coś, czego należy się bać.

Dokonałam wyboru.

I nie żałuję.

Przełożył Paweł Kruk

Aliette de Bodard

GDY KRĘCI SIĘ KOŁO



Aliette de Bodard mieszka w Paryżu. W jej mieszkaniu jest więcej komputerów niż żywych istot, jeśli nie liczyć dwóch Lovecraftowych roślin, które stopniowo przejmują kontrolę nad salonem. Pracuje jako inżynier informatyk, a w wolnym czasie pisze powieści fantastyczne, wykorzystując swoją miłość do mitologii i historii: jej trylogię azteckiej noir fantasy „Obsidian and Blood” opublikowało wydawnictwo Angry Robot, a opowiadania ukazywały się w takich pismach jak „Asimov’s” czy „Interzone”, zapewniając jej nominacje do nagród Hugo i Nebula.

Prolog: Koło

WDziesiątym Trybunale Piekła stoi Koło Ponownych Narodzin.

Jego szprychy zrobione są z lakierowanego na czerwono drewna; gdy obracają je demony, skrzypi, przenosząc swój ładunek dusz z powrotem w świat.

A przed Kołem stoi Pani.

Każda dusza, która podchodzi do Koła, musi znieść jej spojrzenie. Każda dusza musi zatrzymać się przy niej, przyjąc z jej rąk celadonowy puchar i wypić.

Napój jest zrobiony z roślin rosnących na powierzchni stawów, z łez zbieranych z oczu dzieci, z łusek starych, mądrych smoków. Wypicie oznacza zapomnienie; bo żadna dusza nie może powrócić na świat, pamiętając swe przeszłe życia albo kary, jakie jej wymierzano w innych Trybunałach Piekła.

Żadna dusza.

Oprócz jednej.

1. Yaoxin (Cesarstwo Wen–Min), 316 lat od Założenia

Stary żebrak wyglądał żałośnie, gdy zerkał zmrużonymi kaprawymi oczyma. Nie miał jednej nogi i opierał się na kuli, chwiejnie i powoli kuśtykając drogą przed siebie.

Dai–Yu przyglądała mu się mimowolnie. Było w nim coś, co przyciągało jej wzrok; coś, co kazało jej zapomnieć o herbacianych liściach i korzennych przyprawach, które matka kazała jej kupić na targu w Yaoxin.

W jakiś sposób wydawał się bardziej rzeczywisty, wyraźniej określony niż reszta świata. Dai–Yu nawet sobie samej nie potrafiłaby wytłumaczyć tego uczucia.

Gdy ją mijał, wyciągnęła z rękawa sznur miedziaków i podała mu go.

Dłoń żebraka musnęła jej rękę, posyłając w górę ramienia ciepłe mrowienie. Zatrzymał się, a potem uniósł jej dłoń do światła, przyglądając się ciemniejszej plamie na skórze.

— Całe życie ją miałam – powiedziała Dai–Yu przepraszająco. – To zwykle znamię.

— Znam ten znak – powiedział żebrak. – A więc to ty jesteś tym dzieckiem, które było im obiecane.

— O czym ty mówisz?

Jego palce jakby w roztargnieniu obwiodły kontur znamienia.

— Dokonująca wyboru. To właśnie oznacza ten znak.

Był szalony. Niewątpliwie.

— To po prostu znamię – zaprotestowała Dai–Yu. – Nie jestem nikim nadzwyczajnym.

Spojrzał na nią, a jego twarz była śmiertelnie poważna.

— Jesteś arbitrem. Będziesz musiała wybrać między nimi.

Najgorszą rzeczą w przypadku tego żebraka nie były jego szalone słowa. Najgorszy był upór, z jakim kreślił ten znak, dopóki Dai-Yu nie spojrzała na znamię, starając się dostrzec postacie, o których mówił.

— Między kim?

— Tygrys – odparł żebrak. – Żuraw.

Słowa, których użył, nie były nazwami zwierząt, a raczej ich archaicznymi formami. Nawet dla Dai-Yu, która do czternastego roku życia uczyła się jedynie sztuki prowadzenia domu, mogły oznaczać tylko jedno.

— Założyciele? – Zaśmiała się, po czym zamilkła, widząc jego oczy. Już nie były kaprawe. Wpatrywały się w nią bystro i uporczywie.

— Tak – odpowiedział. – Będziesz musiała wybrać.

— Wybrać między czym a czym? Założyciele nie żyją od stuleci! Chyba demony cię opętały, że opowiadasz mi takie głupstwa!

— Chodzi o... pewien argument – powiedział żebrak. – O kwestię, której nie potrafili rozwiązać.

— Jaką kwestię? – zapytała Dai-Yu, a on potrząsnął tylko głową i zaczął się oddalać. – Czeka! – krzyknęła.

Jednak żebrak już nie kuśtykał. Pobiegł ku bramom Yaoxin tak prędko, jak tylko jedna noga i kula zdołały go ponieść.

Dai-Yu też ruszyła, próbując go dogonić, ale on przekroczył bramę i zniknął na targu. Stała, drżąc w tłumie, wiedząc, że z łatwością powinna była go dopędzić.

Później, tej samej nocy, wpełzła do świątynki przodków i patrzyła na najstarszą tabliczkę: tę, na której wypisano splecione imiona wojowników–filozofów, Założycieli Cesarstwa. Tygrysa. I Żurawia.

Miała wciąż w pamięci słowa żebraka.

Dokonująca wyboru. Jesteś arbitrem.

2. Yaoxin (Cesarstwo Wen–Min), 321 lat od Założenia

Przyszli kilka lat później. Tymczasem Dai–Yu wyszła za mąż i przeprowadziła się do domu bogatego kupca imieniem He En–Lai jako jego druga żona. Czas upływał jej na zajmowaniu się domem i pomocy w wychowywaniu trojga dzieci pierwszej żony.

Pewnego gorącego, deszczowego wieczoru Dai–Yu siedziała sama w pokojach żon, grając smętną melodię na cytrze, gdy nagły powiew wiatru smagnął jej deszczem w twarz. Wystraszona zerwała się, aby zamknąć okiennice.

Powoli dotarło do niej, że nie jest już sama.

Nie poruszyła się. Wiedziała, że straż pilnuje domu i że wszystkie drzwi są zaryglowane.

— Dai–Yu – zaśpiewał jeden głos, który zabrzmiał jak lament wiatru.

Drugi głos podjął jej imię i szepnął:

— Dokonująca wyboru.

Wtedy się poruszyła i drżąc, zwróciła się ku nim.

Stali tam w ciemnościach, obaj: niewyraźne sylwetki, twarzy nie mogła dostrzec. Pachnieli starością i stęchlizną, trochę tak jak dawno nieotwierane książki.

— Co tu robicie? – zapytała.

Jeden z nich się uśmiechnął. Zęby błysnęły w mroku.

— Jesteś dzieckiem obietnicy, Dai-Yu. Musisz wybrać.

— Wybieraj, wybieraj, wybieraj – szepnął drugi głos skrzekliwym, rytmicznym zaśpiewem, podobnym do wołania ptaków.

— Umarliście – szepnęła Dai-Yu. – Kroniki powiadają, że zmarliście w pałacu cesarskim.

— Nie możemy umrzeć – powiedział pierwszy głos. – Staliśmy się czymś innym.

— To bez znaczenia – dodał drugi głos. – Musi wybrać.

— Jesteście szaleni – rzuciła Dai-Yu, próbując zapanować nad strachem, który dławił jej pierś. – Nie urodziłam się po to, by cokolwiek wybierać.

— Naprawdę tak ci się zdaje? – Pierwszy wybuchnął śmiechem. Jego dźwięk bez końca odbijał się echem od lakierowanego sufitu i ścian.

Wstrząśnięta Dai-Yu ujrzała, że znamię na jej dłoni staje się czerwone jak klonowy liść, jak noworoczne lampiony.

— Nie – wyszeptała.

— Oto wybór, jaki przed tobą stawiamy. – Pierwszy głos był pomrukiem wielkiego kota, który będzie się bawił swoją ofiarą, aż umrze ona z wyczerpania. Tygrys. – Kiedy przed trzystu laty założyliśmy Cesarstwo, dyskutowaliśmy, co najlepiej utrzyma je w całości.

— Obowiązek – mówił dalej Żuraw. – Kult przodków i szacunek dla prawa. To są rzeczy, które pozwolą nam przetrwać.

— Człowiek nie wie, co to obowiązek – wtrącił się Tygrys,

wydychając na pokój zapach dżungli. – Człowiek nie zna szacunku. Tylko strach utrzyma Cesarstwo w nienaruszonym stanie. Strach przed naszymi sąsiadami będzie trzymał nas razem. Strach przed śmiercią i chaosem powstrzyma nas przed upadkiem.

Dai-Yu, opanowana, stojąc przy otwartym oknie, odparła:

— To jest... – „argument filozofów”, chciała powiedzieć. Dziecinne słowa, bez znaczenia. – To nie idee nas zjednoczą i nie one utrzymują Hsiung-Nu z dala od naszych granic.

— To nie zabawa – szepnął Żuraw. – Przegrany ustąpi. Zrezygnuje z wywierania wpływu na los Cesarstwa.

— To wy o czymś decydujecie? A co z cesarzem? Co z dworem cesarskim?

Dobiegł ją suchy śmiech Żurawia.

— Każdy jest posłuszny swoim przodkom, moje dziecko. Nie możemy umrzeć. Wciąż rządzą. Teraz wybieraj.

Dai-Yu wpatrywała się w ciemność, próbując dojrzeć ich twarze.

— Nic nie wiem. – Obaj byli ogromni, straszliwi i równie niezgłębieni. – To śmieszne. Po prostu znajdźcie sobie kogoś innego.

— Nie ma nikogo innego. – Cienie za Żurawiem przybrały ciemniejszy kształt skrzydeł w kolorze obsydianu. – Wybieraj.

— Nie mogę – szepnęła Dai-Yu, zanim jeszcze zdążyła pomyśleć.

Wyczuwała w ciemnościach ich połączone spojrzenia, oceniające ją i osądzające. Uczucie pustki w żołądku nie ustępowało.

— Bardzo dobrze – powiedział Żuraw. – Nie jesteś gotowa.

— Pomyśl nad tym – szepnął Tygrys. – Wrócimy.

Zniknęli bezszelestnie, ale po ich wyjściu Dai-Yu mogła łatwiej oddychać; nie miała już wrażenia, że każde wypowiedziane przez nią słowo jest oddzielane od innych i rozważane.

Cienie w pokojach powróciły na swoje miejsce.

Nie mogła powstrzymać drżenia. Co oni sobie wyobrażali? Że kim ona jest, by dawać się wciągać w ich wielkie, nieznane gry? Była człowiekiem. Miała męża, a wkrótce będzie miała dzieci. Nie była prorokinią ani wróżką.

Pragnęła tylko zasnąć i zapomnieć. Zapomnieć, że kiedykolwiek tu byli i że kiedyś wrócą.

W ciszy przeszła przez dom, jej sandały nie stukały o deski podłogi. Dotarła już niemal do drzwi swego pokoju, gdy coś ją zatrzymało.

Nie potrafiła orzec, co to takiego. Podobnie jak to było z żebrakiem, po prostu miała poczucie, że coś jest bardziej rzeczywiste, niż być powinno.

Drzwi do pokoju dziecięcego były uchylone i tak było przez cały wieczór. A jednak...

Dai-Yu popchnęła je, otwierając szeroko, i weszła do środka. Przez szpary w okiennicach wpadało białe światło księżyca, oświetlając zarysy trzech łóżeczek.

Dai-Yu nie poczuła nic. Nawet strachu ani gniewu. Ruszyła w stronę najdalszego łóżeczka, w którym spał Pao, najmłodszy syn.

Promień światła padał na jego twarz, uwydatniając to, co mu zrobili. Były tam rany, jak ślady pazurów, po trzy na każdym policzku, krwawiące w białym świetle.

I jeszcze jeden ślad uderzenia szponów, tego, które otworzyło jego pierś, odsłaniając leżące za żebrami klatki piersiowej serce.

Wiatr wyszeptał głosem Tygrysa: *Przypomnienie, Dai–Yu. Do czasu, gdy powrócimy.*

Krzyknęła rozdzierającym, wydartym z głębi płuc głosem, który rozległ się w całym domu, okrzykiem wściekłości, smutku i rozpacz. Obudził on pozostałych dwóch chłopców, którzy skulili się w swoich łóżeczkach, a ich twarze zastygły w przerażeniu. Przywołał służbę, jej męża oraz pierwszą żonę.

— Dai–Yu? – zawołał En–Lai, jej mąż.

Potrząsnął nią, ale nie była zdolna do odpowiedzi; nie potrafiła wymazać sprzed oczu widoku martwego chłopca w łóżeczku. Im bardziej mąż nalegał, tym bardziej ona wycofywała się w głąb siebie, aż zaczęła chwiać się na granicy jakiejś otchłani w umyśle, wiedząc, że jeśli w nią wpadnie, nie będzie już powrotu.

— Lin Dai–Yu – odezwał się inny głos.

Podniosła oczy. Był tu urzędnik magistratu w urzędowych szatach barwy jadeitu i aksamitnej czapce. Trzech ludzi z jego milicji zajęło miejsca przed drzwiami pokoju, trzymając laski w pogotowiu.

— Co tu się wydarzyło? – Oblicze urzędnika miało surowy wyraz.

— Ta dziewczka zabiła mi syna – powiedziała pierwsza żona, dygocąc z gniewu.

Dai–Yu, wciąż usiłująca zebrać myśli, mogła jedynie potrząsnąć głową. *Nie, nie, nie. Nie ja. On to zrobił.*

Urzędnik spojrział na nią oczyma pozbawionymi wyrazu.

Odwróciła wzrok.

Spojrzenie urzędnika powędrowało w stronę łóżeczka, potem z powrotem spoczęło na Dai-Yu.

— Nie. To nie mogła być ona. Jakiej broni by użyła? – Uniósł dłonie Dai-Yu, pokazując jej krótkie paznokcie. – Spójrzcie. To nie są pazury – powiedział.

— Kto zatem to zrobił? – zapytał En-Lai z gniewem i smutkiem.

Urzędnik przeniósł wzrok na służbę i przyglądał się chwilę.

— Któż to mógł być, doprawdy? – A potem uważnie zmierzył spojrzeniem pierwszą żonę i jej długie lakierowane paznokcie. Każdy miał elegancką osłonę z brązu, zakończoną długim, ostrym szpicem przypominającym szpon.

Pierwsza żona wciąż stała obok Dai-Yu, gotowa ponownie ją oskarżyć. Jej wzrok napotkał spojrzenie urzędnika i jej twarz zmarszczyła się w gniewie.

— Oskarżasz mnie?! – zawołała. – O zabicie własnego syna?

Urzędnik uśmiechnął się bez radości.

— Widywałem już matki robiące gorsze rzeczy.

— Nie – wyszeptała Dai-Yu, widząc, że koszmar jeszcze się nie skończył. Nikt jej jednak nie słuchał.

— Popełniacie błąd – powiedział En-Lai, gdy ludzie z milicji wkroczyli do pokoju i związali nadgarstki pierwszej żony. – To oskarżenie jest niedorzeczne.

Dai-Yu posłyszała własny głos, jakby dobiegał z dużej odległości.

— To nie zostało uczynione ludzkimi rękoma.

Urzędnik odwrócił się ku niej. Światło padające na jego szaty

załśniło nagle białawo, ukazując coś, co wyglądało jak pierzaste okrycie; trwało to tylko chwilę, ale przez tę chwilę Dai-Yu zdążyła spojrzeć w jego oczy i dostrzegła w nich ponadczasowe złośliwe spojrzenie Żurawia.

Nie.

— Prawo musi być przestrzegane – powiedział z uśmiechem urzędnik, nie były to jednak jego słowa, ale coś o wiele starszego, dużo bardziej bezwzględne. – Zbrodnia nie może ujść bezkarnie. Dojdziemy prawdy.

Głos Tygrysa w jej głowie, jego nieustanna szeptana obietnica: *Przypomnienie, Dai-Yu. Do czasu, gdy powrócimy.*

Głos Żurawia: *Zbrodnia nie może ujść bezkarnie.*

Martwy chłopczyk w swoim łóżeczku, z poszarpaną twarzą i ziejącą otwartą pierś z sercem na wierzchu.

Pierwsza żona, wyrywająca się, gdy wyciągano ją z pokoju, krzycząca, obrzucająca ich wyzwiskami. Na próżno.

Otchłań w umyśle Dai-Yu otworzyła się szerzej, a ona runęła w ciemność z długim przeraźliwym krzykiem.

En-Lai, widząc jej tężejącą twarz, potrząsnął nią ponownie, ale ona zaniemówiła.

Przywołany do domu lekarz zobaczył ciało chłopca, męża mówiącego o niewinności swojej żony i Dai-Yu stojącą prosto i sztywno, ale bez słowa.

Posłuchał bicia jej serca, lecz nie znalazł nic niepokojącego. Na koniec przepisał uspokajający napój dla En-Laiego, którego niemoc potrafił zrozumieć, po czym wyszedł, szczęśliwy, że nie musi dłużej znosić spojrzenia Dai-Yu.

Pierwsza żona, poddana torturom, przyznała się do

zamordowania swego synka i została stracona.

En-Lai zarządził, by przeniesiono Dai-Yu do ciemnego pokoju na tyłach domu, gdzie opiekowały się nią dwie stare służące. Przez siedem lat mówiła bardzo niewiele, kurczyła się coraz bardziej, jej skóra stała się przezroczysta jak ryżowy papier, a ruchy były coraz bardziej ospałe.

W końcu zachorowała na płuca i zmarła.

Tak zakończyło się jej pierwsze życie.

Interludium: Dziesiąty Trybunał Piekła

Dusza zjawia się przed Kołem, aby odrodzić się po raz pierwszy. Jednak Pani stoi w bezruchu. Jej dłonie są puste.

— Dlaczego? – pyta dusza, a jej głos jest zaledwie tchnieniem.

— Nie możesz pić. Musisz pamiętać – odpowiada Pani. Jej twarz nie wyraża żadnych uczuć. – Musisz im odpowiedzieć.

Twarz duszy nie ma wyrazu. Gdyby malowały się na niej jakieś uczucia, byłby to gniew.

— Nigdy – odpowiada.

— Nie masz wyboru. – Żółte rękawy Pani wydymają się na wietrze, popychając duszę naprzód. – Ruszaj, dziecko. Czeka cię następne życie.

3. Cesarstwo Wen-Min, lata 343–631 od Założenia

I tak w każdym kolejnym życiu Dai-Yu rodziła się, pamiętając wszystko, od swoich pierwszych narodzin do ostatnich. Nie przeżyła już nigdy niewinnego dzieciństwa ani dni wolnych od

strachu. W każdym życiu lękała się, że pojawią się Tygrys z Żurawiem i zadadzą swoje pytanie.

Nie zawsze przychodzili, ale gdy już się pojawiali, niszczyli wszystko. Tygrys zabijał jej rodzinę. Żuraw wtrącał ich do więzienia albo wzbudzał w nich zapał do walki w obronie granic. Chwyтали za miecze i wyruszali, po czym wracali poranieni albo nie wracali wcale.

Przypomnienie, szeptał Tygrys.

Pomysł o Cesarstwie, szeptał Żuraw. Czy pozwolisz, by runęło z powodu zwykłego kaprysu?

I mieli rację – byli wszędzie: w oczach przekupniów na targu; w twarzach kapłanów, gdy odmawiali swoje modlitwy; w sędziach i urzędnikach, wnikając w nich jak ciemne, trzepotliwe cienie.

Nie mogła uciec.

Ale ustąpić nie zamierzała.

4. Shunliu (Cesarstwo Wen–Min), 650 lat od Założenia

Mając czternaście lat, Yi–Sen, która kiedyś była Dai–Yu, została wydana za mąż za Zheng–Leiego, pierwszego pisarza sądowego w Shunliu.

Miała dwóch synów i obsesyjnie ich strzegła, gdy jeszcze byli w kołyskach. A gdy przychodziły gorące letnie burze, przenosiła się do dziecięcego pokoju i całe noce czuwała nad dziećmi.

Jej mąż Lei miał własne pokoje, ale w końcu dotarły do niego plotki służących.

Którejś nocy poprosił, by przysłała do jego pokojów. Yi-Sen zrobiła to z wahaniem, drepcząc wzdłuż półek wypełnionych książkami. Pokoje męża były jego schronieniem, przystanią, w której nie było miejsca dla kobiet.

Lei siedział przy swoim biurku, które było puste, nie licząc pędzelka do pisania i lampy. Podniósł na nią spojrzenie.

— Musisz być ciekawa, po co cię wezwałem.

— Tak – odparła Yi-Sen. Otwartość, jak po wielokroć mówili jej rodzice, jest u kobiety zaletą. Ale nawet cała armia nauczycieli nie potrafiła jej tego wpoić.

— Usiądź – powiedział Lei.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko, czekając, aż on coś powie. W końcu się odezwał:

— Yi-Sen. Nie jestem głupcem. Czego się boisz?

Serce zamarło w niej na chwilę.

— Co masz na myśli?

— Nie drocz się ze mną. Przyglądałem się, jak obserwujesz cienie. Ludzie winni jakichś nieujawnionych występków w taki sam sposób patrzą na przechodzące drogą patrole milicji.

— Ja... – Yi-Sen zawahała się. Zachowywała w tajemnicy swoje przeszłe życia, znamię na dłoni, tak jak skąpiec ukrywa swoje złoto i jadeit.

W oczach Leiego widoczne było tylko łagodne zaciekawienie.

— Nie uwierzysz mi – odparła.

— Jestem człowiekiem uczonym. Pozwól, bym sam decydował, w co wierzę.

— Nazywam się Dai-Yu – powiedziała. – Urodziłam się w roku trzysta pierwszym. Jestem dzieckiem obietnicy.

Wszystko to wydobyło się z niej w jednej krótkiej chwili, a potem opowiedziała o Tygrysie i Żurawiu, o chłopcu zabitym w swoim łódeczku, z otwartą raną w piersi, o innych zmarłych w przeszłości.

Zielone oczy Leiego wpatrywały się w nią i oceniały, podobnie jak oczy Tygrysa i Żurawia. W końcu rzekł:

— Chciałbym wierzyć, że wymyśliłaś to wszystko.

— Ale nie wierzysz? – zapytała Yi-Sen. Spodziewała się różnych reakcji, ale nie takiej.

Lei powiedział wolno:

— Nie umiesz czytać. Nie jesteś wykształcona. A jednak... jednak opowiedziałaś mi o rzeczach z przeszłości. Szczegóły się zgadzają. Czytałem o nich w książkach.

— Nie uczyłam się ich – wtrąciła Yi-Sen. – Ja je pamiętam. Zawsze.

Wpatrywał się w nią i nie było w nim wahania.

— Wierzę, że tak jest.

— Dziękuję ci.

— To nie jest łatwy los. I niełatwy wybór.

— Nie rozumiesz – odrzekła Yi-Sen. – Dlaczego miałabym wybierać? Dlaczego miałabym im cokolwiek dawać? – Jej głos się podniósł, jakby przestała nad nim panować; słyszała swoje słowa dobiegające z jakiegoś odległego miejsca. – Nie wnoszą nic poza smutkiem i cierpieniem.

— Założyciele żyli w trudnych czasach. Nie usprawiedliwiam ich – stwierdził Lei, unosząc dłoń, by ją powstrzymać. – Po prostu daję ci informację, abyś potrafiła ich zrozumieć.

— Nie potrafię. Oni nie są ludźmi.

— Już nie – rzekł Lei. – Istnieją rozmaite opowieści o istotach, które nie umierają. Starzeją się, ale nigdy nie schodzą do Piekła. Nie są to przyjemne historie. – Podniósł się i stanął za nią. Otoczył ją ramieniem.

Wtedy i ona wstała, patrzyła w milczeniu na jego twarz.

— Yi-Sen, muszę sprawić ci zawód. Jestem poślednim uczonym, nie wojownikiem ani zaklinaczem. Nie potrafię ci pomóc.

— Nie szkodzi. Nikt nie może im się przeciwstawić, prawda?

— Trzeba by kogoś im równego, by tego dokonał. Ale nikt w Wen-Min nie ma takiej mocy. Ale tak czy inaczej stanę u twego boku, gdy będzie trzeba.

— Dlaczego? – spytała. – Dlaczego miałbyś ściągać na siebie kłopoty?

Obrócił ją ku sobie.

— Nie zgadłaś? – Jego głos był łagodny, na pozór pozbawiony emocji, ale zdradziło go drżenie.

— Nie – powiedziała Yi-Sen. – Nie. Proszę, nie. Oni zabierają wszystko, co kocham. Używają tego przeciwko mnie.

— Sama to powiedziałaś. Nikt nie może im się przeciwstawić. Jeśli jednak tak jest, to naprawdę nic nie ma znaczenia.

Uniosła dłoń i powiodła nią po jego twarzy, tak dobrze znanej, a zarazem tak obcej.

— Nie będę cię okłamywać – powiedziała delikatnie. – To wiele dla mnie znaczy. Świadomość, że nie jestem sama.

— Już nigdy nie będziesz sama. Obiecuję.

Uciekła spojrzeniem w bok, wiedząc, że tej obietnicy nie będzie w stanie dotrzymać.

— Powiedz mi, którego byś wybrał, gdybyś był do tego zmuszony.

— Żadnego – odrzekł Lei. – A jednak są nam potrzebni, by utrzymać nas w jedności. Obowiązek. Strach. Ale czym one teraz są... Czy można wybierać między sztormem a powodzią?

Nie zdołała nic na to odpowiedzieć.

Po chwili podszedł, by zgasić lampę.

— Zajrzę do moich księzek. Może znajdę w starych kronikach coś, co będziesz mogła wykorzystać przeciwko nim.

Choć nie wierzyła, by zdołał coś znaleźć, skinęła głową.

— Jesteś dobrym człowiekiem.

Zaśmiał się gorzko.

— Nie, dobrze znam swoje wady. Nie schlebiaj mi.

— Nie schlebiam – zaprotestowała, ale on już odprowadzał ją do wyjścia.

— Chodź – powiedział. – Przynajmniej tej nocy zapomnijmy o nich.

5. Shunliu (Cesarstwo Wen–Min), 657 lat od Założenia

Yi–Sen stała na najwyższym piętrze domu, patrząc, jak ogień obejmuje ulice. Płatki kwiatów brzoskwini padały wokół jak deszcz, a ona zastanawiała się, czy rzeczywiście widzi kwiaty, czy tylko myli je z iskrami żaru.

Cień padł od strony drzwi.

— Dai–Yu – odezwał się głęboki głos.

Żuraw. Nie obróciła się. Wiedziała, po co przyszedł.

— To nie jest moje imię.

— To było twoje pierwsze imię. Twoje prawdziwe imię. — Żuraw zbliżył się do niej. Pachniał starością, jak dawne księgi, tym samym zapachem, który przed tyloma laty wyczuła u urzędnika magistratu. — Twój mąż nie żyje, Dai-Yu.

Wiedziała to już w chwili, gdy posłyszała jego głos. A jednak spokojny chłód ogarnął jej pierś, a potem rozszedł się po wszystkich częściach jej ciała, aż przestała odczuwać cokolwiek.

— A jego krew jest na twoich rękach. Posłałeś go, by bronił sądu, wiedząc, że tłum go zabije.

— Wypełniał tylko swój obowiązek — odpowiedział Żuraw głosem nasyconym złością. — Był pierwszym pisarzem sądowym. Musiał zamknąć przed tłumem wejście do sądu, by powstrzymać zamieszki.

— On niczego nie wybierał — odparła. — Był twoją zabawką.

— Gdybyś ty wybrała, on wciąż by żył.

Ogarnął ją gniew.

— Gdybym ja wybrała? Myśleliście, że mnie zmusicie? Że powiem, że to ty masz rację, a Tygrys nie?

Błysnęły w mroku świdrujące oczy; być może był w nich ślad rozbawienia.

— Czas wybierać. Twój mąż nie żyje. Zostawisz swoje dzieci same na tym świecie, tym szalonym świecie, w którym rabusie pozbawią was wszystkiego?

— Myślisz, że dbam o to? — spytała spokojnie.

Delikatniejsze kroki odbiły się echem pod sufitem pokoju. Posłyszała za sobą głos Tygrysa:

— Twój mąż nie żyje, Dai-Yu. Chcesz, by spotkał cię ten sam los?

Nie odpowiedziała. Nie było w niej już miejsca na strach. W dole miasto płonęło czerwonym żarem i rozbrzmiewało krzykami tłumu, który linczował każdego urzędnika, jakiego udało się znaleźć.

— Wybieraj – rzekł Tygrys.

Ręka Żurawia ścisnęła mocniej jej ramię.

— Wybieraj.

Sztormy i powodzie, powiedział Lei. Jak można między nimi wybierać?

Wybieraj.

Lei nie żył, stratowany przez tłum, a wszystko dlatego, że ją pokochał. Mogła się rozplakać, ale nie tego teraz potrzebowała. Musiała spotęgować swój gniew. Potrzebowała więcej odwagi.

— Powiedziałam wam, że nie będę wybierać – oznajmiła. – I nie pozwolę, byście mnie do tego zmusili.

— Nie masz dokąd uciec – powiedział Żuraw.

— Daj nam naszą odpowiedź – dodał Tygrys.

Nie ma ucieczki. Nie ma od nich ucieczki, nigdy.

Było jednak miejsce, do którego żaden z nich nie mógł się udać.

— Znajdźcie sobie kogoś innego – rzekła Yi-Sen. I zanim zdążyła opuścić ją odwaga, jednym płynnym ruchem wyskoczyła przez otwarte okno.

Były to tylko trzy piętra, ale lot zdawał się trwać w nieskończoność. Gdy upadła, krucha jak dzieło lalkarza, ból przeniknął wszystko, jej ramiona, piersi, serce. Zwróciła twarz ku niebu, a płatki brzoskwini padały na nią jak deszcz.

Nie widziała już Tygrysa ani Żurawia.

Gdy ogarnął ją mrok, uśmiechała się.

Interludium: Dziesiąty Trybunał Piekła

Pani patrzy na przychodzącą i zatrzymującą się przed nią duszę.

— Następne życie – powiada.

Dusza trwa w bezruchu. Tym razem nie mówi nic, co oczywiście nie oznacza, że nic nie czuje.

— Wiesz, że nie możesz bez końca pozostawać w Piekłe – ciągnie Pani. – Nie popełniłaś żadnego grzechu. Nie oszukiwałaś, nie kłamałaś, nie nadużywałaś władzy. Nie należy ci się nic poza krótkim wytchnieniem.

— Wystarczyłoby choć parę lat.

— Nie możesz uciekać w nieskończoność – stwierdza Pani.

— Nie – odpowiada dusza. – Lecz nie posyłaj mnie tam, dokąd poszedł Lei.

— Dziecko, jego tu nie ma. Był dobrym człowiekiem i zasłużył na pobyt w Południowym Raju przed kolejnym życiem.

Dusza milczy przez chwilę. Koło się kręci.

— Cieszę się. Nasze drogi nie skrzyżują się już więcej. Wszystko jest tak, jak być powinno.

W głosie Pani po raz pierwszy słyhać litość, ledwie słyszalną nutę.

— Dai-Yu, daj im to, czego chcą. Nic nie znacysz.

— Jestem dzieckiem obietnicy – odpowiada dusza. – Moja władza polega na dokonaniu wyboru. Albo na odmowie jego dokonania. Nie ustąpię. Życie za życiem niszczą mnie. Zabijają tych, których kocham, tak jak zabili Leiego. Nic się im ode mnie

nie należy.

— Oni walczą – powiada Pani. – Polityka pałacu cesarskiego w Laijing jest coraz bardziej nieskładna.

— Więc?

— Są tam tacy, którzy wiedzą, jak wykorzystać te konflikty. Ci, którzy długo czekali, by obalić Wen–Min.

— Nie dbam o to.

— A powinnaś – mówi Pani. Wiatr wieje, unosząc ze sobą jej słowa. – Już czas, dziecko. Chodź.

I w tej chwili wszystko zaczyna się od nowa.

6. Cesarstwo Wen–Min, lata 701–987 od Założenia

Biegła. Nie pozwalała sobie na miłość, nawet na troskę o kogokolwiek. Dosyć już było śmierci.

Została pustelniczką, nieustannie wędrującą po drogach Cesarstwa. W czasie swoich wędrówek nawiązywała znajomości, nigdy nie podtrzymując ich dłużej niż przez kilka księżyców; z kupcami będącymi w drodze w poszukiwaniu fortuny; z żołnierzami idącymi ku granicom, aby bronić kraju przed Hsiung Nu; z rodzinami, które utraciły swój dom na skutek głodu lub powodzi. Gdy zewnętrzne granice Cesarstwa padły pod naporem hord Hsiung Nu, spotykała na drogach uchodźców, których jedynym dobytkiem było ubranie na grzbiecie, ludzi o przerażonych twarzach, którzy nie chcieli opowiadać o swojej przeszłości.

Nawet gdyby dokonała wyboru między Tygrysem a Żurawiem, nic by to nie pomogło. Cesarza zastąpiłaby tyrania, władza

niekontrolowana przez nikogo. Widziała już, co potrafią Żuraw z Tygrysem. Nauczyła się ich bać. Utwardziła więc swoje serce i wędrowała dalej.

Niezależnie jednak od tego, jak daleko zaszła, Żuraw i Tygrys zawsze ją odnajdywali, zawsze nalegali, by dała im odpowiedź. I zawsze wolała raczej odebrać sobie życie, niż wybierać.

Krótkie wytchnienie, powiedziała Pani. Lepsze jednak krótkie niż żadne.

Interludium: Dziesiąty Trybunał Piekła

Dusze spotykają się przed Kołem.

Nie przychodzą z tego samego miejsca. Jedna, starsza, przeszła przez dziewięć Trybunałów Piekła. Inna miała mniej żyć: w poprzednim wcieleniu bowiem była tak cnotliwa, że zasłużyła sobie na pobyt w Południowym Raju. A teraz jej pobyt tam dobiegł końca i musi się ponownie narodzić. Poprosiła tylko o jedno i jej prośba zostanie spełniona.

Pani wie, że takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Ale tam, gdzie są reguły, są też wyjątki. Niewiele rzeczy potrafi skłonić Sędziów Piekła do ustępstw, ale pobożność i cnota zawsze zasługują na nagrodę.

— Dai-Yu – odzywa się młodsza dusza.

Starsza trwa nieporuszona. Patrzy na tamtą, próbując dostrzec jej rysy. W końcu powiada drżącym głosem:

— Lei? Nie powinno cię tu być. Powinieneś być zapomnieć.

— Jestem tam, gdzie trzeba – odpowiada młodsza dusza. – Posłuchaj, Dai-Yu...

— Nie. Trzymaj się ode mnie z daleka. Żuraw zabił cię ostatnio

tylko za to, że byłeś moim mężem. Jak mogłeś w ogóle wpaść na pomysł, by tu przyjść?

— Dai-Yu – mówi dusza Leiego. Wysuwa z czułością przezroczystry palec. – Obiecałem. I jestem tu.

— Nic nie możesz zrobić. Trzymaj się z dala. Proszę. Spróbuj odrodzić się w takim miejscu, w którym nie będę musiała cię spotkać.

— Zrobiłem coś dla ciebie – odpowiada dusza Leiego. – W Południowym Raju jest biblioteka, w której są wszystkie książki kiedykolwiek wydane w Wen-Min. Poszedłem do niej i szukałem. Jesteś dzieckiem obietnicy. Ale czy kiedykolwiek zadałaś sobie pytanie, kto cię obiecał Założycielom?

Cisza, jaka tym razem zapada, jest niemal namacalna.

— Zapomnieliśmy – mówi dusza Leiego. – Tygrys i Żuraw od nowa napisali historię, abyśmy zapomnieli. – Jej głos nabiera śpiewnego brzmienia. – Trzech filozofów założyło Cesarstwo w czasach tak dawnych, że pozostały po nich tylko mity zapisane na kruchych bambusowych paskach. I, jak to filozofowie mają w zwyczaju, pokłócili się.

— Trzech... – Głos jej duszy jest zwykłym szeptem.

— Żuraw, Tygrys – ciągnie dusza Leiego. – I Żółw. Nie chciał być arbitrem pomiędzy Tygrysem a Żurawiem. Wycofał się więc w najwyższe góry w Wen-Min, ale przedtem obiecał im, że pojawi się dziecko.

— Ja – rzecze Dai-Yu.

Lei nie mówi nic.

— Muszę go znaleźć.

— Nie będzie to łatwe. Ponieważ przestał być częścią historii

Cesarstwa, został wyrzucony poza nawias. Stał się pustelnikiem wędrującym po drogach Wen–Min, mnichem nieudzielającym odpowiedzi nikomu...

— Żebrakiem – szepnęła dusza Dai–Yu.

— Co?

— Nic takiego. Dziękuję, Lei.

— Nie musisz mi dziękować – odpowiada dusza Leiego. – Dai–Yu...

Ich dusze otarły się o siebie i odsunęły. Coś zostało przekazane: pocałunek, jeśli dusze mogą się całować. Obietnica, być może.

Dusza Leiego bierze z rąk Pani celadonowy puchar i pije. Jej światło blednie, gdy wspomnienia ulegają rozproszeniu. Dusza Dai–Yu stoi obok, drżąc. Nie pije z pucharu. Nigdy nie pije. Po raz pierwszy pamięć jest dla Dai–Yu błogosławieństwem.

Koło się kręci, przenosząc ładunek dusz z powrotem w fizyczny świat.

7. Góra Xu (Cesarstwo Wen–Min), 1021 lat od Założenia

Na Górze Xu była świątynia. Nie była jedną z Pięciu Wielkich Świątyń, miejscem, w którym nieustannie tłoczą się pielgrzymi szukający zbawienia pośród dymu kadzideł.

Świątynia na Górze Xu była zwykłą trzypiętrową pagodą. Jej pochyły dach był zrobiony z lakierowanego drewna, bez złocień.

Do tej właśnie świątyni przybyła Dai–Yu po latach poszukiwań; latach spędzonych na drogach z jej rodzimego miasta Yaoxin do bogatego Shandong na południu, z wietrznego,

jałowego Menzhou na wschodzie do Laijing, stolicy leżącej w centrum Cesarstwa.

Powietrze było ciepłe, obiecujące słodczy lata, a różowe płatki kwiatów wiśni zaścielały drogę. Dai-Yu, odpoczywając na ostatnim wzniesieniu, oddychała i czuła spokój tego miejsca przepełniający jej ciało, jak gdyby całe życie prowadziło ją tutaj. W pagodzie nie było nikogo. Ścieżka wiodła dalej, do ogrodu, a potem głębiej, między góry.

Żebrak czekał na nią na końcu drogi, siedząc w pozycji medytacyjnej przy wodospadzie w cieniu sosen. Był to ten sam mężczyzna, którego Dai-Yu spotkała tak wiele lat temu: ten sam mężczyzna, bez nogi, z żelazną kulą, z kaprawymi oczyma, które przenikały jej duszę na wskroś.

— Dai-Yu – powiedział, gdy podeszła bliżej. – Dziecko obietnicy.

— Wiedziałeś, że przyjdę – rzekła gniewnie Dai-Yu.

Czyżby była prowadzona do tego miejsca, manipulowana od samego początku, jak lalka poruszana drucikami?

— Nie ma wielu gór w Wen-Min – odparł żebrak. – A ja nie ruszałem się stąd od wielu lat. – Wstał. – Chodź, dziecko. Pospacerujmy trochę.

— Jak mogłeś? – rzuciła. – Jak mogłeś obiecać im, że dokonam wyboru, którego sam nie miałeś odwagi dokonać?

— Byli dziećmi. Sięgającymi po to, czego nie mogły mieć. – Oczy Żółwia patrzyły na wodospad bez ustanku wlewający wodę do zamglonej sadzawki. – Nie ma wyboru.

— Niewybranie też jest wyborem.

— Podobnie jak uciekanie – odparł Żółw. – I samobójstwo.

Rozgniewało ją to wypominanie.

— Oskarżasz mnie?

Żółw wzruszył ramionami.

— Nie wiem, dziecko. Nie potrafię orzec, co powinnaś zrobić, bo sam nigdy nie zdołałem tego odgadnąć. Nie zostało już wiele czasu.

Słońce schowało się za korony drzew; las pogrążał się w mroku. Chłód przeniknął Dai-Yu do szpiku kości.

— Nadchodzą – powiedziała.

— Tak – odrzekł Żółw.

— Dlaczego?

— Wiedzieli, że w końcu do mnie przyjdiesz. Wiedzieli, kiedy przekroczyłaś progi świątyni, znali chwilę, w której się spotkaliśmy. Bo jesteś dzieckiem obietnicy – powiedział Żółw. – Moim dzieckiem.

Zabrzmiało to prawdziwie. A przecież było niemożliwe.

— Nie... Ja mam... mam rodziców. Mam ludzką duszę. Dobrze to pamiętam.

Żółw wyciągnął rękę i dotknął znamienia na jej dłoni. Ciepło powędrowało w górę jej ramienia jak kiedyś, przed wiekami, na drodze do Yaoxin.

— Stworzyłem cię – powiedział. – Któż inny mógłby wybierać zamiast mnie? Któż inny nie musiałby pić napoju zapomnienia w Trybunałach Piekła?

— Nie...

— Jesteś tchnieniem z mego tchnienia, ciałem z mojego ciała, nasieniem z mego nasienia. Dai-Yu...

Zapadła niemal zupełna ciemność. Zerwał się zimny wiatr,

rozzucając sosnowe igiełki na ziemi, szepcząc żałobne słowa. A Dai-Yu, patrząc w gasnącym świetle na swego stwórcę, dostrzegła strach w jego oczach oraz ziemisty odcień jego skóry i zrozumiała, że jej nie pomoże, że już dawno zapomniał o swojej mocy. Że on też, w porównaniu z Tygrysem i Żurawiem, był niczym.

— Nie... – wyszeptała, ale wiatr porwał jej słowa.

Dwa cienie połączyły się w sercu ciemności. Skamieniała Dai-Yu patrzyła, jak przyoblekają się w ciało.

— Dai-Yu – powiedział z kocim pomrukiem Tygrys. – Już czas.

— Wybieraj – rzekł Żuraw.

Wiatr łopotał rękawami Dai-Yu.

Żółw stał nieruchomo obok niej.

— Zostawcie ją.

Tygrys wybuchnął śmiechem.

— Za późno, bracie. Zrzekłeś się swojej władzy na jej rzecz. Teraz ona musi zrobić to, czego ty nie potrafiłeś.

— Tygrysie... – zaczął Żółw, wysuwając się przed Dai-Yu.

Ruch ręki był błyskiem, który zalśnił w ciemności jak metal. Żółw padł na wznak, przyciskając rękę do piersi, a potem unosząc ją ku twarzy. Krew kapiała na ziemię kroplami, bębniąc o nią cichutko jak deszcz.

Dai-Yu poczuła to uderzenie tak, jakby otworzyło jej własną pierś; zachwiała się, zakrztusiła, potem spróbowała stanąć prosto.

— Moje dziecko – wyszeptał Żółw.

Czas zwolnił, a potem się zatrzymał; w tym krótkim momencie, gdy on padał na plecy, posłyszała słowa, których nie

wypowiedział.

Niewybranie jest wyborem.

Podobnie jak uciekanie.

Strach jest wyborem.

Dai-Yu, widząc szok na twarzy Żółwia, poczuła w sobie zimną narastającą pewność. Stała naprzeciw niego, patrząc na ziejącą w jego piersi ranę, taką samą, jaką kiedyś Tygrys zadał małemu Pao.

Wspomniała słowa Leiego: *Trzeba kogoś im równego, by tego dokonał. Ale nikt w Wen-Min nie ma takiej mocy.*

A jednak Żółw był kiedyś im równy. Moc wciąż w nim była, ale strach nie pozwolił mu jej użyć.

— Tchnienie z mego tchnienia – wyszeptała. – Ciało z mego ciała. – A potem dodała powoli: – Zrzekłeś się swojej władzy.

Położyła dłoń na piersi Żółwia, zagłębiła ją w ranie, aż poczuła pod palcami bicie jego serca, lekkie ciepło na swojej skórze. Popłynęło przez rękę aż do jej piersi, przepłynęło przez całe jej ciało, które zaczęło tętnić tym samym rytmem.

Ciało z mego ciała.

Ciepło rosło w niej, silniejsze i gorętsze. Pod jej rozcapierzonymi palcami Żółw niknął, rozpadał się w nicość, w pył rozwiewany przez wiatr.

Tchnienie z mego tchnienia.

Tam, gdzie leżał, nie było już nic: tylko pył, wspomnienie, również blaknące.

Nasienie z mego nasienia.

Czuła mrowienie w każdej części swego ciała. Obróciła się

powoli i podeszła do Tygrysa i Żurawia, patrząc im w twarze po raz pierwszy od wieków.

— Tygrys – powiedziała. – Żuraw.

Przez wszystkie swoje życia uciekała od ciemności, nie pomyślawszy o tym, że nierozjaśniony mrok tylko gęstnieje. Wpatrywała się w nich teraz, drżąc, ale nie ze strachu. Była im równa.

Podniosła rękę.

Światło wystrzeliło z niej, wydobywając ostre kontury ich twarzy: pobrużdżonych, pomarszczonych twarzy starców; bladej skóry tych, którzy zawsze żyli w ciemnościach.

Poczuła zapach stęchlizny, dawno nieotwieranych ksiąg.

— Jesteście dziećmi – powiedziała.

— Nie – warknął Tygrys, ale w świetle nie był już taki straszny jak przedtem.

— Pomyśl o Cesarstwie – wyszeptał Żuraw.

Byli teraz mniejsi, jak gdyby światło ograbiło ich z majestatu; mniejsi i coraz bardziej maleli.

Którego byś wybrała? – zapytała kiedyś Leiego.

Wciąż pamiętała jego odpowiedź. *Żadnego. A jednak są nam potrzebni, by utrzymać nas w jedności.*

— Wybieram – oznajmiła Dai-Yu. I pochylając się, przytrzymała ich obu rękoma. – Niech to nie będzie żaden z was. Niechaj Cesarstwo rośnie lub upada wedle własnych reguł.

Nie wazyli już nic, byli jak liść, jak oddech, jak nić pajęczyny. Niknęli pod jej dotykiem, wywrzaskując swoją wściekłość cieniutkimi głosikami, aż w końcu zamilkli.

W rękach Dai-Yu nie było nic poza chłodem, a potem i on

ustąpił.

Wpatrywała się w swoją otwartą dłoń, a później w otaczającą ją ciemność, która wyginała kształty sosen w demoniczne cienie.

— Skończyło się – szepnęła i nie wiedziała, czy uśmiechnąć się, czy roześmiać szeroko.

Moc Żółwia krążyła w niej, domagając się wykorzystania, czynienia rzeczy takimi, jakie być powinny. Ale ona, która już widziała, do czego prowadzić może władza, poskromiła ją w sobie.

Po raz pierwszy ujrzała przed sobą życie, które mogło stać się jej życiem: wolne od lęku; ze swobodą wybierania, kochania i bycia kochaną; wychowywania dzieci w pokoju. Nareszcie wolna, pomyślała z uśmiechem.

Odeszła znad sadzawki z pustymi rękami, widząc przed sobą ścieżki przyszłości niczym nieprzeliczone kwiaty, które mogła zbierać.

Epilog: Koło

Pani czeka przed Kołem w Dziesiątym Trybunale Piekła. Każdej przechodzącej duszy podaje celadonowy puchar i baczy, by wypić, aby cała jej pamięć uległa zatarciu.

Nie ma wyjątków.

Już nie ma.

Przetłóżył Jerzy Moderski

Paolo Bacigalupi

ALCHEMIK



Paolo Bacigalupi zadebiutował powieścią Nakręcana dziewczyna, która podbiła świat science fiction, otrzymując nagrody Hugo, Nebula, Locusa, Compton Crook i John W. Campbell Memorial. Jest również autorem powieści dla młodzieży Złomiarz, wyróżnionej Michael L. Printz Award i nominowanej do National Book Award. Jego kolejna powieść Zatopione miasta jest z nią treściowo powiązana. Napisał także kilkanaście opowiadań, z których większość można znaleźć w jego nagrodzonym zbiorze Pompa nr 6 i inne opowiadania. Alchemik dzieli miejsce akcji z nowelą The Executioness Tobiasa S. Buckella, a oba te opowiadania ukazały się pierwotnie jako audiobook wypuszczony przez Audible.com pod tytułem The Alchemist and the Executioness. Paolo mieszka obecnie wraz z żoną i synem w zachodnim Kolorado, gdzie pracuje nad nową powieścią.

1

Trudno sprzedaje się własne łóżko sąsiadowi. Jeszcze trudniej, gdy do jego ramy, niczym małpka czepiak, uczepione jest twoje dziecko, które za każdym razem, gdy próbujesz je od niego oderwać, krzyczy tak, jakbyś siekierą odrąbywał mu ręce.

Czterej mężczyźni z Alacanu już przybyli, głodni i szczęśliwi, że dzięki pracy własnych mięśni uda im się zarobić kilka miedziaków, pojawiła się także Lizca Sharma w sukniach połyskujących bogactwem diamentów, aby nadzorować przeniesienie łóżka z baldachimem i mieć pewność, że nie zostanie uszkodzone.

Łóżko było dużym, masywnym meblem. Wydaje się to śmieszne. Maleńkie rączki i nóżki Jiali nie potrzebowały, by się

swobodnie wyciągnąć, aż tyle przestrzeni. Na ramie łóżka wyrzeźbiono sceny, na których widniały latające pałace Jhandpary. Pradawne skrzydlate smoki wspinały się po kolumnach aż do samego baldachimu, gdzie ich drewniane szpony przytrzymywały zrolowane siatki, a po naciśnięciu sprytnie ukrytego miedzianego przycisku uwalniały się zawiasy i siatki opadały, by w gorące dni stanowić osłonę przeciw owadom. Piękne łóżko. Zachwycające. Przesycone mocą minionej chwały Jhandpary. Antyk zrobiony z sokolego drewna – o drobnych czerwonych słojach, od tak dawna niedostępnego pod krzewami jeżyn – co oczywiście potrajało jego wartość.

Jego sprzedaż zapewniłaby nam jedzenie na długie miesiące.

Jednakże dla sześciolatniej Jiali, głęboko do niego przywiązanej, która już widziała, jak kolejno znikają wszystkie nasze meble, była to zupełnie inna sprawa.

Widziała, jak nasi służący i nianie znikali niczym krople wody parujące na gorącej blasze. Widziała, jak spadały nasze zasłony, jak piękne wzory naszych dywanów zwijano w rulony, które jeden za drugim, niczym sznur serdelków, płynęły na plecach Alacańczyków maszerujących przez nasze marmurowe wnętrza. A teraz łóżko – tego było już za wiele. W tych dniach opustoszałe komnaty rozbrzmiewały tylko echem naszych nielicznych stóp. Pod portykami nie niosły się dźwięki muzyki naszego fortepianu, a ostatki ciepła można było znaleźć jedynie w siarkowym zapachu mojej pracowni, gdzie wciąż jeszcze żarzył się jedyny w domu ogień.

Dla Jiali wyniesienie jej obszernego i wspaniałego łóżka stanowiło ostatnią szansę stawienia oporu.

— NIEEEEE!

Próbowałem przymilać się do niej, a potem ją odciągnąć. Ale bardzo wyrosła od czasów niemowlęctwa, a desperacja dodawała jej siłę. Gdy próbowałem zepchnąć ją z materaca, przywarła do jednej z kolumn i owinęła wokół niej ręce. Przycisnęła policzek do łuski skrzydlatego smoka i znowu wrzasnęła:

— NIEEEEE!

Zakryliśmy wszyscy uszy, a jej głos wzniósł się o oktawę wyżej, zdolny kruszyć kryształy.

— NIEEEEE!

— Proszę, Jialo – błagałem. – Kupię ci nowe. Gdy tylko będziemy mieli pieniądze.

— Nie chcę nowego! – wrzasnęła. – Chcę to! – Łzy płynęły po jej zaczerwienionej twarzyczce.

Szarpnąłem ją, zakłopotany, pod krytycznym spojrzeniem pani Lizki oraz stojących za mną robotników. Lubiłem Lizcę. A teraz oglądała mnie w mojej małości. Jakby opróżniony dom nie wystarczał. I jakby ta sprzedaż ostatniej rzeczy należącej do mojej córki nie była dostatecznym upokorzeniem, błagałem teraz dziecko o współpracę.

— Jiala, to tylko na krótko. Będzie w sąsiedztwie, u pani Lizki. Będziesz mogła ją odwiedzić, jeśli zechcesz. – Spojrzałem na Lizcę w nadziei, że nie zaprzeczy. – Będzie w sąsiednim domu.

— Nie mogę spać w sąsiednim domu! Jest moje! Sprzedałeś wszystko! Już nic nie mamy! To jest moje! – Krzyki Jiali osiągnęły jeszcze wyższe rejestry, co wywołało kaszel, który na zmianę z krzykiem wydobywał się z jej gardła, podczas gdy ja próbowałem

oderwać jej dłonie od kolumny łóżka.

— Kupię ci nowe – powtórzyłem. – Łóżko jak dla księżniczki.
Ale ona krzyczała coraz głośniej.

Robotnicy zakryli dłońmi uszy, a wrzask godny gryfa wciąż nie cichł.

Zacząłem rozpaczliwie szukać jakiegoś rozwiązania, czegoś, co zaradziłoby temu przyływowi rozpaczy. Zdecydowany byłem za wszelką cenę powstrzymać kaszel, który sama u siebie wywołała tym napadem złości.

Głupiec. Byłem głupcem. Powinienem poprosić Pilę, by wyprowadziła ją na spacer, a robotnikom kazać zakraść się do domu cicho jak złodzieje. Rozejrzałem się po komnacie, a potem ujrzałem w twarzach robotników coś nieoczekiwanego. Inaczej niż Lizca, która stała nieruchomo, wyraźnie zirytowana, nie okazywali podobnych uczuć.

Żadnej niecierpliwości.

Żadnego gniewu.

Żadnego poczucia wyższości lub niesmaku.

Litość.

Ci robotnicy–uciekinierzy, którzy przybyli tu z za rzeki, z Mniejszego Khaimu, żeby zarobić parę miedziaków, litowali się nade mną. Brudne lniane koszule zsuwały się z ich przygarbionych ramion, z podziurawionych skórzanych butów wystawały ubłocone i zziębnięte palce, a mimo to litowali się nade mną.

Stracili wszystko, uchodząc ze swego miasta i unosząc na grzbiecie resztki skromnego dobytku, a psy i krzyczące, zasmarkane dzieci kłębiły im się pod nogami. Rozbitkowie w

rzece uchodźców z Alacanu, gdy ich burmistrz i majistrowie uchwalili, że miasta nie da się obronić i trzeba uciekać – i to szybko – przed nawałą jeżyn.

Mężczyźni z Alacanu, którzy stracili wszystko, patrzyli na mnie z litością. A to budziło we mnie wściekłość.

Krzyknąłem do Jiali:

— Dobrze, więc cóż mam począć? Mam pozwolić ci umrzeć z głodu? Przestać karmić ciebie i Pilę? Czy mamy usiąść w trawie i ogryzać mysie kostki przez całą zimę, żebyś mogła zachować swoje łóżko z sokolego drewna?

Oczywiście rozkrzyczała się jeszcze głośniej. Ale teraz już bardziej ze strachu. A ja też wrzeszczałem coraz głośniej, żeby ją przekrzyczeć zwierzęcym rykiem, próbując zastraszyć i onieśmielić w niej to, czego nie zdołałem rozbroić pochlebstwem. Używałem całej swojej mocy i wzrostu, by pokonać coś tak małego i zrozpaczonego.

— Zamknij się! – wrzeszczałem. – Nie mamy nic! Rozumiesz? Nic! Nie mamy już wyboru!

Jiała zmieniła się w chlapiące nieszczęście, które zanosilo się coraz głębszym kaszlem. Budziło to we mnie rosnący strach, gdyż wiedziałem, że jeśli kaszel potrwa jeszcze trochę, będę musiał rzucić zaklęcie, żeby go powstrzymać. Wszystko, co robiłem, prowadziło tylko do czegoś gorszego.

Wola walki opuściła Jiałę. Oderwałem ją w końcu od łóżka.

Lizca przywołała Alacańczyków, którzy zaczęli rozmontowywać wspaniały mebel.

Trzymałem Jiałę przy sobie i czułem, jak drży, wciąż głośno szlochając, ale już się nie szarpała. Złamałem jej wolę. Nasza

brzydka walka sprowadziła nas do czegoś znacznie gorszego od tego, co Trzy Oblicza Mary dla nas zaplanowały. Nie do roli ojca i córki. Nie do roli opiekuna i podopiecznej, lecz do roli potwora i jego ofiary. Tuliłem do siebie córeczkę i nienawidziłem tego, co zaszło między nami. Że tak ją sponiewierałem. Że mnie do tego zmusiła.

A najbardziej nienawidziłem siebie za to, że postawiłem nas w tej sytuacji.

Czułem prawdziwy ból. Ściągnąłem na nas niebezpieczeństwo i niedostatek. Nasz dom był kiedyś taki piękny. W dniach naszego powodzenia, kiedy jeszcze żyła Merali, robiłem miedziane naczynia dla bogatych domów, projektowałem zdobione zwierciadła z metalu i szkła. Wydmuchiwałem ze szkła magiczne pucharki dla wąsatych kupców z ulicy Diamentowej, z których mieli popijać w trakcie podpisywania umów. Grawerowałem na wazach Trzy Oblicza Mary: tańczących kobietę, mężczyznę i dziecko. Wytrawiałem sylwetki skrzydlatych smoków i latających zamków. Odlewałem gryfy ze złota, brązu i miedzi. Inkrustowałem sceny polowań na jelenie i jednorożce w strzelistych sokolich lasach Wschodu i rzeźbiłem wyobrażenia trzystu trzydziestu trzech sklepionych łuków cudownego nabrzeża Jhandpary. Sprzedawałem nostalgiczne marzenia o wielu zaginionych wspaniałościach imperium.

I byliśmy bogaci.

Teraz w mojej pracowni, zamiast ozdobnych przedmiotów dla bogatych domów, piętrzyły się i pobrzękiwały dziwaczne urządzenia, z których żadne nie było na sprzedaż. Poskręcane miedziane rurki wiły się jak macki ośmiornic, a nasze

zabiedzone twarze odbijały się w mosiężnych powierzchniach zbiorników. Szklane kolby połyskiwały eterycznym błękitem pręcików kwiatów lory, które można zbierać jedynie latem o zmierzchu, kiedy świecące chrząszcze zachęcają je do otwarcia się i obcują ze sobą w objęciach ich aksamitnych płatków.

Póki co w mojej pracowni dzień i noc syczały i parowały siarkowe osady jeżynowych krzewów.

Spalone pędy i nasiona, a także działające nasennie kolce, przechodziły przez wnętrza urzędów. Zamiast nad marzeniami Jhandpary pracowałem teraz nad tym osobliwym koszmarem. Nad rośliną, która unicestwiła imperium, a obecnie próbowała zniszczyć również nas. Cały nasz dom dniem i nocą cuchnął odorem palonej jeżyny i produktami pracy mojego balanthastu. To był też prawdziwy powód, dla którego moja córka tak szaleńczo broniła swego łóżka z sokolego drewna.

Cała wina leżała po mojej stronie. Nie po stronie dziecka. Przez ostatnie piętnaście lat z każdą podejmowaną decyzją coraz bardziej przybliżałem nas do ubóstwa. Jiała była zbyt mała, by pamiętać, jak dawniej, w swoich chwalebnych dniach, wyglądał nasz dom. Pojawiała się zbyt późno. Nigdy nie widziała jego kwitnących różanych ogrodów i łubinowych klombów. Nie pamiętała czasów, gdy korytarze rozbrzmiewały gwarem i śmiechem służby, gdy Pila, Saema i Traz mieszkali z nami, a Niaz, Romara i jeszcze jedna służąca, której imienia już nie pomnę, odkurzały wszystkie zakamarki domu, myszy zaś trzymały się od nas z daleka. To była moja wina. Przytuliłem chlipiącą córeczkę do piersi, bo wiedziałem, że to ona ma rację, a ja jestem w błędzie, wciąż jednak pozwalałem, by pani Lizca i jej

Alacańczycy rozbierali łóżko na części i wynosili z domu, kawałek po kawałku, aż wreszcie pozostaliśmy sami w pustej marmurowej komnacie.

Nie miałem wyboru. A dokładniej, pozbawiłem nas możliwości wyboru. Posunąłem się za daleko i oboje padliśmy ofiarami okoliczności.

2

Gdy sprzedałem łóżko, Jiala zaczęła mnie unikać. Wychodziła z domu i nie było jej całymi godzinami. Czuła urazę, ale nie odzywała się już do mnie i najwyraźniej chciała, żebym jakoś kupił sobie u niej przebaczenie za pomocą ciasteczek z syropem z Alei Cukrowej. Znikała wśród brukowanych uliczek Khaimu, a ja wykorzystywałem ten spokojny czas na pracę.

Sprzedaż łóżka, nawet jeśli było tak rzadkim dziełem sztuki zrobionym z drewna pochodzącego z sokolego lasu, z którego od co najmniej pięciu dziesięcioleci nikt nie był już w stanie korzystać, bo katedry jego wyniosłych drzew zniknęły pod splotami jeżyn, nie mogła wystarczyć na długo. A kiedy pieniądze się skończą, nie będę miał już żadnego wyboru.

Czułem się tak, jakby mnie uwięziono w którejś ze słynnych izb tortur majistra Halizaka, który zaklinał swoje ofiary w zamkniętych celach pozbawionych okien i drzwi, po czym za pomocą zaklęć zmniejszał pomieszczenia z rozmiarów słonia do rozmiarów myszy. Powiadano, że Halizak czerpał wielką przyjemność ze słuchania krzyków tych ludzi. Potem zaś, gdy więzienie malało jeszcze bardziej, podstawiał kielich pod to maleńkie kamienne pudełko i wypijał wyciekające ze swoich

wrogów płyny, by zapewnić sobie długowieczność.

Byłem już blisko celu.

Więzienie Halizaka zamykało się wokół mnie. Ale ja, inaczej niż jego ofiary, odkryłem drzwi. Szczelinę w zaciskającym się potrzasku. Nie zostaniemy bez domu. Jiala i ja nie będziemy zmuszeni do ucieczki za rzekę do Mniejszego Khaimu, aby żyć tam wraz z innymi uchodźcami, którzy uszli przed rozrastającymi się krzewami jeżyn.

Będę bohaterem. Czczonym przez stulecia. Miałem zostać bohaterem.

Raz jeszcze przygotowałem mój balanthast.

Pila, nasza wierna ostatnia służąca, przyglądała się temu, stojąc obok kominka. Z uśmiechniętej dziewczyny wyrosła na dojrzałą kobietę, która teraz patrzyła na mnie z przechyloną głową i zamyślonym wyrazem twarzy, jakby już uznała mnie za wariata.

Wniosła ostatnie części mojego zmienionego urządzenia i w pracowni na nowo zapanował bałagan złożony z resztek mosiężnych nitów, armatury i żelaznych opiłków. Odpadów mego natchnienia.

Uśmiechnąłem się do Pili.

— Tym razem zadziała – powiedziałem.

W powietrzu zawisł odór spalonej melii oraz mięty. W szklanej komorze na szczycie balanthastu leżało kilka listków mięty i wawrzynu oraz kilka kwiatów lory i zdrewniałych kawałków melii.

Potarłem zapalną. Rozbłysnął płomień. Byłem tak blisko. Tak bardzo blisko. Pila jednak oglądała już niejedną porażkę...

Łomotanie do drzwi przerwało moje przygotowania. Odwróciłem się zniechęcony.

— Idź, otwórz – powiedziałem do Pili. – Powiedz, że jestem zajęty.

Ponownie przygotowałem się do zapalenia balanthastu, ale jakieś przeczucie powstrzymało moją rękę. Słuchałem. Minęła chwila. A potem w sieni odbił się echem krzyk. Poczulem strach i zagubienie. Upuściłem zapalną i rzuciłem się do drzwi.

Na progu stał rzeźnik Falzi, tuląc w swych ogromnych ramionach Jialę. Była nieprzytomna, a jej głowa zwisała bezwładnie.

— Znalazłem ją w jeżynach – powiedział. – Głęboko. Musiałem użyć haka, żeby ją wyciągnąć, bo już się wokół niej owijały. – Pila i ja wyciągnęliśmy równocześnie ręce, ale Falzi cofnął się o krok. – Nie macie odpowiednich ubrań. – I rzeczywiście, jego skórzana koszula i fartuch pokryte były drobnymi białawymi nitkami jeżynowych włosków. Doprawdy, wyglądały tak, jakby drżały poruszane jakąś własną robaczą złośliwością. Nawet kilka takich włosków stanowiło niebezpieczeństwo, a Jiala była nimi pokryta.

Patrzyłem w przerażeniu.

— Ale co ona tam robiła? – Jiala nauczyła się o jeżynach wystarczająco wiele z mojej pracy, aby unikać ich kuszących pnących. – Nie powinna się znaleźć nawet w pobliżu jeżyn.

— Uliczne urwisy... – Falzi się zawahał, zakłopotany z powodu możliwych odniesień, ale w końcu ciągnął dalej: – Burmistrz daje nagrodę za nasiona jeżyn zbierane w mieście. Aby zapobiec rozrastaniu... Miedziaka za worek. To się opłaca bardziej niż łapanie szczurów. Niektóre dzieciaki... jeżeli głód je przycisnie,

idą do tych wielkich jeżyn na polach i je palą. Potem zbierają nasiona, gdy łupiny pękają.

— Do mojej pracowni – rzuciłem. – Szybko!

Falzi z łatwością zaniósł drobne ciało Jiali i położył na kamieniach przy kominku.

— Co zamierzasz zrobić? – zapytał. – Trucizna jest już w niej.

Potrząsałem głową, gdy używając szczotki, odgarniałem przyczepione do córeczki jeżynowe nitki. Wszędzie, gdzie się zetknęły ze skórą, pojawiało się zaczerwienienie. Usypiająca trucizna krążyła już w żyłach. Gdy uwolniłem miejsce na jej szyi, dotknąłem go, starając się wyczuć pod palcami echo serca.

Było powolne. Bardzo powolne.

— Mam środki, które mogą pomóc – powiedziałem. – Idź. Dziękuję, ale idź!

Falzi dotknął ręką serca na pożegnanie. Skłoniwszy głowę, zostawił nas samych.

— Zamknij drzwi, Pilo – poleciłem. – I okna.

— Ale...

— Zrób to! I nie wchodź do środka. Zamknij drzwi.

Pierwszy raz pomyślałem, że mógłbym znaleźć sposób zniszczenia jeżyn, gdy zauważyłem, że nigdy nie wyrastały w pobliżu kopalni miedzi w Keshu. Nawet gdy padł Alacan i właściciele gruntów wycofali się wzdłuż całej linii atakujących krzewów, kopalnie miedzi pozostały nietknięte.

Oczywiście dostęp do nich stał się z czasem niemożliwy. Jeżyny otoczyły tę dziwną wyspę skutecznego oporu i kontynuowały swój długi marsz na zachód, w głąb Alacanu. Obrona wrażliwego pasa drogi wiodącej przez jeżynowy las do

kopalni miedzi okazała się na dłuższą metę zbyt trudna.

Same kopalnie pozostały jednak bezpieczne nawet po tym, jak wszystko inne zostało już połknięte. Zauważyłem ten fenomen podczas moich podróży w tamte strony w poszukiwaniu nowych materiałów do mojej pracowni. Z tamtejszej miedzi robiłem wspaniałe urny, wielce poszukiwane przez moich pracodawców, jeździłem tam więc bardzo często. Pamiętam mój ostrożny przejazd przez długi jeżynowy tunel, w którym robotnicy ciężko pracowali, by utrzymać otwartą drogę do kopalni. Pamiętam czarne od sadzy i spocone twarze tych ludzi, którzy bez ustanku rąbali i palili, a mosiężne dysze palników były cały czas zapalone i dymiły, gdy spryskiwali zabójczą roślinę płonąącą substancją.

A potem widziałem otwierające się przede mną kopalnie z ich głębokimi dołami i hałasem pracy górniczej, ale także z trawnikami i drzewami, ogromne jeżyny bowiem rosły wszędzie na obrzeżach, ale nie w obrębie kopalni. Oaza.

Kilku majistrów i uczonych również zauważyło niezwykle właściwości kopalni miedzi w Keshu, tymczasem jednak, gdy wszyscy szukali przyczyny ocalenia tego miejsca, okalające jeżyny rozrastały się, a wkrótce już nikt nie mógł się przebić do tej odosobnionej kopalni, z jej urządzeniami, sadzawkami i składowiskami, aby przeprowadzić dalsze badania.

Ludzie jednak, rzecz jasna, eksperymentowali.

Niektórzy wpadali na pomysł, żeby brukować drogi miedzią, albo wyrabiali miedziane noże, które miały pomóc wycinać przejścia w jeżynowym gąszczu, bo myśleli, że to sama miedź niszczy jeżyny. I oczywiście nazwali ten metal niszczycielem jeżyn. Miedziane wyroby przez jakiś czas sprzedawały się

doskonale. Przyznam się, że i ja w tym uczestniczyłem, odlewając miedziane amulety i przekuwając piękne urny, co miało powstrzymać postęp rośliny. Ludzie prędko jednak odkryli, że miedź ulega jej korzeniom równie łatwo jak uprawne pole wieśniaka lub zaprawa spajająca mury miasta. Granit lepiej powstrzymywał napór jeżyn, ale i on w końcu się poddawał.

A jednak kopalnie miedzi z Keshu zajmowały moje myśli i mimo że pozostawały zagrzebane głęboko w jeżynowym lesie, wciąż były moim marzeniem o ratunku, gdybym tylko zdołał rozwikłać ich zagadkę. A teraz próbowałem z pamięci odtworzyć w mojej pracowni warunki panujące w Keshu, eksperymentując z roślinami i rudą miedzi i usiłując znaleźć tę szczególną, tajemniczą recepturę, która powstrzymywała jeżyny w ich marszu.

Drzwi zamknęły się za Pilą. Ponownie zbadałem puls Jiali. Był prawie niewyczuwalny. Jad jeżyn od dawna używany był przez morderców i odrzuconych kochanków. Trucizna ta sprowadza przemożny sen, który kończy się wieczną ciemnością. Uciska serce i spowalnia jego rytm, aż krew zaczyna płynąć jak zimny syrop, a wreszcie zatrzymuje się zupełnie, zamarza, zachowując ciało nienaruszone, czasem przez długie lata, aż szczury, myszy i muchy dostają się do wnętrza i powodują jego rozkład od środka.

A teraz trujące włoski jeżyn pokrywały ciało Jiali. Wziąłem miedziany pręt i przeciągnąłem nim po jej ciele. Potem dotknąłem jej ciała liśćmi mięty. Miedzianymi szczypcami zacząłem wyrywać nitki z jej skóry, wrzucając je do garnka za sobą, tak aby przez nieuwagę nie dotknąć ich samemu. Pracowałem tak szybko, jak mogłem, wiedząc, że i tak nie

potrafię robić tego wystarczająco prędko. Były tego całe tuziny. Tuziny tuzinów. Jeszcze więcej nitek było na ubraniu, ale one nie miały znaczenia. Tylko te pokrywające skórę. Zbyt wiele, ale wciąż je wyrywałem.

Powieki Jiali zatrzepotały. W ociążonym spojrzeniu czarnych oczu, pod długimi rzęsami, widać było wpływ jeżynowej trucizny.

— Czy mam dość? – wyszeptała.

— Czego dość, córeczko? – Nie przerywałem usuwania jeżynowych włosków.

— Dość... nasion... żeby odkupić moje łóżko.

Próbowałem odpowiedzieć, ale żadne słowa nie przeszły mi przez gardło. Moje serce czuło się tak, jakby było ściskane w więzieniu Halizaka, ociekające sokami i martwe.

Jiała zamknęła oczy i zaczęła zapadać w wieczny sen. Gorączkowo próbowałem wyczuć echo jej serca. Jedno powolne uderzenie pod moimi palcami. Stygnący cukrowy syrop. Drugie uderzenie. Gęstszy. Zimniejszy. Słabnące wołanie serca. Dłuższa przerwa, a potem...

Nic.

Odstąpiłem chwiejnie od ciała umierającej córki, przytłoczony uczuciem klęski.

Balanthast stał przede mną, wszystkie jego części były napełnione i przygotowane. W rozpaczę złapałem go i przyciągnąłem do mego gasnącego dziecka. Skierowałem ogromną miedzianą dyszę na bezwładne ciało. Łzy przesłoniły mi oczy. Złapałem zapalną, a potem... się zatrzymałem.

Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Powiadają, że Trzy

Oblicza Mary przychodzą do nas i w chwilach najwyższej potrzeby podszeptują nam mądrość. Ten rodzaj natchnienia bierze się z prawdziwej rozpacz i wtedy objawiają się nam tajemnice świata. To pewne, że Mara jest załączkiem życia i nadziei.

Ukląknęłam obok Jiali i wyrwałam kosmyk jej włosów – to było jak konieczność, jak pragnienie, jak... sam nie wiem, ale nagle musiałem mieć coś należącego do niej i włączyć to do balanthastu, razem z jeżyną. Wszystko to w połączeniu z miętą i drewnem melii... Wrzuciłem włosy do komory spalania i zapaliłem zapalniczkę. Płomień wypełnił komorę, spalając melię, miętę, jeżynę i czarne włosy Jiali, które po chwili stały się jednym, dymiąc i gorejąc. Pomodliłem się do Trzech Oblicz Mary o zmiłowanie, po czym obróciłem pokrętło balanthastu. Balanthast wessał do głównej komory płonące resztki włosów Jiali, krzewu jeżyny i pozostałych składników.

Przez chwilę nie działo się nic. Potem z komory eksplodował niebieski płomień i ogarnął Jialę.

Obudź się, tatusiu.

Obudź się.

Obudź.

Wstań.

Głuche, odbijające się echem słowa, dotknięcia i poszturchiwania.

Obudź się, tatusiu.

Tatusiu?

Tato tato tatotatotato.

Otworzyłem oczy.

Jiala klęczała nade mną – mgła czarnych włosów, chudych

brązowych ramion i niebieskich sukienek. Eteryczna i zamazana. Niewyraźny, nieostry obraz z otoczką światła wokół. Jakaś duchowa istota z Komnaty Sądu. Czeka ją na przyjście Sędziego Borzai, który obejmie ją swymi sześcioma ramionami, zajrzy w głąb jej duszy, po czym przekaże ją do Komnaty Dzieci, gdzie niewiniątka żyją pod opiekuńczym spojrzeniem psiogłowego Kemaza.

Spróbowałem usiąść, lecz nie mogłem. Ległem na plecach. Duchowa istota pozostała, szarpiąc mnie dalej. Pracownia była chaosem, wszystko było nieostre i rozchwiane, jakby spoczywało na warstwie chmur.

A zatem wszyscy jesteśmy martwi.

Tato?

Zwróciłem głowę w stronę rozbrzmiewającego echem głosu. Popatrzyłem ponownie na spustoszoną pracownię. Coś ostrego i zimnego wpijało mi się w plecy. Bynajmniej nie duchowego.

Powoli się uniosłem i oparłem o kamienną ścianę. Znajdowałem się po drugiej stronie pomieszczenia, daleko od kominka. Balanthead leżał obok mnie, jego szklane komory były rozbite, a rozerwane kolby próżniowe, zalutowane w swoich gniazdach, szczyrzyły ostre zęby. Pogięte miedziane rurki połyskiwały wszędzie wokół, niczym płatki kwiatów rozrzucanych w pochodzie ku czci Mary w święto zbiorów.

— Wszystko w porządku, tatusiu? – Jiala przyglądała mi się z wielką troską. – Masz krew na głowie.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej zmartwionej twarzyczki. Ciepła. Żywa. Nie jest duchem.

Jej skóra, cała i pełna życia, okopcona była żółtym osadem

spalonych jeżyn. Pokrywały ją poczerniałe i spopielone jeżynowe nitki, które skręcały się jeszcze w pośmiertnych drgawkach w jej na poły stopionych włosach. Okopcona, poparzona i cała w pęcherzach, ale cała i cudownie żywa.

Zachwycony, pogłaskałem dłonią jej osmalony policzek.

— Tato?

— Czuję się dobrze, Jialo – roześmiałem się. – Nawet lepiej.

Przytuliłem ją do siebie i zapłakałem. Dziękowałem Marze za uratowanie mojej córeczki. Byłem wdzięczny za odroczenie egzekucji mojej duszy.

A poza tym była jeszcze inna myśl, głębsza nadzieja. Ta jeżyna, po raz pierwszy w historii moich eksperymentów, naprawdę umarła, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu trucizny.

Piętnaście lat to niezbyt długo, gdy w grę wchodzi znalezienie sposobu zbawienia świata.

3

Oczywiście nic nie jest takie proste, jak się wydaje.

Po tym pierwszym szalonym sukcesie udało mi się doprowadzić jedynie do serii porażek zakończonych wybuchem, który nieomal zniszczył nasz dom. A jeszcze bardziej martwiło mnie to, że Jiala, choć przeżyła spotkanie z zabójczymi jeżynami, kaszlała bardziej niż dotąd. Zimowa wilgoć nasiliła ten kaszel, którym Jiala zanosila się codziennie, a jej małe płucka były bliskie zapaści.

Była zbyt mała, by wiedzieć, jak okropny był ten kaszel już wcześniej – i jak bardzo mnie martwił. Natomiast po przygodzie z jeżyną krew zaczęła plamić jej wargi i widać było, ile złego

uczyniła ta roślina w jej płucach i ciele w tym czasie, gdy próbowała pogrążyć ją w wiecznym śnie.

Unikałem stosowania magii tak długo, jak się dało, ale kaszel Jiali był coraz gorszy i coraz głębiej zagnieźdżał się w jej płucach. Chodziło zresztą o bardzo małą magię. O odrobinę zaklęć, tyle tylko, by utrzymać ją przy życiu. O zamknięcie pęknięć w płucach, żeby krew już nie pojawiała się na wargach. Być może na skutek tego mały pęd jeżyny pojawi się na polu jakiegoś rolnika, wsparty uwolnioną magiczną mocą, ale w gruncie rzeczy w grę wchodziła tylko niewielka magia, a potrzeby Jiali były zbyt ważne, by je ignorować.

Najgorsze były zimowe chłody. Khaim nie przypomina północnych krain, gdzie mróz zabija wszystkie rośliny poza jeżynami i pokrywa ziemię warstwami marznącego śniegu i smaganego wiatrem lodu. Chłód szkodził jej jednak. Od czasu do czasu odrywałem się więc od moich doświadczeń alchemicznych i prac nad doskonaleniem balanthastu, aby pomóc Jiali.

To był nasz sekret.

Nawet Pila go nie znała. Nikt nie miał do niego dostępu, tylko my.

Siadywaliśmy z Jialą, owinięci kocami, przy kominku w kąciek mojej pracowni, jedynym pomieszczeniu, jakie jeszcze ogrzewałem, a ja, posługując się zapiskami z księgi majistra Aruna, uprawiałem magię.

Jego tekst był klarowny, choć on sam już dawno temu skończył pod toporem Egzekutora. Jasność myśli wyłożonych na pergaminie. Jego ręka wyciągnięta ponad czasem. Jego przeszłość sięgająca w naszą przyszłość dzięki cudowi atramentu.

Rozmaryn, kwiat pkany, korzeń lukrecji i łagodzące działanie śmietanki z koziego mleka. Sproszkowane płatki kwiatów pkany trzaskające jak ogień w zetknięciu z powierzchnią mleka. Unoszący się w górę senny dym.

A potem serdecznym palcem, na którym już dawno zabrakło moich trzech złotych ślubnych obrączek, naniosłem tę roztartą pastę na czoło Jiali, w miejscu pomiędzy jej ciemnymi brwiami. Następnie, zsunąwszy jej lekko bluzę, dotknąłem pastą mostka na wysokości płuc. Żółty ślad kwiatu pkany pulsował na skórze, jakby za chwilę miał zapłonąć.

Gdy pracowaliśmy nad tą małą magią, wyobrażałem sobie wielkich majistrów z Jhandpary uzdrawiających tłumy ze swoich ozdobionych arkadami krużganków. Mówiono, że ludzie przebywali wiele mil, żeby zaznać uleczenia. Wówczas używano magii bez ograniczeń.

— Tatusiu, nie musisz – szepnęła Jiala. Targnął nią kolejny atak kaszlu, wyrwał się z głębi jej płuc, zgniatając je jak siłacz, który ściska owoc grejpfruta, a spomiędzy jego palców wycieka czerwony sok.

— Oczywiście, że muszę – odparłem. – A teraz bądź cicho.

— Złapią cię przecież. Ten zapach...

— Szz...

A potem przeczytałem prastare słowa majistra Aruna, których po wypowiedzeniu nie można było spamiętać. Spółgłoski paliły mi język, gdy wypowiadałem słowa mocy. Moc starożytnych. Sen Jhandpary.

Siarkowy zapach magii wypełnił pokój i teraz okrągłe uzdrawiające samogłoski spływały z moich warg, obracając się

jak koła wokół osi, kierując się ku pozostawionym przez moje palce śladom pasty.

Magia wniknęła w Jialę, a potem uleciała. Pasta z kwiatów pkany, zużywszy się, przybrała zielonkawy odcień, a pomieszczenie wypełnił całkowicie opar uwolnionej mocy. Zadziwiająca moc, wszechobecna, a tak niewielki wysiłek i tylko parę słów wiążących ją z nami. Magia. Moc uczynienia czegokolwiek. Choćby nawet unicestwienia imperium.

Otworzyłem z trzaskiem okiennice i wyjrzałem na czarną, brukowaną ulicę. Na zewnątrz nie było nikogo, więc szybko wywietrzyłem pokój, usuwając zeń zapach magii.

— Tatusiu, co będzie, jeżeli cię złapią?

— Nie złapią. – Uśmiechnąłem się. – To mała magia. Nie jakaś wielka magia budowania mostów. Nawet nie magia urodzaju. W twoich płucach są małe ranki. Nikt się nigdy nie dowie. A ja już wkrótce udoskonale balanthast. Wtedy nikt nie będzie sobie zawracał głowy tymi maleńkimi czarami. Wszystko będzie dobrze.

— Mówią, że Egzekutor czasem się wścieka i nie przerąbuje człowieka na pół, jak powinien. Że zamiast tego uderza krzywo. I że burmistrz płaci mu dodatkowo, żeby dał przykład tym, którzy używają magii.

— To nieprawda.

— Widziałam.

— Nie, nie widziałaś.

— To było w zeszłym tygodniu. Na targu złota. Na samym placu. Byłam tam z Pilą. A tłum był taki, że nie mogłyśmy się wydostać. Pila zasłoniła mi oczy, ale ja widziałam między jej

palcami. Egzekutor rąbał i rąbał, i rąbał, a ten człowiek krzyczał strasznie głośno, a potem przestał, ale wciąż nie było to dobrze zrobione. Nie ciął go czysto, powiedziała świniarka obok nas, i dodała jeszcze, że ona sprawniej zabija swoje świnię.

Zmusiłem się do uśmiechu.

— No cóż, to już nie nasz problem. Każdy uprawia trochę magii. Nikt nie będzie miał nam za złe, dopóki nie pchamy się z tym pod nos.

— Nie chciałabym patrzeć, jak cię rąbią i rąbią, i rąbią.

— W takim razie wypij napar z lukrecji, który przygotowała Pila, i staraj się unikać chłodu. Trudno dochować tajemnicy. Ale tajemnice najlepsze są wtedy, gdy wie o nich tylko dwoje ludzi. – Dotknąłem palcem jej czoła. – Ty i ja.

Pociągnąłem się za wąsy.

— Potargasz na szczęście?

Ona jednak nie chciała. I wciąż była niepoczyszona.

Miesiąc później, gdy błotnistą ścierkę wiosennego śniegu zastąpił słodkawy zapach wilgotnej, ciepłej ziemi, dokonałem ostatnich poprawek w moim balanthaście i wypróbowałem go na ścianie jeżyn.

Wyszliśmy z miasta głęboką nocą, brnąc zabłoconą drogą na wschód, ja z przewieszonym przez plecy balanthastem. Jiala, Pila i ja. Wraz z zapadnięciem ciemności wycofały się ze swym ogniem i toporami kobiety z jeżynowych brygad, podobnie jak szeregi postępujących za nimi ostrożnie dzieci zbierających nasiona. Nie będzie świadków naszego eksperymentu. Noc była chłodna i nieprzyjemna. Trzymaliśmy wysoko pochodnie.

Ku mojemu zdziwieniu dotarcie do ściany jeżyn zajęło nam

tylko dwie godziny.

— Przesunęła się – mruknąłem.

Pila potwierdziła skinieniem głowy.

— Kobiety, które sprzedają ziemniaki, powiadają, że rolnicy utracili jeszcze więcej pól. Niektóre z nich zarosły, zanim zdolali wykopać wszystko ze swoich ostatnich zbiorów.

Jeżyny majaczyły nad nami, wiele splątanych pięt, nacierające czoło nieprzebytego lasu, który zajmował już cały obszar dzielący nas od baśniowej Jhandpary. W świetle pochodni jeżyny rzucały dziwne, głodne cienie, gotowe wciągnąć nas w swoje usypiające objęcia. Rzuciłem pochodnię w wijący się gąszcz. Pędy zwinęły się i zatrzeszczały w płomieniu, a kilka opasyłych torebek nasiennych otworzyło się i wysypało na ziemię nowe nasiona.

Delikatne zielone pędy pojawiały się wzdłuż linii, gdzie jeżyny wcześniej palono i cięto, ale w głębi stawały się one zdrewniałe, grube, nie przepuszczały niczego. Ostre, kaleczące do krwi kolce połyskiwały w świetle, ale bardziej niepokojące były drżące, jasne, cienkie włoski pokrywające pnącza na całej długości, jadowite nitki, z którymi Jiala zdążyła się niedawno zapoznać.

Odetchnąłem głęboko, mimo woli zdenerwowany obecnością bezlitosnego wroga.

— No dobrze – powiedziała Pila. – Chciałeś nam coś pokazać.

Poczułem, że moja wiara słabnie. Małe doświadczenia w zaciszu pracowni to jedno, ale na otwartej przestrzeni? Przed Pilą i Jialą? Przekląłem sam siebie za swoją pychę. Powinienem był przyjść tu w pojedynkę, aby sprawdzić działanie balanthastu. Nie zaś ze świadkami, gdy każda nieudana próba mogła narazić

mnie na drwiny albo politowanie.

— No więc? – zapytała Pila.

— Tak – odparłem. – Zaraz zaczynamy.

Ale wciąż zwlekałem.

Pila spojrzała na mnie z niesmakiem i zaczęła rozstawiać trójnog z sokolego drewna. W ostatnich latach, w miarę jak malały jej zarobki, a przybywało obowiązków, robiła się coraz bardziej bezczelna. W niczym nie przypominała tej młodej nieśmiałej dziewczyny, która kiedyś pojawiła się w naszym domu. Teraz miała nadmierne poczucie władzy i omiatała wszystko krytycznym spojrzeniem. Podejrzywałem czasem, że już dawno zrezygnowałbym z moich eksperymentów, gdyby nie Pila patrząca na mnie z cichym wyrzutem. Łatwo jest zawieść samego siebie, ale ponieść porażkę na oczach innej osoby, zwłaszcza takiej, która widziała, jak stawiam tak wiele i z takim rozmachem na niepewną przyszłość – to jednak zbyt wielki wstyd.

— W porządku – wymamrotałem. – Oczywiście.

Odwiązałem balanthast i zdjąłem go z pleców. Postawiłem na drewnianym trójnogu i przymocowałem. Od czasu mego pierwszego sukcesu udało mi się znacznie osłabić wybuchową reakcję przez dodanie rzędu specjalnie zaprojektowanych zaworów, które prychały jak nozdrza skrzydlatego smoka. Balanthast był teraz wytrzymały, nie przewracał się i nie wybuchał, rzucając człowieka na ziemię i parząc go. Przykucnąłem i upewniłem się, że trójnog stoi mocno i stabilnie w błotnistej ziemi.

Mówiąc szczerze, trójnog mógł być zrobiony z czegokolwiek, a

już z pewnością z czegoś mniej ekstrawaganckiego. Ale kochałem sokołe drewno. Takie twarde i mocne, że nawet ogień się go nie imał. Mieszkańcy północnej Czandii wyrabiali z sokolego drewna miecze. Lżejsze od stalowych i równie mocne. Trójnóg zdawał się zapewniać mnie, że wciąż jest przed nami jakaś przyszłość, że jeszcze staniemy mocno na nogach i ożywimy dawną cudowność.

Będąc na miejscu Pili, nazwalibyście to zapewne kosztownym dziwactwem szaleńca, mimo że to właśnie ona pomagała mi w budowaniu trwałych podstaw trójnogu.

Rozłożyłem i przygotowałem resztę części składowych balanthastu. Jiala i Pila pomagały mi w montażu.

— Nie – wyszeptalem i uświadomiwszy to sobie, odchrząknąłem. – Jialo, ustaw komorę próżniową tak, żeby była skierowana w przód, w stronę wylotu. I proszę, bądź uważna. Nie mam dość żaru, żeby to powtórzyć.

— Zawsze jestem uważna, tatusiu.

W końcu wszystko było gotowe – mosiężna komora, kręte miedziane rurki i szklane kolby połyskiwały w srebrzystym świetle księżyca dziwnie i nieziemsko.

— Wygląda jak coś, co mogłoby pochodzić z Jhandpary – powiedziała Pila. – Tyle wspaniałego kunsztu włożonego w jedną rzecz.

Wypróbowałem komorę spalania balanthastu. Melia i wawrzyn, mięta i zbierane o zmroku kwiaty lory oraz kawałki jeżyny. Przy świetle pochodni kopaliśmy w ziemi, by znaleźć pęk korzeni. Było ich mnóstwo. W skórzanych rękawicach wybrałem odrobinę gleby. Jeżynowe naczynie krwionośne. Płodne łono Mary. Niezbędny składnik, od którego alchemiczny proces się

zacznie i potoczy dalej w głęboko zakorzenionych krzewach jeżyny, podobnie jak kosmyk włosów Jiali skierował reakcję w głąb jej ciała. Saletra, siarka i węgiel drzewny, aby doprowadzić mieszanekę do celu, wlane do głównej komory. Zamknąłem kolbę komory spalania, dokręciłem mocno mosiężne zaciski.

Mając już wybrany cel, skierowałem trzy nowo skonstruowane dysze balanthastu w ziemię obok niego. Gdy zapalałem zapalkę, Jiala zakryła rączką buzię. Niemal się uśmiechnąłem. Podłożyłem zapalkę pod kolbę komory spalania i zgromadzone w niej składniki zajęły się ogniem. Żarzyły się w szklanej komorze jak świetlik. Żar powoli gasł. Patrzyliśmy, wstrzymując oddech.

A potem, jakby wszystkie oblicza Mary odetchnęły równocześnie, cały starannie ułożony stosik zniknął, wciągnięty do głównej komory. Wzmocniony balanthast zadygotał potężnie, gdy składniki łączyły się ze sobą.

Reakcja była tak nagła, że nie zdążyliśmy się na nią przygotować. Ziemia wręcz sama pozbawiła nas oparcia pod stopami. Żółty gryzący dym wzbił się w górę. Rozpaczliwy zwierzęcy wrzask wypełnił powietrze, zupełnie jakby świniarki wbiegły do chlewa między wieprze i zaczęły ranić i wykrwawiać ich wielkie stado, nie zabijając przy tym ani jednego. Zerwaliśmy się na równe nogi i pobiegliśmy, kaszląc i łzawiąc, potykając się w błotnistych bruzdach. Jiala wyszła na tym najgorzej. Kaszel rozrywał jej płuca, a ja bałem się, że będę zmuszony użyć uzdrawiającej magii, jeszcze zanim skończy się noc.

Powoli rozwiął się dym, ukazując nam nasze dzieło. Balanthast drżał na trójnogu, wciąż stojąc tam, gdzie go ustawiliśmy, ale

wszędzie wokół wałała się skłębiona masa jeżynowych pędów, wijących się i dymiących. Pnącza płonęły z sykiem, a płatki popiołu opadały z nich jak smocze łuski. Pod ziemią przebiegł jeszcze jeden wstrząs, gdy plątanina głębszych korzeni wyskoczyła w górę – potem zaś, zupełnie nagle, pnącza opadły, zamieniając się w sadzę i pozostawiając po sobie czystą ziemię.

Podeszliśmy ostrożnie. Balanthast zabił nie tylko korzenie, które wybrałem, ale unicestwił wszystkie jeżyny wokół w promieniu wielu końskich długości, we wszystkich kierunkach. Aby oczyścić taki obszar, robotnicy potrzebowaliby wielu godzin. Uniosłem pochodnię i patrzyłem. Nawet na granicy niszczącego działania balanthastu pędy jeżyn zwisały smętnie jak ścierki. Postąpiłem ostrożnie naprzód. Dotknąłem uszkodzonej rośliny dłonią w rękawicy. Pędy zaskwierczały, wypłynęła z nich resztką soków, po czym opadły na ziemię.

Krążyłem dookoła, wpatrując się w piasek.

— Czy widzicie jakieś nasiona?

Przesunęliśmy pochodniami nad ziemią, starając się zauważyć każdą otwartą torebkę nasienną i rozrzucone pod wpływem ognistego gorąca nasiona.

Jiala kucnęła na mokrej wilgotnej ziemi i zaczęła przesypywać ją między paluszkami w rękawiczkach.

— No i jak? Jest tam coś?

Jiala spojrzała w górę, zdziwiona.

— Nie, tatusiu.

— Pila? – szepnąłem. – Znalazłaś jakieś nasiona?

— Nie. – W jej głosie było zdumienie. – Nie ma wcale. Nie znalazłam żadnego.

Wspólnie kontynuowaliśmy poszukiwania. Nic. Ani jednego nasionka wyrzuconego z jakiejś odosobnionej torebki. Pnącza jeżyny zginęły i nie pozostawiły po sobie nic, co mogłoby dręczyć nas później.

— To magia – szepnęła Pila. – Prawdziwa magia.

Roześmiałem się.

— To coś lepszego od magii. To alchemia!

4

Następnego ranka, pomimo zarwanej nocy, wstaliśmy z pierwszym pianiem koguta. Zaśmiałem się, widząc Pilę i Jialę już w pracowni, wyglądające przez żaluzje i czekające na lepsze dzienne światło, aby zobaczyć ostateczne wyniki.

Gdy tylko słońce ukazało się nad horyzontem, znów wyszliśmy na pola i ruszyliśmy przez błoto w stronę jeżynowej ściany. Pierwsza grupa niszczycieli jeżyn była już przy pracy, uzbrojona w topory i długie noże, ubrana w skórzane fartuchy chroniące przed trującymi kolcami. Dym ze spalonych jeżyn wznosił się, płoszył węże, był czarny i oleisty. Brudne dzieci posuwały się ostrożnie rzędami przez pole, z motykami i szuflami, plewiąc nowe pędy. W świetle poranka wyglądało to jak scena jakiejś niedawnej bitwy. Dym, pozbawione nadziei twarze. Jednak w miejscu wczorajszego działania mego balanthastu pracująca grupa zbiła się w ciasną gromadkę.

Podeszliśmy bliżej.

— Przyszliście, żeby to zobaczyć? – zapytali.

— Zobaczyć co? – odparła Pila.

— W jeżynach jest dziura. – Pokazała jakaś kobieta. –

Zobaczcie, jaka głęboka.

Kilkoro dzieci przyklęło. Jedno z nich spojrzało w górę.

— Jest czysto, mamusiu. Żadnych nasion. Wygląda, jakby nigdy nie rosły tu jeżyny.

Ledwo zdołałem powstrzymać wybuch radości. Pila musiała odciągnąć mnie na bok, żebym się nie zdradził. Ruszyliśmy z powrotem do Khaimu, śmiejąc się i podskakując przez całą drogę.

Gdy dotarliśmy do domu, Pila z Jialą przyniosły mi moje najlepsze ubranie. Pila pomagała mi zapinać guziki najpiękniejszej kamizelki, wydymając wargi, gdy zauważyła, jak schudłem od czasów, gdy byłem okazem zdrowia i dostatku.

Wybuchnąłem śmiechem na widok jej zmartwienia.

— Wkrótce będę znowu tłuśny, ty będziesz miała własnych służących i będziemy bogaci, a miasto będzie uratowane.

Pila uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od wielu lat z jej twarzy zniknęła troska. Znów wyglądała młodo, a ja wspominałem, jak piękna była w młodości i jak teraz, pomimo zmartwień i lat, wciąż stała wyprostowana i nieugięta pod ciężarem wszystkich obowiązków, które przyjęła na swoje barki. Trwała przy naszym domu nawet wtedy, gdy nasze zasoby stopniały, nawet gdy inne, bogatsze rodziny oferowały jej lepsze i wygodniejsze życie.

— To bardzo dobrze, że jednak nie jesteś szalony – powiedziała.

— Jesteś zupełnie pewna, że nie jestem szalony? – roześmiałem się.

Wzruszyła ramionami.

— No, przynajmniej nie w tym, co się tyczy jeżyn.

Droga do posiadłości burmistrza omija Wzgórze Malvia i prowadzi przez gliniany targ, a potem wzdłuż rzeki Sulong, która oddziela Khaim od Mniejszego Khaimu.

Nad rzeką targ korzenny przechodzi w targ ziemniaczany, a potem w miedziany. Sproszkowane przyprawy zatykają dech w piersiach, unosząc się w powietrzu, a wraz z nimi niosą się okrzyki kupców korzennych, którzy coraz mocniej oliwią i naciągają swoje czarne wąsy wraz z każdym nowym dzieckiem. Ich dłonie są czerwone od papryki i żółte od szafranu, a płuca wydzielają zapach goździków i oregano. Siedzą pod portykami wzdłuż rzeki za ogromnymi konopnymi workami pełnymi przypraw, które piętrzą się czasami na wysokość dwóch pięter. A potem droga wiedzie obok kobiet na targu ziemniaczanym, gdzie zwykle sprzedawały tylko ziemniaki, ale dziś sprzedają wszelkie rodzaje bulw, i dalej, do rodzin na targu miedzianym, które potrafią wykuć dowolne naczynie lub rurę, zrobić mosiężne świeczniki dla bogatych i garnki dla biednych.

W czasach mego dzieciństwa był tylko jeden Khaim. Zachowały się jeszcze resztki dawnego imperium. Przepadły co prawda cudowności Wschodu i zginęła wielka stolica Jhandpara, ale wciąż istniały Alacan i Turis, i Mimastiva. Khaim był wówczas mniejszym miastem, cenionym dzięki swemu położeniu nad rzeką, ale daleko mu było do Jhandpary, gdzie sprawowali władzę wielcy majistrowie noszący potrójne diamenty na rękawach. Jednakże za sprawą powolnego natarcia jeżynowych krzewów Khaim się rozrastał. A naprzeciwno, jeszcze szybciej, rósł Mniejszy Khaim.

Będąc dzieckiem, mogłem spojrzeć za rzekę i widziałem tam

tylko drzewa cytrynowe i krzewy casro, ciężkie od owoców. Teraz uchodźcy osiadali tam, budując swoje chatki z błota. Alacańczycy, którzy zniszczyli własne domy, a teraz próbowali zniszczyć Khaim. Z Turisu, jak wiadomo, pozostały tylko popioły. Ale nie była to wina jego mieszkańców. Turis zdobyli najeźdźcy, lecz Alacańczycy mogą mieć pretensje tylko do siebie.

Jiala spieszyła w dół rzeki wraz ze mną, trzymając mnie za rękę. Mała. Taka maleńka. Ale teraz miała przyszłość. Nie tylko szansę na życie w dostatku, ale szansę, że nie będzie musiała uciekać ze swego domu jak Alacańczycy, gdy jeżyny połkną jej dzieciństwo i historię.

Rzeką Sulong pływały w obie strony małe stateczki, przewożąc pracowników z Mniejszego Khaimu do głównego miasta. Teraz jednak coś przesłaniało i szpeciło ten widok.

Ogromny most, o częściowo ukończonej już konstrukcji, zawisł w powietrzu. Unosił się tam, przymocowany linami, żeby nie odleciał. Magia. Zdziwiająca i potężna magia wchodziła tu w grę. Dzieło majistra Scacza, jedyne człowieka w mieście, któremu za pozwoleniem burmistrza wolno było uprawiać magię i który przez to nie musiał drzeć przed toporem Egzekutora.

Zatrzymałem się i zapatrzyłem na unoszący się w powietrzu nad rzeką most. Magia, jakiej nie widziano od czasu upadku Jhandpary. Widok tego wznoszącego się mostu przepełnił mnie zabobonną trwogą. Tyle magii w jednym miejscu. Nawet balanthast nie zdołałby zapewnić ochrony przed takimi czarami.

— Chcesz kupować? Czy wolisz wstrzymać mi ruch w interesie? – zawołał do mnie kupiec korzenny.

— Wybacz. Patrzyłem na most. – Ukłoniłem się, uchylając mego aksamitnego kapelusza.

Mężczyzna splunął. Zerknął na latającą konstrukcję.

— Widać tam sporo magii. – Splunął ponownie. Tytoń i korzeń kehmu, wymieszane ze sobą. Narkotyk. – Słyszałem, że rąbią już jeżyny na tamtym brzegu. Na zachodnim brzegu prawie nie było jeżyn, a teraz wyrastają nawet w koleinach wozów. Niebawem będzie z nami tak, jak było z Alacaniem. Połknięci przez jeżyny, bo nasz wesoły burmistrz chce połączyć tamto z tym. Wystarczy, że wszyscy ci nowi Alacańczycy używają wszędzie małej magii. A teraz mamy już i wielką magię. Scacz i burmistrz udają, że Khaim będzie drugą Jhandparą, z majistrami, diamentami i latającymi zamkami.

Wypluł kolejną porcję tytoniu z kehemem i znowu spojrzął na most.

— Egzekutor będzie miał teraz kupę roboty. To pewne jak postęp jeżyn, że na bramach będą zatknięte nowe głowy. Tak wiele dużej magii sprawi, że mali magicy dostaną kota.

— Może nie... – zacząłem, ale Jiala uszczypnęła mnie w rękę i zamilkłem.

Kupiec korzenny spojrzął na mnie, jakbym oszalał.

— Dziś musiałem spalić cały worek goździków. Cały worek, którego nie zdołałem sprzedać. Pełen jeżynowych nasion i kielków. Ktoś tu uprawia swoją małą magię i próbuje popsuć mi handel.

Już chciałem mu powiedzieć, że urządzenie na moich plecach odmieni to wszystko, ale Jiala na szczęście okazała się rozsądniejsza, zachowałem więc te słowa dla siebie. Magia

srowadza jeżyny. Takie przedsięwzięcie jak ten most ma swoją nieuniknioną cenę.

Podniosłem torbę z narzędziami i poszliśmy dalej, okrążając wzgórze, a potem wspinając się po jego zboczu tam, gdzie stała siedziba burmistrza, spoglądająca z góry na Khaim.

Bez ceregieli wprowadzono nas do recepcyjnej galerii. Otaczały nas arkady i marmurowe posadzki. Mój strój i suknia Jiali nagle wydały mi się ubogie. Nasze najlepsze rzeczy sprawiały tu wrażenie starych i znoszonych.

W nagłym chłodzie galerii Jiala znów zaczęła kaszleć. Suchym, drażniącym kaszlem, który groził rychłym pogorszeniem. Ukląkłem i dałem jej łyk wody.

— Już dobrze?

— Tak, tatusiu. – Patrzyła na mnie, poważna i ufna. – Nie będę już kaszleć.

W tej samej chwili suchy kaszel odezwał się znowu. Rozlegał się echem, anonsując nasze przybycie wszystkim czekającym petentom.

Usiedliśmy w galerii, razem z kobietami, które przyszły z wnioskiem o zmniejszenie pogłównego podatku, oraz mężczyznami pragnącymi uniknąć prac przymusowych. Po godzinie podszedł do nas sekretarz, na którego piersi błyszczał złoty medalion jego urzędu – laska majistra skrzyżowana z toporem Egzekutora – symbol podwójnej burmistrzowskiej władzy sprawowanej w mieście. Sekretarz poprowadził nas przez kolejną marmurową galerię do biura burmistrza, po czym drzwi zatrzasnęły się za nami.

Burmistrz, ubrany w czerwony aksamit, nosił jeszcze większy

medalion zawieszony na szyi na złotym łańcuchu. Troskliwym gestem często dotykał go palcami. Obok niego stał majister Scacz. Ciarki przebiegły mi po skórze na widok człowieka, który używał magii na co dzień, przerzucając odpowiedzialność za skutki swej niefrasobliwości na jeżynowe brygady i miejską dzieciarnię, wykopującą i palącą pomniejsze jeżynowe pędy przebijające się przez spoiny kamieni i spomiędzy bruku.

— Tak? – zapytał burmistrz. – Kim jesteś?

— Jeoz, alchemik – przedstawił mnie sekretarz.

— I do tego cuchnie magią – mruknął majister Scacz.

— Oto moje urządzenie. – Zmusiłem się do uśmiechu.

Brwi burmistrza się uniosły. Szare, włochate gąsienice układające się w dwa łuki nad jego czerwoną twarzą. Wąs miał krótki, najwyraźniej nie było w jego życiu dzieci, które by zań ciągnęły. Stara blizna biegła przez jego policzek, wykrzywiając mu usta w lekkim uśmiechu.

— Uprawiasz magię? – spytał ostro. – Oszalałeś?

Zrobiłem uspokajający gest.

— Nie uprawiam, ekscelencjo. Nie, ani trochę. – Wyrwał mi się nerwowy śmiech. – Uprawiam alchemię. Ona nie sprowadza jeżyn. Nie mam nic wspólnego z przekleństwem Jhandpary. – Niewiarygodne, jaki byłem zdenerwowany. – Nie trzeba tu Egzekutora. Wcale nie. – Odpiąłem torbę i zacząłem wyjmować części balanthastu. – Proszę spojrzeć... – Wkręciłem jedną z miedzianych końcówek głównej komory. Odwinąłem kolbę komory spalania, oddychając z ulgą, że przetrwała transport. – Proszę spojrzeć... – powtórzyłem. – Stworzyłem coś, co wasza ekscelencja z pewnością doceni, jak sądzę.

Jiała obok mnie zaniósła się kaszlem. Nie wiem, czy z powodu choroby, czy ze zdenerwowania. Scacz przeniósł spojrzenie na nią. Patrzył. Nie podobał mi się sposób, w jaki się jej przyglądał. Miał taki zamyślony wyraz twarzy. Ciągnąłem jednak dalej:

— To jest balanthast.

Burmistrz przyjrzał się urządzeniu.

— Wygląda raczej jak arkebuz.

Ponownie zmusiłem się do uśmiechu.

— Wcale nie. Chociaż wykorzystuje to, co reaguje z ogniem. Jednakże moje urządzenie ma niezwykle właściwości. – Ręce mi drżały. Znalazłem miętę. Korę melii. Kwiat lory. Wrzuciłem je do komory.

Scacz przyglądał się uważnie.

— Czyżbym był świadkiem czarów, mój panie? Tak pod moim nosem? Bezkarne?

— N...nie. – Zadrżałem pod jego spojrzeniem. Próbowałem napełnić balanthast.

Jiała go obróciła.

— Tutaj, tatusiu.

— T...tak, dobrze, córeczko. – Odetchnąłem głęboko. – Trzeba wiedzieć, że balanthast unicestwia jeżynę. I to nie odrobinę. Sięga do korzeni jeżyny i zatrzuwa ją zupełnie. Wystarczy ustawić go w odległości jarda lub dwóch od głównego korzenia, a balanthast zniszczy więcej niż cała jeżynowa brygada w pół dnia.

Burmistrz przysunął się bliżej.

— Masz na to jakiś dowód?

— Tak. Oczywiście. Przepraszam. – Z dna torby wyjąłem maleńką glinianą doniczkę i przed rozwinięciem postawiłem ją

na mojej skórzanej rękawicy. – Jeżyna – objaśniłem.

Na widok rośliny w doniczce obaj wciągnęli powietrze. Patrzyłem na ich konsternację.

— Używamy rękawic.

— Wnosisz jeżynę do miasta? – zapytał burmistrz. – Rozmyślnie?

Zawahałem się. W końcu odparłem:

— To było konieczne. Dla przeprowadzenia próby. Alchemia wymaga wielu prób i pomyłek. – Ich twarze wyrażały bezbrzeżną dezaprobatę. Zapaliłem zapałkę i przystawiłem do szklanej kolby. Zamknąłem ją szczelnie. – Wstrzymaj oddech, Jialo. – Spojrzałem przepraszająco na burmistrza. – Dym jest bardzo gryzący.

Burmistrz z majistrem również wstrzymali oddech. Balanthast zadygotał, gdy jego energia zaczęła działać. Tchnienie śmierci spłynęło w ziemię. Doniczka pękła, gdy jeżyna zwinęła się i umarła.

— Magia! – zakrzyknął Scacz, rzucając się naprzód. – Co to za magia?

— Nie, majistrze! Alchemia. Magia nigdy nie zdołała zaszkodzić jeżynie. Nie zabijała jej trucizny, nie niszczyła nasion, nie paliła pędów. To coś całkiem nowego.

— Muszę to zobaczyć. – Scacz sięgnął po balanthast.

— To nie jest magia. – Cofnąłem balanthast poza jego zasięg z obawy, że w pośpiechu go popsuje. – To wykorzystuje naturalne właściwości melii – powiedziałem. – Specjalnego jej gatunku, to prawda, uwielbianego przez majistrów, ale polega tylko na prawach natury. Odparowujemy melię razem z kilkoma innymi

składnikami, ulatuje ona przez rurę, a potem, z pomocą siarki, saletry i węgla drzewnego, wpuszczamy jej esencję w ziemię. Nawet mała ilość czyni cuda. Esencja melii łączy się z korzeniem jeżyny. Zabija ją, jak widzieliśmy. Ciągnie do niej jak mucha do miodu.

— A co każe melii dążyć do jeżyny?

Wzruszyłem ramionami.

— Trudno powiedzieć. Może jakaś magiczna właściwość samej jeżyny, pozostałość jakiejś aury. Przed użyciem melii próbowałem tysięcy rozmaitych substancji. Tylko jej kora działa tak dobrze.

— Uważasz, że melię przyciąga magia?

— No cóż... melia z pewnością przyciągana jest przez jeżynę – odparłem wykrętnie. – Oliwy nigdy nie da się zmieszać z wodą. Melia i jeżyna zdają się przeciwieństwami. Co jest przyczyną przyciągania... – Poczulem, jak pod ich połączonymi spojrzeniami oblewa mnie pot. Nie podobała mi się obsesja Scacza na punkcie magii. – Próbuję powiedzieć, że być może to magia tak przyciąga esencję melii...

— Ciągłe unikasz sedna problemu – powiedział Scacz. – Gorzej niż księżniczka Ruiz.

— Wybacz mi – wystękałem. – Nie chcę, żebyś pomyślał, że zabrakło mi ostrożności w moich badaniach.

— Martwi się, czy nie wydamy go Egzekutorowi – rzucił burmistrz.

Skwitowałem to kwaśnym uśmiechem.

— Rzeczywiście. Jeżyna jest jedyna w swoim rodzaju. Ma właściwości, które można by określić jako magiczne – jej

zadziwiający rozrost, odporność, sposób, w jaki magia zdaje się sprzyjać temu wzrostowi – ale któż może stwierdzić, jaka szczególna cecha sprawia, że esencja melii się z nią wiąże? Odpowiedź na to pytanie nie leży w mojej mocy. Prowadzę eksperymenty, zapisuję wyniki i eksperymentuję dalej. Alchemiczną odpowiedzią na melię jest śmierć jeżyny – ciągnąłem. – Co powoduje tę reakcję, czy jest to jakiś magiczny osad, który wydziela się z korzenia i czyni go podatnym na melię, czy może sprawia to jakaś inna właściwość, na to nie potrafię odpowiedzieć. Ale to działa. I to skutecznie. W ścianie jeżyn jest kawałek ziemi, który sam oczyściłem. W czasie, w którym zdążylibyście zaledwie trzy razy klasnąć w dłonie, oczyściłem większy teren, niż zajmuje cały ten urząd.

Burmistrz i majster wyprostowali się na tę wiadomość.

— Tak prędko? – zapytał burmistrz.

Potwierdziłem energicznym skinieniem głowy.

— Nawet dzisiaj nie ma tam żadnego śladu odrastania jeżyny. Żadnych nasion, rozumiecie? Ani jednego. Mogę uzbroić ludzi w moje urządzenia, a oni odzyskają całą uprawną ziemię. Odepchną ścianę jeżyn. Uratują Khaim.

— Nadzwyczajne – powiedział Scacz. – Nie tylko pozbędziemy się jeżyny. Może nawet powrócimy do serca imperium, do Jhandpary.

— Właśnie tak. – Poczułem ogromną ulgę, gdy zobaczyłem, jak z ich twarzy znika sceptycyzm.

Burmistrz uśmiechnął się szeroko. Wstał.

— Na Trzy Oblicza Mary, człowieku, dokonałeś czegoś niezwykłego! – Kiwnął do mnie i do Jiali. – Chodźcie! Obojgu

wam należy się kieliszek wina. To odkrycie warto uczcić.

Śmiał się i żartował z nami, po czym zaprowadził nas do pokoju z wielkimi oknami wychodzącymi na miasto. Zatłoczony Khaim rozciągał się w dole wzgórza. Słońce powoli chowało się za horyzontem. Jego czerwony blask przeświecał przez dymy palenisk Mniejszego Khaimu. Na poły gotowy most zawisł swymi przęsłami nad rzeką jak skaczący kot, utrzymywany w miejscu przez grube konopne liny zabezpieczające go przed odfrunięciem w trakcie prac nad przedłużeniem szkieletu.

— Pojawiłeś się w samą porę – powiedział burmistrz. – Rozejrzyj się, alchemiku. Mniejszy Khaim rozrasta się z każdym dniem. I nie tylko za sprawą uchodźców z Turisu i Alacanu. Dochodzą do tego jeszcze mali właściciele pokonani przez jeżynę. I przybywają tu ze swoimi czarami. Zanim się pojawili, osiągnęliśmy już niemal równowagę. Wciąż jeszcze zdołaliśmy wycinać tyle jeżyn, by zrównoważyć tę odrobinę uprawianej magii. Nawet ten most dałoby się jakoś wytrzymać. Alacańczycy nie znają jednak umiaru w korzystaniu z czarów i już nie dajemy rady z jeżynami. Ich obyczaje nas niszczą. Każdy tam uprawia jakąś swoją malutką magię i myśli, że to nie zaszkodzi. A gdy gdzieś w sąsiedztwie wyrasta nowy pęd jeżyny, któż wie, kto zawinił?

Obrócił się do mnie.

— Wiesz, że nazywają mnie tam wesołym burmistrzem? Kpią sobie z mojej blizny i braku poczucia humoru. – Skrzywił się gniewnie. – Jasne, że nie mam humoru. Codziennie walczymy z jeżyną i ona codziennie zwycięża. Jeżeli tak będzie dalej, zostaniemy stąd wyparci za niespełna dwadzieścia lat.

Zaskoczył mnie tymi słowami.

— Z pewnością nie jest aż tak źle.

Uniósł swoje gąsienicowate brwi.

— O, tak. – Skinął na Jiałę. – Twoja córka będzie częścią rzeki uchodźców dwukrotnie szerszej od tej, która napłynęła do nas z Alacanu. – Jeszcze raz popatrzył na zachód. – I dokąd wtedy pójda? Do Mpaias? Do Loz? Turis uległ pod naporem najazdów. – Skrzywił się. – Khaim jest równie bezbronny. Ledwie odparliśmy ostatni atak. Bez mostu nie mogę liczyć na obronienie tej strony rzeki. Tak więc uprawiamy magię tam, gdzie wolelibyśmy jej nie uprawiać, i w ten sposób powiększamy nasz problem. Prawdziwe więzienie Halizaka, bez dwóch zdań.

Służący przyniósł wino i kielichy na wysokich nóżkach. Patrzyłem na nie z wielkim zainteresowaniem, zastanawiając się, czy to ja sam wydmuchiwałem przed laty ich kształty, ale w końcu zauważyłem na nich charakterystyczny znak Saary Solso. Zrobiła wielkie postępy od czasu, gdy z nią konkurowałem. To jeszcze jedno przypomnienie, jak wiele czasu pochłonęło moje obecne przedsięwzięcie.

Służący wstrzymał się w ostatniej chwili przed odkorkowaniem butelki.

— Czy jest pan tego pewien, ekscelencjo? – zapytał.

Burmistrz się roześmiał i wskazał na mnie.

— Ten człowiek niesie nam ratunek, a ty się martwisz o jakiś stary rocznik?

Służący nie wyglądał na przekonanego, ale korek z butelki jednak wyciągnął. Wspaniały aromat rozniósł się po pokoju. Burmistrz spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

— Poznajesz to? – zapytał. – Szczęśliwy zapach naszej historii.

Lgnąłem do tego zapachu jak dziecko do ciasteczek z syropem. Zauroczony i olśniony.

— Co to takiego?

— Wino ze zboczy Góry Sena, z letnich winnic dawnego imperium – odparł majister Scacz. – Rzadka rzecz, biorąc pod uwagę, że obecnie winnice te są pokryte jeżyną. Przetrwało najwyżej dwadzieścia butelek, z których nasz wesoły burmistrz posiada teraz dwie.

— Nie nazywaj mnie tak.

Scacz się skłonił.

— Dzisiaj to miano pasuje do ciebie, ekscelencjo.

— Przynajmniej ten jeden raz. – Burmistrz się uśmiechnął.

Służący nalał wina do kielichów.

— Porzeczka, cynamon i radość. – Majister Scacz przyglądał mi się. – Zaraz skosztujesz jednej z najbardziej wyrafinowanych rozkoszy imperium. Raczone się nim w czasie świąt wiosennego siewu, kwitnienia i plonów. Najbogatsi kupcy trzymali całe fontanny tego wina w swoich latających zamkach, jeśli możesz wyobrazić sobie coś takiego. Magia, ni mniej, ni więcej. Geniusz winiarski w połączeniu z kunsztem majistrów.

Pochwycił wzrok Jiali oczarowanej aromatem.

— Dalejże, dziewczynko. Spróbuj naszej historii. – Nalał odrobinę wina do kielicha. – Nie za wiele. Jesteś za mała, by wypić więcej niż łyk, ale obiecuję ci, że tego smaku nigdy nie zapomnisz.

Burmistrz wzniosł kielich, rubinowo-czarny w zachodzącym słońcu.

— Toast, panowie. Za odzyskanie naszej przyszłości.

Wypiliśmy i krew dawnego imperium popłynęła w naszych żyłach i zawróciła nam w głowie. Jeszcze raz obejrzeliliśmy mój instrument, a burmistrz z majistrem wykrzykiwali z podziwu nad wspaniałością mego rzemiosła, metodą łączenia miedzi ze szkłem, metalurgią, zaprojektowaniem komory spalania tak, że nie pękała pod działaniem płomieni. Rozmawialiśmy o trudnościach wykonania większej liczby balanthastów i zastanawialiśmy się, ile mil kwadratowych otaczających terenów można by oczyścić.

— Zrobienie jednego już stanowi nie lada kłopot – zauważył Scacz.

— O, tak – odparłem, czule poklepując rurki zaworów otaczających jego powierzchnię i zbierających gaz powstający ze spalania melii.

— Jak sądzisz, ile mógłbyś ich zrobić?

— Początkowo? – Wzruszyłem ramionami. – Zrobienie następnego zajęłoby może miesiąc. – Burmistrz i Scacz aż podskoczyli, skonsternowani. – Mogę jednak wyszkolić innych specjalistów od metalu i wydmuchiwaczy szkła. Nie muszę sam robić wszystkiego. Inni mogą pracować według moich wskazówek. Jeśli stworzę wielką pracownię, można będzie zrobić dużo więcej urządzeń.

— Możemy wyszkolić rzemieślników, którzy pracują nad nowym arkebuzem – powiedział Scacz. – Ich praca jest w oczywisty sposób pozbawiona sensu. Z tej broni można strzelić tylko raz, do tego jest wielce zawodna, a siłą nie dorównuje nawet porządnej kuszy i wciąż jest dużo powolniejsza w

obsłudze. Ale to chyba ma sens?

Burmistrz skinął głową.

— Masz rację. To warte zachodu. Tamta głupia broń nie umywa się do tego.

Scacz pociągnął jeszcze jeden łyk i przesunął koniuszkami palców po powierzchni balanthastu. Taka powolna pieśczoła.

— Potencjał tego czegoś... jest zdumiewający. – Spojrzał na mnie badawczo. – Myślę, że powinienem to trochę wypróbować. Przyjrzeć się działaniu.

— Majistrze?

Scacz poklepał mnie po plecach.

— Nie martw się. Będziemy bardzo ostrożni. Ale muszę to trochę zbadać. Upewnić się, że nie wykorzystuje żadnej magii, która mogłaby powrócić i zemścić się na nas. – Spojrzał na mnie znacząco. – Zbyt wiele propozycji zwalczania jeżyny wykorzystywało magię w jakiś określony sposób. Na przykład ogień, a kiedy jeżyna już spłonie, okazuje się, że do samego rozniecenia płomieni użyto tyle magii, że jeżyna odradza się dwakroć silniejsza.

— Ale balanthast nie wykorzystuje magii – zaprotestowałem.

Scacz popatrzył na mnie.

— Czyżbyś był majistrem, żeby to rozpoznać? Czasem człowiekowi się wydaje, że nie korzysta z magii, bo się na tym nie zna. Sam zresztą przyznajesz, że w działaniu tego urządzenia w grę wchodzi coś, czego do końca nie rozumiesz. – Podniósł balanthast. – Tylko na krótko, alchemiku. Po prostu, żeby się upewnić.

Burmistrz przyglądał mi się uważnie.

— Nie martw się. Nie pozbawimy cię należnej nagrody. Ale dla nas stawka jest bardzo wysoka. Bo jeśli zaangażujemy nasz urząd w coś, co ściągnie na nas przekleństwo Takaza zamiast ocalenia Mary... Jestem pewien, że to rozumiesz.

Rozpaczliwie myślałem, jakby się im przeciwstawić, ale głos mnie zawiódł, a w tej samej chwili Jiala znów zaczęła kaszleć. Spojrzałem na nią zmartwiony. Kaszel brzmiał tak, jakby były w nim tnące noże.

Scacz zaczął zabierać urządzenie.

— Idź – powiedział. – Zajmij się córeczką. Jest najwyraźniej zmęczona. Poślemy po ciebie niebawem.

Kaszel Jiali brzmiał coraz gorzej. Dwaj najpotężniejsi ludzie miasta się jej przyglądali.

— Biedne dziecko – mruknął burmistrz. – Wygląda na to, że to wyniszczający kaszel.

— Nie – zaprzeczyłem. – To coś innego. Wszystkiemu winne jest zimno. Jak już zacznie kaszleć, trudno to powstrzymać.

Scacz odsunął ode mnie balanthast.

— Ruszaj zatem. Zabierz ją do domu i trzymaj w cieple. Wkrótce po ciebie pošlemy.

Kaszel męczył Jialę przez całą drogę do domu. Jego głębokie, szarpiące napady niemal składały jej małe ciało na dwoje. Gdy dotarliśmy na próg, kaszlała już nieprzerwanie. Pila zerknęła na Jialę, a potem wbiła we mnie gniewny wzrok.

— Biedactwo jest wyczerpane. Dlaczego trwało to tak długo?

Potrząsnąłem głową.

— Spodobało im się moje urządzenie. A potem chcieli porozmawiać. I spełnić toast. I jeszcze trochę porozmawiać.

— A ty nie mogłeś odprowadzić dziewczynki?

— A cóż niby miałem począć? – spytałem. – Dziękuję bardzo, panie burmistrzu i panie majistrze, ale muszę już iść, a resztki wina Jhandpary wcale mnie nie interesują. Proszę podać cenę, a ja wyślę wam plany mego balanthastu, i życzę dobrego dnia?

Kaszel Jiali brzmiał coraz gorzej. Pila posłała mi mroczne spojrzenie i poprowadziła ją korytarzem.

— Chodź, dziecko, do pracowni. Już rozpaliłam tam ogień.

Patrzyłem za nimi, czując się bezradny i sfrustrowany. To, co miało być triumfem, zmieniło się w coś innego. Nie podobało mi się zachowanie Scacza na końcu spotkania. Wszystko, co powiedział, wydawało się bardzo rozsądne, a jednak jego zachowanie zasiało we mnie jakiś niepokój. No i sposób, w jaki przemawiał burmistrz. Wszystkie jego słowa były uprzejme. Nader uprzejme. Mimo to czułem się niepewnie.

Powłokłem się po schodach na górę, do moich pokojów, teraz już pustych, nie licząc sterty koców i skrzyni z ubraniami.

Czy stałem się paranoikiem? Jakimś wariatem, który we wszystkich poczynaniach ludzi dopatruje się mrocznych intencji? Dawno temu, gdy byłem młodszy, znałem kobietę, która oszalała w ten sposób. Wydmuchiwaczka szkła, robiła wspaniałe naszyjniki z wisiorami zdającymi się jaśnieć swoim własnym wewnętrznym światłem. Była geniuszem światła. A jednak coś w jej głowie kazało jej żywić ciągłe podejrzenia. Podejrzewała męża, a potem dzieci o knucie spisków przeciwko niej, aż w końcu rzuciła się do rzeki, aby uciec od demonów z Trzystu Trzydziestu Trzech Sal, które tylko ona mogła zobaczyć.

Czy teraz mnie ogarniały podobne podejrzenia? Czy

wkroczyłem na jej drogę?

Słowa burmistrza i majstra były uczciwe. Rozpiąłem kamizelkę, zdumiony, jak bardzo jest wytarta. Jak przestarzałe i niemodne są czerwone i błękitne szwy. Jakie poprzerywane. Wszystko było takie, oprócz balanthastu. On przynajmniej miał blask. Tyle nadziei włożyłem w to przedsięwzięcie, tyle lat...

Rozległo się stukanie do drzwi.

— Tak?

W drzwiach ukazała się Pila.

— Chodzi o Jialę. Kaszel nie ustaje. Potrzebuje cię.

— Tak, oczywiście. Zaraz przyjdę.

Pila się zawahała.

— Myślę, że lepiej chodź od razu. Jest bardzo źle. Pojawiła się krew. Jeżeli nie zastosujesz swoich zaklęć, będzie po niej.

Przerwałem ponowne zapinanie guzików. Strach ścisnął mi serce.

— Wiedziałaś?

Pila odpowiedziała mi słabym uśmiechem.

— Zbyt długo żyłam obok ciebie, żeby tego nie zgadnąć.

Wywołała mnie na zewnątrz.

— Przestań się przejmować swoim fantazyjnym ubraniem. Twoja córka nie dba o to, jak się ubierasz.

Pociągnęła mnie w dół schodów i dalej, do pracowni. Znaleźliśmy Jialę obok kominka, zwiniętą na kamiennych płytach i zanoszącą się kaszlem. Jej ciałem wstrząsały kolejne spazmy. Krew zebrała się na posadzce, czerwona jak płatki róży, jaśniejsza od rubinu.

— Tatusiu... – szepnęła.

Obróciłem się, dostrzegłszy Pilę stojącą obok mnie z księgą zaklęć majistra Aruna.

— Znasz zatem wszystkie moje sekrety?

— Tylko te, które są ważne. – Podała mi resztę potrzebnych składników i pobiegła zamknąć okiennice, aby z zewnątrz nie można było dostrzec żadnych śladów magii.

Wziąłem składniki i zmieszałem, a potem nałożyłem pastę między brwi Jiali i na skórę na jej kościstym mostku. Jej oddech był jak odgłos miechów, wymuszony i głośny, słyhać w nim było krew i coś jak szelest suchych liści. Moje ręce drżały, gdy skończyłem przygotowania i pochwyciłem dłoń majistra Aruna.

Wypowiedziałem słowa i magia popłynęła ze mnie w moje dziecko.

Powoli jej oddech się uspokoił. Twarz straciła gorączkowy wygląd. Jej oczy znów wyglądały zwyczajnie, a chrapliwy oddech się wyrównał, gdy zamknęły się krwawe pęknięcia w jej płucach.

Minęło. Przeszło tak szybko i gwałtownie, jak się pojawiło, i pozostał tylko siarkowy zapach magii w pokoju.

Pila wpatrywała się we mnie zdumieniem.

— Wiedziałam – szepnęła – ale nigdy nie widziałam.

Musnąłem brew Jiali.

— Przepraszam, że cię w to wciągnąłem.

Jej oddech był coraz swobodniejszy. Pila uklękła obok mnie, czuwając nad moją córeczką. Jiala odpoczywała teraz, wyczerpana po wysiłku, jakiego musiało dokonać jej zdrowiejące ciało.

— Nie możesz dać się złapać, tatusiu – szepnęła.

— To już nie potrwa długo – odparłem. – Niebawem będziemy

mogli korzystać z magii tak samo jak starożytni i nie będziemy musieli się z tym ukrywać.

— Będziemy mieli latający zamek?

Uśmiechnąłem się łagodnie.

— Nie widzę powodu, żebyśmy nie mieli. Najpierw jednak będziemy musieli odepchnąć jeżyny. Dopiero potem będziemy mieli latający zamek, a któregoś dnia być może będziemy też uprawiać winorośl na zboczach Góry Sena. – Poglaskałem ją po włosach. – Ale teraz chcę, żebyś odpoczęła, pospała i pozwoliła magii działać.

Jiala spojrzała na mnie ciemnymi oczyma swojej matki.

— Czy mogę śnić o latających zamkach?

— Tylko wtedy, gdy zaśniesz – odpowiedziałem.

Jiala zamknęła oczy i ostatnie ślady napięcia w jej małym ciele ustąpiły. Powiedziałem do Pili:

— Otwórz okna, ale tylko trochę. Wypuszczaj magię powoli, po trochu, żeby nikt jej nie wyczuł i nie nabrał podejrzeń. Jeżeli cię na tym przyłapią, pójdziesz razem ze mną pod wielki topór Egzekutora.

Pila uchyliła jedno okno i zaczęła wietrzyć pokój, a ja w tym czasie przykryłem Jialę kocami. Potem spotkaliśmy się w odległym kącie pracowni.

Kiedyś miałem tu krzesła, na których można było siedzieć, rozmawiając i rozmyślając, ale te czasy należały już do przeszłości. Usiedliśmy razem na posadzce.

— No i należysz teraz do mojej małej konspiracji – powiedziałem ze smutkiem.

Pila uśmiechnęła się dobrotliwie.

— Już od dawna się domyślałam. Jiala ma wyniszczający kaszel, ale nigdy całkiem nie zapada na zdrowiu. Większość dzieci z tą chorobą dawno by umarła. A jednak Jiala biega po ulicach i wraca do domu bez kaszlu przez całe tygodnie. Tak było przynajmniej do tej chwili, gdy wpadła w jeżyny. Kaszel wydaje się w jakiś nienaturalny sposób trzymany w ryzach.

— Dlaczego nie zwołałaś straży? – spytałem. – Za takich jak ja dają całkiem sporą nagrodę. Mogłabyś nieźle żyć, sprzedając wiedzę o moim szaleństwie.

— Nie wykorzystujesz magii samolubnie.

— A jednak jest ona przekleństwem miasta. Burmistrz ma rację. Pomoc, jakiej udzielam Jiali, jest szkodą dla Khaimu. Któryś z naszych sąsiadów może znaleźć pęd jeżyny wyrastający spomiędzy płyt chodnika. Kobieta wykopująca ziemniaki też może natrafić na nowy pęd przyciągnięty przez moje uzdrawiające zaklęcia. Ściana jeżyn się przybliżyła, niepomna intencji, jakimi się kieruję, używając magii. Wie tylko, że jest to magia, którą może się pożywić. – Wstałem sztywno i podszedłem do kominka, żeby obrócić w ogniu kłodę, z której z trzaskiem posypały się iskry. Pila przyglądała mi się, czułem na sobie jej wzrok. Odwzajemniłem jej spojrzenie. – Pomagam memu dziecku i ściągam przekleństwo na swoich sąsiadów. Oto cała prawda.

— Ale wielu twoich sąsiadów robi to samo – odparła Pila. – I to jest cała prawda. A teraz chodź i usiądź.

Przysiadłem się do niej i patrzyliśmy razem w ogień i na moją śpiącą córeczkę.

— Obawiam się, że nie zdołam jej uratować – powiedziałem w

końcu. – Żeby całkowicie zwalczyć ten kaszel, trzeba by wielkiej magii. Jej śmierć wypisana jest na sklepieniu Komnaty Sądu, a ja po prostu się boję, że nie uratuję jej bez magii takiej, jakiej używa Scacz. A on nie posłuży się nią dla jednej małej dziewczynki.

— Pracujesz zatem nad balanthastem.

Wzruszyłem ramionami.

— Jeżeli zdołam powstrzymać jeżynę, nie będzie już powodu, by nie używać wielkiej magii. Wszyscy zostaniemy uratowani. – Wpatrywałem się w płomienie. Drewno na opał stało się drogie od czasu, gdy jeżyny zaczęły się wybijać w pobliskim lesie. Skrzywiłem się. – Tkwimy w więzieniu Halizaka. Każdy wykonany przez nas ruch zacieśnia wokół nas jego ściany.

— Ale przecież balanthast działa – przypomniała Pila. – Znalazłeś rozwiązanie.

Spojrzałem na nią.

— Nie ufam im.

— Burmistrzowi?

— Albo majistrowi. A teraz mają mój balanthast. Następna pułapka Halizaka. Nie ufam im, a jednak tylko oni mogą nas uratować.

Pila dotknęła mego ramienia.

— Obserwowałam cię przez ponad piętnaście lat. Znajdziesz jakiś sposób.

Westchnąłem.

— Kiedy liczę lata, robi mi się niedobrze. Byłem pewien, że udoskonale balanthast w ciągu roku lub dwóch. W ciągu pięciu. A już na pewno dziesięciu. Na czas, żeby uratować Merali. – Spojrzałem na śpiącą córeczkę. – A teraz nie jestem pewien, czy

nie jest już zbyt późno, by uratować choćby Jialę.

Pila uśmiechnęła się.

— Myślę, że tym razem odniesiesz sukces. Nigdy nie widziałam czegoś takiego jak ten balanthast. Nikt nie widział. Dokonałeś cudu. Co znaczy zrobić jeszcze jeden, by ocalić Jialę?

Odgarnęła ciemne włosy i patrzyła na mnie swymi głębokimi brązowymi oczyma. Zacząłem odpowiadać, lecz nagle straciłem głos, oszołomiony jej bliskością.

Pila...

Pochłonięty pracą, nigdy nie znalazłem czasu, nawet chwili, by lepiej się jej przyjrzeć. Patrząc w jej oczy, obserwując delikatny uśmiech na jej wargach, czułem, jakbym wynurzył się z jakiejś głębiny i nagle złapał oddech. Jakbym zobaczył Pilę pierwszy raz. Może nawet cały świat.

Jak długo mnie nie było? Jak długo nie zwracałem uwagi na moją rosnącą córeczkę i na opiekę Pili? W świetle kominka pracowni Pila była piękna.

— Dlaczego zostałaś? – spytałem. – Mogłaś przecież zatrudnić się w innych domach. Mogłaś założyć własną rodzinę. Płacę ci mniej niż wtedy, gdy zajmowałaś się tylko zmywaniem i sprzątaniem, a teraz dbasz o cały dom. Dlaczego się nie wyprowadziłaś? Nie miałbym o to żalu. W innych domach przyjęto by cię z otwartymi ramionami. Dałbym ci rekomendację.

— Chcesz się mnie pozbyć, gdy tylko osiągniesz sukces? – zapytała Pila.

— Nie... – Pogubiłem się we własnych słowach. – Nie o to mi chodziło... – Próbowałem pozbierać myśli. – Rzecz w tym, że inni

zapłaciliby więcej.

Prychnęła.

— To rzeczywiście coś, wzięwszy pod uwagę, że od roku nie brałam zapłaty.

Spojrzałam na nią, nie rozumiejąc.

— Co masz na myśli?

Posłała mi smutny uśmiech.

— To była konieczna oszczędność, jeżeli nadal mieliśmy kupować jedzenie.

— To dlaczego, na miłość boską, nie odeszłaś?

— Chciałeś, żebym odeszła?

— Nie! – Wszystko, co mówiłem, wydawało się nieodpowiednie. – Jestem twoim dłużnikiem. Winien ci jestem nieskończenie wiele. Ale przecież tutaj przymierasz głodem. Nie myśl, że tego nie doceniam... Po prostu to nie ma sensu.

— Ty biedny głuptasie – powiedziała Pila. – Chyba rzeczywiście nie widzisz nic poza pękatym brzuchem twojego balanthastu.

Pochyliła się ku mnie, a jej wargi dotknęły moich.

Gdy wstała, jej ciemne oczy przepelnione były wiedzą i obietnicą.

— Wybrałam swoje miejsce już dawno temu – stwierdziła. – Przyglądałam się, jak odnosileś się do Merali. Gdy czuła się dobrze i gdy była chora. I obserwowałam cię, jak dbałeś o Jialę. Nigdy nie zostawiłabym kogoś takiego jak ty, kto nigdy nie porzuca innych, choćby nawet było to łatwe. Znam cię dobrze.

— I wszystkie moje sekrety – szepnąłem.

— Te, które są ważne.

Następnego dnia burmistrz zaprosił mnie do swej ogromnej siedziby na wzgórzu w celu zademonstrowania mechaniki balanthastu.

Pila znowu pomogła mi się ubrać w najlepsze rzeczy, ale teraz nachyliła się bliżej, uśmiechając się, jak tylko ona potrafi, nasze policzki niemal się dotknęły, a moje wąsy zadrżały w bliskości tej kobiety, która objawiła mi się tak nagle.

Było tak, jakbym dotąd patrzył przez zaparowane szkło, które teraz zostało wypolerowane. Nasze palce spotkały się na guzikach mojej kamizelki i roześmialiśmy się oboje, oszołomieni tym nagłym rozpoznaniem, a Jiala przyglądała się nam, uśmiechając się swoim tajemniczym dziecięcym uśmiechem, który zawsze pojawiał się na jej buzi, gdy myślała, że odkryła właśnie jakiś okruch sekretnej wiedzy, ale uśmiech ten był tak widoczny, jakby na niebie na tle gwiazd rozbłysły nagle bajeczne fajerwerki Jhandpary.

Przy drzwiach uścisnąłem Jialę, a potem zwróciłem się w stronę Pili. Postąpiłem ku niej niezgrabnie, po czym zatrzymałem się, zakłopotany swoją bezczelnością, przyłapany między poprzednim życiem a nowymi okolicznościami. Pila uśmiechnęła się na widok mojej niepewności, potem roześmiała się i podeszła do mnie, kręcąc głową. Ucałowaliśmy się niezgrabnie. Nowy rytuał. Potwierdzenie, że dotąd wszystko było inne między nami i że nowe zwyczaje zapisane zostaną na tamtych starych.

Trzymałem Pilę w objęciach i czułem, jak spływają ze mnie lata. A potem pomknęła ku nam Jiala i uścisnęła nas oboje.

Śmiech i wspólne uściski. Rodzina. Nareszcie znowu rodzina. Po zbyt długim czasie bez niej. Wszyscy troje jak Trzy Oblicza Mary, trochę bardziej kompletni i przepełnieni wdzięcznością.

— Myślę, że lubi nas takimi – mruknęła Pila.

— Zatem nigdy mnie nie opuszczaj.

— Nigdy.

Wyszedłem z tego pustego domu, czując w sobie więcej życia niż kiedykolwiek przedtem. Czułem się oszołomiony i rozbawiony zarazem. Rozmyślałem o ślubie. O Pili jako pannie młodej. To dar, którego nie spodziewałem się już więcej otrzymać. Spadł ze mnie ciężar samotności. Nawet widok jeżynowych brygad nie podziałał na mnie przygnębiająco. Widok mężczyzn i kobiet wycinających jeżyny spomiędzy kamieni. Przeszukujących miasto, aby nie pozwolić pędom posunąć się naprzód. Uśmiechnąłem się do nich. Dzięki balanthastowi ludzie znów będą bezpieczni. Znów będą mogli żyć tak, jak uznają za stosowne.

W dawnej Jhandparze majstrowie nasycali dywany magią, aby można było na nich latać po niebie z miejsca na miejsce, jak strzała. Wspaniałe wielkie dywany, duże jak pokój, ze srebrną zastawą do herbaty i nargilami dla rozrywki przyjaciół. Przelatujące nad całym imperium w mgnieniu oka. Fruwające tam i z powrotem między latającymi zamkami, z ziemskich włości na zimnej północy do nadmorskich dóbr leżących na ciepłym południu. A dzieci nigdy nie chorowały i nie umierały. Nie było krwawego kaszlu. Wszystko było możliwe, ale nie to, by magia rodziła jeżyny, a jeżyny sprawiały, że latające dywany znikną z nieba.

Ja jednak znalazłem już rozwiązanie i miałem miłość Pili, i będę miał Jialę na zawsze, a przynajmniej na tak długo, jak zwykle rodzice mogą się spodziewać.

Wcale nie przeklęty. Błogosławiony.

Na rzece Sulong trwały prace nad latającym mostem. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, jak to będzie, gdy będziemy mieli nie jeden, a być może trzy takie latające mosty. Gdy będziemy mogli zimą ogrzewać domy zielonym magicznym ogniem. Gdy będziemy mogli szybko przemierzać kraj. Gdy odzyskamy Jhandparę. Roześmiałem się w rześkim wiosennym powietrzu. Wszystko było możliwe.

Gdy wszedłem do siedziby burmistrza, służący rozpoznał mnie i powitał, co trochę mnie odprężyło. Moje lęki z minionej nocy zostały rozproszone przez sen, wpływ Pili i ciepłe wiosenne słońce.

Służący zaprowadził mnie do galerii recepcyjnej. Byłem zdziwiony, widząc tam również wielu notabli w odświętnych strojach i złocie: urzędników sądowych, handlarzy goździków i diamentów, generałów i starej arystokracji, której korzenie wywodziły się jeszcze z Jhandpary. Było tam nawet trzech dawnych majistrów z upadłego Alacanu. Jeszcze więcej ludzi zgromadziło się pod kolumnowymi arkadami otaczającymi marmurowe i bazaltowe posadzki galerii. Zgromadziła się tam większość wyższych sfer i wpływowej socjety Khaimu.

Zatrzymałem się zdumiony.

— Co to takiego?

Majister Scacz postąpił ku mnie, uśmiechając się na powitanie.

— Pomyśleliśmy, że trzeba urządzić pokaz. – Poprowadził

mnie do zasłoniętego draperią przedmiotu w centrum sali.

Po kształcie domyśliłem się, że to balanthast.

— Czy to jest moje urządzenie? – spytałem zaniepokojony.

Burmistrz podszedł do nas.

— Oczywiście, że tak. Nie denerwuj się, alchemiku.

— To delikatny instrument.

Burmistrz skinął głową z powagą.

— A my traktowaliśmy go z największym szacunkiem.

Scacz poklepał mnie uspokajająco po plecach.

— Potrzebujemy pomocy tych wszystkich ludzi zgromadzonych wokół nas, jeśli chcemy stworzyć twoją nową wytwórnię balanthastów. Musimy zwiększyć podatki, żeby rozpocząć produkcję, przy czym – tu zawiesił głos – niektórzy ze starej szlachty mogą być zainteresowani patronowaniem temu przedsięwzięciu w zamian za odzyskanie dawnych ziem zajętych teraz przez jeżyny. Zapewniam cię, to bardzo dobre rozwiązanie. Łatwiej uzyskać poparcie tam, gdzie ludzie widzą zysk, niż tam, gdzie widzą jedynie bezcelowy wzrost podatków. – Przywołał mnie do balanthastu. – Proszę, nie denerwuj się. Wszystko pójdzie gładko. To wielka szansa dla nas wszystkich.

Służący przyniósł wielką donicę z wysokim na siedem stóp krzewem jeżyny. Roślina zdawała się niemal dygotać, złowrogo szukając nowego miejsca, w którym mogłaby zapuścić korzenie. Musieli ją zasadzić poprzedniej nocy, zaraz po mojej wizycie, skoro zdążyła już wystrzelić tak wysoko. Wyrastały z niej liczne odgałęzienia, niczym wielkie włochate macki.

Zgromadzeni dygnitarze wciągnęli powietrze na widok tego największego wroga ludzkości tkwiącego pośrodku galerii. W

świetle dnia, ze swymi najeżonymi wąsami i zwieszającymi się pękatymi torebkami nasiennymi, wyglądała niepokojąco groźnie. Nawet sama donica była przerażająca, pokryta reliefami przedstawiającymi twarze Takaza, Księcia Demonów, którego węzowe głowy łączyły szansą ucieczki i nigdy nie dotrzymują obietnicy.

Burmistrz wznosił ręce, wołając do zgromadzonych:

— Nie bójcie się. To tylko pokaz. Niezbędny, byście mogli ocenić osiągnięcie alchemika. – Machnął ręką w stronę służących, którzy zdjęli przykrycie balanthastu. – Spójrzcie! – zwrócił się do tłoczącego się tłumu. – Oto balanthast!

Człowiek ten miał talent aktorski, musiałem to przyznać. Instrument został wypolerowany i teraz, w słonecznym blasku sączącym się przez okna galerii, prawie płonął. Szklane komory rozszczepiały światło, posyłając tęczowe błyski. Miedź zaworów i głównej komory odbijała twarze zgromadzonych, nadając im dziwny, chwalebny blask.

Tłum patrzył w zachwycie.

— Czy coś przy nim majstrowano? – zapytałem.

— Oczywiście, że nie – odparł Scacz. – Po prostu wypolerowano. To wszystko. Sprawdziłem działanie, ale niczego nie odkręcałem. – Przerwał zaniepokojony. – Czy został uszkodzony?

— Nie. – Wciąż jednak oglądałem go uważnie. – Wypadło zadowolająco? To znaczy, że nie wykorzystuje magii? Czyli nie jest to jakieś urządzenie majistrów wtłoczone w inny kształt?

Scacz niemal się skrzywił na te słowa.

— Najmocniej cię przepraszam za moje podejrzenia,

alchemiku. Wygląda na to, że funkcjonuje wyłącznie dzięki prawom naturalnym. Prawdziwe чудо. Historia chyli czoło przed twoim geniuszem. – Zrobił ruch głową w stronę zebranych. – Czy zechcesz teraz urządzić pokaz dla naszych dostojnych gości?

Gdy zacząłem mieszać składniki, jakiś generał z tłumu zapytał:

— Czym jest ten wasz instrument, Scacz?

— Wybawieniem, władco wojny.

Tłusty kupiec z Dzielnicy Diamentowej, z długimi wąsami świadczącymi o licznych potomstwie, zawołał:

— A do czego służy?

Burmistrz się uśmiechnął.

— Gdybym to powiedział, zepsułbym całą niezwykłą niespodziankę. Trzeba na to spojrzeć tak, jak na początku spojrzeliśmy ja i majister. Bez przygotowań i wstępów.

Uzbroilem balanthast, ale potem musiałem poprosić kilku służących, aby pomogli mi go przesunąć i ustawić obok donicy z jeżyną. Miałem uczucie, że pod zbiorowym spojrzeniem tłumu czynność przesuwania trójnogu po kamieniach posadzki trwa całe wieki. Mimo wiary, jaką darzyłem moje urządzenie, serce waliło mi mocno. Naciągnąłem skórzaną rękawicę i skubnąłem trochę ziemi z donicy. Dorzuciłem do komory zapłonowej. Zanurzyłem dysze wylotowe w ziemi. W końcu zapaliłem zapalkę.

Przez chwilę wszyscy patrzyliśmy w milczeniu. Zmieszane składniki zapaliły się, a potem zostały wessane do komory spalania. Nastąpiła chwila ciszy, a ja na moment wstrzymałem oddech, myśląc, że być może Scacz z burmistrzem, w swojej ignorancji, w jakiś sposób uszkodzili balanthast. Wtedy

instrument zadygotał, a węzowe twarze Księcia Demonów rozstąpiły się, wyrzucając ziemię, gdy pękła donica. Jeżyna się zachwiała i upadła na marmurową posadzkę. Tłum krzyknął.

Z rozgałęzień sączył się żółty dym. Roślina skręcała się, wiła, dymiła, gotowała. Sok wypływał z niej i pienił się z jęklwym piskiem, skowytym umierającej groźby.

Ludzie zakrywali uszy, gdy jeżyna miotała się w agonii. Z pnączy wciąż dobywał się dym. W ciągu minuty jednak legła nieruchomo, tylko w słońcu widać było unoszący się popiół i drobne szerniałe nitki. Żółty dym płynął powoli nad tłumem, powodując u wielu kaszel i chrypkę, ale gdy się rozwiął, rozległ się głośny okrzyk zdumienia na widok spalonego cielska jeżyny.

— Sprawdźcie to! – zawołał Scacz. – Chodźcie i zobaczcie. Musicie to zobaczyć, żeby uwierzyć!

Niewielu odważyło się podejść bliżej, ale generał podszedł. Zbliżył się bez lęku i klęknął obok rośliny. Wpatrywał się w nią jak rażony gromem.

— Nie ma nasion. – Jego szeroko otwarte ze zdziwienia oczy spoczęły na mnie. – Powinny zostać nasiona.

Tłum powtarzał jego słowa. Nie ma nasion. Nie ma nasion. Jak uderzenie błyskawicy, które sprawiło cud.

Burmistrz się roześmiał, a służący weszli z kielichami wina dla uczczenia sukcesu. Scacz poklepał mnie po ramieniu, a panowie i panie z wielkich kupieckich rodów podchodzili, by oglądać leżącą przed nimi oczyszczoną ziemię. I wtedy Scacz zawołał znowu:

— Jeszcze jeden pokaz?

Tłum zaczął klaskać i tupać. Znowu uzbroiłem balanthast i

rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu następnej donicy, ale najwyraźniej żadnej nie było.

— Jak mam to zrobić? – zapytałem.

— To nie ma znaczenia – odpowiedział Scacz. – Po prostu zapal, bez niczego.

Zawahałem się.

— Nie lękaj się urządzić przedstawienia. Niech zobaczą trochę wspaniałości.

— Ale tego nie da się tak po prostu odpalić. Instrument musi mieć coś, z czym się zwiąże. Choćby szczyptę ziemi.

— Proszę. – Scacz wyciągnął coś z rękawa. – Mam tu coś, co możesz wypróbować. – Szepnął cichutko jakieś słowo, a ja poczułem nagle zapach magii. Nie był to zapach magii leczniczej, jakiej użyłem minionej nocy wobec Jiali. To było coś specjalnego. Barwne jak niebieskie hiacynty w letnim słońcu i lepkie jak miód. Wcisnął mi w dłoń złożony skrawek pergaminu. – Włóż to do komory balanthastu – powiedział. – Powinno się dobrze palić.

Do pergaminu przywarła woń hiacyntowo–miodowej magii.

Nie chciałem tego zrobić. Nie wiedziałem, co on knuje. Ale burmistrz kiwnął głową, a mnie otaczali zgromadzeni i wszyscy patrzyli, ludzie o wielkich nazwiskach i potężnych rodach, burmistrz zaś skinął na mnie, bym kontynuował.

— Dalejże, alchemiku. Pokaż nam swój geniusz. Tłum cię uwielbia. Pozwól nam zobaczyć, jak twój instrument strzela na wiwat.

A wtedy ja, ku mojej wiecznej zgryzocie, zrobiłem to.

Ustawiłem dysze wylotowe tak, by celowały w powietrze, i przyłożyłem zapaloną zapałkę. Zaklęty pergamin wraz z melią i

pozostałymi składnikami zniknął w brzuchatej komorze balanthastu, który ryknął głośno.

Z dysz wyleciał błękitny płomień, długi strumień skrzącego się ognia. Razem z nim wydostał się żółty dym. I coś jeszcze: lepkie tchnienie nasączonego magią pergaminu, który wręczył mi Scacz. Barwa kwiatów, ulotniona w głównej komorze balanthastu, teraz uwolniła się wraz z dymem.

Obok mnie ciało Scacza zaczęło wydzielać nieziemską błękitną aurę, bardzo konkretną i doskonale widoczną. I nie tylko jego ciało. Również burmistrza. I jego sługi. Spojrzałem na swoje ręce. Moje ciało także.

Wyziwy eksplodującego balanthastu rozniosły się w całym pomieszczeniu i inni również pokryli się niebieską poświatą. Generał. Tłusty handlarz diamentów. Jego żona. Wiele innych kobiet. Mężczyźni w pięknych haftowanych kamizelkach. Ale najmocniej świeciła błękitem postać Scacza.

— Miałeś rację – mruknął burmistrz. – Popatrz na nas.

Wszyscy patrzyli teraz na liczne grono tych, którzy płonęli zjawiskowym ogniem, podziwiając to nieziemskie piękno.

Scacz uśmiechnął się do mnie.

— Miałeś rację, alchemiku. Melia kocha magię. Lgnie do jej pamięci jak dziecko do matczynej spódnicy.

— Coś ty zrobił? – zapytałem.

— Ja? – Scacz rozejrzał się wokół, rozbawiony. – No cóż, po prostu dorzuciłem trochę barwnej iluminacji do twojej meliowej esencji. Twoja wyrafinowana alchemia i moje proste czary się połączyły. Wspaniały efekt, nie sądzisz?

Wzdłuż galerii rozległ się tupot butów i szczęk stali. Pod

białymi kolumnowymi arkadami ukazali się strażnicy w łuskowych zbrojach, a za nimi rozlegał się odgłos jeszcze liczniejszych stóp.

— Pojmać ich! – wrzasnął Scacz. – Wszystkich, którzy świecą od magii. Każdego! Jeżeli nie należą do biura burmistrza, to znaczy, że są zdrajcami.

Rozległy się nieliczne głosy protestu. Ci, którzy nie płonęli błękitem, odsuwali się gwałtownie.

Generał wyciągnął szpadę.

— Zdrada? – spytał. – To dlatego nas tu ściągnąłeś?

Kilku innych też sięgnęło po broń.

Burmistrz powiedział:

— Niestety, generale, nawet ty nie stoisz ponad prawem. Korzystałeś z magii, choć jest to wyraźnie zakazane. Jeżeli masz jakieś usprawiedliwienie, magistrat gotów byłby cię wysłuchać... – Tu zawiesił głos. – Och, wygląda na to, że magistrat też jest winien. – Skinął na strażników. – Bierzcie zatem wszystkich.

Generał ryknął. Uniósł szpadę i zaszarżował na burmistrza. Strażnicy runęli nań gromadą jak wilki. Zgrzytnęła stal. Któryś z nich padł na wznak. Generał, potykając się, wystąpił krok poza kłębowisko ostrzy. Broczył krwią z kilku głębokich ran. Przez chwilę myślałem, że dotrze do nas, ale upadł jak długi na marmur posadzki. Wciąż jednak próbował dosięgnąć szpadą burmistrza, czołgając się i wlokąc za sobą strumyk krwi.

Burmistrz z niesmakiem przyglądał się wysiłkom generała.

— Po namyśle rozkazuję zabić wszystkich. Wiemy, co zamierzali.

Strażnicy zawyli, a emanujący błękitną poświatą dostojnicy

skulili się przed nimi. Niewielu miało broń. Rozpierzchli się jak owce, uciekając wokół galerii, a strażnicy polowali na nich i uciszali ich błaganiami. Na koniec wszystkie krzyki umilkły.

Stałem pośrodku tej masakry, tuląc do siebie swój balanthast.

Burmistrz przywołał skinieniem strażników.

— Wynieście ciała. A potem ruszajcie zająć ich dobra. – Głośniej zaś obwieścił: – Tym, którzy tu jeszcze stoją, majątek zdrajców zostanie sprzedany na aukcji, jak to jest w zwyczaju. Udowodniono, że jesteście godni zaufania, skorzystacie więc na tym.

Poklepał Scacza po plecach.

— Dobra robota, majistrze. Wręcz olśniewająca. – Jego spojrzenie padło na moją świecącą na niebiesko postać. – No tak. Szkoda, ale wygląda na to, że majister miał rację pod każdym względem. Powiedział mi, że wyczuwał od ciebie swąd magii od pierwszej chwili naszego spotkania, ale mu nie wierzyłem. Oto jednak jesteś, świecący jak lampa.

Cofnąłem się, wciąż tuląc balanthast.

— Jesteś wcielonym Księciem Demonów.

— Nie gadaj bzdur. Takaz nie zawracałby sobie głowy hamowaniem postępów jeżyny.

Strażnicy łapali ciała za nogi i ściągali je na stosy, pozostawiając na posadzce krwawe smugi.

Burmistrz spojrział na ślady krwi.

— Niech ktoś tu przyjdzie i wytrze te plamy! Nie zostawiać mi tu krwi. – Rozejrzał się wokoło. – I gdzie zniknął mój sługa?

Scacz odchrząknął.

— Obawiam się, że zginął w ogólnej rzezi.

— Aha. – Burmistrz zmarszczył brwi. – Trochę niefortunnie. – Potem znów zwrócił uwagę na mnie. – No dobrze. Daj mi ten instrument. – I wyciągnął rękę.

— Nigdy nie...

— Dawaj.

Wpatrywałem się w niego, przerażony tym, co zrobił. I ja byłem współwinny. Jednym szybkim ruchem uniosłem instrument nad głowę.

— Nie! – Scacz skoczył ku mnie.

Ale było już za późno. Rzuciłem balanthast. Szklane komory rozprysły się po marmurze. Delikatne miedziane i mosiężne kształty pogięły się i popękały. Złapałem jeszcze raz największą część i odrzuciłem daleko od siebie. Ślizgała się szybko po posadzce, rozpadając na mniejsze kawałki, aż spoczęła we krwi swoich ofiar.

— Ty głupcze. – Scacz mnie chwycił. Jego dłonie zacisnęły się na moim gardle, a potem przycisnął mnie do ziemi. Emanujący z niego błękit nabrał intensywności, reagując na przypływ magii. Moje gardło zaczęło się zamykać, ściskane mocą i nienawiścią Scacza. – Dołącz do reszty zdrajców – powiedział.

Miałem ściśnięte gardło. Nie mogłem oddychać. Nie mogłem nawet krzyknąć. Powietrze nie przechodziło mi przez usta. Ten człowiek był potężny. Nie potrzebował nawet zapisków, żeby rzucić takie złe zaklęcie.

Ciemność.

A potem nagle światło słońca.

Mogłem oddychać. Leżałem na posadzce i wciągałem szybko powietrze przez nagle uwolnione gardło. Majister Scacz klęczał

nade mną.

Jego ręka spoczywała delikatnie na mojej piersi. A jednak w tym samym czasie czułem jego palce pod żebrami. Trzymały moje serce. Szamotałem się słabo w jego uchwycie, próbując go odepchnąć. Palce Scacza zacisnęły się mocniej, blokując przepływ krwi. Poddałem się.

Uświadomiłem sobie, że burmistrz stoi obok i się przygląda.

— Burmistrz uważa, że jesteś zbyt utalentowany, by cię zmarnować – powiedział Scacz. Ponownie ścisnął mi serce. – Mam nadzieję, że jego przeczucie się potwierdzi.

Chwył nagle zelżał. Scacz wstał i przywołał strażę.

— Zabierzcie naszego przyjaciela do wieży, dopóki nie przygotujemy dla niego odpowiedniej pracowni. – Jego wzrok powędrował ku szczątkom balanthastu. – Ma przed sobą wiele godzin pracy.

Odzyskałem głos. I wychrypiałem:

— Nie. Nie chcę tej krwawej łaźni. I nie będę jej współnikiem.

Scacz wzruszył ramionami.

— Już jesteś. I oczywiście będziesz.

6

Czy mam powiedzieć, że walczyłem? Że nie dałem się złamać? Że wytrzymałem tortury i namowy i nie wziąłem udziału w czystce, która potem nastąpiła? Że nie przyłożyłem ręki do strumienia krwi, który płynął ulicami Khaimu i spływał do Sulongu? Czy mam powiedzieć, że byłem szlachetny, podczas gdy inni ulegali? Że nie przyczyniłem się do terroru?

Prawdę mówiąc, moja odmowa była jednorazowa.

Potem Scacz przyprowadził do mnie w odwiedzin Jialę i Pile. Siedzieliśmy wszyscy w chłodzie mojej celi, tuląc się do siebie pod kroplami wody kapiącymi z kamieni, w smrodzie gnijącej słomy, słuchając wilgotnego rżenia płuc Jiali, czwartego uczestnika naszej sztywnej rozmowy.

Scacz nie powiedział nic, po prostu pozwolił nam posiedzieć razem. Przyniósł drewniane stołki i kazał strażnikowi podać miętową herbatę, a ja po raz pierwszy poczułem ulgę, widząc, że Jiali i Pili nie stała się krzywda, ale właśnie wtedy Jiala zaczęła kaszleć i krew wystąpiła jej na wargi, potem wybuchnęła płaczem i musiałem zawołać strażnika, żeby je odprowadził. I chociaż przyszedł szybko, to i tak trwało to zbyt długo.

Pozostał mi w pamięci widok Pili niosącej małe ciało Jiali i rozdierający kaszel córeczki odbijający się echem od zimnych kamieni.

A potem Scacz wrócił. Oparł się o ścianę i przez kraty napawał moim widokiem.

— Chłód wieży szkodzi jej płucom – zauważył.

Naprawienie pierwszego balanthastu było ceną za życie i pomyślność Jiali i Pili, ale Scacz i nasz wesoły burmistrz na tym nie poprzestali. Jiala w ich rękach była doskonałym środkiem nacisku. W zamian za magię i leczenie, które tylko Scacz mógł zapewnić, tworzyłem narzędzia i instrumenty, jakich pragnęli. Moje urządzenia kupowały życie mnie i mojej rodzinie, niosąc zarazem śmierć innym ludziom.

Krew spływała ulicami. Wedle pogłosek, jakie docierały do mego więzienia, podwórzec burmistrza był czerwiejszy niż zachód słońca. Mówiono, że ciała płonęły na stertach jeżyny, a

swąd tłuszczu mieszał się z przesłaniającym niebo żółtym jeżynowym dymem z tych pogrzebowych stosów. Egzekutor miał tyle roboty, że w niektóre dni sprowadzano drugiego, a nawet trzeciego, który zastępował wyczerpanego pracą topornika. Czasem wcale nie zadawano sobie trudu, by zadbać o właściwą oprawę spektaklu.

Scacz śmiał się z tego.

— Kiedy nie potrafiliśmy znaleźć tych małych podstępnych zaklinaczy, musieliśmy się odwoływać do strachu, by utrzymać magię pod kontrolą – stwierdził. – Teraz, kiedy już umiemy ich wykrywać, to nawet lepiej pozwolić im przez jakiś czas czarować, żeby potem upolować wszystkich.

Dopóki dostarczałem narzędzi do polowania, nic mi nie groziło. Scacz z burmistrzem mieli dla mnie mnóstwo zamówień. Byłem ich cennym sokołem. Do pewnego stopnia wolnym, ale w ograniczonych ramach. Stosunki między nami były napięte jak struny skrzypiec. Każdy z nas je szarpał, oczekując zysku, sprawdzając granice wytrzymałości drugiej strony, wypróbując brzmienie nuty i naprężenie struny. Struny rozpiętej między pracą i wytworami mego umysłu a dobrobytem Pili i Jiali. Wszyscyśmy szarpali i ciągnęli tę cieką katgutową żyłkę.

Dokładnie rzecz biorąc, nie byłem więźniem. Byłem bardziej uczonym pracującym dzień i noc w zamknięciu, budującym coraz lepsze przenośne balanthasty. Instrumenty coraz lepiej nastrojone na wykrywanie śladów magii. Czasem sam zapominałem o swojej sytuacji. Kiedy praca szła dobrze, skupiałem się na niej tak mocno, jakbym był we własnej

pracowni.

Wstydzę się przyznać, że bywały chwile, gdy byłem wręcz upojony możliwością skupienia, jaką zapewniała mi moja cela. Kiedy nie ma się nic innego do roboty poza pracą, można zrobić bardzo wiele.

— No, weź. Przyniosłam słodycze. Przecież je lubisz – zachęcała Pila. Siedziała po drugiej stronie krat mojej celi i podsuwała mi smakołyki.

Siedziałem i patrzyłem.

— Nie jestem już głodny.

— Widzę. Ale chudniesz coraz bardziej.

— Przedtem też byłem chudy.

Pila patrzyła na mnie ze smutkiem.

— Proszę. Jeśli nie chcesz jeść dla siebie, to przynajmniej jedz dla mnie. Dla Jiali.

Bezwiednie wstałem i podreptałem ku niej.

— Nie wyglądasz dobrze – stwierdziła.

Wzruszyłem ramionami. Ostatnio miewałem senne koszmary. Częstokroć śniła mi się rzeka moich ofiar. Widziałem, jak spływają ulicami do miejsca, gdzie stał Egzekutor, zakapturzony rzeźnik odrabujący głowy przepływającym. Wywijał toporem jak kosą, a głowy fruwały na wszystkie strony. A ja stałem u źródeł tej rzeki i każdego człowieka rzucałem w jej nurt. Przedtem oświetlałem ich na niebiesko, po czym posyłałem ku czekającej na końcu katarackie topora.

Pila wsunęła rękę przez kraty i ścisnęła moje zziębnięte palce. Na jej skórze uwidoczniły się zmarszczki, a dłonie były zaskakująco suche. Pomyślałem, że zapewne ręce te były kiedyś

miękkie i że ona sama była kiedyś młoda, ale z ledwością to pamiętałem. Uścisnęła moją rękę, a ja wbrew wszystkim postanowieniom przywarłem do kraty i przytuliłem jej palce do policzka.

Bardzo pragnąłem jej ciepła i z trudem to znosiłem. Majister Scacz zaoferował nam „ulgę”, jak to nazwał, ale zrobił to z tak paskudnym spojrzeniem, że po pierwszym razie nie chciałem już tego więcej i naplułem mu w twarz, kiedy znów to zasugerował. Tak go to rozjuszyło, że wstrzymał odwiedziny Pili na prawie sześć miesięcy. Dopiero gdy zagroziłem, że poderżnę sobie gardło szkłem, ustąpił wreszcie i znów pozwolił na jej wizyty, choć tylko przez kratę. Całowałem palce Pili i w tym miejscu, które za moją sprawą służyło brutalnej rzezi, tęskniłem za jej dobrocią i człowieczeństwem.

Kilka stóp ode mnie siedział strażnik, ostentacyjnie zwrócony do nas bokiem, co miało dawać nam namiastkę intymności. Nosił imię Jaiska. Miał rodzinę, a jego wąsy były już całkiem długie, bo spłodził trzech synów, którzy poszli w jego ślady i też zostali strażnikami. Zachowywał się przyzwoicie, zapewniając nam odrobinę prywatności, gdy szeptaliśmy do siebie przez kratę.

Zupełnie inaczej niż Izaak uwielbiający zamęczać mnie szczegółami egzekucji, które dzięki moim wynalazkom miał okazję oglądać. Opowiadał, że żaden z właścicieli domów w promieniu pięćdziesięciu mil nie uniknął sprawdzenia balanthastem. Głowy zdobyły nie tylko miejskie bramy, ale również szeroki most nad Sulongiem, który łączył teraz Khaim z jego mniejszą częścią. Głów było tak wiele, że burmistrz znużył się rozwieszaniem trofeów i nakazał, by ciała po prostu

wrzucano do rzeki, którą spływały ku morzu.

— Jak się miewa Jiala? – spytałem.

— Lepiej niż ty – odparła Pila. – Świetnie się rozwija. I rośnie. Scacz wciąż zabrania mi ją przyprowadzać, ale mała czuje się dobrze. Możesz mi wierzyć. Scacz jest zły, ale zachwyca go twoja praca, więc o nas dba.

— Głowy innych ludzi w zamian za nasze. – Rozejrzałem się po pracowni. – Ilu zabiłem? Ile krwi jest na moich rękach?

— Nie ma sensu myśleć w ten sposób. Używali magii, co zawsze było zabronione. Pod topór Egzekutora nie idą niewinni.

— Nie zapominaj, że my też do nich należeliśmy. I wciąż należymy, dzięki Scaczowi.

— Nie myśl o tym. Doprowadzisz się tylko do szaleństwa.

Spojrzałem na nią z goryczą.

— Tkwię tutaj już dwa lata i jeśli dotąd nie popadłem w szaleństwo, to obawiam się, że niedługo to nastąpi.

Westchnęła.

— W każdym razie teraz jest już takich sytuacji coraz mniej. I coraz mniej tych, którzy chcieliby sprawdzać zdolność burmistrza do ich wykrywania. – Pochyliła się bliżej ku mnie. – Opowiadają, że on odkrywa magię tylko u bogatych i potężnych. Tych zawsze wywęszy i konfiskuje ich majątki.

— I nikt nie walczy?

— Niektórzy tak. Ale on ma sojuszników. Farmerzy blisko ściany jeżyn mówią, że rozrost postępuje coraz wolniej. Po raz pierwszy od pokoleń w niektórych miejscach udaje się nawet wyciąć więcej i odzyskać teren.

Skrzywiłem się.

— Moglibyśmy odzyskać całe mile kwadratowe, gdyby burmistrz używał balanthastu zgodnie z jego przeznaczeniem.

— Nie warto o tym myśleć. – Przepchnęła przez kratę zawinięty w skrawek płótna kawałek chleba. – Weź – powiedziała. – Proszę. Zjedz trochę.

Ale ja pokręciłem głową i odszedłem, odwracając się od jej daru. Błahy gest. Wiedziałem to już w chwili, gdy to zrobiłem. Nie było jednak nikogo innego, na kogo mógłbym naskoczyć. Drobnym bunt, bo na wielki brakło mi odwagi.

Pila westchnęła. Posłyszałem szelest, a potem jej słowa skierowane do Jaiski:

— Daj mu to, kiedy zmieni zdanie. Zostaw też coś dla siebie. Nie pozwól mu się zagłodzić.

I wyszła, zostawiając mnie sam na sam z moją pracownią i moimi zabójczymi urządzeniami.

— Nie odpychaj jej – powiedział Jaiska. – Trwa przy tobie i twojej córce, choć mogłaby odejść. Stary Scacz lubi ją niepokoić. Przychodzi i się naprzykrza.

Odwróciłem się.

— Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

— Naprzykrza się.

— Nic mi o tym nie mówiła.

— Tobie nie. Nie chce, żebyś zrobił coś głupiego.

Westchnąłem, poczuwszy się głupio z powodu dziecinnej sceny, jaką zrobiłem.

— Nie zasługuję na nią.

Jaiska się roześmiał.

— Nikt nie zasługuje na nikogo. Po prostu zdobywasz kogoś, a potem masz nadzieję, że go przy sobie utrzymasz. – Podał mi chleb. – Lepiej zjedz, póki jest świeży.

Wzięłem bochenek i odkroiłem kromkę na moim roboczym stole. Dla niego też odkroiłem kawałek. Zapach miodu i rozmarynu zmieszał się ze smrodem melii i mięty oraz swądem węgla płonących w piecu do wydmuchiwania szkła.

— W dziwnym świecie żyjemy – powiedziałem, wskazując na stół. – Tyle czasu spędziłem na próbach wykrywania magii, a teraz nagle Scacz znowu chce balanthastów do tępienia jeżyny. Może w końcu postanowi wyciąć tę jeżynową ścianę.

— Tak. W jakimś sensie – parsknął Jaiska. – Złapał następny kawałek chleba i przemówił z pełnymi ustami: – Wycina w jeżynach nowe tereny dla przyjaciół swoich i burmistrza. Dla tych, którzy donoszą. Dla wybranych gwardzistów.

— A ty dostaniesz nową ziemię?

Jaiska wzruszył ramionami.

— Jestem tylko zwykłym strażnikiem. Nie podnoszę głowy. Nie zajmuję się magią, kiedy myśliwi polują. Mam nadzieję, że moi synowie po prostu nauczą się dobrze władać mieczem. Nie potrzebuję ziemi. Ani zaszczytów. Nie kombinuję z burmistrzem.

— Oto mądrość. – Uśmiechnąłem się krzywo. – Ja natomiast myślałem, że okażę się zbawcą naszego kraju.

— Jeżyna w większości już się zatrzymała – stwierdził Jaiska. – Mało kto poza Scaczem i burmistrzem ośmiela się używać magii. Nie na serio. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem, by jeżyna zakielkowała w mieście. Jesteśmy uratowani. W jakiś sposób.

— Nie o takim sposobie myślałem.

Jaiska się roześmiał.

— Jak na kogoś, kto wymyśla takie sprytne urządzenia, jesteś niezłym głuptasem.

— Pila powiedziała mi coś podobnego.

— Bo to prawda, alchemiku.

Na dźwięk nowego głosu Jaiska zerwał się na równe nogi.

— Wybacz, panie.

Scacz wyszedł z cienia.

— Idź i znajdź sobie coś do roboty, strażniku.

— Z chęcią, panie. – Jaiska uniósł dłoń do czoła i umknął.

Scacz usiadł na stołku, który zwolnił Jaiska. Jego spojrzenie zatrzymało się na resztkach podarunku Pili.

— Poprosiłbym cię o kawałek tego cudownego chleba, ale obawiam się, że już zdążyłeś napchać doń jeżynowych włosków.

Potrząsnąłem głową.

— Jeżynowe włoski byłyby za dobre dla takiej kreatury jak ty.

— Ach, no tak. Kreatura. Doprawdy. – Uśmiechnął się. – Potężna kreatura niewątpliwie. Dzięki tobie. Najpotężniejszy majster w kraju. Dzięki tobie. Głowy wszystkich majistrzów z Alacanu tkwią teraz zatknięte na pikach. – Westchnął. – To rzeczywiście jakiś nałóg. To uczucie mocy przepływające przez... Nikt tego nie zrozumie. Syreni śpiew dla tych spośród nas, którzy mają do tego dryg. Ale przecież ty już to poznałeś.

— Mnie tego nie brakuje – rzuciłem.

— Być może – prychnął Scacz. – Ale ten powab z pewnością istnieje. Dla wielu. Dla większości. Nie możemy pozwolić, by ludzie uwierzyli, że twój balanthast jest rzeczywiście skutecznym

rozwiązaniem przeciw jeżynom. To fałszywy komfort. Liznąwszy trochę magii, zechcieliby wówczas sięgnąć głębiej. A wtedy – tu uczynił szeroki gest rękoma – wszyscy, gdzie popadnie, zaczęliby czarować, zaklinać i rzucać uroki, i robić latające dywany, i byłoby wspaniale. Do chwili, gdy zadusiłyby nas jeżyny.

— Nie doszłoby do tego – powiedziałem. – Nie jesteśmy głupi. Scacz się roześmiał.

— To nie było tak, że mieszkańcy Jhandpary, całego dawnego imperium, nie byli świadomi niefortunnych skutków uprawiania magii. Z dawnych manuskryptów wiemy, że mocno próbowali utrzymać na wodzy swoje potrzeby. Ale bardzo byli magii spragnieni. Niektórzy dla władzy. Inni dla dreszczyku emocji. Dla wygody. Dla ocalenia. Wreszcie dla cudownego zbytku.

Wykonał drobny ruch i nad jego dłonią ukazał się maleńki błyszczący zamek. Unosił się na chmurkach, a ze wszystkich stron otaczały go różnokolorowe latające smoki.

— Jakże ktoś mógłby z tego zrezygnować? – zapytał. – Mieszkańcy Jhandpary nie znali dyscypliny. Nawet tym, którzy chcieli narzucić sobie jakąś kontrolę, brakło niezbędnej siły woli. I tak upadło nasze imperium.

Zamek nad ręką Scacza runął z chmurek, rozsypując się w lesie jeżyn poniżej. Jeżyna zagarnęła pałace z krużgankami, stadiony, świątynie poświęcone Trzem Obliczom Mary, rosła wysoka i przerażająca. Chmury pyłu i gruzu zaciemniły całą scenę, gdy w dół spadło jeszcze więcej zamków.

Scacz otrzepał ręce, unicestwiając obraz i usuwając kurz, jaki osiadł na jego ubraniu.

— Magia przyciąga jeżyny – powiedział. – A nawet ty,

alchemiku, pragnąłeś jej używać.

— Tylko trochę. Żeby uratować córeczkę.

— Każdy zaklinacz ma jakąś rozsądną wymówkę. Jeżeli zaczniemy robić wyjątki, popełnimy zbiorowe samobójstwo. To rzeczywiście piękna łamigłówka dla tak moralnego człowieka jak ty.

— Myślisz zatem, że jesteśmy tacy sami?

— Magia to magia. Jeżyna to jeżyna. Mam gdzieś, na ile części filozofowie dzielą włos. Teraz każdej nocy zasypiam w poczuciu, że jeżyna już się nie rozrośnie. Śpię więc naprawdę dobrze. – Wstał. Wskazał mój nowy balanthast. – Pospiesz się z tym urządzeniem, alchemiku. Zależy od tego dobrobyt twojej córki, jak zwykle.

— Dlaczego mnie nie wypuścisz?

— A dlaczego miałbym to zrobić? Wtedy mógłbyś zanieść swoją wiedzę o balanthastach do jakiegoś innego miasta. I może ktoś popadłby za twoją sprawą w iluzję, że dyscyplina nie jest już konieczna. – Pokręcił głową. – Nie. To nie byłoby dobre.

— Khaim jest moim domem – powiedziałem. – Nie chcę go opuszczać. Mógłbym konstruować balanthasty. Powiadasz, że chcesz wycinać jeżyny. W końcu nasze cele się pokryją.

— Nasze cele już się pokrywają, alchemiku – Scacz zwrócił się do wyjścia. – Spiesz się z tymi swoimi instrumentami. Mam lenna do rozdania.

— A jeśli odmówię?

Scacz zawrótł.

— Wtedy po prostu przestanę się przejmować, czy twoja córeczka wykasłuje rzekę krwi czy nie. Wybór należy do ciebie.

Zawsze należał.

— Nigdy mnie nie wypuścisz.

Scacz wybuchnął śmiechem.

— Nie wyobrażam sobie tego. Jesteś aż nazbyt użyteczny.

Tej nocy leżałem w łóżku, otoczony dziwnie kojącymi zapachami i odgłosami mojego więzienia–pracowni, i obracałem w myślach problem majistra Scacza. Nie umiałem się targować z jego smoczym umysłem. I pomimo jego słów miałem jednak wrażenie, że mój czas się kończy.

Budowanie balanthastów, żeby uwolnić od jeżyn lenne włości, nie było jutrenką nowego początku, ale dymnym sygnałem gorzkiego końca. Z chwilą gdy utworzona zostanie brygada wyposażona w nowe balanthasty, nie będę już potrzebny.

Leżąc tak i wsłuchując się w chrapanie nocnego strażnika, zacząłem obmyślać plan. Łączyłem części i fragmenty w większą całość. Nie był to plan w pełni dopracowany, ale jednak... intryga. Zwodnicza sieć dróg, a na ich zawiłym końcu być może jakieś wyjście z tego pudła Halizaka. Badałem kręte zaułki mego rozumowania, sprawdzałem słabe punkty w zbroi mojej logiki.

Szczerze mówiąc, było ich wiele.

Pila, Jiala i ja zbyt długo żyliśmy w centrum tego krwawego wiru, jakim był Khaim. Zwłaszcza po ostatnich czystkach wiedziałem, jak mało znaczy tu ludzkie życie. Scacz może był człowiekiem dotrzymującym słowa, ale na pewno nie miłosiernym. Burmistrz i Scacz myśleli w kategoriach handlowych, a zatem, gdy już nie będę miał nic do zaoferowania, zechcą się mnie pozbyć.

Rano wstałem wcześniej i zacząłem działać.

— Jaiska – powiedziałem. – Idź i poszukaj Scacza. Powiedz mu, że przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Gdy Scacz się zjawił, złożyłem mu propozycję:

— Jeżeli pozwolisz mi wychodzić od czasu do czasu na zewnątrz, opracuję ci znacznie mocniejsze wykrywacze. Sądzę, że mógłbym znacząco zwiększyć ich zasięg. I zbuduję je w taki sposób, że nie będą wymagały ludzi do obsługi. Będą mogły pracować bez przerwy, na rynkach, wzdłuż ulic, przy miejskich bramach.

Scacz spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Coś ty nagle taki otwarty na współpracę?

— Chcę dobrze żyć. Chcę zobaczyć słońce i niebo i chciałbym się potargować.

— Myślisz o ucieczce.

— Od takiego wielkiego majistra jak ty? – Pokręciłem głową. – Nie mam złudzeń. Ale nie mogę wiecznie żyć bez świeżego powietrza. – Podniosłem rękę. – Popatrz na mnie. Tracę na wadze. Zobacz, jaki jestem blady. Możesz mnie zakuć, jeśli chcesz, ale muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

— Jak zatem ulepszysz ten projekt?

— Patrz. – Rozwinąłem pergamin i zanurzyłem pióro w atramencie. Naszkicowałem zarys projektu. – Będzie jak stojąca pochodnia. Jak wartownik. Będzie powoli wypuszczał dymek ze swego kociołka. Każdy, kto przejdzie obok, zostanie sprawdzony. – Podałem mu szkic przez kratę.

— Ukrywałeś to przede mną.

Napotkałem spojrzenie Scacza.

— Powinieneś zrozumieć, że utrzymywanie mnie przy życiu i

w dobrym zdrowiu jest korzystne.

Scacz się roześmiał. Podobał mu się ten targ, którego, jak sądził, właśnie dobijaliśmy.

— Tak trudno ci wytrwać, alchemiku?

— Chcę gwarancji, Scacz. I życia. Lepszego niż to.

— Ach? Czy życzysz sobie czegoś jeszcze?

— Chcę, żeby znowu mogła przychodzić do mnie Pila.

Scacz posłał mi złe spojrzenie, a potem pokręcił głową.

— Nie. Myślę, że jednak nie.

— A zatem nie ulepszę twoich wykrywaczy.

— Mógłbym cię poddać torturom.

Popatrzyłem na niego przez kratę.

— Masz wielką władzę, majistrze. Proszę cię o przysługę, a ty mi odpłacasz groźbami. Cóż jeszcze mogę ci zaoferować? Lepsze balanthasty? Coś, co działa szybciej i lepiej od tych, które masz teraz? Mogę zaprojektować takie, które będą lekkie i przenośne. Będą mogły oczyszczać całe pola w ciągu kilku dni. Wyobraź sobie, jaką magią będziesz dysponował, gdy zniknie groźba jeżyn.

Zarzuciłem haczyk. W końcu jaka jest korzyść z bycia najlepszym majistrem w kraju, jeśli nie można pokazać wielkiej magii robiącej największe wrażenie? U Scacza pragnienie wykorzystywania mocy próbowało przekroczyć naturalne granice, jakie wyznaczały jeżyny.

Tak więc zacząłem pracować nad moimi nowymi balanthastami i wykrywaczami. Pracownia zavalona była świeżymi dostawami części, szpulami miedzi, szczypcami, miechami, mosiądzem i nitami, szklanymi kolbami i rurami

próżniowymi, a Scacz zjawiał się codziennie, niecierpliwie czekając na obiecane ulepszenia.

Pila przychodziła do mnie w odwiedziny.

W ciemnościach tuliliśmy się do siebie, a ja mruczałem jej do ucha.

— To nie może się udać – szepnęła.

— Jeśli się nie uda, zrobisz to sama – odszepnąłem.

— Nie zrobię. Nie wyniknie z tego nic dobrego.

— Kochasz Jialę?

— Jasne, że tak.

— W takim razie musisz mi zaufać. Ufaj mi tak bardzo, jak ufałaś wtedy, gdy przez tyle lat pracowałem, żeby na koniec wpakować nas w tę kabałę.

— To szaleństwo.

— Które sam zapoczątkowałem. I ja sam muszę je powstrzymać. Jeśli nie zdołam, musisz uciec. Zabierz uzdrawiające zaklęcie dla Jiali i uciekaj. Biegnij tak daleko, jak zdołasz. Bo jeśli mi się nie uda, Scacz będzie cię ścigał aż na kraniec świata.

O poranku Pila wyszła z moim pocałunkiem na ustach i przywiązany do przegubu miedzianym żetonem, kawałkiem mojej pracowni.

Przez następne tygodnie pracowałem gorączkowo. Nocami zaś spotykałem się z Pilą i szeptałem jej do ucha wiedzę o recepturach i procesach. Słuchała uważnie, a jej długie czarne włosy dotykały jak piórka moich warg i okrywały nas, gdy ciesząc się swoją bliskością, pracowaliśmy zarazem nad naszym ratunkiem.

Moje wykrywacze pojawiły się w mieście, wypuszczając cuchnący dym spowijający Khaim mocno reagującymi substancjami, i znów krew płynęła ulicami, a Scacz był wielce zadowolony. Przyznał mi przywilej opuszczania mojej klatki.

Byłem tak słaby, że nawet wyjście po schodach z głębin wieży przyprawiało mnie o zadyszkę. A potem traciłem oddech jeszcze raz, gdy wychodziliśmy na równy teren i patrzyliśmy z góry na miasto.

Płomienie wykrywaczy żarzyły się w różnych miejscach, a niebieskie świetliki wyfruwały z nich, przyklejając się do wszystkiego, co miało najmniejszy związek z magią. Most do Mniejszego Khaimu jarzył się zdumiewającym błękitem jak magiczna latarnia w gęstniejącym mroku.

— Zrobiłeś coś pięknego – mówił Scacz. – Teraz wszyscy będą nazywać Khaim błękitnym miastem. I wreszcie zaczniemy się rozwijać. – Wskazał na niebo, a ja zobaczyłem, że przyczepiony do strzępów chmur formował się tam zaczątek latającego zamku.

Zaparło mi dech ze zdumienia.

— Przyciągnięcie i połączenie chmur jest piekielnie trudne – powiedział Scacz. – Ale gdy już uda się go ukończyć, będzie bardzo ładny.

Poczułem się tak, jakbym patrzył na baśniową Jhandparę. Niemal słyszałem jej muzykę i czułem smak wina z Góry Sena, którego tak dawno nie kosztowałem.

Gdy odzyskałem głos, powiedziałem:

— Musisz przynieść do mnie wszystkie stare balanthasty, żebym mógł je przerobić. Będę musiał dostosować ich komory spalania do większej mocy, jaką będą teraz miały.

Scacz uśmiechnął się i zatarł ręce.

— A wtedy naprawdę będę mógł się poświęcić pracy nad moim zamkiem. I nie będę już musiał kontrolować mocy.

— Majster z Błękitnego Miasta – powiedziałem.

— Właśnie.

— Bardzo bym chciał to zobaczyć, gdy praca zostanie ukończona.

Scacz spojrział na mnie zamyślonym wzrokiem.

— Jeżeli te balanthasty będą działać tak, jak opisujesz, alchemiku, to będę mógł zrobić dla ciebie najwyżej jedno: zapewnię ci mieszkanie ponad ziemią.

— Czyli napowietrzne więzienie?

— Lepiej tam niż na ziemi. Będziesz przynajmniej miał zachwycający widok.

Roześmiałem się.

— Nie będę się sprzeciwiał. Po prawdzie już nie mogę się doczekać. – Odwróciłem się, żeby odejść, ale przystanąłem, jakby dopiero teraz przyszło mi to do głowy. – Kiedy przywiozą balanthasty, będę też potrzebował kilku donic z jeżyną. Dla przeprowadzenia prób i upewnienia się, że projekt się sprawdza.

Scacz skinął głową w roztargnieniu, wciąż patrząc w górę na swój triumfalny zamek.

— Co takiego?

— Jeżyna – powtórzyłem cierpliwie. – Do przeprowadzenia prób.

Scacz skinął potwierdzająco, a strażnicy sprowadzili mnie z powrotem do mojej wieży.

Kilka dni później poprosiłem Jaiskę, żeby zawołała Scacza na

końcowy pokaz.

Ustawiłem szeregiem donice z jeżynami.

— Zadziałałoby lepiej, gdybyśmy stanęli przy jeżynowej ścianie – gderałem. – Ale i to powinno wystarczyć.

Ustawione wzdłuż muru stały wszystkie balanthasty z całego miasta. Wszystkie zostały przerobione, a ich komory, rury i zawory zyskały ulepszone kształty, odpowiednie do nowych celów. Wysunąłem z szeregu jeden z błyszczących instrumentów i wetknąłem dysze do donicy z jeżyną. Roślina drżała złowrogo, jakby rozumiała, jaką krzywdę zamierzam jej uczynić. Suche torebki nasienne zagrzechotały, gdy przesuwiałem donicę.

Zapaliłem zapałkę i wepchnąłem ją do nowej komory spalania. Zapłon następował teraz dużo szybciej i łatwiej.

Nastąpiła cicha eksplozja. Roślina wierzgała chwilę, po czym zniknęła w obłoku gryzącego dymu. Nic z niej nie zostało.

Roześmiałem się zadowolony.

— Widzicie?

Scacz i Jaiska patrzyli w osłupieniu. Zrobiłem to jeszcze raz, znowu się śmiejąc, i tym razem Jaiska ze Scaczem też się roześmiali.

— Świetnie, alchemiku! Dobra robota!

— Samo przygotowanie też przebiega teraz szybciej – powiedziałem. – Te komory na górze mieszają składniki, które dzięki temu są zawsze gotowe. Otwórzmy ten zawór i... – Zapaliłem kolejną zapałkę. Wybuch. Dym. Roślina w donicy wciągnęła w siebie truciznę z balanthastu i zniknęła z piskiem żarzącego się soku w wirującym dymie.

Uśmiechnąłem się. Wykonałem próbę jeszcze raz i jeszcze,

osiągając efekt większy od magii. Jaiska tupał i gwizdał. Uśmiech Scacza rozciągnął się w grymas zaskoczenia i chciwości. A wtedy ja, śmiejąc się w porywie szaleństwa, upojony powodzeniem, złapałem jeżynę gołymi rękami.

Głupie, niefrasobliwe zachowanie. Chwila nieuwagi i cały mój geniusz legł w gruzach.

Odsunąłem szybko dłonie, jakby jeżyna płonęła żywym ogniem, ale jej nitkowate włoski wbiły się już w moją gołą skórę. Usypiająca trucizna paraliżowała mi ręce, rozchodząc się i paląc jak ogień. Upadłem na kolana. Próbowałem wstać. Zrobiłem chwiejny krok i runąłem na balanthast, przewracając go i rozbijając.

— Ty głupcze! – krzyknął Scacz.

Raz jeszcze spróbowałem wstać, ale upadłem na wznak, ponownie zaplątując się w jeżynę. Kolce kłuły mnie, a włoskowate nitki przywarły do mojej skóry, sącząc w nią truciznę, zgłodniałe mego ciała. Sączyły sen w moje serce i płuca.

Ciemność przesłoniła mi oczy. Postępowało to strasznie szybko. Odczołgałem się, ogłupiały od jadu, i sięgnąłem za kratę. Scacz i Jaiska unikali moich pokrytych jeżynowymi nitkami dłoni.

— Proszę – wyszeptałem. – Użyj swojej magii. Ocal mnie.

Scacz pokręcił głową, wciąż trzymając się z dala.

— Żadna magia nic nie poradzi na jeżynowy sen.

— Proszę – wychrypiałem. – Jiala. Błagam. Zajmij się nią.

Scacz spojrział na mnie z pogardą.

— To już chyba nie ma sensu, prawda?

Moje nogi i ręce były jak woda. Spłynąłem na posadzkę z ręką

wciąż wyciągniętą w stronę krat, podczas gdy obraz Scacza stawał się coraz bardziej odległy i rozmyty.

Majster przypatrywał mi się z wyrazem zawodu na twarzy.

— Tak będzie chyba lepiej, alchemiku. W końcu i tak musielibyśmy odrąbać ci głowę. – Odwrócił się do Jaiski. – Jak tylko ustaną drgawki, zbierz wszystkie balanthasty. I nie bądź taki głupi jak on.

— A co z jego ciałem? Czy mam je oddać jego żonie?

— Nie. Wrzuc je do rzeki razem z innymi.

Zbyt daleko się już posunąłem, żeby ulec panice. Jeżyna uciszyła mi serce.

7

Opalanie ciała niebieskimi płomieniami nie jest moją ulubioną metodą budzenia, ale jest nieporównanie lepsze od śmierci. Owionął mnie następny podmuch ognia. Palił mi krew, parzył płuca, wdzierał się do serca i przywracał do życia. Wiłem się z gorąca, próbując złapać oddech. Jeszcze jeden wybuch płomieni.

I nagle zacząłem kaszleć i rzezić. Skóra parzyła, ale oddychałem.

— Dość – wychrypiałem, machając słabo rękami, prosząc o litość, modląc się o zaprzestanie. Otworzyłem oczy.

Pila kuciała nade mną, trzymając w dłoniach fantastyczny wysadzany kamieniami balanthast. Jiala stała obok niej, zmartwiona, trzymając się jej spódnicy.

— Żyjesz, tatusiu? – zapytała.

Uniosłem się z trudem, zgarniając z ramion spalone nitki jeżyny. Pila oglądała mnie uważnie, otrzepując dłonią w

rękawicy.

— Jest już wystarczająco żywy, moje dziecko. Teraz szybko zbierajmy nasze rzeczy. Musimy uciekać.

Jiala potaknęła posłusznie i wybiegła z mojej pracowni. Spojrzałem za nią zaskoczony. Jakże urosła! Nie była już małym dzieckiem. Była wysoka i silna. Taka zmiana w ciągu dwóch lat mojego uwięzienia. Pila wciąż usuwała spalone nitki jeżyny. Wzdrygnąłem się z bólu pod jej dotknięciem.

— Nie narzekaj – powiedziała. – Pęcherze znaczą, że żyjesz.

Uchyliłem się przed otrzepywaniem.

— Wygląda na to, że mnie znalazłaś.

— Mało brakowało. Spodziewałam się przecież, że przywiozą cię w trumnie. Gdyby Jaiska nie był tak dobry i nie dał mi znać, gdzie cię wyrzucono... – Wzruszyła ramionami. – Już niemal zniknąłeś pod wodą, splątany z innymi ciałami, gdy cię wypatrzyłam.

— Pomóż mi wstać.

Z jej pomocą podniosłem się jakoś na nogi. Byłem w mojej starej pracowni, ale bardzo zmienionej przez Pilę.

— Musiałam wiele pozmienić – wyjaśniła Pila, podtrzymując mnie w pozycji stojącej. – Nawet z twoimi wskazówkami nie było to nic pewnego.

— A jednak żyję. – Spojrzałem na balanthast. Mój projekt, ale jej wykonanie. Zwróciłem uwagę na miejsca, w których dokonała zmian. Niosła urządzenie na skórzanym pasie przerzuconym przez ramię. – Uczyniłaś go przenośnym – powiedziałem z podziwem.

— Jeżeli mamy uciekać, to już czas.

— Najwyższy.

W sieni leżały spakowane resztki naszego dobytku, upchnięte w koszykach powiązanych rzemieniami, tak aby móc nieść je na plecach. Mały stosik niezbędnych rzeczy. Tak mało zostało z mego dawnego życia. Kilka wełnianych koców, trochę jedzenia i dzbanki z wodą. Przede wszystkim jednak Pila i Jiala. Żaden mężczyzna nie ma prawa żądać więcej. Zarzuciliśmy kosze na plecy, a ja jęknąłem pod ciężarem.

— Skutki łatwego życia – stwierdziła Pila. – Jiala potrafiłaby podnieść więcej niż ty.

— Nie będzie tak źle, mam nadzieję. No i nie ma to jak dłuższy spacer.

Wymknęliśmy się razem, całą trójką, klucząc uliczkami. Biegliśmy najszybciej, jak się dało, zmierzając ku bramom Khaimu, by wydostać się na otwarte pola. Czułem, jak kipią we mnie śmiech i ulga. Miałem poparzoną skórę, skołtunione włosy, ale żyłem. Być może po raz pierwszy od dwudziestu lat.

Wtedy nagle zmienił się wiatr i wystrzeliła w nas chmura dymu. Był to jeden z moich diabelskich wykrywaczy ustawionych w roli wartowników przy każdej ulicy.

Jiala zapłonęła jak lampa oliwna.

Pila wciągnęła raptownie powietrze.

— Wczoraj była leczona. Magia wciąż się objawia. Zwykle po zaklęciach Scacza zamykam ją w domu.

Szybko jak kot narzuciła płaszcz na ramiona Jiali oblanej błękitnym światłem. Błękit wciąż jednak wydostawał się spod płaszcza. Twarz emanowała nieziemską poświatą. Podniosłem ją i przytuliłem jej twarz do piersi. Była ciężka.

— Nie pokazuj skóry, córeczko.

Chyłkiem wyszliśmy z miasta, a gdy zapadł zmrok, ruszyliśmy ku polom. Podążaliśmy błotnistą drogą, próbując zasłaniać fatalną barwę skóry mojej córki. Na próżno jednak. Farmerzy przy drodze wykrzykiwali i podbiegali za nami, nawet gdy przyspieszyliśmy, słyszeliśmy za sobą krzyki. Krzyki ludzi szukających okazji do zarobku dzięki donosowi na kogoś, kto korzysta z magii.

— Nie damy rady – stwierdziła Pila.

— Biegnijmy!

I ruszyliśmy galopem, potykając się. Nienawykły do takiego wysiłku, dyszałem ciężko. Biegania nie miałem w planie. Nie po latach spędzonych w więzieniu. Już po minucie byłem zasapany. Po dwóch widziałem plamy przed oczami i zataczałem się. A jednak wciąż biegliśmy, Jiala biegła już sama, ciągnąc mnie i popychając. Zdecydowanie zdrowsza ode mnie.

Za nami rozległy się okrzyki strażników. Byli coraz bliżej.

Przed nami rosła czarna ściana jeżyn.

— Stać! W imieniu Khaimu i burmistrza!

Pila w biegu uzbroiła swój balanthast. Zapaliła jego zawartość. Przygotowała go do zagłębienia w ziemię, gdzie tkwiły korzenie chaszczy.

— Nie! – krzyknąłem. – Nie tak. – Podniosłem instrument wyżej i skierowałem w środek gąszczu. – Nie uszkodź korzeni. Tylko gałęzie.

Pila spojrzała na mnie zaskoczona, a potem kiwnęła energicznie głową. Balanthast zaryczał. Niebieski płomień wyskoczył z dysz i zapalił gałęzie. Jeżyna skreśliła się i

wyparowała, otwierając głęboki, wąski korytarz wśród wijących się i dymiących pędów. Rzuciliśmy się w głąb. Znowu dobiegł nas z tyłu krzyk.

— Stać!

Strzała uderzyła o gałąź jeżyny. Następna musnęła mi ucho. Przytrzymałem Jialę i zmusiłem do pochylecia, gdy Pila znowu wystrzeliła z balanthastu.

Strażnicy za nami nadbiegali przez pole, grzęznąc w rowach nawadniających. Ich miecze połyskiwały w świetle księżyca.

Niebieski płomień znowu przeszył noc i otworzyła się przed nami ścieżka wśród poskręcanych jeżyn.

Wyjąłem księgę zaklęć majistra Aruna.

— Daj zapalkę, córko.

Zapaliłem ją i podałem Jiali. W jej migotliwym, niepewnym świetle przeczytałem tekst pisany ręką dawno zmarłego majistra. Zaklęcie zamiętania.

Za nami utworzyła się natychmiast wirująca burza pyłowa. Falującym gestem dłoni posłałem ją wstecz wąską ścieżką za nami. Zwyczajne zaklęcie. Odrobina domowej magii dla służącej lub dziecka. Zupełnie nic w porównaniu z wielkimi dziełami Jhandpary.

Ale dla jeżynowej gęstwiny to maleńkie zaklęcie było jak kawał soczystego mięsa rzucony tygrysowi. Pnącza zadygotały, wietrząc zapach magii, i ruszyły śladem wirującego słupa pyłu. Gdy Pila otworzyła nam kolejne przejście, rzuciłem za siebie jeszcze kilka małych zaklęć. Jeżyny zamykały się za nami, żądne magii, którą rzucałem im jak okruchy chleba. Były zgłodniałe jej ożywczego smaku, czując ją tak blisko swoich korzeni. Pędy

wybijały z ziemi, zarastając ścieżkę i zamykając nas we wnętrzościach jeżynowego lasu.

Głosy strażników cichły i stawały się nierozpoznawalne. Jeszcze tylko kilka strzał odbiło się rykoszetem i ugrzęzło w gąszczu, ale jeżyny za nami były już bardzo grube i splątane. Równie dobrze moglibyśmy stać za dębową ścianą.

Pila znów zapaliła balanthast i jeszcze bardziej zagłębiliśmy się w złowrogi las.

— Nie potrwa to długo, gdy ruszą naszym śladem – powiedziała.

Pokręciłem głową.

— Nie. Mamy czas. Balanthasty Scacza nie działają. Uszkodziłem je wszystkie, gdy Scacz był przekonany, że je naprawiam. Dobry był tylko ten jeden, który wykorzystałem do pokazu, ale zadbałem o to, by go roztrzaskać.

— Dokąd idziemy, tatusiu? – spytała Jiala.

Przyciągnąłem ją bliżej do siebie, wypowiadając jeszcze jedno zaklęcie burzy piaskowej i zamiętania. Mały wir powietrzny ruszył w ciemność, nęcąc jeżyny i barykadując przejście za nami. Kiedy skończyłem, uśmiechnąłem się do córki i dotknąłem palcem jej podbródka.

— Czy wspominałem ci kiedyś o kopalniach miedzi w Keshu?

— Nie, tatusiu.

— Są naprawdę niezwykle. Nie ma na ich obszarze śladu jeżyn, choćby się nie wiem ile magii użyło. Wyspa w morzu.

Błękitny ogień z balanthastu Pili znów rozświetlił mrok, a jeżyny skrzyły się, ustępując nam z drogi, otwierając korytarz dla ucieczki. Podniosłem Jialę, ponownie dziwiąc się, jaka ciężka

się zrobiła przez te lata, gdy mnie nie było, ale nie chciałem pozwolić, by choć na chwilę oddaliła się od mego boku, nie mogąc nacieszyć się jej istnieniem. Poszliśmy korytarzem otwartym przez Pile.

Jiala zakaszlała nieznacznie i otarła usta rękawem.

— Naprawdę? – spytała. – Istnieje takie miejsce, w którym będziesz mógł użyć magii? Nawet na mój kaszel?

— To pewne jak balanthasty – odparłem i przytuliłem ją bardzo mocno. – Musimy tylko tam dotrzeć.

Kolejny niebieski płomień rozjaśnił noc i razem ruszyliśmy w drogę.

Przetłóżył Jerzy Moderski

Orson Scott Card

MAGIA PIASKU



Orson Scott Card jest bestsellerowym autorem ponad czterdziestu powieści, w tym Gry Endera, która zdobyła nagrody Hugo i Nebula. Mówcy Umarłych również przyznano te nagrody, dzięki czemu Card stał się jedynym autorem, który otrzymał oba najbardziej prestiżowe wyróżnienia w gatunku science fiction w dwóch kolejnych latach. Ostatnio opublikował m.in. Endera na wygnaniu, kolejne zaproszenie do świata Endera, trzy powieści z cyklu dla młodzieży „Tropiciel” oraz dwa tomy nowej serii fantasy „Magowie Mitheru”.

Wielkie kopuły miasta Gyree lśniły błękitem i czerwienią w prześwitującym spomiędzy chmur słońcu i Cer Cemreet pomyślał przez chwilę, że widzi jakąś część tej chwały, o której mówili mu jego stryjowie, gdy późno w nocy snuli opowieści o Greet z dawnych czasów. Cer przypomniał sobie jednak z goryczą, że z bliska stolica wcale nie wygląda tak olśniewająco. Psy biegały teraz po ulicach, w ruinach pałacu gnieździły się szczury, a król Greet przebywał w Nowym Gyree, leżącym na wzgórzach daleko na północy, dokąd wrogie armie nie zdołały dotrzeć. Jeszcze nie.

Słońce schowało się za chmurą i miasto znów wyglądało ponuro. W oddali patrol Nefyrów przejeżdżał zwawo drogą z Hetterwee, kierując się na północ. Cer spojrzął na bujną zieloną trawę pokrywającą wzgórze, na którym siedział. Chmury zapowiadały deszcz, ale chyba nie tutaj, pomyślał. Zawsze gdy ujrzał nefyrski patrol, myślał o czymś innym. Tak, w Hrickanie było jeszcze zbyt wcześnie na deszcz. Ten deszcz spadnie gdzieś na północy, być może w krainie Króla Wysokich Gór albo na

szerokich równinach Westwoldu, gdzie konie, jak opowiadano, biegają wolno, lecz może je oswoić każdy, kto pragnie dokąś konno pojechać. Żaden deszcz nie spadnie jednak w Greet aż do miesiąca doonse, czyli jeszcze przez trzy tygodnie. Ale pszenica będzie już wówczas zwieziona do stodół, a siano ułożone w stogach tak wielkich jak wzgórze, na którym siedział Cer.

Stryjowie mówili, że w dawnych czasach wielkie wozy z Westwoldu przyjeżdżały przez cały doonse i wywoziły siano, które miało pomóc przetrwać okres śniegów. Lecz teraz już nie, pomyślał Cer. W tym, a także w ostatnim i przedostatnim roku wozy przyjeżdżały z południa i ze wschodu. Wielkie dwukołowe wozy, których woźnice nie mówili językiem górnowestiliańskim, ale barbarzyńskim fyrdyjskim. Fyrdyjski albo pierdyjski, pomyślał Cer i zaśmiał się, bo tego słowa nie mógł wymawiać przy rodzicach. Mówili po pierdyjsku.

Cer raz jeszcze popatrzył na równinę. Nefyrski patrol skręcił z głównej drogi i zmierzał ku wzgórzom.

Ku wzgórzom. Cer zerwał się na równe nogi i pobiegł ścieżką prowadzącą do domu. Patrol jadący na wzgórze mógł oznaczać jedynie kłopoty.

Tylko raz zatrzymał się na chwilę dla złapania tchu, gdy ból w boku okazał się zbyt silny. Patrol jednak miał konie, więc kiedy Cer dobiegł do domu, ujrzał wierzchowce Nefyrów uwiązane już przed bramą jego ojca.

Gdzie są stryjowie? – pomyślał Cer. Stryjowie powinni zaraz nadjechać.

Stryjów jednak nie było, a Cer posłyszał straszliwy krzyk dobiegający z za murów ogrodu. Nigdy przedtem nie słyszał

krzyku matki, ale jakimś sposobem wiedział, że to ona krzyczy, więc pobiegł do bramy. Nefyrski żołnierz złapał go i krzyknął: „Tu jest chłopak!” z szorstkim akcentem w języku górnowiąstwiańskim, tak żeby jego rodzice mogli to zrozumieć. Matka Cera krzyknęła znowu, lecz teraz Cer zobaczył już dlaczego.

Jego ojca obdarto z odzieży do naga, a dwóch rosłych Nefyrów trzymało go za ręce i nogi. Dowódca złapał swój paskudnie krzywy, krótki miecz i przycisnął jego ostry koniec do muskularnego brzucha ojca Cera. Cer z matką patrzyli, jak po mieczu spłynęła krew, a potem dowódca wbił go aż po rękojeść, kierując ostrze w górę, ku żębrom. Krew lała się strumieniem. Dowódca uważał, by nie dotknąć serca, a potem w wielką ziejącą ranę żołnierze wbili włócznię i unieśli ją wysoko z drgającym ciałem ojca na końcu. Z rozmachem oparli ją o słup bramy, a krew i trzewia splamiły mur i wrota.

Ojciec Cera żył jeszcze jakieś pięć minut, walcząc o każdy oddech. Być może umarł z bólu, ale Cer tak nie uważał, bo jego ojciec nie był typem człowieka, który ugiąłby się przed bólem. Może umarł z powodu uduszenia, bo stracił jedno płuco i rozpaczliwie próbował zaczerpnąć powietrza, ale po kilku tygodniach Cer uznał w końcu, że ojciec umarł jednak z upływu krwi. Umarł, gdy jego ciało było już suche i żyły się zapadły.

Przez cały ten czas nie wydał z siebie głosu. Ojciec nigdy nie dopuściłby do tego, żeby Nefyrowie usłyszeli, jak krzyczy z bólu.

Matka krzyczała tak długo, aż z jej ust wypłynęła krew, i zemdląca.

Cer stał w milczeniu, dopóki jego ojciec nie umarł. A potem,

gdy z krzywym uśmiechem podszedł do niego dowódca, Cer kopnął go w podbrzusze.

Odcięli Cerowi wielkie palce u stóp, ale Cer, podobnie jak ojciec, nie wydał z siebie głosu.

Gdy Nefyrowie odjechali, przyjechali stryjowie.

Stryj Forwin zwymiotował. Stryj Erwin się rozplakał. Stryj Crune objął Cera, podczas gdy słudzy bandażowali jego okaleczone stopy, i powiedział:

— Twój ojciec był wielkim, dzielnym człowiekiem. Zabił wielu Nefyrów i spalił wiele ich wozów. Ale Nefyrowie są silni.

Uścisnął jego ramię.

— Twój ojciec był silniejszy. Ale był sam, a ich było wielu.

Cer odwrócił głowę.

— Nie spojrzysz na swojego stryja? – zapytał Crune.

— Mój ojciec nie wiedział, że jest sam – odparł Cer.

Stryj Crune wstał i odszedł. Cer nigdy więcej nie zobaczył swoich stryjów.

Musiał opuścić z matką dom i pola, bo oddano je nefyrskiemu farmerowi, który miał gospodarować na nich dla króla Nefyrydu. Nie mieli pieniędzy, więc musieli wyruszyć na południe, za rzekę Greebeck, do suchych krain leżących na skraju pustyni, gdzie nie było żadnych rzek i rosły tylko najbardziej wytrzymałe rośliny. Przeżyli zimę dzięki miłosierdziu tamtejszych biedaków. Latem, gdy nadeszły upały, nastąpiła wraz z nimi choroba biednych, która pustoszyła tę krainę. Lekarstwem na nią były świeże owoce, ale pochodziły z Yffyrdu i Suffyrdu i stać było na nie tylko bogatych, biedni marli zaś tysiącami. Wśród nich była matka Cera.

Wyniesiono ją na zewnątrz, na piasek, aby spalić jej ciało i

uwolnić ducha. Gdy malowano jej ciało smołą (smoła przynajmniej nie kosztowała wiele, jeśli miało się wiadro), pięciu jeźdźców zatrzymało się na skraju wydmy i patrzyło na to. Cer pomyślał zrazu, że są Nefyrami, ale nie. Biedacy spojrzeli w górę i pozdrowili obcych, czego mieszkańcy Greet nigdy nie robią w stosunku do wrogów. Ci byli ludźmi z pustyni, nomadami z plemienia Abadapnu, którzy w okresach suszy napadali na bogate farmy w Greet, ale nigdy nie skrzywdzili biedaka.

Nienawidziliśmy ich, gdy byliśmy bogaci, pomyślał Cer. Ale teraz jesteśmy biedni i są naszymi przyjaciółmi.

Ciało matki spłonęło, nim zaszło słońce.

Cer patrzył, aż wygasły płomienie. Księżyc znowu zaświecił jasno. Cer zmówił modlitwę do pani księżycy nad kośćmi i popiołami swej matki, a potem odwrócił się i odszedł.

Zaszedł na chwilę do chaty i zabrał tę odrobinę jedzenia, jaką mieli, oraz włożył blaszany pierścień swego ojca, który Nefyrowie uznali za bezwartościowy, ale który od dawien dawna był znakiem władzy w rodzinie Cemreetów.

Potem Cer ruszył na północ.

Utrzymywał się przy życiu, zabijając szczury w stodołach i piekąc je. Żebrał u drzwi biednych farmerów, bo bogaci farmerzy mieli służących, którzy odpędzali żebraków. Cer pamiętał, że jego ojciec nigdy tego nie robił. W jego domu żebracy zawsze dostawali posiłek.

Gdy nie zdołał nic upolować ani wyżebrać, kradł pożywienie. Kradł garście ziaren pszenicy. Kradł marchew z ogródków. Kradł też wodę ze studni, za co w okresach suszy można było stracić życie. Któregoś razu ukradł owoc z wozu jakiegoś bogacza.

Palil mu usta, byl zimny, a jego sok byl bardzo kwaśny. Splywal mu po brodzie. Jako biedak i złodziej, myslal Cer, jem teraz rzecz tak droga, ze nawet moj ojciec, ktorego nazywano czlowiekiem bogatym, nigdy nie mogl sobie pozwolic na jej zakup.

W koncu zobaczył góry na północy. Szedł dalej i po tygodniu stanął pod wysokimi urwiskami i stromymi piargami. Było to Mitherkame, gdzie panował Król Wysokich Gór. Cer rozpoczął wspinaczkę.

Wspinał się cały dzień, a noc przespał w skalnej rozpadlinie. Poruszał się wolno, bo wspinanie się w sandałach było niewygodne, lecz Cer nie miał dużych palców u nóg i nie mógł wspiąć się boso. Następnego dnia wszedł jeszcze wyżej. I choć w pewnej chwili omal nie spadł, a upadek oznaczał roztrzaskanie się na równinie leżącej dobrą milę poniżej, wspiął się wreszcie na podobny do noża szczyt Mitherkame, do samego nieba.

Kamienie bowiem ustąpiły miejsca ziemi. Nie jakiejś tam bladej piaszczystej ziemi z suchych krain ani czerwonej ziemi z Greet, ale czarnej ziemi z dawnych północnych pieśni, ziemi, której nie można zostawić bez opieki, bo natychmiast wypuści pędy roślin, a te w ciągu tygodnia zmieniają się w las.

A tam rzeczywiście był las, a ziemia była gruba od trawy. Cer widział w swoim życiu tylko kilka drzew i były to drzewa oliwne, niskie i powykręcane, oraz figowe sykomory, które ledwie trzykrotnie przewyższały wzrost człowieka. Te drzewa były od człowieka dwudziestokrotnie wyższe, miały dziesięć kroków w obwodzie i strzelały w górę prosto i wysoko, tak że nawet wśród młodych drzew nie było tak niskiego jak Cer, który jak na swoje

dwanaście lat uznawany był za wysokiego.

Dla Cera, który znał jedynie pszenicę, siano i oliwne sady, las był wspanialszy od góry, od miasta, od rzeki, a nawet od księżycy.

Zasnął pod wielkim drzewem. Tej nocy było mu bardzo zimno. Rano zaś zdał sobie sprawę, że w lesie nie znajdzie farm, a gdzie nie ma farm, tam nie ma też jedzenia dla niego. Wstał i poszedł głębiej w las. W Wysokich Górach żyli przecież ludzie, inaczej bowiem nie mogło być króla, i Cer zamierzał ich znaleźć. Jeśli tego nie zrobi, umrze. Ale umrze przynajmniej poza zasięgiem Nefyrów.

Mijał wiele krzaków z jadalnymi jagodami, ale nie wiedział, że można je jeść, toteż ich nie jadł. Mijał wiele strumieni pełnych głupich i powolnych ryb, które mógł złapać, ale w krainie Greet ryb nie jadano, bo zawsze przenosiły jakieś choroby, więc Cer ich nie łapał.

A trzeciego dnia, gdy zaczął czuć się tak słaby z głodu, że nie mógł już iść, spotkał maga drzew.

Spotkał go, bo była to najzimniejsza noc i Cer obłamał z drzewa trochę gałęzi, żeby rozpalić ogień. Drewno jednak nie chciało się palić, a gdy Cer spojrzał w górę, zauważył, że drzewa się przesunęły. Podchodziły bliżej i otaczały go ciasno. Obserwował je, a one się nie ruszały, lecz gdy się obrócił, zauważył, że te, na które nie patrzył, zbliżyły się. Spróbował uciec, ale niskie gałęzie utworzyły gęsty płot, przez który nie mógł się przedostać. Wspiąć też się nie mógł, bo gałęzie spychały go w dół. Cer, pokrwawiony od walki z gałęziami, wrócił na swoje legowisko i patrzył, jak drzewa tworzą wokół niego

nieprzebytą ścianę.

I czekał. Cóż jeszcze mógł uczynić w swoim drzewnym więzieniu?

Rano usłyszał śpiew jakiegoś człowieka i zaczął wzywać pomocy.

— Oho! – rozległ się głos mówiący z dziwnym akcentem. – Oho, oprawca drzew i podpalacz, zabójca gałęzi i wróg lasu.

— Nie jestem nikim takim – odparł Cer. – Było zimno i próbowałem rozpałcić ogień, żeby się ogrzać.

— Ogień, ogień – odpowiedział głos. – W tym maleńkim kawałeczku świata nie ma ognisk z drewna. Ale słyszę jakiś młody głos i nie wygląda mi na to, aby pod tymi słowami rosła jakaś broda.

— Nie mam brody – rzucił Cer. – Nie mam też broni, poza nożem, zbyt małym, żeby cię zranić.

— Nóż? Nóż, który wypuszcza sok z żywych ramion drzew, jak powiada Sekwoja. Nóż, który odcina gałązki niczym miękkie ludzkie palce, jak mówi Wiąz. Nóż, który dziabie korę, aż krwawi, jak rzecze Łagodna Osika. Złam swój nóż – powiedział głos zza drzew – a wtedy ja otworzę twoje więzienie.

— Ależ to mój jedyny nóż – zaprotestował Cer – i potrzebuję go.

— Potrzebny ci tutaj jak mgła w ciemną noc. Złam go albo umrzesz, zanim te drzewa ruszą się z miejsca.

Cer złamał nóż.

Usłyszał za sobą jakiś odgłos, odwrócił się i ujrzał grubego starego człowieka, który stał w wolnej przestrzeni między drzewami. Chwilę przedtem nie było tam wolnego miejsca.

— Dziecko – powiedział mężczyzna.

— Gruby staruch – powiedział Cer, rozgniewany za nazwanie go dzieckiem, choć rzeczywiście nim był.

— Do tego źle wychowane dziecko – odparł starzec. – Ale być może nie potrafi inaczej, bo jego wymowa wskazuje, że pochodzi z Greet, jego ubranie zaś, że był tam biedny, a w Mitherwee powszechnie wiadomo, że w Greet nieznane są dobre maniery.

Cer złapał klingę swego noża i rzucił się w stronę starca. Na jego drodze w jakiś sposób stanęło jednak wiele ostrych gałęzi, a jedna z nich była tak twarda, że wytrąciła mu ostrze na ziemię.

— Och, moje dziecko – powiedział łagodnie starzec. – W twoim sercu jest śmierć.

Gałęzie się rozsunęły, a on wyciągnął ręce i dotknął twarzy Cera. Cer cofnął się gwałtownie.

— I nawet dotknięcie człowieka sprawia ci ból – westchnął starzec. – Twój świat doprawdy musi być wywrócony na opak.

Cer spojrzał na niego zimno. Był w stanie znieść szyderstwo. Czyżby jednak w oczach starego człowieka pojawiła się dobroć?

— Wyglądasz na głodnego – powiedział starzec.

Cer nic nie odpowiedział.

— Możesz pójść za mną. Dam ci coś do zjedzenia, jeśli chcesz.

Cer poszedł za nim.

Szli przez las, a Cer zauważył, że starzec zatrzymywał się często i dotykał wielu drzew. Kilka z nich zaś otwarcie zlekceważył, obracając się do nich plecami lub obchodząc je z daleka. W pewnej chwili zatrzymał się i przemówił do drzewa, które straciło dużą gałąź. Też całkiem niedawno, pomyślał Cer, bo widoczna na ranie żywica była jeszcze miękka.

— Wkrótce przestanie boleć – powiedział do drzewa starzec, a potem westchnął ponownie. – Ach, tak, wiem. I wielu orzechów w nadchodzącym roku.

Potem dotarli do domu. Jeśli można to nazwać domem, pomyślał Cer. Ściany były z kamieni, co było dość powszechne w Greet, ale dach tworzyły żywe gałęzie dziewięciu wysokich drzew, gęsto splecione i pokryte zielonym listowiem, i Cer był pewien, że żadna kropla deszczu nie wpadnie do środka.

— Podziwiasz mój dach? – zapytał starzec. – Tak gęsty, że nawet zimą, gdy liście opadną, śnieg nie dostanie się do wnętrza. My jednak możemy to zrobić – powiedział i przez drzwi utorował im drogę do jedynej izby.

Starzec cały czas gwarzył, przygotowując śniadanie: jagody ze śmietaną, duszone żołądźce i grube pajdy chleba z mąki kukurydzianej. Nazywał każdą przygotowywaną potrawę, wszystko bowiem, z wyjątkiem śmietany, było dla Cera nowością. Ale okazało się smaczne i pożywne.

— Żołądźce z Dębów – mówił starzec. – Orzechy z drzew o tej samej nazwie. Jagody z krzaków i runa leśnego. Oczywiście mąka pochodzi z niedrzew, czyli ze słabych roślin niemających w sobie drewna, które co roku umierają.

— To drzewa nie umierają co roku, nawet gdy pada śnieg? – zapytał Cer, który już słyszał o śniegu.

— Ich liście stają się różnobarwne, a potem opadają i być może jest to jakiś rodzaj umierania – odparł starzec. – Ale w miesiącu eanan śnieg topnieje, a w blowanie na drzewach pojawiają się znów zielone liście.

Cer nie wierzył mu do końca, ale nie widział też powodu, by

mu zupełnie nie ufać. Drzewa były dziwne.

— Nigdy nie sądziłem, że drzewa w Wysokich Górach potrafią się poruszać.

— Oho – roześmiał się starzec. – Bo nie potrafią, z wyjątkiem tego miejsca i jeszcze paru innych, które są pod opieką maga drzew.

— Maga drzew? To jest w tym jakaś magia?

— Magia. Oho – starzec zaśmiał się ponownie. – O tak, magia, wiele różnych magii, a moja magia jest magią drzew.

Cer zmrużył oczy. Stary człowiek nie wyglądał na kogoś obdarzonego mocą, a jednak drzewa zamknęły intruza w pułapce.

— Rządzisz tutaj drzewami?

— Czy rządzę? – zapytał zdziwiony starzec. – Co za pomysł. Nie, doprawdy. Służę im. Chronię je. Daję im swoją moc, a one dają mi swoją, co czyni nas razem znacznie mocniejszymi. Ale rządzić? To nie należy do magii. Cóż za pomysł.

I starzec zaczął opowiadać o tegorocznych wybrykach głupiutkich wiewiórek, a gdy Cer skończył jeść, wręczył mu wiadro i spędzili cały ranek na zbieraniu jagód.

— Zostaw jagodę na krzaku za każdą, którą zerwiesz – powiedział starzec. – Będą dla ptaków jesienią i dla ziemi w kamesunie, gdy wyrastają nowe krzewy.

W taki sposób Cer, zupełnie przypadkowo, zamieszkał u maga drzew i był to tak szczęśliwy czas w jego życiu, jakiego nigdy dotąd nie zaznał, chyba że wtedy, gdy był jeszcze małym dzieckiem i matka mu śpiewała albo gdy ojciec zabrał go na polowanie na jelenia na wzgórzach Wetfell.

A po jesieni, kiedy to Cer zachwycał się różnorodnością kolorów liści, po zimie, kiedy Cer wędrował z magiem po śniegu, żeby leczyć popękane od mrozu gałęzie, i po wiosnie, kiedy Cer pomagał przerzedzać nowe rośliny, żeby las nie zrobił się zbyt gęsty, mag drzew zaczął myśleć, że mroczne miejsca w sercu Cera nareszcie wypełniło światło albo przynajmniej wycofały się tam, gdzie nie można ich będzie znaleźć.

Mylił się.

Kiedy bowiem Cer zbierał liście na zimowe ogniska, wyobrażał sobie, że zbiera kości swoich wrogów. A gdy chodził po śniegu, to marzył, że rusza do bitwy, żeby nieść śmierć Nefyrom. A gdy przerzedzał pędy, wyobrażał sobie, że ścina swoich stryjów po tym, jak zamordowano jego ojca, bo żaden z nich nie stanął u jego boku, gdy znalazł się w niebezpieczeństwie.

Cer marzył o zemście, a gdy las wypełniał się letnim światłem, jego serce stawało się coraz ciemniejsze.

Któregoś dnia powiedział do maga drzew:

— Chcę nauczyć się magii.

Mag uśmiechnął się z nadzieją.

— Uczysz się jej przecież – odparł. – I chętnie nauczę cię więcej.

— Chcę się uczyć, jak używać mocy.

— Ach – westchnął rozczarowany mag. – Skoro tak, to nie możesz osiąść magii.

— Ty masz moc – powiedział Cer. – I ja też chcę ją mieć.

— Ach, doprawdy – odrzekł mag. – Mam moc moich rąk i nóg, moc podgrzewania smoły nad torfowym ogniskiem, aby zatrzymać wyciekające z uszkodzonych drzew soki, moc

obcinania chorych gałęzi, aby uratować drzewo, moc uczenia drzew, jak i czego powinny się strzec. Cała reszta jest mocą drzew, a nie moją.

— Ale wykonują twoje polecenia – powiedział Cer.

— Bo ja wykonuję ich! – rzucił mag, nagle rozgniewany. – Czy sądzisz, że w tym lesie istnieje niewolnictwo? Czy uważasz, że ja jestem jakimś królem? Tylko ludzie pozwalają innym ludziom sobą rządzić. Tutaj, w tym lesie, jest jedynie miłość i dzięki tej miłości drzewa i ja mamy swoją magię lasu.

Rozczarowany Cer spuścił wzrok. Mag nie zrozumiał tego i pomyślał, że Cer poczuł skruchę.

— Ach, mój chłopcze – powiedział. – Jak widzę, jeszcze się tego nie nauczyłeś. Korzeniem magii jest miłość, a jej pniem służba. Magowie drzew kochają drzewa i służą im i dzięki temu dzielą się z nimi magią. Magowie światła kochają słońce, w nocy rozpalają ognie, a ogień służy im tak, jak oni służą ogniewi. Magowie koni kochają konie, służą im i jeżdżą na nich, ile dusza zapragnie, dzięki magii, jaka jest w stadzie. Jest także magia pól i magia równin, magia skał i magia metali, magia śpiewów i tańców, magia wiatrów i pogody. Wszystkie one opierają się na miłości i nabierają mocy dzięki służbie.

— Muszę mieć magię – powiedział Cer.

— Musisz? – zapytał mag. – Musisz mieć magię? Są różne rodzaje magii, które możesz mieć. Ale ja nie mogę cię ich nauczyć.

— Co to za rodzaje?

— Nie – odpowiedział mag i przestał się odzywać.

Cer myślał i myślał. Jaką magię można uzyskać wbrew czyjejs

woli?

W końcu jednak, po tygodniach nagabywania, mag z gniewem ustąpił.

— Wiesz co? – rzucił. – Powiem ci. Istnieje magia morza, w której źli żeglarze służą morskim bestiom, składając im ofiary z ludzi. Chciałbyś to robić?

Cer czekał jednak na więcej.

— Czyli przemawia to do ciebie – powiedział mag. – Będziesz więc zachwycony magią pustyni.

Cer zobaczył teraz, że istnieje magia, którą mógłby wykorzystać.

— Jak się ją uprawia?

— Nie wiem – odparł mag lodowato. – Dla ludzi mojego pokroju to najmroczniejsza z wszystkich magii, ale twoje czarne serce może się do niej rwać. Jest tylko jedna magia mroczniejsza od niej.

— Jakaż to? – zapytał Cer.

— Chyba postradałem zmysły, przyjmując cię – stwierdził mag. – Nie chcesz uleczyć ran w swoim sercu; uwielbiasz je szarpać i zaogniać.

— Jaka jest ta najmroczniejsza magia? – spytał Cer.

— Najmroczniejszą magią – powiedział mag drzew – jest magia, której, dzięki księżycowi, nigdy nie mógłbyś uprawiać. Bo żeby ją uprawiać, musiałbyś kochać ludzi i kochać też miłość do ludzi bardziej niż własne życie. A miłość jest od ciebie tak daleko jak morze od gór i jak ziemia od nieba.

— Niebo dosięga ziemi – powiedział Cer.

— Dosięga, ale nigdy się ze sobą nie spotykają – odrzekł mag.

Potem zaś wręczył Cerowi koszyk, do którego już przedtem włożył chleb, jagody i dzbanek wody źródlanej.

— A teraz idź.

— Idź? – zdziwił się Cer.

— Miałem nadzieję cię uleczyć, ale to niemożliwe. Trwasz przy swoim cierpieniu zbyt mocno, by móc zostać uleczonym.

Cer wyciągnął do maga swoją okaleczoną stopę, na której w miejscu, gdzie wyrastał kiedyś duży palec, widniała czerwona, poszarpana blizna.

— Mógłbyś chociaż odtworzyć moją stopę.

— Odtworzyć? – spytał mag. – Ja niczego nie odtwarzam. Ja tamuję, leczę i pomagam drzewom zapomnieć o ich utraconych członkach. Gdyby bowiem z uporem tłoczyły soki w miejsce gałęzi, której już nie ma, straciłyby je zupełnie, wyschłyby, zmarniały, umarły.

Cer wziął koszyk.

— Dzięki za twą dobroć – powiedział. – Przykro mi, że nie rozumiesz. Ale ze mną jest tak samo jak z drzewem, które nie potrafi wybaczyć siekiery lub ognia. Niektórzy muszą umrzeć, żebym ja mógł naprawdę odżyć.

— Wynoś się z mojego lasu – nakazał mag. – Nie ma tu miejsca dla takich ciemności.

Cer odszedł i w ciągu trzech dni dotarł do skraju Mitherkame, po kolejnych dwóch dniach znalazł się u stóp urwiska, a po kilku tygodniach zawędrował na pustynię. Chciał bowiem nauczyć się magii pustyni. Chciał służyć piaskom, a piaski miały służyć jemu.

Żołnierze Nefyrydu zatrzymali go w drodze i przeszukali. Teraz na wszystkich farmach gospodarowali nefyrscy rolnicy,

ludzie z południa, którzy nigdy dotąd nie posiadali ziemi. Odpędzali go, lękając się, że coś ukradnie. On zaś zakradł się nocą do farmy swego ojca i z pomieszczeń gospodarczych skradł mięso, a ze stodoły kurczaka.

Przeszedł za rzekę Greebeck na wyschnięte ziemie, gdzie podarował mięso i kurczaka biednym. Pozostał z nimi przez kilka dni. Potem zaś wyszedł na pustynię.

Błąkał się tam przez tydzień, aż skończyły się mu zapasy wody i żywności. Za wszelką cenę próbował znaleźć maga pustyni. Przemawiał do gorącego piasku i rozpalonych skał w taki sam sposób, w jaki mówił do lasu mag drzew. Piasek jednak nie odnosił ran i nie potrzebował leczącego dotyku, a skałom nie działa się krzywda, więc nie potrzebowały ochrony. Gdy Cer przemawiał, nie było odpowiedzi, jedynie wiatr sypał mu piaskiem w oczy. W końcu Cer legł umierający na piasku, z zaschniętą, zaskorupiałą i poparzoną skórą, w resztkach podartego odzienia, z oczami niemal oślepiłymi od bieli pustyni, a obok spoczywał gorący, wypełniony piaskiem dzban.

Nie potrafił ani kochać, ani służyć pustyni, bo pustynia nie potrzebowała odeń niczego, a nie było w niej piękna i dobra, które można by ukochać.

Nie chciał jednak umrzeć, dopóki nie dokona zemsty. Nie chciał tak bardzo, że wciąż jeszcze żył, gdy znaleźli go ludzie z plemienia Abadapnu. Dali mu wody i pielęgowali go, aż przywrócili do zdrowia. Trwało to wiele tygodni, a przez ten czas ciągnęli go za sobą na wózku od jednej studni do drugiej.

Wędrując konno ze swymi stadami, Abadapnurczycy wieźli Cera coraz dalej i dalej od Nefyrów i krainy Greet.

Cer odzyskiwał zmysły powoli, a jeszcze wolniej poznawał język Abadapnu. W końcu jednak, gdy gromadzące się chmury zaczęły zapowiadać nadejście zimy, Cer stał się jednym z członków plemienia, uznanym za mężczyznę z powodu brody, uznanym za mądrego z powodu mrocznego spojrzenia i wyrazu twarzy, który nie zniknął nawet w tych rzadkich chwilach, gdy się śmiał.

Nigdy nie mówił o swojej przeszłości, lecz Abadapnurczycy wystarczająco dobrze wiedzieli, co oznacza blaszany pierścień na jego palcu i dlaczego ma tylko osiem palców u nóg. Jednakże, z doskonałą obojętnością, uprzejmie nie pytali go o nic.

Wiele się od nich nauczył. Dowiedział się, że głodowanie na pustyni jest szaleństwem, a umieranie z pragnienia nie jest konieczne. Nauczył się, jak oszukiwać pustynię, żeby podtrzymywała życie.

— Pustynia bowiem – mówił ich naczelnik – nie chce, żeby cokolwiek żyło.

Cer zapamiętał to. Pustynia chce, żeby nie było życia. I zastanawiał się, czy to jest właśnie klucz do magii pustyni. Czy może są to po prostu zamknięte drzwi, których nigdy nie zdoła otworzyć. Jak można służyć i podlegać piaskowi, który pragnie tylko twojej śmierci? Jakże on zdoła dokonać zemsty, jeśli będzie martwy? Bo z chęcią bym umarł, gdyby moja śmierć mogła zabić zabójców mego ojca – rzekł pewnego razu do swego konia. Koń zwiesił łeb i przez resztę dnia tylko włókł się smętnie, choć Cer kopał go piętami, próbując skłonić do biegu.

Któregoś dnia, zniecierpliwiony, że nie robi nic, by dokonać swojej zemsty, podszedł do naczelnika plemienia i zapytał, jak

mógłby się nauczyć magii piasku.

— Magii piasku? Jesteś szalony – odparł naczelnik.

Przez długie dni nie chciał nawet na niego patrzeć, a co dopiero odpowiadać na jego pytania, i Cer uświadomił sobie, że tutaj, na pustyni, magii piasku nienawidzono tak samo szczerze, jak nienawidził jej mag drzew. Dlaczego? Czyż taka moc nie zapewniłaby plemieniu Abadapnu wielkości?

A może naczelnik nie chciał z nim rozmawiać, bo Abadapnurchycy nie znali magii piasku?

Oni jednak dobrze ją znali.

Któregoś dnia naczelnik podszedł do Cera, kazał mu wsiąść na konia i jechać za nim.

Wyjechali o poranku, zanim słońce wzeszło wysoko, a gorące godziny dnia przespali w jaskini pod skalistym wzgórzem. O zmierzchu ruszyli znowu i nocą dotarli do miasta.

— *Ettuie* – wyszeptał naczelnik, po czym podprowadzili konie do granicy ruin.

Piasek zasypał budynki do połowy ich wysokości, na zewnątrz i wewnątrz, i nawet w tym momencie lekki wieczorny powiew tworzył maleńkie wydmy przy ścianach. Budynki zbudowane były z kamienia, a nad nimi wznosiły się nie kopuły, jak to było w Greet, ale iglice, strzeliste wieże, które zdawały się kłuć niebo.

— *Ikikietar* – szepnął naczelnik. – *Ikikiaiai re dapii. O ikikiai etetur o abadapnur, ikikiai re dapii.*

— Co to za „noże”? – zapytał Cer. – I jak piasek zdołał je zabić?

— Nożami są te wieże, ale są one również gwiazdami mocy.

— Jakiej mocy? – spytał niecierpliwie Cer.

— Nie jest to moc dla ciebie. Tylko dla Eteturów, bo oni byli

mądrzy. Znali magię człowieka.

Magia człowieka. Czy to była ta najciemniejsza magia, o której mówił mag drzew?

— Czy jest jakaś magia potężniejsza od magii człowieka? – spytał Cer.

— Nie w górach – odparł naczelnik. – I nie na wilgotnych równinach, nie w lasach i nie na morzu.

— A na pustyni?

— *A huu par eiti ununura* – mruknął naczelnik, czyniąc znak przeciwko śmierci. – Na pustyni jest tylko moc pustyni. Tylko magia piasku.

— Chcę ją poznać – powiedział Cer.

— Kiedyś było tu potężne państwo – mówił naczelnik. – Płynęła tu wielka rzeka, padały deszcze, a ziemia była żyzna i czerwona jak ziemia Greet, i milion ludzi żył pod rządami króla Ettue Dappa. Ale nie wszyscy, bo dalej na zachodzie żyli ci, co nienawidzili Ettue i magii człowieka wyznawanej przez królów nieuznających tej wiedzy, która w końcu zniszczyła to miasto. Nakazali wiać wiatrowi z pustyni. Przepędzili z tej ziemi deszcze. Za sprawą ich mocy rzeka wsiąkła w pustynny piasek, a pola przestały przynosić plony, aż w końcu król Ettue Dappa poddał się i połowę królestwa oddał magom piasku, Dapinurczykom. To zachodnie królestwo otrzymało nazwę Dapnu Dap.

— Królestwo? – spytał zaskoczony Cer. – Teraz przecież tak się nazywa wielka pustynia.

— Bo kiedyś wielka pustynia nie była pustynią, tylko krajem zielonej trawy i zbóż, takim jak twój kraj na północy. Magom piasku nie wystarczała jednak połowa królestwa, więc użyli

magii, by zmienić Ettue w pustynię, i zasypali tę krainę niepokornych piaskiem, aż w końcu pustynia odniosła zwycięstwo, Ettue padło łupem armii z Greet i Nefyrydu, które wtedy były jeszcze sojusznikami, a my z Dapnu Dap staliśmy się nomadami wiodącymi takie marne życie, na jakie nawet najgroźniejsza pustynia musi nam, chcąc nie chcąc, pozwolić.

— A co z magami pustyni? – zapytał Cer.

— Zabiliśmy ich.

— Wszystkich?

— Wszystkich – odparł naczelnik. – A jeśli ktokolwiek zacznie uprawiać magię piasku, też go zabijemy. Nie pozwolimy, by innych ludzi spotkało to, co spotkało nas.

Cer zobaczył nóż w ręku naczelnika.

— Złożysz mi przysięgę – powiedział naczelnik. – Przysięgnij na te gwiazdy, ten piasek i na duchy wszystkich, którzy żyli w tym mieście, że nie będziesz szukał magii piasku.

— Przysięgam – rzekł Cer, a naczelnik odłożył nóż.

Następnego dnia Cer zabrał swego konia, łuk, strzały i całe pożywienie, jakie zdołał ukraść, i w upale dnia, kiedy wszyscy spali, wyjechał na pustynię. Próbowali go potem ścigać, ale on zabił dwóch strzałami ze swego łuku, a pozostali zgubili jego ślady.

Wśród plemion Abadapnu rozeszła się wieść, że niedoszły mag piasku krąży swobodnie po pustyni, i wszyscy byli gotowi go zabić, gdyby na niego natrafili. Ale on się nie pojawiał.

Wiedział teraz przecież, jak służyć pustyni i jak sprawić, by pustynia służyła jemu. Bo pustynia kochała śmierć i nienawidziła traw, drzew, wody i wszystkiego, co miało w sobie życie.

Tak więc służąc piaskom, Cer udał się na skraj krainy Nefyrów, na wschód pustyni. Tam zaczął zatruwać studnie, wrzucając do nich ciała martwych zwierząt. Palił pola, gdy od strony pustyni wiał suchy wiatr wpychający płomienie do miasta. Wyrąbywał drzewa. Zabijał owce i bydło. A gdy patrole Nefyrów ściagały go, uciekał na pustynię, gdzie nie mogły za nim podążać.

Zniszczenie, jakie siał, było dokuczliwe i zubożyło wielu rolników, ale samo w sobie nie uczyniłoby wielkiej krzywdy Nefyrom. Cer jednak czuł, że jego władza nad pustynią rośnie. Dostarczał bowiem pustyni jedynej rzeczy, na której jej zależało: śmierci i suszy.

Znów zaczął mówić do pustyni, nie z dobrocią, tylko opowiadał jej o kraju na wschodzie, który piasek mógłby pokryć. A wiatr podążał śladem jego słów, sypiąc piaskiem i przesuając wydmy. Wiatr nie tykał miejsca, w którym Cer stał, ale wszędzie wokół niego wydmy poruszały się jak morskie fale.

Przesuwały się na wschód.

W głąb kraju Nefyrów.

Teraz głodna pustynia potrafiła w ciągu jednej nocy zdziałać sto razy więcej, niż on sam zdołał uczynić za pomocą noża i pochodni. W ciągu godziny połykała całe zagajniki drzew oliwnych. Piasek niesiony wiatrem w ciągu jednej nocy wypełniał domy, w ciągu tygodnia zasypywał całe miasta i po trzech miesiącach wypchnął Nefyrów za rzeki Greebeck i Nefyr, gdzie, jak im się wydawało, straszliwe burze piaskowe nie dotrą.

Ale burze szły za nimi. Cer nauczył pustynię wypełniać rzekę piaskiem, tak że woda, głęboka na stopę i szeroka na całe mile,

zalewała tereny, które przedtem były suche, a poza tym słońce miało większą powierzchnię wody, z której mogło pić; rzeka więc wysychała, zanim dotarła do morza, a pustynia przekraczała ją i wdzierала się do serca kraju Nefyrów.

Nefyrowie zawsze używali broni podczas walki, a okrucieństwo było ich sprzymierzeńcem w wojnie. W walce z pustynią byli jednak bezradni. Nie potrafili walczyć z piaskiem. Gdyby Cer mógł to usłyszeć, czułby z pewnością dumę, bo okazał się największym magiem piasku, jaki kiedykolwiek żył. Nienawiść bowiem była większym nauczycielem od wszystkich podręczników ciemnej magii, a Cer żył nienawiścią.

Już tylko nienawiścią, bo teraz nie pił i nie jadł nic, karmiąc ciało żarem słońca i mocą wiatru. Wysechł zupełnie i krew nie płynęła już w jego żyłach. Siłę dawała mu energia burz, które wywoływał. A pustynia chętnie go żywiła, bo on żywił pustynię.

Podążał śladem swoich burz i wchodził do opustoszałych miast Nefyrów. Widział uchodźców uciekających na północ i na wschód w poszukiwaniu wyżej położonych terenów. Oglądał ciała tych, których ogarnęła burza. A nocami śpiewał stare pieśni z Greet, wojenne pieśni. Kredą wypisywał imię swego ojca na murach każdego zniszczonego miasta. Pisał imię swojej matki na piasku, a w tym miejscu wiatr się uspokajał i piasek się nie przesuwał, zachowując litery, jakby były wryte w skale.

Pewnego dnia, w chwili spokoju między burzami, Cer zobaczył zbliżającego się ku niemu od wschodu mężczyznę. Abadapnu czy Nefyr?, zastanawiał się. Na wszelki wypadek wydobyl nóż i nałożył strzałę na cięciwę.

Mężczyzna nadchodził jednak z pustymi, rozpostartymi

rękami i wołał:

— Cer Cemreet.

Cerowi nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby znać jego imię.

— Mag piasku Cer Cemreet – powiedział mężczyzna, gdy się zbliżył. – Odkryliśmy, kim jesteś.

Cer nie rzekł nic, tylko patrzył mężczyźnie w oczy.

— Przychodzę ci powiedzieć, że twoja zemsta się dokonała. Nefyryd jest na kolanach. Podpisaliśmy z Greet traktat i już nie najeżdżamy Hetterwee. Driplin zawładnął naszymi zachodnimi kresami.

— Nic mnie nie obchodzi wasze państwo.

— No to powiem coś o naszych ludziach. Śmierć twojego ojca i twojej matki została pomszczona sto tysięcy razy, bo ponad dwieście tysięcy naszych zginęło z twoich rąk.

Cer zaśmiał się głucho.

— Nie obchodzą mnie wasi ludzie.

— Powiem więc o żołnierzach, którzy dokonali tego czynu. Choć działali wówczas zgodnie z rozkazem, zostali aresztowani i zabici, podobnie jak ci, którzy wydali im te rozkazy, jak nasz pierwszy generał i jak wszyscy królewscy dowódcy, tak więc zemsta twoja jest doprawdy spełniona. Na dowód przyniosłem ci ich uszy – rzekł mężczyzna i wyjął z za pasa spory woreczek.

— Nie obchodzą mnie żołnierze ani wasze dowody dokonanej zemsty – odparł Cer.

— Cóż zatem cię obchodzi? – spytał spokojnie mężczyzna.

— Śmierć – odrzekł Cer.

— W takim razie ją też ci przynoszę – oznajmił mężczyzna, wyjmując nóż, po czym wbił go w pierś Cera tam, gdzie powinno

bić jego serce.

Gdy jednak wyciągnął nóż, z rany nie popłynęła krew, a Cer tylko się uśmiechnął.

— Rzeczywiście, przyniosłeś mi ją – powiedział Cer i dźgnął mężczyznę swoim nożem, tak jak swego czasu uczyniono to jego ojcu. Tak samo pociągnął i skierował ostrze ku górze, tyle że dotknął nim serca i mężczyzna umarł.

Gdy Cer patrzył na spływającą w piasek krew, w uszach rozbrzmiewał mu krzyk jego matki, który przez wszystkie te lata w sobie uciszał. Przypomniawszy sobie ten krzyk i nagle, wspominając ją, swego ojca i siebie jako dziecko, zaczął płakać i objawszy ciało mężczyzny, którego właśnie zabił, zaczął je kołysać na piasku, a krew wypływała zeń, plamiąc twarz i skórę Cera. Jego łzy zmieszały się z krwią i Cer po raz pierwszy od śmierci ojca zrozumiał, że nosił w sobie jeszcze jakieś łzy.

Nie jestem suchy, pomyślał. Jest we mnie jeszcze woda, którą pustynia może wypić.

Spojrzał na swoje wyschnięte dłonie, splamione krwią człowieka, i spróbował zetrzeć tę krew piaskiem. Ale krew nie dawała się usunąć i piasek nie mógł go oczyścić.

Zapłakał znowu. A potem wstał, spojrzał nad pustynią na zachód i powiedział:

— Chodź.

Zerwał się lekki wiatr.

— Chodź – zwrócił się do pustyni. – Chodź i osusz moje oczy.

A wtedy zerwał się wiatr i nadleciał piasek, i Cer Cemreet został pogrzebany w piasku, jego oczy stały się suche, ostatek życia uszedł z jego ciała, i tak ostatni mag pustyni zszedł z tego

świata.

Potem spadły zimowe deszcze i uchodźcy z Nefyrydu powrócili do swego kraju. Żołnierzy też zwolniono do domów, bo zakończyły się wojny, a ich bronią były teraz pług i łopata. Wykopali rów wzdłuż Nefyru i Greebeck i wkrótce popłynęła nim głęboka rzeka, aż do morza. Zasiali nasiona traw i opróżnili swe domy z piasku. Do zniszczonych pól doprowadzili wodę kanałami i akweduktami.

Powoli życie powróciło do Nefyrydu.

Pustynia zaś, straciwszy swego maga, cofnęła się spokojnie do swoich dawnych granic i już nigdy więcej nie niosła śmierci tam, gdzie było życie. Miała dosyć śmierci tam, gdzie nic nie żyło, i dosyć suchości tam, gdzie nie było wody.

W lesie zaraz za grzebieniem Mitherkame mag drzew usłyszał nowinę od wędrownego włóczęgi.

Zagłębił się w las i przemówił cicho do Wiązu, do Dębu, do Sekwoi i do Łagodnej Osiki. A kiedy wszystkie one usłyszały już nowinę, cały las zapłakał na wspomnienie Cera Cemreeta i każde drzewo rzuciło jedną cienką gałązkę na stos, który zapłonął ku jego pamięci, a na wspomnienie jego imienia upuściło na ziemię kroplę żywicy.

Przetłóżył Jerzy Moderski

Patrick Rothfuss

DROGA DO LEVINSHIR



Patrick Rothfuss urodził się w Madison w stanie Wisconsin. W kwietniu 2007 roku ukazało się jego Imię wiatru, które odniosło zadziwiający sukces. W następnych latach zostało przetłumaczone na trzydzieści języków, zdobyło wszelkie możliwe nagrody i w wielu krajach stało się bestsellerem. Następna książka cyklu, Strach mędrca, została wydana w 2011 roku i natychmiast zajęła pierwsze miejsce na liście bestsellerów „New York Timesa”. W chwilach wolnych od pracy nad kolejną książką cyklu Patrick bawi się z dzieckiem, robi miód pitny i prowadzi Worldbuilders, organizację charytatywną, która zgromadziła już milion dolarów funduszy dla Heifer International.

Rozdział 1

Wino i woda

Wędrowałem jednym z tych długich, odludnych odcinków drogi, jakie można znaleźć jedynie pośród niskich wzgórz wschodniego Vintas. Znajdowałem się, jak mawiał mój ojciec, na skraju mapy.

Przez cały dzień minąłem może ze dwóch wędrowców, za to ani jednego zajazdu. Perspektywa spędzenia nocy pod gołym niebem nie była szczególnie niepokojąca, ale przez ostatnie dwa dni wyjadałem z kieszeni resztki prowiantu i ciepły posiłek stanowiłby mile widzianą odmianę.

Noc już prawie zapadła i pożegnałem się z myślą o napełnieniu żołądka jakimś przyzwoitym jadłem, kiedy zauważyłem przed sobą smugę białego dymu wznoszącego się pod ogarnięte zmierzchem niebo. Z początku uznałem, że to chłopska chata. Potem dobiegł mnie cichy dźwięk muzyki i moja

nadzieja na znalezienie łóżka i posiłku prosto z ognia wzrosła.

Kiedy jednak wyszedłem z za zakrętu drogi, znalazłem niespodziankę lepszą od przydrożnej gospody. Między drzewami, obok dwóch boleśnie znajomych wozów, dostrzegłem migotanie wysokiego płomienia ogniska. Wokół spoczywały kobiety i mężczyźni, rozmawiając ze sobą. Jeden brzdąkał na lutni, a inny uderzał leniwie w mały bębenek oparty na udzie. Inni rozkładali namiot między drzewami, a starsza kobieta stawiała trójnog nad ogniem.

Kuglarze. Co więcej, na boku jednego z wozów dostrzegłem znajome znaki. Dla mnie były bardziej widoczne od buzującego ognia. Ogłaszały, że to są prawdziwi wędrowni aktorzy. Moja rodzina, Edema Ruh.

Wyszedłem spomiędzy drzew; jeden z mężczyzn krzyknął i zanim zdołałem wziąć oddech, by coś powiedzieć, miałem wycelowane w siebie trzy miecze. Nagła cisza po dźwięku muzyki i pogwarek była mocno niepokojąca.

W moją stronę, nie usuwając mi miecza sprzed oczu, zrobił krok przystojny brodaty mężczyzna z kolczykiem w uchu.

— Otto! – zawołał w las za mną. – Jeśli śpisz, to przysięgam na mleko mojej matki, że cię wypatroszę. Kim, do cholery, jesteś?

To ostatnie było skierowane do mnie. Zanim zdołałem odpowiedzieć, spomiędzy drzew dobiegł czyjś głos.

— Jestem zaraz tutaj, Alleg, za... A to kto taki? Jak, na miłość boską, mnie minął?

Kiedy wyciągnęli ku mnie miecze, podniosłem rękę. To dobry zwyczaj, kiedy ktoś celuje w ciebie czymś ostrym. Niemniej uśmiechałem się, gdy mówiłem:

— Przepraszam, że was przestraszyłem, Alleg.

— Odpuść sobie – powiedział chłodno. – Został ci jeden oddech, by mi wyjaśnić, dlaczego skradasz się wokół naszego obozu.

Nie musiałem mówić; zamiast tego obróciłem się i pokazałem wszystkim zgromadzonym przy ogniu wiszący na plecach futerał lutni. Zmiana nastroju Allega była natychmiastowa. Rozluźnił się i schował miecz do pochwy, a inni poszli za jego przykładem. Potem się uśmiechnął, podszedł do mnie i się roześmiał. Także się roześmiałem.

— Jedna rodzina.

— Jedna rodzina. – Uścisnął mi dłoń, odwrócił się ku ognisku i zawołał: – Zachowywać mi się! Mamy gościa dziś w nocy.

Rozległy się ciche wiwaty i wszyscy wrócili do swoich zajęć. Spomiędzy drzew wyłonił się krępy mężczyzna z mieczem.

— Niech mnie szlag, Alleg, jeśli przeszedł obok mnie. Jest przypuszczalnie z...

— Z rodziny – wtrącił gładko Alleg.

— Och – sapnął Otto, najwyraźniej zaskoczony. Spojrzał na moją lutnię. – Witaj zatem.

— Właściwie to go nie minąłem – skłamałem. Po ciemku moja shaed czyniła mnie niemal niezauważalnym. To nie była jednak jego wina i nie chciałem, by miał z tego powodu kłopoty. – Usłyszałem muzykę i krążyłem po okolicy. Sądziłem, że możecie być inną trupą, i chciałem zrobić im niespodziankę.

Otto spojrział ostro na Allega, a potem zawrócił i ruszył do lasu. Alleg objął mnie ramieniem.

— Mogę ci zaproponować coś do picia?

— Trochę wody, jeśli macie na zbyciu.

— Żaden gość nie pije wody przy naszym ognisku – sprzeciwił się. – Twoich warg dotknie jedynie nasze najlepsze wino.

— Dla tych, którzy wędrują, woda od Edema jest słodsza od wina. – Uśmiechnąłem się do niego.

— Napij się zatem wody i wina, wszystkiego wedle twojej chęci. – Poprowadził mnie ku jednemu z wozów, gdzie stała beczka z wodą.

Postępując zgodnie z tradycją starszą niż sam czas, wypilem chochlę wody i zużyłem drugą na obmycie rąk i twarzy. Osuszając ją rękawem koszuli, spojrzałem na Allega i uśmiechnąłem się do niego.

— Dobrze jest znaleźć się znowu w domu.

Poklepał mnie po plecach.

— Chodź. Pozwól, że cię przedstawię reszcie twojej rodziny. – Pierwszymi poznanymi byli dwaj mniej więcej dwudziestoletni mężczyźni o niechlujnych brodach. – Fren i Josh to poza mną nasi najlepsi śpiewacy. – Uścisnąłem im dłonie. Poznałem dwóch kolejnych, siedzących przy ogniu. – Gaskin gra na lutni, a Laren na fletni i bębenu. – Uśmiechnęli się do mnie. Laren uderzył kciukiem w instrument i bębenek odpowiedział cichym „tum”. – To jest Tim. – Alleg wskazał po drugiej stronie ogniska wysokiego, ponurego mężczyznę oliwiającego miecz. – Poznałeś już Ottona. Obaj pilnują, żebyśmy na drodze nie wpadli w kłopoty. – Tim kiwnął głową, podniósłszy na chwilę wzrok znad swojego miecza. – To Anne. – Alleg wykonał gest w stronę starszej kobiety o ściągniętych rysach twarzy i siwych włosach ujętych w kok. – Karmi nas wszystkich i matkuje nam. – Anne siekała marchewki, ignorując nas. – I wreszcie słodka Kete, trzymająca klucz do

naszych serc. – Kobieta miała twarde spojrzenie i wargi jak cienka kreska, ale oblicze złagodniało jej nieco, gdy ucałowałem jej dłoń. – I to wszyscy – dokończył prezentacji Alleg, uśmiechając się i kłaniając lekko. – A ty się nazywasz...?

— Kvothe.

— Witaj, Kvothe. Rozgość się i czuj się swobodnie. Możemy coś dla ciebie zrobić?

— Odrobina tego wina, o którym wspomniałeś. – Uśmiechnąłem się.

— Oczywiście. – Dotknął nadgarstkiem czoła. – Czy też wolałbyś ale?

Potwierdziłem skinieniem głowy, a on wręczył mi kufel.

— Znakomite – pochwaliłem, spróbowawszy trunku; usadowiłem się na pobliskim pniaku.

Alleg uchylił nieistniejącego kapelusza.

— Dziękuję. Mieliśmy szczęście, że przeszliśmy parę dni temu przez Levinshir. Jak ci się ostatnio wiodło w drodze?

— Nie tak źle, jak na samotnego minstrela. – Westchnąłem, przeciągnąłem się i wzruszyłem ramionami. – Korzystam z nadarzających się okazji. Muszę być ostrożny, bo jestem sam.

Alleg skinął głową z mądrą miną.

— Jedyne, co nam zapewnia bezpieczeństwo, to nasza liczebność – przyznał, a potem wskazał skinieniem moją lutnię. – Mógłbyś nas zaszczyścić jakąś pieśnią podczas oczekiwania, aż Anne przygotuje kolację?

— Oczywiście – zgodziłem się i odstawiłem kufel. – Co byście chcieli usłyszeć?

— Umiesz zagrać *Wyjedź z miasta, druciarzu?*

— Czy umiem? Ty mi powiedz! – Wyjąłem lutnię z futerału i zacząłem grać.

W czasie refrenu wszyscy zaprzestali swoich czynności i zaczęli słuchać. Z brzegu polany doszło mnie nawet westchnienie Ottona, który opuścił swój posterunek i zerkał ku ognisku. Kiedy skończyłem, wszyscy klaskali entuzjastycznie.

— Umiesz to zagrać. – Alleg się roześmiał. Potem spowaźniał i postukał się palcem po ustach. – Chciałbyś wędrować z nami przez jakiś czas? – zapytał po chwili. – Przydałby się nam jeszcze jeden muzykant.

Zastanowiłem się.

— W którą stronę zmierzacie?

— Na wschód – odparł.

— Muszę iść do Severen – powiedziałem.

— Możemy pójść do Severen – przystał Alleg, wzruszając ramionami. – Jeśli tylko nie masz nic przeciwko temu, byśmy obrali okrężną drogę.

— Dostyc długo byłem z dala od rodziny – przyznałem, patrząc na znajome widoki wokół ogniska.

— Jeden Edema w drodze to nic dobrego – powiedział Alleg z przekonaniem i przesunął palec wzdłuż brzegu ciemnej brody.

Westchnąłem.

— Zapytaj mnie jeszcze raz rano.

Klepnął mnie w kolano i wyszczerzył się.

— Dobrze! To znaczy, że mamy całą noc, by cię przekonać.

Schowałem lutnię i wymówiłem się za potrzebą. Wróciwszy, ukląknąłem obok Anne siedzącej blisko ognia.

— Co nam przygotowujesz, matko? – zapytałem.

— Gulasz – odparła krótko.

— Co w nim jest? – Uśmiechnąłem się.

Zerknęła na mnie z ukosa.

— Jagnięcina – powiedziała takim tonem, jakby prowokowała mnie do oprostowania tego faktu.

— Dawno nie jadłem jagnięciny, matko. Mógłbym spróbować?

— Zaczekasz jak wszyscy inni – skarciła mnie ostro.

— Ani małego kęsa? – przypochlebiałem się, obdarzając ją najbardziej przymilnym uśmiechem.

Stara kobieta westchnęła.

— Niech ci tam – rzekła, wzruszywszy ramionami. – Ale to nie będzie moja wina, jeśli rozboli cię żołądek.

— Nie, matko, nie będzie. – Roześmiałem się i sięgnąłem po drewnianą kopyść na długiej rączce. Podmuchałszy na jej zawartość, wziąłem kęs. – Matko! – zawołałem. – To najsmakowitsza rzecz, jaka dotknęła moich ust od caluńskiego roku.

— Hmm – mruknęła stara, zezując na mnie.

— Szczera prawda, mateczko – zapewniłem ją poważnie. – Moim zdaniem każdy, komu by nie smakował ten cudowny gulasz, nie zasługuje na to, by być jednym z Ruh.

Anne przegoniła mnie od siebie i wróciła do mieszania w kotle, ale nie miała już tak zaciętej miny jak wprzód. Zatrzymawszy się przy beczulce, by napełnić ponownie kufel, wróciłem na swoje miejsce. Gaskin pochylił się ku mnie.

— Dałeś nam pieśń. Jest coś, co chciałbyś usłyszeć?

— Co powiesz na *Spryt fletniarza*?

— Nie znam jej. – Brwi mu się nastroszyły.

— To o cwany m Ruh, który przechytrza rolnika.

— Obawiam się, że nie. – Gaskin pokręcił głową.

Schyliłem się, by podnieść lutnię.

— To piosenka, którą każdy z nas powinien znać.

— Wybierz coś innego – zaprotestował Laren. – Zagram ci coś na fletni. Ty już grałeś dla nas raz.

Uśmiechnąłem się do niego.

— Zapomniałem, że grasz na fletni. To ci się spodoba – zapewniłem go. – Fletniarz jest bohaterem. Poza tym karmicie mój brzuch, a ja nakarmię wam uszy. – Zanim zdołali zgłosić kolejne obiekcje, zacząłem grać, szybko i lekko.

Śmiali się przez cały czas. Od samego początku, kiedy fletniarz zabija farmera, aż do końca, gdy uwodzi wdowę i jej córkę. Pomiąłem dwie ostatnie zwrotki, w których ludzie z miasteczka zabijają muzykanta. Kiedy skończyłem, Laren otarł oczy.

— Taaa, miałeś rację, Kvothe. Lepiej, że to znam. Poza tym... – Rzucił okiem na Kete siedzącą po drugiej stronie ogniska. – To prawdziwa piosenka. Kobiety nie potrafią trzymać rąk z dala od fletniarza.

Kobieta prychnęła szyderczo i przewróciła oczami.

Gadaliśmy o drobiazgach, póki Anne nie ogłosiła, że gulasz jest gotowy. Wszyscy jedli zachwyceni, przerywając milczenie tylko po to, by skomplementować kucharkę.

— Szczerze, Anne, zwędziłaś trochę pieprzu w Levinshir? – zapytał Alleg po zjedzeniu drugiej miski.

Anne wyglądała na zadowoloną z siebie.

— Wszyscy mamy swoje tajemnice, skarbie – odparła. – Nie napieraj na damę.

— Czasy są dla was dobre? – zapytałem Allega.

— Och, z pewnością – odpowiedział między kęsami. – Trzy dni temu w Levinshir szczególnie się nam powiodło. – Mrugnął. – Zobaczysz później, jak bardzo.

— Miło słyszeć.

— W istocie poszło nam tak dobrze, że mam ochotę okazać wspaniałomyślność. – Pochylił się konspiracyjnie. – Do tego stopnia, by zaproponować ci wszystko, na co masz ochotę. Cokolwiek. Poproś, a jest twoje. – Pochylił się jeszcze niżej i powiedział scenicznym szeptem: – Chcę, żebyś wiedział, że to jawna próba przekupienia cię, żebyś z nami został. Dzięki temu twojemu słodkiemu głosowi moglibyśmy nieźle napchać sobie sakiewki.

— Nie wspominając o piosenkach, których mógłby nas nauczyć – wtrącił Gaskin.

Alleg prychnął z rozbawieniem.

— Nie pomagaj mu się targować, chłopcze. Mam wrażenie, że i tak będzie ciężko.

Zastanowiłem się nad tym przelotnie.

— Chyba mógłbym zostać... – Urwałem niepewnie.

— Ale... – Alleg uśmiechnął się znacząco.

— Ale musiałbym poprosić o trzy rzeczy.

— Hmm, trzy rzeczy. – Obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów. – Jak w opowieściach.

— To jak najbardziej słuszne – przekonywałem go.

— Myślę, że tak. – Skinął z wahaniem głową. – A ile czasu z nami spędzisz?

— Do chwili, kiedy nikt nie będzie miał nic przeciwko temu,

żebym odszedł.

— Czy komuś to przeszkadza? – Alleg się rozejrzył.

— A jeśli poprosi o jeden z naszych wozów? – zapytał Tim.

Jego głos mną wstrząsnął, był szorstki i chropawy jak dźwięk dwóch pocieranych o siebie cegieł.

— To bez znaczenia, skoro będzie podróżował z nami – stwierdził Alleg. – I tak należą do nas wszystkich. A skoro nie może nas opuścić, dopóki tego nie powiemy...

Nie było obiekcji. Uścisnęliśmy sobie z Allegiem dłonie, co nagrodziły skromne wiwaty.

— Za Kvothe'a i jego pieśni! – powiedziała Kete, wznosząc kufel. – Mam wrażenie, że okaże się wart wszystkiego, co będzie nas kosztował.

Wypiliśmy, po czym wzniosłem swoje szkło.

— Przysięgam na mleko matki, żadne z was nie ubiło nigdy dotąd lepszego interesu.

To wywołało kolejne wybuchy entuzjazmu i wszyscy wypili ponownie.

Otarłszy usta, Alleg spojrział mi w oczy.

— Co jest zatem pierwszą rzeczą, jakiej chcesz od nas?

Spuściłem głowę.

— Drobiazg, w istocie. Nie mam własnego namiotu. Jeśli mam podróżować z rodziną...

— Ani słowa więcej! – Alleg pomachał drewnianym kubkiem niczym król rozdający łaski. – Dostaniesz mój namiot, wyścielony futrami i kocami na stopę wysoko! – Wskazał Frena i Josha siedzących po drugiej stronie ogniska. – Przygotujcie mu go!

— Daj spokój – zaprotestowałem. – Sam mogę to zrobić.

— Cicho, to dla ich dobra. Dzięki temu czują się użyteczni. A skoro o tym mowa... – Wykonał kolejny gest w kierunku Tima. – Mógłbyś je przyprowadzić?

Chłopak wstał, przyciskając dłoń do brzucha.

— Za minutkę. Zaraz wracam. – Ruszył w kierunku drzew. – Nie czuję się najlepiej.

— Tak się dzieje, kiedy jesz, jakbyś był u koryta! – zawołał za nim Otto. Odwrócił się do nas. – Kiedyś zrozumie, że nie może zjeść więcej ode mnie i potem się nie pochorować.

— Skoro Tim jest zajęty malowaniem drzew, ja je przyprowadzę – ofiarował się Laren z kiepsko skrywanym zapalem.

— Ja stoję dziś na straży – sprzeciwił się Otto. – Ja to zrobię.

— Ja je przyprowadzę – powiedziała Kete z rozdrażnieniem.

Wzrokiem zmusiła tamtych dwóch do pozostania na miejscach i poszła za wóz po mojej lewej ręce. Josh i Fren wynurzyli się z drugiego wozu z namiotem, linkami i palikami.

— Gdzie chcesz, żebyśmy go postawili? – zapytał Josh.

— To nie jest pytanie, jakie zwykle zadajesz mężczyźnie, co, Josh? – zażartował Fren, szturchając przyjaciela łokciem.

— Chrapię – ostrzegłem ich. – Przypuszczalnie będzie lepiej, żebym spał na uboczu. Tam, między tymi dwoma drzewami, będzie w sam raz. – Wskazałem im miejsce.

— Jak chodzi o mężczyzn, to zwykle wiesz, gdzie tego chcą, co, Josh? – ciągnął Fren, po czym obaj odeszli i zaczęli rozkładać namiot.

Chwilę później wróciła Kete, prowadząc dwie prześliczne młode dziewczyny. Jedna miała szczupłą twarz oraz ciało, a

proste czarne włosy ostrzyżone po chłopięcemu. Kształty drugiej, o złotych kręconych lokach, były bardziej wspaniałomyślnie zaokrąglone. Obie miały wyraz bezradności na twarzach i wyglądały na jakieś szesnaście lat.

— Poznaj Krin i Ellie – powiedziała Kete, wskazując dziewczęta.

— To jedno z dobrodziejstw, jakie okazało nam Levinshir. – Alleg się uśmiechnął. – Dzisiejszej nocy któraś z nich będzie cię ogrzewać. Mój prezent dla ciebie jako nowego członka rodziny. – Przyjrzał się im nachalnie. – Którą byś wolał?

Przeniosłem wzrok z jednej dziewczyny na drugą.

— Trudny wybór. Daj mi więcej czasu do namysłu.

Kete usadowiła je na skraju ognia i włożyła miskę gulaszu w dłonie każdej z nich. Dziewczyna o złotych lokach, Ellie, zjadła drętwo kilka łyżek, a potem zwolniła ruchy i zamarła jak zabawka o rozkręconej sprężynie. Oczy sprawiały wrażenie niewidzących, jakby obserwowała coś, czego żadne z nas nie było w stanie dostrzec. Natomiast zawzięte spojrzenie Krin było skupione na ogniu. Siedziała sztywno, trzymając miskę na podolku.

— Dziewczęta, nie rozumiecie, że sytuacja się poprawi, gdy tylko zaczniecie współpracować? – zbeształ je Alleg.

Ellie wzięła do ust kolejną porcję gulaszu, po czym znieruchomiała. Krin patrzyła w ogień, plecy miała napięte, wyraz twarzy zacięty. Ze swego miejsca przy ogniu Anne dźgnęła w ich kierunku drewnianą łyżką.

— Jedzcie!

Reakcja była taka jak poprzednio. Jeden wędrujący wolno do

ust kęs. Przejaw nacechowanego napięciem buntu. Spojrzenie spode łba. Anne schyliła się i chwyciła jedną ręką ciemnowłosą dziewczynę zdecydowanie za podbródek, a drugą sięgnęła po jej miskę gulaszu.

— Zostaw – odezwałem się. – Zjedzą, gdy zgłodnieją. – Alleg spojrzał na mnie z ciekawością. – Wiem, co mówię. Daj im zamiast tego pić.

Stara sprawiała przez chwilę wrażenie, jakby mimo wszystko zamierzała zrobić swoje, po czym wzruszyła ramionami i puściła brodę Krin.

— Dobra. I tak mam dość karmienia jej przemocą. Ta dziewczucha to jeden wielki kłopot.

Kete prychnęła.

— Ta mała dziwka rzuciła się na mnie, kiedy ją rozwiązałam, żeby się wykąpała – powiedziała, potwierdzając opinię Anne. Odgarnęła na bok włosy, by pokazać szramy na policzku. – Niemal wydrapała mi oko.

— I uciekała – dodała Anne, wciąż nachmurzona. – Musiałam zacząć oszalać ją na noc. – Wykonała lekceważący gest ręką. – Niech głoduje, jeśli chce.

Do ogniska wrócił Laren, niosąc dwa kubki, które włożył w nieopierające się dłonie dziewcząt.

— Woda? – zapytałem.

— Ale – odparł. – Będzie dla nich lepsze, skoro nie jedzą.

Zdułem słowa protestu. Ellie piła w ten sam nieobecny sposób, w jaki jadła. Krin przeniosła wzrok z ognia na kubek, a potem na mnie. Poczulem niemal fizyczny wstrząs, widząc, jak bardzo przypomina Denę. Wciąż patrząc na mnie, zaczęła pić.

Wzrok nie zdradzał nic z tego, co się działo w jej głowie.

— Posadź je obok mnie – poleciłem. – To mi pomoże w podjęciu decyzji.

Kete spełniła moją prośbę. Ellie była potulna, Krin sztywna.

— Uważaj na nią – ostrzegła Kete, wskazując ciemnowłosą dziewczynę. – Drapie.

Wrócił Tim, trochę blady. Usiadł przy ogniu obok Ottona, który szturchnął go łokciem w bok.

— Chcesz jeszcze trochę gulaszu? – zapytał złośliwie.

— Odwal się – wychrypiał Tim słabym głosem.

— Odrobina ale może ci uspokoić żołądek – poradziłem.

Skinął głową, gotowy zrobić wszystko, co mogłoby mu przynieść ulgę. Kete podała mu kufel.

Dziewczęta siedziały u obu moich boków, zwrócone ku ognisku. Z bliska dostrzegłem rzeczy, których wcześniej nie zauważyłem. Krin miała na karku ciemny siniak. Nadgarstki blondynki były otarte od więzów, a Krin zakrwawione i pokryte strupami. Mimo to czuć je było czystością. Włosy miały uczesane, a ubrania niedawno wyprane. Kete opiekowała się nimi.

Z bliska były także dużo bardziej urocze. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć ich ramion. Krin wzdrygnęła się, po czym zeszywniała. Ellie w ogóle nie zareagowała.

— Skończone. Chcesz, żebyśmy zapalili ci lampę? – zawołał Fren od strony drzew.

— Tak! – odkrzyknąłem. Spojrzałem na dziewczyny, a potem na Allega. – Nie potrafię wybrać – przyznałem szczerze. – Wezmę więc obie.

Alleg roześmiał się z niedowierzaniem. Potem, widząc, iż

mówię poważnie, zaprotestowałam:

— Och, daj spokój. To nie w porządku wobec pozostałych. Poza tym nie możesz przypuszczać...

Spojrzałam na niego zdecydowanie.

— Cóż – ustąpił. – Nawet jeśli możesz, to...

— To druga rzecz, o jaką proszę – stwierdziłam oficjalnie. – Obie.

Otto zaprotestował krzykiem, czemu odpowiedziało echo w postaci wyrazu twarzy Gaskina i Larena. Uśmiechnąłem się do nich uspokajająco.

— Tylko na tę noc.

Wrócili Fren i Josh, którzy rozbijali mój namiot.

— Ciesz się, że nie chciał ciebie, Otto – zwrócił się Fren do wielkiego faceta. – To coś, o co poprosiłby Josh, nie?

— Zamknij jadaczkę, Fren – powiedział Otto z roztargnieniem. – Teraz mnie jest niedobrze.

Wstałem, przerzuciłem lutnię przez plecy i poprowadziłem obie cudowne dziewczyny, tę blond i tę ciemnowłosą, w kierunku namiotu.

Rozdział 2

Czerń w księżycowym blasku

Fren i Josh dobrze się spisali. Namiot był wystarczająco wysoki, by w środku można było stanąć, niemniej ciasny dla mnie i obu dziewcząt w tej pozycji. Delikatnie pchnąłem Ellie, tę złotowłosą, w kierunku posłania z grubych pledów.

— Usiądź – poleciłem łagodnie.

Kiedy nie zareagowała, ująłem ją za ramiona i skłoniłem do

opadnięcia na koce. Była uległa, ale niebieskie oczy miała szeroko otwarte i nieobecne. Obejrzałem jej głowę, szukając jakichś obrażeń. Nic nie znalazłszy, uznałem, że jest w głębokim szoku.

Poświęciłem chwilę na przeszukanie podróznego worka, po czym wsypałem do kubka trochę sproszkowanych ziół i dolałem wody z bukłaka. Włożyłem naczynie w dłonie Ellie, a ona ujęła je obojętnie.

— Wypij – zachęciłem ją, starając się przybrać ton głosu, którego od czasu do czasu używała Feluriana, by zwrócić na siebie moją uwagę.

Być może podziałało albo dziewczyna była zwyczajnie spragniona. Bez względu na powód Ellie wypiała zawartość naczynia do dna. W oczach nadal miała dalekie spojrzenie.

Wsypałem do kubka kolejną miarkę sproszkowanych liści, dopełniłem wodą i wyciągnąłem naczynie w stronę ciemnowłosej. Trwaliśmy tak kilka minut, ja z wyciągniętą przed siebie ręką, ona z ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała. W końcu mrugnęła i skupiła na mnie wzrok.

— Co jej dałeś? – zapytała.

— Sproszkowane velia – odparłem łagodnie. – To antidotum. W gulaszu była trucizna.

Jej wzrok powiedział mi, że nie uwierzyła.

— Nie jadłam gulaszu.

— Była także w ale. Widziałem, że piłaś.

— To dobrze – stwierdziła. – Chcę umrzeć.

— To cię nie zabije. – Westchnąłem ciężko. – Przyprawi jedynie o dolegliwości żołądkowe. Będziesz wymiotować, a za

dzień czy dwa poczujesz się słaba i dopadną cię skurcze mięśni. – Podniosłem kubek, oferując go jej.

— Co cię to obchodzi, czy mnie zabiją? – zapytała bezbarwnym tonem. – Jeśli nie zrobią tego teraz, to uczynią później. Wolę umrzeć niż... – Zacisnęła zęby, nie kończąc zdania.

— To nie oni was otruli, tylko ja ich, a wam przypadkiem także się trochę dostało. Przykro mi, ale to pomoże ci pokonać najgorsze z doznań.

W spojrzeniu Krin ukazało się przelotne wahanie, po czym wzrok stwardniał jej ponownie. Zerknęła na kubek, a potem wbiła oczy we mnie.

— Jeśli to nieszkodliwe, sam wypij.

— Nie mogę. Usnąłbym, a w nocy muszę coś załatwić – wyjaśniłem.

Strzeliła wzrokiem ku posłaniu z futer. Skrzywiłem usta w najłagodniejszym i najsmutniejszym uśmiechu.

— Nie tego rodzaju sprawy.

Nadal się nie poruszyła. Trwaliśmy tak przez dłuższą chwilę. Usłyszałem dobiegający z lasu stłumiony odgłos wymiotowania. Westchnąłem i opuściłem kubek. Ujrzałem, że Ellie zwinęła się już na posłaniu i zasnęła. Twarz miała niemal spokojną. Wziąłem głęboki wdech i spojrzałem ponownie na Krin.

— Nie masz żadnego powodu, by mi ufać. Nie po tym, co was spotkało – powiedziałem, patrząc jej prosto w oczy. – Mam jednak nadzieję, że mi uwierzysz. – Wyciągnąłem ponownie kubek w jej stronę.

Patrzyła mi w twarz, nie mrugając, po czym sięgnęła po naczynie. Wypiła zawartość jednym haustem, zakasłała i usiadła.

Wbiła wzrok w ścianę namiotu, oczy miała jak dwie kulki marmuru. Usiadłem nieco z dala od dziewczyny.

Po piętnastu minutach spała. Okryłem je obie pledem i przyjrzałem się ich twarzom. Pogrążone we śnie były jeszcze piękniejsze. Odgarnąłem pasmo włosów z buzi Krin. Ku memu zaskoczeniu otworzyła oczy i popatrzyła na mnie. Nie marmurowym spojrzeniem, jakim patrzyła wcześniej, ale ciemnymi oczami młodej Denny. Zamarłem z dłonią na jej policzku. Przez moment mierzyliśmy się wzrokiem. Potem oczy zamknęły się jej ponownie. Nie wiedziałem, czy to było działanie leku, czy też poddała się senności z własnej woli.

Usadowiłem się w wejściu do namiotu, z Cezurą w poprzek kolan. Wściekłość płonęła we mnie jak ogień, a widok dwóch śpiących dziewczyn był jak wiatr dmuchający w węgle. Zacisnąłem zęby i zmusiłem się do myślenia o tym, co się tutaj stało, pozwalając, by płomień buzował wściekle, by wypełnił mnie jego żar. Oddychałem głęboko, hartując się przed tym, co miało nadejść.

Czekałem trzy godziny, nasłuchując odgłosów dobiegających z obozu. Płynęły ku mnie stłumione rozmowy, formy zdań pozbawionych treści. Cichły, mieszając się z przekleństwami i odgłosami wymiotów. Oddychałem wolno i głęboko, tak jak nauczyła mnie Vashet, rozluźniając ciało i licząc powoli wydechy.

Później otworzyłem oczy, spojrzałem w gwiazdy i uznałem, że nadeszła właściwa pora. Powoli podniosłem się i przeciągnąłem potężnie. Na niebie wisiał spory sierp księżyca i otoczenie było jasno oświetlone.

Podszedłem wolno do ogniska. Skurczyło się do postaci ciemnego żaru, który w niewielkim tylko stopniu rozświetlał przestrzeń między wozami. Siedział tam Otto, opierając potężne ciało o koło. Poczulem woń wymiotów.

— To ty, Kvothe? – zapytał niewyraźnie.

— Tak. – Szedłem nadal ku niemu.

— Ta suka Anne nie dogotowała jagnięciny – jęknął. – Przysięgam na świętego Boga, że nigdy dotąd tak nie chorowałem. – Podniósł na mnie wzrok. – Dobrze się czujesz?

Cezura skoczyła, łapiąc przelotnie na ostrze blask księżyca, i poderznęła mu gardło. Poderwał się na jedno kolano, po czym opadł w bok, dłonie zabarwiła mu czerń, gdy chwycił się za szyję. Zostawiłem go, krwawiącego mrocznie w księżycowym blasku, niezdolnego krzyczeć i umierającego, ale nie martwego. Cisnąłem w ognisko kawałek kruchego żelaza i ruszyłem w stronę namiotów.

Laren przestraszył mnie, gdy wyszedłem z za wozu. Na widok obnażonego miecza w mojej dłoni wydał jęk zaskoczenia, ale trucizna uczyniła go niemrawym i ledwie zdołał unieść ręce, zanim Cezura trafiła go w pierś. Zadławił się krzykiem, padł w tył i zaczął się wić na ziemi.

Żadnego z nich medykament nie uspił twardym snem, więc krzyk Larena wywabił wszystkich z wozów i namiotów; zataczali się i rozglądali dzikim wzrokiem. Z tyłu bliższego mi wozu zeskoczyły dwa niewyraźne cienie, w których domyślałem się Frena i Josha. Jednego dźgnąłem w oko, zanim dotknął ziemi, a drugiemu rozplątałem brzuch.

Wszyscy to widzieli i wrzaski rozległy się na dobre. Większość

pobiegła, zataczając się, w stronę drzew; niektórzy przewracali się po drodze, ale Tim rzucił się w moim kierunku. Ciężki miecz, który ostrzył cały wieczór, błyszczał srebrem w blasku księżyca.

Byłem jednak gotowy. Ująłem w dłoń drugi kawałek kruchego metalu i wypowiedziałem cicho wiązanie. Potem, gdy Tim znalazł się na tyle blisko, by mógł zadać cios, złamałem gwałtownie żeliwo w palcach. Jego miecz wydał dźwięk pękającego dzwonu i kawałki oręza spadły na trawę i zniknęły w niej.

Tim był bardziej doświadczony ode mnie, silniejszy i miał większy zasięg ramion. Nawet oszołomiony i z ułamkiem miecza w garści pokazał, na co go stać. Minęło niemal pół minuty, zanim dzięki Kochance Wychylającej się z Okna udało mi się przemknąć pod jego zasłoną i odciąć mu dłoń w nadgarstku.

Padł na kolana, wyjąc chrapliwie i ściskając kikut. Zadałem mu cios wysoko w tułów i pognałem w stronę drzew. Walka nie trwała długo, ale każda sekunda była istotna, gdyż pozostali rozpierzchali się po lesie. Pobiegłem w kierunku, w którym widziałem zataczającą się ciemną sylwetkę. Nie zachowywałem ostrożności, więc kiedy Alleg wypadł na mnie z cienia za pniem drzewa, byłem nieprzygotowany. Nie miał miecza, tylko niewielki nóż, który błysnął, gdy mężczyzna skoczył na mnie. Jednak i noża jest dość, by zabić człowieka. Dźgnął mnie w brzuch, gdy potoczyliśmy się na ziemię. Uderzyłem skronią o korzeń i poczułem w ustach smak krwi.

Udało mi się wstać na równe nogi wcześniej od niego i przeciąć mu ścięgno pod kolanem. Potem wsadziłem mu miecz w bebechy i zostawiłem klnącego na ziemi. Pognałem za kolejnymi.

Trzymałem dłoń przyciśniętą mocno do brzucha. Wiedziałem, że niebawem uderzy we mnie ból, a po tym mogę już nie pożyć długo.

To była wyczerpująca noc i nie będę wam zawracał głowy dalszymi szczegółami. Znalazłem ich wszystkich, gdy przedzierali się przez las. Anne złamała nogę w trakcie ucieczki na oślep, a Tim pokonał niemal pół mili pomimo utraty dłoni i rany w piersi. Kiedy skradałem się za nimi w lesie, krzyczeli, klęli i błagali o litość, jednak nic nie mogło mnie ugłaskać. To była straszliwa noc, ale dopadłem ich wszystkich. Nie było w tym zaszczytu ani chwały, była jednak sprawiedliwość i krew, i w końcu przyniosłem z powrotem ich ciała.

Wróciłem do namiotu, kiedy niebo zaczynało przybierać znajomy odcień niebieskości. Poniżej pępka czułem ostrą, gorącą linię bólu, a nieprzyjemne ciągnięcie, gdy się poruszałem, mówiło mi, że krzepnąca krew przykleiła koszulę do rany. Nie zważałem na to, wiedząc, że bez przyzwoitego światła i drżącymi rękami nie mogę sobie w żaden sposób pomóc. Musiałem poczekać do świtu, by sprawdzić, jak poważnie zostałem ranny.

Staralem się nie myśleć o tym, co wiedziałem dzięki pracy w Medicum. Każda głęboka rana brzucha zapowiada długą i bolesną podróż do grobu. Mógł to zmienić zręczny medyk z odpowiednimi narzędziami, ale trudno było się znajdować dalej od cywilizacji niż ja w tej chwili. Równie dobrze mogłem sobie zażyczyć gwiazdki z nieba.

Wytarłem miecz, usiadłem na wilgotnej trawie przed namiotem i zacząłem rozmyślać.

Rozdział 3

Pęknięty krąg

Byłem zajęty ponad godzinę, zanim słońce wyjrzało w końcu zza wierzchołków drzew i sprawiło, że rosa zaczęła parować z trawy. Znalazłem płaski kamień, który wykorzystałem jako prowizoryczne kowadło, by przekuć zapasową podkowę w inny kształt. W garnku na ognisku gotowała się owsianka.

Nadawałem podkowie ostatni szlif, kiedy kątem oka pochwyciłem jakiś ruch. To Krin zerkała zza rogu wozu. Domyśliłem się, że zbudziły ją odgłosy kucia.

— O mój Boże! – Jej dłoń powędrowała do ust, a ona sama wyszła w oszołomieniu zza wozu. – Zabiłeś ich.

— Tak – potwierdziłem głuchym głosem.

Krin obejrzała mnie od stóp do głów; patrzyła na rozerwaną i zakrwawioną koszulę.

— Nic... – Głos uwiązał jej w gardle, przełknęła ślinę. – Nic ci nie jest?

Pokręciłem w milczeniu głową. Kiedy zebrałem się w końcu na odwagę, by się przyjrzeć ranie, przekonałem się, iż opończa Feluriany uratowała mi życie. Zamiast wypruć mi flaki, nóż Allega przyprawił mnie jedynie o długie, płytkie cięcie w poprzek brzucha. Zniszczył także zupełnie dobrą koszulę, ale zważywszy na okoliczności, trudno mi się było zbyt tym przejmować.

Przyjrzałem się podkowie, po czym przywiązałem ją mocno wilgotnym skórzanym paskiem do długiej prostej gałęzi. Zdjąłem znad ognia garnek owsianki i wsunąłem podkowę w żar.

Najwyraźniej otrząsnąwszy się nieco z szoku, Krin podeszła wolno i przyjrzała się ciałom ułożonym w rzędzie po drugiej

stronie ogniska. Nie był to przyjemny widok. Krew i otwarte rany. Krin patrzyła takim wzrokiem, jakby się obawiała, że zwłoki mogą się znowu zacząć poruszać.

— Co robisz? – zapytała w końcu.

Zamiast odpowiedzieć, wyjąłem z ogniska rozgrzaną teraz podkowę i podszedłem do najbliższego ciała. To był Tim. Przycisnąłem gorące żelazo do grzbietu jego ocalałej dłoni. Skóra zadymiała, zasyczała i przywarła do metalu. Odsunąłem podkowę, pozostawiając na bladej skórze czarne piętno. Pęknięty okrąg. Wróciłem do ogniska i zacząłem ponownie rozgrzewać żelazo.

Krin stała w milczeniu zbyt oszołomiona, by zachowywać się normalnie. Nie w tym rzecz, żeby istniał jakiś zwyczajny sposób reagowania w podobnej sytuacji, ale nie krzyknęła ani nie uciekła, jak mogłaby to zrobić. Po prostu spojrzała na pęknięty krąg i powtórzyła:

— Co robisz?

Kiedy się w końcu odezwałem, głos zabrzmiał mi dziwnie we własnych uszach.

— Wszyscy Edema Ruh to jedna rodzina – wyjaśniłem. – Jak pełny krąg. To bez znaczenia, czy znamy się osobiście. Wciąż jesteśmy rodziną, wciąż jesteśmy ze sobą blisko. Musimy trzymać się razem, gdyż jesteśmy obcy, gdziekolwiek byśmy poszli. Żyjemy w rozproszeniu i ludzie nas nienawidzą. Mamy prawa. Zasady, którymi się kierujemy. Jeśli ktoś z nas zrobi coś, czego nie da się wybaczyć lub naprawić, jeśli wystawia Edema Ruh na niebezpieczeństwo lub szarga nasz honor, zostaje zabity i naznaczony piętnem w postaci pękniętego kręgu, pokazującego, iż nie jest już jednym z nas. Rzadko do tego dochodzi. Rzadko

istnieje taka konieczność.

Wyjąłem żelazo z ogniska i podszedłem do kolejnego ciała. Otto. Przycisnąłem przekształconą podkowę do grzbietu jego dłoni i słuchałem skwierczenia.

— To nie byli Edema Ruh. Ale podawali się za takich. Posunęli się do czynów, jakich Edema nigdy by się nie dopuścili, sprawiam więc, by świat wiedział, iż nie byli częścią naszej rodziny. Ruh nie robią takich rzeczy, jakie zrobili ci ludzie.

— Ale wozy – zaprotestowała. – Instrumenty.

— To nie byli Edema Ruh – stwierdziłem z mocą. – Prawdopodobnie nie byli nawet prawdziwymi komediantami, tylko złodziejską szajką, która zabiła grupę Ruh i usiłowała zająć ich miejsce.

Krin spojrzała na zwłoki, a potem ponownie na mnie.

— Zabiłeś ich zatem za udawanie Edema Ruh?

— Za podszywanie się? Nie. – Włożyłem żelazo do ognia. – Za zabicie Ruh i zagarnięcie ich wozów? Tak. Za to, co wam zrobili? Tak.

— Ale jeśli nie byli Ruh... – Krin spojrzała na jaskrawo wymalowane wozy. – Jak?

— Sam jestem tego ciekaw – przyznałem.

Wyjąłem z ognia pęknięty żelazny krąg, podszedłem do ciała Allega i przycisnąłem piętno do jego dłoni. Fałszywy komediant drgnął i ocknął się z wrzaskiem.

— On żyje! – krzyknęła przenikliwie Krin.

Przyjrzałem się wcześniej jego ranie.

— Nie żyje – zapewniłem ją chłodno – tylko jeszcze nie przestał się ruszać. – Spojrzałem mu w oczy. – Co na to powiesz, Alleg? W

jaki sposób weszliście w posiadanie dwóch wozów Edema?

— Ty bękarcie Ruh – zaklął pod moim adresem w słabym przejawie buntu.

— Tak – przyznałem. – Jestem Edema. Jak poznaliście moje rodzinne znaki i zwyczaje?

— Jak to odkryłeś? – zapytał. – Znaliśmy właściwe słowa, uścisk dłoni. Wiedzieliśmy o wodzie, winie i pieśniach przed kolacją. Jak się połapałeś?

— Myśleliście, że uda się wam mnie oszukać? – Gniew rozwijał się ponownie we mnie jak sprężyna. – To moja rodzina! Jakbym miał nie poznać? Ruh nie robią tego, coście wy uczynili! Nie kradną, nie porywają dziewcząt!

Alleg pokręcił głową z drwiącym uśmiechem.

— Wszyscy wiedzą, co robicie.

Puściły mi nerwy.

— Wszystkim się wydaje, że wiedzą! Biorą plotki za prawdę! Ruh nie postępują tak! – Machałem gwałtownie rękami. – Ludzie uważają tak z powodu takich jak wy! – Złość rozpalila się we mnie jeszcze goręcej i przekonałem się, że krzyczę. – A teraz powiedz mi, co chcę wiedzieć, albo Bóg zapłacze, kiedy usłyszysz, co ci zrobiłem!

Alleg pobladł i musiał przełknąć ślinę, zanim odpowiedział.

— Był starzec, jego żona i para innych muzykantów. Wędrowałem z nimi jako strażnik przez pół roku. W końcu przyjęli mnie do siebie. – Brakło mu tchu, dyszał chwilę, usiłując go odzyskać.

Powiedział dość.

— Więc ich zabiłeś.

Pokręcił energicznie głową.

— Nie... zostaliśmy zaatakowani na drodze. – Wskazał omdlewającym gestem ciała pozostałych. – Zaskoczyli nas. Inni kuglarze zostali zabici, ale ja tylko... straciłem przytomność.

Spojrzałem na rząd zwłok i poczułem, jak rozpała się we mnie wściekłość, mimo że znałem już prawdę. Nie było innego sposobu, żeby ci ludzie mogli wejść w posiadanie dwóch wozów Edema o nietkniętych znakach.

— Nauczyłem ich potem... jak zachowywać się jak aktorska trupa – mówił dalej Alleg. Przełknął ślinę i skrzywił się z bólu. – Dobre życie.

Odwróciłem się, czując obrzydzenie. W pewien sposób był jednym z nas, adoptowanym przez rodzinę. Dlatego wszystko to było dziesięć razy gorsze. Wepchnąłem ponownie podkowę między węgle, a potem przyglądałem się dziewczynie, gdy metal się rozgrzewał. Obserwując Allega, oczy miała twarde jak krzemienie. Niepewny, czy to właściwe, zaoferowałem jej żelazo do piętnowania. Twarz jej stężała, przyjęła je.

Zdawało się, że Alleg nie rozumie, co się ma stać, póki nie przycisnęła gorącej podkowy do jego piersi. Zaskrzeczał i zaczął się wić, ale brakło mu sił, by się odsunąć, gdy naparła na niego mocno. Krzywiła się, kiedy wiercił się słabo pod żelazem; w oczach wezbrały jej łzy złości. Po dobrej minucie odsunęła podkowę i zapłakała cicho. Nie przeszkadzałem jej.

Alleg spojrzał na Krin i jakimś cudem odzyskał głos.

— Ach, mała, spędziliśmy razem wiele miłych chwil, co? – Przestała płakać i spojrzała na niego. – Nie...

Kopnąłem go mocno w bok, zanim zdołał powiedzieć coś

więcej. Zesztywniał z bólu, po czym plunął na mnie krwią. Poczęstowałem go kolejnym kopniakiem, a on zapadł się w sobie. Nie wiedząc, co zrobić innego, zacząłem ponownie rozgrzewać żelazo. Nastąpiło długie milczenie.

— Ellie wciąż śpi? – zapytałem.

Krin skinęła głową.

— Myślisz, że pomogłoby jej, gdyby to zobaczyła?

Zastanawiała się chwilę, wycierając twarz dłonią.

— Chyba nie – odparła w końcu. – Nie sądzę, żeby mogła teraz na to patrzeć. Z jej głową nie jest w porządku.

— Obie jesteście z Levinshir? – Pytanie miało oddalić ciszę.

— Farma moich rodziców leży na północ od miasteczka. Ojciec Ellie jest burmistrzem – wyjaśniła Krin.

— Kiedy ta banda zjawiała się w waszym mieście? – zapytałem, odciskając piętno na kolejnej dłoni. W powietrzu zaczęła gęstnieć słodka woń przypalanego ciała.

— Jaki dziś dzień?

Policzyłem w myślach.

— Felling.

— Zjawili się w theden. – Urwała. – Pięć dni temu? – W jej głosie brzmiała nuta niedowierzania. – Cieszyliśmy się na możliwość obejrzenia przedstawienia i usłyszenia nowin. Posłuchania muzyki. – Spuściła wzrok. – Rozłożyli się obozem po wschodniej stronie miasteczka. Kiedy przyszedłem, żeby mi powróżyli, kazali mi wrócić w nocy. Wydawali się tacy przyjacielscy, tacy ekscytujący. – Krin spojrzała na wozy. – Gdy przyszedłem, siedzieli wszyscy wokół ogniska. Śpiewali dla mnie. Stara poczęstowała mnie herbatą. Nawet nie pomyślałam... to

znaczy... wyglądała jak moja babcia. – Strzeliła spojrzeniem ku ciału staruchy, a potem odwróciła wzrok. – Nie pamiętam, co było potem. Obudziłam się w ciemności w jednym z wozów. Byłam skrępowana i... – Głos się jej załamał nieznacznie; bezwiednie pomasowała sobie nadgarstki. – Sądzę, że Ellie także dostała zaproszenie.

Uporałem się z piętnowaniem dłoni trupów. Zamierzałem wypalić im także znaki na twarzach, ale żelazo wolno się rozgrzewało, a mnie mdliło coraz bardziej od tej katowskiej roboty. W ogóle nie spałem minionej nocy, a płonący we mnie tak długo i gorąco gniew wypalał się, pozostawiając chłód i odrętwienie. Wskazałem garnek owsianki, który zdjąłem z ognia.

— Jesteś głodna?

— Tak – odparła, po czym spojrzała w kierunku ciała. – Nie.

— Ja też nie. Obudź Ellie, to wyruszymy ku waszym domom.

Krin pognęła do namiotu. Kiedy zniknęła w jego wnętrzu, odwróciłem się w stronę ciała.

— Czy ktoś ma coś przeciwko temu, że opuszczam trupe? – zapytałem.

Nikt nie miał. Więc odszedłem.

Rozdział 4

Sny

Godzinę zajęło wjechanie wozami w gęsty las i ukrycie ich tam. Zniszczyłem oznaczenia Edema i wyprzągłem konie. Było tylko jedno siodło, więc dwa zwierzęta objuczyłem zapasami jedzenia i cennymi ruchomościami, jakie udało mi się znaleźć.

Kiedy wróciłem z końmi, Krin i Ellie czekały na mnie. A ściślej

to Krin czekała. Ellie stała po prostu obok, twarz miała beznamiętną, wzrok pusty.

— Umiesz jeździć konno? – zapytałem Krin.

Potwierdziła skinieniem głowy, wręczyłem jej więc wodze osiodłanego konia. Wsunęła stopę w strzemię, ale zawahała się i pokręciła głową. Opuściła wolno nogę.

— Pójdę pieszo.

— Sądysz, że Ellie utrzyma się w siodle?

Krin spojrzała na stojącą w pobliżu blondynkę. Jeden z koni trącał ją z zaciekawieniem nozdrzami, nie spotykając się z żadną reakcją.

— Możliwe. Lecz nie sądzę, by to było dla niej dobre. Po...

Skinąłem ze zrozumieniem głową.

— Pójdziemy zatem.

– Co jest istotą Lethani? – zapytałem Vashet.

– Sukces i właściwe działanie.

– Co jest ważniejsze: powodzenie czy słuszność?

– Są tym samym. Jeśli postępujesz właściwie, osiągasz sukces.

– Jednak innym może się powieść dzięki czynieniu zła – wskazałem.

– Zło nigdy nie przynosi powodzenia – stwierdziła zdecydowanie. – Jeśli człowiek postępuje niewłaściwie i odnosi sukces, to nie jest odpowiedni sposób. Bez Lethani nie ma prawdziwego sukcesu.

— Panie? – zawołał ktoś. – Panie?

Skupiłem spojrzenie na Krin. Włosy rozwiewał jej wiatr, na młodej twarzy widniało zmęczenie. Spojrzała na mnie potulnie.

— Robi się ciemno, proszę pana.

Rozejrzałem się i zauważyłem, że od wschodu skrada się

zmierzch. Byłem śmiertelnie zmęczony i po przerwie na lunch szedłem, śpiąc z otwartymi oczami.

— Mów mi Kvothe, Krin. Dzięki za szturchańca. Mój umysł wędrował gdzie indziej.

Krin nazbierała drewna i rozpałała ogień. Rozsiodłem konie, nakarmiłem je i wytarłem. Kilka minut zajęło mi także postawienie namiotu. Normalnie nie zawracam sobie głowy takimi rzeczami, ale niósł go koń, a domyślałem się, że dziewczyny nie przywykły do sypiania pod gołym niebem. Po rozłożeniu namiotu dotarło do mnie, że zabrałem tylko jeden dodatkowy koc z wyposażenia trupy. Jeśli się znałem na podobnych sprawach, dzisiejsza noc także zapowiadała się chłodna.

— Kolacja gotowa – usłyszałem wołanie Krin.

Wrzuciłem swój pled i ten zapasowy do namiotu i pośpieszyłem w stronę dziewczyny. Dobrze się spisała z tym, co miała do dyspozycji. Kartoflanka i boczek na przypieczonym chlebie. W żarze tkwił także zielony letni squash.

Martwiłem się o Ellie. Cały dzień zachowywała się tak samo. Szła apatycznie, nic nie mówiła sama z siebie ani nie odpowiadała na to, o co wraz z Krin ją pytaliśmy. Przyglądała się różnym rzeczom, ale w oczach nie miała jednej myśli. Przekonaliśmy się dobitnie, że zostawiona sama sobie przestawała iść albo schodziła z drogi, kierując się ku czemuś, co zwróciło jej uwagę.

Gdy usiadłem, Krin podała mi miskę i łyżkę.

— Nieźle pachnie – pochwaliłem ją.

Uśmiechnęła się lekko i napełniła drugą miskę dla siebie.

Zacząła napełniać trzecią, ale zawahała się, zrozumiałwszy, że Ellie nie będzie jadła.

— Chciałabyś trochę zupy, Ellie? – zapytałem normalnym tonem. – Pięknie pachnie.

Siedziała obojętnie przy ogniu, patrząc w przestrzeń.

— Chcesz jeść ze mną? – pytałem dalej, jakby to była najzwyklejsza rzecz pod słońcem. Przysunąłem się bliżej do dziewczyny i podmuchałem na łyżkę, by ostudzić jej zawartość. – Masz.

Ellie jadła mechanicznie, obracając lekko głowę w moją stronę, w kierunku łyżki. Tańczące płomienie odbijały się jej w oczach. Były jak okna w pustym domu.

Podmuchałem na kolejną porcję i wyciągnąłem ją w stronę blondynki. Otworzyła usta dopiero wtedy, gdy łyżka dotknęła jej warg. Przechyliłem głowę, usiłując przeniknąć poza tańczące w oczach Ellie płomienie, pragnąc rozpaczliwie ujrzeć coś za nimi. Cokolwiek.

— Założę się, że wołają cię Ell, co? – mówiłem konwersacyjnym tonem. Spojrzałem na Krin. – Skrót od Ellie?

Wzruszyła ramionami.

— Nie jesteśmy przyjaciółkami. To po prostu Ellie Anwater. Córka burmistrza.

— Przeszliśmy dzisiaj kawał drogi – ciągnąłem w tej samej swobodnej manierze. – Jak twoje stopy, Krin?

Dziewczyna przyglądała mi się ciemnymi, poważnymi oczami.

— Lekko obtarte.

— Moje także. Nie mogę się doczekać zdjęcia butów. A jak twoje nogi, Ell?

Żadnej odpowiedzi. Wsunąłem jej do ust kolejną łyżkę zupy.

— Było też dosyć gorąco, jednak w nocy powinno pochłodzić. Dobra pogoda na sen. Czy to nie będzie miłe, Ell?

Brak reakcji. Krin przyglądała mi się nieustannie z drugiej strony ogniska. Zjadłem trochę zupy.

— Jest naprawdę dobra, Krin – powiedziałem szczerze, po czym obróciłem się ponownie ku nieobecnej duchem dziewczynie. – To dobrze, że jest z nami Krin, która nam gotuje, Ell. Wszystko, co ja umiem upichcić, smakuje jak końskie gówno.

Krin usiłowała się zaśmiać z pełnymi ustami, co skończyło się w przewidywalny sposób. Wydało mi się, że dostrzegłem jakiś błysk w oczach Ell.

— Gdybym miał końskie jabłka, mógłbym upiec końską szarlotkę na deser – zaproponowałem. – Jeśli chcesz, mógłbym to zrobić dziś w nocy... – Urwałem, czyniąc z tego pytanie.

Ell ściągnęła nieznacznie brwi, drobna zmarszczka przekreśliła jej czoło.

— Chyba masz rację – przyznałem. – Nie byłaby smaczna. Chcesz zamiast tego trochę zupy?

Ledwo widoczne skiniecie głową. Podałem jej kolejną łyżkę.

— Jest nieco za słona. Pewnie chcesz trochę wody?

Kolejne skiniecie. Podałem jej bukłak, a ona samodzielnie podniosła go do ust. Piła długo. Była chyba spragniona po całodziennym marszu. Jutro powinienem obserwować ją dokładniej i dopilnować, żeby wypila dość.

— Chcesz się napić, Krin?

— Tak, proszę – odparła, wpatrując się w twarz Ell.

Tamta automatycznym ruchem wyciągnęła bukłak w jej

stronę, trzymając worek bezpośrednio nad ogniskiem, przy czym ramienny pas ciągnął się w żarze. Krin chwyciła szybko bukłak, a potem powiedziała:

— Dziękuję, Ell.

Podtrzymałem płynącą leniwie konwersację przez cały czas trwania posiłku. Pod koniec Ell zaczęła jeść sama i chociaż wzrok jej oprzytomniał, to zdawało się, że spogląda na świat przez szybę mrożonego szkła; patrzyła, nie widząc. Niemniej był to postęp. Gdy zjadła dwie miski zupy i połowę bochenka chleba, oczy zaczęły się jej kleić.

— Chciałabyś iść spać, Ell? – zapytałem.

Bardziej zdecydowane kiwnięcie.

— Mam cię zanieść do namiotu?

Otworzyła gwałtownie oczy i zdecydowanie pokręciła głową.

— Być może Krin pomogłaby ci się przygotować do snu, gdybyś ją o to poprosiła.

Odwróciła się, by spojrzeć na koleżankę. Usta blondynki poruszyły się niewyraźnie. Krin zerknęła na mnie, a ja skinąłem głową.

— Chodźmy więc i kładźmy się – powiedziała tonem starszej siostry. Podeszła do Ell i wzięła ją za rękę, pomagając jej wstać.

Kiedy weszły do namiotu, dokończyłem zupę i zjadłem kawałek chleba, który był zbyt przypalony dla dziewczyn. Nie minęło wiele czasu, gdy Krin znalazła się z powrotem przy ognisku.

— Usnęła? – zapytałem.

— Zanim przyłożyła głowę do poduszki. Uważasz, że wyjdzie z tego?

Była w głębokim szoku. Jej umysł przekroczył próg szaleństwa, by chronić się przed tym, co się działo.

— Przypuszczalnie to tylko kwestia czasu – odparłem zmęczonym tonem, mając nadzieję, że okaże się to prawdą. – Młodzi szybko dochodzą do siebie.

Zachichotałem niewesoło, gdyż pojąłem, że jest może rok młodsza ode mnie. Każdy swój czułem dzisiaj jak dwa lata, a niektóre z nich jak trzy.

Mimo że miałem wrażenie, jakbym był pokryty ołowiem, zmusiłem się do wstania i pomogłem Krin pozmywać naczynia. Gdy skończyliśmy sprzątać i przepędziliśmy konie na świeże pastwisko, poczułem, że narasta w niej niepokój. Napięcie zgęstniało, gdy zbliżyliśmy się do namiotu. Stałem i przytrzymałem dla niej odchyloną połę wejścia.

— Prześpię się na zewnątrz.

— Jesteś pewny? – Jej ulga była wręcz namacalna.

Skinąłem głową. Wślizgnęła się do środka, a ja puściłem klapę. Niemal natychmiast dziewczyna wystawiła głowę, po czym wyciągnęła dłoń trzymającą pled.

Pokręciłem głową.

— Będziecie potrzebowały obu koców. Noc będzie chłodna.

Otuliłem się shaed i położyłem na ziemi przed samym wejściem do namiotu. Nie chciałem, by Ell zaczęła się włóczyć po nocy, zgubiła się lub zraniła.

— Nie będzie ci zimno?

— Wytrzymam – odparłem.

Byłem tak zmęczony, że usnąłbym na galopującym koniu. Byłem tak zmęczony, że usnąłbym nawet pod galopującym

koniem. Krin cofnęła się do namiotu. Niebawem usłyszałem, jak układa koce. Potem zapadła cisza.

Przypomniałem sobie wyraz przerażenia na twarzy Ottona, gdy poderżnąłem mu gardło. Słyszałem słabe szamotanie się Allega, przeklinającego mnie, gdy wlokłem go z powrotem ku wozom. Przypomniałem sobie krew. Jej dotyk na dłoniach. Jej gęstość.

Nigdy dotąd nie zabiłem nikogo w ten sposób. Z premedytacją, z bliska. Pamiętałem ciepło ich krwi. W uszach brzmiał mi krzyk Kete, gdy skradałem się za nią po lesie.

— To było oni albo ja! – wrzeszczała histerycznie. – Nie miałam wyboru. Oni albo ja!

Dłuższą chwilę leżałem rozbudzony. Kiedy w końcu zasnąłem, sny były jeszcze gorsze.

Rozdział 5

Droga do Levinshir

Następnego dnia posuwaliśmy się w kiepskim tempie, gdyż Krin i ja byliśmy zmuszeni do prowadzenia trzech koni i Ell na dodatek. Na szczęście zwierzęta były dobrze ułożone, jak to ma się zwykle z końmi szkolonymi przez Edema. Gdyby były równie nieobliczalne jak biedna córka burmistrza, to w ogóle nie dotarlibyśmy do Levinshir.

Niemniej szkapy sprawiały niemal więcej kłopotu, niż były warte. Szczególnie lśniący deresz lubił zbaczać z drogi i przeszukiwać zarośla. Trzy razy musiałem go stamtąd wyciągać, co irytowało nas obu. Z oczywistych powodów nazwałem go Wiercipiętą.

Kiedy czwarty raz wciągnąłem konia na drogę, zastanawiałem się poważnie nad uwolnieniem go, by oszczędzić sobie kłopotu. Nie zrobiłem tego oczywiście. Dobry koń to tyle samo co pieniądze w kieszeni. Poza tym szybciej będzie pojechać wierzchem do Severen, niżli iść pieszo.

Podczas wędrówki oboje z Krin staraliśmy się ze wszystkich sił wciągnąć Ell w rozmowę. Przyniosło to pewien efekt i kiedy przyszła pora na południowy posiłek, dziewczyna sprawiała wrażenie, że jest niemal świadoma tego, co się wokół niej dzieje. Niemal.

Kiedy popas się kończył, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Podprowadziłem siwą jabłkowitzą klacz do miejsca, gdzie stała Ell. Jedną ręką próbowała rozczesać kompletnie splątane blond włosy, podczas gdy jej rozproszone spojrzenie wędrowało po otoczeniu, jakby nie do końca wiedziała, gdzie się znajduje.

— Ell. — Odwróciła się i spojrzała na mnie. — Poznałaś Szary Ogon? — Wskazałem klacz.

Słaby, niepewny ruch głową.

— Mogłabyś ją poprowadzić? Robiłaś to już wcześniej?

Skinięcie.

— Ktoś musi o nią zadbać. Możesz to zrobić? — Szary Ogon spojrzała na mnie wielkim okiem, jakby dając znać, że tak samo potrzebuje przewodnika jak ja kółek, by chodzić. Potem jednak opuściła łeb i w macierzyński sposób szturchnęła Ell nozdrzami. Niemal automatycznym gestem dziewczyna wyciągnęła dłoń, poklepała zwierzę po pysku i wzięła ode mnie wodze.

— Uważasz, że to dobry pomysł? — zapytała mnie Krin, kiedy wróciłem, by objuczyć pozostałe konie.

— Szary Ogon jest łagodna jak baranek.

— To, że Ell jest ogłupiała jak owca, nie czyni z nich dobranej pary – zauważyła Krin łobuzersko.

Uśmiechnąłem się.

— Będziemy je obserwować przez jakąś godzinę. Jeśli nie zadziała, to trudno. Czasami jednak najlepsza pomoc, jaką można znaleźć, to pomoc udzielona komuś innemu.

Ponieważ kiepsko spałem, byłem tego dnia dużo bardziej zmęczony. Paliła mnie zgaga i czułem się, jakby ktoś zeszlifował ze mnie dwie wierzchnie warstwy skóry. Czułem pokusę, by się zdrzemnąć w siodle, ale nie potrafiłem zmusić się do jazdy wierzchem, kiedy dziewczyny szły pieszo. Wlokłem się więc, prowadząc konia i śpiąc z otwartymi oczami podczas wędrówki. Tego dnia jednak nie potrafiłem zapaść w przytulny sen na jawie, co zwykłem robić w marszu. Prześladowały mnie myśli o Allegu; zastanawiałem się, czy nadal żyje.

Dzięki nauce w Medicum wiedziałem, że rana, jaką mu zadałem, jest śmiertelna. Miałem także świadomość, że czekało go powolne konanie. Powolne i bolesne. Przy właściwej opiece mógłby przeżyć cały cykl. Nawet sam i pośrodku pustkowia mógł żyć z taką raną całymi dniami.

Nie byłyby to miłe dni. W miarę rozwoju infekcji będzie coraz bardziej majaczył z gorączki. Każdy ruch otworzy mu ponownie ranę. Skoro miał przecięte ścięgna pod kolanem, nie mógł chodzić, więc gdyby chciał się poruszać, musiałby pełzać. Teraz byłby już w szponach głodu i palącego pragnienia.

Ale nie martwy z pragnienia. Nie. Zostawiłem mu pod ręką bukłak z wodą. Przed odejściem położyłem go u jego boku. Nie z

uprzejmości. Nie w celu uczynienia jego ostatnich godzin bardziej znośnymi. Zrobiłem to, gdyż wiedziałem, że dzięki temu będzie cierpiał dłużej i dotkliwiej.

Zostawienie mu bukłaka było najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek uczyniłem, i teraz, gdy mój gniew się wypalił, pozostawiając po sobie zgliszcza, żałowałem tego czynu. Zastanawiałem się, o ile dłużej Alleg może dzięki temu pożyć. Dzień? Dwa? Z pewnością nie dłużej niż parę dni. Starłem się nie myśleć o tym, jakie to będą dni.

Nawet wypchnąwszy Allega z umysłu, miałem inne demony, z którymi musiałem się ścierać. Pamiętałem fragmenty tamtej nocy; to, co mówili fałszywi kuglarze, kiedy ich zabijałem. Odgłosy, z jakimi mój miecz zagłębiał się w ich ciała. Zapach skóry, gdy ich piętnowałem. Zabiłem dwie kobiety. Co Vashet pomyślałaby o moim postępku? Co inni by pomyśleli?

Z powodu wyczerpania z niepokoju i braku snu moje myśli krążyły wokół tego przez resztę dnia. Rozbiłem z nawyku obóz i zwykłym wysiłkiem woli podtrzymałem rozmowę z Ell. Pora na sen nadeszła, zanim byłem na to gotowy, i przekonałem się, że leżę zawinięty w shaed przed wejściem do namiotu dziewcząt. Byłem niejasno świadomy, że Krin zaczęła rzucać na mnie takie same zaniepokojone spojrzenia, jakimi przez ostatnie dwa dni obdarzała Ell.

Przed snem leżałem godzinę z szeroko otwartymi oczami i myślałem o Allegu. Śpiąc, śniłem o zabijaniu tamtych ludzi. W koszmarze skradałem się w lesie jak ponura śmierć, niezachwiany.

Tym razem było jednak inaczej. Zabiłem Ottona, a jego krew

chlusnęła mi na dłonie jak gorący olej. Potem zabiłem Larena, Josha i Tima. Jęczeli i krzyczeli, wijąc się na ziemi. Ich rany były ohydne, ale nie potrafiłem odwrócić od nich wzroku.

Potem twarze się zmieniły. Zabijałem Tarena, brodatego eksnajemnika z mojej trupy. Potem zabiłem Tripa. Z nagim mieczem w dłoni ścigałem w lesie Shanti. Krzyczała, łkając ze strachu. Kiedy ją w końcu dopadłem, przywarła do mnie, obaliła na ziemię i chowając twarz w mojej piersi, szlochała. „Nie, nie, nie – błagała. – Nie, nie, nie”.

Obudziłem się. Leżałem na plecach, przerażony, nie mając pojęcia, gdzie się kończą moje sny, a zaczyna realny świat. Po krótkiej chwili pojąłem prawdę. Ell wypełzła z namiotu i zwinięta w kłębek leżała obok mnie. Twarz przytulała mi do piersi, dłonią desperacko ścisnęła moje ramię.

— Nie, nie, nie – łkała.

Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze wywołane bezradnym szlochem, powstrzymującym dalsze słowa. Koszulę miałem mokrą od gorących łez. Ramię krwawiło w miejscu, gdzie wbiła paznokcie. Odgarnąłem jej włosy z twarzy i pocieszałem ją cicho. Po jakimś czasie uspokoiła się wreszcie i zapadła w sen z wyczerpania, wciąż przytulona mocno do mego torsu. Leżałem niemal nieruchomo, nie chcąc jej obudzić. Zaciskałem zęby. Myślałem o Allegu, Ottonie i całej reszcie. Przypominałem sobie krew, krzyki i smród przypalanej skóry. Wspominając to wszystko, śniłem o gorszych rzeczach, jakie mogłem im uczynić.

Nigdy więcej nie miałem tych koszmarów. Czasami wspominam Allega i się uśmiecham.

Do Levinshir dotarliśmy następnego dnia. Ell wrócił rozum,

ale pozostawała milcząca i zamknięta w sobie. Niemniej drogi ubywało nam teraz szybciej, gdyż dziewczyny uznały, że na tyle przyszedły do siebie, iż mogą dosiadać na zmianę Szarego Ogona.

Do południa pokonaliśmy sześć mil, a dziewczęta ożywiały się coraz bardziej wraz z tym, jak zaczynały poznawać okolicę. Kształt wzgórz w oddali. Pochyłe drzewo przy drodze. Im jednak było bliżej do Levinshir, tym stawały się bardziej milczące.

— To już tam, za wzniesieniem – powiedziała Krin, zsiadając z deresza. – Stąd ty jedziesz, Ell.

Blondynka przeniosła wzrok z koleżanki na mnie, a potem wbiła spojrzenie we własne stopy. Pokręciła głową. Przyglądałem się dziewczynom.

— Dobrze się czujecie?

— Ojciec mnie zabije. – Głos Krin był ledwie szeptem, na jej twarzy malowało się prawdziwe przerażenie.

— Dziś wieczorem twój ojciec będzie jednym z najszcześniejszych ludzi na ziemi – stwierdziłem, a potem uznałem, że najlepiej być szczerym. – Może być także zły, ale tylko dlatego, że przez ostatnich osiem dni odchodził od zmysłów ze strachu.

Krin wyglądała na z lekka pocieszoną, ale Ell wybuchnęła płaczem. Krin objęła towarzyszkę, przemawiając do niej łagodnie.

— Nikt mnie nie weźmie za żonę – łkała Ell. – Miałam poślubić Jasona Watersona i pomagać mu w prowadzeniu sklepu. Nie ożeni się ze mną. Nikt mnie nie zechce.

Spojrzałem na Krin i ujrzałem w jej załzawionych oczach odbicie tej samej obawy. Jednak w spojrzeniu Krin palił się

gniew, a we wzroku Ellie nie było nic prócz rozpacz.

— Każdy facet, który tak myśli, jest głupcem – odezwałem się z całym przekonaniem, na jakie było mnie stać. – A wy jesteście zbyt mądre i piękne, by poślubić głupców.

Zdawało się, że Ell nieco to uspokoiło; spojrzała na mnie, jakby szukając czegoś, na czym mogłaby się oprzeć.

— To prawda – ciągnąłem. – To, co się stało, nie jest waszą winą. Postarajcie się o tym pamiętać przez następnych kilka dni.

— Nienawidzę ich! – fuknęła Ell, zaskakując mnie nagłym wybuchem wściekłości. – Nienawidzę mężczyzn!

Gdy chwyciła wodze Szarego Ogona, kłykcie jej pobieleły. Twarz miała ściągniętą z gniewu. Krin objęła blondynkę, ale kiedy spojrzała na mnie, widziałem w jej ciemnych oczach odbicie tego samego uczucia.

— Masz wszelkie prawo ich nienawidzić – przyznałem, czując większą złość i bezradność niż kiedykolwiek wcześniej. – Ale ja też jestem mężczyzną. Nie wszyscy jesteśmy tacy sami.

Zostaliśmy tam na chwilę, nie dalej jak pół mili od miasteczka. Wypiliśmy trochę wody i przekąsiliśmy coś, by uspokoić nerwy. A potem zaprowadziłem je do domu.

Rozdział 6

Powrót

Levinshir nie było duże. Żyło tam dwustu, może trzystu ludzi, jeśli liczyć okoliczne farmy. Wjechaliśmy w porze posiłku i gruntowa droga biegnąca przez środek miasteczka była pusta i cicha. Ell powiedziała mi, że dom jej ojca stoi na przeciwległym krańcu miejsciny. Miałem nadzieję, że doprowadzę tam

dziewczęta przez nikogo niezauważone. Były obszarpane i oszołomione. Ostatnią rzeczą, jakiej chciały, to stanąć twarzą w twarz z rozplotkowanymi sąsiadami.

Ale nie miało nam się udać. Byliśmy w środku miasteczka, gdy zauważyłem w oknie jakiś ruch. Rozległ się kobiecy głos: „Ell!” i przed upływem dziesięciu sekund ludzie zaczęli się wylewać ze wszystkich drzwi w zasięgu wzroku.

Kobiety były szybsze i nim minęła minuta, z tuzin ich, gadając i obejmując się wzajemnie, utworzył wokół dziewczyn ochronny kordon. Dziewczętom zdawało się to nie przeszkadzać. Być może tak było lepiej. Gorące powitanie zdecydowanie mogło pomóc im przyjść do siebie.

Mężczyźni trzymali się z tyłu, świadomi, że w podobnych sytuacjach są bezużyteczni. Większość przyglądała się, stojąc na progach lub gankach. Kilku wyszło na drogę, poruszając się wolno i oceniając wzrokiem sytuację. To byli ostrożni ludzie, farmerzy i ich przyjaciele. Znali po imieniu każdego w promieniu dziesięciu mil od swoich domów. Nie było w Levinshir obcych, z wyjątkiem mnie.

Żaden z mężczyzn nie był blisko spokrewniony z dziewczynami. A nawet jeśli tak było, to wiedzieli, że nie dostaną się w ich pobliże przed upływem co najmniej godziny, a może nawet i dnia. Pozwalali więc zająć się sprawami żonom i siostram. Nie mając nic ważniejszego do roboty, skierowali przelotnie uwagę na konie, a potem skupili ją na mnie. Skinąłem na dziesięcioletniego może chłopca.

— Leć powiedzieć burmistrzowi, że wróciła jego córka.
Biegnij!

Ruszył w obłoku kurzu, bosa stopy tylko migwały.

Mężczyźni zbliżali się do mnie wolno; ich naturalna podejrzliwość wobec obcych wzrosła na skutek ostatnich wydarzeń dziesięciokrotnie. Mniej więcej dwunastoletni chłopak nie był tak ostrożny jak reszta i podszedł prosto do mnie, przyglądając się opończy i mieczowi.

— Jak masz na imię? – zapytałem go.

— Pete.

— Umiesz jeździć konno, Pete?

Wyglądał na obrażonego.

— Jasne.

— Wiesz, gdzie leży farma Walkera?

Skinął głową.

— Ze dwie mile stąd przy młynówce.

Odsunąłem się na bok i wręczyłem mu wodze deresza.

— Jedź im powiedzieć, że ich córka wróciła do domu. Potem oddaj im konia, żeby mogli się dostać do miasteczka.

Zanim zdążyłem mu pomóc, przerzucił już nogę ponad grzbietem zwierzęcia. Trzymałem konia za wodze w czasie potrzebnym na skrócenie strzemion, żeby chłopak nie zabił się po drodze.

— Jeśli uda ci się tam dojechać i wrócić, nie rozbiwszy sobie głowy ani nie złamawszy koniowi nogi, dam ci grosz – obiecałem.

— Dwa – targował się.

Roześmiałem się. Zawrócił koniem i już go nie było.

W tym czasie mężczyźni podeszli bliżej, otaczając mnie ciasnym kręgiem. Wysoki, łysiejący, patrzący wilkiem facet o siewiejącej brodzie uważał się pewnie za przywódcę.

— Kim jesteś? – zapytał tonem mówiącym wyraźniej od słów:
Kim ty, do cholery, jesteś?

— Kvothe – odparłem uprzejmie. – A ty?

— Nie sądzę, żeby to był twój interes – warknął. – Co tutaj robisz? – *Co, do diabła, tutaj robisz w towarzystwie naszych dwóch dziewczyn?*

— Matko Boska, Seth – zwrócił się do niego starszy mężczyzna. – Nie masz tyle rozumu, ile Bóg dał psu. To nie jest sposób rozmowy z...

— Nie strzęp sobie języka, Benjaminie. – Ponurak się zjeżył. – Mamy słuszne prawo wiedzieć, kim on jest. – Odwrócił się do mnie i wyszedł kilka kroków przed pozostałych. – Jesteś jednym z tych drańskich komediantów, co przeszli przez miasto?

Pokręciłem głową, starając się sprawiać niegroźne wrażenie.

— Nie.

— A ja myślę, że tak. Wyglądasz trochę jak jeden z Ruh. Masz ich oczy.

Otoczający go mężczyźni wyciągali szyje, by lepiej się przyjrzeć mojej twarzy.

— Boże, Seth – wtrącił się ponownie starszy człowiek. – Żaden z tamtych nie miał rudych włosów. Takie rzeczy się pamięta. To nie jeden z nich.

— Dlaczego miałbym przyprowadzić z powrotem dziewczyny, jeśli byłbym jednym z tych, którzy je porwali? – zapytałem.

Łysiejący brodacz spochmurniał jeszcze bardziej; nadal przysuwał się do mnie wolno.

— Mądrzysz się, chłopcze? Może ci się wydaje, że wszyscy tutaj jesteśmy głupi? Może uważałeś, że jeśli je tu przyprowadzisz, to

dostaniesz nagrodę albo nie wyślemy za wami pościgu? – Stał niemal na odległość ramienia ode mnie, patrząc wściekle spode łba.

Rozejrzałem się i dostrzegłem ten sam gniew majaczący na twarzach wszystkich stojących obok mężczyzn. Była to złość, jaka gotuje się wolno w sercach dobrych ludzi, którzy pragną sprawiedliwości, a przekonawszy się, że jest poza ich zasięgiem, uznają zemstę za następną najlepszą rzecz. Próbowałem wymyślić sposób na rozładowanie napięcia, zanim jednak zdołałem cokolwiek uczynić, usłyszałem za plecami chłoszczący głos Krin.

— Odwal się od niego, Seth!

Tamten zawahał się z rękami na wpół wyciągniętymi do mnie.

— Daj...

Krin już kroczyła ku niemu. Wianuszek kobiet rozstąpił się, by ją przepuścić, ale trzymały się blisko.

— Ocalił nas, Seth! – wrzasnęła Krin wściekle. – Uratował nas, ty głupi gównojadzie! Gdzie, do diabła, wszyscy byliście? Dlaczego nie przyszliście po nas?

Odstąpił ode mnie, a złość i wstyd walczyły o lepsze na jego twarzy. Złość zwyciężyła.

— Ruszyliśmy na odsiecz! – krzyknął. – Kiedy odkryliśmy, co się stało, zorganizowaliśmy pościg. Pod Bilem zastrzelili konia, który zmiażdżył mu nogę. Jim został pchnięty w ramię, a stary Cupper nadal nie oprzytomniał po łomocie, jaki mu spuścili. Niemal nas zabili.

Rozejrzałem się ponownie; widziałem gniew na twarzach mężczyzn. Dostrzegłem jego prawdziwy powód. Był wynikiem

bezradności, tego, że nie potrafili obronić miasteczka przed brutalnym postępowaniem trupy fałszywych kuglarzy. Zawstydzalo ich niepowodzenie poniesione podczas próby odbicia córek ich przyjaciół i sąsiadów.

— No cóż, to nie wystarczyło! – odkrzyknęła Krin zapalczywie, w jej oczach płonął ogień. – On przyszedł i wyratował nas, bo jest prawdziwym mężczyzną. Nie jak wy, którzyście zostawili nas na śmierć!

Wściekłość ogarnęła młodego mężczyznę, siedemnastoletniego wieśniaka stojącego po mojej lewej ręce.

— Nic z tego by się nie zdarzyło, gdybyś nie latała wkoło jak skurwiała Ruh!

Złamałem mu rękę, zanim właściwie pojąłem, co robię. Krzyknął i padł na ziemię. Chwyciłem go za kark i podniosłem.

— Jak się nazywasz? – warknąłem mu w twarz.

— Moje ramię! – sapnął, w oczodołach widać było niemal same białka.

— Imię! – Potrząsnąłem nim jak szmacianą lalką.

— Jason – wybełkotał. – Matko Boska, moje ramię...

Ująłem go wolną ręką za brodę i zwróciłem twarzą w stronę Krin i Ell.

— Jason – syknąłem mu cicho do ucha. – Chcę, żebyś przyjrzał się tym dziewczynom. I chcę, żebyś pomyślał o piekle, jakie przeżyły w ostatnich dniach, leżąc ze związanymi rękami i nogami z tyłu wozu. I chcę, żebyś zapytał sam siebie, co jest gorsze. Złamana ręka czy też być porwaną przez obcego i gwałconą cztery razy co noc? – Potem obróciłem go twarzą ku sobie i odezwałem się tak cicho, że mój głos już cał od ust był

zaledwie szeptem. – Kiedy już sobie to przemyślisz, chcę, żebyś się modlił do Boga o przebaczenie tego, co przed chwilą powiedziałeś. I jeśli będziesz w to szczerze wierzył, Tehlu pozwoli, by twoje ramię zrosło się porządnie i wygoiło. – Oczy miał przerażone i mokre od łez. – Potem, jeśli kiedykolwiek pomyślisz sobie coś nieprzyjemnego o którejkolwiek z nich, ramię będzie cię bolało, jakbyś miał w kości rozpalone żelazo. A jeśli wypowiesz choć jedno niemile słowo, ramię ogarnie gorączka, zacznie ci ono gnić i będą je musieli amputować, żebyś mógł ocalić życie. – Wzmocniłem chwyt na karku chłopaka i przyjrzałem się jego oczom, które się robiły coraz większe. – A jeśli kiedykolwiek zrobisz coś którejs z nich, dowiem się o tym. Wrócę tutaj, zabiję cię i zostawię twoje ciało wiszące na drzewie. – Miał teraz łyzy na całej twarzy, ale nie wiedziałem, czy były wywołane wstydem, strachem czy bólem. – A teraz przeproś ją za to, co powiedziałeś.

Puściłem go, upewniwszy się, że stoi pewnie na nogach. Wskazałem gestem Krin i Ell. Kobiety otaczały je ochronnym kokonem. Chłopak delikatnie ścisnął swoje ramię.

— Nie powinienem był tego gadać, Ellie – wyszłochał, sprawiając wrażenie bardziej nieszczęśliwego i skruszonego, niż uznalibyśmy to za możliwe, ze złamanym ramieniem czy nie. – To demon przeze mnie przemówił. Przysięgam jednak, że śmiertelnie się martwiłem. Wszyscy się martwiliśmy. I próbowaliśmy was odbić, ale ich było zbyt wielu. Napadli na nas na drodze, a potem musieliśmy przywieźć Bila do domu, gdyż inaczej umarłby z powodu swojej nogi.

Imię chłopaka polechtało moją pamięć. Jason? Ogarnęło mnie

nagle podejrzenie, że złamałem rękę narzeczonemu Ell, ale jakoś nie czułem z tego powodu wyrzutów sumienia. W istocie było to najlepsze, co mogło go spotkać.

Rozejrzawszy się, stwierdziłem, że gniew opuszcza twarze otaczających mnie mężczyzn, jakbym zużył w jednym gwałtownym rozbłysku cały jego zapas. Patrzyli na Jasona, lekko zażenowani, jakby chłopak przeproszał w imieniu ich wszystkich.

Wtedy zauważyłem biegnącego ulicą krzepko wyglądającego mężczyznę, za którym śpieszyło kilkunastu obywateli miejsciny. Domyśliłem się, że to ojciec Ell, miejscowy burmistrz. Przedarł się przez wianuszek kobiet, porwał córkę w ramiona i zakręcił nią w powietrzu.

Dwa są rodzaje burmistrzów w podobnych miasteczkach. Do jednego należą łysiejący, starsi mężczyźni o znacznej tuszy, którzy mają smykałkę do robienia pieniędzy i skłonność do załamywania rąk, kiedy zdarzy się coś nieprzewidzianego. Drugi typ to wysocy, pleczyści faceci, których rodziny wzbogaciły się z wolna za sprawą morderczej harówki za pługiem przez dwadzieścia pokoleń. Ojciec Ell należał do tego drugiego rodzaju. Podszedł do mnie, obejmując córkę ramieniem.

— Rozumiem, że tobie muszę podziękować za przyprowadzenie naszych dziewcząt.

Wyciągnął rękę na powitanie. Zauważyłem, że miał zabandażowane ramię, ale mimo to jego uścisk był mocny, a uśmiech najszerszy, jaki widziałem, odkąd pożegnałem się z Simmonem na Uniwersytecie.

— Jak pańskie ramię? – zapytałem, nie zastanowiwszy się, jak

to zabrzmi. Jego uśmiech zbladł nieco, więc dodałem szybko: – Liznąłem trochę medycyny i wiem, że podobne kontuzje mogą się okazać trudne w leczeniu, kiedy jest się daleko od domu.

Gdy się żyje w kraju, gdzie rtęć uważana jest za lekarstwo, dodałem w duchu.

Uśmiech powrócił; burmistrz zgiął palce.

— Nieco sztywne, ale to wszystko. Powierzchnowa rana. Zaskoczyli nas. Chwyciłem jednego, ale dźgnął mnie i uciekł. Jakim cudem wydostałeś dziewczyny od tych bezbożnych bękartów Ruh? – Splunął.

— To nie byli Edema Ruh – zaprzeczyłem głosem bardziej napiętym, niżbym tego chciał. – Nawet nie prawdziwi komedianci.

Uśmiech burmistrza zaczął ponownie blednąć.

— Co masz na myśli?

— Nie byli Edema Ruh. My nie robimy takich rzeczy, jakie uczynili.

— Posłuchaj – rzekł burmistrz otwarcie, jego irytacja wzrosła nieco. – Cholernie dobrze wiem, co robią, a czego nie. Przybyli cali w skowronkach, pograli trochę i zarobili kilka groszy. Potem zaczęli sprawiać kłopoty. Kiedy kazaliśmy im się wynosić z miasteczka, porwali moją córkę. – Wypowiadając ostatnie słowa, niemal zionął ogniem.

— My? – usłyszałem za plecami cichy głos. – On powiedział „my”, Jim.

Chmurzący się u boku burmistrza Seth spojrzał ponownie na mnie.

— Mówiłem, że wygląda jak jeden z nich – ciągnął triumfalnie.

– Znam ich. Zawsze poznasz ich po oczach.

— Zaczekaj – odezwał się burmistrz z budzącym się z wolna niedowierzaniem. – Mówisz, że jesteś jednym z nich? – Przybrał groźny wyraz twarzy.

Zanim zdołałem się wytłumaczyć, Ell chwyciła ojca za ramię.

— Och, nie rób nic, co by go mogło rozwścieczyć, tato – powiedziała szybko i przywarła do jego zdrowego ramienia, jakby chcąc go ode mnie odciągnąć. – Nie mów nic, by go rozzłościć. Nie jest z nimi. Przeprowadził mnie z powrotem, ocalił mnie.

To udobruchało nieco burmistrza, ale cała jego sympatia przepadła.

— Wytłumacz się – polecił ponuro.

Westchnąłem w duchu, rozumiejąc, w jakie kłopoty się wpakowałem.

— Nie byli wędrownymi aktorami i z pewnością nie należeli do Edema Ruh. To bandyci, którzy zabili członków mojej rodziny i ukradli ich wozy. Tylko udawali, że są komediantami.

— Dlaczego ktokolwiek miałby udawać, że jest Ruh? – zapytał burmistrz, jakby podobna rzecz była niezrozumiała.

— Żeby mogli zrobić to, co zrobili – warknąłem. – Wpuściliście ich do miasteczka, a oni nadużyli waszego zaufania. To coś, czego Edema Ruh nigdy by nie uczynili.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – stwierdził. – Jak odbiłeś dziewczyny?

— Załatwiłem sprawy – odparłem po prostu.

— Zabił ich – powiedziała Krin wystarczająco głośno, by wszyscy usłyszeli. – Zabił ich co do jednego.

Czułem, że zgromadzeni patrzą na mnie. Połowa myślała: Wszystkich? Zabił siedmiu mężczyzn? Druga połowa zastanawiała się: Były z nimi dwie kobiety. Je także zamordował?

— No cóż. – Burmistrz przyglądał mi się dłuższą chwilę. – Dobra – rzekł, jakby podjął właśnie decyzję. – Dzięki temu świat jest lepszym miejscem.

Poczułem, że wszyscy lekko się rozluźnili.

— To są ich konie. – Wskazałem dwa zwierzęta dźwigające nasze bagaże. – Należą teraz do dziewczyn. Jakies czterdzieści mil na wschód stąd znajdziecie ich wozy. Krin może wam pokazać, gdzie są ukryte. One także należą do dziewcząt.

— Dostaną za nie dobrą cenę w Temsford – zadumał się burmistrz.

— Wraz z instrumentami, ubraniami i resztą rzeczy da to niezły grosz – zgodziłem się. – Dwa niezłe posagi – stwierdziłem zdecydowanie.

Rozumiejąc, co mam na myśli, spojrział mi w oczy i skinął wolno głową.

— Tak będzie.

— A co z rzeczami, które nam ukradli? – zaprotestował krępy mężczyzna w fartuchu. – Zdemolowali mi lokal i ukradli dwie beczki najlepszego ale!

— Masz córki? – zapytałem go spokojnie. Jego struchlała nagle twarz powiedziała mi, że tak. Popatrzyłem mu w oczy i przytrzymałem jego wzrok. – To sądzę, że wyszedłeś z tego bez większych szkód.

Burmistrz zauważył w końcu Jasona ściskającego złamane ramię.

— Co ci się stało?

Chłopak wbił spojrzenie pod nogi; Seth odezwał się za niego:

— Powiedział pewne rzeczy, których nie powinien był mówić.

Burmistrz rozejrzał się i pojął, że domaganie się dalszych wyjaśnień będzie trudną przeprawą. Wzruszył ramionami i odpuścił to sobie.

— Mógłbym ci to złożyć – zaproponowałem swobodnie.

— Nie! – zaprotestował błyskawicznie Jason i wycofał się. – Pójdę raczej do Gran.

Zerknąłem na burmistrza.

— Gran?

— Kiedy rozbijamy sobie kolana, Gran nas opatruje. – Uśmiechnął się czule.

— Czy będzie tam Bil? – zapytałem. – Facet ze zmiążdżoną nogą?

Skinął głową.

— Jak ją znam, nie spuści z niego oka przez następny cykl.

— Odprowadzę cię – zwróciłem się do pocącego się parobka, trzymającego ostrożnie ramię. – Chciałbym się przyjrzeć jej robocie.

Tak daleko od cywilizacji spodziewałem się, iż Gran okaże się zgarbioną staruszką leczącą pacjentów pijawkami i spirytusem drzewnym. Zmieniłem opinię na widok wnętrza jej domu. Ściany pokrywały pęczki suszonych ziół, a na półeczkach stały rzędy małych, porządnie oznaczonych buteleczek. Było tam małe biurko zasłane ciężkimi książkami w skórzanych oprawach. Jedna z nich leżała otwarta; rozpoznałem w niej *Heroboricę*. Widziałem odręczne notatki na marginesach, a niektóre

paragrafy były wręcz poprawione lub wykreślone.

Gran nie była taka stara, jak tego oczekiwałem, miała jednak sporo siwych włosów. Nie była także zgarbiona i w istocie nieco wyższa ode mnie, o szerokich ramionach i okrągłej, uśmiechniętej twarzy.

Zakręciła miedzianym saganem nad ogniem, mruczając coś do siebie. Potem wyjęła nożyce i posadziła Jasona, szturchnąwszy go delikatnie w ramię. Błady i spocony chłopak gadał nerwowo cały czas, kiedy ona odcinała rękaw jego koszuli. W kilka minut, niepytany przez nią, podał dokładny, chociaż nieco chaotyczny opis powrotu Krin i Ell do domu.

— To proste, czyste złamanie – powiedziała w końcu Gran, przerywając mu. – Jak to się stało?

Jason skoczył ku mnie oszalałym spojrzeniem, a potem wzrok uciekł mu w bok.

— Nic takiego – odparł szybko, po czym pojął, że nie odpowiedział na pytanie. – To znaczy...

— Ja mu je zламаłem – przyznałem się. – Uznałem, że przynajmniej mógłbym przyjść tutaj i pomóc poprawnie je nastawić.

Gran spojrzała na mnie.

— Miałeś już do czynienia z podobnymi sprawami?

— Studiowałem medycynę na Uniwersytecie – odparłem.

Wzruszyła ramionami.

— W takim razie możesz trzymać łubki, kiedy będę bandażowała. Mam dziewczynę, która mi pomaga, ale wybiegła, usłyszawszy zamieszanie na ulicy.

Jason spoglądał na mnie nerwowo, kiedy przytrzymałem

mocno drewnienka przy jego ramieniu, ale Gran, w aurze nacechowanej znudzeniem fachowości, nie zajęło nawet trzech minut zawinięcie łubków i ramienia. Przyglądając się jej działaniu, uznałem, że jest więcej warta od połowy studentów Medicum, których mógłbym wymienić z imienia. Kiedy skończyliśmy, spojrzała na Jasona.

— Masz szczęście – zapewniła go. – Nie trzeba było nic nastawiać. Nie ruszaj ręką przez miesiąc, a kość powinna się dobrze zrosnąć.

Jason wyszedł błyskawicznie, a po chwili namowy Gran pozwoliła mi obejrzeć Bila, który leżał w drugim pokoju.

Złamanie Jasona było proste, Bila zaś okropnie skomplikowane. Obie kości podudzia były zgruchotane w kilku miejscach. Nie widziałem, co się dzieje pod bandażami, ale noga była bardzo spuchnięta. Skórę powyżej opatrunku pokrywały siniaki i plamy, a napięta była jak na nadmiernie wypchanej kiełbasie.

Bil był blady, ale rześki i wyglądało na to, że prawdopodobnie ocali nogę. Inna sprawa, jaki będzie miał z niej pożytek. Mogło się okazać, że wyjdzie z tego, jedynie potężnie utykając, ale nie postawiłbym na to, że będzie jeszcze kiedykolwiek w życiu biegał.

— Jacy ludzie zabijają konia pod jeźdźcem? – zapytałem z oburzeniem, patrząc na jego lśniącą od potu twarz. – To nie w porządku.

Koń należał oczywiście do niego, a to nie było tego rodzaju miasteczko, w którym ludzie mieli nadmiar zwierząt. Bil był młodym farmerem i żonkosiem mającym niewielkie

gospodarstwo, a mogło się okazać, iż nigdy więcej nie będzie w stanie chodzić tylko dlatego, że chciał postąpić słusznie. Przykro było o tym myśleć.

Gran napoiła go dwiema łyżkami płynu z brązowej butelki, co sprawiło, że opuścił ciężkie powieki. Wyszliśmy z pokoju; felczerka zamknęła za nami drzwi.

— Czy kość przebiła skórę? – zapytałem.

Skinęła głową i odstawiła butelkę na półkę.

— Czego użyłaś, by nie doszło do zakażenia?

— Chodzi ci o gnicie? – upewniła się. – Baraniego rzepu.

— Naprawdę? – zdziwiłem się. – Nie maranty trzcinowatej?

— Maranta – prychnęła, dołożywszy do ognia i zdjawszy z niego parujący czajnik. – Próbowaleś kiedyś zapobiec gangrenie za pomocą maranty?

— Nie – przyznałem.

— To pozwól, że oszczędzę ci kłopotu zabicia kogoś. – Przyniosła dwa drewniane kubki. – Maranta jest bezużyteczna. Można ją jeść, jeśli chcesz, ale to tyle.

— Jednak maranta i bessamy wydają się idealne do tego celu.

— Bessamy jest może coś warta – zgodziła się – ale barani rzep jest lepszy. Wolałabym mieć trochę czerwonego liścia, ale nie zawsze ma się to, czego się chce. Używam pasty z liścia babki i baraniego rzepu, a sam widzisz, że Bil ma się całkiem dobrze. Marantę łatwo znaleźć, ale nie ma żadnych cennych właściwości. – Pokręciła głową. – Maranta i kamfora. Maranta i bessamy. Maranta i łodyga słonego chmielu. Maranta nie uśmierza bólu, tylko wspomaga działanie innych środków.

Otworzyłem usta, by zaprotestować, ale popatrzyłem na gęsto

pokreślony egzemplarz *Heroboriki* i zmilczałem. Gran wlała wrzątek do dwóch kubków.

— Usiądź na chwilę – powiedziała. – Wyglądasz, jakbyś się ledwo trzymał na nogach.

Zerknąłem tęsknie na krzesło.

— Powinienem chyba wracać – odparłem.

— Masz czas na kilka łyków – stwierdziła, ujmując mnie zdecydowanie za ramię i sadzając na krześle. – I szybką przekąskę. Jesteś blady jak wysuszona kość, a ja mam trochę słodkiego puddingu, a nie mam kogo nim poczęstować.

Próbowałem sobie przypomnieć, czy jadłem już wcześniej. Pamiętałem, że karmiłem dziewczyny.

— Nie chcę sprawiać więcej kłopotów – rzekłem. – Już przysporzyłem ci pracy.

— W samą porę ktoś złamał mu rękę – stwierdziła konwersacyjnym tonem. – Nie uwierzyłbyś, jaką ma niewyparzoną gębę. – Podała mi drewniany kubek. – Wypij to, a ja dam ci trochę puddingu.

Para unosząca się z kubka pachniała cudownie.

— Co to? – zapytałem.

— Owoc dzikiej róży. I trochę calvadosu, którym podtrzymuje się na duchu. – Uśmiechnęła się szeroko, co zmarszczyło obwódki jej oczu. – Mogę dodać trochę manroty, jeśli chcesz.

Uśmiechnąłem się i upiłem łyk. Ciepło napoju rozlało mi się w piersi i poczułem, że się nieco rozluźniam. To było dziwne, gdyż nie wiedziałem, iż byłem wcześniej spięty. Gran krzątała się chwilę, po czym postawiła na stole dwa talerze i usiadła na sąsiednim krześle.

— Naprawdę zabiłeś tamtych ludzi? – zapytała po prostu, bez nuty oskarżenia w głosie. Było to zwykłe pytanie.

Skinąłem głową.

— Chyba nie powinieneś być nikomu mówić – stwierdziła. – Będzie z tego zamieszanie. Będą chcieli procesu i będą musieli sprowadzić azziego z Temsford.

— Nie powiedziałem im – odparłem. – Krin to zrobiła.

— Ach – sapnęła.

Rozmowa ucichła. Przełknąłem ostatni łyk napoju, ale kiedy usiłowałem odstawić kubek na stół, dłonie drżały mi tak bardzo, że stukał o blat jak niecierpliwy gość dobijający się do drzwi.

Gran sączyła spokojnie zawartość swojego naczynia.

— Nie chcę o tym mówić – stwierdziłem w końcu. – To nie był chwalebny postępek.

— Niektórzy mogą sądzić inaczej – powiedziała łagodnie. – Myślę, że postąpiłeś słusznie.

Jej słowa przyprawiły mnie o nagły, piekący ból w głębi czaszki, jakbym miał wybuchnąć płaczem.

— Nie jestem pewny. – Głos brzmiał mi dziwnie we własnych uszach. Ręce trzęsły mi się jeszcze bardziej.

Gran nie wyglądała na zaskoczoną.

— Zaciskałeś zęby przez parę dni, co? – Jej ton dawał jasno do zrozumienia, że nie było to pytanie. – Znam to spojrzenie. Byłeś cały czas zajęty. Opiekowałeś się dziewczynami. Nie spałeś. Przypuszczalnie nie jadłeś wiele. – Podniosła swój talerz. – Zjedz pudding. Posiłek ci pomoże.

Zacząłem jeść leguminę. W trakcie zacząłem płakać, dławiąc się trochę, gdy jej porcja utknęła mi w gardle. Gran napełniła

ponownie mój kubek herbatą i dopełniła odrobiną jabłkowej brandy.

— Wypij do dna – poleciła.

Upiłem łyk. Nie zamierzałem niczego wyjaśniać, ale i tak się przekonałem, że mówię.

— Myślę, że coś może być ze mną nie w porządku – wyznałem cicho. – Normalnemu człowiekowi nic nie każe robić rzeczy, jakie ja robię. Normalny człowiek nie zabiłby tamtych ludzi.

— Możliwe – przyznała, pijąc napój. – Co byś jednak uczynił, gdybym ci powiedziała, że noga Bila zzieleniała pod bandażem i zaczęła cuchnąć?

Przestraszony poderwałem głowę.

— Ma gangrenę?

— Nie. – Pokręciła głową. – Powiedziałam, że wyjdzie z tego. Ale jeśli?

— Musielibyśmy uciąć mu nogę.

Gran skinęła poważnie głową.

— Zgadza się. I musielibyśmy to zrobić szybko. Dzisiaj. Bez wahania i nie licząc na to, że sam się jakoś wyliże. To by go jedynie zabiło. – Upiła łyk, obserwując mnie sponad krawędzi kubka i czyniąc z tego stwierdzenia pytanie.

Skinąłem głową. Wiedziałem, że to prawda.

— Zajmowałeś się medycyną – ciągnęła. – Wiesz, że właściwe leczenie polega na podejmowaniu trudnych decyzji. – Patrzyła na mnie, nie mrugając. – Nie jesteśmy podobni do innych. Przypalasz człowiekowi ranę, by przestał krwawić. Ratujesz matkę kosztem jej dziecka. To trudne i nikt ci nawet za to nie podziękuje. Jednak to my musimy dokonywać wyborów. – Upiła

wolno kolejny łyk. – Najgorzej jest na początku. Dostajesz dreszczy i nie możesz spać. Ale to cena tego, co musi być zrobione.

— Były też kobiety – przyznałem ze ściśniętym gardłem.

Oczy Gran rozbłysły.

— Należało się im w dwójnasób – stwierdziła, a wyraz gwałtownego gniewu na jej twarzy zaskoczył mnie tak bardzo, że poczułem klucie strachu obejmujące całe moje ciało. – Mężczyzna, który zrobiłby to dziewczynie, to wściekły pies. Trudno go nazwać człowiekiem... to zwierzę, które trzeba zabić. Ale pomagająca mu kobieta? To jeszcze gorsze. Wie, co robi. Wie, co to znaczy. – Gran odstawiła delikatnie kubek na blat stołu, już opanowana. – Jeśli noga gnije, odcinasz ją. – Wykonała zdecydowany gest płaską dłonią, po czym podniosła swoją porcję puddingu i zaczęła jeść go palcami. – Niektórych ludzi trzeba zabić. To wszystko na ten temat.

Zanim przyszedłem do siebie i opuściłem Gran, tłum na ulicy zgęstniał. Miejscowy karczmarz wytoczył na ganek beczkę piwa, którego słodki zapach wypełniał powietrze.

Ojciec i matka Krin przyjechali do miasteczka na deresz. Także Pete się tutaj znalazł, przybiegłszy za nimi. Podsunął mi pod nos nierozbitą głowę, bym ją obejrzał, i zażądał swoich dwóch groszy za wykonaną usługę.

Rodzice Krin podziękowali mi gorąco. Wyglądali na dobrych ludzi. Większość jest taka, jeśli dać im szansę. Wziąłem konia za wodze i posłużyłem się nim jak ruchomą ścianą, by zapewnić matce i córce chwilę rozmowy na osobności. Krin miała zaczerwienione oczy, ale twarz jasną i szczęśliwą.

— Upewnij się, że otrzymasz Zjawę. – Skinąłem w kierunku jednego z koni. – Jest twoja.

Córka burmistrza i tak dostanie swój posag, obładowałem więc konia Krin kilkoma cenniejszymi przedmiotami, dokładając większość pieniędzy fałszywych komediantów.

Spojrzała mi w oczy; twarz jej spoważniała, co ponownie przypomniało mi o młodej Dennie.

— Odjeżdżasz – stwierdziła.

Chyba miała rację. Nie próbowała mnie przekonać, bym został, tylko objęła mnie mocno, pocałowała w policzek i szepnęła mi do ucha:

— Dziękuję.

Odsunęliśmy się od siebie, wiedząc, iż przyzwoitość nie pozwala na więcej.

— Nie sprzedawaj się tanio i nie wychodź za jakiegoś głupca – poradziłem jej, czując, iż powinienem coś powiedzieć.

— Ty też nie – odpaliła; jej ciemne oczy zdawały się delikatnie drwić ze mnie.

Ująłem wodze Szarego Ogona i poprowadziłem klacz w stronę burmistrza, władczy wzrokiem obserwującego zgromadzenie. Na mój widok skinął głową. Wziąłem głęboki wdech.

— Czy konstabl jest w drodze?

Uniósł brew, po czym wzruszył ramionami i wskazał kogoś w tłumie.

— To on. Tylko że był niemal kompletnie pijany, zanim jeszcze przyprowadziłeś dziewczyny do miasteczka. Nie wiem, jaki będziesz miał teraz z niego pożytek.

— Cóż – odezwałem się z wahaniem. – Domyślam się, że ktoś

weźmie mnie pod klucz na czas potrzebny do powiadomienia azziego w Tamsford. – Ruchem głowy wskazałem niewielki budynek w centrum miasteczka.

Burmistrz zerknął na mnie zezem i zmarszczył lekko brwi.

— Chcesz, żeby cię zamknąć?

— Niezbyt – przyznałem.

— Możesz zatem iść – stwierdził.

— Azzie nie będzie zadowolony, gdy się o tym dowie – zauważyłem. – Nie chciałbym, żeby ktokolwiek stawał przed żelaznym prawem z powodu czegoś, co ja zrobiłem. Pomoc w ucieczce mordercy może być gardłową sprawą.

Wielki mężczyzna obrzucił mnie spojrzeniem. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na moim mieczu i zniszczonych butach. Niemal czułem, że zastanawia go brak poważnych obrażeń, mimo że zabiłem pół tuzina uzbrojonych mężczyzn.

— Więc dałbyś się zamknąć? – zapytał. – Tak po prostu?

Wzruszyłem ramionami. Nachmurzył się ponownie, a potem pokręcił głową, jakby nie potrafił mnie zrozumieć.

— Cóż, czy nie jesteś potulny jak baranek? – odezwał się z wahaniem. – Ale nie. Nie zamknę cię. Postąpiłeś absolutnie słusznie.

— Złamałem rękę chłopakowi – przypomniałem.

— Hmm – burknął ponuro. – Zapomnij o tym. – Sięgnął do kieszeni i wręczył mi pół grosza. – Wielce zobowiązany.

Roześmiałem się, chowając monetę.

— Oto, co myślę – ciągnął. – Pójdę się przekonać, czy uda mi się znaleźć konstabla. Potem wyjaśnię mu, że musimy cię zamknąć. Jeśli wyślizgniesz się, korzystając z zamieszania, to nie będzie

pomoc w ucieczce, prawda?

— Byłoby to zaniedbanie wykonania obowiązku – stwierdziłem. – Może zostać wychłostany albo stracić posiadłość.

— Nie powinno do tego dojść – uznał burmistrz. – Jeśli jednak, podda się temu z zadowoleniem. To wuj Ellie. – Potoczył wzrokiem po tłumie. – Czy kwadrans wystarczy ci na ucieczkę?

— Jeśli wystarczy panu – odparłem. – Mógłby pan powiedzieć, że zniknąłem w dziwny i tajemniczy sposób, kiedy odwrócił się pan plecami?

Słyszając to, roześmiał się.

— Nie widzę problemu. Potrzebujesz więcej niż piętnastu minut, by okazać się tajemniczym i w ogóle?

— Dziesięć będzie aż nadto – stwierdziłem, po czym zdjąłem z Szarego Ogona futerał z lutnią i podróżny worek i wręczyłem wodze burmistrzowi. – Wyświadczy mi pan przysługę, jeśli zajmie się pan koniem, zanim Bil stanie na nogi – rzekłem.

— Zostawiasz konia?

— Bil dopiero co stracił swojego. – Wzruszyłem ramionami. – A my, Ruh, przywykliśmy do chodzenia. Tak czy inaczej, nie wiedziałbym, co z nim począć – powiedziałem na wpuł szczerze.

Wielki mężczyzna chwycił wodze i przyglądał mi się dłuższą chwilę, jakby nie był pewny, co ma o mnie sądzić.

— Możemy coś dla ciebie zrobić? – zapytał w końcu.

— Pamiętajcie, że porwali je bandyci – powiedziałem, odwracając się do odejścia. – I że to Edema Ruh przyprowadził je z powrotem.

Przełożył Mirosław P. Jabłoński

Brandon Sanderson

RYSN



Brandon Sanderson napisał osiem powieści wydanych przez Tor – Elantris, cykl „Z mgły zrodzony”, Siewcę wojny oraz cykl „Archiwum Burzowego Światła” – a także cztery książki z serii o Alcatrazie, publikowanej przez Scholastic. Przypadło mu w udziale dokończenie cyklu „Koło czasu” Roberta Jordana: Pomruki burzy (2009), Bastiony mroku (2010) oraz A Memory of Light (2013). Jego najnowsza powieść z serii „Z mgły zrodzony”, Stop prawa, ukazała się w roku 2011. Sanderson mieszka z żoną i dziećmi w Utah. Na Brigham Young University uczy twórczego pisania.

Rysn niepewnie zeszła z czołowego wozu karawany. Jej stopy opadły na miękki, nierówny grunt, który lekko ugiął się pod nią.

To przyprawiło ją o dreszcz, zwłaszcza gdy zbyt gruba trawa nie rozstała się pod nią, jak należało. Rysn tupnęła kilka razy. Trawa ani drgnęła.

— Nie ruszy się – powiedział Vstim. – Tutejsza trawa nie zachowuje się tak, jak gdzie indziej. Na pewno o tym słyszałaś.

Starszy mężczyzna siedział pod jasnożółtą plandeką czołowego wozu. Oparł jedną rękę o bok pojazdu, a w drugiej trzymał plik ksiąg rachunkowych. Jedna z jego długich siwych brwi założona była za ucho, koniec drugiej zaś opadał swobodnie wzdłuż twarzy. Nosił sztywno wykrochmalone, niebieskie i czerwone szaty oraz stożkowaty kapelusz ze ściętym szczytem. Był to klasyczny ubiór thayleńskiego kupca: od dobrych kilkudziesięciu lat niemodny, wciąż jednak dystyngowany.

— Słyszałam o trawie – rzekła Rysn. – Ale to po prostu bardzo

dziwne.

Postąpiła jeszcze krok, po czym obesza czołowy wóz dookoła. Owszem, słyszała o tej trawie z Shinovaru, ale uznała to za jakieś rojenia. Tamci ludzie mówili, że trawa nie ustępuje, bo po prostu zbyt wolno się porusza.

A jednak nie była to prawda. Trawa nie ruszała się wcale. Jakże ona przetrwała? Czy nie powinny jej wyjść zwierzęta? Potrząsnęła w zadziwieniu głową, przyglądając się równinie. Trawa całkowicie ją pokrywała. Żdźbła stały wszędzie gęsto i nigdzie nie było widać ziemi. Beznadziejna sprawa.

— Grunt jest sprężysty – powiedziała, powracając na swoją stronę wozu. – Nie tylko z powodu trawy.

— Hmm – mruknął Vstim, wciąż zatopiony w swoich księgach rachunkowych. – Nazywamy go glebą.

— Mam uczucie, jakbym miała się zapaść po kolana. Jak Shinowie wytrzymują życie tutaj?

— To interesujący lud. Czy nie powinnaś już rozstawić naszego instrumentu?

Rysn westchnęła, ale przeszła na tył. Inne wozy karawany, razem sześć, podjechały i zatrzymały się w luźnym kręgu. Opuściła tylną klapę czołowego wozu i szarpnęła z całych sił, wyciągając na zewnątrz trójnog wielkości odpowiadającej prawie jej wzrostowi. Zarzuciła go na ramię i zniosła do środka trawiastego kręgu.

Bardziej hołdowała modzie niż jej babsk; nosiła najnowsze stroje, stosowne dla młodej kobiety w jej wieku: ciemnogrnatową wzorzystą kamizelkę z jedwabiu na jasnozielonej koszuli o długich rękawach ze sztywnymi

mankietami. Długa do kostek spódnica, również zielona, była sztywna i pasowała do spotkań w interesach, o praktycznym kroju, ale wyszywana dla elegancji.

Na lewej ręce nosiła zieloną rękawiczkę. Zakrywanie bezpiecznej dłoni było głupią tradycją, wynikającą jedynie z kulturalnej dominacji Vorinów. Lepiej było jednak zachowywać pozory. Wielu bardziej zachowawczo nastawionych Thayleńczyków, do których niestety należał również jej babsk, wciąż uważało za skandal, by kobieta odkrywała swoją bezpieczną dłoń.

Rozstawiła trójnóg. Pięć miesięcy temu Vstim stał się jej babskiem, a ona jego uczennicą. Był dla niej dobry. Nie wszyscy babskowie tacy byli; zgodnie z tradycją był kimś więcej niż jej mistrzem. Wedle prawa, dopóki nie uznał, że jest gotowa do podjęcia własnej, niezależnej działalności kupieckiej, był także jej ojcem.

Wolałaby jednak, by nie podróżował tak często do tego rodzaju dziwnych miejsc. Był znanym, wielkim kupcem, a ona uważała, że wielcy kupcy powinni podróżować do egzotycznych miast i portów. Nie powinni wyjeżdżać na jakieś opustoszałe łąki w zacofanych krajach.

Rozstawiwszy trójnóg, powróciła do wozu, żeby przynieść fabrial. Tył wozu tworzył mocną zabudowę o grubych ścianach i dachu, zapewniających schronienie przed wielkimi burzami, bo na Zachodzie nawet najsłabsze z nich mogły być niebezpieczne, a przynajmniej do chwili pokonania przełęczy wiodących do Shinovaru.

Z pudłem zawierającym fabrial podbiegła do trójnoga. Zsunęła

drewnianą pokrywę i wyjęła z wnętrza wielki heliodor. Ogromny jasnożółty kamień szlachetny o średnicy co najmniej dwóch cali umocowany był w metalowej oprawie. Błyszczał łagodnie, nie tak jasno, jak można by się spodziewać po kamieniu tej wielkości.

Osadziła go na trójnogu, po czym obróciła kilka umieszczonych pod spodem tarczy, nastawiając fabrial na ludzi z karawany. Potem wyjęła z wozu stołek i usiadła na nim, przyglądając się. Była zdumiona, jak wielką sumę Vstim zapłacił za ten instrument, jeden z najnowszych wynalazków, który ostrzegał przed zbliżającymi się ludźmi. Czy rzeczywiście było to aż tak ważne?

Rozsiadła się, patrząc na drogi kamień i próbując dostrzec, czy pojaśniał. Dziwna trawa z kraju Shinów lekko drżała na wietrze, uparcie odmawiając ugięcia się nawet pod najsilniejszym podmuchem. W oddali majaczyły białe szczyty Mglistych Gór, które otaczały Shinovar. W górach tych rodziły się i kończyły wielkie burze, przez co Shinovar był jedynym wolnym od nich miejscem w całym Rosharze.

Na równinie rosły dziwne drzewa o prostych pniach i sztywnych, przypominających szkielec gałęziach porośniętych liśćmi nieporuszającymi się na wietrze. Cały krajobraz wyglądał upiornie, jakby był już martwy. Wszystko było nieruchome. Rysn nagle uświadomiła sobie, że nie widzi żadnego sprena. Żadnego. Ani sprena wiatru, ani sprena życia, nic.

Było tak, jakby cała ta kraina straciła rozum. Jak człowiek, który urodził się upośledzony umysłowo i nie wie, jak i przed czym ma się chronić, a zamiast tego stoi zaśliniony i gapi się na ścianę. Pogrzebała palcem w ziemi, a potem podniosła go, aby

przyjrzeć się „glebie”, jak nazwał ją Vstim. Była brudna. Mało tego. Każdy silniejszy powiew wiatru mógł wykorzenić całe to pole trawy i rozwiać na cztery strony świata. Na szczęście wielkie burze nie docierały do tej krainy.

Przy wozach służba i strażnicy rozładowali skrzynie i rozbili obóz. Nagle heliodor zaczął pulsować jaśniejszym światłem.

— Mistrzu! – zawołała, wstając. – Ktoś jest w pobliżu.

Vstim, który właśnie przeglądał zawartość skrzyń, rozejrzał się bacznie. Kiwnął na Kylrma, dowódcę straży, i sześciu ludzi uniosło łuki.

— Tam – powiedział jeden z nich, celując.

Z oddali nadjeżdżała grupa jeźdźców. Jechali dość wolno, prowadząc stado wielkich zwierząt wyglądających jak grube, przysadziste konie i ciągnących za sobą wozy. Drogi kamień w fabrialu połyskiwał coraz jaśniej w miarę zbliżania się gości.

— O tak – powiedział Vstim, patrząc na fabrial. – To będzie bardzo użyteczne. I ma dobry zasięg.

— Ależ my wiedzieliśmy, że oni przyjadą – odparła Rysn, wstając ze stołka i podchodząc bliżej.

— Tym razem – odrzekł Vstim. – Jeśli jednak ostrzeże nas przed bandytami czającymi się w ciemności, opłaci się nam dziesięciokrotnie. Kylrmie, opuście łuki. Wiecie, jak oni to odbierają.

Strażnicy zrobili tak, jak im powiedziano, a cała grupa Thayleńczyków zamarła w oczekiwaniu. Rysn przyłapała się na tym, że nerwowo pociąga za końce swoich brwi, choć zupełnie nie wiedziała, czym się przejmuje. Przybysze byli tylko Shinami. Vstim oczywiście nalegał, żeby nie myślała o nich jak o

dzikusach. Najwyraźniej darzył ich wielkim szacunkiem.

Gdy podeszli bliżej, zaskoczyła ją różnorodność ich wyglądu. Inni Shinowie, których widywała, nosili proste brązowe szaty lub inną odzież roboczą. Na czele tej grupy jechał jednak mężczyzna, który miał na sobie coś, co musiało być najwspanialszym strojem Shinów: jasną, wielobarwną pelerynę, która owijała go zupełnie, zapiętą szczelnie z przodu. Jej końce opadały z obu stron konia, niemal wlokąc się po ziemi. Z peleryny wystawała tylko głowa mężczyzny.

Otaczało go czterech jeźdźców ubranych w bardziej powściągliwe, nieco ciemniejsze stroje. Wciąż barwne, ale nie aż tak. Mieli koszule, spodnie i kolorowe kapy.

Obok nich szły przynajmniej trzy tuziny mężczyzn w brązowych tunikach. Jeszcze większa grupa ciągnęła trzy duże wozy.

— Oho – szepnęła Rysn. – Przeprowadził mnóstwo służących.

— Służących? – spytał Vstim.

— Mówię o tych ubranych na brązowo.

Babsk uśmiechnął się.

— To są jego strażnicy, moje dziecko.

— Co? Wyglądają tak głupio.

— Shinowie to dziwny naród – powiedział. – Wojownicy u nich to najniżsi z ludzi. Coś w rodzaju niewolników. Sprzedaje się ich i kupuje za pomocą małych kamieni oznaczających własność, a każdy mężczyzna, który weźmie do ręki broń, musi się do nich przyłączyć i zgodzić na takie samo traktowanie. A ten człowiek w fantazyjnej pelerynie? To jest rolnik.

— Czyli właściciel ziemski?

— Nie. O ile wiem, wyjeżdża codziennie, to znaczy w tych dniach, w których nie przewodzi takim negocjacom, i uprawia pola. Oni traktują wszystkich rolników w ten sposób. Darzą ich uwagą i szacunkiem.

— Ależ większość wiosek jest pełna rolników! – Rysn rozdziawiła usta w zdumieniu.

— Rzeczywiście – odrzekł Vstim. – Ale tutaj są to święte miejsca. Cudzoziemców nie dopuszcza się w pobliże pól i rolniczych wiosek.

Jakie to dziwne, pomyślała. Może mieszkanie w takim miejscu odebrało im rozum.

Kyrlm i jego strażnicy nie wyglądali na zachwyconych przytłaczającą liczbą przybyłych, ale Vstim najwyraźniej się tym nie przejmował. Gdy Shinowie podjechali bliżej, bez cienia niepokoju wyszedł spośród wozów. Rysn rzuciła się za nim, omiatając spódnicą trawę pod stopami.

Kłopot, pomyślała. Kolejny problem z powodu jej sztywności. Jeżeli się okaże, że z winy tej trawy będzie musiała kupić nowe obszycie spódnicy, to naprawdę się pogniewa.

Vstim podszedł do Shinów, po czym uklonił się dystyngowanie, z dłońmi skierowanymi ku ziemi.

— *Tan balo ken tala* – powiedział.

Rysn nie wiedziała, co to znaczy.

Mężczyzna w barwnej pelerynie – ten rolnik – skinął głową z szacunkiem, a jeden z towarzyszących mu jeźdźców zsiadł z konia i postąpił ku nim.

— Niechaj prowadzą cię Wiatry Fortuny, przyjacielu. – Bardzo dobrze mówił po thayleńsku. – Ten, który dodaje, cieszy się, że

dojechaliście bezpiecznie.

— Dziękuję, Threshu–synu–Esana – odrzekł Vstim. – I ja dziękuję temu, który dodaje.

— Cóż takiego przywiozłeś nam z twego dziwnego kraju, przyjacielu? – zapytał Thresh. – Więcej metalu, mam nadzieję?

Vstim uczynił gest ręką i strażnicy przynieśli ciężką skrzynię. Postawili ją i podważyli wieko, ujawniając jej szczególną zawartość. Skrawki metalu, w większości mające kształt kawałków muszli, choć niektóre przypominały kawałki drewna. W oczach Rysn wyglądało to jak śmieci z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Psychoemitowane w metal.

— Ach – westchnął Thresh, kucając, żeby lepiej zajrzeć do wnętrza skrzyni. – Cudowne!

— Żaden kawałek nie pochodzi z kopalni – powiedział Vstim. – Nie rozbijano ani nie przetapiano żadnych skał, żeby wydobyć ten metal, Thresh. Był on Psychoemitowany z muszli, kory bądź gałęzi. Mam dokument podpisany przez pięciu niezależnych thajleńskich notariuszy, który to poświadcza.

— Nie musiałeś robić nic takiego – powiedział Thresh. – Już dawno temu zaskarbiłeś sobie nasze zaufanie.

— Wolę być skrupulatny – odparł Vstim. – Kupiec, który niedbale traktuje umowy, to ktoś, kto swoich przyjaciół zamieni wkrótce we wrogów.

Thresh wstał i trzy razy zaklaskał w dłonie. Mężczyźni w brązowych strojach ze spuszczonej oczyma przechylili tył wozu, pokazując skrzynię.

— Innym, którzy do nas przyjeżdżają, zależy, jak się zdaje, tylko na kupowaniu koni. Ty jednak nigdy tego nie robisz,

przyjacielu. Dlaczegoż to?

— Opiekowanie się nimi to ciężka praca – powiedział Vstim, idąc obok Thresha. – I choć są cenne, inwestycja często nie jest zbyt opłacalna.

— Ale nie w przypadku tych istot tutaj? – spytał Thresh, podnosząc jedną ze skrzyń. Było w niej coś żywego.

— Wcale nie – odrzekł Vstim. – Kurczęta mają przystępną cenę i łatwo jest o nie dbać, jeśli oczywiście masz czym je karmić.

— Przywieźliśmy ci ich mnóstwo – powiedział Thresh. – Aż trudno mi uwierzyć, że je od nas kupujesz. Nie są warte aż tak wiele, jak się wam, cudzoziemcom, wydaje. A ty dajesz nam za nie metal! Metal, który nie nosi na sobie śladów rozłupywania skał. Cud.

Vstim wzruszył ramionami.

— Tam, gdzie mieszkam, takie skrawki są praktycznie bezwartościowe. Są robione przez tych, którzy żarliwie praktykują u Psychoemiterów. Nie wolno im robić pożywienia, bo może ono okazać się trujące, jeśli popełnią błąd. Zamieniają więc śmieci w metal i wyrzucają.

— Ale przecież można go przekuć!

— Po co kuć metal, skoro można wyrzeźbić kształt w drewnie, a potem go Psychoemitować? – odparł Vstim.

Speszony Thresh pokręcił głową. Rysn też patrzyła na to w zmieszaniu. Była to najbardziej szalona wymiana handlowa, jaką kiedykolwiek zdarzyło się jej widzieć. Zwykle Vstim argumentował i negocjował w sposób miażdżący. A tutaj dobrowolnie oświadczał, że jego towar jest bezwartościowy!

W istocie obaj, w miarę postępu rozmowy, usilnie dowodzili,

jak bardzo pozbawione wartości są ich towary. Na koniec doszli do porozumienia, choć Rysn nie rozumiała, w jaki sposób, i wymienili uścisk dłoni na znak zawarcia umowy. Kilku żołnierzy Thresha zaczęło wyładowywać skrzynie z kurczętami, odzieżą i egzotycznymi, suszonymi wędlinami. Inni ładowali na wozy skrzynie ze skrawkami metalu.

— A może mógłbyś sprzedać mi jakiegoś żołnierza, co? – zapytał Vstim, gdy stali, czekając.

— Obawiam się, że nie można ich sprzedawać cudzoziemcom.

— Ale przecież sprzedałeś mi kiedyś jednego...

— Minęło prawie siedem lat – roześmiał się Thresh – a ty wciąż o to pytasz!

— Nie wiesz, co za niego dostałem – odparł Vstim. – A ty oddałeś mi go praktycznie za bezcen!

— Był Pozbawiony Prawdy – odrzekł Thresh, wzruszając ramionami. – Nie był nic wart. Zmusiłeś mnie, bym przyjął wtedy coś w zamian, i prawdę mówiąc, musiałem wyrzucić twoją zapłatę do rzeki. Nie mogłem przecież przyjąć pieniędzy za Pozbawionego Prawdy.

— Ach, no cóż, nie obrażę się chyba – powiedział Vstim, pocierając podbródek. – Ale jeśli kiedyś znajdziesz jakiegoś, daj mi znać. To najlepszy służący, jakiego miałem. Wciąż żałuję, że go sprzedałem.

— Będę o tym pamiętał, przyjacielu – rzekł Thresh. – Ale mało prawdopodobne, byśmy znaleźli jakiegoś podobnego do niego. – Wydawał się mówić z rosnącym roztargnieniem. – Doprawdy, powinienem mieć nadzieję, że nigdy takiego nie znajdziemy...

Gdy towary zostały wymienione, ponownie uścisnęli sobie

ręce, a Vstim ukłonił się rolnikowi. Rysn spróbowała go naśladować i zasłużyła sobie na uśmiech ze strony Thresha i kilku jego towarzyszy, którzy rozmawiali w szeleszczącym języku shińskim.

Taka długa, nudna jazda, żeby dokonać takiej krótkiej wymiany. Vstim jednak miał rację; kurczęta będą wiele warte na Wschodzie.

— Czego się nauczyłaś? – zapytał Vstim, gdy szli z powrotem w stronę czołowego wozu.

— Że Shinowie są dziwaczni.

— Nie – odparł Vstim głosem pozbawionym srogości. Nigdy nie sprawiał wrażenia zagniewanego. – Są po prostu inni, moje dziecko. Dziwaczni są ci, którzy postępują w sposób niezrównoważony. Threshowi i jego ziomkom z pewnością nie brak zrównoważenia. Być może są aż nazbyt stali. Świat zewnętrzny się zmienia, ale Shinowie najwyraźniej postanowili pozostać tacy sami. Próbowiałem proponować im fabriałe, ale oni uważają je za bezwartościowe. Lub pozbawione świętości. A może zbyt święte, żeby się nimi posługiwać.

— To chyba dwie różne rzeczy, mistrzu.

— Tak – odparł. – Ale u Shinów bywają trudne do rozróżnienia. Mimo wszystko, czego tak naprawdę się nauczyłaś?

— Że ćwiczą się w pokorze tak samo jak Herdazowie w przechwałkach – odpowiedziała. – Obaj schodziliście sobie z drogi, żeby wykazać, jak bezwartościowe są wasze towary. Wydaje mi się to dziwne, ale kto wie, może oni tak właśnie się targują?

Uśmiechnął się szeroko.

— Już okazałaś się mądrzejsza od połowy ludzi, z którymi tu przyjeżdżałem. Posłuchaj. Oto twoja lekcja. Nigdy nie próbuj oszukać Shina. Bądź szczerą, mów prawdę, a gdy przyjdzie co do czego, staraj się pomniejszać wartość twoich dóbr. Oni pokochają cię za to. A do tego dobrze ci za to zapłacą.

Skinęła głową. Doszli do wozu, a on wyciągnął osobliwą małą doniczkę.

— Masz – powiedział, podając jej nóż. – Użyj noża i wykop trochę tej trawy. Postaraj się wciąć głęboko i zgarnąć dużo gleby. Rośliny nie potrafią bez niej żyć.

— Po co mam to robić? – zapytała, marszcząc nos i biorąc doniczkę.

— Ponieważ będziesz musiała nauczyć się dbać o tę roślinę – odparł. – Chcę, żebyś zachowała ją tak długo, aż przestaniesz myśleć o niej jak o czymś dziwnym.

— Ale dlaczego?

— Bo dzięki temu będziesz lepszym kupcem – odpowiedział.

Zmarszczyła brwi. Czy zawsze musi być taki dziwny? Być może dlatego był jednym z nielicznych Thayleńczyków, którym udało się uzyskać coś od Shinów. Był tak samo pokręcony jak oni.

Poszła zrobić, co jej nakazał. Narzekanie nie miało sensu. Wyjęła jednak parę grubych rękawic i podwinęła wysoko rękawy. Nie zamierzała zniszczyć sobie dobrego ubrania dla doniczki głupiej, bezmyślnie gapiącej się na ścianę trawy – i tyle.

Przetłóżył Jerzy Moderski

Michael Moorcock

GDY BOGOWIE SIĘ ŚMIEJĄ



Michael Moorcock jest najbardziej znany z przetomowego dla gatunku magii i miecza cyklu z albinosem i antybohaterem Elrykiem z Melniboné. Do sagi z Elrykiem należą m.in. książki Zwiastun Burzy, Kronika Czarnego Miecza, Śniące miasto i wiele innych. Do kolejnych ważnych dzieł Moorcocka można zaliczyć cykle „Wieczny Wojownik” i „Warrior of Mars” oraz serie o Jerrym Corneliusie i Hawkmoonie. Moorcock jest laureatem licznych nagród, w tym kilku za całokształt twórczości, takich jak Grand Master Award przyznawana przez SFWA, zaliczenie do SF Hall of Fame, a także nagrody World Fantasy i Stokera.

*Ja, gdy bogowie się śmieją, jestem wirem świata,
Malstromem namiętności tych ukrytych mórz,
Których fale szturmują brzegi me przez lata,
Mroczne wody skłębione wiodą mnie przez kurz.
Mervyn Peake, *Shapes and Sounds*, 1941*

1

Pewnej nocy, gdy markotny Elryk pił samotnie w tawernie, bezskrzydła kobieta z Myyrrhn wychynęła z burzy i spoczęła obok niego.

Miała szczupłą twarz o delikatnych rysach, niemal tak samo białą jak oblicze albinosa. Otulała się cieniutkimi, bladozielonymi szatami, których barwa ostro kontrastowała z ciemnorudymi włosami.

Rozjaśniona gospoda pełna była głośno rozmawiających i śmiejących się ludzi, ale książę usłyszał jej słowa wyraźnie, jakby zgiełk nie stanowił dla nich żadnej przeszkody.

— Szukam cię od dwudziestu dni – powiedziała do Elryka, który rozparty w wysokim fotelu przyglądał się jej wyniośle spod ociężałych powiek. W prawej dłoni trzymał srebrny puchar z winem, lewą położył na jelcu swego miecza, Zwiastuna Burzy.

— Dwadzieścia dni – mruknął Melnibonéanin pod nosem z rozmyślną nieuprzejmością. – To długa wędrówka jak na tak piękną i samotną kobietę. – Otworzył oczy nieco szerzej, po czym zwrócił się wreszcie wprost do niej: – Jak z pewnością wiesz, jestem Elrykiem z Melniboné. Nie oczekuję niczych łask i o żadne nie proszę. Pamiętaj o tym. A teraz wyjaśnij, czemu właściwie szukałaś mnie aż tak długo.

— Zgorzkniałeś, Elryku – odezwała się spokojnie kobieta, niezrażona podejrzliwością albinosa. – Zresztą dla mnie to nic nowego. Wiem zarówno o tym, jak i o twoim kompleksie winy, której powody obrosły już w legendę. Nie szukam zatem przychylności, tylko przynoszę siebie i pewną propozycję. Czego pragniesz najbardziej na świecie?

— Spokoju – rzucił Elryk i uśmiechnął się ironicznie. – Wiesz, pani, zły ze mnie człowiek, który niewątpliwie wyląduje kiedyś w piekle, nie jestem jednak głupcem ani oszustem. Legenda to czy nie, pozwól, że przypomnę ci, jak było naprawdę. Rok temu ostrze mego wiernego miecza odebrało życie pewnej niewieście. – Poklepał broń, a jego oczy przybrały nagle poważny wyraz. – Od tamtego czasu unikam kobiet, żadnej nie pragnąc. Czemu niby teraz miałbym zachować się inaczej? Owszem, mógłbym zacząć czarować cię wierszami, wychwalać twe piękno i wdzięk, które uznaję za nietuzinkowe, ale nie ma sensu, bym próbował składać na czyjeś barki nawet część gniołającego mnie brzemienia.

W każdym razie nie na twoje. A jakiegokolwiek nasze bliższe kontakty do tego by właśnie, koniec końców, doprowadziły. – Umilkł na chwilę. – Ponadto muszę dodać, że krzyczę przez sen i często popadam w depresje, podczas których jestem zupełnie nie do życia. Odejdź, pani, póki możesz spokojnie to uczynić, i zapomnij o Elryku, bo inaczej ściągniesz jedynie biedę na swą głowę.

Odwrócił się od niej, uniósł srebrny puchar i wypił do dna, po czym zaraz ponownie napełnił go winem ze stojącego obok fotela dzbana.

— Nie – spokojnie odparła bezskrzydła kobieta z Myyrrhn. – Nie odejdę. To ty chodź ze mną.

Wstała i łagodnie ujęła dłoń Elryka. Nie mając pojęcia, dlaczego właściwie się na to godzi, księżę pozwolił, by wyprowadziła go z tawerny wprost na wicherę wyjąca na ulicach Raschilu, stolicy Filkharu. Na wszelki wypadek przywołał na usta cyniczny uśmiech, ona zaś powiodła go na sam skraj smaganego morzem brzegu, gdzie zdradziła mu swe imię: Shaarilla z Tańczącej Mgły, bezskrzydła córka nieżyjącego już nekromanty. Istota odrzucona, kaleka w swym własnym kraju.

Elryka zaczął ogarniać niepokój. Łagodnooka kobieta coraz bardziej go intrygowała, a na dodatek poczuł, że ozywają w nim emocje, których nie myślał już kiedykolwiek doświadczać. Pragnął objąć jej krągłe ramiona i przycisnąć szczupłe ciało do swojego. Zwalczył jednak pokusę i przyjrzał się tylko uważniej jej marmurowym rysom i burzy włosów spowijających jej głowę.

Stali tak, jakby obawiali się spłoszyć odrobinę intymnej ciszy, która zapadła pomiędzy nimi pomimo ponurego zawodzenia

wiatru i huku fal. Elrykowi przestał nagle przeszkadzać smród miasta, ogarnął go niemal spokój. W końcu ona oderwała od niego spojrzenie i zerkając na skotłowane morze, powiedziała:

— Słyszałeś, jak sędzę, o Księdze Martwych Bogów?

Elryk przytaknął. Mocne wciąż pragnienie izolacji i samotności zaczynało ustępować zainteresowaniu. Legendarna Księga zawierać miała rozwiązanie większości problemów, które gnębiły ludzkość od wieków. Podobno była skarbnicą świętej i wszechpotężnej mądrości, marzeniem każdego czarownika. Legenda dodawała jednak, że Księga została zniszczona, że ciśnięto ją w słońce, a stać się to miało wtedy, gdy Starzy Bogowie umierali pośród kosmicznych pustkowi daleko, daleko poza układem słonecznym. Inna jeszcze legenda, najpewniej o wiele późniejsza, napomykała coś mgliście o mrocznych indywiduach, które przechwyciły lecącą ku słońcu Księgę. Większość autorytetów odrzucała tę drugą wersję, dowodząc, że gdyby tak było, to Księga już dawno musiałaby gdzieś się ujawnić.

— Czemu wspominasz o Księdze? – spytał Elryk od niechcienia, udając brak zainteresowania.

— Bo mam pewność, że istnieje – odparła z naciskiem. – Wiem też, gdzie jest. Mój ojciec powiedział mi to przed śmiercią. Jeśli pomożesz mi ją zdobyć, mieć będziesz i ją, i mnie.

Może w Księdze zapisano też sposób na znalezienie spokoju? – pomyślał Elryk. Gdyby tak było, to czy udałoby mu się na dobre rozstać ze Zwiastunem Burzy?

— Jeśli tak bardzo jej pragniesz – powiedział w końcu – by aż u mnie szukać pomocy, to czemu nie chcesz zatrzymać jej wyłącznie dla siebie?

— Bo bałabym się mieć coś takiego pod moją wyłączną pieczę. To nie jest księga dla kobiety. Ty zaś jesteś zapewne ostatnim na tym świecie wielkim znawcą czarnej magii. Tobie ta księga przystoi. Poza tym zdolny byłbyś mnie zabić, by ją zdobyć, więc tym samym nigdy nie byłabym bezpieczna. Tak naprawdę to potrzebuję zaledwie drobnej części twojej wiedzy.

— Czyli? – spytał Elryk, uważnie przyglądając się jej pięknemu obliczu i czując, jak jego opór topnieje.

Zacisnęła usta i opuściła oczy.

— Gdy będziemy już mieli Księgę, wtedy ci powiem. Nie wcześniej.

— Odpowiedź dobra jak każda inna i póki co mi wystarczy – mruknął Elryk, widząc, że na razie nie dowie się niczego więcej. Zanim w pełni zdał sobie sprawę z tego, co czyni, wziął ją w ramiona i przycisnął swe blade wargi do jej szkarłatnych ust.

Elryk i Shaarilla jechali na zachód, ku Milczącym Krainom. Dwa dni temu ich statek dobił do wybrzeży żyznych równin Shazaaru. Niedługo dotrzeć mieli do granicy kraju leżącego pomiędzy Shazaarem a Milczącymi Krainami, niezamieszkanego obszaru, gdzie nawet wieśniacy niechętnie się zapuszczali, pomimo iż była to okolica urodzajna i bogata w surowce. Shazaar nie próbował nigdy rozrastać się w tym kierunku, a mieszkańcy Milczących Krain rzadko pokazywali się po drugiej stronie Mglistych Moczarów, naturalnej granicy pomiędzy krainami. Zresztą Shazaarczykcy skłonni byli traktować słabo znanych sąsiadów z wręcz zabobonnym strachem.

Elryk i Shaarilla podróżowali szybko i bez przeszkód, chociaż atmosfera robiła się coraz bardziej złowieszcza. Czasem spotkali

ludzie, którzy przecież nie mieli pojęcia o celu ich wędrówki, ostrzegali przed coraz bliższym niebezpieczeństwem. Elrykowi nie poprawiało to humoru, ale nic nie mówił i nie dzielił się obawami z Shaarillą, której zdawało się odpowiadać milczenie księcia. W ogóle mało rozmawiali za dnia, zachowując siły na nocne miłosne szaleństwa.

Jedynymi dźwiękami naruszającymi ciszę pogodnego, zimowego dnia były podzwanianie zbroi i oręża Elryka oraz tętent dwóch koni zmierzających niepewnym szlakiem ku Mglistym Moczarom.

Pewnego ponurego wieczoru dotarli wreszcie do bagien wytyczających granice Milczących Krain. Zatrzymali się tam, rozbijając jedwabny namiot na wzgórzu ponad spowitym w mgliste opary pustkowiec.

Księżyc chwilami wyglądał spoza ciągnących przez całe niebo czarnych chmur, z rzadka rzucając dość blasku, by można było dojrzeć połyskliwe powierzchnie błot czy okalające je trzciny. W pewnej chwili osrebrzył nawet Elryka, ale zaraz zniknął, jakby spłoszony widokiem tak niezwyklej istoty, zostawiając księcia w głębokim zamyśleniu i w ciemności, której tak bardzo pragnął.

Ponad odległymi górami przetoczył się grom, załomotał echem niczym śmiech bogów. Elryk zadrżał i ciałniej otulił się płaszczem, nie odrywając spojrzenia od zamglonego krajobrazu.

Shaarilla rychło dołączyła do towarzysza podróży. Stała obok w grubej, wełnianej opończy, która jednak do końca nie chroniła przed przenikliwym chłodem.

— Milczące Krainy – mruknęła. – Czy te wszystkie opowieści mają coś z prawdy, Elryku? Uczono cię o tym w dawnym

Melniboné?

Elryk zmarszczył brwi, zły, że mu przeszkodzono. Obrócił się ku niej gwałtownie, spojrzał obojętnie szkarłatno-irysowatymi oczami.

— Ich mieszkańcy budzą lęk i nie są ludźmi – odparł beznamiętnie. – Tyle wiem. Dotąd mało kto odważył się tam zapuścić, a z tego, co pamiętam, nikt nie wrócił. Nawet w czasach, gdy Melniboné było metropolią potężnego imperium, to naród Milczących Krain był jedynym, nad którym moi przodkowie nie mieli władzy i wcale jej nie pragnęli. Podobno jest to wymierająca rasa, o wiele bardziej przesiąknięta złem niż moi ojcowie. Cieszyła się ona władzą nad całą Ziemią na długo przedtem, nim człowiek dorósł do panowania. Tutejsi mieszkańcy rzadko wypuszczają się poza swe terytorium, szczególnie teraz, gdy góry i bagna odgradzają ich od świata.

Shaarilla roześmiała się.

— A zatem to w ogóle nie są ludzie? To co powiesz o moich pobratymcach, którzy podobno są z nimi spokrewnieni? Co powiesz o mnie, Elryku?

— Dla mnie jesteś dość ludzka – odparł Elryk obojętnie, patrząc jej w oczy.

Uśmiechnęła się.

— Powiedzmy, że to był komplement. Może z czasem znajdziesz lepszy.

Tej nocy spali niespokojnie. Tak jak Elryk oczekiwał, powróciły koszmary i często wykrzykiwał przez sen imię, na którego dźwięk oczy Shaarilli wypełniały się smutkiem i zazdrością. Elryk wzywał Cymoril. Zdawał się widzieć ją w majakach,

przemawiał do niej tajemniczymi słowami, których Shaarilla wolała nie słyszeć. Roztrzęsiona zatkała zatem uszy.

Następnego ranka zwinęli obóz. Gdy wspólnie składali szeleszczącą materię żółtego namiotu, Shaarilla unikała spojrzenia Elryka, później jednak, gdy on wciąż się nie odzywał, zdecydowała się zadać mu nieco drżącym głosem pytanie, które musiała zadać, mimo iż nie było to łatwe.

— A czemu ty pożądasz Księgi Martwych Bogów? Czego pragniesz w niej poszukać?

Elryk wzruszył ramionami, zbywając pytanie, ale ona powtórzyła je tym razem wolniej, z naciskiem.

— Skoro chcesz wiedzieć, to niech będzie – odparł w końcu. – Ale to dłuższa historia. Można powiedzieć, że poszukuję dwóch rzeczy.

— Jakich, Elryku?

Wysoki albinos upuścił na trawę składany właśnie namiot i westchnął. Przesunął nerwowo palcami po jelcu miecza.

— Przede wszystkim, czy istnieje może ostateczny Bóg, czy nie? Muszę to wiedzieć, Shaarillo, jeśli mam z sensem pokierować swoim życiem. Naszymi żywotami rządzą Władcy Ładu i Chaosu, ale czy jest jeszcze ktoś potężniejszy od nich?

Shaarilla położyła dłoń na ramieniu Elryka.

— A po co ci ta wiedza?

— Czasem tęsknię do boga łaskawego, życzliwego i łagodnego. Moje myśli błądzą po nocy, przedzierając się przez czarną pustkę, i poszukują czegoś, czegokolwiek, co przyniosłoby mi nadzieję, ogrzało, obroniło, powiedziało jasno i wyraźnie, że w tym chaotycznym wszechświecie jest jednak pewien ład, że w

jego istnieniu kryje się jakaś głębsza myśl, że nie jest to tylko przypadkowy przebłysk szaleństwa na wieki trwającej, złośliwej anarchii wydarzeń.

Elryk westchnął jak ktoś pozbawiony nadziei.

— Bez potwierdzenia, że istnieje jednak jakiś porządek rzeczy, jedyne ukojenie przynosi mi akceptacja anarchii. W ten sposób poddaję się radośnie chaosowi, mówiąc sobie, że i tak wszyscy od narodzin jemu jesteśmy podlegli, a nasze mgnienie oka trwające przekłete istnienie pozbawione jest znaczenia. A wówczas mogę uznać, że nasza samotność jest absolutna i nieokreślona, wieczna bowiem, skoro nie było nigdy nikogo, kto by nas obronił. Długo nad tym myślałem, Shaarillo, i wszystko zdaje się wskazywać na to, że anarchia dominuje. Pomimo wszelkich praw, które odnajdujemy u podstaw naszych działań, czarów i logiki, to jednak chaos rządzi światem. Gdyby Księga stwierdzała, że jest inaczej, wówczas chętnie to zaakceptuję. Do tej chwili jednak skłonny jestem pokładać wiarę wyłącznie w moim mieczu i w sobie samym.

Shaarilla wpatrywała się w Elryka zdumiona.

— Czy te twoje wywody nie są przypadkiem wynikiem niedawnych jeszcze wydarzeń? A może tkwi gdzieś w tobie lęk przed karą za morderstwo i zdradę? Czy nie prościej jednak byłoby ci uwierzyć w taki pusty świat, w którym sprawiedliwość zdarza się jedynie przypadkiem?

Elryk spojrział na nią z irytacją, ale nim się odezwał, minęła mu wszelka złość. Opuścił oczy.

— Może – powiedział bez przekonania. – Nie wiem. Taka jest prawda, Shaarillo, że nie wiem.

Dziewczyna przytaknęła, a na jej twarzy odmalowało się współczucie. Elryk jednak nie dojrzał tego, gdyż jego oczy wypełniły się łzami, które pociekły po pociągłym obliczu, odbierając mu chwilowo wszelką siłę i ochotę do działania.

— Jestem opętany – jęknął. – Bez tego diabelskiego miecza, który noszę u boku, w ogóle nie byłbym człowiekiem.

2

Dosiedli szybkich czarnych koni i dzikimi okrzykami pogonili je ze wzgórza ku bagnetom. Płaszczki łopotwały za nimi na wietrze. Twarze obojga były poważne i zacięte, jakby w próbie stawienia oporu gnębiącej ich, bolesnej niepewności.

Ledwie zdołali wyhamować, gdy kopyta koni zachlupotały na podmokłym gruncie.

Elryk zaklął i ściągnął wodze, kierując wierzchowca na suchy teren. Shaarilla również opanowała swego spanikowanego ogiera, wyprowadzając go z mokradła.

— Jak tu przejechać? – spytał niecierpliwie Elryk.

— Była kiedyś mapa... – zaczęła niepewnie Shaarilla.

— I gdzie jest?

— No... zginęła. Zgubiłam ją. Starłam się jednak potem przypomnieć ją sobie i myślę, że dam radę przeprowadzić nas bezpiecznie.

— Jak mogłaś ją zgubić? Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – indagował albinos.

— Przykro mi, Elryku, ale w przeddzień naszego spotkania zdarzyło się coś dziwnego. Cały dzień umknął z mej pamięci, nawet nie wiem jak. Gdy się ocknęłam, mapy nie było.

Elryk zmarszczył czoło.

— A zatem jakaś siła sprzysięgła się przeciwko nam. Na pewno – mruzczał. – Miejmy nadzieję, że twoja pamięć nie jest zbyt zawodna. Te bagniska mają złą sławę na całym świecie, ale jeśli wierzyć pogłoskom, nie grozi nam nic ponad to, co mogłoby nas spotkać na każdym innych mokradłach. – Skrzywił się i musnął palcem rękojeść miecza. – Ty pierwsza, Shaarillo, ale nie oddalaj się zanadto. Prowadź.

Dziewczyna przytaknęła ponuro, zwróciła konia na północ i pogalopowała skrajem trzęsawisk, aż dotarli do wielkiej, samotnej i pstrokatej skały. Tu zaczynała się szeroka na niecałe półtora metra, trawiasta ścieżka. Mimo iż dalej ginęła w snujących się mgłach, wyglądała jednak na drogę pewną. Shaarilla ostrożnie wprowadziła na nią konia, po chwili poganając go do powolnego kłusa. Elryk podążył za nią.

Wierzchowce niechętnie zagłębiły się w białawych oparach i jeźdźcy musieli skrócić cugle. Mgła wyciszała okolicę, a z ciągnącej się po obu bokach stojącej wody dobywał się smród rozkładu. Nie było słyhać ani jakiegokolwiek szelestu przemykających drobnych zwierząt, ani pokrzykiwania żadnego ptaka. Wszechobecna, ciężka cisza deprymowała konie i wędrowców.

Z panicznym lękiem Elryk i Shaarilla jechali coraz głębiej w osobliwe Mgliste Mokradła, uważnie rozglądając się wokoło i czujnie łowiąc wszystkie zapachy.

Kilka godzin później, gdy słońce minęło już południe, koń Shaarilli zarżał gwałtownie. Dziewczyna krzyknęła na Elryka. Twarz miała wykrzywioną strachem, a oczy utkwione w mglisty

opar. Książę pogonił wierzchowca i szybko dołączył do Shaarilli.

Coś poruszało się powoli w lepkiej bieli. Elryk sięgnął prawą dłońią do lewego boku i ujął rękojeść Zwiastuna Burzy.

Ostrze wydostało się z krzykiem na zewnątrz. Czarny ogień igrał na klindze, a obca, straszna siła popłynęła z oręża w ciało księcia. Oczy albinosa zapłonęły chorą czerwienią, a usta wykrzywiły się szyderczo, gdy pogonił konia ku mglistym kształtom.

— Ariochu, Panie Siedmiu Mroczności, nie opuszczaj mnie teraz! – krzyknął, dostrzegając niewyraźną postać.

Była niemal równie biała jak mgła, trochę jednak ciemniejsza. Wysoka prawie na trzy metry i na tyle samo szeroka, wyciągnęła się wysoko ponad głowę Elryka. Wciąż jednak istniała tylko pod postacią zarysów, zdawała się nie mieć ani twarzy, ani kończyn, widniała jako sam ruch, który swą istotą nie wróżył nic dobrego. Arioch, boski patron Melnibonéanina, postanowił udać tym razem, że nic nie słyszy.

Elryk czuł, jak mocno bije wielkie serce konia, który jednak nie próbował wyrwać się spod kontroli jeźdźca. Shaarilla krzyczała coś, ale książę tego nie słyszał. Ciał niewyraźny kształt, napotykać jedynie mgłę, która zawyła ze złością. W tejże chwili skończyła się cierpliwość przerażonego do szaleństwa konia i Elryk musiał zeskoczyć z siodła.

— Zajmij się nim – krzyknął do Shaarilli i ruszył ku kłębiącej się postaci, która całkowicie zablokowała ścieżkę.

Teraz był w stanie dostrzec więcej. Z góry spoglądało nań dwoje oczu o barwie jasnego wina, chociaż stwór nie posiadał wyraźnej głowy. Tuż poniżej otwierał się zaśliniony pysk pełen

kłów. Brakowało tak uszu, jak i nosa, gdzieś z górnych partii wyrastały za to cztery wypustki, dolna partia ciała zaś, jakby pozbawiona nóg, po prostu spływała na ziemię. Od samego widoku tego monstrum mogła rozboleć głowa. Nie dość, że było obrzydliwe, to jeszcze paskudnie zionęło smrodem śmierci i rozkładu. Zmagając się ze strachem, albinos zbliżał się krok po kroku, gotów odparować mieczem każdy atak stworzenia, które kojarzyło mu się ze słyszonym niegdyś opisem tak zwanych Mglistych Gigantów, a może nawet jednego tylko, zwanego Bellbane. Nawet najmędrsi czarnoksiężnicy nie potrafili orzec, ile ich naprawdę istnieje, jeden czy więcej. Był to upiór z rodzaju bytującego na terenach podmokłych, który żywi się duszami i krwią ludzi oraz zwierząt. Jednak te mokradła znajdowały się daleko na wschód od prawdopodobnego żerowiska Bellbane'a.

Elryk przestał się dziwić, czemu tak mało zwierząt zamieszkuje te okolice. Z wolna zaczynało zmierzchać.

Zwiastun Burzy dygotał w dłoni Elryka, gdy ten wykrzykiwał imiona dawnych boskich demonów swego ludu. Paskuda musiała najwyraźniej rozpoznawać przynajmniej niektóre z nich, gdyż cofnęła się nieco. Elryk postąpił za stworem i dojrzał, że tak naprawdę to nie był on wcale biały, ale mienił się kolorami, których nie dało się rozpoznać. Trochę wyglądało to jak pomarańcz naznaczony zgniłą, zielonkawą żółcią, ale Elryk właściwie nie widział barw, jedynie wyczuwał istotę o obcym kolorycie.

Ruszył do ataku, ciskając w gniewie kolejne imiona, które pochodziły z na tyle głębokich pokładów jego podświadomości, że sam wypowiadający nie znał ich znaczeń.

— Balaan–Marthim! Aesma! Alastor! Saebos! Verdalet! Nizilfkm! Haborym! Haborym Płomienisty, Haborym Niszczyciel!

Umysł Elryka się rozdzielił. Jedna część pragnęła za wszelką cenę uciec i się ukryć, druga jednak, i ta wzięła górę, pchała go ku potworowi. Miecz ciął sylwetkę. Równie dobrze można by kroić wodę, jednakże Zwiastun Burzy nie miał zwykłego ostrza. Mglisty stwór zadrżał z bólu. Elryk znalazł się nagle w powietrzu. Nic nie widział i pozostało mu jedynie siekać i krajać to coś, co go schwytało.

Pot ściekał z księcia strumieniami, ale walka trwała.

Wypełnił go ból, nie tyle fizyczny, ile wszechobecny i przerażający. Albinos nie ustawał. Wywijał się i siłował z uchwytem, podczas gdy potwór unosił go powoli ku rozwierającej się paszczy. Ścisnął go tak, jak szorstki kochanek mógłby objąć dziewczynę. Zdawało się, że nawet magiczny miecz nie zdoła śmiertelnie ugodzić monstrum, które choć jakby trochę osłabło, nadal miało wyraźny zamiar pożreć śmiałka.

Elryk znów zaczął wymawiać upiorne imiona, Zwiastun Burzy zaś tańczył w dłoni księcia, wyśpiewując własną pieśń. Krańcowo wyczerpany albinos zaczął słać prośby i obietnice, ale paszcza wciąż zbliżała się nieubłaganie.

Skrzywiony z bólu raz jeszcze wezwał Ariocha. Nagle poczuł muśnięcie złej, potężnej, sardonicznej myśli i wiedział już, że Arioch w końcu zareagował! Mglistego Giganta niemal natychmiast opuściły siły, co Elryk bezzwłocznie wykorzystał. Dzięki nowemu przyływowi mocy zdwoił tempo uderzeń miecza.

W pewnej chwili poczuł, że spada.

Lot, powolny i nieważki, zdawał się trwać całe godziny. Elryk wylądował w końcu na jakiejś powierzchni, która zawyla pod jego ciężarem i zaczęła się zanurzać.

Skądś, z daleka, spoza czasu i przestrzeni, dobiegało go wołanie, którego wcale nie pragnął słyszeć. Czuł się szczęśliwy, leżąc tak na czymś zimnym, co z wolna zaczynało go wchłaniać.

Szósty zmysł podpowiedział mu, że to Shaarilla go woła. Zmusił się, by zrozumieć sens jej słów.

— Elryku, bagno! Jesteś w bagnie! Nie ruszaj się!

Uśmiechnął się do siebie. Czemu miałby się ruszać? Przecież zanurzał się powoli, spokojnie, osuwał się w przyjazną topiel... Czyżby to kiedyś już się zdarzyło, w jakimś innym czasie, na innych mokradłach?

Nagle, w jednej chwili, dotarła doń cała rzeczywista groza sytuacji. Otworzył oczy. Ponad nim kłębiła się mgła. Z jednej strony z wolna parowała smrodliwa kałuża cieczy o trudnym do nazwania kolorze, z drugiej zaś strony rysowała się energicznie gestykulująca, niewyraźna sylwetka, za którą ledwie dawały się dostrzec zarysy dwóch koni. Tam była Shaarilla, pod nim zaś...

Pod nim było bagno.

Tłuste, śmierdzące błoto ściągało go coraz niżej. Leżał na wznak, z szeroko rozpostartymi ramionami i nogami, ale i tak był już na wpół zanurzony. W prawej dłoni wciąż ścisnął Zwiastuna Burzy, widział go, kiedy obracał głowę. Ostrożnie spróbował unieść górną część ciała. Udało mu się, ale nogi z miejsca osunęły się niżej. Siedząc prosto, zawołał:

— Shaarilla! Szybko, rzuć linę!

— Nie mam liny! – krzyczała, drąc na pasy jakiś fragment

swojego ubrania.

Elryk wciąż tonął, nie znajdując w głębinie żadnego oparcia dla stóp.

Shaarilla szybko powięzła pasy materii i tak sporządzoną linę rzuciła niewprawnie albinosowi. Upadła za daleko. Dziewczyna zebrała ją pospiesznie i spróbowała raz jeszcze. Tym razem Elryk lewą ręką dosięgnął płótna i mocno je złapał. Podciągnął się trochę, po czym zamarł w bezruchu.

— Nie da rady, Elryku! Nie mam dość siły!

— Koń! – zawołał ksiązę, klnąc ją w duchu. – Przywiąż linę do konia!

Pobiegła ku najbliższemu wierzchowcowi i zapętlila materię na łęku siodła, po czym pociągnęła konia za uzdę.

Elryk uwolnił się powoli z chciwej pułapki, wypełzając na względnie bezpieczny kawałek bardziej stałego terenu.

Zdyszany usiłował wstać, ale nogi nie mogły go utrzymać. Gdy w końcu udało mu się pozbierać, zaraz znowu upadł. Shaarilla uklękła obok niego.

— Jesteś ranny?

Na przekór słabości Elryk zdobył się na uśmiech.

— Nie sędę.

— To było straszne. Nie widziałam zbyt dokładnie, co właściwie się dzieje. Zniknąłeś, a potem zacząłeś wykrzykiwać to... to imię! – Drżała cała, a jej twarz była trupio blada.

— Jakie niby imię? – spytał szczerze zdumiony Elryk.

Potrząsnęła głową.

— Mniejsza z tym, ale cokolwiek wezwałeś, to cię uratowało. Zaraz potem znów się pojawiłeś i upadłeś w bagno...

Dzięki mocy Zwiastuna Burzy albinos był z każdą chwilą silniejszy. Wstał z niejakim wysiłkiem i pokuśtykał do swego konia.

— Pewien jestem, że Mglisty Gigant nie poluje zazwyczaj na tych mokradłach, ale został tu specjalnie przysłany. Kto to zrobił, nie mam pojęcia, musimy jednak jak najszybciej znaleźć się na pewniejszym gruncie.

— To jak, jedziemy naprzód czy się cofamy?

— No nie, oczywiście, że jedziemy dalej. Czemu pytasz, Shaarillo?

Z trudem przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

— Pospieszmy się zatem – powiedziała tylko.

Dosiedli koni i już teraz ostrożniejsi ruszyli w dalszą drogę, aż spowite płaszczem mgły trzęsawiska zostały za nimi.

Teraz, gdy wiedzieli już na pewno, że jakaś wroga siła zastawia na ich drodze pułapki, podróżowali o wiele czujniej, mało odpoczywając i zmuszając potężne i silne wierzchowce do maksymalnego wysiłku.

Piątego dnia, gdy jechali przez kamienistą pustynię, zaczęło lekko padać.

Grunt zrobił się śliski i musieli zwolnić, aby konie mogły utrzymać się na nogach. Przytuleni do ich karków, przemoknięci pomimo płaszczy, jechali w ciszy, aż gdzieś z przodu dobiegło ich niewyraźne ujadanie i tętent kopyt.

Elryk skierował się ku wielkiej skale zwisającej z prawej strony nad drogą.

— Schowajmy się tutaj – powiedział. – Coś nadciąga ku nam i mogą to być wrogowie. Jeśli będziemy mieli szczęście, nie

odkryją nas.

Shaarilla posłuchała go i razem czekali, podczas gdy odgłosy wyraźnie się przybliżały.

— Jeden jeździec i kilka zwierząt – stwierdził Elryk, nasłuchując uważnie. – Zwierzęta albo idą za jeźdźcem, albo go gonią.

Wkrótce w polu ich widzenia znalazła się cała gromada pędząca w deszczu. Dostrzegli mężczyznę umykającego na wyraźnie przestraszonym koniu, a za nimi zbliżające się z wolna stworzenia, które na pierwszy rzut oka przypominały psy, ale z pewnością nimi nie były. Miały ciała na wpół psie, a na wpół ptasie, smukłe i kudłate, z psimi łapami i ptasimi szponami w miejsce pazurów i zakrzywionymi dziobami zamiast pysków.

— To sfora Dharzich! – zawołała Shaarilla. – Sądziłam, że te stworzenia wymarły razem ze swymi panami!

— Ja też, ale co one robią w tej okolicy? – zdumiał się Elryk. – Władców tych krain nic nigdy nie łączyło z Dharzimi.

— Coś musiało je tu sprowadzić – wyszeptała Shaarilla. – Na pewno zaraz nas wyczują.

Elryk sięgnął po miecz.

— A zatem niczym już nie zaryzykujemy, jeśli przyłączymy się do awantury – powiedział, wypuszczając wierzchowca. – Poczekaj tutaj.

Diabelska sfora goniąca jeźdźca mijała akurat skałę.

Elryk ruszył w ślad za nimi.

— Hej tam! – krzyknął do umykającego. – Zawróć i zatrzymaj się, przyjacielu, chcę ci pomóc!

Uniesiony wysoko miecz jęknął do wtóru, gdy kopyta konia

uderzyły pierwsze z ujadających stworzeń, łamiąc bestii kręgosłup. Zostało ich jeszcze pięć czy sześć. Nieznajomy zawrócił konia i dobył z pochwy długą szablę. Był to niewysoki mężczyzna z brzydkimi i szerokimi ustami, które właśnie rozciągnęły się w pełnym ulgi uśmiechu.

— Co za szczęśliwe spotkanie, dobry panie!

Tyle tylko zdążył powiedzieć, nim dwa ptakopsy rzuciły się na niego i musiał skupić wszelkie wysiłki na obronie przed kłapiącymi dziobami i ruchliwymi szponami.

Pozostałe trzy bestie energicznie zajęły się Elrykiem. Jeden ze stworów wyskoczył wysoko, mierząc dziobem w gardło albinosa, który poczuł na twarzy powiew nieświeżego oddechu. Księżę szybko zatoczył Zwiastunem Burzy morderczy łuk, rozłupując przeciwnika na dwoje. Krew trysnęła na Elryka i koński grzbiet, a jej zapach rozjuszył pozostałe zwierzęta. Ożywiła jednak runiczny miecz, który zaczął wydawać niemal ekstatyczne dźwięki i sam, prawie wyrywając się Elrykowi z dłoni, dopadł następną bestię, wbijając się czubkiem zaraz pod mostkiem gotującego się do skoku ptakopsa. Ten zawył z bólu i spróbował dosięgnąć ostrza, ale ledwie jego dziób zetknął się z lśniącym i czarnym metalem klingi, wkoło rozszedł się mdlący smród palonej chityny, a krzyk bestii urwał się nagle.

Rozglądając się za ostatnim z przeciwników, Elryk kątem oka dojrzał jeszcze zwęglone truchło poprzedniego, gdy jego wierzchowiec stanął dęba, mierząc kopytami w ptasiopsią paszczę. Bestia uniknęła ciosu i zaatakowała księcia z lewej, niebronionej strony. Albinos szybko okręcił się w siodle i wciął się w czaszkę napastnika, aż mózg i posoka trysnęły na mokrą

ziemię. Stworzenie żyło jeszcze i kłapało dziobem, ale Melnibonéanin zignorował je, zwracając uwagę na niewysokiego jeźdźca, który wprawdzie uporał się już z jedną bestią, miał jednak niejaki kłopoty z pokonaniem drugiej. Ptakopis chwycił szablę dziobem tuż przy rękojęści i za nic nie chciał oddać oręża.

Szpony mierzyły już w gardło mężczyzny, ten zaś wciąż próbował uwolnić ostrze. Nadjeżdżający Elryk wycelował mieczem niczym lancą w podskakującego mutanta, który nadal usiłował jakoś dostać swą niedoszłą już raz ofiarę. Zwiastun Burzy wbił się w ciało w okolicy żołądka i rozplątał zwierzę od krocza do gardła. Dziób się rozwarł i trup padł na kamienisty grunt, w który zaraz też został wdeptany przez konia Elryka. Oddychając ciężko, albinos schował miecz i przyjrzał się uważnie temu, kogo uratował. Wcale nie pragnął poznawać go bliżej, szczególnie nie miał ochoty na przyjmowanie jakichkolwiek wyrazów wdzięczności.

Nie zawiódł się, bo szerokie usta cudownie ocalonego rozciągnęły się w uśmiechu, a on sam skłonił się w siodle, chowając szablę.

— Dzięki, dobry panie – powiedział beztrósco. – Bez twojej pomocy długo jeszcze bym się męczył. Pozbawiłeś mnie niezłej zabawy, ale chciałeś dobrze. Zwą mnie Moonglum.

— Ja zaś jestem Elryk z Melniboné – odparł albinos, ale nie dostrzegł na twarzy człowieka żadnej reakcji na swe imię. To było dziwne, jako że niesława Elryka zdążyła już dotrzeć do najdalszych zakątków świata. Powtarzana w tawernach opowieść o jego zdradzie i zabójstwie Cymoril nabrała zresztą kolorów i znana była powszechnie we wszystkich Młodych

Królestwach. Owszem, nie cierpiał tej popularności, oszczędzała mu jednak ona czasu przy spotkaniach z nieznanymi, z których każdy zwykle był w stanie szybko rozpoznać, kim jest albinos.

Zaintrygowany ignorancją Moongluma poczuł dziwną sympatię do niewielkiego a zadziornego jeźdźca. Próbował odgadnąć, z jakiego pochodzi kraju. Moonglum nie miał jednak zbroi, a jego znoszone szaty były z wyblakłego, błękitnego płótna. Ciemny skórzany pas podtrzymywał szablę, sztylet i wełnianą sakwę. Stopy chroniły wysokie do kostek buty z popękanej skóry. Rząd jego konia był wyraźnie w najlepszym gatunku. Mężczyzna, wysoko usadzony na grzbiecie wierzchowca, mierzył niewiele więcej niż pięć stóp. Nogi miał wyraźnie nazbyt długie w stosunku do reszty ciała. Nos krótki, lekko zadarty, zielonoszare, duże i niewinnie spoglądające oczy. Na czoło i na kark spadały kaskadami kudłate, intensywnie rude włosy. Uśmiechał się wciąż, spoglądając Elrykowi przez ramię na nadjeżdżającą Shaarillę.

Gdy tylko dziewczyna zatrzymała wierzchowca, Moonglum skłonił się dwornie.

Elryk rzucił chłodno:

— Lady Shaarilla, pan Moonglum z...?

— Z Elwheru – dodał spieszenie mężczyzna. – Z handlowej stolicy Wschodu, najpiękniejszego miasta na świecie.

— Słyszałem o nim – rzekł Elryk. – Raczej nowe, prawda? Ledwie paręset lat. Daleko podróżujesz.

— Zaprawdę, panie. Gdybym jeszcze nie znał języka, którym mówią w tych stronach, byłoby jeszcze gorzej. Szczęśliwie

niewolnik, od którego usłyszałem wiele inspirujących opowieści o jego rodzinnych stronach, nauczył mnie tutejszej mowy.

— Ale po co w ogóle zapuszczasz się w te okolice? Nie słyszałeś legend? – spytała niedowierzająco Shaarilla.

— Nic innego jak owe legendy tak mnie rozpały. Właśnie je weryfikowałem, gdy te szczeniaki mnie napadły. Czemu za mną pogoniły, nie mam bladego pojęcia, bo przecież nie dałem im żadnego powodu, by aż tak uwzięły się na mnie. Zaiste barbarzyński to kraj.

Elryk poczuł się dziwnie. Beztroski charakter przemowy Moongluma kontrastował z ponurym usposobieniem księcia. Pomimo to jednak odkrył, że coraz bardziej lubi tego człowieka.

To Moonglum zaproponował, żeby może przez jakiś czas podróżowali razem. Niezbyt zachwycona Shaarilla rzuciła Elrykowi ostrzegawcze spojrzenie, ale ten nie zareagował.

— Dobrze zatem, przyjacielu, ostatecznie będzie nas więcej, chętnie powitamy twoje towarzystwo. Jedziemy ku góróm. – Elryk wyraźnie poweselał.

— A czego tam szukacie? – dociekał Moonglum.

— To tajemnica – odparł Elryk, a ich nowy towarzysz okazał się na tyle taktowny i dyskretny, że nie pytał dalej.

3

Deszcz padał coraz mocniej ze stalowoszarej powłoki niskich chmur, wybijając staccato na kamieniach. Zmagając się z pogwizdującym w uszach wiatrem, trzy drobne postaci przemykały ku barierze czarnych gór wyrastających ponad światem niczym postać zasepionego boga. Gdy zbliżyli się do stóp

pierwszego ze wzgórz, zdało im się, że słyszą śmiech owego boga, chociaż może był to tylko wiatr przewiewający mroczne, tajemnicze wąwozy i staczający ze spowitych w burzowe chmury szczytów odłamy bazaltu i granitu. Palczaste błyskawice zaczęły przeszukiwać ziemię i zwielokrotniony echem huk przetoczył się ponad graniami. Dopiero wtedy Shaarilla postanowiła podzielić się swoimi obawami z Melnibonéaninem.

— Wracajmy, Elryku, proszę. Zapomnij o Księdze, zbyt wiele sprzysięgło się przeciwko nam. Nie lekceważmy znaków. To zbyt groźne!

Elryk jednak milczał zacięcie, od dłuższego czasu wiedział bowiem, że dziewczyna straciła już cały entuzjazm do wyprawy.

— Elryku, proszę. Nigdy nie znajdziemy Księgi. Wracajmy.

Jechała obok, ciągnąc go za rękaw, aż w końcu księżę opędził się od niej niecierpliwie.

— Zbyt mnie to wszystko już wciągnęło, bym miał ochotę wycofać się teraz – powiedział. – Możesz albo poprowadzić nas dalej, albo powiedzieć mi, co wiesz, i zostać tutaj. Tak bardzo pragnęłaś mądrości Księgi, a wystraszyło cię ledwie kilka przeciwności. Czego takiego chciałaś się dowiedzieć, Shaarillo?

Nie odpowiedziała na to pytanie, rzekła tylko:

— A czego ty pragniesz? Powiedziałeś mi, że spokoju. Dobrze zatem, ale ostrzegam cię, że w tych ponurych górach nie znajdziesz go na pewno. O ile w ogóle pokonamy te skaliste ostępy.

— Nie musisz być ze mną we wszystkim aż tak szczerą, Shaarillo – odparł chłodno Elryk, wciąż wpatrzony w czarne turnie – ale ty jednak coś wiesz o tych siłach, które zagięły na nas

parol.

Wzruszyła ramionami.

— To nie jest takie ważne, zresztą niewiele pamiętam. Mój ojciec wygłosił przed śmiercią kilka ogólników, to wszystko.

— Co powiedział?

— Mówił, że On, który strzeże Księgi, zrobi, co w jego mocy, aby nie dopuścić rodzaju ludzkiego do jej mądrości.

— I co jeszcze?

— To wszystko. Dość już jednak widziałam, by uznać, że mój ojciec wiedział, co mówi. To właśnie ten strażnik go zabił, Elryku, albo jeden z jego sług. Nie mam ochoty podzielić jego losu i to niezależnie od tego, jak bardzo przydałaby mi się Księga. Miałam nadzieję, że jesteś dość potężny, aby mnie wesprzeć, ale teraz zaczynam w to powątpiewać.

— Doprowadziłem cię aż tutaj – stwierdził Elryk. – A teraz powiedz mi, do czego konkretnie potrzebna jest ci Księga.

— Wstydzę się.

Elryk nie nalegał, ale w końcu jednak dziewczyna sama wyznała szeptem, w czym rzecz.

— Chcę skrzydeł.

— Skrzydeł? Czyli oczekujesz, że znajdziesz w Księdze takie zaklęcie, które sprawi, że wyrosną ci skrzydła! – Elryk uśmiechnął się ironicznie. – I w tym celu pragniesz odszukać największą skarbnicę mądrości tego świata!

— Gdybyś to ty był dla swoich kaleką, wówczas byś mnie zrozumiał! – krzyknęła ze złością.

Elryk spojrział na nią z dziwnym błyskiem w karmazynowych oczach. Potarł dłonią białą skórę i uśmiechnął się kącikami ust.

— Rozumiem cię – powiedział cicho.

Nie dodał już niczego więcej i dopiero teraz Shaarilla naprawdę się zawstydzila.

Jechali w ciszy, aż Moonglum, który dyskretnie wysforował się przed Elryka i Shaarillę, przechylił swoją nadmiernie wielką głowę i ściągnął cugle.

— Co się stało, Moonglumie? – spytał Elryk, gdy już doń dołączył.

— Słyszę stamtąd zbliżające się konie. I głosy, które brzmią znajomo. Coś jakby kolejna sfera tych paskudnych stworzeń, ale tym razem w towarzystwie jeźdźców!

Elryk też już dosłyszał odległy zgiełk i ostrzegł Shaarillę:

— Może miałaś rację. Zbliżają się nowe kłopoty.

— I co robimy? – spytał Moonglum, marszcząc czoło.

— Jedziemy w góry – odparł Elryk. – Może im umkniemy.

Pogonili wierzchowce do szybkiego galopu i skierowali się ku wzgórzom.

Były to jednak próżne wysiłki. Niebawem sfera wykwitła na horyzoncie i ptasiopsie istoty ruszyły w ich kierunku. Elryk oglądał się co chwilę na prześladowców, ale noc już zapadała i z każdą minutą trudniej było dojrzeć cokolwiek, także i goniących za sforą jeźdźców odzianych w czarne oponcze i uzbrojonych w długie włócznie. Ich twarze ginęły w cieniu narzuconych na głowy kapturów.

Elryk i kompania zmuszali konie do maksymalnego wysiłku w biegu pod górę, ku skałom, które dawały nadzieję schronienia.

— Tam się zatrzymamy – nakazał Elryk. – Spróbujemy ich powstrzymać. Na otwartym terenie łatwo mogą nas okrążyć.

Moonglum przytaknął gorliwie. Już na miejscu odprowadzili spocone wierzchowce kawałeczek dalej, a sami zaczęli przygotowywać się do walki z wyjąca sforą i jej spowitymi w czerń panami.

Wkrótce pierwsza bestia wypadła z za grani, poszczekując pazurami na skałach i kłapiąc dziobem. Ustawieni pomiędzy dwoma głazami Elryk i Moonglum szybko rozprawili się z nią i jeszcze trzema następnymi. Jednak widać już było nadciągających jeźdźców z resztą sfory.

— Na Ariocha! – zaklął Elryk, nagle rozpoznając postacie. – To Władcy Dharzi, martwi od dziesięciu stuleci. Walczymy z trupami, Moonglumie, i z nader żywotnymi duchami ich psów. O ile nie znajdę na nich jakiegoś magicznego sposobu, to już po nas!

Póki co zombi nie paliły się do ataku. Czekały, mierząc obłączonych spojrzeniami świecących, martwych oczu, a diabelskie ogary uparcie usiłowały przedrzeć się przez zapórę stali obu ostrzy. Elryk przetrząsał wszystkie zakamarki umysłu w poszukiwaniu jakiegoś zaklęcia, dzięki któremu można by odesłać całe to cmentarne towarzystwo do piekła. W końcu coś znalazł i licząc na to, że starczy mu sił, by sprawę doprowadzić do końca, zaczął śpiewnie recytować:

*Niech Ład, który rządzi wszelką rzeczą,
Nie ustępuje, byle tknięty,
A ci, co królewską pychę grzeszą,
Raz jeszcze zapadną w odmęty.*

Nic się nie wydarzyło.

— Nie udało mi się – mruknął Elryk, odpierając atak kolejnego psa.

Nagle jednak grunt się zakołysał, a skały pod kopytami koni martwych jeźdźców zaczęły jakby się gotować. Wstrząsy trwały jeszcze przez kilka sekund i wszystko się uspokoiło.

— Zaklęcie nie było dość mocne – westchnął Elryk.

Ziemia znów zadrżała i gdzieś na stoku z wolna zaczęły się formować nieduże kratery. Coraz więcej kamieni leciało w dół, gdzie stąpały coraz bardziej zdenerwowane konie napastników. I wtedy dopiero się zaczęło.

— Do tyłu! – krzyknął Elryk, czując nadciągający kataklizm. – Chowajmy się albo podzielimy ich los!

Wycofali się, dołączając do czekającej z końmi Shaarilli.

W dole rżały przerażone wierzchowce Dharzich, a ocalałe psy szukały w panice pomocy u swoich panów. Z ust zombi dobył się niski i przeciągły jęk i nagle cały teren, który zajmowały, się rozpękł, a martwi władcy zaczęli staczać się z krzykiem w szczeliny, wracając tam, skąd zostali przedtem wezwani. Elryk i jego towarzysze nie czekali na finał, tylko szybko dosiedli koni.

Z głębin ziemi doleciał ich jeszcze upiorny śmiech. To Królowie Ziemi brali w posiadanie zdobycz, która z dawna im się należała. Skomlące bestie krążyły nad brzegami rozpadlin, usiłując złapać jakiś znajomy zapach, aż i one wtłoczone zostały do otchłani, by podzielić przeznaczenie swych panów.

Moonglum zadrżał.

— Znasz osobliwe stworzenia, Elryku – powiedział drżącym głosem, gdy ponownie zwrócili konie ku wyniosłym góróm.

Następnego dnia dotarli do celu i Shaarilla poprowadziła ich

pamiętaną z mapy skalną ścieżką. Nie błagała już Elryka, by zawrócili, pogodziła się ze wszystkim, co jeszcze miał im przynieść los. Albinos zaś robił się coraz bardziej niecierpliwy. Chęć zdobycia Księgi urosła w nim do rozmiarów obsesji i pewien już był, że znajdzie w niej odpowiedź na ostateczne pytania o egzystencję. Pogodny zwykle Moonglum odnosił się do tego wszystkiego sceptycznie, Shaarillę nachodziły coraz to kolejne złe przeczucia.

Deszcz nie ustawał, podobnie jak przeciągające jedna za drugą burze. Gdy woda zaczęła lać się z nieba z siłą godną oberwania chmury, dotarli wreszcie do mrocznego wylotu wielkiej jamy.

— Dalej już was nie poprowadzę – powiedziała zmęczonym głosem Shaarilla. – Księga znajduje się gdzieś w tej jaskini.

Elryk i Moonglum spojrzeli po sobie niepewni, co właściwie mają teraz zrobić. Wejść do ziejącej czernią pieczary? Pomysł był kuszący, ale podejrzenia budził fakt, że wejście ani nie było niczym zagrodzone, ani też strzeżone.

— To dziwne – uznał Elryk. – Tyle pułapek i niebezpieczeństw, a teraz nikogo przed wejściem. Na pewno nie pomyliłaś jaskiń, Shaarillo?

Dziewczyna wskazała na skałę ponad otworem. Wryty był tam symbol, który Elryk natychmiast rozpoznał.

— Znak Chaosu! – krzyknął. – Powinienem się tego domyślić.

— To znaczy czego? – spytał Moonglum.

— Ten symbol oznacza wieczny rozpad i anarchię – wyjaśnił Elryk. – Znajdujemy się na terenie opanowanym przez Władców Entropii lub któregoś spośród ich sług. Oto, kto jest naszym wrogiem! A to znaczyć może tylko, że Księga jest niezmiernie

istotna dla utrzymania porządków w tym wymiarze, a może nawet we wszystkich miriadach wymiarów całego wszechświata. Teraz wiem, czemu Arioeh tak niechętnie udzielił mi wsparcia. On też jest Władcą Chaosu!

Moonglum wpatrywał się w Elryka zdumiony.

— Co chcesz przez to powiedzieć, przyjacielu?

— Nie wiesz, że istnieją dwie siły władające światem, dwie siły zwarte w odwiecznej walce? Ład i Chaos. Zwolennicy Chaosu twierdzą, że w rządzonej przez nich świecie wszystko jest możliwe. Ich oponenty, którzy oddali się na usługi Ładowi, skłonni są głosić, że nic nie jest możliwe bez Ładu. Inni jeszcze, ci trzymający się z dala od skrajności, uważają, że właściwym stanem rzeczy jest równowaga pomiędzy stronami. Nam jednak nie dano wyboru, zostaliśmy uwikłani w tę walkę. Księga jest cenną zdobyczą dla każdej ze stron i domyślam się, że słudzy Entropii obawiają się sił, które moglibyśmy uwolnić, gdybyśmy mieli Księgę. Ład i Chaos nieczęsto mieszają się bezpośrednio w ludzkie żywoty, to dlatego tak rzadko uświadamiamy sobie ich obecność. Tak, teraz rzeczywiście mam szansę dowiedzieć się tego, co nurtuje mnie najbardziej. Czy jest jeszcze jakaś ostateczna siła nadrzędna wobec frakcji Ładu i Chaosu?

Elryk wszedł do mrocznego wnętrza jaskini, a dwoje towarzyszy niepewnie ruszyło w jego ślady.

— Jaskinia ciągnie się i ciągnie – powiedział Elryk. – Pozostaje iść dalej i patrzeć, dokąd nas to zaprowadzi.

— Miejmy nadzieję, że nie na samo dno piekieł – stwierdził ironicznie Moonglum, zapraszając Elryka gestem do objęcia przewodnictwa.

Kroczyli niepewnie, a wewnątrz robiło się coraz mroczniejsze. Głosy wracały zniekształconym echem, dno jamy opadało coraz niżej.

— To nie jaskinia – wyszeptał Elryk. – To tunel, ale nie mam pojęcia, dokąd prowadzi.

Przez kilka godzin maszerowali w całkowitej ciemności, trzymając się blisko siebie i nie widząc, gdzie właściwie stawiają stopy. Schodząc coraz niżej, stracili wszelkie poczucie czasu i Elrykowi zaczęło się zdawać, że wszystko to jest jedynie snem. Wydarzenia następowały ostatnio tak szybko, że trudno było je wszystkie ogarnąć wyobraźnią. Tunel był długi, mroczny, szeroki i zimny. Jediną rzeczą pozwalającą utrzymać kontakt z rzeczywistością stała się kamienista powierzchnia, która pewnie trwała pod nogami. Może zresztą to nie oni się przemieszczali, ale ona przesuwiała się pod nimi? Moonglum i Shaarilla niemal przywarli do tego jedyne go stałego podłoża, ale Elryk nie zwracał na nich uwagi. Czuł się tak, jakby się zgubił, a jego myśli zwolniły bieg. Zdarzało się, że tracił równowagę i odnosił wrażenie, że stoi nad krawędzią przepaści. Innym razem padał z jękiem na twarde skały, które wyrastały w miejscu, w którym spodziewał się otchłani.

W końcu pamiętał już tylko o tym, by wprawiać nogi w ruch, chociaż nie był pewien, czy niosą go naprzód. Pojęcie czasu rozplynęło się w wielkiej, mrocznej nicości.

Wszystko to trwało do chwili, gdy w oddali zarysowała się nikła, błękitnawa poświata. Tak, szli we właściwym kierunku. Elryk pobiegł ku światłu tak gwałtownie, że dopiero po chwili opamiętał się i zwolnił. W chłodnym powietrzu rozszedł się jakiś

obcy i dziwny zapach, a wraz z nim przyszedł lęk, chociaż Elryk mógłby przysiąc, że to nie on się boi.

Pozostali w oczywisty sposób to odczuwali, gdyż milczeli wymownie. Powoli, przyciągani jak ćmy, podchodzili coraz bliżej do błękitnego blasku.

Nagle wyszli z tunelu i zdumieni się w obliczu niezziemskiego widoku. Błękitny blask zdawał się płynąć z samego powietrza. Wkoło wciąż panował półmrok, niemniej poświata pozwalała dojrzeć, iż stoją na półce skalnej ponad srebrzystą plażą nad ciemnym morzem, falującym nieustannie jak olbrzym pogrążony w niespokojnym śnie. Wzdłuż plaży spoczywały najeżone wręgami wraki rozmaitych statków, a każdy innej budowy. Morze ciągnęło się w mrok i nie dało się dostrzec horyzontu. Było bardzo zimno. Przejmujący chłód przenikał ich ciała. Pomimo bliskości morza powietrze było suche i pozbawione słonego zapachu. Troje podróżnych stanowiło jedyne elementy krajobrazu. Byli też jedynymi źródłami dźwięku, bo morze falowało w upiornej ciszy.

— Co teraz, Elryku? – wyszeptał trzęsący się Moonglum.

Nieruchomo stojący albinos z początku pokręcił jedynie głową. Jasna skóra jego twarzy i dłoni lśniła niesamowicie w obcym blasku.

— Skoro wracać nie ma po co, pozostanie nam wyruszyć na morze – powiedział w końcu głucho, jakby nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia słów.

Elryk zaczął schodzić na plażę wykutymi w skale stopniami. Towarzysze podążyli za nim, wpatrując się szeroko rozwartymi oczami w krajobraz pełen piękna i grozy.

Odgłos ich kroków na krystalicznych kamykach plaży mącił wszechobecną ciszę. Elryk odszukał wzrokiem jakiś obiekt na nabrzeżu i uśmiechnął się lekko. Potrząsnął gwałtownie głową, jakby chciał uporządkować myśli, i drżącą dłonią wskazał na jeden ze statków, który w odróżnieniu od pozostałych wyglądał na nietknięty. Pomalowany na żółto i czerwono w żaden sposób nie pasował do otoczenia. Wydawał się zrobiony z osobliwego drewna. Moonglum przesunął palcami po burcie.

— Twarde jak żelazo – westchnął. – Nic dziwnego, że nie przegniło jak inne. – Zajrzał do środka i wzdrygnął się. – Wygląda na to, że właściciel nie będzie miał nic przeciwko, jeśli zaopiekujemy się jego łajbą – dodał cierpko.

Elryk i Shaarilla zrozumieli, o co mu chodzi, gdy we wnętrzu łodzi ujrzeli leżący na dnie, nienaturalnie wykręcony szkielet. Elryk wyciągnął truchło i rzucił na kamienie. Kości zagrzechotały, rozsypując się wkoło. Czaszka potoczyła się aż do skraju plaży, gdzie zaległa wpatrzona pustymi oczodołami w ocean.

Elryk i Moonglum z trudem spychali łódź ku wodzie, Shaarilla tymczasem wyprzedziła ich, przykucnęła i zanurzyła dłoń w morzu. Zerwała się zaraz, otrząsając rękę.

— To nie jest żadna woda – powiedziała. – Nie znam takiej wody.

Usłyszeli ją, ale skwitowali to milczeniem.

— Potrzebny nam będzie żagiel – mruknął Elryk, oceniając siłę chłodnej bryzy. – Może płaszcz wystarczy. – Zdjął oponczkę i

przywiązał ją do masztu. – Przytrzymując brzegi żagla, będziemy mogli kierować łodzią. To prowizorka, ale niczego lepszego tu nie wymyślimy.

Wsiedli, starając się nie zamoczyć stóp.

Wiatr wypełnił żagiel i pchnął ich na otwarte morze o wiele szybciej, niż na to liczyli. Stateczek gnał naprzód, zupełnie jakby obdarzony był własną wolą. Elryka i Moongluma rychło zaczęły boleć ramiona, tak ciężko przychodziło im utrzymać żagiel.

Srebrzysta plaża zniknęła wkrótce z pola widzenia i wkoło pozostały jedynie morze oraz naznaczone czernią błękitne niebo. Wówczas usłyszeli łopot skrzydeł i jak na komendę spojrzeli w górę.

Powoli zniżały się ku nim trzy masywne, przypominające małe stworzenia z wielkimi skórzastymi skrzydłami. Shaarilla łatwo je rozpoznała.

— Clakary!

Moonglum zadrzał i wyciągnął szablę.

— Już wiemy, jak się nazywają. A co to właściwie za istoty? – spytał.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi, bo pierwsza z małych zanurkowała, rozdziawiając paszczę i wyciągając ku nim szpony. Moonglum puścił swój kawałek żagla i ciął bestię, lecz ta wywinęła się i ciężko bijąc skrzydłami, wzleciała wyżej.

Elryk sięgnął po Zwiastuna Burzy i zdumiał się wielce, ponieważ pociemniałe ostrze milczało. Miecz wibrował w jego dłoni, a zamiast zwykłego przypływu sił księżę odczuł raczej jakiś wątki impuls nieokreślonych emocji. Przez chwilę bliski był paniki, jako że bez pomocy runicznego oręża groziło mu rychłe

osłabnięcie. Opanowując strach, skierował ostrze przeciwko następnej z atakujących bestii.

Małpa chwyciła klingę, przewracając Elryka, zaraz jednak zawyla z bólu, gdy ostrze odcięło jedną z guzłowatych łap, która spadła w strumieniu krwi na wąski pokład. Elryk złapał krawędź burty i zerwał się na równe nogi. Wijąc się z bólu, stwór znów próbował atakować, ale tym razem zachował się ostrożniej. Zebrawszy wszystkie siły i ująwszy miecz w obie dłonie, księżę ciął przez skórzaste skrzydło. Tak okaleczona bestia legła na pokładzie, a albinos pchnął ostrzem tam, gdzie według jego osądu powinna mieć serce. Małpa znieruchomiała.

Moonglum opędzał się energicznie przed jeszcze dwoma bestiami, które podchodziły go z przeciwnych stron. Klęczał, wymachując szablą, i nawet udało mu się utoczyć nieco krwi jednemu z napastników, który jednak nie rezygnował z ataku. Elryk pospieszył z pomocą, wbijając czubek klingi w gardło ранnego stworzenia. Małpa kurczowo zacisnęła pazury na ostrzu i wraz z mieczem spadła do wody. Jej ciało unosiło się z początku na powierzchni, potem zaczęło powoli tonąć. Elryk wyciągnął dłoń, aby złapać Zwiastuna Burzy, ale ku jego wielkiemu zdumieniu, znał bowiem własności oręża, które przecież już raz próbował oddać oceanowi, miecz też tonął, zapadał się w fale jak zwykły kawał żelaza. Elryk zdołał w końcu zacisnąć palce na rękojeści i wyrwać Zwiastuna Burzy ze sztywnych łap skrzydlatej małpy.

Siły szybko go opuszczały. Zachodził w głowę, jakież to obce prawa rządzą światem tej jaskini i jak mógłby poprawić swe położenie, jako że bez mocy runicznego miecza dalsze działanie

było niemożliwe!

Zakrzywiona szabla Moongluma uporała się z ostatnią małą i beztroski człowieczek z obrzydzeniem wypchnął trupa za burtę. Triumfalnie uśmiechnięty odwrócił się do Elryka.

— Dobra robota – powiedział.

Elryk potrząsnął głową.

— Im szybciej przebedziemy to morze, tym lepiej. W przeciwnym razie może być bardzo źle. Siły mnie odeszły.

— Jak? Czemu?

— Nie wiem, może tutaj dominują siły Entropii. Nie ma czasu na spekulacje, trzeba się pospieszyć.

Spojrzenie Moongluma zdradzało niepokój. Nie mógł uczynić nic lepszego, jak tylko wykonać polecenie Elryka, który drżał cały, coraz słabiej trzymając żagiel. Shaarilla przysunęła się, by mu pomóc, i spojrzała na księcia ze współczuciem.

— Co to były za stworzenia? – spytał Moonglum, szczerząc zęby i dysząc.

— Clakary – odparła Shaarilla. – To gatunek starszy niż pisana historia. Prymitywni przodkowie mojego ludu uznawanego za najstarszy pośród rozumnych mieszkańców tej planety.

— Ktokolwiek próbuje nas powstrzymać, stosuje oryginalne środki – rzekł Moonglum z krzywym grymasem. – Widocznie dawne metody nie działają.

Nikt z jego towarzyszy nie odpowiedział mu jednak uśmiechem. Shaarilla była bez reszty zajęta bliskim omdleniem Elrykiem. Moonglum wzruszył ramionami i wbił wzrok w dal.

Odezwał się dopiero po dłuższym czasie.

— Widać ład! – zawołał entuzjastycznie.

Zaiste był to ląd i szybko się doń zbliżali. Za szybko.

Elryk wyprostował się z wysiłkiem.

— Rzuć żagiel – powiedział z wyraźną trudnością.

Moonglum posłuchał. Łódź zwolniła, aż w końcu wbiła się dziobem w piach następnej srebrzystej plaży. Wyrzuciło ich daleko poza linię wody, kil wyrył w jasnym podłożu ciemną szramę. Zatrzymali się nagle, stateczek się zakołysał i wszyscy troje wypadli za burtę.

Moonglum i Shaarilla pozbiali się niezwłocznie, by odciągnąć bezwładnego albinosa wyżej, aż na skraj plaży, gdzie złożyli go na grubych, miękkich mchach. Przyjrzeni mu się z niepokojem, niepewni, co będzie dalej.

Elryk chciał wstać, ale był za słaby.

— Dajcie mi trochę czasu – wyszeptał. – Nie umrę, ale chwilowo wzrok mi szwankuje. Miejmy nadzieję, że na stałym lądzie mój miecz odzyska moc.

Z wysiłkiem wyciągnął Zwiastuna Burzy i uśmiechnął się z ulgą, gdy ten rozjarzył się lekko i zaśpiewał, błyskając czarnym płomieniem. Elryk czuł, że wypełniają go nowe siły, ale jego oczu nie opuszczał cień bólu.

— Jak widzicie, bez tego miecza jestem niczym – jęknął. – A kim staję się dzięki niemu? Czy nigdy się od niego nie uwolnię?

Nie odpowiedzieli, ale oboje byli wyraźnie poruszeni okazaniem przez Elryka emocji, pomiędzy którymi był i strach, i nienawiść, i żal, powiązane z czymś jeszcze...

Księżę stanął w końcu na niepewnych jeszcze nogach i bez słowa poprowadził kompanów przez porośnięte mchami pagórki ku płynącemu z góry bardziej naturalnemu blaskowi. Źródłem

światła był szeroki komin najwyraźniej połączony ze światem zewnętrznym. W pobliżu można było dostrzec nieregularny zarys jakiejś budowli.

Podeszli bliżej. Był to zamek z czarnego kamienia, właściwie ruina porośnięta mchami i powojami, które niemal opiekuńczo otuliły stareńkie mury. Gdzieś z rozległego, ciemnego masywu wystrzelały wieże bez okien. Jedyne widoczne otwory stanowiła ciemna brama zagrodzona grubymi na palec metalowymi sztabami pobłyskującymi matową czerwienią, niewydzielającymi jednak ciepła. Powyżej widniał wyryty w ognistym bursztynie znak Władców Entropii – osiem strzał rozbiegających się z jednego punktu we wszystkich kierunkach. Emblemata zdawał się wisieć w powietrzu, wcale nie dotykając omszałej skały.

— Mam wrażenie, że nasza podróż kończy się tutaj – powiedział ponuro Elryk. – Albo nigdzie.

— Zanim pójdę dalej, Elryku, chcę wiedzieć, czego szukacie – wtrącił się Moonglum. – Chyba sobie na to zasłużyłem.

— Księgi – odparł beztrąsko Elryk. – Księgi Martwych Bogów. Pewien jestem, że spoczywa gdzieś w murach tego zamku. Dotarliśmy do celu.

Moonglum wzdrygnął się.

— Lepiej było nie pytać. – Uśmiechnął się. – I tak niewiele rozumiem z twoich słów. Mam nadzieję, że w razie powodzenia i mnie skapnie coś ze zdobyczy, czymkolwiek ona będzie.

Elryk nie odpowiedział, ale chociaż wcale nie było mu do śmiechu, zdobył się na przyjazny grymas zrozumienia.

— Najpierw musimy wejść do zamku – stwierdził po chwili.

Zupełnie jak na rozkaz metalowe sztaby rozjarzyły się najpierw do jasnej zieleni, potem znów poczerwieniały, aż w końcu rozwiały się, jakby nigdy ich nie było. Wejście stanęło otworem.

— Nie podoba mi się to – jęknął Moonglum. – Za łatwo poszło. To musi być pułapka. Czy zamierzamy wpaść w nią ku radości tych, którzy rządzą tym zamczyskiem?

— A co innego możemy uczynić? – spytał cicho Elryk.

— Iść dalej. Lub się cofnąć. Cokolwiek, byle ominąć zamek, a nie drażnić Tego, który strzeże Księgi! – Shaarilla z całych sił chwyciła prawe ramię albinosa. Twarz jej wykrzywił paniczny strach. – Zapomnij o Księdze, Elryku!

— Teraz? – Księżę się roześmiał. – Gdy jesteśmy już u celu? Nie, Shaarillo, jestem zbyt blisko poznania prawdy. Wolę już umrzeć, niż żyć ze świadomością, że zaniechałem zajrzenia do Księgi, gdy mogłem to uczynić.

Shaarilla rozluźniła uchwyt, ręce opadły jej bezwolnie.

— Nie możemy walczyć ze sługami Entropii...

— Może wcale nie będziemy musieli. – Elryk sam niezbyt dowierzał swoim słowom, wydało mu się, że jakaś siła zmusza go do ich wypowiedzenia.

Moonglum spojrział na Shaarillę.

— Ona ma rację – powiedział z przekonaniem. – Nic tu nie znajdziesz prócz zgorzknienia, a może i śmierci. Spróbujmy raczej zbadać tamte schody. Może uda się nimi wyjść na powierzchnię. – Wskazał na kręte stopnie prowadzące ku otworowi w sklepieniu jaskini.

Elryk potrząsnął głową.

— Nie. Jak chcecie, to sobie idźcie.

— Uparciuch z ciebie. – Moonglum skrzywił się zakłopotany. – No dobrze, wszystko albo nic. Idę z tobą. Ale prawdę mówiąc, to ja osobiście jestem zwolennikiem kompromisu.

Księżę ruszył powoli w głąb zamku.

Na środku podwórca pojawiła się wysoka, spowita w szkarłatny ogień postać, która wyraźnie ich oczekiwała.

Elryk minął bramę, a Moonglum i Shaarilla niespokojnie poszli za nim.

Wyczekujący ich olbrzym wybuchnął śmiechem. Był nagi i nieuzbrojony, biło jednak od niego takie poczucie siły, że cała trójka omal nie zawróciła. Jego skóra pokryta była łuską koloru przydymionej purpury, a pod nią widać było potężne węzły mięśni, które lekko pracowały, gdy olbrzym kołysał się z wolna na piętach. Głowę miał podłużną, z mocno cofniętym czołem i oczami bez źrenic jak wyciętymi z błękitnej stali. Całym jego ciałem wstrząsał nieopanowany śmiech.

— Witam cię, panie Elryku z Melniboné! Gratuluję znaczącego osiągnięcia!

— Kim jesteś? – wychrypiał księżę z ręką na mieczu.

— Nazywam się Orunlu Strażnik, a to jest warownia Władców Entropii. – Olbrzym uśmiechnął się cynicznie. – Nie musisz tak pieścić swojego scyzoryka, wiesz przecież, że tutaj już nie jestem w stanie nic ci zrobić. Tylko pod tym warunkiem pozwolono mi przedostać się na chwilę samemu do twojego wymiaru.

— Nie możesz nas powstrzymać? – spytał Elryk z rosnącym podnieceniem.

— Nawet nie śmiem, tym bardziej że wszystkie moje

dotychczasowe wysiłki spełzły na niczym. Muszę przyznać, że wasza niemądra wyprawa przysporzyła mi nieco kłopotu. Dla nas Księga jest sprawą najwyższej wagi, ale cóż może znaczyć dla was? Strzegę jej od trzystu stuleci i nigdy nie byłem ciekaw, co jest w niej tak istotnego, że postarano się ją uchronić przed spalaniem w słońcu i umieszczono na tej nudnej planetce zamieszkannej przez kłótniwe i krótkowieczne stworzenia zwane ludźmi?

— My poszukujemy w niej prawdy – odparł chwacko Elryk.

— Nic takiego nie istnieje. Jest tylko wieczna walka, ustawiczne zmagania – odparł z przekonaniem płomienisty gigant.

— A co panuje ponad Ładem i Chaosem? – spytał Elryk. – Co określa twe przeznaczenie, tak jak określa moje?

Olbrzym zmarszczył czoło.

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem. Istnieje tylko Równowaga.

— No to może Księga powie nam, w czyich rękach spoczywa zadanie utrzymania równowagi – stwierdził całkiem już pewny siebie Elryk. – Pozwól mi przejść. I powiedz mi jeszcze, gdzie znajdę Księgę.

Olbrzym odsunął się z ironicznym uśmiechem na twarzy.

— Jest w małej komnacie w centralnej wieży. Chętnie sam pokazałbym ci drogę, ale przysięgałem, że nigdy tam nie zajrzę. Idź, jak chcesz. Moja rola skończona.

Cała trójka skierowała się ku wejściu do zamku, ale zanim w nim zniknęli, Orunlu przemówił ponownie, tym razem ostrzegawczym tonem:

— Słyszałem, że wiedza zawarta w Księdze może przechylić szalę na stronę sił Ładu. Trochę mnie to niepokoi, ale o wiele gorsza jest druga perspektywa.

— Jaka? – spytał Elryk.

— Że wyniknie z tego takie zamieszanie w multiwszechświecie, że ostatecznym wynikiem bałaganu będzie całkowita entropia. Moi panowie wcale tego nie pragną, bo oznaczałoby to zniszczenie wszelkiej materii. A naszym zadaniem nie jest zwycięstwo, ale walka, wieczne zmaganie.

— Mało mnie to obchodzi – odparł Elryk. – Niewiele mam do stracenia.

— Zatem idź. – Olbrzym przesunął się przez podwórzec i zniknął w mroku.

Blady blask oświetlał wijące się w górę schody wewnątrz wieży. Elryk zaczął wspinać się po nich w milczącej determinacji. Moonglum i Shaarilla podążyli za nim z wahaniem, a ich oblicza wyrażały stan bliski całkowitego pogodzenia się z losem.

Schody ciągnęły się coraz wyżej, aż przywiodły ich do kolorowej komnaty wypełnionej oślepiającym światłem, które nie promieniowało na zewnątrz, pozostając wyłącznie w murach wieży.

Mrugając i zasłaniając oczy ramieniem, Elryk parł dalej, aż ujrzał źródło blasku leżące na niewielkim kamiennym postumencie pośrodku pomieszczenia.

Podobnie oślepieni Shaarilla i Moonglum po omacku weszli do środka i stanęli zdumieni tym, co udało im się wypatrzeć.

Księga była wielka. Pulsowała światłem, sama była blaskiem i kolorem. Jej okładka ostro lśniła nieznanymi klejnotami.

— Wreszcie – wydyszał Elryk. – Wreszcie poznam Prawdę!

Jak pijany podszedł do postumentu i sięgnął bladymi dłońmi po przedmiot swych pragnień. Dotknął brzegu okładki i spróbował otworzyć Księgę.

— Teraz się dowiem – powiedział nieprzytomnie.

Okładka z chrzęstem spadła na podłogę, a klejnoty rozsypały się po posadzce.

Przed Elrykiem leżał jedynie stos żółtawego pyłu.

— Nie! – krzyknął ze złością i niedowierzaniem. – Nie!

Łzy popłynęły mu po twarzy, gdy przesiewał miarki pyłu między palcami. Z jękiem cierpienia upadł twarzą w szczątki. Księga nie oparła się czasowi. Leżała tu nie niepokojona i najpewniej zapomniana przez trzysta stuleci. Mądrzy i potężni bogowie, którzy ją stworzyli, zniknęli, a teraz odszedł również ostatni ślad po nich.

Niedawni poszukiwacze Księgi stali teraz u stóp wysokich gór, patrząc w rozciągające się poniżej zielone doliny. Słońce lśniło na czystym i błękitnym niebie. Za nimi czerniał wylot tunelu prowadzącego do warowni Władców Entropii.

Elryk spojrział na świat ze smutkiem. Wciąż jeszcze pogrążony był w rozpacz. Nie odzywał się od czasu, gdy towarzysze wyprowadzili go łkającego z komnaty Księgi. Uniósł bladą twarz ku słońcu.

— Będę dalej żył, nie wiedząc nawet, czemu żyję ani czy jest w tym cel czy nie – powiedział głosem ostrym, nabrzmiałym szyderstwem i zgorzknieniem, głosem samotnym niczym nawoływanie ptaków morskich krążących po zimnym niebie nad jałowym brzegiem morza. – Może Księga potrafiłaby mi na to

odpowiedzieć. Ale czy nawet wówczas bym jej uwierzył? Jestem zatwardziałym sceptykiem, nigdy nie wiem, czy sam kieruję swymi krokami, czy może jakaś wyższa istota mnie prowadzi. Zazdroszczę tym, którzy to wiedzą. Pozostało tylko iść dalej i bez nadziei łudzić się, że zanim dni moje dobiegną końca, poznam jednak prawdę.

Shaarilla ujęła go za ręce. Oczy miała mokre od łez.

— Pozwól, że spróbuję ukoić twój ból.

Albinos westchnął ciężko.

— Żałuję, że w ogóle się spotkaliśmy, Shaarillo z Tańczącej Mgły. Na krótki czas natchnęłaś mnie nadzieją. Myślałem, że odnajdę w końcu spokój, ale przez ciebie więcej jest teraz we mnie rozpaczy niż przedtem. Nie ma dla mnie ratunku w tym świecie, w którym mogę jedynie czekać na marny koniec. Żegnaj.

Uwolnił się z jej objęć i odszedł zboczem góry. Moonglum spojrział najpierw na nią, potem na Elryka, a następnie wyjął coś z sakiewki i wcisnął to dziewczynie do ręki.

— Powodzenia – powiedział i pobiegł, by dogonić Elryka.

Nie zwalniając kroku, książę spojrział na dołączającego doń Moongluma.

— Cóż to, przyjacielu? Zamierzasz mi towarzyszyć? – spytał spokojnie mimo ponurego nastroju.

— Skoro dotąd szedłem u twego boku, panie, to nie widzę powodu, aby nagle to zmieniać – rzekł człowieczek z uśmiechem. – Poza tym, w odróżnieniu od ciebie, ja jestem materialistą i pamiętam, że człowiek musi jeść.

Elryk uniósł brwi, czując, jak z wolna jego myśli się rozpogadzają.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Moonglumie?

Ten zachichotał.

— Wykorzystałem sytuację, jak zwykle to robię, o ile tylko można – odparł, ponownie sięgając do sakiewki i pokazując na wyciągniętej dłoni kilka klejnotów rzadkiej piękności, które wypadły z okładki Księgi. – Mam ich więcej – powiedział. – A każdy wart małą fortunę.

Ujął albinosa pod ramię.

— Dalej, Elryku. Ku krajom pogodnym, gdzie da się zamienić to bogactwo na wino i miłe towarzystwo!

Shaarilla stała wciąż nieruchomo na zboczu góry. Patrzyła za nimi, aż zniknęli w dali. Klejnot, który dostała od Moongluma, wypadł jej z dłoni i błyskając krawędziami, stoczył się głęboko pomiędzy wrzosa. Nagle dziewczyna się odwróciła – przed nią zionął czernią wylot jaskini.

Przetoczył Radosław Kot

Melanie Rawn

MATKA CAŁEJ RUSI



Melanie Rawn uzyskała w Scripps College licencjat z historii, pracowała przez pewien czas jako nauczycielka i redaktorka, po czym poświęciła się wyłącznie pracy pisarskiej. Jest autorką trylogii „Dragon Prince” i „Dragon Star”, a także cyklów „Wygnańcy” i „Spellbinder”. Jej powieść Touchstone z 2012 roku rozpoczęła kolejną serię z gatunku fantasy. Melanie Rawn mieszka w Flagstaff w Arizonie.

Kijów, rok 946

Kroczyła po kamieniach posadzki, a wyściełane sobolowym futrem pantofelki chroniły jej stopy od chłodu. Mimo to zimno przenikało ją od palców stóp aż po czubek głowy. Być może była to zemsta ognia za to, że nie podążyła za swoim mężem w jego objęcia. Dawno temu postanowił, by jego ciało spalono w ofierze, tak jak ciała jego przodków. Chrześcijański lud napawało to przerażeniem, bo znaczyło zbezczeszczenie ciała. Kiedy jednak zdradzieccy wasale zwrócili jej zwłoki Igora, którego sami zabili, zrobiła tak, jak wcześniej ją prosił. Lepiej bowiem posłać duszę prosto do bogów, niż pogrzebać ciało w ziemi, gdzie będzie je toczyć robactwo.

Pomyślała o duszach wielu Drewlan, których nie chciała wydać na pastwę płomieni i kazała żywcem zakopać, oddając na żer robakom. Były to jednak dusze morderców, którzy odebrali ojca synowi i księcia jego poddanym.

Męża żonie... nie, tym nie przejmowała się zupełnie.

Idąc kamiennymi korytarzami, ledwie zdawała sobie sprawę z obecności niewolników i żołnierzy, a także członków jej osobistej

świty, drużyny; wszyscy oni kłaniali się nisko swojej Wielkiej Księżnej. Jakże próżne były te hołdy przeznaczone dla kobiety, jaką stała się dzięki innym. Córka jednego Wielkiego Księcia, żona – teraz wdowa – drugiego, a wreszcie matka trzeciego. Pięcioletniego chłopca, myślała, zaciskając zziębnięte palce i błąkając się bez celu po twierdzy swego zmarłego małżonka.

Pięcioletni chłopiec. Była dwa razy starsza od niego, gdy umarł jej ojciec, a Igor zabrał zmarłemu Helgiemu złoty kolczyk i jego złotowłosą córeczkę dla siebie na własność. Zabójcy jej ojca mieli teraz jego klejnoty: dwie ogromne białe perły w kształcie łez i szkarłatny rubin o barwie krwi w kolczyku, który przekazywano sobie z ojca na syna od czasów, gdy jej lud przybył tu z Danii, aby rządzić niespokojną Rusią. Perły to Łzy Frei, rubin to kropla Krwi Wodana. Uświęcały one władztwo Wielkich Książąt Kijowa. Drewlanie odesłali ciało Igora, ale zatrzymali symbol jego władzy. Wkrótce zagarną więcej. Ci, którzy zabili jej męża, będą decydować, kto następny będzie nosił Łzy i Krew. I nie będzie to jej syn.

A może właśnie będzie to jej potomek, ale z pewnością nie ten mały chłopiec, który bawi się bezpiecznie w swojej komnacie. Nie była już młoda, lecz jeszcze nie za stara, by rodzić. Poprzez mroźny chłód lęku przedarł się nagle żar ognia. Zatopi sztylet ojca w swoim sercu, zanim któryś z zabójców zdąży zawlec ją do łoża, aby spłodzić z nią Wielkiego Księcia Kijowa. A przecież jej syn Światosław już jest Wielkim Księciem.

Posiedli książęce klejnoty. I wkrótce posiadą ją. Chyba że...

Wielka Księżna Olga zaklęła głośno i gwałtownie słowami, na które jej ojciec ryknąłby gromkim śmiechem.

— Ach, widzę, że się przebudziłaś, pani – szepnął łagodny głos o dziwnej intonacji.

Rzeczywiście się przebudziła. Rozejrzała się wokół, by stwierdzić, że znajduje się we własnych komnatach, choć nie wiedziała, jak się tu znalazła. Ogień płonął w kominku, grube dywany tłumiły odgłos jej kroków na kamiennej posadzce, a wzorzyste i barwne wełniane kobierce pokrywały ściany. Postąpiła w stronę łoża i rzuciła na nie sobolową pelerynkę, odnajdując spojrzeniem małego, osobliwie wyglądającego człowieczka, który przemówił z półmroku.

Po tylu latach wciąż nie mogła przywyknąć do jego skośnych oczu i niezwykle śniadej skóry. Czy to możliwe, by ta pomarszczona istota była kiedyś, w swoim kraju i w czasach swojej młodości, przystojnym mężczyzną? Być może. Nie było sposobu stwierdzić, czy wszyscy ludzie z Seriki wyglądali tak jak mistrz Cheng. Czuła tylko we krwi i w kościach jego dziwność. Był jedynym mężczyzną, który miał prawo rozmawiać z nią na osobności, ale tylko dlatego, że nie był w pełni mężczyzną.

— Co radzisz? – zapytała z goryczą. – Chcą, żebym jeszcze przed nastaniem lata była albo martwa, albo poślubiona i w łożnicy.

— Tego niewątpliwie pragną, Wasza Łaskawość. – Muskał się jak ptaszek, wyglądając grubo haftowany jedwab rękawów szaty. Jedynym ustępstwem na rzecz klimatu były u niego wyściełane futrem buciki.

— No i? – spytała niecierpliwie. Nienawidziła go, gdy tak tchnął swoją mądrością.

— Przyjdą. Wiesz, pani, że przyjdą. I musisz być gotowa na ich

przybycie. Czy ja, niegodny, mogę zaproponować...?

Zakłęła jeszcze raz we własnym języku, a potem przeszła na grecki, który był ich jedynym wspólnym językiem.

— Mów!

— Zasługują na śmierć za to, co zrobili. Wiedzą o tym. Będą się po tobie spodziewali...

— Że będę się kulić w łożu, jęczeć i łkać, bezradna i przerażona. – Zaczęła znowu przechadzać się po komnacie, dobrze wiedząc, jak niewiele brakowało, by tak było. Już na zawsze. – Muszę zatem zrobić to, czego się nie spodziewają, Cheng. O to ci chodzi, prawda? Przyjadą jako zdobywcy, zabójcy, po swoją zdobycz, czyli po mnie. – Dławiły ją te słowa, ale wiedziała, że musi je wypowiedzieć. – A ja będę zmuszona przyjąć ich z honorami, zaszczycona przybyciem gości.

— Doskonale. – Cienkie wargi rozciągnęły się w uśmiechu. – Wielka ucztą to i tak kiepski posiłek dla podejrzliwego.

Zatrzymała się w swojej monotonnej wędrówce po wyłożonej dywanami komnacie. Znowu poczuła zimno, przenikliwie zimno. Ucztowanie nasunęło jej myśl.

— Trucizna? – zapytała ostrym tonem. – Żeby pomarli w tym samym czasie? Tak zwyczajnie sobie umarli? A może podsuwasz mi pomysł, bym poświęciła kilku z mojej drużyny, żeby to wszystko wyglądało bardziej naturalnie? Jakby taka rzecz mogła wyglądać naturalnie! Nie jestem szalona, Cheng.

— Ależ nie, Najwyższa – zgodził się. – W każdym razie trucizna jest bronią kobiety. – Po jego twarzy przemknął rozmarzony uśmiech. – Czy opowiadałem ci kiedyś, pani, o Liwii, cesarzowej Rzymu, która...

Przerwała mu niecierpliwie:

— Innym razem. Jeśli jednak wśród twoich pouczających opowieści z historii jest jakiś przykład, którym mogłabym się pokierować, opowiedz mi o tym natychmiast.

— Twoja sytuacja, pani, nie jest wyjątkowa, choć ty sama z pewnością taka jesteś. Jak rzekłem, trucizna jest bronią kobiecą. A więc czymś, czego będą się spodziewać. Będą mieli zbrojną obstawę, więc nasza broń nie może też być męską bronią, ostrzem czy maczugą. No i wszyscy muszą umrzeć równocześnie, w taki sposób, by...

— By wyglądało to na wypadek. Tak, rozumiem. Ale jak?

Nie odpowiedział, czekając, by ona okazała się mądrzejsza.

— Broń, która nie jest ani kobieca, ani męska – rzekła powoli. – Broń kogoś, kto nie jest ani jednym, ani drugim.

Mistrz Cheng skłonił się nisko.

— Twój małżonek, pani, niechaj bogowie zapewnią mu wieczną chwałę, zakazał mi korzystać z magii.

— Może gdyby tego nie zrobił, pożyłby dłużej – rzuciła. – Igor wierzył jednak bardziej we własną siłę. – Wzruszyła ramionami. Igor przecież był szalony. – Pozwolę ci zatem użyć magii. Przysięgam na węża, który zabił mego ojca... – W tym momencie przerwała jedynie po to, by powtórzyć znacznie ciszej: – Węża... – Przeniosła się pamięcią do tamtego straszego dnia z dzieciństwa, gdy opiekunka przekazała jej wiadomość, że ojciec nie żyje. Wysoki, złotowłosy, wspaniały Wielki Książę Helgi, który zawiesił swą tarczę na wrotach potężnego Mikligarduru, który był mądry i niezwyciężony, został ukąszony przez śmiertelnie jadowitego węża.

Wiele lat wcześniej wróżbita przepowiedział mu, że przyczyną jego śmierci będzie pewien koń. Helgi rozpoznał od razu, którego konia człowiek ten miał na myśli. Ten ogier był szlachetnym zwierzęciem, o pięknych kształtach i królewskim zachowaniu, a Helgi bardzo go kochał – tak bardzo, że nie pozwolił go zabić. Zamiast tego kazał o konia dbać i dobrze go karmić, ale nigdy nie wyprowadzać w jego obecności. Czasem jednak wyjeżdżał na przejażdżkę na innym koniu i patrzył na swego ogiera z daleka, lecz po kilku chwilach smutnego wypatrywania zawracał i prędko odjeżdżał. Ogier po wielu latach, gdy spłodził już wiele źrebiąt niemal tak pięknych jak on sam, w końcu zakończył swój żywot. Gdy po kolejnym zwycięstwie Helgi powrócił z wyprawy, udał się do miejsca, w którym leżały czaszka i nagie kości zwierzęcia. Chodził wkoło wielce zasmucony, oplakując swego pięknego ogiera, aż przypadkowo zawadził butem o zbielałą czaszkę. Okazało się, że czaszka zakrywała wejście do jamy węża. Wąż wypełzł i zatopił kły w jego ciele. I Helgi zmarł.

Olga wspomniała, jak wyobrażała sobie węża zwiniętego głęboko w ziemi i wypełzającego, by ukąsić szlachetnego księcia. Przez długie lata śniły się jej węże, a ona nie mogła się przemóc, by wejść do chaty należącej do kogoś z jej ludu. Te drewniane domki budowano na dołach głębokich na dwóch ludzi, a ona była przekonana, że gdzieś tam czają się węże gotowe ją ukąsić. Stopniowo przezwyciężyła opór przed odwiedzaniem chat swoich poddanych, ale nigdy nie pozbyła się lęku przed wężami.

Kiedy jednak pomyślała o chatach i wężach, nagle się uśmiechnęła.

— Uczyń dla mnie czary, mistrzu Cheng z Seriki, tak zabójcze i

podstępne jak wąż, który zabił mego ojca – mruknęła niemal słodkim głosem. – Drewlanie przybędą tu i umrą.

Wyglądał na zaskoczonego – on, wielki mędrzec z krainy jedwabiu, gdzie kpiono z innych krajów, a jego mieszkańcom wszystkie inne ludy wydawały się dzikie. Olga zaśmiała się cicho, zadowolona, że wreszcie udało się jej prześcignąć go w myśleniu.

— Historia kraju, który stał się naszym krajem, zaczyna się od trzech braci i siostry – powiedział kiedyś jej ojciec.

— Jak miała na imię? – zapytała. – Czy może Olga, jak ja?

— Nie, ale mimo to warto posłuchać. – Złagodził wyrzut uśmiechem. Zawsze tak robił; ten nieustraszony i pyszny wojownik zawsze był dla niej miły. Była strasznie dumna z niego, a także z siebie, bo jako jedynej osobie dane jej było ten szczególny uśmiech oglądać. – Pierwszy brat nazywał się Kij, drugi Szczek, a trzeci Choryw. – Ojciec przerwał na chwilę, unosząc złocistą brew. Rozpoznała po jego spojrzeniu, że spodziewa się po niej nie tyle następnego wtrącenia, ile raczej jakiegoś sygnału, że zna te imiona. Ona jednak ich nie знаła. Nie cierpiała go rozczarowywać. – A ich siostra, która była bardzo piękna, jak wszystkie siostry w takich opowieściach, na imię miała Łybedź. Ich rodzice oraz lud zabici zostali przez najeźdźców ze wschodu, a oni ruszyli szukać nowego miejsca zamieszkania, wolnego od wojny.

Olga tylko zmarszczyła brwi. Potrafiła zrozumieć pragnienie ucieczki, jakie odczuwała Łybedź; w końcu wojna nie była sprawą kobiet. Była jednak tym, czym żyli wszyscy prawdziwi mężczyźni, jedynym sposobem zdobywania bogactwa, władzy, wielkości. Jej ojciec był doskonałym tego przykładem. A jednak

siedział z nią, opowiadając historię trzech braci, którzy nie chcieli ruszyć na wojnę, choćby po to, by zemścić się na zabójcach swych rodziców i pobratymców.

— Dotarli nad piękną rzekę i na jej zachodnim brzegu dostrzegli siedem zielonych wzgórz pokrytych kwieciami i porośniętych kasztanowymi drzewami. Kij, Szczek i Choryw zrobili łódź, aby przedostać się na drugi brzeg. Łybedź czekała na braci na wschodnim brzegu, niespokojna o ich bezpieczeństwo. I jak myślisz, co się zdarzyło? Powiem ci. Łódź, która nie była potężną długą łodzią jak nasze, ale małą łódką, została porwana przez niebezpieczne prądy. Trzej bracia walczyli dzielnie z nurtem, aż piana pryskała wokół. Nie wiedzieli, że w rzece mieszkają duchy, które nade wszystko lubią zabawiać się łodziami ośmielającymi się przepływać rzekę. A ponieważ tutejsi ludzie dobrze o tym wiedzieli, więc duchy od dawna nie miały żadnej łodzi do zabawy. Wśród duchów tych był Vesuppi, który ostrzegał podróżnego: „Nie śpij”, a także Gjallandi, nawołujący głośnym dzwonieniem, oraz zawsze wściekły Eiffor czy zawsze śmiejący się Hlaejandi, a może duch ten zwał się Leandi, nieustannie kipiący...

— Sądzę, że były to dwa duchy, z których jeden się śmiał, podczas gdy drugi wzburzał wodną kipieli. Dokładnie tak, jak to się dzieje, gdy Heirleif dostrzega Ylwę rozmawiającą z innym mężczyzną, a ona chichocze, widząc jego mordercze spojrzenia!

— To całkiem możliwe. A ja jestem zadowolony, widząc, że nawet w twoim młodym wieku potrafisz rozpoznać wzrok, w którym połyskują sztylety.

Ojciec kiwnął głową z aprobatą, a jej zrobiło się ciepło na

sercu. Poczwała to, było bowiem cieplejsze od sobolego futra, jaśniejsze od letniego słońca. Wspaniale było usłyszeć pochwałę z ust tego mężczyzny.

— Na czym to ja skończyłem? A tak. Trzej bracia w łódce obijali się o siebie jak zabawki, którymi byli w rękach duchów. A jednak Kij, Szczek i Choryw walczyli dzielnie, bo dla nich życie nie było zabawką rzecznych duchów. Szczek i Choryw unieśli wiosła i wymachiwali nimi, lecz choć byli dzielni, po pewnym czasie poczuli zmęczenie. Kij zmagął się ze sterem, kierując łodzią najlepiej jak potrafił, gdy bracia walczyli z duchami rzeki. Wiedział, że jeśli się podda, łódka zacznie wirować jeszcze bardziej szaleńczo, a wtedy wszyscy trzej zginą. Na koniec, widząc zmęczenie braci, zebrał resztkę sił i wyrwał łódź z mocy rzecznych duchów. Skierował ją do brzegu i trzej bracia wyszli na suchy ląd, przemoczeni, wyczerpani, ale żywi.

Czekała, wiedząc, że będzie dalszy ciąg, ale w końcu nie zdołała się powstrzymać.

— A co z Łybedź? – zapytała.

— Zawołali do niej z zachodniego brzegu, a ona przestała się bać i płakać i odpowiedziała im radośnie.

— Ale... jak przedostała się na drugą stronę?

— Ponieważ bracia walczyli tak długo i tak dzielnie, rzeczne duchy poczuły się zmęczone i wody rzeki się uspokoiły. Bracia popłynęli z powrotem, zabrali Łybedź i wkrótce wszyscy razem przybili bezpiecznie do brzegu po zachodniej stronie.

— Czy ona nic nie zrobiła? Tylko płakała i czekała, aż po nią wróca, i nie zrobiła zupełnie nic?

— A cóż niby miała zrobić?

Olga skrzywiła się i zębami zaczęła skubać od środka policzek. Zdaniem jej opiekunki był to pożałowania godny nawyk, ale pomagał jej w myśleniu. Raz czy dwa ugryzła się mocniej, aż poczuła smak krwi.

— No, nie wiem, może mogłaby zrobić jeszcze jedną łódkę? Skoro duchy rzeki były zmęczone, przepłynęłaby sama na drugi brzeg.

— A zatem wierzysz, że zawsze da się coś zrobić? – zapytał ojciec, uśmiechając się szeroko. – Ja też w to wierzę! Będę stawiać czoło okolicznościom, gdy już nic nie da się zrobić. Mam jednak nadzieję, że nigdy nie będę do tego zmuszony! – Roześmiał się ostrym, donośnym śmiechem i porwał ją ze swoich kolan, podnosząc wysoko, a jego silne dłonie objęły mocno jej łopatki. Olga chichotała i łapała końce warkoczy, aby łaskotać nimi nos i policzki ojca. Była to ich stara zabawa, jeszcze z czasów, gdy żyła jej matka. Ojciec kręcił głową i wykrzywiał się, robiąc straszliwe miny, co sprawiało, że śmiała się jeszcze głośniej.

W końcu, wyczerpana śmiechem, usiadła mu z powrotem na kolanach i zadała pytanie:

— Co się stało z braćmi i ich siostrą, która nic nie zrobiła?

Kolejny wybuch śmiechu ojca powiedział jej, że zadała dobre pytanie.

— Nie podoba ci się Łybedź, prawda? Ty, jak sądzę, nie siedziałabyś na brzegu, płacząc. A co do Łybedź, to razem z braćmi, Kijem, Szczekiem i Chorywem, założyła na brzegach rzeki wspaniałe miasto. Mniejsza rzeka, przepływająca przez nie, nazwana została jej imieniem. Każdy z braci wybrał sobie na siedzibę jedno wzgórze i wzniesienia te nazwano Szczekowicą,

Chorywicą oraz – ach, już widzę, że zgadłaś!

— Całe miasto nazwano od imienia Kija! Czy wybierasz się tam? Jedziesz do Kijowa? Zabierzesz mnie ze sobą?

— Kiedyś tak. Kiedyś. Na razie musisz zostać w domu, w Nowogrodzie, pobierać lekcje i być bardzo grzeczna, bo w Kijowie czeka na ciebie odpowiednie stanowisko, a żeby objąć je godnie, musisz być dojrzała i mądra. – Pocałował ją w czoło na znak błogosławieństwa i postawił na ziemi. – I nie wydaje mi się, żebyś czekała wtedy tchórzliwie na brzegu, aż przyjdą ci z pomocą, jak to zrobiła Łybedź.

Pięć lat później zajęła miejsce, które obiecał jej ojciec.

Długą podróż z Nowogrodu do Kijowa odbyła zimą, bo podróżowanie o każdej innej porze roku wiązało się z ryzykiem beznadziejnego unurzania w błocie na drogach, których prawie nie było; lód i śnieg stanowiły solidne oparcie dla końskich kopyt i płóz sań. Pojechała do Kijowa i wyszła za Igora, wnuka wielkiego Ruryka, i choć minęło wiele, wiele lat, zanim dała Igorowi syna, to była to jedynie wina Igora i nikogo innego. Gdyby spędzał więcej czasu w Kijowie, zamiast nieustannie odwiedzać lenne ziemie; gdyby zostawał, żeby rządzić, zamiast wdawać się w bitwy z Pieczyngami, Chazarami, Grekami, Drewlanami...

No i oczywiście, gdyby nie bijął jej tak przekłęcie często za to, że była córką większego wojownika niż on sam, to być może urodziłyby więcej synów.

Był więc tylko ten jeden mały chłopiec. Pięcioletni. A Drewlanie chcieli go zabić.

Przybyli triumfalnie do Kijowa, ale było ich zaledwie

dwudziestu. Ukryła swoją wściekłość i rozczarowanie i przyjęła ich w wielkiej sali. Źle się czuli, widząc wszędzie wokół kamienne mury, oni – którzy mieszkali w drewnianych i wiklinowych chatach, a za podłogę służyła im brudna polepa. Rozumieli, jakie bogactwo oznaczają te kamienie.

Wielce uroczyście wręczyli jej Łzy i Krew. Była zdziwiona i to okazała. Oczekiwała, że któryś z nich będzie nosił ten kolczyk. Okazało się jednak, że mieli inny zamysł.

— Wielki Książę Igor, choć był w jakiś sposób wielkim człowiekiem, nie był rozsądny – przemówił jeden z nich, który był ich wodzem, a jego ciemna karnacja doskonale pasowała do tego pochmurnego dnia, inaczej niż jej złote włosy. – Tego roku, podobnie jak we wszystkich poprzednich latach, przybył do naszego grodu w Iskorosteniu. Wręczyliśmy mu naszą daninę. Zażądał dwukrotnie większej. Naradziliśmy się między sobą i oto, co postanowiliśmy: jeżeli wilk nawiedza stado owiec, to porwie wszystkie owce, jedną po drugiej, chyba że zostanie zabity.

Przerwał na chwilę, jak gdyby czekając, aż ona coś powie. Może zgodzi się ze zbiorową mądrością jego plemienia, która kazała im zabić Wielkiego Księcia? Zacisnęła szczęki, aby powstrzymać cisnący się na usta krzyk gniewu, gdy rozważała cały ciąg zdarzeń, który przywiódł ich tutaj. Nie krzyczy się na człowieka mówiącego po prostu prawdę, nawet gdy prawda ta jest obraźliwa. Skupiła wzrok na swoim jedwabnym rękawie, grubo haftowanym w kwieciste bukiety, i hamowała się, by nie zacząć żuć policzka.

— Jesteś teraz kobietą bez męża, a kobieta samodzielnie

rzządzić nie może. Tak jak Igor, wnuk Ruryka, poślubił cię i został Wielkim Księciem w miejsce twego ojca, tak teraz Drewlanin zostanie twoim mężem i Wielkim Księciem i będzie rządził długo i mądrze, płodząc synów dla przyszłej chwały i bogactwa Rusi.

Sztywna i oficjalna w swoich szkarłatnych jedwabnych szatach, ciężkiej koronie i naszyjnikach ze złota i bursztynu, nie odezwała się ani słowem.

— Prosimy, byś wybrała jednego spośród nas – ciągnął dalej przywódca z przy pochlebnym uśmiechem. – Przywiodłem tu dwunastu pięknych, silnych i dumnych młodych wojowników. Najlepszych, jakich nasz kraj może ofiarować. – Przyobiecana dwunastka postąpiła krok do przodu, lecz ona nawet na nich nie spojrzała. – Zwróć uwagę, dobra pani, że z Drewlaninem jako twoim mężem i z Drewlaninem jako twoim synem kraj ten będzie rządzony przez tych, którzy przynależą doń od niepamiętnych czasów.

Milczała, nie ufając słowom, jakie mogłaby wypowiedzieć, bo to, o czym myślała, mogłoby zrujnować wszystko. Przez tych, którzy „przynależą” tutaj, rozumieć trzeba wszystkich potomków trzech braci, którzy zrezygnowali z zemsty za unicestwienie swego ludu! I nie zapominajmy o siostrze, która kuliła się i drżała na brzegu rzeki! Nic dziwnego, że błagaliście wielkiego Ruryka, aby wami rządził, dał wam prawa i zapewnił bezpieczeństwo od wrogów, bo wszyscy jesteście tchórzami i głupcami.

Teraz przemówił dowódca wojskowy jej zmarłego męża, Sveneld, który stał obok jej obitego jedwabiem tronu, a teraz jednym długim krokiem wystąpił naprzód.

— Czyżbyście zapomnieli – zagrzemiał z głębi potężnej piersi,

rozmiarem przypominającej beczkę wina – że to wy prosiliście nas o księcia, żeby wami rządził? My, Waregowie, chcieliśmy tylko bezpiecznej drogi do Mikligarduru, do Jedwabnego Szlaku prowadzącego do Seriki, możliwości handlu sobolimi futrami. Zaprosiliście, wręcz błagaliście księcia Ruryka, aby wam przewodził i był waszym wybawieniem od najeźdźców. Książę Helgi pozwolił się wam rozrosnąć, a ogłosiwszy Kijów Matką Całej Rusi...

— Wystarczy – powiedziała łagodnie Olga. Wszystkie oczy, okrągłe ze zdumienia, spojrzały na nią. Przeprosi Svenelda później, a także podziękuje, że powiedział to, czego jej nie wolno było powiedzieć. Powstała z krzesła, wygładziła szatę i spojrzała z góry na drewlańskiego wodza. – Musicie zrozumieć niepokój mojej duszy, odkąd... odkąd... – Zamilkła i raz jeszcze popatrzyła w dół, na swoje dłonie, jakby nie mogła mówić dalej. Była pewna, że szpiegzy donieśli im o jej bezwiednych wędrówkach, bezsenności i nerwowości. Nie mogła przedstawić się im jako kobieta w pełni panująca nad sobą i swymi uczuciami. Jeśli uznali ją za przytłoczoną żalobą i przerażoną, tym lepiej. – Daliście mi trudny wybór, bo wszyscy ci młodzi ludzie, których mi przedstawiacie, warci są, czego jestem pewna, Krwi i Łez. – Jej palce zacisnęły się na trzymanym w dłoni kolczyku. – Wybaczcie, proszę, jeśli w tej właśnie chwili nie potrafię dokonać wyboru.

— Nie zamierzaliśmy cię ponaglać, szlachetna pani – łagodził Drewlanin. – Możesz mieć tyle czasu, ile zechcesz. Poczekamy.

Upust swojej furii dała później, w obecności mistrza Chenga.

— Tak, poczekają! A czekając, będą pożerać moje zapasy, opijać się moimi trunkami i bałamucić moje służki.

— Spokojnie, Najłaskawsza – mruknął starzec. – Czyż nie tego właśnie chcieliśmy? Są tutaj i myślą, że twoją równowagę zachwiały smutek przeszłości i lęk o przyszłość. Gdy będą sobie wyobrażać, jak w odosobnieniu wyłamujesz palce, rozmyślając nad wyborem, nie przyjrzą się temu, co rzeczywiście jest do zobaczenia.

Uspokajając się z trudem, zdejmowała z szyi ciężkie naszyjniki z bursztynu. Koronę już zdjęła, przekraczając próg komnaty; ciężar złota przyprawiał ją o ból głowy.

— Wszystko przygotowane? – zapytała.

— Oczywiście.

Łańcuch zaczepił o jedwabne hafty. Szarpnęła go w ponownym nagłym przypiływie furii.

— Dlaczego Igor to zrobił? Dlaczego zażądał podwójnej daniny? Czy sądził, że jest tak potężny, że nikt nie ośmieli się mu odmówić? Czy ci Drewłanie wyglądali na dość bogatych, by zażądać od nich daniny dwakroć większej?

— Któż może wiedzieć, co miał wtedy w głowie? – Mistrz Cheng wsunął dłonie w rękawy. – Podróżowanie do każdego z wasali z osobna, zbieranie danin, branie udziału w wystawnych ucztach i rozrywkach, często przez miesiąc lub dłużej, to wszystko mogło być dla niego zwykłym sposobem uszczuplania ich zasobów, aby nie mogli wystawić przeciw niemu wojska. I rzeczywiście, zauważ, pani, że przyjechało ich do ciebie zaledwie dwudziestu ze sługami. To nie oni mają wojsko. To ty je masz.

Uwolnwszy się w końcu od dokuczliwego naszyjnika, rzuciła go na dywan. O tej porze chodziła odwiedzać syna i nie chciała, by się przestraszył, widząc ją w całym bogactwie jej złotych

klejnotów.

— Wojsko jest męskim narzędziem, mistrzu Cheng – odparła.

— Niewątpliwie, pani. A tutaj nie ma mężczyzny. – Uśmiechnął się.

Tylko matka i ten, który nigdy nie będzie ojcem. Już miała na końcu języka pytanie, dlaczego tkwił w Kijowie przez wszystkie te lata; po cudach dostojnych Aten, dumnego Rzymu i potężnego Mikligarduru, które oglądał podczas podróży szlakami handlu jedwabiem, jej miasto było ich żalosnym przeciwieństwem. Tamte miejsca świeciły jak słońce; w porównaniu z nimi Kijów był zwykłym ogniskiem trzaskającym ogniem, gotowym za chwilę zgasnąć, gdyby nie broniła go przed Drewlanami.

Igor spytał kiedyś Chenga, czy nie pragnie wrócić do domu, do Seriki. Starzec wzruszył ramionami, uśmiechnął się i odparł, że obawia się, iż zbyt niedołąźniał, by bez szwanku odbyć tak długą podróż, a nawet gdyby dotarł do Krajów Jedwabiu, to czuje się już nazbyt zepsuty pobytem na nieokrzesanym Zachodzie. A poza tym, dodał z błyskiem w swoich czarnych skośnych oczach, patrzenie na złotowłose niewiasty zbyt go cieszy, by już nigdy więcej ich nie oglądać.

— Danina i armia – westchnął Cheng, odrywając ją od jej myśli. – Niedogodna i rozrzutna metoda rządzenia, jeśli wolno tak to ująć, Najłaskawsza. Budowanie narodu z gałązek i sznurka tam, gdzie potrzebny jest kamień.

Wzruszyła ramionami.

— Zawsze tak rządzono. Czy istnieje lepszy sposób?

Patrzył tylko na nią z rozbawieniem migoczącym w czarnych oczach. Zaczął tak na nią patrzeć w tygodniach, które nastąpiły

po śmierci Igora: obserwował ją, czekał, aż przejawiał mądrość.

Pomyślała o swojej pierwszej próbie wykazania się taką mądrością i o tym, jak roześmiał się radośnie, a probując jej plan, i nagle daniny i wojska, drewno i kamień połączyły się w zgrabny sens.

— Od tej chwili trzymaj ich tutaj – posłyszała swój głos. – Pozwalaj im wyjeżdżać do ich kraju rzadko, żeby czegoś nie popsuli. Zakorzeniaj w nich upodobanie do królewskiego życia: w domu z kamienia, w mieście opasanym kamiennym murem, nie zaś w ciasnej drewnianej wiosce. Zbudują dla mnie miasto z kamienia, Cheng. Wydadzą wszystkie swoje zasoby na to i na piękne rzeczy mające ozdobić ich nowe siedziby, a nie na wojska.

— Mądra jesteś, Najłaskawsza. – Skłonił się przed nią, a ją ponownie zdziwiła satysfakcją, jaką odczuła, słysząc te słowa podziwu.

To było lepsze od uśmiechu ojca, pomyślała.

Skończyła owijać wokół głowy grube, jasne warkocze, po czym umocowała je szpilą ze smoczą główką, która należała kiedyś do krewnej jej męża, królowej Danii. Zmieniła wyraz twarzy na taki, który wyrażał szczęście i dobry humor, nie zaś gniew i niepokój.

— Chodź – powiedziała do mistrza Chenga. – Dokuczemy opiekunkom, nie pozwalając Światosławowi zasnąć do późnej nocy. A ty znowu pokażesz mu czary. – Ten pomysł najwyraźniej ją rozbawił, bo żartobliwie pogroziła Chengowi palcem, mówiąc: – Byle nie te z gołębiami!

— Musiały być świeżo nakarmione – odparł, przewracając oczyma – bo inaczej nie pobrudziłyby dywanów.

— Twój mistrz powinien był cię nauczyć, jak usuwać nawóz za

pomocą czarów – zakpiła. A potem dodała ponuro: – Teraz to by się nam przydało.

Czwartego wieczoru od przybycia Drewlan wydano ucztę. Olga kazała zbudować wielki drewniany dwór, przyozdobiony barwnymi girlandami jedwabiu i ogrzewany żelaznymi koszami na żar, a tak grubo wyłożony kobiercami, że przykryły one zupełnie deski sosnowej podłogi. Najpiękniejsze jasnowłose niewolnice podawały najbardziej wyszukane potrawy. Mocne trunki lały się strumieniami do ogromnych, okutych srebrem rogów, a z nich w gardła gości.

Tego ranka przeprowadziła wizytację drewnianego dworu. Jak na tak pospieszną budowę był całkiem piękny i wspaniale wyposażony. Powiedziała to głośno, wymieniając spojrzenia z mistrzem Chengiem, i uśmiechnęła się.

Gdy goście ucztowali, ona pozostała w swoich komnatach na piętrze zamku, przyglądając się, jak jej syn wykrzykuje z zachwytem na widok skomplikowanych czarów, jakie mistrz Cheng czynił dla rozrywki tego bystrego, mądrego dziecka. W końcu starzec się wymówił i wyszedł, ku wielkiemu niezadowoleniu chłopca. Olga pozostała przy Światosławie długo w noc, kołysząc go do snu na kolanach i wsłuchując się w trzask ognia w kominku. Panował spokój, pomimo groźby wiszącej w powietrzu, bo w tym momencie nie była nikim więcej jak matką ukochanego syna. W całym wielkim Kijowie inne matki też siedziały przy ogniu, kołysząc swoje dzieci do snu. Czuła, że wszystko dobrze obmyśliła, i wyobrażała sobie, że Kijów jest jednym ciepłym kominkiem, przytulnym jak kochające ramiona matki.

Matka Całej Rusi.

Patrząc w płomienie broniące ją przed zimnem i ciemnością, zwróciła myśli ku drewnianemu dworowi za oknami i posłyszała zmianę dobiegającej stamtąd muzyki, która od starych heroiczych ballad, jakie zawsze towarzyszyły ucztom, przeszła w skoczniejszy rytm, odpowiedni do tańca. Niewolnice wychodziły jedna po drugiej, aż na uczcie pozostali sami Drewlanie. Ryczeli biesiadne pieśni, tłukąc pięściami w stoły, aż spadały z nich misy i talerze. Ich buty tupały w sosnowe deski pod stołami, a także w wolnych miejscach, gdzie ci młodzi mężczyźni w tańcu dawali upust nadmiernej energii, jaką wlewali w siebie z napełnianych winem rogów. Widziała to wszystko oczyma duszy. Widziała też, jak obok drewnianej budowli stał stary mężczyzna o dziwnie skośnych czarnych oczach, który wymruczał kilka słów i delikatnym gestem ręki przywołał zawsze młode czary.

Nasłuchując z komnaty syna, posłyszała pierwsze krzyki. Usłyszała trzeszczenie i pęknięcie milionów płonących cienkich gałązek pod ciężkimi butami, gdy podłoga pod kobiercami straciła swój czar i stała się tym, czym naprawdę była. Posłyszała, jak runęły w dół ciała i stoły, i ławy, i żelazne kosze z żarem, i jak wszystko to wpadło do dołu głębokiego na dwóch ludzi. Posłyszała trzask dartego jedwabiu, pękających czaszek, a wreszcie ostatni odgłos, donośny jak grzmot, gdy na wierzch zwaliły się ściany gęsto plecione z giętkich jak węże gałęzi, przygniatając wszystkich pod sobą i grzebiąc żywcem.

Wtedy się uśmiechnęła, skinęła głową i wpatrzyła się w ogień na kominku, tuląc syna w ramionach.

Tej nocy śniła jednak o węzach.

— Nie wszyscy są martwi – powiedziała nazajutrz do mistrza Chenga. – Niektórzy z tych, którzy zabili mego męża, wciąż żyją.

Chwilę trwało, nim jej odpowiedział:

— Poza najazdem na Iskorosten...

— Jeśli będę zmuszona. – Chodziła po komnacie, bawiąc się końcami długich złotych warkoczy. Nie czuła się mądra. Nie mogła zmusić swego umysłu do błyskotliwości. Wiedziała tylko, że nie może użyć męskiej broni; nie była wodzem, by komenderować wojskami. Będą się spodziewali, że zechce użyć broni kobiecej, ale nie była cesarzową Rzymu, by posługiwać się trucizną. Przed nią, w osobie starca, stała wcielona magia, a ona musiała zdobyć się na mądrość i powiedzieć mu, jak należy jej użyć.

Stała przed kominkiem i patrzyła w ogień, przebierając wśród różnych tożsamości, w jakie inni ją wyposażyli: córki, żony, matki, Wielkiej Księżnej. I w każdej z nich odnajdywała swoją odpowiedź. W ogniu.

Był tylko jeden sposób upewnienia się, że wąż nie żyje.

Kilka tygodni później jej wysłannik stanął przed wstrząśniętymi, pogrążonymi w żałobie Drewlanami i powiedział:

— Wielka Księżna się lęka, moi panowie. Po tej straszliwej tragedii, tym okropnym wypadku, który zabrał tyle silnych i dumnych żywotów, sami rozumiecie – jest tylko kobietą, panowie. Zmiłujcie się nad jej samotnością! Jej ojciec o chwalebny imieniu nie żyje, jej mąż także, a syn jest dzieckiem liczącym zaledwie pięć wiosen. Dlatego błaga was ona, byście

wysłali do niej wszystkich najmądrzejszych ludzi, najlepszych z tych, którzy rządzą Drevlanią, chce bowiem zasięgnąć waszej rady.

Przybyli. Naprawdę przybyli. Patrzyła ze skrywanym zadowoleniem, jak wmaszerowali ponuro na otoczony kamiennym murem dziedziniec. Była ich cała setka, wszyscy w zbrojnym rynsztunku, sami wojownicy. Ciemnowłosi, mocnej postury i brodaci, a każdy niósł topór, miecz i nóż, z którymi nigdy się nie rozstawali, nawet podczas snu. I byli rozgniewani. Bogowie, jakże byli rozgniewani.

Ich nowy wódz, syn poprzedniego, wszedł na stopnie wiodące do jej siedziby, na których stała, gotowa ich przyjąć.

— Zostaniemy tutaj – powiedział bez wstępów – między kamiennymi murami. Twój zamek jest dość duży, by nas gościć. Nie będzie już wypadków. Zostaniemy tutaj.

Szczęk ich zbroi i broni, gdy włączyli się po zamku, dudnił jej w głowie dzień i noc. A w sennych koszmarach, gdy pogrążona była we śnie, bezbronna i zdana na ich łaskę, ich miecze i topory zmieniały się w węże o żelaznych kłach, które zagłębiały się w maleńkie ciało jej syna.

— Wasza Wysokość – powiedział Sveneld piątego popołudnia, tuż przed kolejnym zebraniem „rady” jej gości – ośmielam się zauważyć, że ci zabójcy jeszcze żyją.

Obróciła się ku niemu z furią, gotowa wydrapać mu paznokciami oczy. Stojący obok mistrz Cheng potulnie ukrył dłonie w rękawach i schylił głowę. Wiedziała, że skrywa uśmiech.

Gdy przemówiła, jej głos był delikatny jak łabędzi puch:

— Nie pożyją długo. Zapłacą swoją daninę, Sveneldzie, uwierz mi, a gdy będzie po wszystkim, nie zostanie już nic do zapłaty. – To będzie ostatnia danina, która uwolni ją od węży.

Odkryła bowiem nową broń. Nie broń kobiety, mężczyzny czy czarownika. Broń matki. Mistrz Cheng, usłyszawszy o jej planie, nie tylko się uśmiechnął. Zrobił coś, czego nigdy dotąd nie robił, nawet w hołdzie dla jej męża: osunął się na kolana, ramiona w zielonych rękawach rozkładając na boki jak skrzydła, i dotknął czołem zimnej kamiennej posadzki.

Na jej rozkaz wielka łódź, w której jej ojciec dopłynął do Mikligarduru, przyniesiona została z honorowego miejsca nad rzeką. Burty łodzi, zrobionej z wydrążonego pnia potężnego dębu, były tak samo zdrowe jak tego dnia, gdy Wielki Książę Helgi, stojąc pośród swoich wioślarzy, powrócił triumfalnie do domu. Gdy była małą dziewczynką, łódź wydawała się jej ogromna; teraz, gdy patrzyła, jak wnoszono ją ostrożnie na otoczony kamiennym murem dziedziniec, wydała jej się mniejsza, lecz zdawała sobie sprawę, że stała się dorosłą kobietą, zmuszoną troszczyć się o cały kraj.

Postawiono maszt i wciągnięto nań kwadratowy żagiel. Robiąc to, jej ludzie śpiewali pieśń o zwycięstwie Wielkiego Księcia Helgiego nad dumnym Mikligardurem i o tym, jak zmusił cesarzy, by zapewniali żywność i schronienie wszystkim kupcom z Rusi, którzy w przyszłości będą przyjeżdżać do tego miasta. Czekwała z uśmiechem na swój ulubiony fragment: cesarze mieli przygotować tyle łaźni, ile sobie Rusowie zażyczą. Część tę najtrudniej było zaśpiewać, bo nikt nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Słowa pieśni opowiadały o spoconych i przeklinających

Grekach, zmuszonych dzień i noc nosić i podgrzewać wodę dla wesołych, lecz kapryśnych Rusów.

Nocą stanęła na stopniach swego domu, przybrana w najcieńsze jedwabne szaty i wszystkie klejnoty, i przyglądała się wielkiemu zgiełkowi na dziedzińcu, towarzyszącemu przygotowaniom do uroczystości. Od triumfalnego powrotu Wielkiego Księcia Helgiego z Mikligarduru minęło czterdzieści lat, a ona zamierzała imponująco uczcić tę rocznicę. Należało przypomnieć Drewlanom, że tamto wielkie zwycięstwo było dziełem Warega. Powinni sobie przypomnieć, dlaczego prosili Warega, by przybył i nimi rządził.

Zachęcono ich, by weszli do łodzi wszyscy, co do jednego, a piękne jasnowłose niewolnice pilnowały, by każdy miał w ręku pełen po brzegi róg trunku. Sveneld nie był zadowolony, że wpuszczono ich do łodzi, ale ona pokręciła tylko głową, mówiąc, by zachował cierpliwość. Okazał szczególne wzburzenie, gdy kazała wszystkim kijowskim żołnierzom zostawić broń w koszarach. Ona jednak i w tym była niewzruszona. Była Wielką Księżną, a jej poddani mieli okazywać posłuszeństwo.

Stała na najwyższym stopniu, patrząc, jak Drewlanie piją i śmieją się. Mistrz Cheng przemknął cicho i stanął u jej boku. Spojrzała na niego, a on uśmiechnął się do niej i wykonał nieznaczny gest długimi, cienkimi palcami.

Poniżej każda ze stu pochodni zatkniętych wokół dziedzińca buchnęła żywym płomieniem.

Wszyscy na dziedzińcu wciągnęli powietrze jak dziecko łapiące swój pierwszy oddech.

Widziała już, jak Cheng robił to wcześniej, nigdy jednak na

taką skalę. Dziedziniec zajaśniał, jakby było południe. Ręce Drewlan powędrowały do rękojeści mieczy. Spojrzała z ukosa na mistrza Chenga. Odpowiedział jej niewinnym uśmiechem.

Jak zaplanowała, wraz z zapadnięciem zmroku i zapaleniem pochodni potężny męski głos zaczął śpiewać pieśń. Na szarych kamiennych murach pojawiły się cienie. Być może rzucało je światło pochodni. Wbiegły tancerki, a wojownicy uspokoiili się i przechylili przez burty łodzi, by móc podziwiać spektakl.

*Książę Helgi, potężne twe imię i wieczna chwała, czterdzieści lat minęło,
lecz my pamiętamy i zawsze pamiętać będziemy wielkość twego triumfu.*

Trudno jej było obserwować Chenga, a zarazem śledzić zdarzenia na dziedzińcu. Raczej poczuła, niż zobaczyła, jak jego palce zaciskają się rytmicznie, i bardziej poczuła, niż posłyszała, dziwne słowa, które szeptał.

*Pożegłował w tysiącu łodzi, by znaleźć port Mikligarduru
Zamknięty potężnymi łańcuchami;
chytry Grecy pewni byli zwycięstwa.
A jednak Wielki Książę Helgi okazał się sprytniejszy od Greków.*

Oświetlone ogniem tancerki roiły się na dziedzińcu. Cienie na murach rysowały ceglane wieże najeżone wojownikami. Nikt nie wierzył, że cienie te rzucają się przez pochodnie. Dreszcz strachu przeniknął aroganckich Drewlan, którzy zamordowali Wielkiego Księcia. A jednak zadziwienie tym zjawiskiem kazało wszystkim patrzącym trwać w milczeniu.

Wojownicy wyskoczyli z łodzi jak wilki ze swych gniazd,

*Na oczach dumnego Mikligarduru, pod samymi jego murami.
Grecy ruszyli na nich tysiącami, jak stado miękkich owiec
Idących na rzeź, zostali pożarci i tylko ich białe kości zostały na brzegu.*

Znienacka ogłuszający krzyk dobył się z gardeł jej ludzi, ryk dumnego zwycięstwa, gdy armia księcia Helgiego pokonała armię cieni Greków. U jej boku Cheng drżał, szepcząc jakieś słowa.

*Wojowie Rusi nie znali klęski, zmęczenia ni bólu.
Księżę Helgi zawiesił swą mocną tarczę na wrotach pokonanego
Mikligarduru i pozegłował ku domowi ze złotym skarbem i srebrnymi łupami,
A drogich kamieni było dość, by usypać z nich górę; spójrzcie na nie teraz,
gdy zdobią jego córę cudną białą szyję i smukłe ramiona.*

Cienie zniknęły i zgasły wszystkie pochodnie, oprócz jednej, a ta jedna oświetlała tylko ją, gdy tak stała na stopniach, teraz już sama. Na jej szyi, ramionach, przegubach, w uszach i na całym ciele migotały tysiącem barw drogie kamienie, oprawne w złoto i srebro lub naszyte na szaty. Stała bez ruchu, bez uśmiechu. Niedaleko, poza kręgiem jasnego światła pochodni, mistrz Cheng dyszał ciężko z wysiłku.

*Wszelka chwata dla Wielkiego Księcia Helgiego, dla jego sprytu, odwagi i
mocy.*

*Słowa o jego czynach żyć będą na wieki przy ogniskach Kijowa, Matki Calej
Rusi!*

Okręt Helgiego zajaśniał nagłym światłem, miotając płomienie. Zapalające iskry padały na odzież Drewlan. Gęste czarne włosy

zajęły się ogniem. Zapaliły się drewniane styliska toporów; rozżarzyły się skórzane pochwy mieczy; haftowane pasy, za które zatknięte były długie noże, zmieniły się w pasy ognia. Cały ogień świata pożerał krzyczących w łodzi mężczyzn. Śwąd zwęglonego ciała był okropny. Olga patrzyła, myśląc, że ludzie ci, skręcający się w cierpieniu, rzeczywiście przypominają węże – wijące się, złe węże, płonące żywcem. Był to jedyny sposób, by zyskać pewność, że wszystkie zginą. Wkrótce po drewlańskiej sile i dumie pozostały jedynie osmalone ostrza toporów, noży i mieczy. Broń mężczyzn, bezradna wobec mocy jej ognia. Ciepłe ognisko Wielkiej Matki Kijowa zmieniło się w piekło.

Obok niej mistrz Cheng osunął się na kamienie. Uklękła, ujmując go za kruche ramiona, i wyszeptała jego imię. Uśmiechnął się lekko i nieśmiało dotknął palcami jej włosów.

— Żywe złoto – wyszeptał.

I nagle zrozumiała, dlaczego ten stary człowiek tkwił przez wszystkie te lata w Kijowie. Pojęła to i nieoczekiwanie jego dziwna, pomarszczona twarz ze skośnymi czarnymi oczyma stała się piękna.

O świcie z okrętu i schwytyanych w jego pułapkę mężczyzn pozostał tylko popiół, a mistrz Cheng umarł.

Dla niego użyła swoich wojsk, aby zniszczyć drewlańskie miasto Iskorosteń. Synek Światosław towarzyszył jej pod troskliwą opieką dowódcy Svenelda i służącego Asmunda, którzy szczerze go kochali i wspólnie byli dlań mądrzejszym i lepszym ojcem niż ten, jakim mógłby być Igor. Światosławowi pozwolono rzucić pierwszą włócznię przeciw wrogom. Ta męska broń w rękach walecznego małego chłopca natchnęła żołnierzy takim

zapalem, że zapomnieli, iż walczą pod rozkazami kobiety.

Wzięto Iskorosteń. Większość jego mieszkańców poległa, a resztę oddano w niewolę członkom drużyny Olgi. W dniu upadku Iskorostenia Olga wpięła w ucho Krew i Łzy i zrzekła się tego klejnotu dopiero wtedy, gdy dorósł jej syn. Światosław rozpoczął własne podboje jeszcze za panowania matki. Była mądrą i rozsądną Wielką Księżną, która zreformowała państwo i zlikwidowała roczną daninę. Do Kijowa przybyli najwięksi możni wszystkich plemion, a zanim wybudowali własne siedziby z kamienia, mieszkali w drewnianych domach, lękając się jednak bardzo pękających gałęzi i nagłych pożarów. Olga śmiała się na wieść o podobnych obawach, ale zadbała o to, by Kijów był miastem zbudowanym bardziej z kamienia niż z drewna: Matką Całej Rusi, jej domowym ogniskiem, ciepłym i gościnnym.

Olga zmarła w lipcu 969 roku, dwanaście lat po przyjęciu chrztu. Za swą matczyną troskę o kraj i wprowadzenie ludu do chrześcijańskiego Kościoła została umiłowana świętą Olgą Kijowską.

Do śmierci nigdy już nie śniła o wężach.

Nota autorki

Choć wiele metod działania Olgi wymyśliłam, to jednak rzeczywiście pomściła ona swego męża i ochroniła syna, zakopując i paląc żywcem drewniańskich wystanników. Szczegół o wykopie pod domem jest prawdziwy, podobnie jak opis łodzi i podboju Mikligarduru – Konstantynopola – przez ojca Olgi. Zmarł on po ukąszeniu przez jadowitego węża. Opowieść o założeniu Kijowa jest jedną z najstarszych historycznych legend Rusi. Kijów powstał prawdopodobnie z połączenia trzech osad – na co wskazują badania archeologiczne – znajdujących się w obrębie obecnego miasta. Światosław

rzeczywiście rzucił pierwszą włócznię w Iskorosteniu. Współczesny opis pozostawiony przez arabskiego kronikarza mówi o kolczyku, który Światosław nosił w wieku dorosłym: z perłami i rubinem. Jego syn – święty Włodzimierz I Wielki – był najbardziej czczonym z Wielkich Książąt Kijowa. Przez niego Olga była przodkinią królów Polski, Węgier, Francji, Hiszpanii i Anglii.

Przetoczył Jerzy Moderski

Katie Elliott

BRZEGIEM RZEKI ŚMIERCI



W dzieciństwie spędzonym na wsi w stanie Oregon Kate Elliott wymyślała rozmaite historie i kresliła mapy stworzonych przez siebie krain, bo pragnęła uciec do świata mrocznej wyobraźni. Ta podejrzana skłonność poprowadziła ją nieomylnie do kariery pisarki fantasy. Opowiadanie Brzegiem rzeki śmierci rozgrywa się w świecie siedmiotomowego cyklu „Korona gwiazd”. Trylogia „Spiritwalker” (Cold Magic, Cold Fire i Cold Steel) jest afroceltycką, postrzymską opowieścią fantasy z mieczami, rekinami i prawnikami dinozaurami. Napisała trylogię „Crossroads” (Spirit Gate, Shadow Gate i Traitors’ Gate), gdzie można znaleźć olbrzymie orły, duchy i analizę starego powiedzenia „władza korumpuje”, a także cykl science fiction „Novels of Jaran”. W czasie wolnym od pisania nie przebywa w świecie mrocznej wyobraźni, ale na rajskich Hawajach.

Ten gęsto porośły lasem zachodni kraj, leżący daleko od jej plemiennych terenów, był dla Kereki czymś surowym i niestrawnym, ale krążący w górze jastrząb wyglądał tak samo jak jastrzębie z trawiastych krain. Niektóre rzeczy są wszędzie takie same, nieważne, dokąd się pojedzie, nawet gdy chcąc zdobyć to, czego się pragnie, trzeba udać się do krajów, w których cudzoziemcy budują domy. Nawet gdy trzeba wyruszyć daleko od namiotu matki i poza zasięg władzy ojca, aby zasłużyć na chwałę swego pierwszego zabójstwa.

Donośny odgłos siekiery rąbiącej drewno zaskoczył ją; myślała, że jest za wcześnie na polowanie, bo nie zauważyli jeszcze śladów siedzib ludzkich. Jadący daleko przodem jej brat Belek, ledwo widoczny między drzewami, wyciągnął włócznię z osady przy nodze i zmusił klacz do przyspieszenia kroku. Kereka

unosła się w strzemionach i dostrzegła, że wyjechał na przesłoniętą listowiem polanę. Ptaki wzleciały z ukrycia, bijąc skrzydłami. Z lasu dobiegł szczeł broni, ostry krzyk, a potem skowyt bólu mężczyzny.

Jadący tuż przed nią Edek zaciął konia i pognął galopem. W jego gardle wzbierały pełne furii słowa, gdy wraz z Kereką wypadli z lasu na polanę porosłą trawą, kwiatami i młodziutkimi zielonymi drzewkami, ponad które wyrastała para młodych mocnych dębów.

Klacz Beleka straciła swego jeźdźca. Odeszła na bok i stała z uniesioną głową, kładąc uszy po sobie. Przy dębach trwała walka. Pchnięcie włóczni Beleka przebiło tors przeciwnika, ale zanim zabił on farmera pchnięciem miecza pod żebra, siekiera tamtego wbiła mu się w bok. Edek stał, poruszając bezgłośnie wargami, i patrzył, jak Belek odpiłowuje zakrwawionym nożem głowę trupa. Z boku Beleka ciekła krew, wypływając spod długiej tuniki na kolana skórzanych spodni, ale Belek uparł się, by mieć tę głowę.

Jeśli przed śmiercią zdąży pokazać trofeum beghowi, to umrze jako mężczyzna, nie jako chłopiec.

Zgrzytał zębami i mrużył oczy, ale ani słowem nie zdradził, jak bardzo cierpi. Nawet gdy w końcu oddzielił od ciała głowę, która odtoczyła się trochę, a jasna krew trysnęła na trawę, nie powiedział nic, tylko z bólu wyjęczał krótkie „gah” i przewrócił się na bok. Jego dłoń trzymała głowę trupa za włosy. Spojrzeniem badał niebo, jakby śledząc bieg obłoków, potem zatrzymał wzrok na twarzy Kereki. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale zamiast tego zemdlął.

Kereka patrzyła. Jeden z młodych dębów miał z boku wyszczerbienie, ale farmer nie zdążył wrębać się dostatecznie głęboko, by go powalić. Wśród rozsypanych wokół pnia wiórów pełzało robactwo. Dojrzała kępkę białych kwiatów rozgniecioną butami farmera. Jego czerwona krew wsiąkła w ziemię, mieszając się z krwią Beleka. To przecież nie mogło wydarzyć się naprawdę?

Chłopcy co roku opuszczali swoje klany, żeby dokonać pierwszego w życiu zabójstwa, i co roku kilku nie wracało. Jazda brzegiem rzeki śmierci wiązała się z ryzykiem, które podejmowali, by zostać mężczyznami. Żaden z tych chłopaków nie wyruszał jednak o świcie z myślą, że śmierć dopadnie właśnie jego.

Edek zsiadł z konia i ukląkł obok Beleka, aby rozwiązać jego ciężką tunikę. Otworzył ją tak, jak rozpościera się skrzydła strąconego na ziemię owada. Ujrawszy głęboką ranę i widoczny w niej biały połysk odsłoniętego żebra, zaklął cicho. Kereka nie mogła znaleźć słów, widząc, jak umierają jej nadzieje.

— Nigdy nie zdoła wrócić do domu z tą raną – powiedział Edek. – Będziemy musieli go tu zostawić. – Poderwał się, słysząc trzask, ale to tylko klacz nastąpiła na opadłą gałąź, gdy zawróciła, by odnaleźć znajomą bliskość swego stada.

— Nie możemy go zostawić. – Kereka wiedziała, że musi mówić szybko, by zdążyć, zanim padną samolubne słowa Edeka. – Jest moim bratem. Synem begha. Jeśli go zostawimy, ściągniemy na siebie hańbę.

Edek wzruszył ramionami.

— Jeśli go zabierzemy, to ty i ja nie będziemy już mieli

żadnych szans na zdobycie jakiejś głowy. Nie możesz temu zaprzeczyć. On nie może jechać konno. Tak czy inaczej już po nim. Zostawmy go i jedźmy. Inni też tak robili.

Sprzeciwiła się zdecydowanie jego kuszącym słowom.

— Inni chłopcy, których zostawiano na śmierć, nie zdobyli jeszcze głowy. On ją zdobył, musimy więc dać mu szansę, żeby umarł jako mężczyzna. Stracilibyśmy honor, gdybyśmy tego nie zrobili. Nawet gdybyśmy też zdobyli głowy.

— Nie chcę czekać do przyszłego roku. Mam dość bycia chłopcem, skoro jestem duży i mogę już być mężczyzną.

— W takim razie jedź sam, Edeku-płakso. – Kereka zmusiła się do tych drwiących słów, a posępne bruzdy między zmarszczonymi brwiami Edeka pogłębiły się w przyływie gniewu. – Mógłbyś zwarzyć mleko takim gadaniem. Zachowaj swoje żale do następnego roku. Będziesz miał jeszcze okazję wybrać się na wyprawę.

Ona jednak nie będzie już jej miała.

W zeszłym miesiącu syn begha z klanu Pechanek dał jej ojcu sześć klaczy i obiecał jeszcze dwadzieścia owiec, dziesięć futer, dwa mosiężne kotły, pozłacane siodło, trzy haftowane złotem derki, pięć filcowych dywanów, garść złotych naszyjników i spiżowe klamry do pasów w zamian za jej rękę. Żony jej ojca i wszystkie matki z jej plemienia były pod wielkim wrażeniem tej oferty. Były oczarowane dobrymi manierami i gładkimi słowami księcia Vayeka. Ale największe wrażenie wywarła na nich jego przystojna twarz i zgrabne ciało, które wystawił na pokaz, biorąc udział w kilku walkach zapaśniczych z najlepszymi zapaśnikami klanu Kirshat, i we wszystkich zwyciężył. Jej ojciec i stryjowie

podkreślali jego reputację wielkiego wojownika klanów Uzay i Torkay, a cały czas ich spojrzenia powracały, by podziwiać martwy żelazny połysk piór gryfa, które nosił jako skrzydła wojownika. Inni wojownicy, nawet inni beghowie i ich książęcy synowie, nosili zwykłe skrzydła z piór przywiązanych drutem do drewnianych ram mocowanych na pancerzach. Tylko mężczyzna, który zabił gryfa, miał prawo powiewać gryfimi skrzydłami. Mężczyzna taki nosił miano bohatera, był czczony, podziwiany i darzony szacunkiem.

Ojciec ogłosił, że jej ślub z księciem Vayekiem odbędzie się w porze następnej pełni księżyca. Raz poślubiona, zostanie naznaczona jako kobieta już na zawsze, aż do śmierci. To była ostatnia okazja, by mogła wykazać swoją męskość. Gdy przemówiła, jej głos zabrzmiał chrapliwie jak krakanie kruka:

— Upleciemy nosze z gałęzi i przywiążemy do jego klaczy.

Zsiadając z konia, odwróciła się, by Edek nie zauważył, jak ociera gorące łzy. Honor nie pozwalał jej płakać. Chciała być mężczyzną i żyć życiem mężczyzny, nie kobiety. Nie mogła jednak porzucić umierającego brata.

Trawa kładła się pod ciężarem noszy, gdy klacz Beleka podchodziła w górę długiego zbocza. Kereka jechała tuż przed nią, przywiązawszy jej uzdę do swego siodła. Jej klacz, której letnia sierść błyszczała w gorącym słońcu, zastrzygła uszami, słysząc przelatującą muchę.

Spojrzała za siebie na rozciągający się ku zachodowi krajobraz. Została wcześniej trochę w tyle, by ustrzelić kuropatwy w zaroślach nad strumieniem, którego brzegi z tej odległości mogła rozpoznać po rosnących wzdłuż wody krzakach

i drzewach. Mrużyła oczy, patrząc w stronę świecącego od zachodu słońca i wypatrując pościgu, ale nie dostrzegła żadnego ruchu. Poprzedniego dnia zostawili za sobą krainę porośniętą lasem. Tutaj, pod nieosłoniętym niebem, byli już poza zasięgiem farmerów i ich śmierzących pól.

Daleko z przodu dobiegł głos Edeka wykrzykującego jej imię. Gwizdnęła głośno, aby uprzedzić, że się zbliża. Dwa upolowane ptaki zwisały na lince przy siodle konia Beleka. Sam Belek leżał przywiązany do noszy, które upletli z gałęzi młodych drzew. Od czterech dni pozostawał na granicy świadomości, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Zdumiewające było to, że wciąż żył, ale dostawał do picia krople końskiej krwi, dość, by jego duch pozostał w ciele. Teraz jednak własna krew pojawiła się na jego wargach. Koniec był bliski.

Być może gdyby teraz umarł, zanim dotrą do namiotów klanu Kirshat, mogliby z Edekiem szybko zawrócić na zachód i podjąć polowanie na nowym terytorium. Sama ta myśl jednak przyprawiała ją o wstyd; Belek zasługiwał, by umrzeć jako mężczyzna, niezależnie od tego, co oznaczało to dla niej.

Dotarła na szczyt i ujrzała wzgórze ciągnące się na wschód aż po horyzont. Pod kopytami jej konia rozciągała się, na wpół ocieniona w popołudniowym świetle, trawiasta kotlina. Za kotliną teren wybrzuszał się znowu, niczym brzuch ciężarnej kobiety. Edek zsiadł z konia na pochyłości następnego wzgórza. Zsunął w upale ciężką tunikę i przykucnął, wpatrując się w ziemię. Wyżej, ponad nim, widniały grube bloki kamienia, stojące niczym wartownicy na szczycie wzgórza; kamienny krąg, ciemny i złowrogi.

Widok ciężkich głazów kazał jej nastawić uszu, jakby ktoś próbował wyszeptać ostrzeżenie, lecz nie zdołał zrobić tego na tyle głośno, by je zrozumiała. Szum lęku przeminął, a ona zaraz splunęła, żeby oddalić duchy, które mogły to posłyszeć, złapać jej lęk i obrócić go przeciw niej. Gwizdnęła jeszcze raz, ale Edek nie podniósł wzroku. Jego klacz z uzdą zarzuconą na siodło skubała powoli trawę, zwrócona w stronę majaczących nad nią kamieni. Wyjął sztylet i grzebał nim w ziemi. Kołczan kołysał się na jego nagich plecach, Edek, kucając, posuwał się naprzód. Co on robi, narażając się w ten sposób na atak?

Spięła swoją klacz. Gdy ściągnęła wodze, klacz Beleka zrazu stawiała opór, lecz potem się poddała i podążyła za nią. Nosze podskakiwały na nierównościach gruntu. Belek stękał i pojękiwał. Mrugał i bezwiednie wypowiadał słowa, które same dobywały się z jego ust, kiedy tak leżał, zawieszony pomiędzy światem żywych a światem duchów. Krwawe pęcherzyki pęczniały i pękały na jego wargach. Głowę farmera, którego zabił, trzymał przy biodrze, owinąwszy proste włosy wokół palców. Miała poszarzałą skórę i cuchnęła.

Edek nie podniósł wzroku, gdy Kereka zatrzymała się przy nim. Dotknęła rękojeści miecza przewieszzonego przez plecy. Kiedy już wróci do plemienia, będzie musiała oddać go stryjowi. Tylko mężczyźni noszą miecze.

— Co by się stało, gdybym była twoim wrogiem? – zapytała.

Wyciągnęła miecz jednym szybkim, wyćwiczonym ruchem i przytknęła czubek do miejsca między łopatkami Edeka.

Nie spojrzał na nią i nawet nie odpowiedział. Próbował wygrzebać coś z twardej, ubitej ziemi. Gdy się wyteżał, słońce

ogrzewało jego plecy. W takt wykonywanych ruchów kołysał się kołczan, a stare blizny, pamiątka Święta, rozciągały się i kurczyły w poprzek pleców, podkreślając ich piękno i szerokość. Niezbyt lubiła Edeka; prezentował się wystarczająco dobrze, by zasługiwać na podziw dziewcząt, ale jego rodzina nie była dość bogata, by mógł się ożenić z dowolną wybranką, co napawało go goryczą, ona zaś doskonale rozumiała jego dąsy i groźne miny. Mogła jednak do woli napawać się widokiem jego błyszczących od słońca i potu pleców.

Nagle podważył nożem jakiś przedmiot i postępując, wy dostał go spod korzeni i ciężaru wilgotnej ziemi. Gdy ujrzeli go w całej okazałości, Kereka wstrzymała oddech w zadziwieniu.

W ich oczy uderzył blask słońca, a ona uniosła dłoń, żeby osłonić się przed oślepiającym błyskiem. Edek wrzasnął. Od strony Beleka dobiegł okropny dźwięk, bardziej przypominający odgłos noża trącego o kamień niż głos ludzki. Tylko konie zdawały się nieporuszone.

Opuściła ostrożnie rękę. Na pierwszy rzut oka przedmiot ten nie wydawał się niczym więcej jak pobrudzonym ziemią piórem, ale gdy Edek ostrożnie otarł lotki rękawem tuniki, rozcięta tkanina rozpadła się na dwoje. Tam, gdzie pył został usunięty, pióro połyskiwało metalicznym blaskiem, jak żadne z ptasich piór.

— To pióro gryfa! – wykrzyknął Edek.

Kereka była zbyt zdumiona i onieśmielona, by przemówić, zachwycona jego twardością, pięknem i siłą. Oto prawdziwie święta, potężna magia. Tylko szamani i bohaterowie posiadają pióra gryfów.

Edek, wciąż kucając, obrócił się, mierząc ją zmrużonymi oczyma.

— Nawet skromny członek klanu może mieć nadzieję na poślubienie córki begha, jeśli przyniesie w darze pióro gryfa.

— Wygrzebane z brudnej ziemi? – prychnęła Kereka.

— Bogowie obdarowują tych, którym sprzyjają!

— Zechcesz przeciwstawić się potężnemu Vayekowi i całemu klanowi Pechanek? Kto będzie słuchał twojego biadolenia, nawet z piórem gryfa w ręce, dla zamydlenia im oczu?

— Kto będzie słuchał? Może ten, kto liczy się najbardziej.

Jak on patrzył! Nigdy przedtem nie był takim pyszałkiem! Machnęła ręką z rezygnacją, jakby odganiała muchę, a on się zarumienił, wykrzywiając usta w podkowę.

Blask gryfiego pióra trochę przygasł, gdy popołudniowy cień padł na miejsce, w którym stali. Mimo to jednak na szczycie wzgórza od wschodniej strony jego przepych wciąż rozjaśniał powietrze.

Jakże mogli zobaczyć ostatnie światło zachodzącego słońca, skoro zwróceni byli ku wschodowi, nie zaś na zachód?

— Patrz! – zawołała.

W zachodniej bramie kręgu, w obramowaniu gładów i nadproża, stanęła kobieta. Nad kamieniami zabłysły iskry, układając się w kształt skrzydeł wyszywanych złotem, jak na wyblakłej chorągwi feniksa. Trwało to krótko, ostatnie iskry żaru unoszące się w powietrzu wystrzeliły, zamigotały i znikły.

Edek patrzył z rozdziawionymi ustami.

Kobieta, stojąca nieopodal, obserwowała ich. Miała czarne włosy splecione w warkocze, odkrytą głowę, smagłą twarz i

ciemne dłonie. Na nogach miała sandały, zawiązane na łydkach opiętych ciasnymi rajtuzami odpowiednimi do konnej jazdy. Dopasowany do ciała skórzany gorset zakrywał białą koszulę. Nie miała na sobie przyzwoitych spódnic ani ciężkiej, sięgającej kolan tuniki czy sukni. Nogi miała zakryte, ale równie dobrze mogłyby być nagie, bo ich kształt można było sobie łatwo wyobrazić. Nie miała żadnych innych ubrań, chyba żeby uznać za ubranie bogactwo naszyjników. Zrobione ze złota i drogich kamieni, zwieszały się z jej szyi i ramion grubą warstwą, niczym napierśnik jasnej zbroi.

Gdyby kobieta z ludu Quman pokazała się tak bezwstydnie, zostałaby rozciągnięta i przywiązana do palików, a po jej ciele przepędzono by stado bydła, aby zmazać jej winę. Ta kobieta jednak zdawała się nieświadoma swojej nagości. Edek nie potrafił powstrzymać się od zerkania na jej kształtny gorset i dopasowane nogawice, choć kobieta trzymała w ręku włócznię i patrzyła na nich bez śladu lęku.

— Pssst! – syknął Edek, czyniąc obronny gest. – Czarownica!

— Może i czarownica, ale uzbrojona jak dzikuska – mruknęła z niesmakiem Kereka.

W każdym razie nawet kobieta z włócznią nie miała w jej oczach żadnego znaczenia.

Jakiś cień poruszył się za nieznajomą: szerokie ramiona, długie włosy, haczykowaty nos. Oczywiście, przecież żadna kobieta nie podróżowałaby sama! Edek nie zauważył mężczyzny, bo zaślepiło go pożądanie. Niechaj się waha, gdy ona weźmie swoją zdobycz. Oto nasuwała się jej możliwość zdobycia głowy i szansa, że nigdy nie będzie musiała poślubiać syna begha z klanu

Pechanek.

Przecięła rzemień wiążący klacz Beleka do jej siodła i pognąła swoją klacz w górę wzgórza. Wojownik z ludu Quman winien jeździć w milczeniu, ma bowiem skrzydła, które śpiewają mu do walki. Ona nie miała jeszcze skrzydeł, bo tylko mężczyznom wolno było nosić zbroje, a na nich honorowe skrzydła wojownika. Zacisnęła jednak mocno usta, nie pozwalając sobie na żadne kobiece zawołania, pomocne w zwycięstwie. Pojedzie w milczeniu, jak mężczyzna.

Koń stąpał pewnie, a wzgórze nie było zbyt strome. Edek stracił tylko chwilę, by wykrzyknąć nierozumne pytanie, po czym wskoczył na konia. Kobieta przed nią skryła się za jednym z wielkich głazów. Mężczyzna zniknął. Kereka uśmiechnęła się i skierowała konia na prawo, aby wjechać w kamienny krąg pod innym kątem i ich okrążyć.

— Siostro! Uważaj!

Słowa te dotarły do niej na granicy słyszalności.

Za późno.

Trafiła w pułapkę całym rozpędem swej klaczy i własnego pysznego pragnienia, by żyć innym życiem niż to, które na nią czekało. Warstwa kamyków ześliznęła się pod kopytami. Kereka zawadziła szyją o napiętą linkę i spadła z konia. Uderzyła o ziemię, a jej głowa trzasnęła w kamień z taką siłą, że nie mogła się ruszyć. Obecny świat zbladł i mogła teraz zobaczyć poza nim migoczące światła świata duchów, gdzie uwolnione dusze płakały, szeptały i tańczyły. Belek sięgnął ku niej ramieniem niematerialnym jak mgła, która połyka doliny, a jednak nigdy naprawdę ich nie posiada. To jego duchowy głos posłyszała, bo

magia ducha była w nim wystarczająco silna, by przerzucić most nad pustką.

— Siostro! Złap mnie za rękę!

— Nie pójdę z tobą na tamtą stronę! – wykrzyknęła, choć żaden dźwięk nie wydostał się z jej ust. W duchowym świecie tylko szamani i zwierzęta potrafią mówić głośno. – Ale przeciągnę cię tu z powrotem, jeśli starczy mi sił!

Złapała go za rękę i szarpnęła. Wyszedł jej na spotkanie ogień tak palący jak gniew bogów. Musiała zasłonić oczy przed jego gorącym i osuszającą mocą. Poczowała łzy pod powiekami, gdy znowu zobaczyła obecny świat.

Panowała noc. Zmierzch przeszedł w coś, co było dla niej zaledwie chwilą, gdy wypłynęła ze świata duchów.

Kamyki chrzęściły i wpijały się jej w pośladki. Łodyga trawy łaskotała od spodu przegub. Małeńkie nóżki dotknęły jej czoła, po czym zniknęły, gdy stworzenie odfrunęło. Siedziała oparta o surową ścianę stojącego głazu ze związanymi nadgarstkami i kostkami stóp. Jak to się stało? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Scena przed nią rysowała się w posępnych, pozbawionych koloru tonach, rozświetlona jedynie blaskiem księżyca i światłem gwiazd. Każdy świecący punkt był jak palące trafienie strzały boga Tarkana, który związał się z samicą gryfa i powołał do życia lud Quman.

Migoczące światło ogniska raziło jej oczy. Przed ogniskiem siedział w kucki mężczyzna, zgarniając na jedną stronę rozżarzone węgle. Miał gęstą brodę jak farmerzy z północy i dość jasną skórę, co pozwalało łatwo śledzić ruchy jego rąk, gdy sprawnie skubał i piekł w żarze jej kuropatwy. Tłuszcz kapał i

skwierczał, a smakowity zapach był jak obelga rzucona jej w twarz.

Gdzie byli pozostali?

Edek leżał daleko poza jej zasięgiem, rozciągnięty pod jednym z tych olbrzymich kamieni. Konie stały spętane poza kręgiem ogniska, widziała tylko zarys ich sylwetek. Nosze Beleka leżały na granicy dokuczliwego blasku ognia. Wciąż do nich przywiązany, jęczał i dygotał. Nagle z ciemności, jak zły sen szamana, wyłoniła się kobieta. Przycupnęła przy nim z rozpostartymi rękami. Jej wargi mówiły coś bezgłośnie, gdy obsypywała jego ciało drobkami ziemi lub rozdrobnionymi liśćmi ziół.

Lęk ogarnął Kerekę w taki sam sposób, jak czyni to choroba duszy, wchodząc najpierw przez oczy, a potem zstępując niżej, aby usadowić się w gardle, by w końcu wziąć w posiadanie jej brzuch. Istnieją sposoby ożywiania zmarłych za pomocą czarów. Musiała temu zapobiec, inaczej Belek zostanie pochwycony przez magię tej istoty i nigdy nie zdoła odnaleźć drogi przez krainę duchów do domu Pierwszego Przodka przy ścieżce oświetlonej płonącymi strzałami Tarkana. Nie mogła się jednak ruszyć, nawet na tyle, by uderzyć stopą w ziemię, aby kopnąć w ten sposób martwe ciało i odesłać stąd ducha Beleka.

Mgła i ciemność zwijały się między umierającym młodzieńcem i obcą kobietą. Potężnym wdechem kobieta wessała w siebie tę chmurę. Belek się wzdrygnął, a na jego wargi wystąpiła piana. Czarownica zachwiała się na czubkach palców, aż Kereka pomyślała, że przewróci się na nieosłoniętą pierś Beleka. Zamiast tego kobieta odetchnęła, a jej oddech zabrzmiał głośno w ciszy; wydobywające się z jej ust powietrze zabłysło iskrami. Wniknęły

one w ciało młodzieńca, a kobieta delikatnie opadła z powrotem na pięty. Podniosła wzrok i spojrzała prosto na Kerekę.

Nieważne, jak bezbronna wydała się z początku, gdy ukazała się, uzbrojona we włócznię z kamiennym grotem i nieprzyzwoicie ubrana, teraz miała w sobie moc. Gdy begh Bulkezu, przodek przodków Kereki, wyruszał na triumfalną wojnę przeciwko ludziom z zachodu, wdział swą nieprzenikalną zbroję, ta kobieta zaś uzbrojona była w coś znacznie bardziej niebezpiecznego od materialnej broni. Nie była żoną ani służącą brodatego mężczyzny, ale jego panią.

Spojrzała na Kerekę i pochwytyjąc jej wzrok, przemówiła krótko w języku niepodobnym do żadnego z języków, jakimi mówili niewolnicy plemienia.

Kereka potrząsnęła głową, nic nie rozumiejąc. Lepiej by było zabić wiedźmę, ale w tej sytuacji nie miała wyboru i mogła jedynie negocjować z pozycji słabszego.

— Czego od nas chcesz? Mój ojciec zapłaci okup...

Belek, jakby jej głos go obudził, wymamrotał w oszołomieniu:

— Kereko? Czy to ty? – Sznury zatrzeszczały, gdy zaczęła walczyć z więzami z nieoczekiwaną siłą. Spojrzał na pochyloną nad nim kobietę. – Kim jesteś? Gdzie moja siostra?

Czarownica podniosła się na nogi z wielką łatwością i zaczęła oddalać w mrok. Brodacz wstał i poszedł za nią. Kereka słyszała, jak rozmawiali, a ich głosy przemawiały na zmianę w taki sposób, jak rozmawiają ze sobą ludzie równi sobie, nie zaś pani z niewolnikiem. Takim tonem mogłoby rozmawiać dwoje wojowników, rozważając, w którą stronę ruszyć na polowanie, albo dwie spokrewnione kobiety lub dwie żony omawiające

rodzinne sprawy pod osłoną namiotu.

Belek spróbował ponownie, wyższym głosem, jakby chciał zapanować nad strachem:

— Kereka? Edek?

— Psst! – syknęła Kereka uspokajająco. Uwielbiała brata, syna trzeciej żony ich ojca, był on jednak człowiekiem, któremu podczas snu przeszkadzał najmniejszy kamyk pod posłaniem, i choć nigdy się nie skarżył, bo żadne dziecko z ludu Quman by się na to nie odważyło, gdyż zostałyby zbite za słabość, to jednak potrafił się kręcić i rzucać na posłaniu przez całą noc, przeszkadzając innym. – Jesteśmy tutaj, Beleku. Musieliśmy przywiązać cię do noszy. Zostałeś zraniony. Teraz złapali nas obcy.

— Czuję, jak pali mnie brzuch. Ach... – zajęczał i zaklął, po czym zaczął uderzać głową o nosze i krzyczeć. Te zdrowe objawy, świadczące o jego powrocie ze świata duchów do świata ludzi, napełniły ją radością. – Pamiętam, jak zaatakowałem tam brudnego farmera, a potem już nic. Czy zdobyłem jego głowę?

— Tak, przytroczyliśmy ci ją do pasa.

Pomacał ręką, odszukał tłuste włosy.

— Tarkanowi dzięki! Ale co się ze mną stało?

Zasługiwał na to, by dowiedzieć się najgorszego.

— Ta kobieta jest czarownicą. Pojmała nas czarami. Myślę, że to ona musiała cię uzdrowić.

— Aj! Lepiej zdechnąć, niż pozostać jej dłużnym! Jeśli to prawda, to jestem z nią związany i może teraz wziąć ode mnie jako zapłatę, co jej się żywnie spodoba.

Jego wystraszony głos ją zirytował.

— Nie ma sensu panikować! Lepiej jednak będzie się od niej uwolnić.

— To nie takie proste. Związanie przez uzdrowienie ma korzenie w świecie duchów i nie da się od niego tak łatwo uciec. Jej magia może iść za mną wszędzie, dokąd pójdę...

— Najlepiej więc będzie wrócić do plemienia i poprosić szamanów, by się tym zajęli. Przy twoim pasie jest nóż. Mógłbyś się uwolnić.

Posłuszny jak zawsze jej sugestiom, zaczął się wic w krępujących go więzach.

— Ech! Nóż zniknął.

Noc rozpostarła się nad nimi. Rosnący księżyc pał się na swoich ciemnych pastwiskach. Zawiedziona Kereka zacisnęła zęby. Musi istnieć jakiś sposób uwolnienia się!

Wtedy dopiero zauważyła stertę broni – ich dobrych stalowych mieczy będących dziełem klanu Kirshat i strzał z żelaznymi grotami – piętrzącą się poza kręgiem ogniska, ledwo widoczną w ciemności. Niezmienny poblask zdradzał obecność gryfiego pióra leżącego na honorowym miejscu na szczycie sterty.

Obcy przerwali rozmowę i przeszli z powrotem w aurę ognia. Wiedźma wciąż trzymała swoją prymitywną włócznię, a ponadto dzierżyła w dłoni nóż, który połyskiwał czarną świetnością, ukazując niepokojąco ostrą krawędź łupanego drobno obsydianu. Nie zadała sobie nawet trudu, by uzbroić się w coś lepszego ze zdobytej broni, jednak brodacz miał przy boku porządny miecz, cudzoziemski, sądząc po długości i ciężarze.

Kobieta ponownie uklękła przy Beleku.

Wszystko było lepsze niż błaganie – które przystoi raczej kobiecie niż mężczyźnie – ale złowrogi połysk tego noża wzbudził w sercu Kereki taki strach, że podobne rozróżnienia przestały mieć znaczenie.

— Błagam, wysłuchaj moich słów. Belek jest ukochanym synem trzeciej żony begha z klanu Kirshat. Ma potężną magię. Szamani tak powiedzieli. Przeszedł już przez pierwszy namiot nauki. Zabicie go posłałoby jego gniew i nieopanowaną moc w świat duchów. Przecież tego nie chcesz!

Tam, gdzie nie ma zrozumienia, nie ma też odpowiedzi. A jednak kobieta zważyła w dłoni swój nóż czarownicy i z lekkim uśmiechem wsunęła go z powrotem do pochwy. Zamiast niego z sakiewki przy pasie wyjęła długą na palec kościaną igłę.

Rzemień wpijał się w skórę Kereki, gdy naprężyła ręce, a luzował się tylko wtedy, gdy się uspokajała. Nie mogła nic zrobić, by uratować Beleka, choćby nie wiadomo jaką torturę ta kreatura zamierzała mu zadać. Czary przykuły ją do głazu.

Kobieta złapała własny język. Z przesadną starannością przebiła igłą grubą warstwę różowego ciała. Potem zaś, z wielką delikatnością budzącą jeszcze większe przerażenie przez obojętność, z jaką dokonała tego samookaleczenia, wyciągnęła igłę z języka, pochyliła się nad Belekiem i pozwoliła kroplom swojej krwi zmieszać się z zaschniętą pianą na jego wargach.

Belek się opierał, ale on także był ciasno związany. Dyszał, przełykał, krzywił się; potem westchnął, jakby wyciągnięto zeń dech, po czym głowa opadła mu gwałtownie w tył. Zemdlał. Albo został zabity.

— Niech cię Tarkan przeklnie! – wrzasnęła Kereka. – Zemszczę

się w imieniu brata i całego klanu Kirshat! Mój ojciec pośle za tobą swoich wojowników nawet na krańce ziemi...

Kobieta się roześmiała, a Kereka przerwała gwałtownie, czując, że ma zbyt sucho w ustach, by wydobyć z siebie choć słowo. Po skórze jej szyi przebiegł dreszcz, jakby w ostrzeżeniu przed nadciągającym wiatrem.

Czarownica uczyniła jakiś gest i brodacz podszedł, ukląkł obok Beleka i zaczął wsączać mu do ust wodę z bukłaka. Belek prychnął, dławił się, pluł, wściekle mrugał oczyma. Mężczyzna zamknął bukłak i przeciągnął nosze w taki sposób, aby spoczęły w załomie skały po prawej stronie Kereki. W milczeniu zaoferował Kerece wodę, a ona odchyliła głowę do tyłu, pozwalając chłodnej cieczy spłynąć w głąb wyschniętego gardła. Niemądrze byłoby odmówić. Potrzebowała czasu, żeby zastanowić się nad tym wszystkowiedzącym śmiechem.

Brodacz wrócił do ognia. Rozerwał kuropatwy, zjadł jedną, a resztę mięsa zapakował w plecioną z sitowia matę, po czym zwinął się na ziemi, przykrywając płaszczem. Kobieta usiadła ze skrzyżowanymi nogami i zapatrzyła się w ogień. Od czasu do czasu dorzucała do niego kawałki suchego łajna.

Noc mijała wolno i sennie. Kereka drzemała, budziła się, próbowała się wyswobodzić z więzów, ale nie zdołała tego dokonać. Choćby nie wiem jak usiłowała odtoczyć się od głazu, nie mogła oderwać się od kamiennego monolitu. Syknęła, żeby zwrócić uwagę Beleka, ujrzała jego obracające się ku niej oczy i poruszające się usta, ale żaden dźwięk się z nich nie wydostał, poza słabym jękiem.

Wiedźma nie odrywała się od milczącej kontemplacji przy

ognisku. Od czasu do czasu pomiędzy jej wargami ukazywała się kropla krwi i za każdym razem, gdy zaperliła się na jej ustach, ona zlizywała ją starannie, jakby nie chcąc, by nawet ta kropla jej uciekła. Nie odzywała się do nich, nie sprawdzała krępujących ich więzów, tylko czekała, nie spożywając niczego poza własną krwią.

Bardzo późno na wschodzie wstał księżyc – księżyc w mieczu – cienki i wygięty. Krótco potem światło się zmieniło, ciemność rozjaśniła, przechodząc w szarość, a potem ustąpiła miejsca różowemu zabarwieniu świtu.

Kobieta wstała. Wzięła bukłak i wlała wodę w usta Beleka. Przełknął, najwyraźniej obudzony, ale wciąż milczał. Potem podeszła do Kereki.

Gdy pochyliła się, by ją napić, Kereka poczuła jej zapach, coś jakby powiew gorącego piasku i gorzkich korzeni. Spróbowała złapać ją zębami, ale kobieta odskoczyła zwinnie w tył, uśmiechając się drwiąco. Brodacz zachichotał i powiedział coś w ich obcym chropawym języku, gramoląc się spod płaszcza, by rozruszać i rozgrzać mięśnie. Jasna tarcza słońca wychynęła zza horyzontu, malując świat kolorami dnia.

Ze stosu rzeczy złożonych przy głazie brodacz wyłowił łopatę i wziął się do pracy, kopiąc płytki rów tuż za granicą kamiennego kręgu. Była to ciężka praca, choć zrywał tylko kobierzec darni i usuwał gęste sploty korzeni, aby odsłonić czarną ziemię. Kobieta podeszła i zaczęli pracować na zmianę. Trawiasta kraina była twarda jak jej mieszkańcy i niechętnie ulegała. Oboje wkrótce rozebrali się do koszul i spodni, a przepocone płótno przylepiało im się do pleców. Była to praca niewolnicza, ale rozmawiali przy

niej jak wolni ludzie. A chociaż kształty kobiety były uderzająco widoczne, piersi rysowały się pod tkaniną koszuli, a sutki, twarde od wysiłku i gorąca, odcinały się wyraźnie, brodacz ani razu nie spojrział na nią w taki sposób, jak zwykli robić to mężczyźni próbujący zdobyć ciało kobiety. Po prostu mówił, a ona odpowiadała, podawali sobie łopatę i dzielili się pracą, a rów stale się rozrastał, z początkowego odcinka w łuk, a z łuku w półkole opasujące głazy.

Kereka czekała, aż znikną z widoku za jej plecami.

— Psst! Belek? Edek?

Gdy jednak nie odpowiedzieli, bała się zawołać głośniej z obawy, że zostanie usłyszana.

W czasie gdy obcy pracowali, słońce zdążyło wznieść się wysoko nad wschodni horyzont. Cienie się skróciły i przesunęły; pochyły pejzaż pojaśniał, gdy światło połknęło na nim ostatnie plamy cienia. Dzień był bezchmurny, od palącego błękitu bolały oczy. Kereka mierzyła spod przymrużonych powiek wznoszenie się słońca: dwie dłonie, cztery dłonie. Dwa sępy krążyły wysoko nad głowami, ale nie zniżały lotu. Nieprzerwany chrzęst łopaty i przerzucanej ziemi dobiegały z tyłu jak akompaniament, przesuając się po okręgu coraz bardziej w prawo i zamykając koło.

Dźwięk dotarł początkowo do jej uszu jako drobny dysonans w odgłosach kopania. Całe życie słuchała tej cudownej i znanej muzyki, rozpoznawała ją tak niezawodnie jak dźwięk dzwonków owiec, których musiała pilnować jako mała dziewczynka, albo jak szuranie bosych stóp wirujących w tańcu podczas Świąta.

Wiatr śpiewa w oddechu bitwy, w locie skrzydlatych jeźdźców, wojowników

ludu Quman. Gwiżdże jak zbliżające się gryfy, których pióra, wyrosłe z metalu ziemi, brzęczą w powietrzu wysokim wołaniem.

Kereka skręciła ciało, by podsunąć stopy pod siebie i unieść się wyżej, przytulona do szorstkiej powierzchni głazu. Musiała widzieć, nawet jeśli nie mogła wyrwać się z uchwytu kamienia. Wrogowie ludu Quman słyszeli jego wojowników, zanim ich zobaczyli, i niektórzy stawali w zadziwieniu, nie wiedząc, co ten furkot oznacza, inni zaś zastygali w przerażeniu, rozumiejąc, że nie zdążą pobiec dość szybko, by umknąć przed galopującymi końmi.

Belek szamotał się w więzach, ale na próżno. Edek się nie ruszał i nie mówił nic.

Kobieta i brodaty mężczyzna okopali już niemal cały kamienny krąg. Kobieta coś powiedziała. Brodacz przerwał kopanie. Stanęli bokiem, nasłuchując. Kobieta potrząsnęła głową, po czym razem, sztywno, podreptali do wnętrza kręgu, prosto do bezwładnego ciała Edeka. Mężczyzna złapał go za kostki, pociągnął i rzucił do rowu. Edek leżał tam, lecz trudno było powiedzieć, czy oddycha. Kobieta zrobiła stanowczy gest i brodacz uskoczył z odkrytego terenu za najbliższy głaz, dyszał z wysiłku, oparty o trzonek łopaty, obserwując kobietę zmrużonymi oczyma.

Obsydianowe ostrze załśniło w słońcu. Kobieta pochyliła się, złapała Edeka za włosy i odchyliła mu głowę, odsłaniając gardło. Jednym ruchem przecięła je głęboko.

Kereka zaskowyczała. Czy wiedźma zamierzała wziąć głowę Edeka jako trofeum, tak jak czynią to chłopcy z plemienia Quman, chcąc wykazać, że są mężczyznami?

Belek zakaszłał, unosząc podbródek, naprężył ręce i stopy, walcząc z więzami. Wszystko widział, ale nic nie mógł zrobić.

Krew płynęła powoli z gardła Edeka. Wiedźma złapała go za kostki i pociągnęła po kręgu wzdłuż rowu, twarzą w dół, a jego krew barwiła czarną ziemię. Przez cały czas jej wargi się poruszały, choć Kereka nie słyszała słów.

Brodacz otarł wąsy i nos wierzchem brudnej dłoni, poruszył ramionami, aby odprężyć je po wysiłku kopania, po czym rzucił łopatę obok zwalonych na stos rzeczy. Z niewymuszonym wdziękiem człowieka nawykłego do walki naciągnął na siebie przeszywany kubrak, a na wierzch włożył skórzany, wzmacniany na wierzchu metalowymi płytkami. Wydobył też dwie czarne kusze, po czym naciągnął ich cięciwy i założył bełty. Potem włożył rękawice i hełm, wziął jeszcze łuk o długości równej swemu wzrostowi i kołczan pełen strzał, topór i miecz, i wyszedł z pola widzenia Kereki, znowu niosąc łopatę.

Kobieta ukazała się z drugiej strony kręgu, wciąż ciągnąc rowem ciało Edeka. W chwili, gdy zakończyli kopanie, między końcami rowu pozostała niewielka, szeroka na pięć kroków przestrzeń. Mężczyzna wskazał na łopatę. Kobieta pokręciła głową i uniesionym podbródkiem wskazała w stronę zbliżającego się, oczywistego już szumu skrzydeł. Spierali się o coś dość gwałtownie, lecz kłótnię zakończyły dwa ostre słowa, które padły z jej ust. Ułożyła ciało tak, aby zakryło jak największą część wolnej przestrzeni. Brodacz wzruszył ramionami z rezygnacją i zajął pozycję obronną za pobliskim głazem.

Wycierając dłonie o spodnie, wiedźma podbiegła do ich dobytku, przypięła do pasa kołczan pełen bełtów i wzięła obie

kusze. Kobiety nie noszą zbroi, to oczywiste; Kereka wiedziała dobrze, że nawet ta niezwykła istota nie zostałaby nigdy wyposażona w męski ekwipunek. Kiedy jednak podeszła swobodnie, aby ukryć się za najbliższym kamieniem, jej lekki krok i brak śladu nerwowości sprawiały, że wydawała się znacznie potężniejsza od swego towarzysza, który musiał liczyć na osłonę ze skóry i metalu, aby się chronić. Oparła jedną kuszę o skałę, po czym wyprostowała się, trzymając drugą kuszę w rękach. Słońce oświetlało jej wyniosłą twarz. Gdy omiatała spojrzeniem krajobraz na wschodzie i złociste wzgórza, uśmiechała się z lekkim grymasem pogardliwego rozbawienia, które obudziło w sercu Kereki rodzaj zdradzieckiego podziwu. Któregoś dnia również ona, córka begha, która zapragnęła żyć życiem mężczyzny, będzie spoglądać na wrogów z taką samą leniwą pogardą.

Grupa wojowników wjechała na sąsiednie wzniesienie, a szum ich skrzydeł przycichł, gdy skupili się za swoim dowódcą, by przyjrzeć się kamiennemu kręgowi. Na skrzydłach dowódcy migotał, wyraźnie widoczny, metaliczny połysk gryfich piór, których blask raził oczy. Nieśli nad sobą chorągiew w kolorze ciemnogrnatowej nocy ze wschodzącym księżycem w mieczu, znakiem zbliżającego się świtu.

— Belek – szepnęła Kereka, pewna, że on nie może tamtych zobaczyć – to ludzie z klanu Pechanek! Niech będą przeklęci!

Belek zakaszlał i jęknął, obrócił głowę, tupnął stopami, zawiedziony.

Ona także walczyła ze sobą. Sprawy nie miały się dobrze, ale teraz wyglądały jeszcze gorzej. Belek był uleczony. Gdyby zdołali

uciec albo przynajmniej przekonać tamtych, by ich uwolnili, mogliby jeszcze wyruszyć na polowanie dla Kereki albo chociaż zabić brodacza i zdobyć jego głowę. Na kości Tarkana! Jak klan Pechanek trafił w to opuszczone miejsce? Tylko mężczyzna, który zabił gryfa, miał prawo nosić gryfie skrzydła. Begh klanu Pechanek nie był kimś takim. Ale jego syn Vayek był.

Żaden syn begha z rywalizującego plemienia nie wyjechałby na poszukiwanie młodych, którzy powinni w końcu sami znaleźć drogę do domu, bo inaczej zostaną uznani za niegodnych przywilejów i szacunku należnego mężczyznom. Czy teraz wszystkie jej odbywane w sekrecie ćwiczenia polowania, obchodzenia się z bronią, walki wręcz, chełpienia się, opanowywania rzemiosł i wiedzy zarezerwowanych dla mężczyzn miałyby pójść na marne?

Gorzki gniew palił gardło Kereki. Zapiekły ją oczy i po raz pierwszy pomyślała, że z czystej furii mogłaby wyskoczyć z więzów, ale wiążąca ją magia była zbyt potężna.

Dowódca grupy podniósł włócznię, dając znak do jazdy. Pomknęli z szumem skrzydeł, po czym rozdzielili się, by okrążyć kamienie. Czekał w pewnej odległości, patrzyli, jak dowódca sam pojechał naprzód. Tak bardzo był pewny siebie! Omiótł spojrzeniem głazy, dwoje obcych, trupa oraz więźniów. Zauważywszy Kerekę, zeszywniał i napiął ramiona. Pochylił się lekko do przodu, jakby mimo wszystko nie spodziewał się zastać jej w tak kłopotliwym położeniu.

Dość prędko zapanował nad szokiem. Był mężczyzną, który potrafił się przystosować, gdy sytuacja w bitwie obracała się przeciw niemu. Jego sprytny odwrót w obliczu przewagi

nieprzyjaciela, a potem wciągnięcie go w pułapkę oflankowania, gdy wróg, beztrąsko galopując, zapędził się w pościgu, zapewnił mu zwycięstwo nad klanem Torkay, i wszyscy dobrze znali tę historię. Przeniósł spojrzenie z Kereki na brodatego mężczyznę i odezwał się do niego z wielką uprzejmością:

— Szanowny panie, zwracam się do ciebie ja, księżę Vayek, syn begha klanu Pechanek, pogromca klanów Torkay i Uzay, obrońca honoru Tarkana, mistrz Święta, zabójca gryfów. Zechciej łaskawie się poddać. Jeśli to uczynisz, pozwolimy ci żyć wśród nas jako niewolnik i będziemy traktować cię przyzwoicie, dopóki będziesz ciężko pracował. Jeśli staniesz do walki, to niestety będziemy zmuszeni cię zabić.

— Nie jesteś mężczyzną, który umówił się ze mną w tym miejscu na spotkanie – powiedziała kobieta, a jej głos zabrzmiał tak czysto i donośnie, że zdało się, iż to wiatr przemówił na jej rozkaz. Czy zawsze znała ich mowę? Inaczej bowiem niż cudzoziemcy pojmani przez klan w niewolę mówiła bez śladu obcego akcentu, bezbłędnie i tak gładko, jakby przejęła od kogoś jego głos.

Belek znowu zakaszłał, a Kereka zauważyła, jak bezradnie otwiera i zamyka usta. Czy to była zapłata – być może pierwsza z wielu – jaką wiedźma od niego wzięła? Czy ukradła mu głos?

— Z kobietami rozmawia się prywatnie, na osobności, a nie publicznie, wśród mężczyzn – ciągnął Vayek, wciąż patrząc na brodacza. – Nie chcę obrazić żadnej kobiety, zwracając się do niej tak obcesowo tam, gdzie każdy mężczyzna może usłyszeć jej cenne słowa.

— Niestety, mój towarzysz nie potrafi mówić w waszym

języku, podczas gdy ja potrafię. Gdzie są moje gryfie pióra? Widzę, że masz je ze sobą, tam, w tym tłumoku. – Wskazała ruchem kuszy.

Kereka cały czas patrzyła na Vayeka, i to nie dlatego, że stożkowy hełm wydawał się zrobiony specjalnie tak, by podkreślać wspaniałe rysy jego twarzy, ale jak na umierającą osobę, która widzi, jak strzała śmierci leci w jej stronę. Teraz jednak podążyła spojrzeniem za gestem i ujrzała konia, którego jeździec leżał na brzuchu przerzucony przez siodło, z przytroczonym na plecach okazałym tobołkiem owiniętym w skóry.

Głupia dziewczyna! Jakżeż miała się uwolnić, skoro nie potrafiła uważać, obserwować i odpowiednio reagować? Wciąż była na polowaniu. I nie była jeszcze mężatką.

Jeźdźcy Vayeka wieźli nieboszczyka. I najwyraźniej był to ten mężczyzna, na którego czekała wiedźma. Kereka i dwaj pozostali mieli po prostu pecha, trafiając na miejsce, w którym miało dojść do spotkania.

— Chcę wypłacić ci tę samą nagrodę, jaką zaproponowałam człowiekowi, z którym się wcześniej układałam. Domyślam się, że ten tłumok na jego plecach zawiera to, co miał mi dostarczyć.

Vayek walczył ze sobą; naprawdę tak było. Znany był we wszystkich klanach jako ktoś o wyjątkowej dworności i honorze, nie próbował więc teraz ukrywać swego zakłopotania i zawstydzienia, bo prawdziwi wojownicy okazywali publicznie swój gniew, radość i smutek, aby i inni mogli przeżywać te ludzkie uczucia wraz z nimi. Jeszcze raz spojrzął w stronę brodatego mężczyzny, ale brodacz nie próbował włączyć się do

rozmowy.

— Bardzo dobrze. – Jakkolwiek niestosowne wydawało się uczestniczenie w tej konwersacji, zaakceptował to pole bitwy, jak przystało na wojownika. – Opowiem. Proszę bogów, by wybaczyli mi moją niegrzeczność. Odkryłem mężczyznę z ludu Berandai skradającego się przez te tereny na zachód, z tym oto tobołkiem piór gryfa. Istnieje zakaz handlowania piórami gryfa poza klanami. Zapłacił za to, ponosząc karę. – Wskazał gestem trupa przewieszzonego przez konia. – Jak to możliwe, by doszło do takiego spotkania między cudzoziemcami i człowiekiem z równin, choćby tak niskim jak pospolici Berandai, którzy lubią nazywać się naszymi kuzynami? Jakim sposobem cudzoziemiec przekonał jednego z nich, by okrył hańbą siebie, swój klan, a także trawę i ziemię, które dają nam życie?

— Czy opowieści twoich przodków nie mówią o tych czasach, dawno minionych, kiedy klany Quman, a także Berandai i Kerayit, zawarły układ z zachodnią królową? Kiedy wysłały zaciężnych wojowników, aby ją chronić i żeby podobni do niej czarownicy mogli więc ścieżki między tymi kamieniami?

— Kobiety nie rządzą mężczyznami. My, ludzie z klanów, nie wysyłamy naszych wojowników, aby służyli obcym jak niewolnicy.

Kereka widziała jednak błysk światła w kamieniach. Czy może być prawdą, że wiedźma i jej towarzysz użyli czarów, by uwić ścieżkę do tych kamieni z jakiegoś odległego miejsca? Że zdołali pokonać wielką odległość jednym krokiem? Stare opowieści mówiły o takich czarach, ale ona nigdy im nie wierzyła, bo szamani klanu Quman twierdzili, że tego nie da się dokonać. A

co, jeśli mieli na myśli tylko tyle, że to oni nie potrafią odprawić takich czarów?

— Może ty tego nie pamiętasz – ciągnęła czarownica – ale niektórzy spośród was nie zapomnieli o tym starym porozumieniu. Ten mężczyzna nie zapomniał. Był jednym z zaciężnych wysłanych dziesięć lat temu przez wodzów na zachód. Uratowałam mu życie, ale to już inna historia. Jego dług, na co się zgodziłam, miał zostać spłacony przez dostarczenie mi tego, czego najbardziej potrzebowałam.

— Ależ oznajmiłem ci już, że to zabronione! Być może konieczne jest wyjaśnienie. Pióra gryfów są obroną i środkiem przeciw czarom. Są zbyt potężne, by ktoś mógł ich dotykać, poza bohaterem i szamanem. Nie mogą opuszczać trawiastych krain. Dawno temu ukradziono gryfie pióra naszym przodkom, ale legendarny begh Bulkezu najechał zachodnią krainę i przywiózł skradzione gryfie pióra na należne im miejsce.

— Bulkezu Pokorny? – Przerwał mu jej nagły śmiech. – Widzę, że wasze klany nie uczą się niczego z przeszłości, podczas gdy nasze troskliwie ją przechowują.

— Bulkezu był największym z beghów, najbardziej czczonym i szanowanym! Podbił zachodnie kraje i pogromił ich jeźdźców, a wszystkie ówczesne ludy legły u jego stóp z twarzą w pyle.

— Zginął jako ścigany człowiek, zabity przez księcia-bękarta Sanglanta z Wendaru. Jaki maleńki jest wasz świat! Jakie bajki sobie opowiadacie! Nie znacie nawet prawdy! – parsknęła.

Belek skręcił się w więzach i skrzywił, patrząc na Kerekę tym swoim specjalnym spojrzeniem, pełnym skrywanej wiedzy nabytej od szamanów, którzy go wyróżniali, a on dzielił się tą

wiedzą z siostrą, którą kochał tak bardzo, że w sekrecie uczył ją walczyć.

Przywykła do milczenia w obozie, ale zuchwała mowa czarownicy ją ośmieliła: „Jaki maleńki jest wasz świat”. Jej własny głos zabrzmiał chrapliwie jak krakanie kruka, ale mimo to zdołała powiedzieć, tylko po to, by pokazać, że kobiety Quman nie są ślepe i głupie:

— Słyszałam inną opowieść! Słyszałam, że wielki begh Bulkezu został zabity przez feniksa o płomiennych skrzydłach!

Jasne spojrzenie Vayeka spoczęło na niej i może był wstrząśnięty albo po prostu nie chciał publicznie zaprzeczać jej słowom w obecności swoich ludzi, bo takie sprostowanie okryłoby wstydem ich oboje. A może zwyczajnie nie chciał ujawniać wrogom, że ich więźniowie są mu znani. Niewątpliwie czekał z atakiem tylko z obawy, by nie narażać życia Kereki. On sam nie musiał lękać się czarów czarownicy, gryfie pióra zapewniały mu przed nimi osłonę.

— Chłopcy – powiedział, udając, że nie rozpoznaje Kereki w jej męskim przebraniu – skąd przybyła tutaj ta wiedźma?

— Książę Belek był już ranny. – Kereka starannie dobierała słowa. Przez pospieszną i nieostrożną mowę ona i jej brat zdradzili czarownicy swoje pokrewieństwo. Mogła już tylko zataić fakt szczególnego zainteresowania Vayeka jej osobą. Nie mogła jednak znieść, że Vayek pomyśli sobie, że się poddała i wracała potulnie do klanów, zawiódłszy na polowaniu. – Został ranny, zdobywając głowę. Musieliśmy pomóc mu wrócić do jego ojca begha, aby mógł umrzeć jako mężczyzna, a nie chłopiec. Każda inna droga byłaby hańbą. Gdy jechaliśmy z powrotem,

ujrzeliśmy błysk światła, jakby wstało słońce. Potem zobaczyliśmy czarownicę stojącą między kamieniami. Nie widzieliśmy, skąd przybyła.

— Książę Vayek! – krzyknęła wiedźma, śmiejąc się tak, jak śmiałyby się mężczyzna, odniósłszy zwycięstwo w zapasach. – A ten chłopiec, którego duch spleciony jest z magią, też jest księciem! – Przeniosła wzrok z Beleka na Kerekę, a Kereka nie spuściła oczu; spotkała jej spojrzenie i nie będzie pierwszą, która je odwróci! Kąciki ust kobiety się uniosły, zimny i zabójczy uśmiech. Nie była głupia; potrafiła powiązać leżące przed nią wątki. Spojrzała z powrotem na syna begha. – Po co przyjechałeś, książę Vayeku, synu begha klanu Pechanek, pogromco, obrońco, zwycięzco? Jakim sposobem trafiłeś na mojego biednego towarzysza, który z takim poświęceniem gromadził dla mnie gryfie pióra? Czy znalazłeś się na tym zachodnim stepie, szukając czegoś jeszcze?

Nie mógł odpowiedzieć słowami: był zbyt inteligentny, by wydać Kerekę, zbyt dumny, by publicznie okazać słabość, zbyt honorowy, by odpowiedzieć na zarzut rzucony w powietrze przez kobietę, która wedle powszechnie przyjętych reguł winna być uznana za wariatkę i stracona.

Był bohaterem klanów szukającym swej narzeczonej. Miał dla wrogów inną odpowiedź.

Dał znak włócznią. Stojący w bezruchu jeźdźcy ruszyli przed siebie w czasie, jaki upływa między dwoma uderzeniami serca. Jego koń także ruszył do szarży.

Czarownica odgadła jednak, co się kroi. Rzuciła przed siebie garść pyłu. Gdy pierwsze drobinki trafiły do rowu nasączonego

krwią Edeka, z ziemi podniosły się czerwone języki ognia. Rozszalały żar spopielił trawę za kamiennym kręgiem, ale wewnątrz niego powietrze pozostało chłodne i powiał łagodny wiatr. W czasie dwóch oddechów jej czary wzniosły przeszkodę niemożliwą do pokonania.

Jednak nie dla mężczyzny noszącego gryfie skrzydła.

Rzucił włócznię na ziemię i z mieczem w dłoni ruszył ku przejściu, gdzie ciało Edeka, spowite białym ogniem, nie całkiem blokowało przejazd przez czarodziejską palisadę.

Brodaty mężczyzna wypuścił strzałę, która przemknęła przez tę wąską przestrzeń.

Vayek wspiął się w strzemionach i skręcił, a strzała roztrzaskała się na kawałki w metalowych skrzydłach. Usiadł znów w siodle, zaciął konia i skokiem spróbował utorować sobie drogę między ognistą palisadą a płonącymi stopami Edeka. Raz za razem brodacz wypuszczał strzały i zawsze szybkie reakcje Vayeka chroniły go, a strzały rozbijały się o pióra. Dojechał do brodacza i tak potężnie uderzył mieczem, że brodacz, choć zasłonił się drewnianą tarczą, stracił równowagę i upadł na plecy. Był jednak sprytnym wojownikiem i nie poddawał się łatwo. Szukając osłony, rzucił się za najbliższy wielki kamień, a Vayek wcisnął konia w wąski korral pomiędzy kamieniami a kręgiem magicznego ognia. Czarownica podbiegła do ciała Edeka, zdrapała nożem zaschniętą krew i potarła nią przestrzeń między jego głową a skrajem rowu. Chciała w ten sposób zamknąć krąg.

Kereka szamotała się w więzach, nienawidząc własnej bezradności. Przez całe życie nienawidziła rzeczy, które ją

krępowwały, podobnie jak biedny Belek, który nienawidził swoich ćwiczeń wojownika tak bardzo, że ich ojciec zażartował kiedyś gniewnie, że byłoby lepiej, gdyby ich ciała zamieniły się duszami. Teraz Belek, a jakże, też zaprzestał prób uwolnienia się, nawet zamknął oczy!

— Belek! – szepnęła Kereka na tyle głośno, by usłyszał. – Czy szamani nie nauczyli cię jakichś czarów? Niczego, co mogłoby nam pomóc?

Stukot kopyt odbił się niesamowitym echem od kamieni. Posłyszała parsknięcie konia i chwilę potem pojawił się nad nią wierzchowiec, a z jego grzbietu schylał się książę Vayek, trzymając w rękawicy wyrwane ze skrzydła pióro gryfa. Pochwycił jej spojrzenie, uśmiechnął się, a wyraz jego oczu, ze względu na krótkotrwałość tej chwili, był tym słodszy i bardziej porywający.

— Najmężniejsza z kobiet! – rzekł z podziwem. – Masz odwagę mężczyzny i męski rozum! Będiesz najpierwszą z moich żon, teraz i zawsze! Obiecuję ci to!

Co obiecał, tego dotrzymywał. Jakże mogło być inaczej? Był bohaterem.

I tak oto miał ją uwolnić, a sława i piękno tej opowieści rosłyby, aż stałaby się ona jedną z najpiękniejszych romantycznych legend opowiadanych wśród klanów: opowieścią o nim, ale i o niej, a także o jego szlachetnym rumaku.

Bełt z kuszy, jak trzeźwiące klepnięcie w policzek, uderzył o skałę nad głową Kereki i upadł na jej ciało. Kolejny bełt. Vayek ciał piórem nad jej głową. Więzy i magia z niej spłynęły. Gdy runęła do przodu, nagle uwolniona z uchwytu skały, on spał

mocno wierzchowca i skręcił w bok, aby kontynuować walkę. Kereka poczuła dokuczliwy ból w rękach i ramionach, ale stawiała czoło cierpieniu. Musiała przecież patrzeć. Po swojej prawej stronie dostrzegła nagły ruch, rzucona mocno włócznia wyleciała zza głazu. Stal błysnęła i Vayek odbił ją mieczem.

Za płomienistą palisadą czarownica rzuciła zakłęcie, zamknąwszy za pomocą noża zbrozonego krwią ostatnią wolną przestrzeń między głową Edeka a rowem. Uniosła kuszę i wypuściła bełt, ale pocisk uderzył w kamień po prawej stronie walczących będących w nieustannym ruchu. Rzuciła jeszcze jedno zakłęcie, po czym założyła kolejny bełt, ale odwróciła się, gdyż jakiś śmiały jeździec zaatakował wolne dotąd przejście, odrzucił go jednak straszliwy żar czarodziejskich płomieni.

Vayek próbował pokonać brodacza w lukach pomiędzy kamieniami, używając ich i swoich skrzydeł jako osłony, podczas gdy brodacz ze zwinnością wytrawnego wojownika również przemykał za głazami, usiłując zbliżyć się do Vayeka, wbić topór w jego zbroję i ściągnąć go z konia.

W końcu jednak obcy okazał się tym, kim najzwyczajniej był: człowiekiem. Nie był bohaterem. Krwawił już z kilku ran. Zwycięstwo nad nim było tylko kwestią czasu. Po raz kolejny Vayek miał triumfować. Jakaż chwała przypadnie mu w udziale!

Cała dla niego, bo tak bogowie urządzili ten świat: jastrzębie polowały, konie jadły trawę, świstaki kopały nory, muchy dokuczały. Mężczyzna żył w pogoni za chwałą, a kobieta doglądała ogniska.

Tak powiadali starsi i szamani. Ich słowo było dla klanów prawem.

Jakież bajki wygadawali! Jakże mały był ich świat.

Czując w nogach piekący ból setek małych igiełek, Kereka pokuśtykała w stronę sterty rzeczy i podniosła ostrożnie pióro gryfa znalezione przez Edeka. Gdy musnęła palcami krawędź jego chorągiewki, natychmiast pojawiła się krew. Złapała pierwszą rękawicę jeździecką, jaka była pod ręką, i nasunęła na krwawiącą dłoń, ale i ją pióro gryfa przecięło; dopiero gdy włożyła bojową rękawicę Edeka, mogła je trzymać bez obawy skaleczenia. Jednym cięciem uwolniła Beleka i postawiła na nogi; głowa farmera wciąż wisiała u jego boku, przywiązana do pasa. Poprowadziła go w stronę płomieni pożerających ciało Edeka.

— Biegnij! Prędko! – Popychała go przed sobą i po kilku chwiejnych krokach pobiegł samodzielnie, trzymając się za brzuch i kulejąc niezgrabnie, z trudem powstrzymując się od jęku.

Kereka z łatwością dotrzymywała mu kroku, biegnąc obok, gdy czarownica zwróciła się ku nim gwałtownie, unosząc kuszę. Kereka wyskoczyła do przodu, stając na linii strzału.

— Nie zabijaj nas! – krzyknęła. – A w zamian za życie mego brata i za jego dług wobec ciebie przyniosę ci pióra gryfa, których szukasz. Przysięgam na kości ojca mego ojca! Przysięgam na chwałę strzał Tarkana.

Zabrzęczał uderzający o kamienie miecz, aż posypały się iskry. Męski głos coś zawołał, zaraz potem dały się słyszeć głośne krzyki zmagających się mężczyzn.

Czarownica odsunęła się na bok.

Oslaniając się od żaru ognistej palisady trzymanym w wyciągniętej ręce piórem gryfa, Kereka pociągnęła Beleka przez

wyłam. Zniknął chłodny powiew z wnętrza kamiennego kręgu, a oni przemknęli przez szerniałą trawę w oparach gorącego dymu i wynurzyli się, kaszląc, na czyste powietrze po drugiej stronie. Niebo pulsowało błękitem tak głuchym i pustym jak wnętrze bębna, a ona nagle zadała sobie pytanie, jak wyglądało niebo wewnątrz kamiennego kręgu. Czy było tym samym niebem? Spojrzała za siebie, ale dym i ognista bariera zasłaniały widok.

Natychmiast otoczyli ich ponurzy jeźdźcy klanu Pechanek, trzymający groźnie połyskujące włócznie.

— Nie róbcie nam krzywdy! – wykrzyknął Belek. – Jestem synem begha z klanu Kirshat!

Wymierzyła Belekowi potężne szturchnięcie, który przewróciło go na trawę. Powiewając piórem gryfa, zakrzyknęła ochrypłym głosem:

— Cudzoziemska wiedźma jest prawie pokonana, ale jej magia musi zostać unicestwiona raz na zawsze! Przychodzę na rozkaz księcia Vayeka, aby przynieść mu tobolek z piórami gryfa, który zdobył. Natychmiast!

Kobiety nie wydają rozkazów wojownikom. Siedzą przy swoich ojcach, braciach lub mężach, którzy wiedzą, że powinni słuchać ich rad, bo inaczej będą cierpieć na skutek beztroskiego ignorowania kobiecej mądrości. Jednakże córka begha jest kimś, komu lepiej się nie narażać, choćby jej zachowanie nie do końca się podobało. Ponadto żaden przeciętny wojownik nie zechce obrażać przyszłej żony swego begha.

Szybko więc przyprowadzono konia wraz z jego ładunkiem i odcięto owinięty w grubą skórę okazały tobolek. Kereka złapała

za ramię i zarzuciła tobolek na plecy, stwierdzając, że jest dziwnie lekki, biorąc pod uwagę potężną moc jego zawartości. Dzierżąc przed sobą gryfie pióro, aby móc się przedrzeć przez czary wiedźmy, wbiegła w dym, zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, choć nie potrafiła sobie wyobrazić, by któryś z nich miał odwagę odezwać się do niej bezpośrednio, skoro nie była przecież ani jego krewną, ani żoną. Trawa chrzęściła pod stopami; płatki sadzy i popiołu wzbijały się w powietrze; kobierzec ognia wznosił się, jakby chciał podpalić niebiańskie pastwiska, ale ona się nie wahała. Zanurzyła się w wir palącej magii. Piekący popiół osiadł na jej czole i policzkach.

„Siostro! Nie zostawiaj mnie!”

Jednakże życia jej i Beleka zostały już rozdzielone z chwilą, gdy księżę Vayek wjechał do siedziby klanu Kirshat z zapłatą za jej rękę. Był to jedyny powód, dla którego ostrożny Belek zgodził się, by pojechała z nim na polowanie: bardziej bał się ją stracić, niż oberwać za zabranie jej ze sobą tam, dokąd nikt nie zechciałby jej puścić.

Błogosławione świeże powietrze uderzyło w jej płuca tak nieoczekiwanie, że zaczęła się krztusić i kaszleć, a łzy popłynęły jej po policzkach. Mrugała, dopóki nie odzyskała zdolności widzenia.

W odległym zakątku kręgu Vayek zablokował brodacza i włócznią przygniół jego topór do skały. Wiedźma, odwrócona plecami do Kereki, wypuściła bełt, mierząc w jego wspaniały profil. On jednak nie dał się zaskoczyć. Skręcił się, nastawiając skrzydła, aby się osłonić, i z całej siły ciął mieczem nieszczęsną ofiarę.

Brodacz osunął się na ziemię.

Czarownica wrzasnęła.

Kereka wepchnęła tobolek w jej objęcia, a gdy czarownica się cofnęła, wyrwała jej z rąk kuszę.

— Nie jesteś taką wojowniczką, żeby go pokonać! – zawołała. – Nawet ja nie jestem. I nie ma w tym dla mnie chwały, żeby tak umrzeć! Oto twoje gryfie pióra. Jeśli chcesz uciec, udawaj, że padasz mi do nóg.

Odrzuciwszy kuszę za siebie, krzyknęła tak głośno, jak zdołała:

— Mężu! Mężu! Wiedźma nawet teraz przędzie swój zły czar. Chce zniszczyć moje łono! Spiesz się! Musimy uciec z tej złowrogiej pułapki albo pozostanę niepłodna na zawsze i nie narodzą się synowie z twego rodu, którzy zasilą klan Pechanek! Szybko!

Spiął mocno konia, odrywając się od skały i rzucając jej spojrzenie szybkie jak strzała. Brodacz leżał bezwładnie u stóp czarnego megalitu. Dla niego było już za późno. Ale nie dla Kereki.

Czarownica nie poruszyła się, nie mogąc się zdecydować, czy trzymać cenny tobolek, czy raczej obiec Kerekę i odzyskać kuszę.

Kereka z łatwością podcięła jej nogi sposobem, jakiego nauczyła się od Beleka, po czym powiedziała szybko, uwalniając ją:

— Jeżeli to prawda, że istnieją ścieżki między kręgami kamieni, to otwórz teraz jedną z nich swoimi czarami. Ale poczekaj na mnie! Nie zapominaj, że spłaciłam dług i w zamian też chcę zapłaty. Pamiętaj, żeby mi zaufać.

Odchyliła się w tył, jakby uciekając od czegoś, czego bała się

bardziej niż samej śmierci. Vayek nadjeżdżał z łoskotem końskich kopyt i był już blisko za jej plecami, unosząc wysoko miecz, aby ciąć z konia, ale Kereka nie ruszyła się i stała w miejscu, osłaniając gryfem piórem ciało czarownicy.

— Zabiłam ją! – krzyknęła. – Twoja odwaga dodała mi śmiałości! Teraz nie będą już mówić, że wzięłaś zwyczajną kobietę! Prędko, jedźmy, zanim jej czary mnie dosięgną! Tak się boję, mój mężu!

Pobiegła w stronę ognia, jak strzała wystrzelona z niebiańskiego łuku Tarkana, modląc się, by Vayek uznał czarownicę za niewartą wysiłków wojownika. Gdy ruszyła, on pokłusował za nią.

Syczący trzask ognia, ciężar i rozpęd konia, łomot kopyt pędzących w stronę ściany ognia, brzęk i szum skrzydeł w obliczu potężnej magii – wszystko to być może rozproszyło Vayeka, gdy ona pomknęła przodem i rzuciła się w majaczący przed nim ognisty wyłom. Zaryczał ogień. Dym buchnął jej na powitanie, a ponieważ była tylko małą istotą na dwóch małych nogach, raptownie skręciła w bok w momencie, gdy ubranie na jej plecach zaczęło się zwijać i czernieć od żaru. On galopował za nią jak furia, nie widząc nawet, że skręciła, bo zaślepiła go opowieść, którą już dawno uznał za jedyną prawdziwą na świecie.

Ale nie była prawdziwa. Świat nie był już wszędzie taki sam, niezależnie od tego, dokąd się poszło. A ona właśnie dostrzegła tę nową prawdę.

Mogła pobiec za Vayekiem w morze traw, do życia, które było jej zasadniczo znane i szacowne. Przystojny, dzielny, silny,

zrównoważony, honorowy, znany wśród klanów ze swojej waleczności, mający już dwie drugie żony – byłby jednak najgorszym mężem. Kobieta mogła przeżyć takie życie, jedynie podsycając ogień jego życia. Jego ciepło było pociągające, ale ostatecznie cała chwała przypadała tylko jemu.

Zawróciła lekko i szybko pomknęła z powrotem przez wyłom.

Po to, by zobaczyć czarownicę w trakcie działania. Przytroczyła tobolek z gryfimi piórami do pleców. Teraz wsunęła ręce pod ramiona brodacza i próbowała go unieść, by przerzucić przez już osiodłanego konia. Kereka podbiegła, by jej pomóc, chwyciła brodacza pod biodra i podsadziła własnym ciałem. Krew zboczyła jej ręce i poplamiała twarz, ale chrapliwy oddech mężczyzny wskazywał, że wciąż jeszcze żyje.

Kobieta rzuciła jej jedno zdumione spojrzenie. Potem zaś, niczym begh, uczyniła gest w stronę pozostałych koni i podbiegła piaszczystą ścieżką, zrytą podczas walki i splamioną krwią. Wyciągnęła swój nóż z obsydianu i zaczęła, jak w tańcu Tarkana z ognistymi strzałami podczas Świąta, wycinać wzór w pełnym wyczekiwania powietrzu.

Daleki ryk wściekłości dobiegł zza ściany czarodziejskiego ognia.

Kereka pomknęła, by przyprowadzić trzy konie, które przybyły z wiedźmą i brodaczem, oraz własnego wierzchowca. Konie były już osiodłane i objuczone, posłuszne komendom. Czarownica powiązała je liną i wsiadła na prowadzącą klacz po tym, jak arkada złocistych płomieni otworzyła się pod jej obsydianową klingą. Schwyciła wodze konia brodatego mężczyzny i wjechała pod gorejące w powietrzu smugi.

Dokąd wjechały, Kereka nie zdołała pojąć. Ale jazda brzegiem rzeki śmierci wiązała się z ryzykiem, które trzeba było ponieść, żeby ujrzeć, co leży po tamtej stronie.

Zaśpiewały skrzydła. Sylwetka skrzydlatego jeźdźca pojawiła się za linią ognia. Vayek rzucił się z powrotem przez białe płomienie wydobywające się z ciała Edeka i wpadł do kręgu. Skomplikowany splot linii, który nadał kształt łukowi, zaczął się zacierać i rozmywać na brzegach, drżąc i migocząc.

Pióra gryfów są odporne na magię.

Kereka wyrzuciła gryfie pióro Edeka. Błysnęło, kołysząc się na wietrze wiejącym z niewidzialnej krainy leżącej za łukiem, a za nim upadła z hałasem na ziemię bojowa rękawica Edeka. Potem zacięła konia i zagłębiły się w mgłę, cuchnącą spalonymi i gnijącymi ciałami, popiołem i trawą, krwią i szlachetnymi czynami.

Oczy łzawiły i piekły, gorąco paliło płuca.

Rozwiały się ohydne miazmaty, a ona jechała swobodna w dół wzgórza po poczerńiałej trawie rozsypującej się pod końskimi kopytami, ze słońcem świecącym nad głową, rzucającym na trawę długie cienie. Czarownica dotarła już do znajomo wyglądającego strumienia, uklękła obok swego towarzysza i zaczęła obrzucać jego bezwładne ciało połyskującym pyłem. Drzewka i zarośla kołysały się w rześkim powiewie wiatru wiejącego z zachodu.

Kereka obróciła się i ujrzała za sobą te same głazy, ten sam czarny kamienny krąg wznoszący się złowieszczo dokładnie w tym miejscu, w którym stały chwilę przedtem. Vayek i jego ludzie zniknęli.

Czy czarownica dysponowała tak potężnymi czarami, by przenosić ludzi z rzeczywistego świata do świata duchów?

Nie.

Dywan spalonej trawy ostygł; spopielone ściernisko zostało potargane przez silne wiatry; z wypalanej ziemi tu i ówdzie odważnie wybijały zielone pędy. Zsiadła z konia, zarzuciła mu wodze na szyję. Jej klacz skubnęła jednego z jucznych koni, który wierzgnął; rozdzieliła zwierzęta, spętała wierzchowca, a potem powlokła się na bolących nogach w górę ku kamieniom. Podeszwy jej butów były niemal zupełnie spalone, ubranie pokryte plamami sadzy. Z dłoni sączyła się krew. Płuca paliły z każdym oddechem.

Leżały tam szczątki Edeka; jego ciało pożarte zostało przez nieziemskie płomienie, a szkielet pogryziony i rozwłóczony przez drapieżniki. U stóp trzech głazów leżały poprzecinane więzy; nosze były trochę pokiereszowane przez zwierzęta, lecz w większej części nietknięte. Pozostawiony sprzęt zniknął do ostatniego noża, rzemienia czy bukłaka. Popiół ogniska wdeptany był w ziemię. Wiatr złagodniał, gdy zaczął zapadać zmierzch.

Księżyc wzeszedł od wschodu, okrągły i jasny, w pełni, podczas której miała zostać poślubiona. Księżyc nie mógł kłamać. Od czasu księżycy–miecza minęło pół miesiąca. Wiedźma uwiła ścieżkę pomiędzy tamtym czasem a tym i przejechały tą ścieżką.

Rozległ się przeraźliwy gwizd. Stojąc na skraju kamiennego kręgu, Kereka dostrzegła czarownicę, która machała ręką, aby przyciągnąć jej uwagę. Łatwowierna i głupia! Jakże łatwo byłoby ją zabić i wziąć głowę brodatego mężczyzny, gdy był ranny i

słaby, zanim czarownica zdążyłaby go uzdrowić, jeśli w ogóle jeszcze można było go uratować. Mogłaby wtedy pojechać do namiotu swej matki i plemienia ojca i ogłosić się mężczyzną. Wiedziała, czego się spodziewać po życiu mężczyzny, podobnie jak wiedziała, co oznacza życie kobiety.

Jaki więc rodzaj życia wiedli ci obcy, ze swymi czarami i kuszami, i sposobem, w jaki przekazywali sobie łopatę, dzieląc tę samą pracę między siebie, a być może nawet dzieląc wspólną chwałę? Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Jeszcze nie.

Wróciła do noszy i złapała za długie skórzane pasy. Przerzuciła je przez ramię i pociągnęła. Ciężar był nieporęczny, ale była uparta, a ciężar w końcu nie tak duży, by sobie z nim nie poradziła, podobnie jak ze swoją niepewnością.

Czy mogła zaufać czarownicy? Czy czarownica i ten cudzoziemiec kiedykolwiek jej zaufają?

Ciągnąc nosze, ruszyła po spalonej ziemi, a potem dalej, przez wysoką trawę, aby się przekonać.

Przetłóżył Jerzy Moderski

Mary Robinette Kowal

ODDANY SŁUGA



Mary Robinette Kowal jest autorką Shades of Milk and Honey oraz Glamour in Glass. W 2008 roku zdobyła nagrodę Campbella za najlepszy debiut, a w roku 2011 jej For Want of a Nail uzyskała nagrodę Hugo za najlepsze opowiadanie. Dzieła autorki były także nominowane do nagród Nebula i Locusa. Jej opowiadania ukazywały się w „Asimov’s”, „Strange Horizons” oraz w kilku antologiach prezentujących najlepsze opowiadania roku, a także w jej zbiorze Scenting the Dark and Other Stories, wydanym przez Subterranean Press. Przez dwie kadencje sprawowała funkcję wiceprezesa stowarzyszenia Science Fiction and Fantasy Writers of America. Mary mieszka w Chicago z mężem Robem oraz tuzinem tradycyjnych maszyn do pisania.

Promienie słońca wpadały przez korony drzew na podwórko rodzinnego domu, malując plamy światła i cienia na kamiennych płytach. Li Reiko klęczała przy swoim synku, oglądając jego zdarte kolano.

— To tylko zadrapanie. – Nawi wił się pod jej dotknięciem.

Córeczka Aya zaglądała matce przez ramię, uważnie przyglądając się zabiegowi.

— Może mama pokaże ci swoją zbroję, kiedy już cię wyleczy.

Nawi przestał się kręcić.

— Naprawdę?

Reiko posłała Ayi ostrzegawcze spojrzenie, ale czarne oczy chłopca zabłysły ekscytacją. Reiko uśmiechnęła się.

— Naprawdę. – Cóż znaczyła tradycja? – A teraz pozwól mi wyleczyć ci kolano. – Położyła dłoń na powierzchni rany.

— Au.

— Szs. – Reiko zamknęła oczy i zaczęła się koncentrować.

Przeznaczyła konieczny czas na odprawienie w duszy stosownego rytuału. Po chwili zielony ogień rozświetlił wnętrze jej umysłu. Rozpuściła się w nim, skupiając się na uzdrowieniu syna.

Gdy rana zamknęła się pod jej dłonią, Reiko powróciła na powierzchnię świadomości.

— Gotowe – zmierzwiła włoski Nawiemu. – Nie było tak źle, prawda?

— Łaskotało trochę. – Zmarszczył nos. – Pokażesz mi teraz swoją zbroję?

Westchnęła. Nie powinna pobudzać jego zainteresowania sztukami walki. Przeznaczeniem Nawiego miała być historia, jaką ludzie przechowują, a jednak...

— Spójrz.

Tworząc w myślach gładką czarną powierzchnię, pokazała im zbroję. Okrywała ją jak cisza nocy. Aya patrzyła, nie mogąc doczekać się dnia, kiedy nałoży własną. Widok twarzyczki Nawiego, pełnej tęsknoty za czymś, czego nigdy nie będzie posiadał, ukłuł ją w serce jak nowo wykute ostrze.

— Czy mogę zobaczyć twój miecz?

Nakazała zbroi rozpląnąć się w umyśle.

— Nie – Reiko odgarnęła mu włosy z oczu. – Teraz moja kolej, żeby się schować, dobrze?

* * *

Halldor wiercił się w siodle, usiłując ulżyć wygiętym plecocom. Kiedy grupa poszukiwawcza dotrze do Parlamentu, będzie mógł

wreszcie zdjąć z grzbietu dokuczliwy ciężar.

Z każdym krokiem konia po porośłym mchem polu lawy ten dziwny miecz uderzał Halldora w kręgosłup, przypominając mu, że wiezie legendę. Żadne runy ani wnętrzności zwierząt, których wyroki studiował przed podjęciem poszukiwań, nie przepowiadały łatwości, z jaką wypełniła się pierwsza część proroctwa. Znaleźli wąską klingę Siewcy Śmierci zawiniętą w lnianą tkaninę i zakopaną pod opuszczonym domem elfów. W tym mrocznym pomieszczeniu twardy srebrzysty metal miecza – dłuższego niż wszystkie ich spiżowe miecze – wydawał się rozświetlony blaskiem księżyca.

Larus zrównał się z nim koniem.

— Jak sądzisz, kobiety będą na nas czekać?

— Może na ciebie, mój panie, ale nie na mnie.

— Bzdura. Kobiety kochają wojowników–kapłanów. „Silnych i wrażliwych” – prychnął pod wąsem. – Uczesz się trochę, żebyś nie wyglądał jak chochoł.

Z tyłu dobiegło rzenie. Halldor odwrócił się, sądząc, że któryś koń trafił kopytem w jedną z tysięcy szczelin kryjących się między kamieniami. Zamiast tego zobaczył, jak spomiędzy skał wybiegają uzbrojeni mężczyźni i atakują jeźdźców. Bandyci.

Halldor spiął konia, aby pomóc Larusowi i innym w odparciu napadu.

— Chroń miecz – krzyknął Larus.

Słyszając rozkaz księcia, Halldor zaklął, zawrócił konia i pogalopował między skały, z dala od bitwy. Słyszał za sobą krzyki mężczyzn osłaniających jego odwrót. Wierzchowiec kluczył wąską ścieżką między głazami. Nagle zatrzymał się przed

rozpadliną. Halldor spojrział za siebie.

Kilka długości konia przed bandytami galopował pochylony w siodle Larus. Na jego płaszczu widniały plamy krwi. Ludzie jechali za nim, osłaniając księcia, dopóki było to możliwe.

Bandyci ścigali ich przez wulkaniczną równinę, coraz bardziej skracając dzielący ich dystans.

Halldor spiął konia, okrążając rozpadlinę. Koń nagle zachwiał się i zarżał z bólu. Jego pęcina pękła, uwięziona między kamieniami. Halldor zsunął się z siodła i odtoczył na bok. Na kamienistym gruncie miecz znów boleśnie uderzył go w plecy. Zajrzał w głąb rozpadliny. Zaparło mu dech w piersiach i cofnął się znad krawędzi urwiska.

Gdy próbował wstać, nadjechał pędem Larus. Nie tracąc chwili, zeskoczył z konia i rzucił mu wodze.

— Zawieź miecz do Parlamentu!

Halldor złapał uzdę i wskoczył na siodło. Gdyby zginęli w drodze powrotnej, to czy znalezienie miecza miałoby jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

— Musimy ubłagać miecz!

Zakrwawiona prawa ręka Larusa zwisała bezwładnie, ale trzymając broń w lewej, zwrócił się przeciwko bandytom.

— Jedź!

Halldor wyszarpnął miecz z owijającej go tkaniny. Pierwszy raz od sześciu tysięcy lat na jego srebrzystą klingę padło światło słońca i zapłonął ogniem na całej swej długości. Wibrował w dłoniach.

Pierwsi bandyci dopadli do Larusa i zmusili go do cofnięcia się.

Halldor zaśpiewał runy mocy, wzywając Siewcę Śmierci.
Czas się zatrzymał.

* * *

Reiko schowała się przed dziećmi w zakątku podwórka, wkładając w to więcej zaangażowania niż w bitwie. Gdyby starała się mniej, byłoby to dla nich obraźliwe.

— Gotowi czy nie, szukam! – Nawi odwrócił się od drzewa i popędził, mijając jej kryjówkę.

Aya odwróciła się wolniej i uważnie obserwowała podwórze. Reiko uśmiechnęła się, widząc, jak wciąga powietrze i szuka tropów. Syn przedzierał się przez krzaki, rozrzucając nogami liście.

Gdy pod stopą Nawiego pękła kolejna gałązka, Reiko stłumiła w sobie chęć skorygowania jego okropnej techniki. Porozmawia z jego wychowawcą o tym, która nauczycielka go uczy. Był chłopcem, ale nie był to powód, by zaniedbywać jego edukację.

Reiko, ujrawszy, że Aya odkryła pierwsze ślady jej stóp i próbuje dotrzeć po nich do miejsca, w którym się schowała, wymknęła się z kryjówki i ruszyła przez podwórko do fontanny. Taka była między nimi umowa: dla wyrównania szans nie wolno jej było biegać.

Zbliżyła się do szumiącej wody, która zagłuszyła jej kroki. Z prawej strony dobiegł głos Nawiego:

— Znalazłaś ją?

— Nie, głuptasie! – Aya pokręciła głową i zatrzymała się. Wsparła się małymi rączkami pod boki i patrzyła na ziemię. – Jej ślady kończą się tutaj.

Reiko i jej córka były w tej samej odległości od fontanny, ale po przeciwnych stronach. Gdyby Aya patrzyła uważniej, zauważyłaby, że Reiko pozostawiła mylące tropy na ziemi, a potem przeskoczyła z fontanny prosto na kamienie otaczające trawnik na środku podwórza. Reiko zrobiła jeszcze trzy kroki, zanim Aya spojrzała za siebie.

Gdy jej córeczka się odwracała, Reiko bardziej poczuła, niż posłyszała syna, który właśnie do niej dobiegał. Spryciarz. Odwrócił jej uwagę, specjalnie hałasując w krzakach. Przywarła do ziemi, aby przemknąć pod jego dłońmi. Przetoczyła się i wywinęła koziołka, po czym stanęła na równe nogi, gdy Aya pobiegła ku niej.

Nawi znowu spróbował ją złapać. Mając dzieci po obu stronach, Reiko tańczyła między nimi, coraz bardziej zbliżając się do fontanny. Wywijiała się im, śmiejąc się głośno za każdym razem, gdy nie zdołały jej złapać. W podwórzu rozbrzmiewały echem ich chichoty.

Świat rozsunał się na boki i zadrżał. Reiko potknęła się i ból przebiegł wzdłuż jej pleców.

Rączki Nawiego dotknęły jej boku.

— Mam ją!

Ogarnął ją ogień.

Podwórko zniknęło.

* * *

Czas znowu ruszył.

Miecz w rękach Halldora zawibrował życiem. Ogień zachodu słońca ogarnął go i rozdzielił powietrze, które otworzyło się z

przenikliwym krzykiem, a ze środka wypadł jakiś kształt. Jego zarys odcinał się wyraźnie na tle płomieni. Rozległy się głosy przestachu ludzi i rżenie koni.

Gdy ogień zgasł, pomiędzy Halldorem i bandytami stała kobieta. Serce Halldora zamarło. Gdzie Siewca Śmierci? Gdzie wojownik, którego wezwał miecz?

Jeden z bandytów ryknął śmiechem i ruszył ku nim. Reszta rzuciła się za nim z uniesioną bronią. Kobieta wyrwała miecz z rąk Halldora. W tej krótkiej chwili, gdy spojrzał na dziki wyraz jej twarzy, zrozumiał, że udało mu się przywołać Li Reiko, Siewczynię Śmierci.

Ona zaś się odwróciła. Gorące powietrze zafalowało wokół niej, gdy na jej ciele zmaterializowała się czarna jak noc zbroja. Patrzył, jak tańczy z gracją, zadając cięcia i wykonując uniki przed ciosami bandytów. Bez widocznego zastanowienia, ruchami precyzyjnymi jak podczas rytuału, tańczyła ze śmiercią, rozplątując mieczem ciała bandytów.

Halldor upadł na kolana, dziękując bogom, że ją przysłali. Obserwował, jak czubek jej miecza zakreśla linie przywodzące na myśl ślady zwierzęcych wnętrzości na posadzce świątyni. Ruchoma krwawa linia prowadziła do następnego ruchu, i następnego, jakby śmierć tych wszystkich mężczyzn była im z góry pisana.

A potem zwróciła miecz przeciwko niemu.

Ostrze opadło, płonąc ogniem zachodzącego słońca. Gdy czubek miecza dotknął piersi Halldora, zatrzymał się, jakby trafił na ścianę.

Co ją powstrzymało? Jeśli jego krew ma być ceną za życie

Larusa, niechaj tak będzie. Trzymająca miecz ręka drżała. Kobieta skrzywiła się, ale nie zadała ciosu. Jej twarz, na poły ukryta pod hełmem, pociemniała z wściekłości.

— Gdzie ja jestem? – spytała rzeczowo.

Słowa te zabrzmiały bardziej jak śpiew niż jak zwykła mowa.

Zachowując spokój, Halldor odparł:

— Jesteśmy na granicy ziem Parlamentu, Li Reiko.

Jej czarne gniewne oczy rozszerzyły się. Cofnęła się, a zbroja zafalowała i zniknęła, zmieniając się w myśl. Delikatna, ciemna, opalona skóra opinała wydatne kości policzkowe. Włosy opadały na plecy, splecione w długi czarny warkocz. Żyły Halldora zagrały szybkim tętnem.

Tylko bogowie w sagach mieli włosy w kolorze nocy, jak Wielka Matka. Gdyby potrzebował dowodu, że naprawdę wezwał Siewczynię Śmierci, te nienależące do śmiertelnika czarne włosy byłyby wystarczająco przekonujące.

Skłonił głowę.

— Chwała tobie, o Wielka. Zechciej udzielić nam swego błogosławieństwa.

Reiko wstrzymała oddech. Znał jej imię. Z pewnością wpadła przez płomienny portal do piekła, a ten demon o wytrzeszczonych oczach poznał jej imię.

Próbowała go zabić tak samo jak tamtych, ale nie zdołała pchnąć go mieczem, jakby broniła go jakaś ściana.

A teraz jeszcze prosił ją o błogosławieństwo.

— O jakie błogosławieństwo ci chodzi? – spytała Reiko.

Zapanowała nad drzeniem. Jaki człowiek mógłby mieć takie jasne włosy w kolorze słomy?

Słomiany opuścił wytrzeszczone oczy na drugiego demona leżącego przed nim.

— Uratuj, o Łaskawa, życie naszego księcia Larusa.

Ten Larus miał głęboką ranę w ramieniu. Krew miała czerwoną jak wszyscy ludzie, ale twarz białą jak śmierć.

Odwróciła się od Słomianego i wytarła miecz z krwi o gęsty mech. Gdy spuściła wzrok, Słomiany zajął się Larusem. Z uwagą śledziła odgłosy jego poruszeń, a przy tym próbowała odzyskać równowagę, zajmując się znajomą czynnością czyszczenia broni. Na bogów! Skąd on miał jej miecz? Był przecież w jej pokoju niecałe dziesięć minut temu, chwilę przedtem, nim zaczęła się bawić z dziećmi w chowanego.

Mało brakowało, a dałaby się ponieść panice. Co się stało z jej Ayą i Nawim? Potrzebowała informacji, ale okazanie przed wrogiem niewiedzy było słabością, która mogła zabić równie pewnie jak najostrzejsza klinga. Zaczęła się zastanawiać.

Ich broń była z brązu, nie ze stali, a żaden z przeciwników nie miał widocznej zbroi. Byli odziani w ubrania ze skóry lub filcowanej wełny i nie mieli żadnych tkanych rzeczy. No tak. Po prostu taką mieli technologię.

Słomiany nie uleczył Larusa, więc zapewne nie potrafili tego robić. Potrzebował jej pomocy. Szukała w myślach. Czy demony można związać długiem krwi?

Zwróciła się do Słomianego:

— Jaką cenę proponujesz za jego życie?

Słomiany podniósł na nią oczy w kolorze nieba.

— Ofiaruję ci własne życie, o Wielka.

Zacisnęła wargi. Co by jej dała zemsta? Chyba że...

— Ofiarowujesz krew czy służbę?

Jeszcze raz pochylił głowę.

— Poddam się twojej woli.

— Będiesz mi więc służył. Czy zgadzasz się być moim oddanym sługą?

— Zgadzam się.

— Dobrze. – Schowała miecz. – Jak masz na imię?

— Halldor Arnarsson.

— Przyjmuję twoje przyrzeczenie. – Uklękła i rozsunęła skóry na ramieniu Larusa. Mobilizując siły, rozpoczęła leczniczy rytuał, wniknąwszy w jego umysł.

Był człowiekiem.

Zapanowała nad szokiem, nie mogła się rozpraszać.

Halldor niemal krzyknął, gdy dłonie Reiko zajaśniały blaskiem. Czytał w sagach o boskich uzdrowieniach, ale być świadkiem czegoś takiego – to przekraczało jego wyobraźnię.

Blask przygasł. Zabrała ręce z ramienia Larusa. Rana zniknęła. Pozostała cienka czerwona szrama i plamy krwi na ubraniu. Larus otworzył oczy, jakby budził się ze snu.

Miała zupełnie bladą twarz.

— Zapłaciłam swoją cenę za twoją służbę, oddany sługo. – Uniosła dłoń do skroni. – Rana była głębsza... – Oczy zaszyły jej mgłą i osunęła się na ziemię.

Larus usiadł i złapał Halldora za ramię.

— Coś ty zrobił?

Halldor się otrząsnął i odpowiedział:

— Uratowałem ci życie.

— Wiążąc się z kobietą? Czyś ty oszalał?

— Uzdrowiła cię. Uzdrowiła! Patrz. – Halldor wskazał na jej włosy. – To jest Li Reiko.

— Li Reiko była Wojowniczką.

— Właśnie ją zobaczyłeś. Jak myślisz, ile czasu zajęło jej zabicie sześciu ludzi? – Gestem wskazał jatkę za ich plecami. – Wymień choć jednego mężczyznę, który by tego dokonał.

Czy zabranie jej byłoby świętokradztwem? Skrzywił się. Jeśli okaże się, że tak, będzie prosił o wybaczenie.

— Musimy ruszać, zanim zajdzie słońce i wyjdą trolle.

Larus skinął powoli głową, wciąż patrząc na leżące wokół trupy.

— Zastanawiasz się, co?

— Nad czym?

— Które jeszcze sagi są prawdziwe?

Halldor zmarszczył brwi.

— Wszystkie mówią prawdę.

* * *

Zapach baraniny wdarł się do jej pozbawionego marzeń snu. Reiko leżała pod owczą skórą na sienniku wypchanym słomą. Słoma wystawała przez dziury w zgrzebnej wełnianej powłóce, kłując jej nagą skórę. Słoma. Pamięć przywołała obraz włosów w kolorze słomy. Halldor.

Długa praktyka pozwoliła jej zachować równy rytm oddechu. Leżała z zamkniętymi oczyma, słuchając. Mała izba. Otwarty ogień. Szepczące kobiety. Musiała poznać jak najwięcej, zanim zakłóci równowagę, uświadamiając im, że już nie śpi. Jakaś ręka położyła wilgotną szmatkę na jej czole. Dotknięcie było delikatne.

Kobieta lub dziecko.

Ciężka owcza skóra zdradziłaby wcześniej jej ruch, gdyby usiłowała pochwycić tę rękę. Lepiej było udać słabość, niż stwarzać wrażenie zagrożenia. Przyjdzie na to czas później.

Reiko zamrugła i otworzyła szeroko oczy. Pochylała się nad nią jakaś dziewczyna, odlana z tej samej demonicznej formy co Halldor. Miała włosy barwy miodu, a w twarzy jaśniały wielkie niebieskie oczy. Zamarła, gdy Reiko się przebudziła, ale nie odeszła.

Reiko zmusiła się do uśmiechu, lecz na jej czole widoczna była troska.

— Gdzie jestem?

— W kwaterach dla kobiet na terenach Parlamentu.

Reiko usiadła. Odsunęła baranicę, pozwalając świeżemu powietrzu owiewać nagą skórę. Dziewczyna odwróciła wzrok. Rozmowa w izbie ucichła.

Interesujące. Mają tabu nagości. Sięgnęła po futrzane przykrycie i owinęła się nim.

— Jak masz na imię?

— Mara Halldorsdottir.

Jej oddany sługa miał córkę. A wśród jego ludu panował patronimiczny system imienny. Jak daleko od domu się znalazła?

— Gdzie moje ubranie, Maro?

Z niskiej ławy stojącej przy łóżku dziewczyna podniosła złożony starannie stosik odzieży.

— Uprałam je dla ciebie.

— Dziękuję. – Skoro Mara zdążyła wyprać i wysuszyć jej rzeczy, znaczy, że Reiko była nieprzytomna przez wiele godzin.

Rana Larusa była głębsza, niż myślała. – Gdzie jest mój miecz?

— Mój ojciec go ma.

Wściekłość przepłynęła przez jej żyły jak ogień, który przyniósł ją tutaj. Odczekała, aż minie gorąco, potem zaczęła się ubierać. Gdy wciągnęła buty, zapytała:

— Gdzie on jest?

Kobiety za Marą poruszyły się, jakby Reiko przekroczyła jakąś granicę.

— W Parlamencie.

— Który jest gdzie? – Spojrzenia pozostałych kobiet paliły jej skórę. Aha. Parlament obwiedziony był linią, której nie powinna przekraczać, a one nie zamierzały jej odpowiedzieć. Pamięć podsuwała jej opisy innych krajów. Nigdy nie przywiązywała wielkiej wagi do tych opowieści, bo historia była dziełem mężczyzn. Uśmiechnęła się do Mary. – Dziękuję za twoją uprzejmość.

Gdy wychodziła z pomieszczenia, miała nerwy napięte, oczekując jakiegoś oporu z ich strony, ale one cofnęły się tylko, jakby się czegoś bały.

Kwatery kobiet wychodziły na wąską krętą drogę, po której obu stronach stały kamienne i torfowe domy. Ulica kończyła się dużym, zbudowanym na pagórku kamiennym kręgiem otoczonym kamiennymi ławami. Na ławach siedzieli mężczyźni, kobiety zostały na dole. W środku kręgu przemawiał Larus. Obok niego stał Halldor z jej mieczem w ręku. Stanąwszy w cieniu pobliskiego domu, Reiko się przyglądała. Górowali nad nią wzrostem, ale ich ruchy były powolne i niezdarne jak u tresowanego niedźwiedzia. Nawi był lepiej wyćwiczony niż

którykolwiek z nich.

Syn. Jej płuca wypełniły nagły niepokój i gniew, ale gniew był złym doradcą. Odepchnęła go od siebie.

Z wysiłkiem skierowała uwagę z powrotem na mężczyzn. Nie mieli świadomości swojego ciężaru, wiedzieli tylko, że są duzi, a i o tym mieli niedoskonałe wyobrażenie.

Halldor uniósł głowę. Jego oczy jak po sznurku pobiegły w jej stronę i odnalazły ją w cieniu.

Upadł na kolana i uniósł miecz. Larus przerwał w pół słowa i spojrzał na Halldora, a potem na Reiko. Po jego twarzy przemknęło zaskoczenie, ale skłonił głowę.

— Li Reiko, zaszczytasz nas swoją obecnością.

Reiko weszła na kamienny krąg. Gdy przechodziła przez środek, aby odebrać swój miecz, z ławy zerwał się zwałisty jak wół mężczyzna.

— Nie będę tu siedział, gdy w kręgu Parlamentu jest kobieta.

Larus spojrzał na niego gniewnie.

— Ingolfurze, to nie jest śmiertelniczka.

Reiko wyteńczyła całą swoją uwagę. Kim ich zdaniem była, jeśli nie kobietą śmiertelną?

— Natarłaś swoje włosy sadzą, ładacznico? – Ingolfur założył ręce na piersiach. – Chcecie, żebym uwierzył, że ona jest boginią?

Jej tętno przyspieszyło. O czym oni mówili? Larus odrzucił płaszcz, pokazując rozdarcie w skórzanej odzieży i plamy krwi.

— Zostaliśmy napadnięci przez bandytów. Moje ramię było niemal w połowie odrąbane, a ona je uleczyła. – Na jego bladej twarzy pojawił się rumieniec. – Mówię wam, że to jest Li Reiko, która powróciła.

Zrozumiała, co powiedział, ale te słowa nie miały sensu. Każde wypowiedane przez nich zdanie rodziło w jej głowie tysiące pytań.

— Ha. – Ingolfur splunął na ziemię. – Wasze poszukiwania miały zakończyć się znalezieniem Wojownika, który pokona Króla Trolli.

To zrozumiała dobrze.

— A jeśli ja to zrobię, to jaką zapłatę mi zaoferujecie?

Larus otworzył usta, gdy Ingolfur wyszedł na środek kręgu.

— Twierdzisz, że jesteś Siewczynią Śmierci? – Ingolfur sięgnął ku niej, jakby była lalką, którą można złapać i podnieść. Zanim jego ręka dotknęła jej ramienia, Reiko schwyciła go za przegub i wykręciła. Wbiła mu ramię w brzuch i wykorzystując masę jego ciała, rzuciła go na ziemię, nie tracąc przy tym równowagi.

Choć sądziła początkowo, że ma do czynienia z demonami, widziała teraz, że są to zwykli mężczyźni, pełni buty i lekkomyślnych osądów. Czekwała, aż zaatakuje ją znowu.

Ingolfur wściekał się za jej plecami. Reiko skupiała się na odgłosach i niewielkich zmianach w ruchach powietrza. Gdy rzucił się na nią, wywinęła się spod jego rąk i wykorzystując jego siłę, wypchnęła go z kręgu, potykającego się i tracącego równowagę. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Czekwała.

Mogło to zająć trochę czasu, ale Ingolfur musiał się nauczyć, gdzie jest jego miejsce. Mężczyzna, dotykając kobiety bez zaproszenia, prosi się o śmierć.

Halldor wyszedł przed Reiko i stanął twarzą w twarz z Ingolfurem.

— Wieki Ingolfurze, z pewnością zrozumiałeś, że żadna śmiertelniczka nie zdołałaby się zmierzyć z naszym mistrzem.

Reiko uniosła lekko głowę. Jej oddany sługa wykazał się sprytem, zaspokajając próżność prostaka.

Larus wskazał na miecz w rękach Halldora.

— Kto jeszcze wątpi, że wypełniliśmy naszą misję? – Mężczyźni poruszyli się niespokojnie na ławach. – Spełniliśmy pierwszą część proroctwa, przywracając światu Li Reiko.

Jakież to proroctwo wspominało jej imię? Mogła to być jej karta przetargowa.

— Obiecałeś nam potężnego Wojownika, Siewcę Śmierci – warknął Ingolfur – a nie kobietę.

Nadszedł czas działania. Skoro chcieli boga, to będą go mieli.

— Nie ulegajcie zwątpieniu. Mogę pokonać Króla Trolli. – Ukazała swoją zbroję.

Ingolfur cofnął się odruchowo. Wokół kręgu rozległy się zdumione okrzyki. Wyjęła miecz z rąk Halldora.

— Kto chciałby mnie sprawdzić?

Halldor padł przed nią na kolana.

— Siewczyni Śmierci!

W tej samej chwili ukląkł przed nią Larus i wykrzyknął:

— Li Reiko!

Mężczyźni w kręgu poszli za ich przykładem. Niżej poza kręgiem kobiety i dzieci klękły na ziemi. Wykrzykiwano jej imię. W bezpiecznej osłonie swego hełmu Reiko zmarszczyła brwi. Zabawa w boskość była niebezpiecznym kłamstwem. Opuściła miecz.

— Ale jest za to cena. Musicie zwrócić mnie niebiosom.

Oczy Halldora otworzyły się szerzej, niż sądziła, że to możliwe.

— Jak, moja pani?

Potrząsnęła głową.

— Wiesz, że bogowie niczego łatwo nie oddają. Mówią, że macie mnie zwrócić. Musicie sami się dowiedzieć jak. Kto tutaj zgodzi się na taką cenę za uwolnienie od trolli?

Schowała miecz i ukryła w myślach swoją zbroję. Obróciła się na pięcie i wymaszerowała z kręgu Parlamentu.

Gdy Li Reiko opuściła Parlament, Halldor podniósł się z kolan. Miał mętlik w głowie. Reiko mówiła o rzeczach, które wykraczały poza zakres jego wiedzy. Larus złapał go za ramię.

— Co jej zdaniem znaczy „zwrócić”?

Ingolfur rozłożył ręce.

— Jeżeli taka ma być cena, chętnie ją zapłacę. Pozbycie się jej i Króla Trolli za jednym zamachem będzie czystą radością.

— Czy to możliwe?

Mężczyźni skupili się wokół Halldora, zadając mu teologiczne pytania na temat sag. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Nie zapytywał kamienia runicznego i wnętrzości zwierząt od czasu wyruszenia do domu elfów przed tygodniem.

— Nie prosiłaby o to, gdyby nie było to możliwe. – Przełknął ślinę. – Zbadam ten problem z pozostałymi braćmi i wrócę do was.

— Dobrze. – Larus poklepał go po ramieniu.

Kiedy odwrócił się w stronę kłębiącego się tłumu, Halldor wymknął się dyskretnie.

Odnalazł Reiko w otoczeniu dzieci. Kobiety trzymały się z boku, zbyt onieśmielone, by podejść bliżej, ale dzieci tłoczyły się

przy niej. Halldor ledwie mógł uwierzyć, że zabiła sześciu mężczyzn z taką łatwością, jakby przędła wełnę. Przez chwilę patrzył, jak bawi się z najmłodszym dzieckiem w „a kuku”, a na jej twarzy malują się radość i cierpienie.

Dostrzegła go i poczuła odruch niechęci.

— Chcę przeczytać to proroctwo – powiedziała, wstając.

Zamrugął, zaskoczony. Potem pojawiła się nadzieja: może sama wskaże mu, jak dokonać zapłaty.

— Jest złożone w świątyni.

Reiko odgarnęła dziecku opadające na oczy włosy, po czym spokojnie dogoniła Halldora. W drodze ledwo zdołał dotrzymać jej kroku.

W środku przeszli przez nawę do biblioteki mieszczącej się za sanktuarium. Czytający tam kapłani zerkali na Siewczynię Śmierci. Halldor miał uczucie dziwności tego wszystkiego, jakby znalazł się poza swoim ciałem. Prowadził Li Reiko, Wojowniczkę ze starych sag, wzdłuż półek zawierających jej historię.

Od czasów, gdy bogowie przybyli z morza, jego bracia zapisywali opowieści o nich. Nieprzerwane od sześciu tysięcy lat zapisy proroctw i dawne sagi zapewniały spójność tych podań.

Kiedy podeszli do stołu zamówień, dyżurny ministrant wyglądał tak, jakby za chwilę miał się zmoczyć. Halldor stanął między nim a Siewczynią Śmierci, ale chłopiec wciąż patrzył z rozdziawioną buzią.

— Przynieś mi proroctwo Króla Trolli oraz sagi o Li Nawim, tom pierwszy. Będziemy w bocznej kaplicy.

Chłopiec, wciąż zapatrzony, kiwnął głową i pobiegł korytarzem.

— Możemy poczytać tutaj. – Halldor zaprowadził Siewczynię Śmierci na miejsce. Wciąż nie mógł się nadziwić, że jest tak niewielkiego wzrostu, niewiele większa od ministranta. Dawniej zawsze myślał, że bogowie są ogromni.

Miał tysiące pytań, ale nie znajdował słów.

Kiedy ministrant wrócił, Halldor podziękował w duchu. Oto było coś, o czym mogli podyskutować. Wziął zwój welinowego papieru i masywny tom sag i przepędził ministranta z pomieszczenia.

Ręce Halldora były wilgotne od potu, gdy naciągał wełniane rękawiczki mające chronić manuskrypty. Zawahał się, czy wziąć drugą parę, jednak odłożył je na bok. Jej ręce potrafiły leczyć, na pewno nie uszkodzi rękopisów.

Halldor ostrożnie rozwinął na stole zwój z proroctwem. Nie patrzył na opisy wnętrzości zwierząt. Patrzył na nią.

Nie zdradziła swoich myśli.

— Chcę usłyszeć twoje wyjaśnienie.

Ciarki przebiegły mu po plecach, jakby znów miał jedenaście lat i musiał tłumaczyć pisma starszemu kapłanowi. Oblizął wargi i wskazał palcem.

— To zakole reprezentuje niebiosy, a to zagięcie tutaj – pokazał na wybrzuszenie grubego jelita – oznacza czasy konfliktu. Uznałem, że pęknięcie w tym wybrzuszeniu oznacza Króla Trolli. Ta krwawa plamka wskazuje na...

Skrzyżowała ramiona na piersiach.

— To oczywiste, że dobrze rozumiesz swoją dziedzinę. Opowiedz mi to proroctwo zwykłym językiem.

— Och. – Jeszcze raz spojrział na rysunek wnętrzości. Co

takiego zobaczyła, czego on nie zauważył? – No tak, w czasach konfliktu, czyli obecnie, Siewca Śmierci pokonuje Króla Trolli. – Wskazał na jasne zawężenie w dolnej części jelita. – Spójrz, jak dławi ono Króla Trolli. To oznacza, że wygrywasz walkę.

— A skąd wiedziałeś, że tym legendarnym wojownikiem byłam... jestem ja?

— Porównałem wszystko z naszymi opowieściami i ty jesteś jedyną, która spełnia wszystkie kryteria.

Zadrżała.

— Pokaż mi tę historię. Chcę wiedzieć, jak ją odczytałeś.

Halldor podziękował bogom, że poprosił również o sagę o Li Nawim. Położył teraz ciężki tom przed Li Reiko i otworzył na rozdziale pierwszym Księgi Ognia.

W jesieni Ognia Li Reiko, największa z wojowników, ćwiczyła Li Nawiego i jego siostrę Ayę w sposobach Śmierci. W środku ćwiczeń kurtyna ognia oddzieliła Nawiego od Ayi, a kiedy znów się zobaczyli, Li Reiko zniknęła. Choć byli przerażeni, zrozumieli, że Siewczyni Śmierci znalazła należne sobie miejsce w niebiosach.

Reiko zadrżała, zupełnie tracąc nad sobą panowanie.

— Co to jest?

— To saga o Li Nawim.

Spróbowała sformułować jakieś pytania, ale jej myśli kręciły się w kółko.

— Skąd to masz?

Halldor powiódł dłonią w rękawiczce po literach.

— Po Upadku, gdy fale ognia przetoczyły się przez nasz kraj, Li Nawi przybył do nas przez ocean wraz z innymi bogami. Był

naszym zdobywcą i naszym zbawieniem.

Rzędy kamiennych regałów, pełnych oprawnych w skórę woluminów, przytłoczyły ją. Jej serce biło jak oszalałe.

Łomot jej tętna zdawał się zagłuszać głos Halldora.

— Sagi są naszym dziedzictwem i naszą odpowiedzialnością. Bogowie opuścili ziemię, ale my zachowujemy zapisy historii, jakie nam pozostawili.

— Waszym dziedzictwem? – Reiko odwróciła niewidzące oczy od zapisanych stronic.

— Od swego urodzenia zostałem przeznaczony do służby bogom. – Przerwał na chwilę. – Sagi o tobie były najbardziej inspirujące. Wybacz moją śmiałość, ale czy mógłbym zadać ci jedno pytanie?

— Jakie? – Zalewały ją na przemian fale zimna i gorąca.

— Czytałem opisy twoich triumfów w walkach pozostawione przez twego syna Li Nawiego.

Reiko zapało dech w piersiach. Halldor przewrócił kilka stronic.

— Oto, skąd wiedziałem, gdzie szukać twego miecza. – Przerwał na chwilę z palcem nad tekstem. – Rozszyfrowałem wskazówki, jak go ubłagać i wezwać ciebie, ale jest wiele...

Reiko odsunęła się od stołu.

— To ty spowodowałeś kurtynę ognia? – Miała ochotę zwymiotować ze strachu pod jego stopy.

— Nie... nie rozumiem.

— Tego ranka wypadłam przez ogień.

A kiedy znów się zobaczyli, Li Reiko zniknęła. Jak się poczuli Nawi i Aya, widząc, że ich mama została wyrwana z czasu?

— W odpowiedzi na moje wezwanie – odparł Halldor.

— Bawiłam się z dziećmi w chowanego, a ty mnie zabrałeś.

— Przebywałaś w niebie z bogami.

— Powiedz to dzieciom w żałobie!

— Ja... ja nie... ja... – Jego twarz przybrała szary odcień. –
Wybacz mi, o Wielka.

— Nie jestem boginią! – Popchnęła go, tracąc panowanie nad sobą. Potknął się o ławę i upadł na posadzkę. – Odeślij mnie z powrotem.

— Nie potrafię.

Wyciągnęła miecz z pochwy, nim zdała sobie z tego sprawę.

— Odeślij mnie! – Przytknęła ostrze do jego szyi. Jej ręce drżały z chęci pchnięcia głębiej. Ale ani drgnęło.

Oparła się na mieczu, zapierając się stopami o podłogę.

— Wyrwałeś mnie z czasu i odebrałeś moim dzieciom.

— To się już wydarzyło. – Potrząsnął głową.

— Za twoją sprawą. – Miecz wbił się odrobinę głębiej, utaczając kroplę krwi z jego szyi. Co go chroniło?

Halldor położył się na plecach.

— Przykro mi, nie wiedziałem... wypełniałem proroctwo.

Reiko się zachwiała. Proroctwo. Mur predestynacji. Czując się pusta, osunęła się na ławę i przytuliła do siebie miecz.

— Jak dawno...?

— Sześć tysięcy lat temu.

Zamknęła oczy. Oto, dlaczego nie mógł jej zwrócić. Nie ściągnął jej po prostu zza morza, jak innych „bogów”. Sprowadził ją poprzez czas. Jeśli została tu uwięziona, jeśli miała już nie ujrzeć swoich dzieci, to nie miało znaczenia, czy ci tutaj to ludzie

czy demony. Została wygnana do Piekła.

— Co sagi mówią o moich dzieciach?

Halldor podniósł się na kolana.

— Pokażę ci. – Jego głos drżał.

— Nie. – Przeciągnęła dłonią po klindze miecza. Ostrze zaświszczało, ocierając się o skórę. Przytknęła do niego swój przegub. To będzie łatwe. – Przeczytaj mi je.

Posłyszała, jak wstaje. Zaszleściły stronice ciężkiej księgi.

Halldor przełknął ślinę i zaczął czytać:

— Oto fragment sagi o Li Nawim, Księga Miecza, rozdział drugi: *I stało się, że Li Aya i Li Nawi wychowywani byli aż do dorosłości przez swego nauczyciela.*

Wychował ich nauczyciel, ponieważ on, Halldor, zabrał im matkę. Potrząsnął głową. To było sześć tysięcy lat temu.

— *Kiedy dorosli, każde z nich upomniało się jednak o dziedziczne prawa do miecza matki.*

Kłócili się o miecz, za którego pomocą on ją zawezwał, nie z nieba, a poprzez czas. Halldor zadrżał i skupił się na czytaniu.

— *Li Aya rzuciła wyzwanie Li Nawiemu, mówiąc, że Śmierć jest jej dziedzicznym prawem. Słyszac to, Nawi zakpił z niej, powiadając, że jest Dzieckiem Śmierci. Mówiac to, wziął miecz Reiko, a bogowie uderzyli Ayę ognistym ramieniem, dając zwycięstwo Li Nawiemu.*

Halldor poczuł nagły skurcz w brzuchu, jakby sami bogowie czytali z jego trzewi. Czytał te sagi od czasów, gdy był chłopcem. Wierzył im, ale nie sądził, że mają związek z rzeczywistością. Spojrzał na Li Reiko. Wtuliła głowę w kolana i kołysała się.

Przy całym tym opowiadaniu o prorocत्वach był jednak jedynym, który odnalazł miecz i zwrócił się do niego z

wezwaniem.

— *A wówczas wszyscy ludzie dowiedzieli się, że jest prawdziwym Dzieckiem Śmierci. Zwołał armię, Pierwszą z Dziewięciu Armii, i w ten sposób zaczął się Upadek...*

— Stop.

— Tak mi przykro. – Zabiłby tysiąc owiec, gdyby jedna z nich mogła mu objawić, jak cofnąć tę zbrodnię. W sadze o Li Nawim po pojawieniu się ściany ognia nigdy więcej nie było już mowy o Li Reiko. Zamknął księgę i postąpił krok w stronę kobiety. – A co do zapłaty, jakiej zażądałaś... to nie potrafię odesłać cię z powrotem.

Li Reiko wciągnęła urywany oddech i spojrzała w górę.

— Ja już zapłaciłam ci swoją cenę. – Halldor ujrzał w jej oczach odbicie własnej winy. – Jakiś inny bohater może zabić Króla Trolli.

Jego puls przyspieszył jak ogarnięty paniką wierzchowiec.

— Nikt nie może tego zrobić. Proroctwo wskazuje na ciebie.

— Wypatrosz zatem nową owcę, oddany słuگو. Ja ci nie pomogę. – Wstała. – Zwalniam cię ze spłaty twego długu.

— Ależ nie został spłacony. Zawdzięczam ci życie.

— Nie zdołasz zapłacić ceny, której żądam. – Obróciła się i jeszcze raz przytknęła czubek miecza do jego gardła. – Nie zdołałam cię zabić, kiedy chciałam. – Uniosła głowę i końcem miecza obwiodła w powietrzu jego szyję. – A co jest twoim przeznaczeniem?

— Nic. – Był nikiem.

— Jak miło żyć bez przeznaczenia – parsknęła. Schowawszy miecz, ruszyła ku drzwiom.

Poszedł za nią. Nic nie miało już sensu.

— Dokąd idziesz?

Odwróciła się i rąbnęła go pięścią w brzuch. Jęknął i zwinął się z bólu. Dysząc, sięgnęła po miecz i płazem uderzyła Halldora w bok. Powstrzymał okrzyk bólu.

Zamierzyła się ponownie, tym razem ostrzem klingi, ale powstrzymała ją ta sama siła. Halldor zachował spokój. Znów uderzyła go płazem miecza w żebra. Zaparło mu dech, ale nie poruszył się. Ukląkł przed nią, czekając na następne uderzenie. Zasłużył na to. Zasłużył na jeszcze więcej.

Li Reiko skrzywiła usta z obrzydzeniem.

— Nie idź za mną.

Zbliżył się do niej na kolanach.

— Powiedz mi zatem, dokąd idziesz, żebym nie spotkał cię przypadkiem.

— Być może właśnie to będzie twoim przeznaczeniem – powiedziała, odchodząc.

Halldor nie poszedł za nią.

Li Reiko wyruszyła poza krainę Parlamentu, podążając za swoim cieniem. Szedł przed nią w złocistym świetle wschodu słońca, prowadząc przez porośnięte mchem pola lawy. Porywisty wiatr wiejący w pozbawionym drzew krajobrazie popychał ją jak głodne dziecko, które spóźniło się na obiad.

W otoczeniu ludzi z ziem Parlamentu gniew Reiko brał górę i dominował nad smutkiem. Cokolwiek Halldor myślał o jej przeznaczeniu, widziała przed sobą tylko dwie drogi: urządzić sobie życie tutaj albo połączyć się ze swoimi dziećmi w jedyny dostępny jeszcze sposób. Żadnej z tych dróg nie mogła wybrać

pochopnie.

Niskie krzewy i trawy barwiły wszechobecną zieleń plamami czerwieni i złota, jakby ktoś rozwinął na ziemi kolorowy dywan. W nierównościach terenu czaiły się liczne szczeliny. W niektórych stała woda, w której odbijało się niebo, inne wiodły w głąb, ukazując niższe piętra mchu i porostów, a niektóre były przepastne i ciemne jak jaskinie.

Gdy słońce przewędrowało przez niebo i zaczęło rzucać długie cienie, Reiko poszukała schronienia od wiatru w jednej z rozpadlin. Mech ukołysał ją ciepłem płynącym z ziemi.

Zanurzyła się we wspomnieniach o Nawim i Ayi. Pamiętała, że śmiali się, gdy ją łapali. Łkanie przełamało ostatnie bariery. Objęła się rękoma. Każdy szloch wstrząsał nią do głębi. Jej dzieci nie żyły, ponieważ Halldor zdecydował, że wypatroszona owca nakazuje wyrwać Reiko z jej czasu. Nie miało znaczenia, że dzieci jakoś dorosły, jej przy tym nie było. Nie żyły od sześciu tysięcy lat. Reiko próbowała przemóc ogarniający ją żal. Łomotała pięściami w ściany swego umysłu. Nie. Jej mózg wypełniła całkowicie ta jedna sylaba.

Wtulila twarz w miękki mech, pragnąc, by pochłonęła ją ziemia.

Posłyszała jakiś dźwięk.

Dzięki długiemu treningowi Reiko natychmiast uspokoiła oddech. Podniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Z powierzchni ziemi dobiegł do niej odgłos kroków. Przybrała swoją zbroję i cicho zerwała się na nogi. Jeśli to Halldor ją śledził, postąpi jak mężczyzna i poszuka zemsty.

W świetle księżyca jakaś sylwetka, większa od ludzkiej,

skradała się ku niej. Troll. Za nim czekała banda innych trolli, obserwując. Reiko policzyła je i zbadła wzrokiem teren. Bezpieczniej było się schować, ale wciąż targał nią gniew. Pozostawiła miecz w pochwie i wyczołgała się z rozpadliny. Nie miała powodu, by szukać z nimi zwady. Biegnąc po mchu, starała się, by maskowały ją nierówne plamy cienia, aż dotarła do wysokiego kopca kamieni. Wiatr przywiał ku niej zapach trolli.

Samotny troll doszedł do rozpadliny, w której kryła się jeszcze przed momentem. Wsunął w głąb łapę i gmerał przez chwilę, jak łowiący ryby niedźwiedź, po czym ryknął zdumiony.

Pozostałe trolle wybuchnęły śmiechem.

— Uciekła, co?

— Może Gnojaczek zwąchał własne krocze, i tyle – zarechotał któryś.

— Noo, pewnie. Nie miał dosyć w Warowni, to wyszedł, myśląc, że wywacha coś jeszcze.

Złapały ludzką kobietę. Reiko poczuła ból w brzuchu; nie mogła tego tak zostawić.

Gnojaczek odwrócił się.

— Zamknijcie pyski! Wiem, że wywęszyłem kobietę. Tylko gdzie się podziała? – Troll wciągnął powietrze. – Teraz już nic nie czuję.

Inny poczłapał z powrotem.

— Idziemy, póki niektóre są jeszcze świeże.

Gnojaczek oklapł i powłókł się za resztą. Reiko wysunęła się z cienia. Może była szalona, ale nie będzie się chować, gdy innym kobietom dzieje się krzywda.

Trzymała się z tyłu, idąc za niesionymi przez wiatr odgłosami i

fetorem do Warowni Trolli.

Gdy dotarli na miejsce, księżyc wisiał już nisko nad horyzontem. Po obu stronach wielkiej kamiennej bramy stały dwa trolle.

Reiko przycupnęła w cieniu. Noc była cicha, nie licząc odgłosów hulanki. Trolle, nawet upojone alkoholem, były jednak zbyt liczne.

Gdyby zdołała wywabić wartowników, aby rozprawić się z nimi pojedynczo, to może udałoby się jej wejść do środka. Ale tylko wtedy, gdyby nie nadbiegły inne trolle. Do odgłosów walki zbiegłyby się szybciej niż stado wron do padliny.

Zadźwięczała zbroja.

Głowa Reiko zwróciła się błyskawicznie w stronę dźwięku.

Osloniła oczy od światła dochodzącego z Warowni. Gdy jej wzrok przywykł do ciemności, zobaczyła przyczajonego w mroku jeźdźca. Stał jakieś trzydzieści długości konia od niej, niewidoczny dla pozostałych na zewnątrz trolli. Reiko podeszła doń cicho, rozglądając się.

Koń przestąpił z nogi na nogę, gdy wyczuł jej zapach. Mężczyzna położył mu dłoń na szyi, uspokajając go. Promień światła z Warowni padł przez chwilę na jego twarz. Halldor. Jej usta się zacisnęły. Śledził ją. Reiko poczuła przemożną ochotę ściągnięcia trolli.

Potrzebowała go jednak. Halldor, ze swoją znajomością rysunków i historii, być może wiedział, jak wygląda wnętrze ich siedziby.

Modląc się, by pozostał rozsądny i zachował spokój, wyszła z cienia. Podskoczył, gdy ją zobaczył, ale milczał.

Zeskoczył z konia i pochylił się nisko ku niej. Jego szept był gorący.

— Wybacz. Nie śledziłem cię.

Obrócił głowę, pozwalając jej wyszeptać odpowiedź.

— Rozumiem. Mają w środku kobiety.

— Wiem. – Halldor spojrzał w stronę Warowni. Lewą stronę jego twarzy pokrywała zaschnięta krew.

— Musimy odejść na chwilę, żeby porozmawiać – powiedziała.

Wziął konia za uzdę i poszedł za nią. Kopyta wierzchowca owinięte były owczą skórą i nie hałasowały na kamieniach. Coś się wydarzyło od czasu, gdy opuściła tereny Parlamentu.

Halldor zwrócił się do niej lewym profilem. Serce Reiko było jak oszalałe. Trolle pojmały kobiety. Halldor miał na sobie ślady walki. Trolle musiały zaatakować Parlament. Szli w milczeniu do chwili, gdy umilkły odgłosy dobiegające z Warowni.

Halldor stanął.

— Był napad. – Patrzył nieobecny wzrokiem, miał zaciśnięte szczęki. – Kiedy wyszedłem... wpadły trolle... – Jego głos załamał się jak u chłopca. – Mają moją córkę.

Mara. Opuścił ją gniew.

— Halldorze, tak mi przykro. – Szukała wzrokiem innych jeźdźców. – Kto przyjechał z tobą?

— Nikt. – Pokręcił głową. – Pilnują murów na wypadek, gdyby trolle wróciły. – Dotknął twarzy. – Próbowałem ich przekonać.

— Po co przyjechałeś?

— Żeby odbić Marę.

— Jest ich zbyt wielu, oddany sługo. – Skrzywiła się. – Nawet gdybyś zdołał dostać się do środka, to co planujesz zrobić?

Wyzwać Króla Trolli na pojedynek? – Wypowiadane słowa odzywały się echem w jej czaszce. Reiko zamknęła oczy, czując zawroty głowy od tego wszystkiego, w co wpakowali ją bogowie. Gdy je otworzyła, usta Halldora ułożyły się do modlitwy. – Kiedy wstaje słońce?

— Za godzinę.

Odwróciła się w stronę Warowni. Za godzinętrolle nie będą mogły ruszyć w pościg – słońce zamieniłoby je w kamień. Rozplotła warkocz.

Halldor patrzył, jak jej długie włosy tańczą na wietrze. Uśmiechnęła się w odpowiedzi na pytanie, jakie zobaczyła w jego oczach.

— Mam proroctwo do wypełnienia.

Reiko wkroczyła w światło pochodni z rozwianą, dziką fryzurą. Na ramiona zarzuciła płaszcz Halldora.

Jeden z trzymających wartę trolli zauważył ją.

— Hej, lalunia.

Reiko wykrzywiła się w udawanym strachu i jęknęła. Drugi troll wybuchnął śmiechem.

— Raczej nie wygląda na zachwyconą.

Pierwszy troll podszedł bliżej.

— Nie musi.

— Nie róbcie mi krzywdy. Proszę, proszę... – Reiko cofnęła się. Kiedy znalazła się pomiędzy trollami, zarzuciła płaszcz Halldora na głowę pierwszego z nich. Mieczem wypatroszyła drugiego. Osunął się na kolana, podtrzymując wypływające wnętrzności, a Reiko obróciła się ku pierwszemu. Wepchnęła klingę pod okrywający jego głowę płaszcz, głębokim cięciem poniżej szczęki.

Pozostawiając umierających, wkroczyła do wnętrza Warowni. Krzyki kobiet mieszały się z odgłosami rozpusty.

Skupiła się na czekającej ją walce. Trolle będą miały przewagę w masie, ale miała nadzieję, że jej rozum i broń zwyciężą. Skrzywiła się. Wiedziała, że zwycięży. To było z góry przesądzone.

Jeden z trolli ją zauważył. Przyczłapał bliżej. Reiko pokazała mu miecz zbroczony krwią.

— Poznałam waszych wartowników. Może też zatańczymy?

Troll zatrzymał się i wbił w nią wyłupiaste ślepie. Reiko okrążyła go. Skupiła się na nim, ale inny troll, Gnojarcz, pojawił się tuż przed nią.

— Dokąd się wybierasz?

— Jestem tą, której szukasz. Siewczynią Śmierci. Przyszłam po waszego Króla.

Gnojarcz się roześmiał i wyciągnął ku niej rękę, nie zważając na miecz. Zrobiła unik pod jego ramieniem i przyłożyła ostrze do żyły na jego szyi.

— Przyszłam po waszego Króla. Nie po ciebie. Pokaż mi go.

Odskoczyła w tył. Jego ręka powędrowała do szyi, a potem się cofnęła, zakrwawiona.

Od wejścia dobiegał rosnący harmider. Ktoś znalazł wartowników. Reiko skupiła wzrok na Gnojarczy, ale w strefie peryferyjnego widzenia zauważała coraz więcej nadbiegających trolli. Posłyszała odgłos stóp za sobą. Odwróciła się i wbiła ostrze w ramię trolla. Ten zawył i cofnął się. Reiko potrząsnęła głową.

— Przyszłam po waszego Króla.

Zapędzili ją w głąb Warowni. Nie miała szans ich pokonać, ale

gdyby Król zgodził się na pojedynek z nią, to potem zapewne zdołałaby ująć z Warowni z pojmanymi kobietami. Gdy weszła do wielkiej sali, rozległ się szmer głosów; liczba zabitych trolli rosła z każdym nowym szeptem.

Król siedział rozparty na tronie. Obsługiwała go Mara z twarzą czerwoną ze wstydu.

Reiko pozwoliła, by opadł wzbierający w niej gniew.

— Królu Trolli, przybywam, by wyzwąć cię do walki.

Król wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał jak lawina kamieni przetaczająca się przez salę.

— Ty?! Laleczka chce walczyć?

Reiko nie zwracała uwagi na jego słowa.

Był od niej prawie dwukrotnie wyższy. Okrywała go skórzana zbroja, opancerzona prymitywnie kutymi spizowymi łuskami. Na jego brzuchu widać było ciężar obżarstwa, ale na ramionach piętrzyły się góry mięśni. Jeden ich celny cios zabiłby ją niechybnie. Ale musiał też walczyć z siłą grawitacji. Wyprowadzając ruch, potrzebował czasu, aby go ukończyć i zacząć następny.

Reiko podniosła głowę, czekając, aż umilknie jego śmiech.

— Jestem Siewczynią Śmierci. Czy przyjmiesz moje wyzwanie?

– Zmusiła się do uśmiechu. – A może boisz się ze mną zatańczyć?

— Zmieję cię na przecier, laleczko. Zagarnę twoje ziemie i zjem twoje dzieci na śniadanie.

— Jeśli zwyciężysz, będziesz mógł to zrobić. Oto moje warunki: jeśli wygram, uwolnisz wszystkie uwięzione kobiety.

Podniósł się z tronu i schylił ku niej.

— Jeśli wygrasz, nigdy nie postawimy stopy w ludzkich

krajach.

— Czy twoi poddani dochowają tej obietnicy, kiedy będziesz już martwy?

Roześmiał się. Owionął ją odór jego cuchnącego oddechu. Zwrócił się do trolli zebranych w sali:

— Dochowacie?

— Aye – zagrzemiał ryk.

Król Trolli łypnął na nią pożądliwie.

— Jeżeli przegrasz, to zabiję cię dopiero po tym, jak cię wyobracam...

— Niechaj bogowie usłyszą nasze przyrzeczenia. – Reiko przyoblekła swoją zbroję.

Gdy czarne jak noc płyty zbroi zmaterializowały się na jej ciele, Król Trolli wrzasnął:

— Co to jest?

— To? – rzuciła drwiąco. – To tylko zabawka od bogów, żebym mogła lepiej się z tobą zabawiać.

Uśmiechnęła się pod hełmem, gdy Król zrobił młyńca nad głową swoim ciężkim mieczem i zaatakował. Głupi. Reiko unikiem zeszła mu z drogi, wykonując równocześnie obrót.

Cięła mocno w nieosłonięte zbroją miejsce tuż nad jego butem. Ostrze zazgrzytało o kość. Wyszarpnęła miecz, klinga pokryta była krwią jak czerwoną osłoną.

Król Trolli z przeciętym ścięgnem upadł na jedno kolano. Nie czekając, skoczyła mu na plecy i owinęła ramionami jego szyję. „Jak Aya noszona na barana”. Machnął mieczem w powietrzu, próbując ją dosięgnąć. Poderżnęła mu gardło. Jego ryk przeszedł w gulgotanie, gdy krew chlusnęła łukiem, zalewając podłogę.

Zrobiło jej się niedobrze. Wyszepiała mu do ucha:

— Nie zabiłam cię honorowo. Jestem narzędziem bogów.

Pozwoliła, by siła ciężenia obaliła Króla na ziemię przy akompaniamencie wrzasków pozostałych trolli. Zeskoczyła z jego pleców, gdy runął na twarz. Zanim kurz zdążył opaść, wskazała czubkiem miecza najbliższego trolla.

— Wypuść uwięzione kobiety.

Wyprowadziła kobiety na światło świtu. Gdy wyszły z Warowni, Halldor padł na kolana z ramionami wzniesionymi w geście dziękczynienia. Mara zarzuciła mu ręce na szyję, pochlipując.

Reiko nie czuła nic. Dlaczegoż miałyby coś czuć, skoro nie mogła się cieszyć zwycięstwem? Odeszła na bok od grupki płaczących i śpiewających modlitwy kobiet.

Halldor podążył za nią.

— Pani, moje życie już należy do ciebie, ale mój dług wobec ciebie się podwoił.

Przypominał jej zalotnika z bajki, którą opowiadała Ayi na dobranoc. Przyjmował on dary czarownika, nie pytając o cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić. Uklęka i wytarła miecz o mech.

— W takim razie oddaj mi swoje pierworodne dziecko.

Posłyszała, jak oddech uwiązał mu w gardle.

— Skoro taka jest twoja cena...

Reiko podniosła wzrok.

— Nie. To jest cena, jakiej nie zażądam.

Ukląkł obok niej.

— Już wiem, dlaczego nie mogłaś mnie zabić.

— Doskonale – odparła, oglądając miecz. – Kiedy już wypełnisz

swoje przeznaczenie, daj mi znać, żebym mogła to zrobić.

Jego niebieskie oczy błyszczą gorączkowo.

— Moim przeznaczeniem jest zwrócić ci córkę.

Serce Reiko zalały ból i nadzieja. Próbowwała złapać oddech.

— Nie igraj ze mną, oddany sługo.

— Nie igram. Gdy weszłaś do Warowni, jeszcze raz przypomniałem sobie sagi. Powiedziano tam: „Bogowie uderzyli Ayę ognistym ramieniem”. Mogę ją ściągnąć tutaj.

Reiko zanurzyła palce w mchu, zaciskając je w ziemi. Ach, bogowie, mieć tu moją małą córeczkę... zadrżała. Aya nie byłaby już dzieckiem. Nie bawiłyby się w chowanego. „Kiedy dorośli, każde z nich upomniało się o prawa do miecza swej matki...” Ile lat miałyby Aya?

Reiko potrząsnęła głową. Nie mogła tego zrobić swojej córce.

— Chcesz wyrwać także Ayę z jej czasu. Gdyby Nawi nie wygrał, nie doszłoby do Upadku.

— Ale już doszło. – Halldor zmarszczył brwi.

Reiko patrzyła na kobiety i na jałowy krajobraz wokół. Wszystko, co widziała, było skutkiem działań jej syna. A może działania jej syna były wynikiem dokonanych tutaj wyborów? Nie wiedziała, czy to ma jakieś znaczenie. Tryby w mechanizmie bogów się kręciły.

— Czy są jakieś proroctwa na temat Ayi?

Halldor potaknął.

— Jej przeznaczeniem jest...

Reiko położyła mu dłoń na ustach, jakby mogła powstrzymać los.

— Nie mów. – Zamknęła oczy, wciąż trzymając palce na jego

wargach. – Jeżeli ją tu ściągniesz, to przyrzeknij, że jej nie powiesz, iż jej życiem rządzi wola bogów.

Potwierdził skinieniem głowy.

Reiko cofnęła rękę i przyłożyła ją do skroni. Czaszka pękała jej od ciężaru bliskich decyzji. Aya zniknęła już w ogniu. Jeśli Reiko postanowi nie sprowadzać jej tutaj, to dokąd ona się uda?

Oddany sługa klęczał przy niej, czekając na jej postanowienie. Aya nie wybaczy jej wyrwania z czasu, tak samo jak ona nie mogła wybaczyć Halldorowi.

Jego oczy spojrzały ponad jej ramieniem, a potem powróciły do niej. Reiko obróciła się, by podążyć za jego wzrokiem. Mara pocieszała inną dziewczynę. Co kryła przyszłość dla córki Halldora? W tych czasach kobiety najwyraźniej nie odgrywały żadnej roli.

Ale czasy mogą się zmienić. Spojrzawszy na Marę, Reiko wiedziała, jaką drogę dla niej wybrać, gdyby dano jej wolną wolę.

— Sprowadź do mnie Ayę. – Reiko spojrzała na miecz w swojej dłoni. – Na moją córkę czeka jej dziedziczne prawo.

Przetłóżył Jerzy Moderski

N.K. Jemisin

NARKOMANTA



N.K. Jemisin jest autorką z Brooklynu. Jej opowiadania i powieści były wielokrotnie nominowane do nagród Hugo i Nebula i kandydowały do nagród Crawforda i Tiptree. Jemisin zdobyła nagrodę Locusa za najlepszy debiut i nagrodę recenzentów „Romantic Timesa” w gatunku fantasy. Jest również pierwszym zdobywcą grantu Gulliver, przyznawanego przez Speculative Literature Foundation, absolwentką warsztatów Viable Paradise i członkiem grupy literackiej Altered Fluid. Do epopei fantasy jej autorstwa należą Sto Tysięcy Królestw i inne książki z „Trylogii Dziedzictwa” oraz dylogia „Sen o krwi”, na którą składają się Zabójczy księżyc i Mroczne słońce. Akcja prezentowanego tu opowiadania rozgrywa się w tym samym świecie.

Wkraju Gujaareh powiadano, że nieszczęścia chodzą parami. Cztery kolorowe pasy znaczyły oblicze Śniącej Luny; wielka rzeka rozdzielała się na cztery odnogi; w roku były cztery zbiory; cztery humory krążyły w żywych rzekach ludzkiego ciała. Natomiast jakakolwiek dwójka znaczyła nieuchronny konflikt: dwa ogiery albo dwa lwy w stadzie. Bliźnięta. Płcie.

Podwójny kłopot zbieracza Ceta objawił się w postaci dwóch kobiet. Pierwszą była kobieta z kasty wieśniaczej poraniona przez rozjuszzonego byka. Połowa jej głowy została zmiażdżona kopytami. Nawet dawcy, którzy potrafili zdziałać cuda za pomocą leczniczej magii Bogini, w tym wypadku byli bezradni.

— Możemy wyhodować jej nową głowę – powiedział jeden ze starszych dawców – ale nie potrafimy włożyć do niej z powrotem wspomnień jej życia. Lepiej byłoby przeznaczyć jej krew dla innych, a duszę odesłać tam, dokąd jej umysł już odszedł.

Kiedy jednak Cet przybył do Sali Błogosławieństw, aby

zatroszczyć się o tę kobietę, trafił na scenę zupełnego chaosu. Troje piszczących dzieci wilo się w ramionach jakiegoś Wartownika, przeszkadzając mu, gdy próbował wesprzeć swoich kolegów. Młody człowiek obok usiłował ominąć dwóch dawców, aby rzucić się na trzeciego, którego najwyraźniej obwiniał za stan swojej żony.

— Nawet nie próbowałeś! – krzyczał, a jego słowa trudno było zrozumieć poprzez łkania. – Jak moja żona ma przeżyć, skoro nawet nie spróbowałeś?

Uderzył jednego z dawców łokciem w pierś i niemal mu się wyrwał, ale drugi skoczył mu na plecy i prawie przewrócił go na podłogę. Młody mężczyzna walczył jednak z maniakalną furią, a w jego oczach była żądza mordy. Żaden z nich nie zauważył Ceta, dopóki ten nie stanął z mężczyzną twarzą w twarz, unosząc swój kamień jungissy.

Zaskoczony mężczyzna przestał walczyć, a jego uwagę przyciągnął kamień. Był wyrzeźbiony w kształt ważki; kontury jej czarnych skrzydeł rozmyły się, gdy Cet stuknął mocno w kamień paznokciem kciuka. Rozległo się ostre brzęczenie, które wzbiło się ponad wypełniającą salę kakofonię, aż dzieci przestały płakać i rozejrzały się, szukając źródła hałasu. Gdy został przywrócony spokój, Cet złagodził wibrację kamienia, z którego wydobywał się teraz niski, delikatny szum. Mężczyzna zgiął się, gdy napięcie opuściło jego ciało, po czym opadł bezwładny w ramiona dwóch dawców.

— Wiesz, że ona już nie żyje – powiedział do niego Cet. – I że trzeba to zrobić.

Przez oblicze mężczyzny przebiegł skurcz strachu.

— Nie. Ona oddycha. Jej serce bije. – Wymawiał słowa niewyraźnie, jak pijany. – Nie.

— Brak zgody niczego tu nie zmieni. Wzór jej duszy został utracony. Gdyby nawet została wyleczona, musiałbyś uczyć ją wszystkiego od początku, jak jedno z twoich dzieci. Uczynienie jej potem żoną byłoby zgorzeniem.

Mężczyzna znowu zaczął płakać, ale tym razem spokojnie. Już się nie szamotał, a gdy Cet go okrążył, aby podejść do jego żony, jęknął tylko i odwrócił głowę.

Cet ukląkł obok pryczy, na której leżała kobieta, i przytknął palce wskazujący i środkowy do jej zamkniętych powiek. Przebywała już w świecie zawieszonym pomiędzy jawą i snem i nie było potrzeby usypiania jej za pomocą kamienia jungissy. Podążył za nią w milczący mrok i przyjrzał się jej duszy, szukając w niej jakichkolwiek śladów mogących budzić nadzieję. Ale dusza kobiety była rzeczywiście jak dusza dziecka, delikatna i wyzbyta wszystkiego poza najprostszymi pragnieniami i uczuciami. Zwykły nacisk woli Ceta wystarczył, by posłać ją do krainy snów, gdzie z pewnością rozpuści się w substancji tej sfery, a być może w końcu się odrodzi, aby znów powrócić do świata jawy i odzyskać utracone doświadczenia.

Tak czy inaczej, jej los nie zależał już od Ceta. Uwolniwszy bezpiecznie jej duszę, przerwał więź łączącą ją ze światem jawy, po czym zebrał delikatną senną krew, która wypłynęła obficie.

Płacz, który powitał Ceta po jego powrocie do świata jawy, był innej natury niż poprzednio. Cet z satysfakcją zauważył, że mężczyzna przytulił swoje dzieci, które patrzyły z płaczem, jak ostatni oddech opuścił ciało kobiety. Wciąż byli zrozpaczeni, ale

nie miotali się już w gniewie; jego miejsce zajął ten rodzaj smutku, który przejawiał się dzięki miłości i ostatecznie miał przynieść im uzdrowienie.

— Dobra robota – odezwał się za nim niski głos, a Cet odnalazł spojrzeniem zwierzchnika Świątyni. Dopiero ponieważ zorientował się, że to zwierzchnik był obiektem ataku zrozpaczonego małżonka. Cet tak bardzo skupił się na rodzinie, że go nie zauważył. – Daleś im pokój bez rozlewania sennej krwi – ciągnął dalej zwierzchnik. – Doprawdy, zbieraczu Cecie, nasza Bogini wielce ci sprzyja.

Cet powstał, wzdychając głęboko, w miarę jak ustępowała w nim powoli senność po dokonanych zbieraniu.

— Sala została jednak sprofanowana – powiedział. Podniósł wzrok na górujący nad nimi ogromny, świetlisty posąg Śniącej Bogini z rozpostartymi w powitalnym geście ramionami i oczyma zamkniętymi w Wiekuistym Śnie. – Podniesiono głos i sięgnięto do przemocy właśnie tutaj, u Jej stóp.

— Z...zwierzchniku? – Obok ramienia mężczyzny pojawił się chłopiec, zbyt młody na ucznia. Jeden z adoptowanych przez Świątynię dzieciaków z Dziecięcego Domu, pracujący zapewne jako dyżurny posłaniec. – Czy nie stało ci się nic złego? Widziałem, jak ten człowiek...

Zwierzchnik uśmiechnął się do niego.

— Nie, moje dziecko, wszystko w porządku, dziękuję. Wracaj do Domu, zanim twój nauczyciel zacznie cię szukać.

Chłopiec pobiegł, najwyraźniej uspokojony. Zwierzchnik westchnął, patrząc za nim.

— W takich czasach należy się spodziewać pewnego chaosu.

Serce rzadko zaznaje uspokojenia. – Posłał Cetowi błady uśmiech.
– Choć ty, oczywiście, nie znasz tego, zbieraczu.

— Pamiętam jeszcze czasy sprzed mojej przysięgi.

— To nie to samo.

Cet wzruszył ramionami, patrząc na pogrążoną w żałobie rodzinę.

— Komfort czerpię teraz ze spokoju i porządku życia w Świątyni. To wystarcza.

Zwierzchnik popatrzył na niego dziwnie przez chwilę.

— No tak, obawiam się, że będę musiał prosić cię o porzucenie tego komfortu na jakiś czas. Zechciałbyś przejść ze mną teraz do mojego biura? Mam sprawę wymagającą uwagi zbieracza, i to takiego, który ma szczególną zdolność obdarzania pokojem.

I w taki oto sposób przybył Cetowi drugi kłopot.

Czwórka ludzi stojących w biurze zwierzchnika żyła w górze rzeki. Cet mógł to ocenić po ich obskurnym ubraniu, zupełnym braku biżuterii i szminki na twarzach; nawet najubożsi mieszkańcy miasta nie wyglądali tak nędznie. I żaden z tutejszych nie odważyłby się chodzić bez sandałów po brukowanych cegłą ulicach, które w południe nagrzewały się tak, że boleśnie parzyły w stopy. A jednak kobieta stojąca na czele tej grupki, z biżuterią czy bez, odznaczała się dumną postawą osoby nawykłej do okazywanego jej posłuchu i szacunku. Gdy zwierzchnik z Cetem weszli do pomieszczenia, trzech towarzyszący kobiecie mężczyźni kryli się trwożliwie za jej plecami.

— Cecie, to jest Mehepi – powiedział zwierzchnik, wskazując na kobietę. – Ona i jej towarzysze pochodzą z górniczej wioski,

leżącej kawałek stąd na południe, u podnóża wzgórz na granicy z Pustym Tysiācem. Mehepi, przyprowadzam ci Ceta, jednego ze zbieraczy Świątyni.

Oczy Mehepi otworzyły się szeroko w sposób, jaki zapewne rozbawiłyby Ceta, gdyby tylko był on zdolny do rozbawienia. Z pewnością spodziewała się czegoś więcej po sławnych zbieraczach z Gujaarehu, być może kogoś wyższego. Opanowała się jednak szybko i wykonała pełen szacunku ukłon.

— Pozdrawiam cię w pokoju, zbieraczu – powiedziała – choć przynoszę niepokojące wieści.

Cet skłonił głowę.

— Wieści o... – Przerwał, zaskoczony, gdy jego oczy złowiły lekkie poruszenie w zacięnionej części pomieszczenia.

W pewnej odległości od Mehepi i pozostałych klęczała na poduszce młodsza kobieta. Była tak spokojna, że gdyby nie jej oddech, Cet z pewnością by ją przeoczył, choć teraz wydało mu się dziwne, że mógł jej nie zauważyć. Bogaci mężczyźni potrafili nabywać rzeźby o ustach mniej pociągających i kościach mniej kształtnych, nawet słodkie rodzyunki nie były tak kusząco czarne jak jej skóra. Choć pozostali patrzyli na Ceta, jej oczy były opuszczone, a ciało nieporuszone pod fałdami szaty o barwie indygo. Indygo: kolor żałoby. Mehepi także go nosiła.

— Co to znaczy? – Cet wskazał młodszą kobietę ruchem głowy.

Czyżby dostrzegł w oczach Mehepi zażenowanie? Z pewnością był to jakiś odruch obronny.

— Powiedziano nam, że Świątynia udziela pomocy tylko tym, którzy postępują zgodnie z nakazami Śniācej Bogini – powiedziała. – Nie mamy pieniędzy na ofiarę, zbieraczu, i żadne

z nas nie ofiarowało w minionym roku żadnych snów ani dóbr...

— Przeprowadziliście ją jako zapłatę – nagle zrozumiał Cet.

— Nie, nie jako zapłatę... – Choć Mehepi nawet się nie zająknęła, to jej zachowanie zdradzało wyraźnie, że było to kłamstwo.

— Wyjaśnij więc – jego głos zabrzmiał ostrzej, niż być może Cet zamierzał – dlaczego ona siedzi osobno, z dala od was?

Wieśniacy spojrzeli po sobie. Zanim jednak któryś z nich się odezwał, młodsza kobieta powiedziała:

— Bo jestem przeklęta, zbieraczu.

Zwierzchnik Świątyni zmarszczył brwi.

— Przeklęta? Czyżby to był jakiś przesąd wyznawany w górze rzeki?

Cet pomyślał zrazu, że duch tej kobiety został złamany, co można było wywnioskować po jej znieruchomieniu i spojrzeniu wbitym w podłogę. Teraz jednak podniosła oczy i Cet uświadomił sobie, że o złamaniu nie może być mowy. Była w niej rozpacz, co łatwo dawało się wyczuć, ale też coś jeszcze.

— Byłam żoną handlarza lazurytu – powiedziała. – Kiedy umarł, naczelnik wioski wziął mnie do siebie jako drugą żonę. Teraz on nie żyje i obwiniają o to mnie.

— Jest niepłodna! – odezwał się jeden z wieśniaków. – Dwóch mężów i wciąż bez dziecka? Mehepi, ta tutaj, jest pierwszą żoną...

— Wszystkie moje dzieci urodziły się martwe – wtrąciła się Mehepi, jakby na ich wspomnienie dotykając swego brzucha. To przynajmniej było prawdą, podobnie jak jej cierpienie. Przestała tak bardzo irytować Ceta. – To dlatego mój mąż wziął drugą żonę. I właśnie wtedy moje ostatnie dziecko urodziło się żywe. Cała

wioska się cieszyła! Ale następnego dnia dziecko przestało oddychać. Kilka dni później przyszli zbójcy. – Na jej twarzy odmalował się gniew. – Zabili mojego męża, gdy ona spała przy nim. A potem zabawili się z nią, ale nawet pomimo to nie ma dziecka. – Mehepi potrząsnęła głową. – Żeby tyle śmierci szło za jedną kobietą i samo życie ją odrzucało? Czy może to być coś innego niż klątwa? Dlatego więc... – Rzuciła spojrzenie na Ceta, a potem się wyprostowała. – Dlatego pomyśleliśmy, że może przyda ci się na coś, zbieraczu. W końcu śmierć to twoja sprawa.

— Śmierć nie jest sprawą zbieracza – odparł Cet. Czy ta kobieta rozumie, jak bardzo obraziła jego i jego pobratymców? Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuł, jak w jego sercu wzbiera gniew. – Pokój jest naszą sprawą. Dawcy go udzielają, lecząc ciało. Zbieracze zajmują się duszą, osądzając tych, którzy są zbyt zdeprawowani lub zbyt uszkodzeni, żeby ich ratować, i zapewniają im błogosławieństwo Bogini...

— Gdybyście lepiej uczyli się waszych katechizmów, to z pewnością byście to rozumieli – przerwał delikatnie zwierzchnik. Posłał Cetowi łagodne spojrzenie, niewątpliwie po to, by mu uświadomić, że nie można oczekiwać więcej od ciemnych wieśniaków. – I wiedzielibyście też, że nie ma potrzeby płacenia. W sytuacjach takich jak ta, gdy zagrożony jest pokój wielu ludzi, niesienie pomocy jest powinnością Świętyni.

Mężczyźni wyglądali na speszonych; Mehepi zacisnęła szczęki, usłyszawszy to napomnienie. Zwierzchnik z westchnieniem rzucił okiem na notatki, jakie porobił na trzciniowym arkuszu.

— No właśnie, Cet. Problemem są ci zbójcy, o których wspomniała. W ciągu ostatnich trzech obrotów wielkiego

księżycyca ich wieś oraz kilka innych leżących wzdłuż Pustego Tysiąca padły ofiarą zadziwiającej serii napadów. Wszyscy we wsi zasypiali, nawet ludzie stojący na czatach, a gdy się budzili, ich dobytku nie było. Znikały zapasy żywności, żywy inwentarz, parę cennych kamieni wydobytych w kopalni. Znikały także dzieci, niewątpliwie zostały sprzedane nadgranicznym plemionom trudniącym się handlem niewolnikami. Jak słyszałeś, niektóre kobiety i młodociani byli wykorzystywani cieleśnie. Niektórzy zaś, jak naczelnik wioski i strażnicy, byli mordowani, zapewne po to, by osłabić zdolności obronne wsi w późniejszym czasie. Podczas tych napadów nikt się nie obudził.

Cet odetchnął głęboko, zapominając o swoim gniewie.

— Zakłęcie snu? Przecież narkomancję wykorzystuje tylko Świątynia.

— Trudno powiedzieć – odparł zwierzchnik. – Sądząc jednak po naturze tych ataków, wydaje się oczywiste, że powinniśmy pomóc. Magię najlepiej zwalczać magią – mówiąc to, patrzył na Ceta.

Cet przytaknął, tłumiąc westchnienie. Miałby prawo zasugerować, żeby któryś z młodszych współpraci-zbieraczy – choćby najmłodszy Liyou – zajął się tym zamiast niego. A jednak po wszystkich jego wypowiedziach o pokoju i powinnościach trąciłoby to hipokryzją. No i... wbrew swojej woli ponownie spojrzał na młodszą kobietę. Jeszcze raz spuściła oczy, trzymając dłonie splecione na kolanach. W jej bezruchu nie było jednak spokoju.

— Będziemy potrzebowali uzdrawiacza dusz – stwierdził łagodnie Cet. – Chodzi tu o coś więcej niż tylko nadużycie magii.

Zwierzchnik westchnął.

— A zatem któraś Siostra. Zaraz napiszę do Matriarchy.

Siostry były odgałęzieniem ich wyznania, trwając ze Sługami Hananji w niełatwym współistnieniu. Cet wiedział, że zwierzchnik nigdy ich nie lubił.

Posłał mu smutny uśmiech.

— Wszystko dla Jej pokoju. – On też ich nie lubił.

Wyruszyli tego samego popołudnia: pięcioro wieśniaków, dwóch wojowników będących wartownikami Świątyni oraz Siostra z zakonu Bogini. Ta ostatnia przybyła na nabrzeże rzeki bez eskorty tuż przed wyruszeniem w drogę i była gorsza, niż Cet się obawiał – wysoka i władcza w obejściu, ubrana w bladozłote szaty i woal będący znakiem wysokiej rangi piastowanej przez nią w zakonie. Oznaczało to, że Siostra opanowała najtrudniejsze techniki erotycznego śnienia wiążące się z umiejętnością wpływania na stan duszy i subtelne procesy ciała. Niezwykle stworzenie. Największym jednak problemem w oczach Ceta był fakt, że Siostra była płci męskiej.

— Czy posłaniec nie wyjaśnił sytuacji? – zapytał Cet Siostrę przy pierwszej okazji. Zadał to pytanie swobodnym tonem. Płynęli barką z baldachimem, wystarczająco dużą, by pomieścić całą ich grupkę wraz z załogą kierującą barką za pomocą żerdzi odpychanych od dna. Nie była ona jednak dość duża, by zmieścić uczucie niechęci, jakie zrodziło się między nim a Siostrą.

Siostra, nosząca imię Ginnem, rozciągnęła się na ławce, którą zaanektowała wyłącznie dla siebie.

— Zbieracze... zawsze tacy taktowni.

Cet hamował się, by nie zgrzytać zębami.

— Nie możesz zaprzeczyć, że jakaś inna Siostra, kobieta, pasowałaby lepiej do stojącego przed nami zadania.

— Być może – odparł Ginnem z uśmiechem, który mówił wyraźnie, że jego zdaniem nikt nie nadaje się do tego zadania lepiej niż on. – Lecz popatrz. – Omiótł spojrzeniem piątkę wieśniaków zajmującą drugą stronę barki. Trzej mężczyźni siedzieli na jednej ławce naprzeciwko pierwszej żony. Trzy ławki dalej siedziała samotnie młoda kobieta. – Ona ucierpiała zarówno ze strony mężczyzn, jak i kobiet. Czy sądzisz, że moja płeć sprawia tu jakąkolwiek różnicę?

— Została zgwałcona przez mężczyzn – odparł Cet.

— A teraz niszczy ją kobieta. Pierwsza żona wyraźnie chce jej śmierci, nie widzisz tego? – Ginnem potrząsnął głową, dzwoniąc wplecionymi w warkocze maleńkimi dzwoneczkami. – Gdyby nie to, że postanowiła wplątać Świątynię w sprawę zbójców, to już wcześniej znalazłaby jakiś cichy sposób usunięcia jej. A dlaczego uważasz, że tylko kobieta może coś wiedzieć o gwałcie?

— Wybacz mi. Nie sądziłem... – zaczął Cet.

— To było dawno temu. – Ginnem wzruszył szerokimi ramionami. – Kiedy byłem żołnierzem, w innym życiu.

Zdumienie musiało odmalować się na twarzy Ceta tak wyraźnie, że Ginnem wybuchnął śmiechem.

— Tak, urodziłem się w kaście żołnierskiej – powiedział. – Dosłużyłem się nawet całkiem wysokiej rangi, zanim poczułem powołanie, by zostać Siostrą. Ale wciąż mam wiele starych nawyków. – Podwinął rękaw, żeby pokazać przypasaną do przedramienia pochwę z nożem, a potem ukrył ją tak prędko, że nikt oprócz Ceta tego nie zauważył. – Jak widzisz, jest więcej niż

jeden powód, dla którego zakon wysłał właśnie mnie.

Cet powoli skinął głową, wciąż bezskutecznie próbując wypracować sobie jasną opinię na temat Ginnema. Męskie Siostry były rzadkością. Zastanawiał się, czy wszystkie są takie dziwne.

— No to jest nas czterech do walki. Dobrze.

— Och, na mnie nie licz – odparł Ginnem. – Moje żołnierskie dni dawno już minęły, teraz walczę tylko wtedy, gdy to konieczne. I spodziewam się, że będę miał pełne ręce roboty, wypełniając inne powinności. – Ginnem raz jeszcze spojrzał poważnie na młodą kobietę. – Ktoś powinien z nią porozmawiać.

Rzekłszy to, skierował na Ceta podkreślone proszkiem antymonowym oczy.

Gdy Cet postanowił podejść do młodej kobiety, zapadła już noc, wilgotna i gęsta. Jej towarzysze leżeli bez ruchu na siennikach, które załoga rozłożyła na pokładzie. Jeden z wartowników już spał, drugi stał na dziobie obok wachtowego.

Kobieta wciąż siedziała na swojej ławce. Cet obserwował ją przez chwilę, zastanawiając się, czy uspił ją plusk wody i widok przesuwających się monotonnie palm, lecz właśnie wtedy uniosła rękę, aby odpędzić natrętną ćmę. Rzuciwszy okiem na Ginnema, który pochrapywał lekko na swojej ławce, Cet się podniósł i podszedł, aby usiąść obok kobiety. Jej wzrok był zatopiony w jakimś śnie na jawie, ale gdy Cet usiadł przy niej, bardzo szybko spojrzała przytomnie.

— Jak masz na imię? – spytał.

— Namsut. – Miała niski i ciepły głos ze śladem południowego akcentu.

— Ja jestem Cet.

— Zbieracz Cet.

— Czy mój tytuł cię niepokoi?

Potrząsnęła głową.

— Dajesz pokój tym, którzy cierpią. Do tego trzeba mieć dobre serce.

Cet uśmiechnął się zaskoczony.

— Nawet pośród najbardziej żarliwych wyznawców Bogini tylko nieliczni dostrzegają coś więcej niż śmierć, którą przynoszę. A jeszcze mniej jest takich, którzy nazwali mnie dobrym. Dziękuję.

Pokręciła głową, wpatrując się w przepływającą wodę.

— Nikt z tych, którzy poznali cierpienie, nie pomyśli o tobie źle, zbieraczu.

Dwukrotnie owdowiała, zgwałcona, odrzucona... Próbował wyobrazić sobie jej ból, ale nie potrafił. Ta niemożność sprawiła, że nagle poczuł się zmieszany.

— Znajdę zbójców, którzy cię skrzywdzili – powiedział, aby pokryć zakłopotanie. – Dopilnuję, aby ich zło zostało wykorzenione ze świata.

Ku jego zdumieniu jej wzrok stał się niespodziewanie twardy jak stal, choć ton głosu pozostał łagodny.

— Nie zrobili mi nic takiego, czego przedtem nie uczynili już moi mężowie – odrzekła. – A przedtem swaci, a przed nimi wierzyciele mego męża. Czy na nich wszystkich zapolujesz? – Pokręciła głową. – Zabij zbójców, ale nie ze względu na mnie.

W żadnym razie nie była to odpowiedź, jakiej Cet oczekiwał. Poczul takie pomieszanie, że wybełkotał pierwsze pytanie, jakie

przyszło mu do głowy:

— Co zatem mogę dla ciebie zrobić?

Uśmiech Namsut wprowadził go w jeszcze większe osłupienie. Nie był gorzki, ale nie był też miły. Był to uśmiech gniewu, zrozumiał wreszcie. Czystego, grzecznie skrywanego, zgrzytającego zębami gniewu.

— Daj mi dziecko – powiedziała.

Rankiem Cet opowiedział Ginnemowi o życzeniu kobiety.

— W wioskach w górze rzeki żona naczelnika rządzi, gdy naczelnik umiera – wyjaśnił, kiedy złamali post. – To tradycja, zdaniem Namsut. Ale osoba stojąca na czele wioski, kobieta czy mężczyzna, musi udowodnić, że ma poparcie bogów. Namsut twierdzi, że płodność jest jednym z takich dowodów.

Ginnem zmarszczył brwi, rozgryzając z namysłem daktyl. Grupa kobiet na brzegu robiła pranie w rzece, śpiewając podczas pracy rytmiczną piosenkę.

— To wiele wyjaśnia – powiedział wreszcie. – Mehepi wykazała się przynajmniej zdolnością do zajścia w ciążę, ale po tylu martwych dzieciach wioska musi się zastanawiać, czy ona też nie jest przeklęta. A ponieważ posiadanie kochanka kapłana również może zapewnić przychylność bogów, to już wiem, dlaczego Mehepi zerkała na mnie tak chytrze.

Cet poczuł, że się rumieni.

— Uważasz, że ona chce... – Sięgnął po daktyl, żeby ukryć zakłopotanie. – Od ciebie?

Ginnem uśmiechnął się.

— A czemu nie? Czy brak mi urody? – Urządził pokaz potrząsania włosami, wprowadzając w ruch małe dzwoneczki.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi – powiedział Cet, patrząc z zażenowaniem. Niektórzy z pozostałych pasażerów spojrzeli w ich stronę, słysząc dzwonki we włosach Ginnema, ale żaden nie był dość blisko, żeby ich podsłuchać.

— Tak, i smuci mnie, gdy widzę, jak cię to porusza – rzucił Ginnem, nagle poważniejąc. – Seks, zbieraczu Cet. Oto słowo, którego nie ośmielisz się wymówić, prawda? – Gdy Cet nic na to nie odpowiedział, Ginnem westchnął poirytowany. – No dobrze, nie będę ci jednak pomagał go unikać, choćbyście ty i twoi pobratymcy nie wiem jak się przed nim bronili. Jestem Siostrą Bogini. Używam narkomancji, a kiedy trzeba, to i owszem, również ciała, aby leczyć te zranione dusze, które można jeszcze uleczyć. Nie jest to mniej świątobliwe od tego, co ty robisz dla tych, którzy nie mogą być uleczeni, zbieraczu. Weź też pod uwagę, że ci, którzy zwracają się do mnie, nie umierają, gdy skończę!

Miał rację. Cet skłonił się ze spuszczonej oczyma, wyrażając skruchę. Gest ten najwyraźniej rozbroił Ginnema, który westchnął.

— No dobrze. Nie, Mehepi nie zaczepiała mnie – stwierdził – ale nie miała w końcu zbyt wiele czasu z trzema tak zawziętymi konkurentami... – Nagle wstrzymał oddech. – Ach, no tak, teraz rozumiem. Myślałem z początku, że to zwykła sprawa ze starszą żoną, która knuje przeciwko drugiej, słabszej. Ale to jest coś więcej... to wyścig. Która z tych dwóch kobiet pierwsza urodzi zdrowe dziecko, ta będzie rządzić wioską.

Cet zmarszczył brwi, jeszcze raz zerkając na młodszą kobietę. W końcu pozwoliła sobie na sen, opierając się o jeden ze słupów

baldachim i kładąc stopy na ławce. Tylko we śnie jej twarz była spokojna, zauważył. Była dzięki temu nawet piękniejsza, choć Cet nie przypuszczał, że to możliwe.

— To nierówna rywalizacja – powiedział. Spojrzał na naczelniczkę Mehepi, a raczej na kobietę odgrywającą tę rolę tylko z racji swego starszeństwa. Wciąż spała na jednym z sienników, wtulona między dwóch swoich mężczyzn. – Tu trzech kochanków, a tam żadnego.

— Tak. – Ginnem się skrzywił. – Ta sprawa z przekleństwem wymagała od Mehepi sporej dozy sprytu. Teraz żaden mężczyzna nie dotknie drugiej żony z obawy, że klątwa przejdzie na niego.

— To się wydaje niesprawiedliwe, że musi znieść pożądanie jeszcze jednego mężczyzny, aby przeżyć – rzekł Cet łagodnie, zerkając na Namsut.

— Dorastałeś w mieście, prawda? – A gdy Cet potwierdził skinieniem, Ginnem ciągnął: – Tak sobie właśnie pomyślałem. Wieś, w której się urodziłem, leżała bliżej miasta i miała z pewnością więcej szczęścia niż wioska tych ludzi, ale niektóre zwyczaje są wspólne dla wszystkich takich zaścianków. Każde dziecko jest tam bogactwem, jak zobaczysz. To nowy górnik, nowe silne barki w gospodarstwie, kolejne oko wypatrujące wrogów. Kobietę poważa się ze względu na dzieci, które rodzi, i tak być powinno. Ale nie daj się zwieść, zbieraczu: to jest rywalizacja o władzę. Druga żona mogła opuścić wioskę. Mogła poprosić zwierzchnika twojej Świątyni o azyl. Wraca tam z własnego wyboru.

Cet ze zmarszczonym czołem zastanawiał się nad tą interpretacją. Nie wydawała mu się słuszna.

— Mój ojciec był handlarzem koni – powiedział. Ginnem uniósł brew, słysząc tę oczywistą nielogiczność. Cet wzruszył lekko ramionami w geście przeproszenia. – Niezbyt dobrym. Kiepsko opiekował się swoimi zwierzętami i próbował wycisnąć z nich tyle zysku, ile tylko się dało.

Nawet po tylu latach Cet czuł wstyd, mówiąc o swoim ojcu, bo w ten sposób każdy mógł odgadnąć, jakie było jego dzieciństwo. Człowiek tak niedbający o swój inwentarz nie mógł wykazywać się dbałością o potomstwo. Dostrzegł, jak wniosek ten wypływa na twarz Ginnema, lecz poczuł ulgę, gdy Ginnem po prostu skinął głową, by Cet mówił dalej.

— Kiedyś mój ojciec sprzedał konia – schorowane, na poły zagłodzone stworzenie – pewnemu człowiekowi tak znanemu z okrucieństwa, że żaden handlarz w mieście nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Zanim jednak człowiek ten zdołał zwierzę osiodłać, koń zarżał rozpaczliwie i skoczył do rzeki. Mógł dopłynąć z powrotem do brzegu, ale to oznaczałoby powtórne pojmanie. Popłynął więc w przeciwną stronę, na głębie, gdzie w końcu porwał go nurt.

Ginnem posłał Cetowi sceptyczne spojrzenie.

— Myślisz, że druga żona chce, żeby ludność wioski ją zabiła?

Cet potrząsnął głową.

— Koń nie utonął. Widziałem go, zanim zniknął mi z oczu, jak płynął z prądem z wysoko uniesionym łbem, na spotkanie nieznanego losu, jaki czekał na niego w dole rzeki. Zapewne utonął później albo pożarły go drapieżniki. Ale co, jeśli przetrwał tę podróż i do dzisiaj biega wolny po jakichś dalekich pastwiskach? Czy nie byłaby to nagroda warta tak wielkiego

ryzyka?

— Ach, wszystko albo nic: wygraj lepsze życie lub zgiń, próbując. – Oczy Ginnema zwęziły się, gdy patrzył z zastanowieniem na Ceta. – Jak widzę, dobrze rozumiesz drugą żonę.

— Szanuję ją. – Cet cofnął się, nagle zdenerwowany sposobem, w jaki Ginnem mu się przyglądał.

— Uważasz, że jest piękna?

— Nie jestem ślepy – odparł Cet, zachowując tyle godności, ile było możliwe.

Ginnem zmierzył Ceta spojrzeniem z góry na dół w sposób, jaki boleśnie przypominał Cetowi zachowania klientów ojca.

— Jesteś niczego sobie – powiedział ze słyszalną nutką lubieżności w głosie. – Przystojny, zdrowy, inteligentny. Niezbyt wysoki, ale to bez znaczenia, jeśli jej nie przeszkadza drobne dziecko...

— Zbieracz należy całym sobą do Bogini – odrzekł Cet, pochylając się bliżej, żeby inni nie dosłyszeli braku aprobaty w jego głosie. – Taką przysięgę złożyłem, wybierając tę drogę. Celibat...

— Ma drugorzędne znaczenie w obliczu twojej misji, zbieraczu – równie poważnym tonem odparł Ginnem. – Obowiązkiem każdego kapłana Śniącej Bogini jest niesienie pokoju. Możemy zaprowadzić pokój w tej wiosce na dwa sposoby, kiedy już uporamy się ze zbrojcami. Jednym sposobem jest pozwolenie Mehepi, by zachęciła ludność do zabicia lub wygnania drugiej żony. Drugi sposób polega na daniu tej drugiej szansy, by po raz pierwszy zapanowała nad swoim życiem. Który sposób

wybierasz?

— Są też inne drogi – szepnął Cet niespokojnie. – Muszą być. Ginnem wzruszył ramionami.

— Gdyby miała jakikolwiek talent do śnienia, mogłaby wstąpić do mojego zakonu. Nie widzę u niej jednak nawet śladu powołania.

— Mimo wszystko możesz jej to zaproponować.

— Hmm... – mruknął Ginnem wymijająco. Obrócił się, by spojrzeć na Namsut. – Ten koń, o którym opowiadałeś... Gdybyś mógł wtedy pomóc mu w ucieczce, to czy zrobiłbyś to? Nawet gdyby miało to ściągnąć na ciebie gniew właściciela i twojego ojca?

Cet wzdrygnął się, zbyt wytrącony z równowagi, by odpowiedzieć. Spojrzenie Ginnema ponownie spoczęło na nim.

— Jak ten koń się uwolnił, Cet?

Cet zacisnął szczęki.

— Muszę trochę odpocząć. Czeka nas jeszcze długa podróż.

— Śnij dobrze – rzucił Ginnem.

Cet odwrócił się i położył, ale jeszcze długo czuł na sobie wzrok Ginnema.

Gdy Cet zapadł w sen, śnił o Namsut.

Kraina snów była nieskończona, podobnie jak umysł Bogini, który ją zawierał. I choć każda dusza wędrowała tam we śnie, rzadko się zdarzało, by dwie dusze tam się spotkały. Najczęściej spotykani w snach ludzie byli zjawami – wytworem umysłu śniącego, nie bardziej rzeczywistym niż palmy i ciche oazy, które pojawiły się w sennym kształcie wokół Ceta. Ale rzeczywista czy nie, siedziała tam też na głazie Namsut, patrząc w wodę, a jej

szata w kolorze indygo powiewała na suchym, gorącym wietrze pustyni.

— Chciałabym być tobą – powiedziała, nie odwracając oczu od wody. Jej głos był szeptem, usta się nie poruszały. – Takim silnym, szczerym, pełnym dobroci zabójcą. Czy twoje ofiary czują to, co ty czujesz?

— Ty nie pragniesz ani nie potrzebujesz śmierci – odrzekł Cet.

— Prawda. To szaleństwo, ale pragnę żyć. – Jej obraz rozmył się na chwilę, gdy nałożył się nań widok długonogiej dziewczynki o takich samych gniewnych oczach. – Miałam dziewięć lat, gdy po raz pierwszy posiadł mnie mężczyzna. Moi rodzice byli bardzo rozgniewani i bardzo się wstydzieli. Z mojego powodu poczuli się bezradni. Powinnam była umrzeć już wtedy.

— Nie – powiedział spokojnie Cet. – Grzechy innych to nie twoja wina.

— Wiem o tym.

Znienacka coś wielkiego i ciemnego przemknęło pod powierzchnią wody, leniwie zataczając koło. Odzwierciedlenie jej gniewu, w oazach bowiem nie ma ryb. To coś, podobnie jak jej gniew, nie wynurzało się na powierzchnię. Cetowi wydało się to fascynujące i niepokojące zarazem.

— Czy wiesz, jak działa magia, którą wykorzystuję? – zapytał.

— Senny ichor z nonsensownych snów – odparła. – Nasienie snów z mokrych marzeń, senna żółć z koszmarów, senna krew z ostatniego snu przed śmiercią. Cztery humory duszy.

Skinął głową.

— Senna krew jest tym, co zbierają zbieracze. Ma moc usuwania bólu i uciszania uczuć. – Podszedł bliżej, ale jej nie

dotknął. – Jeśli twoje serce cierpi, mogę podzielić się z tobą senną krwią choćby teraz.

Potrząsnęła głową.

— Nie chcę, byś usuwał mój ból. On daje mi siłę. – Odwróciła się i spojrzała na niego. – Czy dasz mi dziecko, zbieraczu?

Westchnął, a niebo nad jego głową wydało się ciemniejsze.

— To nie nasz sposób. Siostra... nasienie snów jest jego specjalnością. Może...

— Ginnem nie ma twoich dobrych oczu. Ani twój pobratymca wartownik. Ty, zbieraczu Cecie. Jeśli mam nosić dziecko, to chcę, żeby było twoje.

Chmury zaczęły gnać po pustynnym niebie jak oszalałe abstrakcje, a niektóre tworzyły dobitne erotyczne kształty. Cet przymknął oczy, czując przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz.

— To nie nasz sposób – powtórzył, ale w jego głosie zabrzmiało wahanie, którego nie zdołał całkiem ukryć.

Usłyszał w jej głosie uśmiech.

— I to są te uspokojone magią uczucia, zbieraczu? Wydają się całkiem żywe.

Zmusił się do odwrócenia od niej swoich myśli, aby już więcej nie burzyły jego wewnętrznego spokoju. Czy coś było z nim nie tak? Czystą siłą woli uciszył niepokój w sercu i otworzywszy oczy, z wdzięcznością powitał czyste niebo.

— Wybacz – szepnął.

— Nie wybaczę. Pociesza mnie jednak to, że wciąż jesteś zdolny do uczuć. Nie powinienes tego ukrywać. Ludzie mniej baliby się zbieraczy, gdyby wiedzieli. – Wyglądała na zamyśloną.

– Dlaczego to ukrywasz?

Cet westchnął.

— Nawet magia Bogini nie zdoła na zawsze uciszyć uczuć zbieracza. Po wielu latach uczucia wyrywają się na wolność... i stają się wówczas bardzo silne. Czasem niebezpieczne. – Przesunął się, czując się niezręcznie. – Jak sama powiedziałaś, już i tak wystarczająco przerażamy ludzi.

Potaknęła, a potem wstała i zwróciła się ku niemu.

— Nie ma innych wyborów – powiedziała. – Nie mam ochoty służyć Bogini jako Siostra. Nie ma w moim sercu Jej pokoju i nigdy nie będzie. Ale chcę żyć, zbieraczu, żyć prawdziwie i być kimś więcej niż zabawką dla mężczyzn albo kozłem ofiarnym dla kobiet. I chcę tego samego dla moich dzieci. Pytam cię więc raz jeszcze: Czy mi pomożesz?

Była zjawą. Cet wiedział to już, bo w innym razie skąd znalazby treść jego rozmowy z Ginnemem. Rozmawiał sam ze sobą albo z jakimś aspektem Bogini odzwierciedlającym jego szaleństwo. Poczul się jednak w obowiązku odpowiedzieć:

— Nie mogę.

Sceneria snu się zmieniła, stając się wnętrzem pokoju. Niskie łóżce z zasłonami z gazy, wystarczająco szerokie dla dwojga, stało za Namsut.

Spojrzała na nie, a potem na niego.

— Ale chcesz.

Tego popołudnia zawinęli do dużego handlowego miasta. Tam Cet wykorzystał fundusze Świątyni, aby kupić konie i zapasy na resztę podróży. Wioska, jak powiedziała Mehepi, leżała na zboczu odległego pogórza, za zielonym obszarem zalewowym,

który stanowił o bogactwie Gujaarehu. Potrzebowali przynajmniej jednego dnia, aby tam dotrzeć.

Objuczwszy konie, wyruszyli spiesznie drogą prowadzącą między rowami irygacyjnymi przez rozległą równinę, wśród ciągnących się milami pól uprawnych. Przed zachodem słońca dotarli do niskiego, jałowego pogórza – ostatniej linii obrony Gujaarehu przed nieustannym naporem leżącej za nim pustyni. Tutaj Cet zarządził postój. Wieśniacy byli zdenerwowani, bo wzgórze stanowiły naturalne terytorium zbójców, ale w obliczu nadciągającego nocnego chłodu i zmęczenia koni nie było wielkiego wyboru. Wartownicy stanęli na czatach, a reszta grupy zajęła się końmi i rozbijaniem obozowiska.

Cet rozłożył się pod dużym głazem, a po chwili dostrzegł, że Ginnem przycupnął obok posłania Namsut. Wsunął dłonie pod przykrywający ją koc i poruszał nimi rytmicznie nad środkową partią jej ciała. Namsut odwróciła głowę, ale Cet wystarczająco wyraźnie słyszał jej przyspieszony oddech i widział uśmiech Ginnema.

Wściekłość przesłoniła mu myśli. Przez kilka chwil Cet czuł się jak sparaliżowany, rozdarty między szokiem, zagubieniem i szalonym pragnieniem, by wstać i stłuc Ginnema do krwi.

Lecz Ginnem zmarszczył brwi i zerknął na niego, a jego gniew przeminął.

Bogini... Drżąc bardziej niż od nocnego chłodu, Cet podniósł wzrok na wielobarwną tarczę Śniącej Luny. Co to było? Teraz, gdy szaleństwo minęło, zdołał wyczuć w powietrzu magię, delikatne słono-metaliczne nasienie snu. Ginnem leczył dziewczynę, to wszystko. Nawet gdyby dawał jej przyjemność

przy tej okazji, jakie to miało znaczenie? Cet był zbieraczem. Przynurzył się Bogini, a boginie nie leczy.

Kilka chwil potem posłyszał kroki i poczuł, że ktoś usiadł obok.

— Dobrze się czujesz, zbieraczu Cecie?

Ginnem.

Cet zamknął oczy. Barwne pasy powidoku Luny płonęły mu pod powiekami: czerwony dla krwi, biały dla nasienia, żółty dla ichoru, czarny dla żółci.

— Nie wiem – wyszeptał.

— No dobrze. – Ginnem zachował lekki ton, ale Cet wyczuł pod nim poważną nutę. – Wiem, kiedy pojawia się zazdrość, bo ją wyczuwam, tak samo jak strach i wstrząs. Nasienie snu jest bardziej wrażliwe od innych humorów ciała, twój gniew przedarł się przez moje zakłęcie jak kamień przez pajęczynę.

Przerażony Cet spojrział w stronę Namsut.

— Tak mi przykro. Nie chciałem... Czy ona...

— Nic się jej nie stało, zbieraczu. W chwili, gdy chciałeś mnie pobić, już skończyłem. Bardziej niepokoi mnie sam fakt, że chciałeś to zrobić. – Spojrział z ukosa na Ceta.

— Coś ze mną... jest nie tak. – Cet nie odważył się jednak zdradzić, co to takiego. Czy to się działo przez cały czas? Cofnął się myślami i przypomniał sobie swój gniew na Mehepi, pokłady niepokoju, jakie wzbudzała w nim Namsut. Tak. To były ostrzeżenia.

Jeszcze nie, modlił się do Niej. Jeszcze nie. To zbyt szybko.

Ginnem skinął głową i zamilkł na chwilę. W końcu bardzo łagodnie powiedział:

— Gdybym mógł dać Namsut to, czego ona chce, zrobiłbym to.

Choć jednak te części mojego ciała działają dobrze w najprostszym sensie, to utraciłem zdolność poczęcia dziecka. Za jakiś czas będę mógł dawać przyjemność już tylko poprzez sny.

Cet podniósł się, zaskoczony. Siostry były tajemnym ugrupowaniem – podobnie jak Słudzy, współbracia Ceta, co oczywiste – ale nigdy nie przypuszczał, jaką cenę płacą za swoją magię. Po chwili uświadomił sobie, że wyznanie Ginnema było rodzajem oferty. Zaufanie za zaufanie.

— To... zaczyna się u nas powoli – przyznał Cet, zmuszając się do wypowiedzenia tych słów. Był to największy sekret zbieraczy, a zarazem największy wstyd. – Najpierw wzbierają emocje, potem śnimy na jawie, a wreszcie... tracimy wszelki spokój i popadamy w obłąd. Gdy zacznie się ten proces, nie ma nań lekarstwa. Jeśli u mnie się zaczął... – Zamilkł. Za wiele tego było, biorąc wszystko razem. Nie mógł znieść tej myśli. Nie był gotowy.

Ginnem położył mu dłoń na ramieniu w milczącym geście współczucia. Kiedy Cet nie powiedział już nic więcej, Ginnem wstał.

— Będę pomagał wszystkim, którym zdołam pomóc. – Słowa te sprawiły, że Cet zmarszczył brwi. Ginnem zachichotał i potrząsnął swoją przyozdobioną dzwoneczkami głową. – Jestem uzdrowiaczem, zbieraczu, cokolwiek myślisz o moich sypialnianych obyczajach...

Przerwał nagle, a jego uśmiech zbladł. Chwilę potem Cet poczuł to również – intensywną, nagłą potrzebę snu. Wraz z nią rozległo się cienie, nie do pomylenia z niczym innym brzęczenie kamienia jungissy, przelatujące tchnieniem nad obozowiskiem jak zatruty powiew.

Jeden z wartowników krzyknął na alarm. Cet gramolił się na nogi, szukając swoich ozdób. Ginnem opadł na kolana i zaczął coś nucić z wyciągniętymi ramionami, jakby chciał odepchnąć od siebie jakąś niewidzialną moc. Wartownicy, oparci o siebie plecami, ukryli się pod osłoną głazu, wykonując jakiś skomplikowany taniec z nożami, który miał im pomóc w koncentracji i odparciu uroku. Mehepi i jeden z mężczyzn już spali. Gdy Cet rozglądał się wokół w poszukiwaniu źródła zaklęcia, pozostali dwaj mężczyźni też legli uśpieni. Namsut jęknęła boleśnie i postąpiła niepewnie w stronę Ceta i Ginnema. Cet zauważył, że powieki jej ciążyły, oczy były zmętniałe, a nogi drżały, jakby szła pod jakimś ogromnym ciężarem, ale wciąż była przytomna. Walczyła przeciw magii z widoczną determinacją.

Patrząc na nią, Cet poczuł lęk i tęsknotę, a pod spokojną dotąd powierzchnią wód jego duszy poruszył się lewiatan.

Wyciągnął przed siebie kamień jungissy i stuknął weń paznokciem. Głęboki, czysty dźwięk popłynął ku wzgórzom, wcinając się w atonalny drżący głos kamienia narkomanty. Panując wolą nad kształtem tych wibracji, Cet zamknął oczy i zrobił jedyną możliwą rzecz przeciwko sennemu zaklęciu narkomanty: rzucił własne zaklęcie snu.

Wartownicy osunęli się we śnie na ziemię, a ich noże stuknęły o skalisty grunt. Namsut jęknęła i upadła, zapadając w sen. Jej kształt odcinał się ciemnym zarysem na tle rozświetlonych księżycowym światłem skał. Ginnem wziął głęboki oddech.

— Cet... co... – Po czym on także zasnął.

Z pobliskiego wzgórza dobiegł łomot kamieni, gdy osłabła pieśń jungissy narkomanty. Cet zauważył tam kilka ciemnych

postaci pomiędzy głazami; niektóre z nich dźwigały towarzyszy, którzy upadli, i nagle dźwięk jungissy narkomanty zaczął się oddalać. Uciekali.

Cet podtrzymał brzęczenie swego kamienia do chwili, gdy zupełnie minęła straszna potrzeba snu. Potem się osunął, siadając na leżącym siodle, i podziękował Bogini, jeszcze raz i jeszcze.

— Kamień jungissy – stwierdził Cet. – Bez wątpienia.

Był ranek. Cała grupa siedziała wokół ogniska, pochłaniając zabrany w podróż prowiant i popijając mocną gorzką kawą, bo żadne z nich nie spało dobrze po tym, jak Cet przebudził ich z zaklętego snu.

Wieśniacy spojrzeli po sobie i pokręcili głowami na słowa Ceta, nic nie rozumiejąc. Wartownicy spochmurnieli.

— Też tak pomyślałem – powiedział Ginnem z westchnieniem. – Nic innego nie wydaje takiego dźwięku.

Dla pouczenia wieśniaków Cet wyjął jungissę z za pasa bluzy i potrzymał ją przed ich oczyma, aby mogli się przyjrzeć. Delikatnie rzeźbiony kamień w kształcie ważki leżał na jego dłoni. Cet stuknął weń leciutko paznokciem i wszyscy się wzdrygnęli, gdy wydobył on z siebie charakterystyczne ciche brzęczenie.

— Sama jungissa nie ma żadnej mocy – powiedział Cet, aby ich uspokoić. Uciszył kamień, który natychmiast znieruchomiał. – Potęguje jedynie magię tych, którzy zostali wyszkoleni w narkomantycznych technikach. Ta jungissa jest dzieckiem kamienia, który spadł z nieba wiele stuleci temu. Istniało na świecie tylko piętnaście podobnych. Trzy pękły z upływem czasu

lub zostały zniszczone. Jedna została ofiarowana Domowi Sióstr, jednej używa Świątynia dla nauki i dla celów leczniczych, jednakże tylko ja i moi trzej współbracia-zbieracze nosimy i używamy tych kamieni na co dzień. Reszta przechowywana jest pod strażą w piwnicach Świątyni. – Westchnął. – A jednak jakimś sposobem ci zbójcy mają jeden z nich.

Ginnem zmarszczył brwi.

— Tuż przed wyruszeniem w tę podróż widziałem w Domu Sióstr kamień z rzeźbioną królową pszczół. Czy ktoś mógł ukraść kamień ze Świątyni?

Jeden z wartowników zachnął się na ten afront i powstawszy, powiedział:

— Nikt nie zdołałby przejść niepostrzeżenie obok mnie i moich braci, żeby zrobić coś takiego.

— Powiadasz, że te kamienie spadły z nieba? – zapytała Namsut. Wyglądała na zamyśloną. – Kilka miesięcy temu na niebie pojawiło się nasienie słońca, było to w noc święta Ze-kaari. Widziałam wiele smug przecinających niebo, księżyc był w nowiu. Większość tych smug zgasła, ale jedna nadleciała bardzo blisko, a gdy upadła na wzgórzach, był wielki rozbłysk światła.

— Następna jungissa? – Było to zbyt zdumiewające i zbyt straszne do wyobrażenia; kolejny dar Bogini, niepoświęcony, leżący gdzieś w jamie i obłupywany przez zbirów? Cet zadrzał. – Lecz jeśli nawet znaleźli coś takiego, to sam surowy kamień jest bezużyteczny. Musi zostać wyrzeźbiony, by wydawał dźwięk. A wykorzystanie tego dźwięku wymaga wieloletnich ćwiczeń.

— Jaka to w gruncie rzeczy różnica? – spytał Ginnem, krzywiąc się. – Mają go i używają. Musimy ich złapać i im go

odebrać.

Wojskowe myślenie. Cet niemal się uśmiechnął. Skinął jednak głową, wyrażając zgodę.

— Jak zobaczyłaś nasienie słońca? – Mehepi zniecka zwróciła się z pytaniem do Namsut. – Nasz mąż miał cię przy sobie tamtej nocy, a przynajmniej tak sądziłam. Czyżbyś się wymknęła na spotkanie z innym kochankiem?

Namsut posłała jej jeden ze swoich ugrzecznionych gniewnych uśmiechów.

— Często wychodziłam na zewnątrz po przespaniu się z nim. Świeże powietrze dobrze mi robiło na mdłości.

Mehepi zatkało, gdy usłyszała ten afront, potem splunęła pod stopy Namsut.

— Jesteś demonem z sennego koszmaru! Nigdy nie zrozumieć, dlaczego nasz mąż ożenił się z kobietą tak pełną nienawiści i śmierci.

Ginnem spojrzał surowo na Mehepi.

— Twoje zachowanie jest obrażą dla naszej Bogini, naczelniczko.

Mehepi sposepniała na chwilę, ale potem wymamrotała przeprosiny. Na twarzy Namsut nie pojawił się nawet ślad gniewu. Skłoniła głowę najpierw przed Ginnemem, a później przed Mehepi. Uczyniwszy to, wstała, otrzepała szatę i oddaliła się.

Cet jednak dostrzegł coś, co sprawiło, że zmarszczył czoło. Skinąwszy głową przepraszająco, podniósł się i poszedł za nią. Choć Namsut musiała go słyszeć, szła dalej i dopiero gdy zatrzymał ją u stóp pagórka, odwróciła się ku niemu.

Ujął jej dłonie i obrócił. We wnętrzu każdej z nich widniał głęboki odcisk ze strupem w kształcie półksiężyca.

— To tak walczyłaś z zaklęciem – powiedział.

Twarz Namsut była pusta i nieruchoma jak kamień.

— Powiedziałaś ci już, zbieraczu. Ból mnie wzmacnia.

Niemal się wzdrygnął, bo taką rozmowę odbyli już we śnie. Ale wewnątrz umysłu Bogini wszystko było możliwe, a pragnienia często przyciągały zdarzenia nieoczekiwane.

Prowokowanie tego pragnienia było niebezpieczne. A jednak poczuł nieodpartą chęć potarcia kciukiem tych małych ran, a także chęć zaradzenia im. Powieki Namsut zatrzepotały, gdy Cet siłą woli zmusił ją do zaśnięcia na jawie. W tym śnie spojrzała na swoje dłonie i ujrzała, że są nietknięte. Gdy zdjął z niej sen, zamrugła, a potem spojrzała ponownie w dół. Cet starł kciukiem drobinki zaschniętej krwi, rany zniknęły.

— Proste leczenie leży w mocy każdego Sługi – powiedział łagodnie. – A powinnością zbieracza jest zwalczanie bólu.

Zacisnęła wargi.

— Tak, zapomniałam. Ból czyni mnie silną, a ty nie zrobisz niczego, co rzeczywiście mi pomoże. Dziękuję, zbieraczu, ale teraz muszę się umyć przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Oddaliła się, zanim zdążył wymyślić odpowiedź, a gdy patrzył, jak odchodzi, zastanawiał się, w jaki sposób zbieracz mógłby uciszyć ból w samym sobie.

Po południu następnego dnia dotarli do celu. Według Mehepi zbójcy napadali na wioskę regularnie, szukając wydobywanych w kopalni lazurytów, a skutkiem napadów były tak wielkie zniszczenia, jakich Cet nigdy jeszcze nie widział. Mijali świecące

pustkami spichlerze i zdeptane pola. Z wielu domów w wiosce pozostały tylko wypalone skorupy. Równie puste były twarze i oczy ludzi, którym się przyglądali. Cet nie mógł sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby marzyć o rządzeniu takim miejscem.

Dostrzegł też jednak, że nie cała wioska sprzysięgła się przeciwko Namsut. Dwie młode dziewczyny wyszły z miłym uśmiechem, by zająć się jej koniem, kiedy już zsiadli. Bezżębny starzec przytulił ją serdecznie, posyłając przy tym złe spojrzenie ku plecom Mehepi.

— Tak to właśnie wygląda w małych wioskach – mruknął Ginnem, podążając za wzrokiem Ceta. – Często wystarczy tylko nieznaczną większość albo szczególnie nienawidząca mniejszość, aby zmienić w koszmar życie tych, którzy znaleźli się w niełasce.

W tym momencie Mehepi przejęła inicjatywę i poprowadziła ich do największego domu w wiosce, jak inne zbudowanego z suszonej na słońcu cegły, za to z piętrem.

— Zajmij się naszymi gośćmi – poleciła Namsut, ona zaś bez słowa zrobiła, co jej kazano.

Wprowadziła Ceta, Ginnema i dwóch wartowników do budynku.

— Pokój Mehepi – powiedziała, gdy mijali pomieszczenie z porządnym, szerokim łóżem. Przypuszczalnie należał do naczelnika przed jego śmiercią. – Mój pokój. – Wskazała najmniejszy pokój w całym domu, co nikogo nie zdziwiło.

Cet przeżył jednak wstrząs, gdy zauważył, że stojące tam łóżko jest niskie i ma zasłony z gazy; było to takie samo łóżko, jakie widział w swoim śnie.

Prawdziwe widzenie: sen o przyszłości zesłany przez Boginię.

Nigdy w życiu nie czuł się tak błogosławiony ani tak zagubiony.

Próbując ponownie skupić uwagę, skoncentrował się na najbliższym zadaniu.

— Bądźcie w pobliżu – polecił wartownikom, którzy zajęli dwa gościnne pomieszczenia. – Jeśli zbójcy się pojawią, będę musiał mieć możliwość obudzenia was. – Potaknęli, ale mieli skwaszone miny; żaden z nich nie wybaczył jeszcze Cetowi, że przedtem ich uśpił.

— A ja? – zapytał Ginnem. – Potrafię stworzyć coś w rodzaju tarczy wokół siebie i osób będących w pobliżu. Nie będę jednak w stanie jej utrzymać, jeśli znowu rzucisz na mnie usypiające zaklęcie.

— Spróbuję tego nie robić – powiedział Cet. – Jeśli moja narkomancja zostanie przełamana, twoja tarcza może się okazać dla nas jedyną osłoną.

Tego wieczoru mieszkańcy wioski urządzili dla nich przyjęcie, dość marne. Ktoś ze starszyny wyciągnął zniszczony podwójny flet i w duecie z wybijającym rytm dzieckiem zapewnił im wątłą rozrywkę. Gorzej było z jedzeniem: gotowane ziarna, trochę warzyw i pieczona na ogniu konina. Cet podarował konie Mehepi i jej mężczyznom, a ci niezwłocznie ubili jedno zwierzę. Najwyraźniej we wsi widziano mięso po raz pierwszy od wielu miesięcy.

— Powstrzymanie zbójców nie uratuje tego miejsca – mruknął cichutko Ginnem. Ponuro przeżuwał kolejny kęs mdłej owsianki, tak jak wszyscy. Odmówienie poczęstunku byłoby kamieniem obrazy. – Są zbyt biedni, by przetrwać.

— Tutejsza kopalnia wydobywa lazuryt, jak słyszałem –

odezwał się jeden z wartowników. – To ma swoją wartość.

— Złoże zostało już wyczerpane – powiedział drugi. – Rozmawiałem dziś po południu z jednym ze starszych. Od lat nie udało im się wykopać dobrego kamienia. Nawet te okruchy, które rabują im zbójcy, są bardzo kiepskiej jakości. Mając lepsze narzędzia i więcej ludzi, mogliby wkopać się głębiej, znaleźć nową żyłę, ale... – Rozejrzył się po pokoju i westchnął.

— Musimy poprosić zwierzchnika Świątyni, aby przysłał tu jakąś pomoc – rzucił Ginnem.

Cet nie powiedział nic. Świątynia już udzieliła wieśniakom nadzwyczajnej pomocy, przysyłając zbieracza i dwóch wartowników; wątpił, by zwierzchnik zechciał dać coś jeszcze. Najbardziej prawdopodobne było to, że wioska się rozwiąże, a jej mieszkańcy zamieszkają w innych osadach. Bez pieniędzy i statusu nie będą tam lepsi od niewolników.

Niemal wbrew swej woli Cet spojrzał na Namsut siedzącą obok Mehepi po drugiej stronie biesiadnego stołu. Jadła niewiele i błędziła wzrokiem od twarzy do twarzy, najwyraźniej równie zakłopotana rozpaczliwym stanem wioski jak ludzie ze Świątyni. Gdy jej spojrzenie spoczęło na Cecie, zmarszczyła brwi w nieufnej konsternacji. Zaniepokojony Cet rozejrzył się wkoło.

Ujrzał Ginnema patrzącego nań dziwnym wzrokiem.

— Ach, a zatem nie była to zwykła zazdrość.

Cet spuścił oczy.

— Nie. Bez wątpienia to początek obłędu.

— Jakiś rodzaj szaleństwa na pewno. W jakimś sensie równie niebezpiecznego, przynajmniej dla ciebie.

— O czym ty mówisz?

— O miłości – odparł Ginnem. – Miałem nadzieję, że to zwykła żądza, ale widzę wyraźnie, że zależy ci na niej.

Cet odstawił talerz. Stracił apetyt. Miłość? Ledwo znał Namsut. A jednak obraz, jak kobieta walczy z zaklęciem uśpienia, wciąż tańczył w jego umyśle jak powracający sen, którego nie miał siły odpędzić. A myśl o pozostawieniu jej na pastwę losu napełniała go lękiem.

Ginnem wzdrygnął się, po czym westchnął.

— Wszystko dla Jej pokoju.

— Co?

— Nic. – Ginnem nie patrzył Cetowi w oczy. – Jeśli jednak chcesz jej pomóc, zrób to jutro lub pojutrze. To będzie najlepszy czas.

Słowa te wywołały chłodny i nie tak znów nieprzyjemny dreszczyk na plecach Ceta.

— Uleczyłeś ją?

— Nie potrzebowała leczenia. Jest płodna jak ziemia z rzeki. Mogę tylko przyjąć, że dotąd nie zaszła w ciążę, gdyż Bogini chciała, aby ojcem jej dziecka był ktoś, kogo sama wybierze. Błogosławieństwo, a nie klątwa.

Cet spojrzał w dół na swoje drżące, złożone na brzuchu dłonie. Dlaczego błogosławieństwo miałoby powodować u niego taki niepokój? Pragnął Namsut, nie mógł już temu zaprzeczać. Obcowanie z nią oznaczałoby jednak złamanie przysięgi, której przez szesnaście lat bycia zbieraczem nigdy nie naruszył. Za swoją wierność został nagrodzony życiem spełnionym, w pewności i spokoju, o jakich większość ludzi mogła tylko marzyć. Teraz jednak spokój ten pryskał, nieubłagane rozgniatany

między powinnością i pożądaniem.

— Co mam robić? – wyszeptał.

Ale nawet jeśli Ginnem go usłyszał, to nie odpowiedział na to pytanie.

A gdy Cet podniósł wzrok, w oczach Namsut ujrzał cień żalu.

Ginnem i wartownicy, którzy umieli w pewnym stopniu bronić się przed narkomancją, objęli pierwszą wartę. Ginnem czuwał wewnątrz domu na wypadek ataku. Zaraz po kolacji wyczerpany walką z poprzedniej nocy i całodzienną podróżą Cet poszedł spać w pokoju gościnnym. Nie zaskoczyło go, że godziny spędzane przezeń w krainie snu wypełnione były bezimiennymi zjawami, które szydziły z niego gniewnymi uśmiechami i kuszącymi pieścotami. A między nimi była też zjawia najokrutniejsza ze wszystkich: śniada dziewczynka z dobrymi oczyma Ceta.

Kiedy się obudził, gdy brzask zaczął już rozjaśniać niebo, tak był rozproszony własnym nieszczęściem, że nie dosłyszał dźwięku jungissy. Potrzeba ponownego zaśnięcia wydawała się tak naturalna o tej wczesnej porze, że się nie bronił. Być może, gdyby zasnął znowu, jego sny byłyby spokojniejsze.

— Zbieraczu!

Być może, gdyby zasnął znowu...

Czyjaś noga kopnęła go z rozmachem w bok. Krzyknął, przetoczył się i przycupnął zdezorientowany. Ginnem siedział obok, wznosząc ręce w obronnym geście, a rysy jego twarzy ściągnięte były w skupieniu. Dopiero wtedy Cet posłyszał wysoki, nieharmonijny brzęk jungissy narkomanty, zaskakująco głośny i bliski.

— Okno – warknął przez zęby Ginnem.

Narkomanta był tuż obok domu.

Z zewnątrz dobiegł odgłos kroków. Okno było za małe, by przez nie wyskoczyć, więc Cet przebiegł przez dom i wypadł przez frontowe drzwi chwilę po tym, gdy szybki cień przemknął obok. W tym samym momencie Cet znalazł się poza zasięgiem ochronnej magii Ginnema i potknął się, gdy zaczął spływać na niego sen ciężki jak kamień. Unoszenie nóg było jak bieg przez błoto; aż jęknął z bolesnego wysiłku. Śnił już na jawie, gdy sięgnął po swoją jungisę. Był jednak zbieraczem i sny były jego specjalnością, zmusił więc swoją śpiącą jaźń do uderzenia ozdobą o próg domu, a czuwająca ręka zareagowała posłuszeństwem.

Sam odgłos jego wazki oczyścił mu umysł z letargu, a serce wypełniło to miejsce słusznym gniewem. Przekształcając ów gniew w pocisk nakazu, pełen wibracji i mocy, posłał go śladem umykającej sylwetki. Biegająca postać potknęła się i w tej samej chwili Cet zawładnął duszą narkomanty.

Gdy zbieracz wciągnął go w sen, nie wyczuł oporu. Jeśli nawet narkomanta miał jakieś umiejętności, to nie wykraczały one poza rzucanie usypiających zaklęć. Pomknęli więc, jak dwa niewyraźne kształty, przez krainę snów, a ich połączone umysły upodobniły się do siebie. Wokół nich ukazała się Świątynia, w ogólnym zarysie przypominająca Salę Błogosławieństw, z majaczącym nad wszystkim monstrualnym posągim Śniącej Bogini. Narkomanta krzyknął i padł na kolana na widok posągu, a Cet wreszcie przyjrzał się swemu wrogowi.

Był zaskoczony, ujrawszy, jak młody był ten człowiek; miał co

najwyżej dwadzieścia lat, był chudy i obdarty, a jego zmatowiałe włosy stanowiły plątaninę warkoczyków i kołtunów. Nawet we śnie było czuć, że nie mył się od miesięcy. Mimo brudu jednak cześć, jaką oddawał posągowi, objawiła całą prawdę.

— Zostałeś wychowany w Świątyni – powiedział Cet.

Narkomanta skrzyżował ręce na piersiach i skłonił głowę przed posągiem.

— Tak, tak.

— Przeszedłeś nauki?

— Nie, ale widziałem, jak używa się magii.

I sam się wyszkolił, tak po prostu? Jednakże resztę opowieści młodzieńca łatwo było odgadnąć. Świątynia wychowywała sieroty i obiecującą młodzież w Domu Dziecięcym. W wieku dwunastu lat dzieci mogły wybrać, czy chcą pozostać i podążyć którąś z dróg służenia Świątyni, czy odejść do laickiego życia. Większość tych ostatnich radziła sobie dobrze, bo Świątynia przygotowywała je do różnych zawodów i innych powołań, ale zawsze trafiało się paru takich, którzy popełniali błędy lub przydarzały im się jakieś nieszczęścia i kończyli źle.

— Dlaczego? – zapytał Cet. – Zostałeś wychowany, by służyć pokojowi. Jak mogłeś odwrócić się od Bogini?

— Zbójcy – wyszeptał chłopak. – Wykradli mnie z naszej farmy, wykorzystywali i bili. Próbowałem uciekać. Złapali mnie, ale przedtem znalazłem cały kamień i wziąłem sobie kawałek. Mówili, że nie jestem wart tego, by być z nimi. Ale ja im pokazałem. Pokazałem, że potrafię zmusić kamień, by działał. Nie chciałem nikogo skrzywdzić, ale to trwało tak długo... Dobrze było znów poczuć się silnym.

Cet ujął w dłonie twarz młodzieńca.

— Spójrz, kim się teraz stałeś. Jesteś z tego dumny?

— Nie...

— Gdzie znalazłeś jungisę?

Ramy snu zadrżały w odpowiedzi na rozbudzone pragnienie chłopca. Cet pozwolił na to, mimo woli podziwiając jego magię. Chłopak nie był prawdziwym narkomantą, był niedouczony i na wpół ogłupiały, ale jakim wspaniałym zbieraczem mógłby zostać! Sen zmienił się teraz, ukazując obóz zbirów na wzgórzach: leżało tam około dwudziestu chrapiących bandytów, którzy przysporzyli tyle cierpienia. Dzięki wspólnym fundamentom snu Cet się zorientował, gdzie można ich znaleźć. Potem sen przefrunął ponad wzgórzami do skalnej kotliny. W górnej części urwiska był odprysk w kształcie dzioba drapieżnego ptaka. W wypalonym czarnym zagłębieniu leżał mały, podziurawiony kawałek kamienia.

— Dziękuję – powiedział Cet.

Przejmując kontrolę nad snem, sprowadził młodzieńca ze wzgórz w zieleńsze otoczenie. Stali w dorzeczu wielkiej rzeki, za którym rozciągało się nieskończone morze. Nad głowami rozpościerało się niebo w różnych odcieniach błękitu, jedne smugi były lazuruowe, a te głębsze jak żałobna szata Namsut. W oddali widniało miasteczko, jaśniejące jak szlachetny kamień na kobiercu zieleni. Cet wyobraził sobie, że jest pełne ludzi, którzy z radością powitają młodzieńca, kiedy się tam pojawi.

— Tutaj twoja dusza znajdzie ukojenie – rzekł.

Chłopak wyjrzał spoza granic snu i uniósł rękę, jakby piękno raziło jego oczy. Gdy spojrział na Ceta, zapłakał.

— Czy muszę teraz umrzeć? – zapytał.

Cet potaknął, a po chwili chłopiec westchnął.

— Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić – rzekł. – Po prostu chciałem być wolny.

— Rozumiem – odparł Cet. – Ale swoją wolność zdobywałeś kosztem cierpienia innych ludzi. To jest zepsucie, na jakie prawo Bogini nie pozwala.

Narkomanta skinął głową.

— Wiem. Przepraszam.

Cet uśmiechnął się i przesunął dłonią nad głową młodzieńca. Brud i przykry zapach zniknęły, a on odzyskał godziwy wygląd.

— Teraz Ona z radością powita twój powrót na drogę pokoju.

— Dziękuję – powiedział młodzieniec.

— Jej podziękuj – odrzekł Cet.

Wycofał się potem ze snu, odcinając nić i zbierając senną krew.

Ciało chłopca powróciło na jawę, gdzie wydało ostatnie tchnienie i zastygło w bezruchu. W wiosce rozlegały się krzyki, a Cet ukląkł obok ciała i godnie ułożył jego kończyny.

Nadbiegł Ginnem z jednym z wartowników.

— Czy to już? – zapytał wartownik.

— Już – odparł Cet.

Uniósł kamień jungissy, który wyjął z dłoni chłopca. Był ciężki, o nieregularnych kształtach i spękanej, podziurawionej powierzchni. Zadziwiające, że w ogóle działa.

— A z tobą wszystko w porządku? – To pytanie padło z ust Ginnema.

Cet spojrzał na Siostrę i zrozumiał, że nie odnosiła się do jego

zdrowia fizycznego.

Uśmiechnął się, aby Ginnem mógł dostrzec prawdę.

— Doskonale, Siostrze Ginnem.

Ginnem zamrugał zaskoczony, ale skinął głową.

Nadciągnęli inni mieszkańcy wioski. Wśród nich Namsut, zadyszana, z nożem w dłoni. Cet przez chwilę patrzył na nią z podziwem, a potem skłonił głowę na znak, że godzi się z wolą Bogini.

— Wszystko dla Jej pokoju – powiedział.

Wartownicy poszli na wzgórza z uzbrojonymi wieśniakami po tym, jak Cet powiedział im, gdzie można wytropić zbójców. Wyjaśnił też mieszkańcom wioski, gdzie można znaleźć kamień-matkę jungissy należącej do narkomanty.

— Kotlinka naznaczona dziobem ptaka. Znam to miejsce – powiedziała Mehepi, marszcząc brwi. – Pójdziemy zniszczyć tę rzecz.

— Nie – odparła Namsut. Mehepi spojrzała na nią, ale Namsut odważnie spotkała jej spojrzenie. – Musimy przynieść to tutaj. Ten rodzaj mocy zawsze przedstawia wartość dla kogoś albo gdzieś.

Cet potwierdził.

— Świątynia rzeczywiście dobrze zapłaci za kamień i wszystkie jego okruchy.

Na te słowa podniósł się wśród wieśniaków szmer zdziwienia, a także – po raz pierwszy – nadziei. Cet zostawił ich, poruszonych, sam wrócił do domu naczelnika, gdzie usiadł oparty o ścianę i patrzył przez okno na przepływające obłoki. Potem, tak jak się spodziewał, przyszła Namsut.

— Dziękuję – powiedziała. – Uratowałeś nas na wiele sposobów.

— Jestem tylko Jej sługą. – Uśmiechnął się.

Zawahała się przez chwilę, po czym stwierdziła:

— Nie powinnam była prosić cię o to, o co poprosiłam. Wydawało mi się to proste, ale widzę, jak bardzo cię to dręczy.

Potrząsnął głową.

— Nie. Miałaś rację. Zapomniałem o jednym: moją powinnością jest nieść ulgę w cierpieniu wszystkimi dostępnymi środkami. – Jego przysięga byłaby pozbawiona znaczenia, gdyby o tym zapomniał. Ginnem miał słuszność, przypominając mu to.

Zrozumienie jego słów zajęło jej dłuższą chwilę. Postąpiła krok naprzód, czując napięcie w całym ciele.

— A zatem zrobisz to? Dasz mi dziecko?

Patrzył na nią przez długą chwilę, starając się zapamiętać jej twarz.

— Rozumiesz, że nie mogę zostać – rzekł. – Muszę wrócić do Świątyni i nigdy nie zobaczę naszej córeczki.

— Cór... – Przyłożyła dłoń do ust, lecz zapanowała nad sobą. – Rozumiem. Wioska się mną zajmie. Po tym całym gadaniu o przekleństwie będą musieli, bo inaczej stracą twarz.

Cet potaknął, po czym wyciągnął do niej rękę. Jej twarz mieniła się przez moment pod wpływem licznych emocji – wątpliwości, lęku, rezygnacji i nadziei. Wreszcie Namsut przeszła przez pokój, ujęła go za rękę i usiadła przy nim.

— Musisz... pokazać mi, jak – powiedział, spuszczając oczy. – Nigdy tego nie robiłem.

Namsut popatrzyła na niego, a potem obdarzyła go pierwszym

prawdziwym, nieskazanym uśmiechem, jaki ujrzał na jej obliczu. Odpowiedział jej uśmiechem, a we śnie na jawie ujrzał wierzchowca galopującego przez bezkresną zieloną równinę.

— Aż dotąd nigdy naprawdę nie chciałam tego robić – odparła nagle onieśmielona. – Ale wiem, o co w tym chodzi. – I wstała.

Jej żałobne szaty opadły na podłogę. Cet skupił wzrok na nich, starając się nie patrzeć na jej ruchy, gdy zdejmowała bieliznę i rozwiązywała chustę. Uklęka nad nim, a on, drżąc, odwrócił na bok głowę. Jego oddech przyspieszył i serce забиło mocniej. „Zbieracz całym sobą należy do Bogini”, brzmiały słowa przysięgi. Ledwo zdołał zapanować nad myślami, kiedy dłonie Namsut dotknęły nagiej skóry na jego piersi i powędrowały w stronę przepaski biodrowej, a jednak w jakiś sposób zmusił umysł, by wciąż rozważał ten problem. Zawsze sądził, że przysięga oznacza celibat, ale było to szaleństwem, Bogini bowiem nigdy nie była zainteresowana samym ciałem. Kochał Namsut, a jednak powołanie i powinność stałe były na pierwszym miejscu w jego sercu. Czy nie to właśnie stanowiło kwintesencję ślubowania zbieracza?

Po chwili Namsut sprawiła, że ich ciała się połączyły, a on podniósł na nią oczy w zdumieniu.

— Ś...świętość – wydyszał. Znów powoli poruszyła się na jego biodrach, a Cet przycisnął głowę do ściany, aby powstrzymać się od krzyku. – To jest świętość.

Czuł jej szybki i lekki oddech na swojej skórze; mgliście uświadomił sobie, że ona również czerpie z niego przyjemność.

— Jeszcze nie – szepnęła, otulając jego twarz dłońmi. Jej wargi dotknęły jego warg; przez chwilę miał uczucie, jakby smakował

słodkie rodzynki. – Ale zaraz będzie lepiej.

I tak było.

Wrócili do Świątyni pięć dni później, przywożąc jungisnę narkomanty jako gwarancję dobrej woli mieszkańców wioski. Zwierzchnik natychmiast wysłał skrybów i rachmistrzów, aby oszacowali stan kamienia–matki i wyliczyli godziwą cenę. Zapłata, jaką dano wieśniakom za samą jungisnę narkomanty, wystarczyła na zakup rocznych zapasów żywności dla całej wioski.

Ginnem pożegnał się z Cetem u bram miasta, gdzie spora grupka ubranych na zielono i złoto kobiet czekała, aby go powitać.

— Dokonałeś trudnego wyboru, zbieraczu – rzekł. – Jesteś silniejszy, niż myślałem. Niech Bogini zapewni twemu dziecku tę samą siłę.

Cet skinął głową.

— A ty jesteś mądrzejszy, niż myślałem, Siostrze. Powiem o tym wszystkim moim współpracownikom, to może będą cię bardziej szanować.

— Prędzej bogowie zejść na ziemię! – zachichotał Ginnem. Potem spoważniał, a cień smutku ponownie pojawił się w jego oczach. – Nie musisz tego robić, zbieraczu Cecie.

— Taka jest Jej wola – odparł Cet, ujmując Ginnema za ramię. – Widzisz tak wiele, tak jasno, czy nie potrafisz tego dostrzec?

Ginnem odparł z powolnym skinieniem głowy i wyrazem zmieszania na twarzy:

— Zauważyłem to, gdy dotarło do mnie, że kochasz tę kobietę. Ale...

— Spotkamy się znowu w snach – powiedział Cet łagodnie.

Ginnem nie odpowiedział, jego oczy wezbrały łzami, po czym odwrócił się szybko, by dołączyć do Sióstr. Cet patrzył z satysfakcją, jak otoczyły Ginnema gęstym murem, by podnieść go na duchu. Był pewien, że dobrze o niego zadbają. Siostry miały dar uzdrawiania dusz.

I tak Cet powrócił do Świątyni, gdzie ukląkł przed zwierzchnikiem i złożył raport, niczego nie ukrywając, gdy przyszło mu opowiedzieć o Namsut.

— Siostra Ginnem zbadła ją przed naszym wyjazdem – stwierdził. – Jest zdrowa i nie będzie kłopotów, gdy nadejdzie czas porodu. Pierwsza żona nie była szczęśliwa z tego powodu, ale rada starszych przyrzekła, że dobrze zadbają o pierwsze dziecko ich odrodzonej wioski, podobnie jak o jego matkę, która niewątpliwie cieszy się łaską bogów.

— Rozumiem – powiedział zwierzchnik Świątyni, najwyraźniej zakłopotany. – Ale twoje ślubowanie... Zapłaciłeś wysoką cenę.

Cet podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Moje śluby nie zostały złamane, ojcze. Wciąż cały należę do Niej.

Zwierzchnik zamrugał zaskoczony, potem długo i surowo spoglądał na Ceta.

— Tak – rzekł wreszcie. – Widzę to teraz. A jednak...

— Proszę, przywołaj któregoś z moich współbraci.

Przełożony drgnął.

— Cet, to może potrwać tygodnie lub miesiące, zanim obłęd...

— Ale w końcu nadejdzie – odparł Cet. – Taka jest cena Jej magii. Oto, co znaczy być prawdziwym narkomantą. Nie boję się

zapłacić tej ceny, choć wolałbym sam wybrać swój los. – Koń znów pojawił się w jego myślach, płynąc z wysoko uniesioną głową z prądem rzeki. Słodka Namsut, już tęsknił za dniem, gdy ponownie ujrzy ją w snach. – Ojczy, przywołaj zbieracza Liyou. Proszę.

Zwierzchnik westchnął, ale skinął głową.

Gdy młody Liyou się pojawił i zrozumiał, co ma zrobić, wstrząśnięty spojrzał na Ceta. Ten jednak dotknął jego dłoni i zaczął dzielić się z nim chwilą pokoju, jaką obdarzyła go Namsut, a gdy skończył, Liyou zapłakał. Wtedy Cet położył się na wznak, a Liyou przytknął dwa palce do jego powiek.

— Cetennem – powiedział, zanim sen zawładnął nim ostatecznie. – Słyszałem je we śnie. Moja córka będzie mieć na imię Cetennem.

Potem z radosnym sercem Cet – zbieracz i narkomanta, sługa pokoju, sprawiedliwości i Śniącej Bogini – odszedł wolny.

Przetłóżył Jerzy Moderski

Carrie Vaughn

KONFLIKT TRWA W PAMIĘCI



Carrie Vaughn jest autorką bestsellerowej serii powieści o wilkołaku płci żeńskiej imieniem Kitty, która prowadzi program radiowy z poradami. Napisała książki dla młodzieży (Steel, Voices of Dragons), powieści Discord's Apple i After the Golden Age oraz wiele opowiadań, między innymi również do cyklu „Wild Cards” George’a R.R. Martina. W wolnych chwilach zajmuje się kolekcjonerstwem i rozkoszuje się wspaniałymi plenerami stanu Kolorado, gdzie mieszka.

Mój ojciec był magiem, u którego wielu ludzi zasięgało porady. Podczas tych wizyt wyczekiwałam za jego krzesłem lub przynosiłam mu miseczkę z wodą, a oni nazywali mnie piękną, nawet gdy byłam mała. Kiedy wyrosłam, byłam jasnowłosa i nieufna. Byłam też przeznaczona do... czegoś.

Ogarnęła nas wojna. Dziedzic Twierdzy zginął, właściwie nie – był na wygnaniu, co wychodziło na jedno. Zło rosło, złamało kraj na swym żelaznym kolanie i nawet mój ojciec musiał się ukryć.

A wtedy przybył on.

Miałam osiemnaście lat. Przybysz zaś liczył sobie – trudno powiedzieć. Wyglądał młodo, ale ciążył na nim taki bagaż trosk, że na dobrą sprawę mógł już przeżyć wiele żyć. Przyszedł do mego ojca, aby zapytać, jak przejść zakłętymi ścieżkami prowadzącymi do starej twierdzy będącej teraz w rękach wroga.

Ojciec odparł:

— Droga ta jest zamknięta dla wszystkich, którzy nie pochodzą z krwi Dziedzica, ale cała jego linia już wygasła. To beznadziejne.

Nasze spojrzenia – moje i obcego przybysza – spotkały się i wówczas dostrzegłam w nim ukryte światło czekające, by

zapłonąć pełnym blaskiem. Zacisnęłam dłonie na oparciu krzesła ojca, aby opanować drzenie.

Obcy i ja poznaliśmy w tym momencie, jakie przeznaczenie nas czeka, choć naszym rodzinom trzeba było nieco dłuższej perswazji.

I stało się, że obcy przybysz Evrad – Dziedzic Twierdzy i księżę krwi – poprowadził zakłętymi ścieżkami swoją armię, a w końcu, w ostatniej bitwie, złamał opór wrogów i objął w posiadanie starą twierdzę jako swoje dziedzictwo. Pojął za żonę córkę maga i uczynił ją – czyli mnie – swoją królową. Szczęśliwie nastał w końcu czas długo wyczekiwanego pokoju.

Noc po dniu naszego ślubu i po jego koronacji mieliśmy wyłącznie dla siebie. Gdy drzwi zamknęły się za nami, spojrzeliśmy sobie w oczy, nie wierząc, że chwila ta w końcu nadeszła, i wspominając wszystkie te chwile, w których baliśmy się, że nie nadejdzie. Wreszcie padliśmy sobie w ramiona.

Kochał mnie, jakby świat miał się skończyć. Zatonęłam w tym szaleństwie, obejmując go, jakby był ostatnim kawałkiem drewna z kadłuba tonącego statku. Zmęczeni, odpoczywaliśmy w swoich objęciach. Przebierając palcami w jego włosach, zaśpiewałam mu do snu i po chwili sama też zasnęłam.

Marzyłam o tym, by spać pod jego opieką. Marzyłam, by budzić się w jego ramionach, gdy wpadające przez okna słońce maluje na złoto naszą komnatę, rozgrzewając swoim ciepłem chłód poranka.

Zamiast tego obudził mnie krzyk. Krzyk Evrada. Rzucił się i kopał mnie. Cofnęłam się, osłaniając głowę rękami. Nasze kołdry były poskręcane i odrzucone daleko, gdy szarpał się z nimi. Gdy

odważyłam się spojrzeć, zobaczyłam, że Evrad kuli się, podciągając kolana. Drżał tak mocno, że czułam to po drugiej stronie łóżka.

— Evradzie? – szepnęłam. Wciąż kulił się i drżał, więc sięgnęłam ku niemu. – Evradzie. Proszę.

Dotknęłam jego ramienia bielejącego w świetle księżyca. Było mokre od potu.

Wzdrygnął się pod moim dotykiem i spojrział na mnie szeroko otwartymi, dzikimi oczyma. Poczułam skurcz w żołądku. Wyglądał tak, jakby mnie nie widział. A potem nagle:

— Alida?

Powrócił do życia, odzyskał zmysły i przygarnął mnie do siebie. Objęłam go tak mocno, jak zdołałam, ale mój uścisk wydawał się bardzo słaby w porównaniu z jego uściskiem.

— Ach, moje kochanie – powtarzał raz za razem. – Myślałem, że to sen: ty, życie w spokoju, znowu ty. Bałem się, że się obudzę i okaże się, że nie jesteś prawdziwa.

— Szs. Och, proszę. Jesteś bezpieczny.

Powtarzałam to wiele razy, przez wiele nocy. Wciąż mając nadzieję, że mi uwierzy.

Konflikt trwał jednak we wspomnieniach tego, co wycierpiał. Pokonał armię potworności, ale demony nadal próbowały go przemóc.

Ukrywał dręczące go koszmary. Jawił się swojej świcie, strażom i ludowi jako bohater, wybawca, Król. Grał swoją rolę, stojąc wysoki, uśmiechnięty, z wdziękiem przyjmując hołdy zarówno od srogich wojowników, jak i małych dzieci.

Poddanym ukazywał pogodną twarz, a sekrety duszy chował

głęboko. Nie mógł jednak skrywać ich przede mną. Ja musiałam zachowywać dla niego jasne oblicze, musiałam być silna za nas oboje i chować przed nim tajniki mojej duszy.

Którejś nocy przyszedł do naszej komnaty, niosąc tajemniczo wyglądającą butelkę z szyjką zapieczętowaną woskiem.

— Będę spał całą noc – oświadczył, trochę tak, jak oznajmił kiedyś, że pokona grożącą mu armię ciemności.

Płyn zabulgotał w butelce, gdy postawił ją na stole.

— Co to jest? Napój magiczny?

— Najlepsza whisky – odparł, odchrząkując. – Może pozwoli mi zapomnieć o cieniach.

Zacisnęłam wargi, uśmiechając się krzywo.

— Czy to ma sprowadzać ci słodkie sny, a nie błogość moich ramion?

— Ach, moje kochanie. – Musnął mój policzek z największą czułością, ale jego twarz naznaczona była troską.

Ujęłam jego dłonie, zamykając ich niespokojne drzenie w moich rękach.

Dotąd nie potrzebowaliśmy słów, ale nie zdołałam odczytać myśli, które zachmurzyły mu twarz. Dawniej, podczas wojny, nosił się dumnie, a jego spojrzenie było bystre i stanowcze. Nigdy nie widziałam go tak znękanego.

Ucałował moje dłonie i wyszedł z komnaty. Przynajmniej nie zabrał whisky.

Minął miesiąc, a potem przyszła ta noc, kiedy obudziłam się sama.

Być może zbudziła mnie cisza. Północ – mroczny chłód nocy, kiedy Evrad zwykle zaczynał się pocić, dygocąc, jakby wszystkie

strachy, które w ciągu dnia trzymał na wodzy, rzucały się nań równocześnie – minęła i żadne krzyki mnie nie zbudziły. Usiadłam, macając rękoma po całym łożu, a potem, gdy wzrok przywykł do ciemności, rozglądając się wokół. Byłam sama.

Zaczęłam go szukać. Owinąwszy się ciasno płaszczem, ruszyłam gankiem wzdłuż parapetów murów obronnych, skąd nad równiną widać było połowę naszych włości. Zajrzałam do stajni, gdzie mógłby szukać spokoju w sąsiedztwie śpiących koni. Przewędrowałam z latarnią korytarze, którymi chyba nikt nie chodził od czasu przejścia twierdzy przez Evrada.

Znalazłam go przycupniętego w jakimś zapomnianym kącie, obejmującego głowę rękoma, z twarzą przyciśniętą do ściany. Zdołał jakoś okręcić wokół bioder płaszcz, który zsunął mu się z ramion.

W tej samej chwili dostrzegł go nadchodzący korytarzem wartownik.

— Wasza wielmożność! – krzyknął i ruszył ku niemu.

— Proszę, nie podchodź. – Przeszkodziłam temu, powstrzymując go wyciągniętą dłonią. – A zwracając się do Evrada, powiedziałam: – Panie mój? Panie, czy się obudziłeś?

Dotknęłam jego ramienia. Spojrzał na mnie. Światło latarni ukazało jego policzki zalane łzami.

— Chodź, mój panie. Wracajmy do łoża. – Pomogłam mu wstać, jakby był starcem lub dzieckiem.

Wartownikowi zaś rzekłam:

— Nie powiesz o tym nikomu. Zachowasz to w sekrecie. – A co z następną nocą? A co z nocami, kiedy wartownicy znajdą go, zanim ja zdążę przybiec? Byłam córką maga, ale mimo wszystko

potrzebowałam snu. Potrzebna była dodatkowa para oczu. – Pomożesz mi utrzymać to w tajemnicy?

— Tak, królowo. Och, tak. – W jego oczach było zdumienie i współczucie.

Zapamiętałam jego twarz i imię, Petro. Jeśli kiedykolwiek dotrą do mnie plotki o chorobie króla, człowiek ten odpowie mi za to.

Miewaliśmy dobre noce. Czasem Evrad tylko pojękiwał przez sen w gorączce zmagania z wizjami, jakich nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić. W niektóre, upojeni winem, dorzucaliśmy polan do kominka, aby nagrzać komnatę, i zabawialiśmy się ze sobą aż do zupełnego wyczerpania.

Bywały też noce, gdy nakładałam płaszcz i zabierałam drugi na wypadek, gdyby on zgubił swój, i przy świetle latarni przeszukiwałam puste korytarze. Po ułożeniu go w łóżu zawsze czekałam, aż zaśnie, a potem siadałam przy ogniu i płakałam.

W końcu, zmęczona i zrozpaczona, wyjechałam przed świtem, gdy było jeszcze ciemno. Wykorzystałam to, czego nauczył mnie ojciec: jak poruszać się bezgłośnie, odwracać ciekawskie spojrzenia, nie zostawiać śladów. Zostawiłam w stajni swojego wierzchowca i zabrałam jednego z koni kurierskich, którego braku tak prędko nie da się stwierdzić. Jechałam szybko, zjechawszy z głównej drogi i podążając leśną dróżką prowadzącą przez jary i wąwozy do doliny, w której żył mój ojciec.

Po wojnach usunął się w cień i zamieszkał w dolince za pasmem wzgórz, dobry dzień drogi za miastem. Powiedział, że pragnie znaleźć się poza zasięgiem zwykłych ludzi, którzy teraz, gdy nie było już wielkich problemów, zamęczaliby go drobnymi

sprawami. Stwierdził, że nie zamierza udzielać ludziom mądrości tylko dlatego, że o to proszą.

Jakież to było piękne miejsce. Odbyłam z nim tę podróż wiele razy, gdy się tam osiedlił, ale moje serce było wówczas tak zajęte, tak zbolełe z powodu wojennych cierpień i rozłąki z ukochanym, że nie rozglądałam się na boki. Skalistym zboczem wzgórza spływała woda, która niżej zmieniała się w strumień płynący przez łąkę porośniętą wysoką trawą, upstrzoną barwnymi polnymi kwiatami. Późne słońce przeświecające przez unoszące się kwietne pyłki barwiło powietrze na złoto. Czułam wręcz zapach tego światła, płodnego i pachnącego świeżością.

Popełniłam błąd. Nie powinnam była wyjeżdżać. A przynajmniej powinnam zabrać Ewradę ze sobą do tego spokoju.

Biała chata stała w miejscu, gdzie kończyła się łąka, a zaczynały drzewa. Z otworu w dachu wydobywał się dym.

Moja klacz, dysząca ciężko i pokryta pianą, spuściła łeb i zaczęła skubać trawę. Zdjęłam z niej siodło i wytarłam grzbiet, wyszczotkowałam i puściłam ją wolno. Zostawiłam siodło i inne rzeczy przy bramie i weszłam do środka.

W palenisku w głębi jedynej izby płonął ogień. Przy nim stał kociołek, a obok wisały wszystkie kuchenne przybory. Jeden kąt zajmowało łóżko, w drugim kącie stały stół i krzesło, a resztę ścian zajmowały niezliczone półki z książkami. Na wielkim wyściełanym krześle przy ogniu siedział mój ojciec, owinięty kocem, wpatrując się w płytką miskę napełnioną wodą, którą trzymał na kolanach.

Spokojnie usiadłam u jego stóp jak wtedy, gdy byłam mała.

— Moja królowa, prawda? – powiedział.

Uśmiech rozpromienił jego pokrytą zmarszczkami twarz. Wyłysiałą głowę okalały resztki siwych włosów.

— Wciąż twoja córka.

— Nie, oddałem cię przecież.

— Ojczy...

Westchnął.

— Po co przyjechałaś? Jakież to kłopot wygnał cię z twego domu?

— Może po prostu chciałam cię odwiedzić.

— Wciąż jeszcze widzę, córko. – Dotknął palcami powierzchni wody w misce i prysnął na mnie.

Wzdrygnęłam się, a potem objęłam rękoma kolana.

Pokręcił głową.

— Zamierzałem pozostawić rządzenie światem jego dziedzicom.

— Jeśli wciąż widzisz, to wiesz też, co jest nie tak.

— Powiedz mi. Chcę usłyszeć, co twoim zdaniem jest nie tak.

Byłam królową tego kraju, przeznaczeniem i miłością największego z bohaterów, szczęśliwego i błogosławionego ponad wszelką miarę, a mój ojciec sprawiał, że czułam się jak zagubione dziecko. Być może dlatego bohaterowie baśniowych opowieści niemal zawsze są sierotami.

— Prześladowuje go wojna – powiedziałam. – Ma koszmary. Nie może spać. Wszystko to ukrywa głęboko w sercu, ale czuje w nim udrękę. Jak długo zdoła z tym żyć? Boję się. Boję się bardziej niż wtedy, gdy podniósł miecz przeciw wrogom. Próbuję go pocieszać. Nie wiem, co począć.

Stękając z wysiłku, ojciec przechylił się przez poręcz krzesła,

aby odstawić miskę na podłogę.

— Szukasz więc jakiegoś napoju albo zaklęcia, które temu zaradzą?

Przyjeżdżając tu, nie myślałam o tym. Gdyby istniało coś takiego, chętnie bym tego użyła. Ale przyjechałam z egoistycznych pobudek. Chciałam odpocząć pod opieką kogoś innego, sama mając dość bycia oparciem.

— A może po prostu uciekasz przed tym, czego nie rozumiesz?

Byłam bliska płaczu, ale udawałam, że jestem silna. W świecie, w którym o wszystkich naszych poczynaniach decydowało przeznaczenie, doprowadzając nas w końcu do tego punktu, wystraszyłam się nagle, że mogłoby pozostawić nas teraz samym sobie.

— Zło przetrwało. Myślałam, że udało mu się pokonać je raz na zawsze.

— Jest zmęczony walką. Nic w tym dziwnego. A jak to uleczyć? Trzeba czasu i opieki. Nie znam żadnej magii, która mogłaby to przyspieszyć. Musimy być czujni. Każde z nas ma jakąś rolę do odegrania w tej wojnie. Teraz przyszła kolej na ciebie.

— Ale on jest wojownikiem i królem, a ja tylko... – O mało co użyłabym jednego z wielu określeń: kobieta, pionek, symbol. Żadne opowieści nie przygotowały mnie do bycia kimś innym.

— On jest królem, musi ukrywać swoje lęki. Na tobie więc spoczywa zadanie utrzymania go w umysłowym zdrowiu.

— Musiała zajść jakaś pomyłka. Czy prawdziwy Dziedzic Twierdzy cierpiałby w taki sposób?

— Czy ktoś niebędący Dziedzicem przetrwałby, aby móc tak cierpieć?

— Nie potrafię tego zrobić – powiedziałam, roniąc powstrzymywane dotąd łzy.

Ojciec uśmiechnął się i musnął moje włosy dotkniętą reumatyzmem ręką.

— On powiedział mi to samo, wyruszając na swoją ostatnią bitwę. Powiem ci, co mu wtedy odrzekłem. – Ujął moją dłoń. Jego ręka była ciepła i sucha. – Może to i prawda, powiedziałem. Musisz jednak próbować, bo nikt tego za ciebie nie robi.

Przytuliłam dłoń ojca do twarzy, pragnąc znowu być dzieckiem mogącym ukryć się za oparciem jego fotela, nieuczestniczącym w troskach tego świata.

— Być może stoczysz bitwę najcięższą ze wszystkich – ciągnął dalej. – Żadne zwycięstwo nie zniszczy tego wroga. To nie jest potwór, którego zabijesz i sprawa załatwiona.

— I nikt nie będzie śpiewał o moich bitwach.

Tę noc przespałam zwinięta pod kocami przy palenisku – pierwszą noc, w której nie obudziły mnie nocne wędrówki i krzyki pod wpływem koszmarów. Ceniłam sobie spokój tej doliny. Rano usiadłam na łące przy strumieniu. Od czasu, gdy zostałam królową i zamieszkałam w Twierdzy, rzadko miałam kontakt z żywą ziemią, rzadko wdychałam zapach traw i dotykałam polnych kwiatów nagrzanym słońcem. Tutaj mogłam choć przez chwilę udawać, że żadna z tamtych rzeczy się nie wydarzyła.

Ojciec przyszedł do mnie. Wiele czasu zajęło mu siadanie na ziemi, opierał się przy tym na lasce. Nigdy przedtem nie używał laski. Zbyt późno wyciągnęłam rękę, by mu pomóc. Nigdy przedtem nie potrzebował pomocy, więc nie pomyślałam o tym.

Długo się mościł, układając szatę i laskę wokół siebie, a potem długo patrzył na wodę.

— Kiedy do niego wrócisz? – zapytał w końcu.

— Nie wiem. – Musiałam zebrać siły. Mogłam też spędzić resztę życia na zbieraniu sił i ciągle nie mieć ich dość.

— Zrób to szybko.

Wyskubywałam trawę, wijąc z niej jakiś splątany wieniec, którego szczątki rzuciłam w końcu do strumienia.

— Jeśli nie chcesz, bym została, mogę pojechać gdzie indziej.

— Chcę, żebyś wróciła do domu. Twoje dziecko powinno znać swego ojca.

— Moje... – Zarumieniłam się i poczułam, jak przez moje ciało, od bosych stóp do czubka głowy, przepłynęła fala gorąca. A potem zrobiłam oczywisty ruch, kładąc dłoń na brzuchu. – Nie masz na myśli...

Uśmiechnął się tajemniczym kocim uśmiechem.

— Wciąż potrafię widzieć. A ty nadal się uczysz.

Dziecko. Moje dziecko. Jego dziecko. Och, miej litość. Wybacz mi.

— Ojczy, muszę jechać.

— Tak, musisz.

Złapałam klacz, osiodłałam ją prędko i pomknęłam jak wicher. Galopowałam dobrą milę, gdy nagle ściągnęłam wodze. Przecież nosiłam w sobie dziecko. Powinnam bardziej uważać.

Co by powiedział Evrad? Może z dzieckiem w ramionach będzie sypiał lepiej?

W połowie drogi do Twierdzy dobiegł do mnie z naprzeciwka tętent galopującego konia. Poczekałam, aż wyłoni się zza zakrętu.

Był to biały jak śnieg rumak bojowy ze złotym napierśnikiem i złotymi kłamrami na uprzęży, z powiewającą grzywą i ogonem. Jeździec spiął gwałtownie wierzchowca, który zarył kopytami w ziemię, wzbijając pył.

Znałam tego ogiera i znałam jeźdźca, który zeskoczył z jego grzbietu i podbiegł do mnie.

Zsiadając, potknęłam się i zachwiałam, i aby nie upaść, złapałam dłonią za łęk siodła. Oto był mój bohater, mój Król, kroczący ku mnie z uniesioną głową, z mocą i determinacją. Chmurny i dumny, taki, jakim go widziałam, gdy ruszał na wojnę, a jakim nie oglądałam go od dawna. Wojna mi go nie odebrała.

Chciałam do niego podbiec, ale postąpiłam tylko parę kroków, gdy złapał mnie w ramiona i mocno przytulił. Jego skórzany kaftan uciskał moje ciało, a szorstki policzek ocierał się o moją twarz.

— Wybacz – wykrzykiwałam raz za razem, łkając na jego ramieniu.

Mruczał do mnie uspokajająco.

— Szysz. Wystarczy, że jesteś bezpieczna. Odgadłem, dokąd pojechałaś, i też wyruszyłem, aby cię błagać o powrót do domu. Chciałem nawet ci obiecać, że będę się przywiązywał do łoża, abyś już nie musiała szukać mnie nocami. Albo żeby wartownicy co wieczór mnie ogłuszali, żebym spał do rana.

Roześmiałam się.

— Nikt z twojej straży by się nie ośmielił, mój panie.

Dotknął mego policzka, ścierając zeń łzy.

— Wiem, że jesteś córką czarodzieja. Twój duch jest dziki,

wolny jak wiatr, a wola mocna. Nie mam nic, czym mógłbym cię związać, ale obiecaj mi, że już nigdy mnie nie porzucisz. Obiecaj.

Och, jak bardzo związały mnie takie słowa. Czy wiedział, że to właśnie słowa najsilniej wiążą maga albo jego córkę?

— Obiecuję – powiedziałam.

Mężczyźni walczą o symbole: o koronę, tron, o linie na mapie.

Kiedy odzyskał swoją Twierdzę i pobraliśmy się, nasza historia się zakończyła, ale nasze życie trwało. Żadna ze starych opowieści nie przygotowała mnie na bitwy, które staczałam teraz.

Przypomniałam sobie dzień, w którym wyszedł z dworu mego ojca i udał się na ostatnią bitwę, kiedy wszyscy oprócz mnie wierzyli, że idzie na spotkanie śmierci.

Zatrzymałam go tak długo, jak było to możliwe.

— Chciałabym wyruszyć z tobą, chciałabym zrobić coś więcej, niż tylko czekać tu na wieści.

— Ależ ty już robisz tak wiele.

— Co? Cóż ja takiego robię? – odparłam, uśmiechając się zdziwiona.

— Jesteś symbolem wszystkiego, o co walczymy: wszystkiego, co piękne.

Mężczyźni walczą o symbole. O co więc walczą kobiety?

Znowu wędrowałam nocami, szukając i oświetlając sobie drogę latarnią. Poruszałam się powoli, bo już siedem miesięcy minęło, odkąd nosiłam dziecko. Miałam na sobie dwa płaszcze i futrzane buty, bo nadeszła zima. W złe noce, kiedy strachy wyrывały Evrada ze snu, odnajdywał jakieś ciemne przejścia i dygotał tam z zimna, tocząc w swojej głowie bitwę z demonami.

Przemierzałam wszystkie korytarze twierdzy i nie mogłam go znaleźć. Petro też nie mógł go dostrzec.

W złe noce chował się w ciemnych przejściach. A ta noc była najgorsza.

Znalazłam go na blankach najwyższej wieży. Wieżycyca pnąca się wysoko w górę nad gładkim murem fortecy służyła jako punkt obserwacyjny i miejsce wysyłania sygnałów ogniowych. On zaś przechylił się nad murem, patrząc prosto w dół, z wysokości stu stóp nad twardą ziemią.

Wstrzymałam oddech i zdusiłam w sobie krzyk.

— Mój panie? Evrad... – powiedziałam łagodnie drżącym głosem. – Co robisz?

Wgramolił się z powrotem i usiadł na samej krawędzi parapetu. Patrzył na mnie, jego oczy błyszczały dziko. Dygotał. Pot zlepiał mu włosy, a twarz była zupełnie blada, bezkrwista. Miał na sobie tylko bryczesy, jego ramiona pokrywała gęsia skórka.

Gdybym sięgnęła ku niemu, nagły gest mógłby posłać go w otchłań.

— Wracaj do łóża. Dlaczego musisz za mną chodzić?

Bo go kochałam. Bo się o niego martwiłam. Bo był to mój obowiązek, a musiałam postępować tak, żeby nie rozeszły się pogłoski o jego nocnych lękach. Ale tego nie powiedziałam.

— Pójdę za tobą na koniec świata, aż do straszliwych urwisk, gdzie kończy się ziemia, jeśli będę musiała. Ale pójdę za tobą.

— Jak demony.

— Jestem szybsza od demonów. Nie dopadną cię przede mną.

— Czy podążysz za mną tam? – Skinął głową ku przepaści za

murem.

Księżyc był prawie w pełni, świecił nisko na niebie, malując głębokie cienie w krajobrazie. Wypełzały z za każdego domu, z za każdej wieży, z za murów miasta i z za każdego wzniesienia i sięgały w stronę twierdzy.

— Szepczą mi do ucha: skacz. Och, Alido.

Nogi ugięły się pode mną i przysiadłam na kamieniach, bojąc się stracić równowagę. Nie mogłam zasłonić księżyca, aby przegnać te cienie.

— Ewradzie, o co walczyłeś? Czy o to, by na koniec rzucić się z wieży? Wtedy one zwyciężą. Wróg jest martwy i już go nie ma, ale wówczas wygra wojnę. Wszystko będzie na nic. O co walczyłeś?

— Sam już nie wiem...

— O mnie, Ewradzie! Walczyłeś o mnie! Teraz jestem twoja. Nie musisz już walczyć. Zwyciężyłeś.

Pokręcił głową.

— Nie jestem cię wart. Zasługujesz na coś lepszego. Na kogoś, kto nie ma nocnych koszmarów.

Roześmiałam się i nagle zamknęłam usta dłonią, by śmiech nie zabrzmiał szyderczo.

— Ja zasługuję na kogoś lepszego? Ewradzie, jesteś bohaterem tej epoki, legendarnym królem. I ja miałabym zasługiwać na kogoś lepszego? Kim według ciebie jestem?

Spojrzał na mnie. Patrzył spod zmarszczonych brwi długo i nieporuszenie.

— Jesteś wszystkim.

Podpełzłam do niego.

— Zejdź stamtąd, Evradzie. Chodź do mnie. – Wyciągnęłam do niego rękę. Musiałam być silniejsza niż cienie. Mój głos powinien jednak brzmieć bardziej kusząco. – Dotknij mnie. Po prostu mnie dotknij.

Mały cel, łatwe zadanie, w jego zasięgu. Szczupła dłoń znieruchomiała w ciemnościach. Pochylił się z rozchyłonymi ustami, z wyrazem tęsknoty.

Przetoczył się przez szczyt muru prosto w moje ramiona.

— Nie chcę nikogo lepszego. Nie chcę bohatera i króla. Chcę ciebie. – Siedzieliśmy tak przez długie godziny, tuląc się do siebie dla ochrony przed chłodem.

Zaprowadziłam go do łoża i ogrzewałam swoim ciałem. Drżał. Nie okazałam się wystarczającą osłoną przed zimnem.

— Widzisz ich? W tych cieniach na ścianie? – zapytał.

Płomień świecy migotał w przeciągu. Krzywe cienie pucharu, świecznika, grzebienia tańczyły i drżały wokoło.

— To tylko światło i mrok.

— Wiem o tym, ale ja widzę wspomnienia. Widzę tysiące goblinów rzucających się na płonące szanice miasta. Widzę, jak wciągają moich ludzi w ogień. I nic nie mogę na to poradzić. Nie unicestwiłem ich. Wciąż tu są, obserwują nas.

Nieomal ujrzałam ich czerwone oczy i szponiaste łapy. Mimo wszystkiego, co armia Evrada zdołała ocalić, dziesięć tysięcy jego ludzi poległo na wojnie. Gobliny potrząsały włóczyniami, które kołysały się jak fale oceanu nad ich głowami. Nie było mnie tam, ale prawie mogłam to zobaczyć. On żył na co dzień z tymi wizjami, które wypełniały jego umysł na jawie. Jak zdołał to wytrzymać?

Wstałam i zdmuchnęłam świecę, przepędzając cienie. Wróciwszy do łóża, przytuliłam się do jego pleców i szepnęłam mu do ucha:

— Już sobie poszły.

Evrad płakał.

Po pewnym czasie zrozumieliśmy, co przywoływało te ponure wspomnienia. Ogniska. Cienie pod księżycem w pełni. Wreszcie nasi synowie w zbrojach. Och, jakie koszmary przeżywał po tym, gdy nasz Biron spędził swój pierwszy dzień w zbroi. Gdybym mogła zmienić świat, odmienić bieg słońca i księżyca, od nowa napisać wyroki przeznaczenia, spisane kiedyś przez wielkie niewidzialne ręce, wówczas nasze dzieci nigdy nie musiałyby uczyć się walczyć. Były jednak dziećmi króla i musiały opanować sztukę władania bronią. Evrad na to nalegał. Nawet gdy obudził się w nocy i zwierzał mi się, że widziane w koszmarach twarze jego ginących ludzi zmieniają się w twarze naszych dzieci.

Z czasem noce stały się łatwiejsze. Przy dzieciach, które zajmowały jego uwagę – z początku był to syn, potem jeszcze dwie córki i drugi syn – kładł się do łóża zmęczony i szczęśliwy. Nie przywiązywał już tak wielkiej wagi do cieni.

W królestwie zaś panował pokój, który trwał za czasów naszych dzieci i przetrwał do czasów dzieci naszych dzieci, i będzie trwał jeszcze dłużej. Zupełnie jak w opowieściach.

Siedzę przy oknie. Moje siwe włosy splecione są w warkocz, a pomarszczone dłonie spoczywają na wytartym kocu otulającym kolana. Evrad też jest stary, ale nosi swój wiek, siwiznę i zmarszczki jak cenną nagrodę. Wciąż wyjeżdża konno, trzymając się w siodle prosto jak posąg, a ja nieustannie go wyczekuję.

Drzwi za mną otwierają się i zamykają delikatnie. Nasz najmłodszy syn Perrin stara się mi nie przeszkadzać. Nie muszę się oglądać; jestem w końcu córką mego ojca i w ciągu lat rozwinęłam w sobie wiele jego zdolności. Mój ojciec jednak już nie żyje.

Perrin podchodzi do mego krzesła i klęka na dywanie. Dzięki temu staje się taki mały jak wtedy, gdy był jeszcze dzieckiem. Patrząc też na niego jak na chłopca, który przyszedł mnie o coś poprosić. Jest jednak mężczyzną, ma brodę i dumne oczy swego ojca.

— Matko? Już prawie skończyłem. Lecz mam jeszcze jedno ostatnie pytanie.

Inne moje dzieci zostały żołnierzami, dyplomatami, mężami, żonami, rodzicami i uzdrowiaczami. Perrin jednak, choć uczył się pilnie szermierki i dobrych manier razem ze swoim rodzeństwem, nie został kimś takim. Jest uczonym, historykiem, kronikarzem. Bardem.

Spisywał długo relację o wielkiej Wojnie o Twierdzę i o zmianie epoki. Czytałam jej fragmenty – te, które uznał za stosowne mi pokazać – i ledwo rozpoznawałam zdarzenia i trudności, przez jakie w życiu przechodziłam. Czyta się to jak jakieś stare opowieści.

— Och? – mruknęłam. – Dlaczegożby nie wymyślić odpowiedzi? Nie zabrzmiałoby ani odrobinę gorzej od tego, co już napisałeś.

— Nie pisałem żadnych kłamstw...

— Nie. Oczywiście, że nie. Ale odmalowałeś prawdę w nader śmiałych barwach. – Ach, doprawdy, nawet mój ojciec mógłby to

powiedzieć.

Patrzy w bok, uśmiechając się. Tak samo jak mogłabym zrobić ja, klęcząc przy krześle mego ojca.

— Chciałbym zapytać o jedną rzecz, co do której nie mam nawet pewności, czy wydarzyła się naprawdę.

Zamilkł, bijąc się z trudnymi myślami, próbując się wysłowić. Mój syn bard z zawiązanym językiem. O mało się nie roześmiałam, ale on wyglądał bardzo nieszczęśliwie. W końcu powiedział:

— Kiedyś, gdy byłem dzieckiem, całkiem małym, obudził mnie hałas i bardzo się wystraszyłem. Pomyślałem, że pójde do waszej komnaty, aby poczuć się bezpieczniej. Korytarze były bardzo ciemne. Szedłem pod ścianami jak mysz, lękając się, że zgubię drogę we własnym domu. Wtedy posłyszałem krzyk. Skręciłem i za rogiem korytarza zobaczyłem światło latarni. W kręgu światła ujrzałem ciebie i ojca siedzących na posadzce. Trzymałaś go w ramionach, a on płakał. Myślałem, że serce mu pęknie. I zrozumiałem, że boi się czegoś, i to bardziej, niż ja kiedykolwiek się bałem. Ten widok... przeraził mnie. Pobiegnę z powrotem do swego łóżka. Do samego rana drżałem ze strachu pod przykryciem i nigdy dotąd nikomu o tym nie mówiłem. Powiedz mi więc: czy to, co zobaczyłem, działo się naprawdę?

Evradowi i mnie zawsze udawało się trzymać dzieci z dala od naszych kłopotów. Przeważnie tak było. Obecnie Evrad rzadko wędruje we śnie. Nie ma powodu, by ktokolwiek o tym wiedział.

— Tak, tak było tamtej nocy i przez wiele innych. Okropności wojny prześladowały go przez wiele lat. Nie można wykluczyć, że na koniec wróg pozostawił mu te wizje w zemście. A może po

prostu taka jest cena zwycięstwa. – Potrząsnęłam głową. Wymyślałam już wiele wytłumaczeń, ale najprostsze jest chyba najprawdziwsze: prześladowuje go własna pamięć i nikogo nie można za to winić.

Pochyliłam się i kładę dłoń na ramieniu Perrina.

— Nie wolno ci o tym pisać. Nie wolno ci dodać tego do twojej kroniki.

— Ależ... to będzie znaczyło, że podróż bohatera nie została zakończona. Przecież to jeszcze bardziej uwzniośla jego zwycięstwo, bo wciąż walczył i wciąż na nowo zwyciężał.

— Bohater musi być silny, silniejszy niż zwykły człowiek, a kiedy zostaje królem, jego rozterki muszą się zakończyć. Taki jest koniec tej opowieści. Takie jest prawo opowieści o bohaterach, Perrinie, choć wszyscy musimy dalej żyć. Gdyby ludzie ujrzeli go inaczej, to wydaje mi się, że zabrakłoby im ducha. Wierzyliby w niego mniej. – Zmęczona oparłam się i złapałam oddech.

— Wierzyliby mniej, bo jest człowiekiem?

— Właśnie tak.

Obserwowałam, jak Perrin myśli. Gdy był dzieckiem, potrafił zadrećcać nas pytaniami znacznie dłużej od pozostałych dzieci. Był tym, który chciał wiedzieć, dlaczego ptaki o innym upierzeniu śpiewają inne pieśni i dlaczego woda nie może płynąć pod górę. Moja zdolność udzielania odpowiedzi zdążyła się wyczerpać. Teraz też mam nadzieję, że nie ma już więcej pytań.

— Chyba rozumiem – mówi w końcu. – Wojna się kończy, epoka się kończy, opowieść się kończy.

— Tak, aby dzieci mogły wymyślać własne opowieści.

Kiwa głową i ku swemu zdziwieniu mam wrażenie, że

rzeczywiście zrozumiał.

— Jeszcze jedno pytanie – mówi, a ja zbieram siły. – Co było trudniejsze? Te bitwy, które otworzyły nową epokę, czy te późniejsze?

Dziwne. Patrząc wstecz, zauważam tylko te późniejsze. Te, które odbyły się przedtem, przydarzyły się komuś innemu, w innej epoce.

Cmokam z zastanowieniem i myślę, co powiedziała by mój ojciec.

— To nie jest uczciwe pytanie. Nie ma znaczenia, co jest trudniejsze, bo nikt nie zna bitew, które nadejdą później.

Cienie przemykają po posadzce i wspinają się na sufit. Opływają wokół łoża i mego śpiącego pana. Jeden cień jest jak otwarte usta, inny jak wyciągnięta ręka sięgająca do jego ramienia.

— Uciekajcie od niego. – Wypiłam zbyt wiele wina i wzrok mi się mąci. Rzucam puchar. Wino pryska fontanną kropel na posadzkę. Srebrny puchar upada z brzękiem. To odgłos uderzających mieczy lub nieludzkich zębów wyszczerzonych w ryku zwycięstwa. – On jest mój! – krzyczę, wstając. – Nigdy go nie dostaniecie.

Krew tętni mi w uszach jak śmiech. Chcę krzyczeć, otwieram usta, a wtedy...

— Kochanie? Co ty wyprawiasz? – Siadając, ociera sen z powiek i unosi brwi w zaciekawieniu.

— To światło – odpowiadam przejęta. – Miałeś wtedy rację. Demony przyszły po nas.

Przeszukuje pokój, a jego oczy połyskują złoto w blasku

świecy. Twarz ma spokojną, ale bierze nieco drżący oddech, gdy odpowiada:

— To tylko światło. Wracaj do łóżka.

— Muszę znowu cię zdobyć. Walczyłeś na wojnie i wygrałeś. Teraz moja kolej. Teraz ja muszę wygrać cię dla siebie!

Zaciskam pięści. Szczeka mi drży w bezgłośnym krzyku. Mój Król patrzy na mnie. Po chwili jego zmarszczone czoło łagodnieje, a zmęczona twarz odpręża się w uśmiechu. Zobaczyć go tak uśmiechniętego, w nocy... ależ ja muszę wyglądać zabawnie, w tej wściekłości, w kałuży rozlanego wina, w nocnej koszuli zsuwającej się z ramion.

— Wiem, że tego dokonasz – odpowiada po prostu. – Chodź do łóżka, kochanie.

Wracam do niego, oplatom go ramionami i całuję długo i tęsknie. Jego ramiona obejmują mnie, zapraszające i gorące. Bardzo gorące.

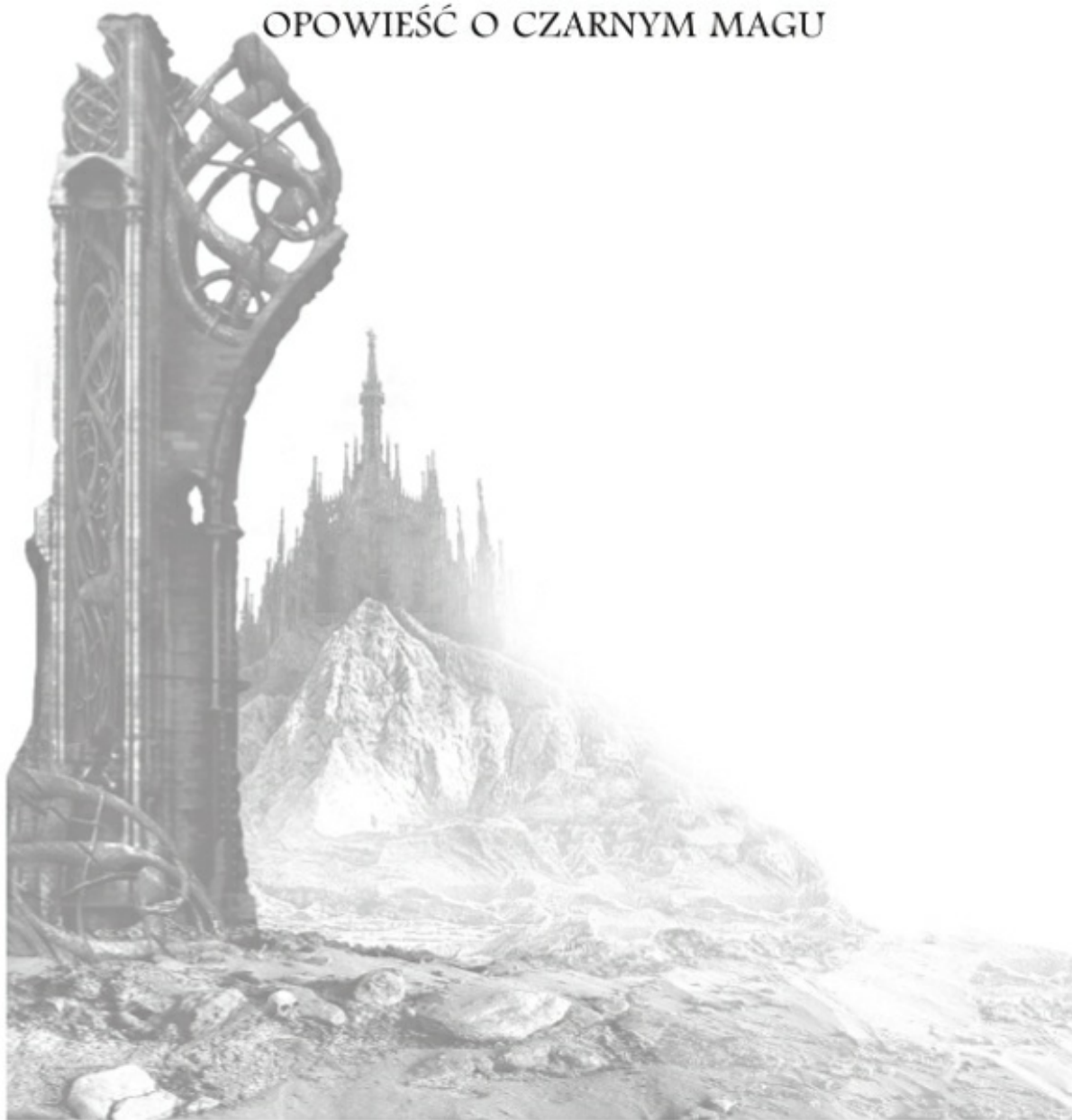
Odrywa się ode mnie na krótką chwilę.

— Wiem, jak odpędzić cienie – mówi, po czym zdmuchuje świecę.

Przetłóżył Jerzy Moderski

Trudi Canavan

SZALONY UCZEŃ
OPOWIEŚĆ O CZARNYM MAGU



Trudi Canavan mieszka w Melbourne w Australii. Odkąd pamięta, zawsze wymyślała rozmaite historie o nieistniejących miejscach i ludziach. Jej pierwsze opowiadanie Szepty dzieci mgły otrzymało nagrodę Aurealis za najlepsze opowiadanie fantasy roku 1999. Gdy minął związany z tym wstrząs, Trudi dalej pisała powieść, z której niebawem zrobiły się trzy: Gildia magów, Nowicjuszka i Wielki mistrz, składające się na „Trylogię Czarnego Maga”. Potem powstała następna trylogia, „Era pięciorga”. W 2009 roku ukazała się Uczennica Maga, prequel „Trylogii Czarnego Maga”, a w następnych latach jej sequel „Trylogia zdrajcy”. Autorka ma zamiar napisać kiedyś cykl, który nie będzie składał się z trzech części.

Dzbanek sumi uniósł się w górę, jakby kierowany własną wolą, przechylił się i wlał gorący napój do jej czarki. Indria spojrzała na brata. Uśmiechnął się, a ona przewróciła oczyma.

— Widzę, że w ćwiczeniach magii robisz postępy, Taginie – zauważyła.

Dzbanek opadł z powrotem na stół, a Tagin machnęła lekceważąco ręką.

— To nic takiego. Ćwiczenia dla pierwszoroczników. Nudy.

Sącząc napój, Indria przyglądała się bratu znad krawędzi czarki. Miał jasne oczy, a od chwili przyjazdu nie mógł usiedzieć spokojnie. Znaczyło to zwykle, że jest w dobrym nastroju. Kiedy był skulony i gniewny, musiała podwójnie zważać na słowa, bo w tym nastroju niewiele mu było trzeba, by wybuchnąć. Dziś jednak coś było z nim nie tak. Choć był pogodny, to w jego ruchach czuło się jakieś napięcie, a jego wzrok wciąż krążył po pokoju.

— Czy uczysz się teraz czegoś ciekawszego?

— Z Magiem Herrolem jako moim nauczycielem? – Parsknął szyderczo i spojrział w bok. – Niespecjalnie.

Indria stłumiła westchnienie i odstawiła czarękę. Tagin był uczniem magii od ponad dwóch lat, ale jak to zwykle bywało z większością jego pasji, stracił cierpliwość do swoich ćwiczeń i swego nauczyciela. Przeważnie potrafił znajdować sobie coś nowego, co angażowało jego błyskotliwy umysł. Magia jednak nie była zwykłym hobby ani sposobem na zabicie czasu. Miała kiedyś zapewnić mu dochody i miejsce w społeczeństwie. Gdyby zakończył swoją naukę, zanim jego mistrz nauczy go wyższej magii i go wyzwoli, nie otrzymywałby pensji od króla czy zleceń płynących z Domów.

— Być może gdyby Mag Herrol powrócił do miasta, do Gildii, byłoby lepiej. Miałbyś więcej nauczycieli.

Tagin uśmiechnął się kpiąco.

— Proponował to, ale jaki byłby w tym sens? Wszyscy magowie z Gildii są podobni do niego: nadęci starcy. Wolę trzymać się od nich z daleka i wystarczająco blisko ciebie, żeby cię odwiedzać. – Uśmiechnął się. – Chyba nie chciałabyś, żebym cię zostawił całkiem samą, tylko w towarzystwie Demrela, co?

Indria skrzywiła się. Zdaniem jej rodziny lord Demrel był doskonałym mężem. Polepszył ich relacje z Domami, co przyniosło im wymierne korzyści handlowe. Był bogaty i hojny. Był też jednak człowiekiem gburowatym i zaborczym, a ponadto liczył tyle lat, że mógłby być jej ojcem. Wychowując się ze swoim nieobliczalnym bratem, nauczyła się jednak, jak postępować z trudnymi mężczyznami, a Demrel był znacznie mniej kłopotliwy

od Tagina. Lecz nie cierpiała, gdy Demrel traktował ją jak dziecko i idiotkę.

Tagin bywa niesforny, ale nie myśli, że jestem głupia, pomyślała. I przynajmniej mnie kocha – na swój sposób.

— Gdy będziemy rządzić światem, zbuduję dla nas pałac w mieście – rzekł Tagin z błyskiem w oku. – Pozbędziemy się Demrela i wszystkich tych starych, nudnych magów.

Uśmiechnęła się, rozpoznając ich starą zabawę. Bawili się w to od dzieciństwa.

— Gdy będziemy rządzić światem, Demrel i Gildia będą przeszukiwać cały kraj w poszukiwaniu darów, jakie będą składać u naszych stóp – odparła.

Uśmiechnął się.

— Gdy będziemy rządzić światem... – Zamilkł, kierując uwagę gdzie indziej, ku oknom.

Indria usłyszała tętent galopujących koni.

— Goście – powiedziała. – Ciekawa jestem, kto to może...

Przerwała, gdy Tagin zerwał się na równe nogi i skoczył do okna, lecz po kilku krokach stanął jak wryty, spoglądając w dół, na dziedziniec.

— A niech ich – rzucił posepnym, zrezygnowanym tonem. – Muszę iść.

— O co chodzi?

Wstała i podeszła do szyby. W dole pod nimi kłębiły się trzy konie. Jeźdźcy, ubrani w stroje wyższych magów, podawali właśnie wodze służącym, którzy ich powitali. Jeden z przybyłych spojrział w górę i dostrzegł ją. Kątem oka zauważyła, jak Tagin odchyła się w tył, schodząc z pola widzenia. Spojrzała na niego,

potem na magów w dole, i poczuła, że opuszcza ją odwaga.

Przyjechali tu po Tagina, domyśliła się. I nie jest to wizyta towarzyska. Wiedziała jednak z długiego doświadczenia, żeby takich myśli nie wypowiadać głośno. Gdyby się okazało, że ma rację, Tagin mógłby uznać, że wiedziała już wcześniej o ich przyjeździe, a może nawet wydała go im.

— Kim oni są? – zapytała.

— Magami – odparł.

— Widzę to po ich strojach – powiedziała z rozdrażnieniem. – Jak się nazywają? Po co tu przyjechali? Czy chcą się zobaczyć z Demrelem?

— Chcą mnie. Chcą mnie zabić.

Gdy na niego spojrzała, uśmiechnął się krzywo. Czasem Taginowi zdawało się, że wszyscy chcą go skrzywdzić. Nawet ona. Potrząsnęła głową.

— Po co tu naprawdę przyjechali?

Jego uśmiech przygasł.

— Zrobiłem coś złego. – Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

Indria przewróciła oczyma.

— Co tym razem?

— Zabiłem Maga Herrola – odparł, nie oglądając się za siebie.

Wpatrywała się w jego plecy. *Z pewnością żartuje.* Tagin był wybuchowy i miewał okrutne poczucie humoru, ale nie był zabójcą. Zdarzało mu się uderzyć służącego albo konia, a gdy był chłopcem, miał skłonność do dręczenia domowych zwierzątek mamy, ale nigdy żadnego nie zabił.

Otworzył drzwi. Z zewnątrz dobiegły głosy i kroki, coraz głośniejsze. Zamknął drzwi i gwałtownie się rozejrzał, a w jego

spojrzeniu nagle pojawił się strach.

— Pomóż mi, Indrio – rzucił bezradnie. – Jakoś muszę się stąd wydostać!

Serce w niej zamarło. Naprawdę był przekonany, że chcą mu zrobić krzywdę. A skoro był w takim nastroju, lepiej było pozwolić mu uciec i ukryć się, niż z nim dyskutować. Uspokoi się i wróci. Jeśli magowie uznali, że Tagin jest mordercą, to mogą go zabić, zanim zdoła się uspokoić, wszystko wyjaśnić i udowodnić swoją niewinność.

Skinęła na niego i podbiegła do bocznych drzwi. Gdy przeszli przez nie do wąskiego korytarza, zaczęła się zastanawiać, czy zostanie ukarana za udzielenie mu pomocy. Na pewno nie. Jeżeli wyjaśni, że była zbyt wystraszona, by postąpić inaczej, Gildia uzna ją bardziej za ofiarę niż za współniczkę.

Czy jednak byłaby to prawda? — zastanawiała się. Czy wciąż jeszcze boję się Tagina? Pomyślała o ciągach, jakie otrzymywała od niego, zanim nauczyła się go uspokajać albo nie doprowadzać do złości. Gdy wyszła za męża, już nie ośmielał się jej krzywdzić z obawy, by Demrel tego nie zauważył i nie zakazał mu odwiedzin.

A gdybym mogła go wydać, ale tak, żeby żadne z nas nie ucierpiało, to czy zrobiłabym to?

Raczej nie. Był jej bratem. Poza swoją porywczością był tylko wrażliwym, samotnym chłopcem o mądrym umyśle. Nie chciałyby dopuścić do jego uwięzienia. Popadłby w szaleństwo – bardziej niż dotąd – gdyby znalazł się w zamknięciu.

Dotarli do drzwi gabinetu jej męża. Gdy wchodzili do środka, kroki Tagina rozlegały się głośno za jej plecami.

— Masz szczęście, że Demrela nie ma. Nigdy by cię tu nie

wpuścił – powiedziała, podchodząc do dużej drewnianej szafy. – Czy otworzysz ją dla mnie?

Zmrużył oczy, wpatrując się w zamek, po czym posłyszała jego szcęk. Rozchyliła drzwi i odsunęła zasuwkę blokującą drzwi wewnętrzne. Zimne powietrze napłynęło z widocznej za nimi wąskiej szczeliny.

— Tam jest drabina. Nie wiem, dokąd to wyjście prowadzi, ale musi być bezpieczne, inaczej Demrel by go nie używał.

Tagin uniósł brwi.

— Dlaczego jakoś mnie nie dziwi, że twój mąż ma sekretne wyjście ze swego własnego domu?

— Wiem o nim tylko dlatego, że któregoś razu utknął w nim i nikt oprócz mnie go nie posłyszał, gdy wołał o pomoc. Nie pozwolił mi zawołać żadnego ze służących. Musiałam sama go stąd wyciągnąć.

Tagin skrzywił usta z niesmakiem.

— Powinnaś go zostawić i wyjechać ze mną.

Potrząsnęła głową.

— Przecież go nie cierpisz.

— Tak, ale nie cierpię też być bezdomna i ścigana. – Spojrzała na niego poważnie. – No i opóźniałabym twoją ucieczkę. Będę ci mogła lepiej pomóc, jeśli tu zostanę.

Popatrzył na nią i otworzył usta, by się odezwać, ale dotarł do nich odgłos kroków zza drzwi pokoju, z głównego korytarza.

— Szybko! – syknęła. – Właż tam i zamknij za sobą drzwi.

Gdy gramolił się do środka, poczuła, że jej serce zaczyna łomotać. Zatrzasnęła drzwi i posłyszała szcęk zamykanego zamka. Z szafy dobiegały odgłosy przeciskania się. Coraz głośniej

rozlegały się kroki za drzwiami. Serce biło gwałtownie. Jeśli Tagin nie przestanie hałasować, magowie z pewnością go usłyszą i sprawdzą wewnątrz szafy. Rozległo się pukanie do drzwi gabinetu, a jej serce zamarło.

Odgłosy z wnętrza szafy nareszcie ucichły. Indria odetchnęła głęboko, otarła spocone dłonie o boki sukni i przeszła wolno przez pokój. Otworzyła drzwi gabinetu i nieomal zadrżała, widząc stojący przed sobą mur męskiej władzy.

— Witajcie, panowie – powiedziała z taką dozą godności, na jaką ją było stać. – Jeśli szukacie mego męża, to obawiam się, że jest nieobecny. W czym mogę panom pomóc?

Magowie weszli do pokoju. Pierwszy był wysoki, dość przystojny i w niczym nie odpowiadał opisom brata, który opowiadał jej o spotykanych magach. Drugi był tak siwy i przygarbiony od upływu lat, jak mówił Tagin. Trzeci był w wieku pośrednim pomiędzy swymi towarzyszami, a na jego twarzy malował się wyraz dezaprobaty i rozczarowania.

— Jestem Lord Arfon – odezwał się wysoki mag. – To jest Lord Towin, a to Mag Beller. Czy jest tutaj twój brat, uczeń Tagin?

— Był, ale wyszedł.

Arfon spojrzał na nią z góry, marszcząc brwi.

— Czy wiesz, gdzie teraz przebywa?

— Nie. O co chodzi?

— Popełnił straszliwą zbrodnię. Zamordował Maga Herrola.

Udała, że jest wstrząśnięta i zaskoczona.

— Zamordował?

— Tak. Twój brat nic ci o tym nie powiedział, jak się domyślam.

— Nie. – Odwróciła głowę. – Mówił, że ma kłopoty. Nie wyjaśnił, o co chodzi. – *To wystarczająco bliskie prawdy.* Obróciła się i spojrzała na niego z bliska. – Czy jesteście pewni, że Tagin jest mordercą?

— Tak – odparł, spokojnie znosząc jej wzrok. – Odczytałem umysł służącego, który był świadkiem tej oraz innych, wcześniejszych zbrodni. Czy wiesz, że twój brat w sekrecie uczył się wyższej magii, wbrew królewskiemu prawu?

Indria potrząsnęła głową, tym razem nie musząc udawać zaskoczenia.

— Od miesiący czerpał magiczną siłę ze służących, niewątpliwie przygotowując się do usunięcia swego mistrza – stwierdził z widocznym niesmakiem nachmurzony mag.

— Ale... – wtrąciła się w końcu Indria – Tagin nie zrobiłby tego. Mogę sobie wyobrazić, że uczył się z nudów czegoś zakazanego. Nie jest jednak typem mordercy.

Lord Arfon uniósł brwi.

— Twierdzisz zatem, że znałaś wystarczająco wiele typów morderców, aby odróżnić je od typów niemorderców?

— Proszę ze mnie nie kpić. – Uniosła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy. – Jest moim bratem. Znam go lepiej niż ktokolwiek inny.

Zacisnął wargi w zamyśleniu, a potem schylił głowę.

— Wybacz mi. To było nietaktowne, a sprawa jest poważna. Czy domyślasz się, dokąd twój brat mógł się udać? Zwykle odczytanie umysłu twego brata pozwoli stwierdzić lub wykluczyć jego winę.

— Nie – odparła szczerze.

Skinął głową.

— Obawiam się więc, że będziemy musieli zabrać cię ze sobą.

* * *

Wpis do kroniki z 235 roku

Dotarła dziś wiadomość o śmierci Maga Herrola z rodziny Agyll, Domu Parin, i o straszliwej zbrodni. Odczyt umysłu służącego, który doniósł o tej śmierci, wykazał, że Mag Herrol został zamordowany, a jego moc wysączona z niego za pomocą wyższej magii przez jego własnego ucznia Tagina. W jaki sposób uczeń ten zdobył tę wiedzę, nie wiadomo, ale wygląda na to, że zdołał pokonać swego mistrza, wzmocniwszy się wprawdzie przez wysączenie siły ze służących, których groźbami zmusił do milczenia. Zbrodnia jego jest trojaka: po pierwsze, nauczył się wyższej magii, zanim jego mistrz go wyzwolił, po drugie, użył jej wobec zwykłych ludzi, aby zwiększyć swoją moc, a po trzecie, użył tej mocy do zabójstwa.

Zadanie odnalezienia Tagina powierzono dziś Lordowi Arfonowi. Pojmał on siostrę Tagina, Indrię, i trzyma ją pod nadzorem, jako że rodzeństwo to jest ze sobą zżyte i uczeń może się ujawnić podczas próby jej oswobodzenia. Lord Arfon poinformował mnie, że Indria wspiera go w dążeniu do aresztowania brata.

Gilken z rodziny Balen, Domu Sorrel, kronikarz Gildii Magów

Gilken otarł koniec pióra i położył je obok starej, oprawnej w skórę księgi. Podszedł do okna wieży i spojrzał na Imardin, stolicę Kyralii. Wysoki mur Królewskiego Pałacu wznosił się po lewej, sąsiadując z posiadłościami bogatych i potężnych Domów. Nie mógł dostrzec Królewskiego Traktu prowadzącego z pałacu do placu Targowego i nabrzeży, ale pamięć ochoczo podsuwała

mu jego widoki, wraz z zapachami i odgłosami najruchliwszej części miasta.

Gdyby się wsłuchał, mógłby usłyszeć nieustanny szum, ale szeroki pas ogrodów oddzielał go od gwaru metropolii, trzymając z daleka jej hałas i krzątanie. Dwieście lat wcześniej, po tym, jak magowie Kyralii pokonali najeźdźców z Sachaki, Król Errik hojną ręką nadał im duży obszar ziemi i nakazał, by została zbudowana siedziba Gildii, która miała pomieścić nowo powołaną Gildię Magów. Pokój Kronikarza, od dwudziestu trzech lat królestwo pracy i odpowiedzialności Gilkena, mieścił się na najwyższym piętrze południowo-zachodniej wieży.

I choć nigdy nie znudził się tym widokiem, to w miarę upływu lat coraz mniej lubił długą wędrówkę na szczyt wieży. Nigdy nie opanował tak umysłu, aby krążąc w powietrzu, wznosić się klatką schodową coraz wyżej i wyżej, jedyny zaś dostępny mu sposób – wzlatywanie prosto w górę na zewnątrz budynku, a potem gramolenie się do środka przez okno – nie wydawał się godnym maga zachowaniem.

Bywają dla maga gorsze przewiny od utraty godności, pomyślał i powrócił myślami do strasznych wieści, jakie zapisał tego dnia. Morderstwo. Szantaż. Bezprawne nabywanie wiedzy i wykorzystywanie wyższej magii. Żaden z uczniów, to pewne, nie zaniedbałby swoich ćwiczeń i swojej przyszłości, popełniając takie zbrodnie bez ważnego powodu. Co mogło go do tego skłonić?

Gilken niewiele wiedział o tym uczniu. Tylko tyle, że Tagin ma siostrę, a jego rodzina pochodzi ze słabszego, mniej uprzywilejowanego Domu. Nie było przyjęte, by jedyny syn i spadkobierca rodziny przechodził magiczne szkolenie, jako że na

mocy prawa zakazywano magom występowania w roli głowy rodziny w sprawach politycznych. Prawo to miało zapobiegać przechodzeniu całej władzy w Kyralii w ręce magów – a tym samym i Gildii – choć oczywiście nie było całkowicie skuteczne. Pozwalając synowi na zostanie magiem, ojciec Tagina oddawał przyszłe zarządzanie rodziną i jej zasobami w ręce męża swojej córki.

Lord Herrol musiał być tego świadom, kiedy przyjmował młodzieńca na ucznia. Gilken rozważył wszystko, co było mu wiadome o tym magu. Żona Herrola zmarła przed dziesięcioma laty, a piątka jego dzieci już dorosła i założyła własne rodziny. Był pogodnym, inteligentnym człowiekiem.

Herrol wychował się na wsi i powrócił tam kilka lat temu. Jego dom stał o dzień drogi od miasta. I kilka godzin jazdy od domu siostry Tagina. Być może Herrol, wiedząc, jak zżyte było to rodzeństwo, uwzględnił to, kiedy podejmował decyzję o przeprowadzce.

Jeśli rzeczywiście tak było, to Tagin wybrał okropny sposób odplacenia mu za to.

Gilken raz jeszcze omiół wzrokiem leżące w mieście tereny Gildii. Herrola bardzo w Gildii lubiano. Wielu poruszyła jego śmierć, zwłaszcza jego byłych uczniów. Ostrzeżono wszystkich magów w kraju. Dzień i noc obserwowano nabrzeża i granice.

Gdziekolwiek Tagin jest, długo nie zdoła uciekać przed Gildią i sprawiedliwością.

* * *

Lord Arfon podniósł szklany dzban i wlał przejrzysty płyn do

pochodzącego z tego samego kompletu kielicha. Podał kielich Indrii. Powąchała jego zawartość, a potem wypiała łyk.

— Woda? – spytała zaskoczona i nieco rozczarowana.

Spodziewała się egzotycznego, drogiego trunku, na jaki tylko dwór królewski albo Gildia mogły sobie pozwolić.

— Na ziemiach Gildii nastąpiła już wiosna – powiedział. – Ta woda jest najczystsza, jaką kiedykolwiek piłaś. Pompuje się ją tylko tutaj i do Królewskiego Pałacu, a w samym pałacu trafia najpierw do królewskich komnat.

Nabrała wody do ust, pottrzymała chwilę, a potem połknęła. Była prawie pozbawiona smaku. Być może jakiś słaby posmak skał i kamienia. Arfon też napełnił swój kielich.

— Opowiedz mi więcej o swoim bracie.

Wzruszyła ramionami.

— A czegoś dotąd nie opowiedziałam?

Spojrzał na nią czujnie.

— Służący w waszym rodzinnym domu mówili, że zdarzały mu się wybuchy gwałtownego gniewu i że często cię bił.

Uciekła spojrzeniem w bok.

— Wcale nie często – poprawiła, uważając, że nie ma sensu zaprzeczać prawdzie, skoro łatwo można to potwierdzić przez odczytanie umysłu. – Tylko wtedy... gdy był rozczarowany. Jest bystry, jak wiadomo. Zbyt bystry. Ludzie go nie rozumieją, a jemu nie przychodzi łatwo tłumaczyć to tak, by było to zrozumiałe dla zwykłych ludzi.

— Czy ty go rozumiałaś?

— Nie zawsze. To dlatego zdarzało mu się wściekać na mnie. – Machnęła ręką. – Ale ja dostrzegam jego rozczarowanie i jego... –

„Jego samotność”, chciała dodać. Ale Taginowi nie sprawiłoby przyjemności, gdyby mówiła o nim, jakby był słaby albo godny litości.

— Chcesz go osłonić? – zauważył Arfon.

— Oczywiście. Jestem jego siostrą.

— Czy nadal byś chciała, gdybyś wiedziała, że zamordował Lorda Herrola? Czy wciąż ukrywałabyś miejsce jego pobytu?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się krzywo.

— Zapewne tak.

— Dlaczego?

Westchnęła i odwróciła się.

— Jest jedynym człowiekiem, któremu na mnie zależało. Bo nigdy Ojcu i Matce. I Demrelowi oczywiście też nie.

Arfon nie odpowiedział. Zapadła cisza. Po chwili spojrzała na niego ponownie. Wciąż bacznie się w nią wpatrywał. Jego twarz nie wyrażała braku akceptacji. Była niezgłębiona do tego stopnia, że Indrię przeszły ciarki.

Dość tego, powiedziała sobie w duchu. To nie w porządku bawić rozmową człowieka, który chce pojmać, a być może i skazać na śmierć twojego brata. A potem, poniewczasie, uzupełniła: ...a ty jesteś kobietą zamężną.

A jednak nie potrafiła nie lubić Arfona. Traktował ją zupełnie inaczej niż jej mąż – tak jakby nie tylko dostrzegał, że ona ma umysł, ale jeszcze był nim zainteresowany. Był uprzejmy i przeproszał za to, że kilka razy musiał fizycznie zmuszać ją do współpracy. Jedyny raz, gdy dostrzegła, że jest zagniewany, była zafascynowana tym, jak powstrzymał swój gniew i jak szybko on minął.

I nie ma znaczenia, że tak dobrze się prezentuje. Westchnęła. Domyślam się, że jest to częścią gry Gildii, polegającej na wyciąganiu ze mnie informacji. Mogłabym powiedzieć więcej, gdybym chciała zrobić na nim wrażenie. Na szczęście nie mam żadnych wiadomości do przekazania.

Arfon wziął głęboki oddech i wstał.

— Już późno. Odprowadzę cię z powrotem do twego pokoju.

Mojego „pokoju”? – pomyślała, idąc za nim po schodach. *Raczej mego „więzienia”.* Choć miała sypialnia w wieży, jaką Gildia oddała do jej użytku, była wygodna, to od dwóch tygodni nie opuszczała jej i połączonego z nią pokoiku poniżej.

Arfon zamknął ją i pozostawił samą. Przebranie się w nocną koszulę nie zajęło jej wiele czasu. Ledwo przyłożyła głowę do poduszki, zasnęła. Następną rzeczą, jaką sobie uświadomiła, był wzór złożony ze światła i cienia, rzucany przez księżyc na sufit.

Zmarszczyła brwi. Obudziłam się, a wciąż jest noc. Dlaczego nie śpię?

Coś zakłóciło układ cieni. Podniosła głowę i spojrzała na okno. Do szyby przyciśnięta była niewyraźna twarz.

To niemożliwe. Ten pokój jest na wysokości trzeciego piętra, a na zewnątrz są strażę. Opuściła głowę z powrotem na poduszkę. To mi się śni.

— Indria! – zasyczał stłumiony głos. – Wstawaj! To ja. Tagin.

Jej serce podskoczyło. Nie śniła. Ktoś naprawdę tam był i tym kimś był Tagin. *Szalony! Na pewno go złapią!* Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Owionęło ją zimne powietrze. Papierowe zasłony rozsunęły się na boki, a skrzydła okienne z wielodzielnego szkła otworzyły na zewnątrz. Za oknem był Tagin. Pod jego stopami było coś płaskiego, co unosiło się w chłodnym powietrzu. Podejrzenie przypominało płytę chodnika z ogrodów Gildii.

— Jak ty się...? – zapytała.

— Tak jak uniosłem w górę dzbanek sumi – odparł. – Tyle że tym razem na tym stoję. Utrzymywanie równowagi wymaga jednak pewnej praktyki. Nie martw się. Już do tego przywykłem. Nie upuszczę cię.

— Mnie?

Uśmiechnął się.

— Przybyłem cię wyratować. Nie zgodzę się na pobyt mojej siostry w więzieniu z powodu czegoś, czego nie zrobiła.

— Nie potrzebuję ratunku – odrzekła. – Gdy dojdą do przekonania, że nie pojawiaasz się, by mnie oswobodzić, zrezygnują i puszcżą mnie wolno.

— Ale ja się przecież pojawiłem.

— I dokąd mnie zabierzesz?

— Jak najdalej stąd.

Potrząsnęła głową.

— Znajdą nas, Taginie. Posłuchaj. Sądzę, że nie zrobią ci krzywdy, jeśli sam się im poddasz. Dadzą ci szansę udowodnienia, że jesteś niewinny. Kiedy odczytają twój umysł, dowiedzą się, że nikogo nie zabiłeś, i wypuszczą cię.

Uśmiechnął się krzywo.

— Ale ja zabiłem Herrola. I większość jego służących. I... – Zerknął w dół i wzruszył ramionami.

Podążyła spojrzeniem za jego wzrokiem, poniżej unoszącej się kamiennej płyty pod jego stopami, i wstrzymała oddech. Na ziemi leżeli trzej mężczyźni ze znieruchomiałymi oczyma. Martwi. Czy Tagin ich zabił? *Oczywiście, że tak. Aby mnie uratować.* Poczwała narastające poczucie winy, ale odepchnęła je od siebie.

Gildia zastawiła na niego pułapkę. To nie jej wina, że źle się to dla nich skończyło.

Ale znaczyło to, że jej brat jednak zabił. I raz jeszcze przyznał się do zabicia swego mistrza.

— Och, Taginie – usłyszała swój własny głos. – Z pewnością cię zabiją, jeżeli cię złapią. I mnie, jeśli ucieknę z tobą.

— Nie znajdą nas – odpowiedział, wyciągając do niej rękę.

— Ależ...

Ale ja nie chcę uciekać stąd i zostać zbiegiem, chciała powiedzieć. Zmrużył oczy. Dostrzegła pierwsze oznaki podejrzenia i gniewu. Najgorsze wybuchy miewał wtedy, gdy myślał, że został zdradzony. Tyle że teraz pozabijał ludzi. Ale mnie nie zabije.

Wciąż może przenieść swój gniew na innych. Posądzi Gildię i mego męża o to, że nastawili mnie przeciwko niemu. Poczowała, jak serce jej zamiera. Jeśli ucieknę z nim, to może uda mi się go przekonać, że tak nie jest. Odwiodę go od zabrnięcia w dalsze kłopoty. Od mordowania ludzi.

Oznaczałoby to porzucenie dotychczasowego, bezpiecznego i wygodnego życia.

Ale jest moim bratem. Tylko ja mogę go ocalić.

Z westchnieniem, wiedząc, że i tak nie zrozumie, jakiego poświęcenia od niej żąda, wdrapała się na parapet okna i podała mu rękę. Uśmiech odmienił jego twarz. Pociągnął ją ku sobie i przytrzymał dla równowagi, gdy wstąpiła na kamienną płytę. Kiedy zaczęli opadać, spuściła wzrok.

Lord Arfon będzie nią bardzo rozczarowany.

* * *

Wpis do kroniki z 235 roku

Ten łobuz uczeń uratował swoją siostrę, zabijając przy tym dwóch strażników i Lorda Towina. Śmierć Lorda Towina jest wielkim wstrząsem i stratą zarówno dla jego rodziny, jak i dla Gildii. Świetnie się zapowiadał, a jego nowatorska praca o obróbce metali za pomocą magii pozostanie nieukończona.

Śmierć Towina poruszyła i zjednoczyła Gildię. Uczeń Tagin okazał się pozbawiony moralności i charakteru, skory do wykorzystania magii w taki sposób, jak robili to Sachakańczycy przed Wojną. Nie możemy pozwolić, by włóczył się swobodnie i bezkarnie po świecie. Lord Arfon uważa, że powinniśmy go złapać i zbadać, w jaki sposób nauczył się wyższej magii bez pomocy nauczyciela, inni jednak uważają, że Tagin jest zbyt niebezpieczny i należy zabić go przy pierwszej spo

Gilken przez chwilę trzymał pióro nad stronicą, wsłuchując się w napiętą ciszę, jaka nastąpiła po pukaniu do drzwi. Potem skończył zdanie, otarł pióro i odłożył je na bok. Podnosząc się z krzesła, posłał odrobinę magii w stronę drzwi, aby odsunąć w nich zasuwkę i uchylić je do środka.

Lord Arfon uklonił mu się grzecznie.

— Kronikarzu Gilkenie, czy mógłbym z tobą porozmawiać?

— Oczywiście, Lordzie Arfonie – odparł Gilken, wskazując gestem wygodne fotele przeznaczone dla gości. – Czy napijesz się wody?

— Nie, dziękuję. – Arfon usiadł, patrząc strapionym wzrokiem, z coraz głębiej rysującą się zmarszczką między brwiami. – Jak sądzę, powinieneś wiedzieć, że Lord Valin, Mag Loral i Lord Greyer nie pojawili się od czasu spotkania z zeszłej nocy. Oczywiście wiesz, że zgłosili się na ochotnika do poszukiwań

Tagina i że ja ich nie wybrałem?

— Tak.

Gilken skinął głową, aby potwierdzić, że rozumiał niepokój Arfona. Młodzi magowie byli przyjaciółmi Lorda Towina, maga, który pilnował Indrii, i tak oburzyła ich ta zbrodnia, iż stało się jasne, że gdyby znaleźli Tagina, nie byłoby już kogo przesłuchać i komu wytoczyć procesu.

Czyżby było aż tak źle? — zadał sobie w duchu pytanie. Pamiętał, jakie sprzeczne emocje targwały nim ubiegłej nocy na spotkaniu. Choć żywił podobne uczucie straty i gniewu na wieść o morderstwach, to niepokoił go jednak powszechny wśród magów niepowstrzymany pęd do zemsty. Mamy być przykładem spokoju i rozsądku. I sprawiedliwości. Tagin zasługuje na proces.

— Boisz się, że zabiją Tagina – powiedział Gilken.

Arfon spojrzał na niego.

— Albo próbując prowadzić własne śledztwo, przeszkodzą naszym próbom pojmania go.

Gilken ponownie skłonił głowę. *Chce, żebym umieścił coś w kronice, żeby w razie, gdyby to trio pokrzyżowało jego plany i Tagin uciekł, wina nie spadła na Arfona i jego pomocników. Szkoda, że uważa, że Gildia mogłaby reagować w ten sposób, ale nie jest głupcem. Gdy wszystko idzie źle, ludzie zwykle szukają kogoś, na kogo można zwalić winę, a najpierw zawsze wskazuje się przywódców.*

— Powinienem odnotować ich nieobecność – rzekł Gilken, podnosząc się z fotela.

Zrozumiawszy aluzję, Arfon też powstał.

— Dziękuję. Nie będę dłużej zabierał czasu.

Gilken uśmiechnął się.

— Dostarczanie informacji do kroniki jest bardziej powinnością niż przeszkadzaniem. A ty zawsze jesteś mile widziany, Lordzie Arfonie.

Młody mag schylił się sztywno w półukłonie i wyszedł z pokoju. Gilken siadł z powrotem za biurkiem i przeczytał ostatnie zdanie. Potem wziął pióro i powrócił do pisania.

* * *

Choć Indria chciała odwrócić wzrok i zignorować scenę przed sobą, zmusiła się jednak do spojrzenia na pięć rozrzuconych ciał. Trzech magów i dwóch uczniów leżało wokół ogniska – trzech mężczyzn i dwóch chłopców o kilka lat starszych od Tagina. Wyglądali tak, jakby zapadli w pijacki sen, ale ona wiedziała swoje. Każdy krwawił z niewielkiej rany, przez którą jej brat, uspiwszy ich, wysączył z nich magię i życie. Oplótłszy ramiona wokół zwykłej tuniki, którą Tagin przyniósł, by posłużyła jej jako odzież i przebranie na czas ucieczki, zadrżała.

Wpadła wcześniej na pomysł, by pozwolić magom się schwytać, przekonać ich, że została przez Tagina porwana, a potem ich uspić, aby z Taginem oddalić się od nich i zmylić ślady. Kupiła odpowiedni lek na targu, udając, że cierpi na bezsenność i kobiece przypadłości, lecz prosząc o coś, co nie ma dokuczliwego smaku. Tak jak polecił jej zielarz, zmieszała tynkturę z winem magów, starając się, by mieszanka nie była zbyt mocna, bo groziłoby to otruciem.

Tagin zdecydował jednak, że to zbyt dobra okazja, by ją zmarnować. Odebrał im moc, przez co ich zabił. A teraz tańczył wokół ogniska, wykrzykując triumfalnie.

— Jakie to łatwe! A wystarczyło tylko to. – Wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej małą buteleczkę zawierającą ziołową nalewkę. – I nie zmarnowałem ani krzty magii – ani mojej, ani ich, a teraz wszystko należy do mnie!

Złapał ją za ręce i zawinował z nią wkoło. Zaczepiła stopą o leżącą gałąź i potknęła się, a on przystanął i ją podtrzymał.

— Słyszałaś mnie? – zapytał. – Rozumiesz to?

Skinęła głową.

— Nie zmarnowałaś ani krzty – powtórzyła. – A teraz już nie stoją nam na drodze. Zyskaliśmy... ile dni? Ile czasu twoim zdaniem upłynie, zanim ich znajdą albo uznają za zaginionych?

— Kilka dni. – Wzruszył ramionami. – Więcej, jeśli spalę ich ciała.

— Zatem zdążymy dojechać do granicy, jeśli weźmiemy ich konie. Miejmy nadzieję, że nie czekają na nas w Elyne. – Spojrzała raz jeszcze na martwych magów i zmusiła się do zimnego, praktycznego spojrzenia na sytuację. – Czy mają przy sobie pieniądze? Moglibyśmy wykupić miejsca na statku. Do Vin. Albo do Lonmaru.

Tagin potrząsnął głową. W jego oczach pojawił się znajomy błysk szaleństwa.

— My nie jedziemy do Vin, siostrze. Ani do Lonmaru. Ani do Elyne. Jedziemy do Imardinu.

— Do miasta? Ale...

Jego ręce mocniej ścisnęły jej dłonie.

— Pomyśl o wszystkich tych razach, kiedy udawaliśmy, że któregoś dnia będziemy rządzić światem. – Roześmiał się, gdy otworzyła usta, by zaprotestować. – Tak, wiem, że to była

zabawa, ale myślę... myślę, że to możliwe. Możemy zmienić świat. Możemy sprawić, by Gildia dostrzegła, że jej reguły i ograniczenia są złe. – Spojrzał na nią i spoważniał. – To byłby jakiś sposób wyrównania tego, co zrobiłem. Bo wina tak naprawdę jest po ich stronie.

— Ale...

Jego twarz spochmurniała nagle i odsunął jej rękę od siebie.

— Nie wiesz, jak to było, Indrio. Każdej nocy Herrol zabierał mi całą moją moc, tak że z tym, czego mnie nauczył, niewiele mogłem już zrobić.

Tagin poczerwieniał i odwrócił się, zwieszając głowę, aby nie widziała jego twarzy.

— Na tym polega sekret, wiesz? – powiedział już spokojniejszym głosem. – Sekret wyższej magii. Mistrzowie zabierają siłę uczniom, niby to w zamian za nauczanie. Z początku wydaje się to uczciwe. Siła za wiedzę. Ale Herrol wciąż mnie odsuwał. Kiedy zaczynałem sam się uczyć – różnych rzeczy z jego książek – gniewał się. Nabrał dodatkowej mocy, więc nie mogłem niczego wypróbować. Niczego się nauczyć. – Tagin spojrzał na nią zbolalym wzrokiem, z twarzą wyglądającą starzej niż kiedykolwiek wcześniej. – Nie trzeba aż dziesięciu lat, żeby uczeń został wyższym magiem. Oni nas powstrzymują – uniemożliwiają naukę w naturalnym tempie – aby dłużej czerpać z nas siłę.

Indria poczuła, że serce jej zamiera. Dla niektórych zwyczajnych uczniów nie było to wielką tragedią, ale dla Tagina była to rzecz nie do zaakceptowania. Był mądry. Uczył się szybko, a jeszcze szybciej się nudził. Herrol powinien był zdać sobie z

tę sprawę. Powinien być nagradzać Tagina za jego inicjatywę, a nie karać.

— Ale ja wyjawię to kłamstwo – ciągnął Tagin, prostując się z widoczną determinacją. – Doprowadzę do tego, że Gildia będzie wszystkim mówić prawdę. – Utkwił wzrok w oddali i milczał przez chwilę. Potem jego oczy spoczęły na niej i uśmiechnął się. – Zmienimy świat, Indrio, i tym razem nie jest to zabawa. To rzeczywistość.

* * *

Wpis do kroniki z 235 roku

Wiemy, że znalezione wczoraj trzy spalone ciała są szczątkami Lorda Valina, Maga Lorala i Lorda Greyera. Zostali zidentyfikowani po zwęglonych resztkach odzieży, przywiezionych wczoraj do miasta.

Dziś nasze umysły aż pękały od natłoku mentalnych komunikatów, gdy magowie z różnych stron przekazywali jeszcze straszliwsze wieści. Dziewięciu poszukiwaczy i dwóch uczniów od Arfona zatrzymało się wieczorem w Gościnnej Gospodzie. Rankiem nie żyli oni, ich służący, właściciel Gościnnej Gospody z żoną, wiele osób z obsługi gospody oraz wielu gości. Większość zginęła w pożarze, który strawił budynek do samej ziemi, ale podejrzewamy, że magowie zostali najpierw zabici przez Tagina i jego siostrę, gdyż parę tę rozpoznali ci, którzy mieli dość szczęścia, by ująć z pożogi.

Wszyscy tutaj są wstrząśnięci tą tragiczną utratą życia.

Gilken przerwał. W jego umyśle kłębiły się pytania, ale on zawsze próbował w swoich zapisach (choć często mu się nie udawało) ograniczać spekulacje do minimum. Kroniki powinny opierać się wyłącznie na faktach. Może poszukiwacze natrafili na Tagina i jego siostrę, a jeśli tak, to być może próba ich pojmania

okazała się katastrofalną porażką? Dlaczego przed śmiercią żaden z nich, za pomocą myślowego komunikatu, nie doniósł Gildii o tym spotkaniu? Mimo woli pomyślał, że miejsca śmierci obydwu grup magów były znaczące. Ciało trzech młodych magów zostały znalezione w większej odległości od miasta, niż położona jest Gościnna Gospoda. Zamiast uciekać po pierwszym spotkaniu, Tagin i Indria zawrócili i poszli w stronę miasta.

Zupełnie tak, jakby Tagin polował na magów, a nie odwrotnie.

Nie mógł jednak zapisać tego w kronice. Wzdrygnął się, wytarł pióro, odłożył je i poszedł do łóżka, licząc na noc niezakłócaną mentalnymi przekazami przynoszącymi złe wieści albo sennymi koszmarami.

* * *

Kiedy Indria zwróciła się do pierwszych trzech magów, ci zdecydowali się nie powiadamiać Gildii, aby Tagin nie podsłuchiwał ich mentalnej rozmowy i nie dowiedział się o tym, że chcą go podejść. Zaskoczyło ją, że mentalną komunikację mogą przechwycić wszyscy inni magowie. Zastanawiała się, po co w takim razie w ogóle jej używają.

Druga grupa nie miała żadnych powodów, by kontaktować się z innymi magami – uspił ich lek podany przez Tagina, który zmusił właściciela gospody, by dolał go im do napoju, i nigdy nie dowiedzieli się, że właśnie zjedli swój ostatni posiłek.

Jednakże trzecia grupa magów, która stanęła na drodze do spełnienia wielkiego planu Tagina, nie umarła w milczeniu.

Ku wielkiej uldze Indrii Tagin nie poprosił jej, by podeszła i uspiła lekiem czterech magów, których zauważyli w miasteczku.

Zamiast tego obserwowali, jak tamci kupują żywność i butelkę wina, a potem poszli za nimi w pewnej odległości. Zwróciła uwagę na to, że ci czterej nie mieli ze sobą żadnych uczniów. Gdy krajobraz ogarnęła szarość zmierzchu, magowie zatrzymali się na posiłek, ale nie zsiadli z koni. Tagin z Indrią przywiązali swoje konie do słupa w ogrodzeniu w osłoniętym miejscu, po czym podczołgali się bliżej, ukryci za kamiennym murem.

Wydobywszy butelkę z trucizną, Tagin w jakiś sposób zdołał wyciągnąć z niej za pomocą magii dużą kroplę. Kropla przepłynęła w powietrzu i zawisała nad magami. Indria patrzyła z biciem serca, dziwiąc się, że tego nie zauważyli.

Jeden z magów wyjął butelkę wina, żeby poczęstować towarzyszy. Kropla sfrunęła w dół, trafiając do butelki tak szybko, że żaden z nich jej nie dostrzegł. Magowie zaczęli popijać kolejno, prosto z butelki, podając ją sobie w koło.

Przyglądanie się mężczyznom zza muru wydawało się zbędnym ryzykiem, więc Tagin i Indria przekradli się z powrotem do swoich wierzchowców. Na tym polegał ich błąd, uświadomiła sobie potem Indria. Magowie jechali przez kilka minut, zanim napój zaczął działać. Gdy zaczęli spadać z siodła, Tagin ufnie podjechał bliżej, uśmiechając się szeroko. Jednakże jeden z magów nie spadł na ziemię. Albo nie pił z butelki, albo wypił za mało, dość, że zaatakował Tagina. Cios strącił go z konia i zwierzę pobiegło drogą dalej.

— Zejdź z widoku! – krzyknął Tagin do Indrii, a ona zjechała w bok, by ukryć się za gęstym zagajnikiem.

Kiedy obserwowano się walkę z daleka, trudno było dojrzeć, co się dzieje. Nadchodziła noc, widziała tylko błyski światła i

grzmoty i zaledwie chwilami rozpoznawała postacie maga i brata. Czuła łomotanie serca i było jej niedobrze.

Nie zabijaj go, kierowała ciche błaganie do maga.

Nagle wszystko pogrążyło się w mroku. Przez chwilę panowały tylko ciemność i cisza, a potem ukazała się postać otoczona magiczną poświatą. Machała do niej, przywołując gestem. Rozpoznała ją i poczuła przypływ ulgi. W ślad za nią pojawiło się poczucie winy, gdy zrozumiała, że mag z pewnością nie żyje. Potem poruszyło się w niej coś innego. Coś mroczniejszego.

Strach.

Tagin żył i miał się dobrze, podobnie jak jego plany. Zanim zdoła go od nich odwieść, umrze jeszcze więcej ludzi. Westchnąwszy, spięła konia i ruszyła z zagajnika na miejsce walki. Pył już opadał. Tagin klęczał przy jednym z nieprzytomnych mężczyzn. Być może uda się go namówić, by darował im życie.

Zanim jednak zdążyła wyjechać z za drzew, z ziemi wystrzelił płomień dwa razy od drzew wyższy, a ona poczuła na skórze powiew gorąca. Jej koń rzucił się w bok, a ona przywarła do jego grzbietu z bijącym sercem. *Co to było?* Tagin krzyknął, lecz zabrzmiało to bardziej jak przekleństwo niż krzyk zaskoczenia lub bólu. Następnym rozbłysk światła przeciął noc. Poczowała, jak jej koń spręży się, gotów do biegu, więc szybko ściągnęła wodze. Tańczył chwilę w koło, powoli uspokajając się, gdy przemówiła do niego łagodnie. Spojrzała na Tagina, który stał blisko miejsca, skąd wydobyły się płomienie. Obrócił się i ruszył w jej stronę.

Podszedłszy do niej, zmarszczył brwi.

— Czy jesteś pewna, że to ta sama trucizna, którą kupiłaś

ostatnio?

Skinęła głową, a potem wzruszyła ramionami.

— Pachnie tak samo.

Tagin skrzywił się niezadowolony.

— Dwaj z nich umarli, zanim zdążyłem przejąć ich moc. Stąd to światło. Ostatki ich magii uwolnionej z ciała w chwili śmierci. Dobrze, że się osłoniłem.

Indria poczuła wstrząs, mimo iż wiedziała, że on tak czy inaczej ich zabije. Pomyślała o rozmiarach kropli, którą Tagin wpuścił do butelki z winem. Znacznie większej od pojedynczej kropli, jaką dotąd dozowała na osobę. Czy użył tego zbyt wiele?

— Może jest mocniejsza – podsunęła. – A może ci, których napoiliśmy nią wcześniej, też by umarli po jakimś czasie. – *Zielarz podkreślał z naciskiem, żeby nie użyć tego zbyt wiele.*

Kiwnął głową.

— Zużyłem zbyt wiele mocy podczas walki. – Podniósł na nią wzrok w zamyśleniu. – Jestem silnym magiem, więc możliwe, że jako moja siostra też masz dużą moc.

Zmarszczyła brwi.

— Ależ ja nie jestem magiem.

Uśmiechnął się.

— Nie, ale masz możliwości. Nie możesz użyć swojej magii, ale mogę to zrobić ja. – Skinął ręką. – Zejdź z konia.

Zsiadła, choć niechętnie. Ujął jej dłonie i spojrzał poważnie w oczy.

— Wiem, co sam powiedziałem, że korzystanie z mocy odebranej jest okropne, ale nie będzie takie, jeśli zrobi się to delikatnie. Jeżeli nie zostaniesz wysączona do sucha, to nawet nie

poczujesz różnicy. Czy pozwolisz mi wziąć twoją moc?

Popatrzyła mu prosto w oczy. Chciał, żeby doświadczyła tego, za co zabił Lorda Herrola.

— Musimy to zrobić – powiedział. – Inaczej, gdy znów spotkamy magów, zabiją nas.

Po tym, co zrobił, to oczywiste. Ale wyraz jego twarzy był szczery i pełen niepokoju. Nie było w nim śladu szalonej ambicji lub nieuczciwości. Wyglądał na znacznie mniej szalonego niż w ciągu ostatnich tygodni.

Kiwnęła głową. Uśmiechnął się krótko w podziękowaniu, po czym znowu spoważniał. Z jakiegoś schowka w ubraniu wyciągnął nóż. Ostrze dotknęło wnętrza obu jej dłoni. Poczowała nacisk, a potem wolno narastające pieczenie. On zaś ścisnął jej dłonie w swoich rękach i zamknął oczy.

Początkowo zachwiała się trochę, gdy zrobiło jej się słabo, ale jakoś utrzymała się na nogach. Potem przyszła ospałość i bierność. Po pewnym czasie uczucie to minęło, a ona poczuła się normalnie, jeśli nie liczyć mrowienia we wnętrzu dłoni. Tagin uśmiechnął się i puścił jej ręce. Nacięcia, które zrobił, zniknęły uleczone magią. Sięgnął do jej policzka z oczami pełnymi ciepła.

— Dziękuję. Jak się czujesz? – zapytał.

Zastanowiła się.

— Dobrze. Było to trochę wyczerpujące na początku.

Potaknęła.

— Potrzebuję nieco czasu, żeby nauczyć się panować nad tempem. Nie przywykłem do robienia tego tak powoli.

— A jak ty się czujesz? – zapytała.

Zmarszczył brwi i spojrzał pod nogi, a potem potrząsnął

głową.

— Jesteś silna, ale tylko jedna. Potrzebuję więcej magii.

Odwrócił się i stanął wpatrzony w drogę wiodącą do miasteczka, które właśnie opuścili. Małe światełka migotały w oddali.

— Zostań tutaj, za murem – powiedział, chwytając wodze jej konia. – Wrócę mniej więcej za godzinę.

* * *

Wpis do kroniki z 235 roku

Sprawdziły się nasze najgorsze obawy. Uczeń Tagin, zwany teraz „Szalonym Uczniem”, w swoim poszukiwaniu mocy zwrócił się już przeciwko zwykłym ludziom. Kiedy Lord Telkan wracał do miasta po wizycie w Elyne, natknął się na zwłoki mieszkańców Białej Rzeki. Wszyscy wieśniacy zostali zabici za pomocą wyższej magii. Zginęły nawet miejscowe enki, goriny i rebery. Oszczędzono tylko małe dzieci.

Po zawiadomieniu Gildii o tej tragedii Lord Telkan ruszył w dalszą podróż tylko po to, by natknąć się na ślady magicznej walki oraz ciała Lorda Purwe’a i Lorda Horeta. Obaj zabici nawet Tagina nie ścigali i tylko nieszczęśliwym trafem natknęli się na swego zabójcę. Lord Telkan miał więcej szczęścia i tego wieczoru dotarł bezpiecznie do Gildii.

Patrząc na swój wpis, Gilken potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Z rąk Tagina zginęła niemal jedna czwarta magów Kyralii. Zaczynam przychyłać się do opinii tych, którzy uważają, że zamiast ponosić ryzyko dalszych śmierci przy próbach pojmania, powinno się go zabić jak najprędzej.

Lord Arfon westchnął.

— Nie jesteś jedyny, jeśli wierzyć szeptom na korytarzach Gildii.

— Ale ty wciąż żywisz mocne przeświadczenie, że powinniśmy się dowiedzieć, jak nauczył się wyższej magii bez żadnej pomocy?

— Tak. A Indria będzie mniej narażona na krzywdę, jeśli go złapiemy.

Gilken przyjrzał się Arfonowi uważnie. Spędził on kilka nocy na rozmowach z Indrią, gdy była przetrzymywana w Gildii. Czyżby się w niej zadurzył? Podczas gdy wśród magów powszechna była opinia, że siostra Tagina winna jest współpracy z mordercą, Arfon wiele razy podkreślał, że mogła nie mieć innego wyjścia. Kiedy jednak jej małżonkowi, który w tym czasie był w Lonmarze u swoich wspólników handlowych, powiedziano o jej powiązaniu ze zbrodniami brata, niemal się jej wyrzekł, co wielu członków Gildii przyjęło jako dodatkowy dowód jej złego charakteru.

— Co teraz zrobisz? – zapytał Gilken.

Arfon zmarszczył czoło, zastanawiając się.

— Jest tak nieprzewidywalny. Najpierw ucieka, potem atakuje. Poinstruowałem poszukiwaczy, żeby donosili, gdzie się znajduje, jeśli go zobaczą, ale by unikali zbliżania się i konfrontacji z nim. Kiedy już się dowiemy, gdzie jest, będziemy mogli zdecydować razem, jak najlepiej go osaczyć.

— Czy wiesz chociaż, jaką mocą dysponuje?

— Nie. – Arfon miał ponury wyraz twarzy. – Tylko tyle, że skoro przystąpił teraz do atakowania zwykłych ludzi, to prędko

będzie rósł w siłę. Im dłużej będziemy go szukać i osaczać, tym będzie silniejszy.

— Czy potrzebujesz mojej pomocy?

Młody mag spojrział na Gilkena ze zdziwieniem i wdzięcznością, po czym pokręcił przecząco głową.

— Gildia potrzebuje zapisów o tych wydarzeniach – odparł. – Miejmy nadzieję, że tylko po to, by były przestrożą dla tych, którzy przyjdą po nas. Mimo to dziękuję za tę ofertę.

Gilken uśmiechnął się i wzruszył ramionami z uczuciem ulgi i rozczarowania. Gdyby tylko mógł w czymś pomóc. Był jednak stary i być może powinien jedynie trzymać się swojej pracy.

* * *

Indria usiadła wyczerpana na niskim murku i wbiła wzrok w ziemię. Nie chciała patrzeć na rozrzucone wokół zwłoki mieszkańców wioski. Rozpacz i poczucie winy mogły tylko pozbawić ją resztek energii, a jednak rozmyślne unikanie tego widoku tak czy owak budziło w niej wstyd.

Każdej nocy Tagin czerpał z niej magiczną energię. Stwierdził, że zapewnia im to nie tylko siłę i bezpieczeństwo, ale też pomaga jej zasnąć. Miał rację: była prawie nieprzytomna i budziła się nazajutrz dopiero wtedy, gdy nią potrząsnął. Byłaby zapewne wdzięczna za brak snów, gdyby nie to, że teraz jawa stała się dla niej sennym koszmarem.

Nalegał, by towarzyszyła mu za każdym razem, gdy atakował wieś, bo bał się, że magowie ją znajdą i użyją jej przeciw niemu. Kiedy widziała, co czyni ludziom, protestowała, zbyt zmęczona, by przejmować się tym, co mógłby zrobić jej. Była też jednak zbyt

wyczerpana, by skutecznie na niego wpłynąć, on zaś spodziewał się jej reakcji i był na nią przygotowany. Łamał jej opór swoim rozumowaniem.

A może to czyste szaleństwo jego argumentów sprawiało, że była niezdolna do mówienia i przeciwstawienia się mu. *Wyszedł już tak daleko poza ograniczenia zwykłego człowieka, tak daleko poza moje pojmowanie, że nie ma sensu się z nim kłócić.*

Wciąż jednak miała nadzieję. Może odwróci się od swoich urojeń. Gdyby tak się stało, musi być z nim, by pomóc mu wrócić do umysłowej równowagi. Właściwe słowo we właściwym momencie, a być może uda się go przekonać, by uciekł z Kyralii i ukrył się gdzieś bezpiecznie, z dala od Gildii.

Albo to, albo będzie musiała go wydać. Ale póki co, było to nie do pomyślenia.

Jakiś ruch przyciągnął jej uwagę i niechętnie podniosła wzrok. Ktoś się zbliżał. Tagin.

— Wkrótce będziemy mieli magiczne towarzystwo – obwieścił. Zmarszczyła brwi.

— Co masz na myśli?

— Zobaczyłem to w umyśle naczelnika wsi. Tutejszy Lord kazał mu wysłać posłańca, gdy się pojawimy. Potem zawołał na pomoc pięciu pozostałych miejscowych magów. Ruszą za nami.

— Och. – Wstała z trudem.

— Odpoczywaj, siostró – rzekł, a jego głos złagodniał na chwilę. – Nigdzie nie jedziemy.

— Nie wyjeżdżamy?

— Nie.

— Otrujemy ich?

— Nie. Dość już trucizny. Dość oszustw. Przyszedł czas na dobrą, uczciwą bitwę.

Serce zabiło jej szybciej i nagle poczuła się trochę bardziej rozbudzona. Nie było to miłe uczucie.

— Ilu magów tam było, według tego człowieka?

— Sześciu.

— Ale... ty jesteś... sam.

— Tak, ale oni są słabsi.

— Skąd wiesz? Czy nie czerpią siły ze swoich uczniów?

— Czerpią. Z jednego ucznia raz dziennie. Ja czerpałem magię od setek, a nawet nie wyobrażasz sobie, ilu zwykłych ludzi ma tyle utajonej mocy, co wyćwiczony mag. Rozumiem, dlaczego w Sachace mają niewolników... – Jego głos przycichł, a potem Tagin pokręcił głową. – Magom z Gildii nie wolno czerpać magii od nikogo poza swoimi uczniami. Chyba że jest wojna.

— Czy... czy znasz się na walce?

Uśmiechnął się.

— Dużo lepiej niż oni. Od czasu Wojny Sachakańskiej minęło dwieście lat. Magowie z Kyralii zapomnieli, jak się walczy. Nie było powodu po tym, gdy pustynia zniszczyła Sachakę. – Zmarszczył brwi. – Herrol miał dużą bibliotekę, większość dzieł odziedziczył i nie sądzę, by wszystko przeczytał. Znalazłem książki o strategii. Książki o prowadzeniu i planowaniu walki. Ćwiczyłem tyle, ile się dało, próbując rozmaitych obron i ataków. Nie było to tak dobre jak prawdziwa walka, ale z pewnością było to więcej, niż uczy Gildia.

— Ale... czy z chwilą, gdy ich zaatakujesz... nie będzie to oznaczać wojny?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Oni już są na wojnie, tylko jeszcze o tym nie wiedzą. A kiedy to do nich dotrze, będzie za późno.

* * *

Wpis do kroniki z 235 roku

Trudno uwierzyć, że ktokolwiek mógłby być zdolny do takich aktów niepotrzebnej przemocy. Wczorajsza próba pojmania najwyraźniej doprowadziła go do furii. Ostatnie doniesienia mówią, że zabił wszystkich we wsiach Tenker i Forei. Jest poza wszelką kontrolą i lękam się o przyszłość nas wszystkich. Dziwię się, że dotąd nie zwrócił się przeciw nam, ale być może przygotowuje się do ostatecznego uderzenia.

Gilken z rodziny Balen, Domu Sorrel, kronikarz Gildii Magów

Zdecydowanie nie powinienem umieszczać w kronice moich podejrzeń, pomyślał Gilken po przeczytaniu poprzedniego wpisu. Kiedykolwiek to czynię, sprawdzają się w najmniej przyjemny sposób.

Westchnął i zanurzył pióro w atramencie.

Coraz bardziej wygląda na to, że konfrontacja Tagina z wiejskimi magami była przemyślanym posunięciem. Większość z nas uważa, że przygotowując się do ruszenia na miasto, postanowił pozbyć się zagrożenia atakiem z tyłu.

Dziś co godzinę docierały nowe meldunki o wymarłych wsiach i miasteczkach, gdy niektórzy mający więcej szczęścia mieszkańcy zdążyli uciec przed nadejściem Tagina, i o wiejskich magach znalezionych bez życia w swoich domach albo o poszukiwaczach ginących na drodze.

Jedyną korzyścią jest to, że Tagin już się nie ukrywa. Dziś Lord Arfon wydał dwudziestu trzem magom rozkaz nie pojmania, lecz zabicia Szalonego Ucznia i jego siostry Indrii.

Odgłosy z klatki schodowej wiodącej do jego izby sprawiły, że serce w nim zakołatało. Czy Lord Arfon powrócił? Czy odniósł sukces?

Kroki były powolne i zdradzały zmęczenie. Gilken wytarł i odłożył pióro, po czym podbiegł do drzwi. Gdy je otworzył, wchodzący po schodach człowiek spojrzał w górę. Lord Arfon miał posępną minę, ale na widok Gilkena nieco się rozpogodził. Gdy wszedł do pokoju i rzucił się na fotel, widać było, jak zbladł i zmizerniał.

— Wieści nie są dobre, prawda? – powiedział Gilken, zajmując drugi fotel.

— Nie.

Arfon ukrył twarz w dłoniach, westchnął głęboko i pokręcił głową. Spojrzał na Gilkena.

— Pokonał nas. Przeżyłem tylko dlatego... że Indria podsunęła Taginowi, by pozwolił mi wrócić do Gildii, aby przekazać wieści i zaproponować, byśmy się poddali.

Serce zamarło Gilkenowi w piersi.

— Jak to możliwe? Jak mogliśmy znaleźć się w takiej sytuacji w ciągu kilku krótkich miesięcy? Jak mogliśmy ulec jednemu zwariowanemu uczniowi?

— Bo go nie docenialiśmy – odparł Arfon. – On nie jest uczniem; zna wyższą magię, dlatego powinniśmy byli traktować go jak wysokiego maga. I dlatego, że jesteśmy głupcami, zbyt wolno myślącymi i nazbyt aroganckimi, by przyjąć, że ktoś może rzucić nam wyzwanie, zbyt podzielonymi przez politykę, by zdobyć się na współdziałanie, i zbyt pysznymi, by przewidzieć, że któregoś dnia jeden z nas może zwrócić się przeciwko nam.

— Jak można było przewidzieć takie rzeczy? – zaprotestował Gilken. – Jak ktoś mógłby zgadnąć, że Tagin odważy się nas zaatakować?

— Powinniśmy byli to uwzględnić. – Arfon potrząsnął głową. – Ja powinienem był to uwzględnić. Ale teraz nie ma już sensu o tym dyskutować. Choćbyśmy nie wiem, ile się spierali, to nie odwróci popełnionych błędów.

Gilken spojrział na Arfona z niepokojem. Nigdy jeszcze nie widział go tak zrezygnowanego i bezradnego.

— Jaki będzie twój następny ruch?

Arfon potrząsnął głową.

— Nie zajmuję się już polowaniem.

Gilken popatrzył na Arfona z niedowierzaniem. Nic dziwnego, że był tak rozbity.

— Przecież Tagin jest niewątpliwie osłabiony walką. To tylko jeden mag. Następny atak z pewnością...

— Jeśli ktoś chce zbierać teraz siły do konfrontacji z Taginem, uczyni to z własnej inicjatywy – odpowiedział Arfon. – Ale Gildia tego nie zaaprobuje. Gdy wychodziłem z sali zebrań, mówiono już o układach i negocjacjach.

— Uważasz, że Tagin będzie skłonny negocjować? – zapytał odruchowo, choć nie był tak całkiem gotów rozstać się z tą przyszłością, którą dotąd uważał za pewną.

Arfon wzruszył ramionami.

— Przestałem już zgadywać, co on zrobi. Może nie będzie już Gildii, która mogłaby z nim negocjować. Podejrzewam, że ci o mniej optymistycznym nastawieniu zabiorą co wartościowsze rzeczy ze swego dobytku i jutro rano będą już gdzie indziej.

— Czy... czy nie można by wezwać mieszkańców Imardinu, by oddali nam trochę siły?

— O tym też rozmawiano, ale zgadzam się z przeważającą opinią: ludzie raczej się na to nie zgodzą. To stało się dla nich zbyt szybko, by zrozumieli grożące niebezpieczeństwo. Żadna armia nie stoi u bram, nie ma żadnego obcego wroga. Jest tylko jeden człowiek. Jeden z naszych członków, z którym sami powinniśmy sobie poradzić. Nie rozumieją, dlaczego jeden uczeń miałby stanowić takie zagrożenie. Nawet gdybyśmy próbowali wyjaśniać... nie ufają już magom jak dawniej, a nasz król nie jest typem, który budziłby wielką miłość u ludzi.

Gilken odwrócił wzrok. *Nie poszli nawet po pomoc do ludzi? Ani nie doprowadzili do jeszcze jednej konfrontacji z Taginem, gdy był osłabiony?* Podniósł się z fotela.

— Idę na to zebranie. Są jeszcze inne rozwiązania, których być może nie wzięto pod uwagę.

Arfon podniósł na niego oczy w zdumieniu, a potem skinął głową.

— Pójdę z tobą – powiedział.

Gilken uśmiechnął się z wdzięcznością, a potem pierwszy opuścił Pokój Kronikarza, aby przemówić do rozumu reszcie tych, którzy pozostali z Gildii.

* * *

Indria straciła wszelką zdolność odczuwania poza wrażeniem odrętwienia, które ją przerażało. Trudno było przejść do porządku dziennego nad śmiercią magów, którzy ścigali Tagina, ale Indrii to się udało. Kiedy patrzyła, jak jej brat odbiera życie

kolejnym osobom i oszczędza tylko najmłodsze dzieci, nie mogła objąć tego rozumem, więc przestała rozumować w ogóle.

Jest potworem. Moim bratem. Potworem, przemawiały strzępy świadomości.

Jeśli jednak nim jest, to takim uczyniła go Gildia.

Być może wykorzystywali niegodziwie swoich uczniów, ale czy zasługują na tak srogi odwet?

Zignorowała to pytanie. Powtórzyła sobie w duchu, że gdy będzie już po wszystkim, potwór mieszkający w jej bracie odejdzie, a dawny Tagin powróci. Szaleństwem było trzymać się tej nadziei, ale ona tak właśnie postępowała. Głupio, uparcie. Nie zostało jej nic poza tą nadzieją. Wszystko wymknęło jej się z rąk. A po prawdzie, to nigdy nic w nich nie miała.

Zanim to wszystko się zaczęło, nigdy mnie nie słuchał. Dlaczego pomyślałam, że będzie mnie słuchał, jeśli z nim pojedę?

Była niemądra, kiedy myślała, że zdoła uchronić go od kłopotów i powstrzyma od zabijania ludzi. Nic z tego, co mówiła lub robiła, nie zawróciło go z obranej drogi.

Przynajmniej jednak próbowała.

Nie dość mocno. Mogłaś nie zgodzić się na wspólną wyprawę. Mogłaś nieudolnie wlać truciznę do wina za pierwszym razem. Spójrz, do czego doprowadziło twoje tchórzostwo.

Podniosła wzrok. Droga przed nią zasłana była ciałami martwych magów.

Gdy ostatni z magów upadł, Tagin odwrócił się i posłał jej uśmiech. Przywołał ją gestem. Posłusznie poszła za nim do miasta. Mieszkańcy Imardinu rozstępowali się na widok ich samotnych postaci. Indria wspominała uczniów, którzy szukali

jej brata, a także zdrajców, którzy próbowali się do niego przyłączyć i tym sposobem ocalić życie.

— Czy oddalibyście życie za moją sprawę? – pytał ich wtedy.

— Tak – zapewniali go.

Brał więc to, co mu dawali, a potem ocierał krew z noża o ich szaty.

Gdy skręcili w Królewski Trakt, poczuła zimny dreszcz złego przeczucia. Nie szedł do Gildii, szedł do pałacu. Uświadomienie sobie tego faktu zbudziło tak głęboką emocję w jej pustym wnętrzu, że się zachwiała. Po krótkiej chwili odrętwienia i zagubienia zrozumiała, że poczuła gniew.

„Gdy ty i ja będziemy rządzić światem...”, mówił kiedyś do niej w ich ulubionej zabawie. Cały czas taki miał plan. Całe to gadanie o zmienianiu Gildii było kłamstwem.

Nie. Szedł do pałacu, bo po prostu wiedział, że tam będą magowie. Tagin spojrzał na nią przez ramię. Jego oczy płonęły szaloną niecierpliwością, ale gdy ją zobaczył, pojawiła się w nich troska.

— Czy dobrze się czujesz, siostrze? Czy nie idę za szybko dla ciebie?

Poczuła ulgę w sercu. Wciąż było w nim dobro. Zdobyła się na uśmiech.

— Czuję się dobrze.

Gdy się odwrócił, pozwoliła, by chłód w jej sercu znów przyćmił wątpliwości, a ona uczepiła się nadziei, która, choć uschła i skarłała, jakoś nie chciała zgasnąć zupełnie.

* * *

Wpis do kroniki z 235 roku

Odżyły moje najgorsze obawy. Dziś Tagin zabił Lorda Gerina, Lorda Dirrona, Lorda Winnela i Lady Ellę. Czy to się skończy, gdy umrą wszyscy magowie, czy może będzie on zadowolony dopiero wtedy, gdy ze świata zniknie wszelkie życie? Widok z mego okna jest upiorny. Martwe goriny, enki i rebery gniją tysiącami na polach, bo ich siła miała posłużyć obronie Kyralii. Zbyt wiele, by można je było zjeść.

Tysiące ludzi opuszczają miasto, bo Tagin zbyt jest zajęty ustanawianiem władzy w pałacu, by ich zatrzymać. Gildia prawie opustoszała. Z wyjątkiem kilku dzielnych magów wszyscy uciekliśmy do bezpieczniejszych miejsc, aby czekać i obserwować. Niektórzy chcą opuścić Kyralię. Jestem niezdecydowany. Czy powinienem opuścić kraj i zabrać ze sobą tę kronikę, czy zostać i kontynuować dokumentowanie wydarzeń, jak nakazuje mój obowiązek? Niektórzy powiedzieliby, że skoro nie ma już Gildii, to i nie ma czego dokumentować. Ale jeszcze nie wszyscy jesteśmy martwi.

Gilken z rodziny Balen, Domu Sorrel, kronikarz Gildii Magów

Powóz kołysał się i podskakiwał, a Gilken odłożył kronikę na bok. Woźnica otrzymał polecenie, by wywieźć ich z miasta jak najdalej i jak najszybciej, toteż powóz, gdy już wyprzedził wszystkich uciekających pieszo oraz na wozach, jeszcze przyspieszył. Połączenie szybkości z wyboistymi wiejskimi drogami sprawiło, że pisanie okazało się niemożliwe.

Towarzysze jego podróży, dwie kobiety-magowie i jeden uczeń, jechali w milczeniu. *Razem ze mną, posiwiatym starcem, stanowimy niezłą siłę.* Pomyślał o reszcie członków Gildii, teraz rozproszonych po całym kraju: przeważnie starszych i młodszych magach, garstce kobiet; większość i tak stanowili

uczniowie, bo bardzo wielu z nich straciło swoich mistrzów.

Choć od Wojny Sachakańskiej upłynęło dwieście lat, to liczba członków Gildii w Kyralii nie osiągnęła tej liczby magów, jaka żyła tu przed wojną. Teraz, nawet gdyby Tagin został w jakiś sposób pokonany i wszyscy ocaleni magowie powrócili do Gildii, trzeba by było znacznie więcej lat, by zastąpić wszystkich, którzy zginęli z rąk Szalonego Ucznia.

Nie wolno też zapomnieć o spustoszonych wioskach i miasteczkach. I o wielu mieszkańcach Imardinu, których Tagin jeszcze zabije w walce o utrzymanie władzy. *Myszę jednak, że będzie musiał pozostawić kilku żywych, bo inaczej nie będzie miał już ludzi, z których mógłby wysączać moc. Najprawdopodobniej zachowa tych o największych utajonych zasobach magii jako niewolników.* Gilken zadrżał. *Może lepiej, że wyjeżdżam. Nie wiem, czy zdołałbym zapisywać to wszystko.*

* * *

— Co zrobili?

Stary służący cofnął się, widząc gniew Tagina.

— Wyjechali, mój panie.

— Dokąd?

— Nie wiem. Wzięli powozy i wyruszyli w różnych kierunkach. Niektórzy na południe, inni na...

— Dobrze – skwitował Tagin. – Skoro się rozproszyli, to znaczy, że nie będą skłonni szybko wrócić, by ze mną walczyć. – Usiadł z powrotem na tronie. – Chcę listy wszystkich magów, którzy wyjechali. – Tagin spojrzał na starca zmrużonymi oczyma. – Wiem, że będziesz próbował paru ukryć. Za każdego maga, którego nie umieścisz na liście... zabiję jednego członka twojej

rodziny.

— Rozumiem. – Mężczyzna skinął głową.

Tagin spojrział w bok z zamyślonym wyrazem twarzy.

— Chcę też, aby powiadomiono mieszkańców Kyralii, że mają odsyłać do mnie wszystkich magów, których znajdują. I ich uczniów. Rozgłoś, że żadnemu magowi nie wolno używać wyższej magii w celu wzmocnienia sił.

— Zwołam heroldów – wyszeptał mężczyzna.

— Po trzecie, chcę, aby przysłano tutaj wszystkie książki z Gildii. – Tagin wskazał jednego z dworzan, których po odczytaniu umysłów wybrał na swoich służących. – Mój sekretarz pójdzie z tobą, żebyś żadnej nie ukrył. – Machnął ręką. – Idź.

Mężczyzna uklonił się i wycofał. Tagin zignorował go i sięgnął po kielich wody.

Indria patrzyła na to z fotela, który został ustawiony dla niej obok tronu. Gdy Tagin pił, w jej umyśle pojawiło się wspomnienie szklanego kielicha pełnego krystalicznej wody o lekko skalnym posmaku. Wspomnienie Lorda Arfona.

„Na ziemiach Gildii nastąpiła już wiosna – powiedział wtedy. – Ta woda jest najczystsza, jaką kiedykolwiek piłaś. Pompuje się ją tylko tutaj i do Królewskiego Pałacu, a w samym pałacu trafia najpierw do królewskich komnat”. Opowiedziała Taginowi o tej wodzie, nie wspominając o jej odgałęzieniu w Gildii, a on postanowił pić jedynie z tego bezpiecznego źródła.

— Och, w porządku. – Tagin spojrział na wycofującego się mężczyznę. – Stój! Mam jeszcze jedno polecenie. Przyślij mi kroniki Gildii. Chcę się dowiedzieć, co o mnie mówiono.

Sługa uklonił się ponownie, po czym wybiegł za drzwi sali audiencyjnej. Indria poczuła ukłucie współczucia i westchnęła.

— Dobrze się czujesz, siostrze? Wydajesz się blada.

Indria zauważyła, że Tagin się jej przygląda, i wzruszyła ramionami.

— Jestem po prostu zmęczona.

Przyjrzał się jej w zamyśleniu. Od chwili przejęcia pałacu nalegał, by nie odstępowała go na krok. Powtarzała sobie, że jest opiekuńczy, ale czasem rozpoznawała w nim stary, znany już nastrój nieufności i podejrzeń. Zmartwienie narastało w niej wówczas jak coraz bardziej splątany węzeł. Znała ten jego nastrój. Zawsze był to nastrój niebezpieczny. W przeszłości prowadził do oskarżeń o wymaginowane zniewagi, a gdy była młodsza, do bicia. Teraz, gdy Tagin przywykł już do zabijania bez większych oporów, co mógłby zrobić, gdyby uznał, że ona go zdradza?

Nieoczekiwanie się uśmiechnął.

— Idź, siostrze. To wszystko bardzo cię wyczerpało. Odpocznij i wróć, gdy poczujesz się lepiej.

Jakoś zmusiła zmęczone nogi, by zaniósły ją do pokoiów, które Tagin dla niej przeznaczył. Piękno wystroju pałacu i jego umeblowania wzmagaly tylko jej melancholię. Gdy dotarła do drzwi swego apartamentu, strażnik je przed nią otworzył. Weszła do gościnnego pokoju, nieomal się zataczając; poczuła ulgę, gdy drzwi zatrzasnęły się za nią. I zamarła.

Pośrodku pokoju stał mężczyzna. Patrzyła na niego w osłupieniu. Nie był służącym. Nie rozpoznała go od razu, gdyż nie nosił zwykłego stroju.

— Lord Arfon?

Kiwnął głową. Spojrzała szybko za siebie, ku drzwiom. Czy

strażnik zauważył intruza? Gdyby zauważył, na pewno coś by zrobił lub powiedział. A może strażnik wiedział, że Lord Arfon tu jest, i mu pomagał?

— Tagin cię zabije, jeśli cię zobaczy – ostrzegła.

Arfon znów skinął głową. Odwzajemnił jej spojrzenie, nic nie mówiąc, lecz wyraźnie się wahając. Jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, od czego zacząć.

— Po co się tu zjawiałeś? – spytała.

Przełknął ślinę.

— Żeby stwierdzić, czy da się coś zrobić.

Spojrzała pod nogi, uświadamiając sobie dopiero w chwili, gdy uczucie to minęło, że widok Lorda Arfona był miły jej sercu.

— Nic. Nawet jeśli tak było, to już jest za późno.

— On ci ufa.

Podniosła na niego wzrok. Jego brwi uniosły się znacząco, choć wyraz twarzy miał posępny.

— Ja nie potrafię tego zrobić – odparła. – Nie potrafię kogoś zabić. A już najmniej mego brata.

Arfon potaknął, potem westchnął i przysiadł na brzegu krzesła. Cała determinacja go opuściła i potrząsnął głową.

— Chciałbym, żeby ludzie mogli usłyszeć twoje słowa. To dziwne, że siostra najgorszego zabójcy w historii ma tak łagodną naturę. Dla większości ludzi byłoby to niewiarygodne.

Zmarszczyła brwi.

— A co sądzą?

Spojrzał w bok.

— Że jesteś jego współniczką. Bo jesteś, prawda? – Znów skierował wzrok na nią, a jego oczy patrzyły teraz twardo i

oskarżycielsko.

„Próbowałam go powstrzymać”, chciała powiedzieć. Ale było to kłamstwo.

— Nigdy nie potrafiłam go powstrzymać, kiedy już wbił sobie coś do głowy – oznajmiła zamiast tego. – Ani wtedy, gdy byliśmy dziećmi, ani teraz.

Arfon skinął głową, potem wstał i podszedł do jednego z wielkich obrazów. Ku jej zdziwieniu odchylił go na zawiasach od ściany jak drzwi. Za nim był prostokątny otwór. Zatrzymał się i spojrzał na nią.

— Jeśli zdecydujesz się coś zrobić, pomogę ci.

Potem wszedł w otwór, sięgnął ręką i przyciągnął obraz, zamykając przejście za sobą.

Indria patrzyła na malowidło. Poczowała dziwne rozczarowanie. *Chciałam, by został i dyskutował ze mną, uświadomiła sobie. Zbyt łatwo przyjął moje usprawiedliwienie.*

Ale przecież próbowała powstrzymać Tagina. W jej umyśle na nowo zaczął się spór. Nie. Nie próbowałam, odpowiedział w jej głowie spokojny głos. *Wiele razy mogłaś go powstrzymać. Ale bałaś się, co zrobi, gdy ci się nie uda, albo jeśli on ucieknie. Byłaś tchórzem.*

Ale jednak był jej bratem.

Poza tym odpowiedzialność. Co było lepsze: wydać go Gildii, gdy miał za sobą dopiero kilka morderstw, czy pozwolić, by zabijał znowu, stając się tym potworem, którym jest teraz?

Czuła zawroty głowy. Działanie teraz nie miało sensu. Było za późno. Tagin był na tronie. Gorzej być już nie mogło.

O tak, mogło.

Musiałby dalej zabijać, żeby pozostać silnym na tyle, by

odeprzeć próby odbicia miasta przez Gildię. A przynajmniej musiałyby zmieniać ludzi w niewolników, aby nieustannie czerpać z nich moc.

Niewolnicy. Skończymy jak Sachaka. Ale wtedy będzie już tylko jeden pan, mój brat, a wszyscy mieszkańcy Kyralii będą niewolnikami.

Nic nie da się zrobić.

Och, tak, da się.

Zaschło jej w ustach, gdy o tym pomyślała. Rozwiązanie istniało od samego początku. Potrzebowała tylko odwagi, by wcielić je w życie. Podeszła powoli do szafki, w której przechowywała kilka rzeczy towarzyszących jej przez ostatnie miesiące, i wyjęła z niej mały flakonik, papier, atrament i pióro.

Nic nie mogło jej powstrzymać. Postanowiła działać, dopóki nerwy nie odmówią jej posłuszeństwa, a sumienie nie przestanie się odzywać, po czym uspokoiła drżące dłonie.

Jakiś czas później natknęła się na Tagina pośrodku sali audiencyjnej, grzebiącego w skrzyni pełnej zakurzonych książek.

— Patrz! – powiedział, gdy podeszła bliżej. – Książki z Gildii.

Skrzywiła się.

— Pachną starzyzną.

— Są stare – rzekł do niej. – To na przykład jest kronika magów Gildii, którzy zarządzali Sachaką po wojnie. – Grzebał dalej, aż kłęby kurzu wzbiły się w powietrze, i zaczął kaszleć. Machnął ręką. – Przynieś mi coś do picia, siostrze.

Ciarki przeszły jej po plecach, gdy podniosła stojący obok tronu kielich i przeszła w głąb komnaty. Źródłana woda była przejrzysta i chłodna. Napęłniła naczynie i wróciła do boku Tagina. Obserwował ją, gdy uniosła kielich do ust i wypła łyk.

Zadowolony, wziął od niej kielich, napił się i oddał jej. Wybrał jakąś książkę i poszedł usiąść na tronie. Patrzyła, jak zaczyna czytać. Dopiero gdy powieki zaczęły mu ciążyć, a głowa opadać, odstawiła kielich na bok.

Przybliżyła się do tronu i pochyliła blisko, jakby chciała przyjrzeć się stronicom. On zaś się zachwiał i podniósł na nią wzrok.

— Siostró – rzekł, a jego oczy przymykały się i otwierały. W końcu książka wypadła mu z rąk. – Jestem bardzo zmęczony.

— Bracie – odparła. – Ja też jestem zmęczona. Oprzyj się na mnie. Nie martw się. Zajmę się tobą.

Podtrzymała go, gdy się osunął, i trzymała tak, aż jego oczy się zamknęły. Oddech powoli zamarł, a usta posiniały. Sięgnęła potem po kielich i dopiła go do dna, dziwiąc się, jak to możliwe, by lek był w czystej wodzie tak słabo wyczuwalny, choć wciąż dość mocny, by zabić.

Jej oczy zaćmił intensywny biały błysk, a wraz z nim uczucie zbyt krótkie, by nazwać je bólem.

* * *

Kilkutygodniowa nieobecność nie ułatwiła wspinaczki po schodach na wieżę. Ponadto Gilken musiał tym razem wnieść dodatkowy ciężar. Kronika i przybory pisarskie wydały mu się cięższe niż wtedy, gdy zabierał je z pokoju. Dotarł wreszcie na ostatni stopień i podest przed swoimi drzwiami. Zatrzymał się, by popatrzeć na proste drewno i na tabliczkę głoszącą, że pokój ten zajmuje „Kronikarz Gildii Magów”. Przez chwilę owładnęły nim emocje. Odetchnąwszy głęboko, pchnął drzwi i wszedł do

pokoju.

Było w nim kilka oznak nieporządku. Szafy były pootwierane. Dzbanek na wodę został rozbity. Łóżko stało pod dziwnym kątem, najwyraźniej przesunięte. Jednakże niewielki, wysoki pulpit, przy którym zawsze pracował, pozostał cały i stał na swoim miejscu. Położył swoje brzemię na stole, po czym podszedł do okna. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

Widział już ruiny miasta, gdy przejeżdżał powozem do Gildii, ale wtedy jawiły mu się jak bezładne sterty drewna i kamienia. Teraz, oglądając je z góry, dostrzegał zarysy obszaru zniszczenia. Eksplozja, która zrównała z ziemią tyle budynków, rozchodziła się promieniście od pałacu. Nie dotknęła Gildii, ale rozniosła wszystko pomiędzy salą tronową a nabrzeżem. Widok był okropny, ale niósł też ulgę niewolną od poczucia winy.

Tagin nie żył.

Podobnie jak tysiące ludzi. Magowie i niemagowie. Lordowie i służący. Mężczyźni i kobiety. Dorośli i dzieci. Wszyscy zamordowani przez Szalonego Ucznia albo zabici wtedy, gdy cała ukradziona przezeń magia została uwolniona w momencie jego śmierci.

Gilken długo patrzył na ten widok, aż w końcu nie mógł już znieść go dłużej. Odwrócił się od okna i podszedł do pulpitu. Odwinąwszy zawiniętą księgę kroniki, położył ją na pochyłym blacie. Wstawił kałamarz z powrotem na swoje miejsce i wyjął pióro z torby podróżnej.

Zamoczył koniec pióra.

I zaczął pisać.

Wpis do kroniki z 235 roku

Już po wszystkim. Gdy Alyk powiedział mi tę nowinę, nie ośmieliłem się w nią uwierzyć, lecz przed godziną wspiąłem się po schodach na Wieżę Widokową i ujrzałem prawdę na własne oczy. Bo to prawda. Tagin nie żyje. Tylko on mógł spowodować takie zniszczenia w swoich ostatnich chwilach.

Lord Eland zwołał nas wszystkich i odczytał nam list od Indrii, siostry Tagina. Pisała o swoim zamiarze otrucia go. Możemy jedynie przypuszczać, że się jej udało.

Czy wiedziała, że zabicie go uwolni moc, którą w sobie zgromadził? Czy wiedziała, że moc ta obróci pałac i dużą część miasta w gruzy? Dlaczego wspierała go przez cały ten czas, by na koniec zwrócić się przeciw niemu?

Nigdy się tego nie dowiemy. Najprawdopodobniej stworzymy nowe, surowsze reguły postępowania z uczniami i nauczania wyższej magii. Niektórzy proponowali nawet, by w ogóle wyzbyć się wyższej magii, choć byłoby to szaleńczym wystawianiem nas na niebezpieczeństwo. A jednak Sachaka nie jest już dla nas groźna, a z innymi naszymi sąsiadami pozostajemy w przyjaznych stosunkach.

Poparcie zyskał jeden z pomysłów, by zachęcić magów do nauki i wykorzystywania magii w walce i sztuce wojennej, tak samo jak niektórzy z nas uczą się magicznego uzdrawiania. Wówczas być może będziemy przygotowani na następne zagrożenia i nie powtórzymy błędów popełnionych w postępowaniu z Szalonym Uczniem.

Zmiana jest pewna. Podejrzewam, że skutki tej tragicznej historii prześladować nas będą przez wiele lat, ale zaczynam wierzyć, że w jej rezultacie staniemy się mądrzejsi i silniejsi.

Ze strasznych rzeczy mogą rodzić się rzeczy dobre, dopóki będziemy uczyć się z naszych błędów, a to, czego się nauczymy, zapisywać w kronikach dla przyszłych pokoleń.

Gilken z rodziny Balen, Domu Sorrel, kronikarz Gildii Magów

Przetłóżył Jerzy Moderski

Juliet Marillier

INNY



Juliet Marillier urodziła się i wychowała w Dunedin w Nowej Zelandii, a obecnie mieszka w Australii Zachodniej. Jej historyczne powieści fantasy dla dorosłych i młodzieży zostały przetłumaczone na wiele języków i zdobyły szereg nagród, w tym Aurealis Award, Alex Award przyznawaną przez American Library Association, Sir Julius Vogel Award i Prix Imaginales. Ogromny wpływ na jej pisarstwo wywarło umiłowanie folkloru, baśni i mitologii. Juliet pracuje obecnie nad trzecią książką z cyklu „Shadowfell”, studium tyranii i rebelii, osadzonym w magicznej wersji starodawnej Szkocji. Kiedy nie jest zajęta pisaniem, opiekuje się stadkiem bezdomnych zwierząt.

To była ostra zima, czas mroźnych zacinających wiatrów i skutych lodem rzek, głodu i ciężkiej próby. W mrocznej porze dni były zawsze krótkie, ale tego roku ciemność zdawała się szczególnie głodna światła. Brzuchy tęskniły do świeżego mięsa; serca czekały błogosławieństwa słońca. Pieśni mówiły o nadpłynięciu fok i pozwalały na zabicie trzech: to wystarczy na dobrą ucztę dla każdego mężczyzny, kobiety i dziecka z Ludu. Śpiew Wieszcza ustanawiał, jak powinno się odbyć polowanie. Mężczyźni szli zamaskowani, a ich przywódca przebrany był w łowczy strój, lśniący, miękki i szary, jakby sam był foką. Pracę włóczni poprzedzały przeprosiny i słowa wdzięczności. Potem było świętowanie i olej do lamp, a Lud czuł się podniesiony na duchu. Teraz już mogli przetrwać, aż dni znów staną się dłuższe, a na smaganych wiatrem drzewach pojawią się pierwsze nieśmiałe zawiązki liści.

Ale Wieszcz czuł rozdzierający ból w piersi, jego kaszel brzmiał, jakby ktoś prętem przeciągał po chaszczach, a on

wiedział, że to będzie jego ostatnia wiosna. Patrzył na swoją uczennicę. Przykładała się do nauki: potrafiła wyciągnąć na flecie przejmujący ton żałobnej pieśni i wyczarować subtelny rytm kości *[jeden z najstarszych instrumentów perkusyjnych; gra polegała na potrząsaniu stukającymi o siebie płaskimi kawałkami kości, wkładanymi między palce]*. W świetle świecy wydobywała głos z maleńkiej harfy o strunach zrobionych z jelit zajęcy. Jej słodko-gorzka melodia zawisała w powietrzu jak zew i echo, jak materia i cień. Dziewczyna zniosła dni postu, bezsenne noce, niezbędne próby wody, ognia i głębokiej ziemi. Słyszała Pieśni, przechowała w sobie głosy przodków, brzemie tak cenne jak nienarodzone dziecko. Wszystkiego się nauczyła. Ale była młoda, może zbyt młoda.

— Lekcja tej nocy jest doprawdy ciężka – przemówił spokojnie Wieszc, gdy umilkła pieśń harfy. – Wiesz już, że Wieszc rodzi się tylko jako bliźnię. I taka jest kolej rzeczy, że w każdym pokoleniu zdarzają się wśród Ludu tylko jedne takie narodziny. To daje każdemu Wieszczowi czas na przekazanie tajemnic następnemu, tak jak ja przekazałem je tobie. Jeśli cykl zostanie złamany i Wieszc umrze, zanim jego uczeń będzie gotowy, Śpiew zostanie utracony, a bez niego Lud zginie. Pieśni pokazują wielki wzorzec, wedle którego trzeba postępować. Są naszą prawdziwą mapą i drogą: naszą równowagą i Gwiazdą Polarną.

Dziewczyna skinęła głową, nie mówiąc nic.

— Naszemu powołaniu nie można się sprzeniewierzyć. To święte powiernictwo. Ale... – Zamilkł na chwilę. Jakże jej umysł zdoła znieść taką życiową samotność, bez ludzkiego dotyku? Zaledwie dorosła: dopiero co stała się kobietą. – Jest i ciemniejsza

strona. Pieśni muszą płynąć w stanie nieskażonym ze swego źródła i być przekazywane Ludowi czysto i mocno. Wieszczyk musi poświęcić temu każdy skrawek swej woli, każde pasemko ducha, ostatni zakątek umysłu. To będzie trwać długo. Poniesiesz to brzemię, aż twój uczeń będzie gotów zająć twoje miejsce. Nie ma miejsca na inne sprawy. Dlatego pozostajemy sami, na uboczu. A i to nie wszystko. Wieszczyk musi być mocniejszy od zwykłych mężczyzn i kobiet; wystarczająco silny, by podołać mocy Śpiewu i nie zatracić się w obłędzie; wystarczająco prawdziwy, by stworzyć nierozzerwalną więź i czysty przekaz od ducha do człowieka. – Jego westchnienie zabrzmiało jak zgrzyt ostrza na lodzie. – Oto, dlaczego musimy rodzić się bliźniaczo. To dlatego mamy Wybieranie.

— Czym jest Wybieranie? – Drobną twarz dziewczyny była lodowobiała w mroku kamiennej chaty, a jej oczy były ciemne jak cienie.

Na zewnątrz ryczał wiatr, szarpiąc strzechę; zawieszony na linach obciążniki łomotały o ściany.

— Gdybyś żyła między Ludem, wiedziałabyś już o tym trochę – odparł starzec zmęczonym głosem. – Trzymałem cię od tego z dala, to tajemnica mroczniejsza od wszystkich, o których się już dowiedziałaś. Teraz musisz ją poznać i zacząć umacniać swoją wolę na jej spotkanie. Może będziesz mieć szczęście i Wybieranie przyjdzie na ciebie późno, kiedy już wyćwiczysz się w dyscyplinie umysłu. Czy kiedykolwiek zadawałaś sobie pytanie, co się dzieje z drugim bliźnięciem, które nie zostaje Wieszczykiem? Jak dokonuje się wyboru?

Zastanawiała się przez chwilę.

— Sądzę, że jedno z nich nadaje się lepiej. Zapewne to drugie zostaje gdzieś odesłane. Nie zauważyłam wśród Ludu nikogo podobnego do mnie.

— Rzeczywiście. Twój brat umarł dawno temu, kiedy byliście jeszcze niemowlętami. Mojego bliźniaka spotkał ten sam los w czasach, których nie ogarniam pamięcią. Zachowaliśmy ich siłę i mamy też swoją, jesteśmy więc podwójnie mocni: dwoje w jednym. Bez tego żadna kobieta i żaden mężczyzna nie miałby takiej wytrwałości, takiego hartu, tak jasnej myśli i tak czystego ducha, jakie musi posiadać Wieszcz. Nie mogłabyś posłyszeć Pieśni, nie zdołałabyś wydobyć głosu mocy ze swej harfy ani nie poruszyłabyś umysłów Ludu bez twego Innego.

— Mojego Innego? – wyszeptała.

— Twojego bliźnięcia, które zostało złożone w ofierze, abyś mogła zostać Wieszczką.

Jej oczy były jak dwa zwierciadła mroku.

— Zabili go? – szepnęła.

Starzec potaknął ze spokojnym wyrazem twarzy. Wciąż był Wieszczem. Jeśli odczuwał współczucie, nie pokazał tego po sobie.

— Krótko po urodzeniu. Zawsze tak się dzieje. Dokonuje się wyboru. Silniejsze, bardziej odpowiednie zostaje zachowane. Inny umiera, zanim nastanie drugi świt, a jego duch przepływa w brata lub siostrę. W ten sposób Wieszcz staje się dość silny, by podołać Śpiewaniu. To konieczne, moje dziecko.

— Wieszczu? – Jej głos w półmroku zabrzmiał słabo i trochę drżąco. – Kto dokonuje wyboru? Kto dokonuje... ofiary?

Starzec spojrział na nią, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem.

Nie potrzebował słów, by jej odpowiedzieć – wyczytała prawdę z jego oczu.

Na szczęście przekazał jej to wtedy. Następnego ranka, kiedy wstała, dygocąc, aby rozpaść ogień i podgrzać trochę kleiku dla starca na śniadanie, znalazła go leżącego na łóżku zimnego, ze spokojną twarzą. Położyła mu na powiekach białe muszle i dotknęła jego ogolonej głowy koniuszkami palców. Gdy obok przechodził jakiś chłopiec z wiadrzem owsa, wykrzyczała nowinę zza zamkniętych okiennic. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku przyszli starsi z deską i zabrali starca. Stała potem z suchymi oczyma przy stosie, gdy płonął na nim, spowity gorącym i gryzącym dymem, w lodowatym powietrzu wiosennej równonocy.

W swoim pierwszym Śpiewie opowiedziała o życiu Wieszcza i jego odejściu i zapowiedziała dobry rok pomimo surowej zimy. Siewy mogą być wczesne, pojawi się obfitość makreli. Tej wiosny morze nie zabierze żadnego z mężczyzn, pod warunkiem że będą ostrożni. Kiedy skończyła, ludzie oddali jej cześć i odeszli. Niektórzy mieszkali blisko, w osadzie Storna, inni natomiast musieli przemierzyć wyspę, podróżując aż do Grimskail, Settersby lub dalekiego Frostrimu. Wsiadali na sanie i popędzali swoje kudłate psy lub mocne kuce; przypinali do butów kościane rakiety śnieżne i przekraczali zamrożone strumienie i jeziora. Powracali na wielkie Śpiewania, jakie Wieszczyk musiał odbywać przy każdej zmianie pory roku. Przy takich okazjach śpiewane były nowe Pieśni: nowa mądrość starych głosów. Śpiewania miały swoje nazwy: Przebudzenie, Dojrzewanie, Plony, Zasypianie. Ona jednak miała dla nich własne określenia:

Tęsknota, Wiedza, Ofiara, Milczenie.

Mówiono w tamtym czasie, że była dobrą Wieszczką. Trzymała się na uboczu, jak powinna. Pozdrawiała ich, gdy było trzeba, i wycofywała się do swojej chaty jak duch. Dniami i nocami wyczekiwała przy kamieniach, milcząca wśród rzucanych przez nie długich cieni, zasłuchana. Powiadali, że gdy ktoś ośmielił się odezwać do niej w takiej chwili, nie słyszała go, choć oczy miała otwarte. Tym, co wtedy słyszała, była cisza Pieśni.

Którejś długiej zimy jakiś mężczyzna przywiózł ładunek drewna i został, żeby je dla niej porąbać. Przyglądała mu się zza okiennicy, zdumiona szybkością i sprawnością jego pracy. Gdy skończył, nie odszedł po prostu, jak powinien, ale wystukał pięścią krótki taneczny rytm na jej drzwiach. Uchyliła je i wyjrzała przez szparę swymi cienistymi oczyma, z twarzą pojaśniałą od wiedzy.

— Wszystko gotowe – oznajmił młody mężczyzna z szerokim uśmiechem ukazującym dołki w policzkach, z włosami nastroszonymi, jasnymi jak dojrzały jęczmień. – Ułożone w kącie, gdzie sucho. Zimno tu.

— Dziękuję – szepnęła, patrząc mu w oczy, szczerze, dobre oczy w kolorze skalnych sadzawek pod letnim niebem. – Dziękuję. – Drzwi zaczęły się powoli zamykać, trzeszcząc.

— Samotne życie – powiedział młody mężczyzna.

Wieszcza skinęła głową, spojrzała znowu i zamknęła drzwi. Potem przychodził od czasu do czasu, nie za często, ale być może trochę częściej, niż wynikałoby to z naturalnego porządku rzeczy. Naprawiał strzechę albo przetykał spływ. Obserwowała

go zza drzwi albo przez szpary w okiennicach, a potem mu dziękowała. Nigdy nie padało więcej niż jedno, czasem dwa słowa, ale po jakimś czasie przyłapała się na tym, że gdy tylko odwiedza Stornę, szuka go oczyma w tłumie. Gdy ludzie przechodzili drogą, wyglądała przez okno, wypatrując, czy przejdzie i spojrzy w stronę jej okiennic, i uśmiechnie się. Dowiedziała się, jakie nosi imię: Ekka, imię wojownika, choć mężczyzna z takim uśmiechem z pewnością nie był wojownikiem pomimo siły swych ramion, gdy przerąbywał twarde jak żelazo kłody, jakby przecinał kręgi świeżego sera.

Zauważyła, że jej uwaga zaczyna wędrować, więc ostro przywołała ją z powrotem. Siedziała w milczeniu przy gładkich, ze skrzyżowanymi nogami, w gotowości, czekając na Pieśni, ale one nie przychodziły. Zamiast ich potężnych głosów i prastarych obowiązujących prawd słyszała jedynie ciche fragmenty jakiejś melodii, jakieś banalne pobrzękiwania, niczym dźwięki muzyki wędrownych grajków przemierzających latem wyspę, zabawiających tłum kuglarskimi sztuczkami i tańcem. Po raz pierwszy się zdarzyło, że Pieśni jej umykały, a gdy powróciła do chaty, pusta i niepomna mądrości, której przekazywanie było jedynym sensem jej życia, wiedziała już, że nauki starego człowieka były słuszne. Musi zamknąć tę część siebie, która należy do wiosny: Tęsknotę. Wieszcz musi iść przed siebie samotnie.

Od tej chwili jej drzwi były dla niego zamknięte. Raz czy dwa zawołał przez zawarte okiennice, wiedząc, że ona tam jest, ale zaciśnęła szczęki i zachowała milczenie. Na zewnątrz wychodziła w kapturze, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie mogła zupełnie

uniknąć spotkania z nim, bo był przywódcą tej osady i brał ważny udział w jej zgromadzeniach. Wieszcza nauczyła się go pozdrawiać i nie czuć nic. Nauczyła się patrzeć na niego w taki sposób, w jaki patrzyła na każdego: jakby przestrzeń między nimi była szeroka i niezmierna jak wielka kopuła gwiazdowego nieba. Obserwowała, jak się wycofuje, jak ciemnieją jego niebieskie oczy i jak gaśnie uśmiech. Później widziała, jak się zakochał i ożenił, lecz zachowywała swoje myśli w doskonałym porządku. Sen to jednak co innego. Nawet ćwiczenia nie potrafią nauczyć Wieszcza panowania nad snami.

Czas upływał. Młoda żona Ekki urodziła córeczkę. Mijały okresy obfitości, mijały srogie pory roku. W trudnych czasach same Pieśni nie wystarczały, by zaczęło dziać się dobrze. Nie mogły uspokoić wzburzonego morza albo zatrzymać pomoru owiec, albo zastąpić potoków siekącego nieustannie deszczu słońcem. Mogły jednak przynieść mądrość. Ostrzeżenie przed ciężkimi czasami umożliwiało przygotowania: naprawę strzech, wzmocnienie ścian, sprowadzenie stad owiec do owczarni i zgromadzenie zapasów. Takie ostrzeżenia pozwalały na przetrwanie ciężkich czasów. Lud trwał w ostrożnej równowadze, a ludzie każdą decyzję odnosili do wzorca, który ona im wskazywała, prastarego wzorca, w którym wiatr i fale, ogień i ziemia, człowiek i zwierzę, wszystko było częścią jednego wielkiego tańca. Któregoś roku Pieśń Dojrzewania opowiedziała o najeźdźcach w wysokich okrętach o nazwach takich jak *Lot smoka*, *Królowa mórz* czy *Droga wielorybów*. Lud przeniósł się wtedy na północ, do Frostrim, pędząc przed sobą stada. Najeźdźcy przybyli i ominęli wyspę. Uprawdzili jakąś łódź, spalili jedną czy drugą

szopę. Lud powrócił w czasie Plonów, a Wieszcza wyśpiewała im bezpieczeństwo i łagodną zimę. W następnym roku Pieśni mówiły o śmierci. Wtedy pojawiła się febra, która zabrała dwanaścioro mężczyzn, kobiet i dzieci. Żona Ekki ciężko zachorowała, a Wieszcza wygłosiła Przepowiednię przy jej łożu. W Przepowiadaniu nie prosiło się przodków o konkretną przysługę. Mówiło się o możliwym biegu zdarzeń, a potem żywiło nadzieję. Wieszcza powiedziała, że Sifri urodzi więcej dzieci: śliczne dziewczynki podobne do jej córeczki i mocnych, wesołych chłopców o niebieskich oczach. Przepowiedziała śmiech tych dzieci w wąskich uliczkach Storny i na polach, gdy będą gonić się w słońcu długiego letniego dnia. Skończyła, naciągnęła kaptur na ogoloną głowę i wyszła. Następnego ranka Sifri usiadła i wypila wywar z jęczmienia. Wiosną jej brzuch wypełnił się kolejnym brzemieniem, a jej drobne, łagodne rysy zabarwiły się rumieńcem tajemnicy życia, które nosiła w sobie.

W porze Plonów tego roku Wieszcza stanęła pod Kamieniem–Strażnikiem i usłyszała Pieśń, a jej serce przeniknął chłód, pomimo wszelkiej dyscypliny, jaką sobie narzuciła. Przodkom nie zadaje się pytania: Czy jesteście tego pewni? Przed pierwszymi mrozami Sifri urodziła bliźnięta, dwóch chłopców podobnych do siebie jak dwie krople wody. Otrzymali imiona, których nie mieli zachować na długo: Halli i Gelli. Nadszedł czas Wybierania.

Schodziła ze wzgórza, a każdemu krokowi towarzyszyło głuche uderzenie serca. Lud patrzył w milczeniu, z powagą, jakby to ona sama miała być złożona w ofierze. Starsi czekali na zewnątrz, poza miejscem Wybierania. Sifri i Ekka stali obok

siebie, trzymając się za ręce, a na ich twarzach białych jak popiół malowały się duma i smutek. Tego dnia mieli stracić obu synów, choć jednego mieli prawo zatrzymać odrobinę dłużej. Mała dziewczynka stała obok Sifri, trzymając się jej spódnicy, z palcem w buzi. Wieszcza skinęła im poważnie głową, z uznaniem dla ich odwagi, a potem weszła do środka.

Hałas był ogłuszający. W jej chacie zawsze panowała cisza. Spokoju jej dni nie zakłócał żaden wylegujący się przy ogniu kot, żaden czuwający pies, żaden służący nie mamrotał pozdrowień i żadne dziecko nie wrzeszczało rozdzierająco, aż do bólu głowy, jak ci dwaj tutaj. Choć nie... Tylko jedno niemowlę tak krzyczało, tylko jedno, z twarzyczką czerwoną od płaczu, wymachiwało w powietrzu zaciśniętymi bezradnie piąstkami, domagając się uspokajającego dotyku, ciepła i miłości. To dziecko walczyło; drugie było spokojne, tak spokojne, jakby już nie żyło. Podeszła bliżej. Wrzask irytował ją straszliwie, aż oczy zaczęły jej łzawić. Dzieci leżały w koszykach z sitowia, a pokrywy koszyków były zdjęte i umieszczone po bokach. Między koszykami stał stołek, a na nim leżał sztylet z ozdobną rękojeścią, arcydziełem splecionym ze złotego drutu i maleńkich czerwonych kamieni. Jego klinga była mocna, ostra, o kształcie zgodnym ze swym przeznaczeniem. Dzieci były nagie, starannie obmyte z pozostałości porodu. Być może było im zimno. Może dlatego jedno z nich tak krzyczało. Niebawem jedno z nich będzie ponownie ogrzane, a drugie jeszcze zimniejsze. Zajmie to tylko chwilę. Chwył, pchnięcie, odwrócenie oczu. W okamgnieniu będzie po wszystkim. Nie było wątpliwości, które należy wybrać: to silniejsze, bardziej zdatne. Waleczniejsze.

Jeszcze raz podeszła. Krzyk nie ustawał. Ten chłopak będzie miał potężny głos do Śpiewu. A co do drugiego... spojrzała w dół. W plecionym koszyku, cichy jak małeńkie leśne zwierzątko zaskoczone przez drapieżnika, leżał i patrzył na nią. Jego okrągłe oczka były w kolorze skalnych sadzawek pod letnim niebem. Włoski miały barwę czystego złota. Uśmiechnął się, a w niemowlęcym policzku zarysował się dołeczek. Był obrazem swego ojca. Zwróciła się ku drugiemu, z bijącym sercem i rękoma drżącymi tak mocno, że ledwie zdołałaby unieść nóż, nie mówiąc już o jego użyciu. Jakby w poczuciu wagi tej chwili pierwszy bliźniak zamilkł nagle, choć jego małeńka pierś wciąż falowała z wysiłku. Twarz wciąż wykrzywiona była po płaczu. Unosił rączki, żądny życia.

Teraz, gdy ustało łkanie, z zewnątrz zaczęły dobiegać odgłosy: skrzypienie kół wozów, głosy dzieci, czyjeś pogwizdywanie. Wyobraźnia podsunęła jej obraz przechodzących wędrownych kuglarzy, pstrej grupy obdartusów o twarzach wymalowanych w dziwaczne, czarne, czerwone i białe wzory, o włosach związanych w czuby, z wplecionymi piórami i wstążkami. Nawet ich dzieci wyglądały jak stadko egzotycznych ptaków. Wygrywana na fujarce melodyjka urwała się nagle. A ona podjęła decyzję. Pewną ręką Wieszcza sięgnęła w dół i chwyciła nóż.

Istniał przewidziany rytuał, którego należało przestrzegać, wzorzec właściwego wykonywania różnych rzeczy. Wyszła z małeńkiej chaty z koszykiem w ramionach. Plecione z sitowia wieko przykrywało teraz leżący w środku mały kształt. Na wierzchu leżał nóż splamiony świeżą krwią. Ani ojciec, ani

matka nie poprosili, by raz jeszcze spojrzeć lub dotknąć. Nie przewidziano czegoś takiego. Inny odszedł do cienia, stając się częścią wielkiej Pieśni, która pewnego dnia zabrzmiała z ust jego brata.

— Idźcie do swego dziecka – powiedziała łagodnie Wieszcza. – Pocieszcie je. Za trzy lata przyprowadźcie je do mnie, a ja będę je uczyć.

— Dziękuję – rzekł Ekka z poważnym wyrazem błękitnych oczu.

— Dziękuję – powiedziała Sifri z nutą smutku w głosie, po czym oboje weszli do chaty.

Wzywał ich głos syna. Teraz, gdy było już po wszystkim, rozwrzeszczał się znowu, z podwójną energią.

Wieszcza zaniósł koszyk na wzgórze do swojej chaty, gdzie stał spokojnie w kręgu świec, aż zapadł zmrok. Jej dłoń krwawiła. Oderwała skrawek lnu ze starej sukni i owinęła nim palce i środek dłoni, pomagając sobie zębami, by dobrze zaciągnąć węzeł. Później przyszli starsi, zabrali koszyk, położyli go na stosie i spalili Innego z należnym ceremoniałem. Nie trwało to długo, bo był niewielki.

Wyglądało na to, że wybrała dobrze. Halli był zdolny. Wyrósł duży i mocny, barczysty i jasnowłosy jak ojciec, i bardzo zdecydowany, by opanować wszystko, czego powinien się nauczyć. Bywało, że pokazała mu za dnia jakiś nowy rytm kości lub bardziej wyrafinowany sposób gry na harfie. Nocą leżała, nie śpiąc, i słuchała jego nieskończonych prób w dążeniu do doskonałości. Nie musiała zaprowadzać dyscypliny; samodyscyplina jej ucznia była surowsza od wszelkich rygorów,

jakie mogłaby narzucić.

Znacznie trudniejsza była dla niego lekcja cierpliwości, bo bez cierpliwości nie ma słuchania. W wieku dwunastu lat przeszedł wszystkie próby i okazał się wystarczająco silny. Nie zdziwiło jej to. Dopiero to, co przyszło potem, przyprawiło ją o skurcz żołądka z niepewności, a jej umysł przesłoniły złe przeczucia.

Pewnego letniego poranka Wieszcza i jej uczeń stanęli pod Kamieniem–Strażnikiem.

— Wiesz, co trzeba zrobić – powiedziała.

Poniżej wielkiego monolitu była w ziemi płytko wklęsłość, zagłębienie wielkości grobu, wyścielone trawą, jakby zapraszające do snu. Podczas letniego przesilenia to miejsce nasłuchiwania przyciągało słońce i było naczyniem złotego światła w zieloności wzgórza. W połowie zimy cień Kamienia–Strażnika wydłużał się, przecinając krąg i okrywając małe zagłębienie tajemniczym, głębokim mrokiem.

Tego dnia było pochmurno. Halli usiadł ze skrzyżowanymi nogami, milczący. Podobnie ona czekała kiedyś, podczas gdy stary Wieszc stał przy kamieniach tak cicho i spokojnie, jakby sam był jednym z tych strażników starożytnej prawdy; jak gdyby mchy i porosty, ognisto–czerwone, słonecznie złociste, żółte jak ziarno, miały kiedyś obrosnąć jego okrytą szarym płaszczem postać i przykryć gładko ogoloną głowę miękką czapą. Ona też czekała, oczyściwszy umysł z wszystkich myśli i coraz bardziej zwalniając oddech. A potem przyszła do niej Pieśń, czysta i pewna, biorąc swój początek w sercu, rozbrzmiewając w duchu, zalewając wyczekujący umysł prawdą. Był to głos przodków dobiegający wprost z kamieni, z głębi ziemi, w której stały one

zakorzenione tak mocno, z wiatru i światła, i przepastnych głębi nieba. Wciąż czuła to gdzieś w sobie, tę pierwszą chwilę transcendentnej radości.

Czas mijał. Mogło to trwać długo, dzień i noc, może nawet dłużej. Znała siłę tego chłopca. Będzie siedział nieruchomo tak długo, jak będzie musiał, aby w końcu ją usłyszeć. Jednak gdy niebo zaczęło ciemnieć, przechodząc w róż, a później w fiolet, a później w gołębią szarość, zaczęła się dziwić. Był zdolny, każdy mógł to dostrzec. Mądry, bystry, oddany. Dlaczego trwało to tak długo? W jej wnętrzu obudziło się jątrzące wspomnienie.

O świcie przemówiła do niego łagodnie, wybudzając go z transu, prosząc, by przerwał. Innym razem, powiedziała. Następnym razem. Halli był rozgniewany: na nią, na przodków, na siebie.

— Musisz nauczyć się cierpliwości – stwierdziła Wieszcza.

Zażądał jeszcze jednej próby. Jutro, jutro. Nie teraz, odparła. Skoro przodkowie nie przemówili, to znaczy, że nie była to właściwa pora. Zmrużył oczy, urażony, skrzywił się z rozczarowaniem.

— Musisz nauczyć się spokoju – rzekła.

Grał na kościach tak, jakby grał taniec śmierci. Jego flet rozbrzmiewał przejmującym łkaniem tęsknoty. Palce wydobywały z małej harfy nuty bolesnej pustki. Kazała mu czekać.

Minęła kolejna pora roku. W okresie Plonów przeciągał przez Stornę tłum wędrownych kuglarzy z tańcami, barwnymi wstążkami i tresowanymi psami pokazującymi różne sztuczki. Głos fujarki docierał na wzgórze, czysty i niewinny na

wschodnim wietrze; głos wolny, niewyuczony, a jednak doskonały w swej formie i uczuciu. Melodia przedarła się przez okna i poruszyła wspomnienia Wieszczy. Za zamkniętymi drzwiami Halli grał na flecie własną zawiłą muzykę, skupioną na sobie. Usłyszała, jak te dwa głosy spotykają się i mieszają ze sobą, zakryła więc dłońmi uszy i skorzystała z wyuczonej techniki oddalania niechcianych myśli. Gdy wyszła z transu, wszędzie panowała cisza. Uczeń w końcu zasnął, jego mocna postać skuliła się jak ciało dziecka, a rysy twarzy rozmyły w wyrazie zmęczenia. Flet wysunął mu się z rąk i upadł na klepisko. Wieszcza przykryła chłopaka kocem.

Trzy Dojrzewania minęły, zanim zaczął słyszeć Pieśni, a gdy pozwoliła mu zaśpiewać pierwszy raz, był już mężczyzną. Halli burzył się przeciwko tym ograniczeniom. Dlaczego go tak powstrzymywała? Mógł przecież to robić, wiedział, że tak. Czyżby mu nie ufała?

— Musisz nauczyć się pokory – mówiła Wieszcza. – Jesteśmy tylko naczyniami, niczym więcej. – Jego gniew budził w niej niepokój. Zaczęły pojawiać się sny, po których czuła się zmęczona.

Gdy nastąpiło jego osiemnaste lato, Halli zaprezentował Ludowi swój pierwszy Śpiew. Wieszcza słuchała, gdy opowiadał o wczesnych mrozach i pojawieniu się wielorybów; o dalekich brzegach, na których ujrzeć można zielone łąki i winne grona; o budowaniu statków. Jego śpiew był jak głos wojennego rogu, głęboki i dźwięczny. Nim skończył, oczy młodych mężczyzn zapłonęły podnieceniem: oto było wyzwanie ponad wszelkie wyobrażenia. Czyż przodkowie nie wspominali już kiedyś o

wyruszeniu ku wielkiej przygodzie? W tłumie stała cicho Sifri z trzema córkami przy boku. Nie miała już więcej synów.

Przed końcem tej pory roku zbudowali wspaniały statek o plecionym z giętkich prętów kadłubie pokrytym skórami, wysmołowany dla szczelności, z wiosłami z modrzewiowego drewna. Na dziobie umieścili czaszkę wieloryba. Nazwali statek *Morskim brzytwodziobem*. Pewnego dnia o świcie młodzi mężczyźni z wyspy wypłynęli na nim w poszukiwaniu urodzajnych ziem na zachodzie, krain, w których wszyscy mogliby zamieszkać i zaznać szczęścia pod uśmiechniętym słońcem. Nie powrócili w czas Plonów. Kosili jęczmień i układali słomę starzy ludzie z kobietami i dziećmi. Rok upływał, a oni nie wrócili nawet wtedy, gdy dni stawały się coraz krótsze. Dopiero gdy nastał czas cienia, wrócili na wyspę ci dumni posłańcy Ludu. Któregoś razu koło Grimskail wędrował brzegiem chłopiec z psem, zbierając drewno wyrzucone przez morze. W całunie wodorostów, przybrani w morskie glony, leżeli spokojnie na brzegu pod zimowym niebem młodzi mężczyźni ze Storny, Settersby, Grimskail i dalekiego Frostrimu. Przez siedem długich dni ludzie stali na brzegu, a ocean oddawał ich synów, jednego po drugim, każdego w swoim czasie, na własnej ostatniej fali. Potem zaś nastąpiło palenie, jakiego wyspa nie widziała od długich lat. Ludzie patrzyli na Wieszczkę ze zwątpieniem w oczach.

— To było błędem – powiedziała mu potem.

Halli uniósł jasne brwi.

— Jakże Śpiewanie może być błędne? Przekazałem tylko pieśń, którą dali mi przodkowie.

— Nie była prawdziwa. Pieśni pomagają nam unikać takich

aktów szaleńczego marnotrawstwa, takich żniw cierpienia. Nie mogli mieć tego na myśli.

— Dlaczego nie? – odparł jej uczeń. – Któż może wiedzieć, co zamierzają przodkowie?

— Z pewnością nie chcą wybić całego pokolenia młodych mężczyzn. Kto będzie płodził synów? Kto będzie łowił i polował? Jak Lud ma to przetrwać?

Uśmiechnął się promiennym uśmiechem swego ojca, z dołkami w policzkach.

— Być może przodkowie widzą dla nas krótką przyszłość. A może przybędą najeźdźcy i spłodzą dzieci. Kto wie? Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytania. Sama powiedziałaś, że jesteśmy tylko naczyniami.

Tej zimy babki i dziadkowie zamiatali podłogi, opiekowali się dziećmi i mieszała dla nich cienki kleik w garnuszkach, podczas gdy kobiety zrzucały śnieg ze strzech i wybijały przeręble do połowu ryb. Kilku mężczyzn w średnim wieku dokonało uboju bydła i wyciągnęło łodzie na brzeg. Był to trudny czas, ale zapamiętana z przeszłości mądrość pozwoliła im przetrwać. W porze Przebudzenia, gdy w powietrzu słychać już było zwodniczy szept zapowiadający ciepło kolejnej pory roku, nie pozwoliła mu nasłuchiwać Pieśni.

— To ja jestem Wieszczką – rzekła do niego – i ja to zrobię. Nie jesteś jeszcze gotowy. Musisz nauczyć się czegoś więcej.

— Czego? – zapytał gwałtownie Halli. – Czego?

Wieszczka nie udzieliła mu jednak odpowiedzi, bo żadnej nie miała.

Pieśń była hymnem za utraconych, a także ostrzeżeniem. Lud

musi zachować równowagę albo zginie. Ich dzieci przetrwały srogą zimę. Teraz wszyscy muszą bardzo uważać. Wieszcza uznała, że przekaz przodków nie był pozbawiony nadziei. Była jednak zmęczona, tak zmęczona, że potknęła się, stając przed Ludem w rytualnym miejscu; tak słaba, że ledwo starczyło jej tchu do Pieśni. Potem jej umysł był pusty, a myśli rozproszone. Ledwie pamiętała, co im przekazała.

Wyczerpanie się utrzymywało. Może była chora. Może powinna nabyć leczniczą miksturę od wędrowniej trupy słynącej z eliksirów. Była w nich jakaś mądrość: nie posłali swoich synów na wyprawę za ocean, aby powrócili stamtąd jako zbieranina zbieleńskich kości. Była jednak zbyt słaba, by ich szukać.

Halli był bardzo troskliwy. Przynosił jej gorące napary. Dbał, by ogień był rozpalony, a podłoga zamieciona. To on odbył Śpiewanie w dniu letniego przesilenia, opowiadając o ławicach ryb na południe od wybrzeża Storny i o sprzyjających wiatrach. Jeszcze przed końcem lata będzie można zapolować na jelenie i uwędzić mięso na zimę.

Kilku pozostałych na wyspie mężczyzn nie kwapiło się do wyprawy w morze, ale Śpiew nie pozostawiał im wyboru. Przyszli do niej potem z pytaniami. Ile saren? Ile dni mogą łowić bezpiecznie? Kiedy nie ma już młodych mężczyzn, kto poprowadzi polowanie? Nie potrafiła im odpowiedzieć. Nie słyszała tej Pieśni, bo kamienie stały daleko od chaty, kawał męczącej drogi pod górę. Odpowiedział Halli.

— Skoro Pieśń nic o tym nie mówiła, zróbcie, jak chcecie – rzekł.

Było tam kilku mężczyzn w średnim wieku, zbyt starych na

żeglugę w dalekie strony, ale wystarczająco młodych do pracy. Znaleźli makrele w dużych ilościach i myśląc o zimie, przywozili jedna za drugą sieci pełne srebrzystych ryb. Solarnie pękały w szwach, a oni wciąż zwozili więcej. To był obfity połów. Poszli zapolować na jelenie i znaleźli je w zalesionej dolinie za Settersby. Nie było ich przez siedem dni. Wrócili, niosąc dwie wielkie rogate tusze oraz ciało pięknego, jasnowłosego mężczyzny. Ekka zginął, ześliznąwszy się z urwiska, gdy gotował się do rzutu włócznią, aby zabić jelenia. Wieszcza słyszała lament Sifri, który docierał do niej aż na wzgórze i wdzierał się przez okiennice. Zajrzała w jasne, niebieskie oczy swego ucznia, a gdy ujrzała w nich tylko stal, coś zadrżało w niej głęboko. To było jej dzieło. To był jej Wybór. Chłopak zabił własnego ojca. Gdy leżała, dygocąc pod kocem, powróciła we wspomnieniach do swojej Przepowiedni mówiącej o nadchodzących czasach: o wiośnie bez makreli, podczas której pisklęta alk i albatrosów umierać będą na skałach z braku pożywienia. W następnym sezonie jego ilość miała zmaleć, a w czasie kolejnego Przebudzenia miało go być jeszcze mniej. Łasice i lisy, wilki i niedźwiedzie rozzuchwałą się i już żadna kura ani gęś, jagnię ani dziecko w kołysce nie będzie bezpieczne. Mężczyźni zestarzeją się i osłabną, a kobiety będą wyczerpane i zmizerniałe. Dzieci będzie mało. Ta Przepowiednia zmroziła krew w jej żyłach. W takich czasach wystarczyłaby jedna sroga zima, żeby Lud wyginął.

— Wyglądasz na zmęczoną – zauważył Halli. – Musisz odpocząć. Zostaw wszystko mnie.

I rzeczywiście, poczuła, że bardzo chce się jej spać; rozplynać

się w ciemnościach i pozwolić, by wszystko zniknęło. W końcu cóż mogła zrobić? Dokonała Wyboru tak dawno. Wszystko z niego wynikało, ale nie można już było tego zmienić.

Na granicy ciężkiego snu posłyszała słodki głos fujarki grającej gdzieś w ciemnościach nocy, tak głęboki i subtelny w swej prostocie jak głosy przodków. Wieszcza wymknęła się z łóżka, uważając, by nie narobić hałasu. Z izby Hallego dobiegał głos małej harfy. Wciąż ćwiczył palce, coraz bardziej skomplikowane akordy, jakby nigdy nie miał poczuć zadowolenia. Te dźwięki ją przerażały. On ją przerażał. Znalazłszy się poza kontrolą, wykończy wszystkich. A ona czuła się taka słaba. Lud już jej nie ufał. Ekka nie żył. Była sama, zupełnie sama...

Długo klęczała na klepisku, drżąc w znoszonej nocnej koszuli. Stare nauki wydały się prawie zapomniane: jak oczyścić umysł, jak uspokoić ciało i zapanować nad swoją wolą, jak słuchać. Niemal umknęło jej to wszystko. Zapomniała, że jest Wieszcza.

To oczywiste, że jesteś sama, pomyślała zuchwale. Wieszcza zawsze jest sam. Czy nawet te podstawowe lekcje zapomniałaś?

— Nie całkiem. Ale pamiętasz je opacznie.

Uniosła gwałtownie głowę. Przez moment pomyślała... ale nie, harfa wciąż rozbrzmiewała w sąsiedniej izbie, posłuszna jego palcom. Postać, która stała przed nią, wyglądała zupełnie inaczej, a jednak była tak znajoma jak obraz w lustrze wody, gdy pochylała się nad wiadrem, żeby zanurzyć dłonie i się napić. Ta zjawa o pustych oczach i pobladłych policzkach, w podartym ubraniu, z ogoloną głową i smukłymi dłońmi zdatnymi do gry na instrumencie, była... nią samą. A jednak... a jednak...

— Znasz mnie – powiedział gość, podchodząc bliżej.

Wyciągnęła rękę, aby go dotknąć, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, a jej palce przeniknęły przezeń na wskroś, przez jego szatę, ciało i kości; wszystko to było mgliste jak cień.

— Jesteś moim bratem – wyszeptała, kierując trwożliwe spojrzenie ku wewnętrznym drzwiom.

— Nie usłyszysz nas.

— Po co przyszedłeś? Po co odbyłeś tę podróż z... ze śmierci, aby mnie zobaczyć?

— Jesteś zalękniona. Nie widzisz odpowiedzi. A jednak sama masz klucz, Wieszczo. – Jego głos był poważny i spokojny. – Wzorzec został wypaczony, stało się tak za twoją sprawą. Do ciebie należy naprawienie go i ponowne wyprostowanie.

— Dlaczego nie pojawiłeś się wcześniej? – spytała nagłym tonem. – Potrzebowałam pomocy. Dlaczego nie przybyłeś, zanim ci dobrzy ludzie zginęli, zanim on zrobił to, co zrobił? Gdzie byłeś?

— Przez cały ten czas nosiłaś mnie w sobie, siostrze. Gdyby nie błąd, który popełniłaś, słyszałaś mnie dobrze, a w miarę upływu lat coraz mocniej. Wieszczo nie jest naprawdę sama, zawsze jest ze swoim Innym. Ale ty nie posłuchałaś przodków. Twój wybór miał poważną skazę. Teraz jego wpływ rzuca na ciebie cień.

Wieszczo patrzyła na niego, czując, że ma nogi jak z ołowiu i wielki ciężar na sercu.

— Lud zginie. Może nie w tym roku, może nie w następnym, ale z czasem będzie stracony. Widziałam to.

Inny odwzajemnił jej spojrzenie. Jego oczy wydawały się pustymi oczodołami, a jednak były pełne światła. Był stary i

młody zarazem: był dzieckiem w koszyku z sitowia, młodym mężczyzną w kwiecie wieku, a także starcem pełnym duchowej mądrości.

— Ty to sprawiłaś – powiedział spokojnie. – A teraz to odmienisz. Zrób to, czego nie zdołałaś zrobić przed wieloma laty. Nie wolno tak niefrasobliwie przeciwstawiać się woli przodków. Z chwilą gdy tak postąpiłaś, na Lud padł cień, a z czasem całkiem pochłonie go ciemność. Jego przyszłość waży się teraz na czubku twego noża.

— Ale...

— Inny musi umrzeć, Wieszczo. Nie da się tego uniknąć. Nie może żyć w świetle dnia; nie można pozwolić, by chodził między ludźmi i szeptał swoje opowieści do ucha rolnika i rybaka, kupca i szwaczki. A Wieszczo nie może wypełnić swego dzieła bez niego. Tych dwóch musi stać się jednym, są bowiem rzeczywistością i jej odbiciem, światłem i ciemnością, materią i cieniem.

Wieszczo zadrżała.

— Twierdzisz, że Inny jest... zły? Że żyjąc, nieuchronnie się będzie zniszczenie?

— Ach, nie. To nie takie proste. Dwie części są połówkami jednej całości: dodatkiem i uzupełnieniem siebie. Czy dzień może istnieć bez nocy, światło bez cienia, przebudzenie bez snu? Czy Lud może przetrwać bez śmierci makreli w sieci, bez włóczni w sercu foki, bez odbierania kurze jej nienarodzonych dzieci? Inny musi stać z tyłu, w ciemności, by zapewnić równowagę. Tylko wtedy Wieszczo może wyśpiewać prawdę. A teraz idź i zrób, co należy, zanim będzie za późno.

— Jestem taka zmęczona.

— Pomogę ci. – Zbliżył się i zamknął ją w objęciach, jego ramiona były niematerialne jak para.

Poczuła wstrząs, jakby przeniknęło ją chłodne tchnienie, po czym zniknął.

Wędrowcy koczowali nad brzegiem morza, ich dzieci zbierały muszle w różowym świetle świtu, dym ognisk wznosił się ospale. Z dala dobiegały odgłosy nadchodzącej burzy, stanowiące głębokie muzyczne tło dla melancholijnego głosu fujarki. Młody mężczyzna siedział, zapatrzony w niebo, jakby jego granie mogło zachęcić słońce do ukazania się spomiędzy ciężkich od deszczu chmur. Gdy Wieszcza zbliżyła się do niego, melodia przycichła, a potem umilkła.

Nie wiedziała, jak do niego przemówi. Jakżeż można komuś powiedzieć: „Chodź ze mną. Pokażę ci, czyim jesteś bratem, po czym umrzesz”? Ach, te oczy, piękne, cudowne oczy, które już raz widziała, gdy spojrzały na nią, otwarte i szczerze. Taki był spokojny. Taki dobry. Nie wydał głosu, gdy niosła go w zamkniętym szczelnie koszyku przez całą drogę na wzgórze do swojej chaty. Żadnego pisku, gdy zapłaciła dziewczynkom, żeby go zabrały; dziewczynkom ze związanymi w czuby włosami i twarzami wymalowanymi w białe i czerwone kropki i spiralne wzory. Co znaczyło jeszcze jedno dziecko w tak licznej gromadzie? Kto je rozpozna, gdy wszystkie nosiły tam stroje w tęczy barwach, olśniewające w swej anonimowości? Zapłaciła godziwie. Kobiety miały je wykarmić i zaopiekować się nim. Koszyk z sitowia, wypchany ciałem tłustej gęsi, spłonął na próżno. Nikt o tym nie wiedział. Nikt poza Wieszcza, której

serce drżało za każdym razem, gdy drogą przechodziła grupa wędrownych kuglarzy, której oczy wzbierały łzami na dźwięk fujarki, taki smutny, taki czysty. Jak mogła mu to zrobić? Jak mogła to zrobić im obu?

— Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Nie zadawał żadnych pytań, gdy poszli razem pod ciemnym niebem na szczyt wzgórza, do miejsca, gdzie stały kamienie. Zapytała go o imię. Odpowiedział, że na imię ma Sam.

— Czy byłeś na ostatnim Śpiewaniu? – zapytała.

Potwierdził skinieniem i nic nie odpowiedział. Zatrzymali się przy starym kamiennym korycie na wodę.

— Umyj twarz – nakazała Wieszcza.

Obaj byli wtedy umyć do czysta, nadzy i czyści.

Młody mężczyzna imieniem Sam spojrział na nią przez chwilę szeroko otwartymi oczyma. Twarz miał wymalowaną w spirale, kropki i linie. Włosy sterczały w rzędach, nastroszone jak igły jeża, pofarbowane na kolor ciemnego miodu. Pochylił się nad wodą i ochlapał twarz, zmywając z niej malunki. Woda zmętniała.

— Zaczekaj – rzuciła Wieszcza.

Woda znów stała się przejrzysta. Zza chmury na moment błysnęło słońce.

— Teraz spójrz – powiedziała.

Obraz był mroczny, plamki barwionej gliny przesłaniały miejscami rysy twarzy. Ale okazał się wystarczająco czytelny. Podniósł na nią oczy.

— Postąpiłam źle – rzekła Wieszcza. – On jest twoim bratem. Uratowałam cię, ponieważ... ponieważ... nieważne. Obecnie

wszystko idzie źle z powodu tego, czego nie zrobiłam. – W jakimś sensie były to przeprosiny.

Nie było gwałtownych zaprzeczeń, protestów.

— Czy mogę go zobaczyć? – zapytał Sam. – Chciałbym go najpierw zobaczyć. – Zabrzmiało to tak, jakby już wiedział.

Nad ich głowami przetaczały się ciężkie deszczowe chmury. Niebo ryczało jak dzikie zwierzę.

— Chodź zatem – odparła Wieszcza.

Halli siedział przy Kamieniu–Strażniku w pozie medytacyjnej, z rozłożonymi ramionami i zamkniętymi oczyma. Często przed burzą znajdowała go tutaj; szum wiatru, gnące się drzewa, ostry zapach w powietrzu ekscytowały go. W takich chwilach, jak powiadał, któż może wiedzieć, jakie głosy przemówią do niego z kamieni?

Stanęli na obrzeżu zagłębienia, Wieszcza i młody mężczyzna imieniem Sam. Pod ciemnymi fałdami długiej szaty jej palce dotykały zimnego żelaza.

— On jest twoim bratem – powiedziała znowu, a błękitne oczy Hallego otworzyły się nagle.

Nie było potrzeby tłumaczenia. Obaj stanęli, zastygli w bezruchu, jeden w zadziwieniu, drugi w furii nagłego zrozumienia. Przez chwilę panowała cisza. Potem Halli złapał urywany oddech.

— Oszczędziłaś go – wyszeptał oskarżycielsko, z wściekłością. – Nic dziwnego, że nigdy nie byłem dość dobry, że nie mogłem ich usłyszeć! Oszczędziłaś Innego! Dlaczego? Dlaczego?

Z miłości, odparła Wieszcza, ale nie powiedziała tego głośno. *Zrobiłam źle, a teraz on musi umrzeć.*

— Bracie, co za spotkanie! – Naznaczony dołeczkami uśmiech Sama był wielkoduszny. Pod dziwacznie zjeżoną czupryną jego błękitne oczy wyrażały szczere zaproszenie. Postąpił krok do przodu.

Teraz Wieszcza stała za nim. Udręczone oczy Hallego spotkały jej spojrzenie nad ramieniem bliźniaka, a ich przekaz był jasny. *Zrób to teraz. Zrób to, czego nie potrafiłaś zrobić wcześniej. Niech będzie znówu, jak trzeba.* Być może to jej własny Inny wypowiedział te słowa: jej wewnętrzny cień. Wyjęła nóż. Ujrzała dołeczek, który pojawił się na policzku Hallego, wygięcie jego ust, gdy ją obserwował. Sam był bardzo spokojny. Nie odwrócił się. Wieszcza uniosła rękę.

Długie ostrze spadło w dół. W tym samym momencie rozległ się ogłuszający trzask, jakby nastąpił właśnie koniec świata, a potem odgłos rozdierania. To nie jej sztylet jednak sprawił, że ziemia się zatrzęsała i drzenie nadeszło jak fala w wilgotnym powietrzu, przewracając ją z impetem, aż legła, dysząc, z twarzą w trawie, wczepiona w nią palcami w poszukiwaniu oparcia, słysząc w uszach dzwonięcie od potężnego głosu, który przemówił. Serce jej łomotało, czuła zawroty głowy. Powoli podniosła się na kolana. Nóż leżał przed nią na ziemi, czysty jak świeżo umyte dziecko. Podniosła wzrok. Kamień–strażnik został rozdarty, a jego monumentalny kształt rozszczepiony na dwoje siłą wybuchu. Jedna część wciąż stała wysoka, mierząc omszałym szczytem we wstrząsane burzą niebo. Druga część leżała płasko, jak cień, który przybrał materialny kształt; mroczne świadectwo srogości niebios. Ten odłam kamienia nie zostanie nigdy podniesiony, choćby i cały Lud wyspy przybył tu z linami i

wołami. Stał się grobem i kołyską, początkiem i końcem. Tak czy inaczej, nie musiała wybierać. Przodkowie przemówili i Wybór został dokonany.

— Płaczesz – powiedziała. – Wieszcz nie płacze.

— Jak mam nie płakać? – zapytał. – Był moim bratem.

— Chodź, Halli – powiedziała Wieszczka łagodnie. – Nie mamy tu już nic do roboty. A poza tym zaczyna padać. – Rozpięła płaszcz i wyciągnęła rękę, by zarzucić mu go na ramiona.

Spojrzał na nią z twarzą szarą jak popiół od wstrząsu odnalezienia i utraty, i ponownego odnalezienia.

— Tak wiele muszę się nauczyć – wyszeptał, a ona dostrzegła, że zrozumiał, o co jej chodziło. – Tak wiele.

Wieszczka skinęła głową.

— Nie jestem jeszcze taka stara, żebym nie zdołała nauczyć cię tego, co powinieneś wiedzieć. Już masz w sobie bogactwo zrozumienia. Słyszysz Pieśni i powtarzasz je, choć nieświadomie. On ci pomoże. Jego palce znają harfę, a usta grę na flecie. Serce, które tchnie nową mądrość w Pieśni, należy teraz do was obu.

Skłonił głowę, zerkając w stronę łagodnego zagłębienia gruntu przykrytego ogromnym blokiem kamienia. Deszcz padał jak łzy na jego świeżo wyciosaną powierzchnię, rysując wzór łuku i spirali, kropki i linii.

— Najlepiej włóż ten kaptur – powiedziała – zanim zajmę się twoimi włosami. Mój uczeń nie będzie chodził nieogolony. A teraz chodź. Czeka nas wiele pracy.

Przetłóżył Jerzy Moderski

PODZIĘKOWANIA

Moje najszczerze podziękowania niechaj przyjmą:

Jacob Weisman i Jill Roberts oraz reszta zespołu Tachyon Publications za wydanie tej książki.

John Coulthart za okładkę oryginalnego wydania.

Mój agent Joe Monti za to, że był tak wspaniały i pomocny oraz za to, że znalazł dom dla wszystkich moich projektów. Uwaga, wszyscy czytający to pisarze: bylibyście szczęśliwi, gdybyście mieli Joego u boku.

Moi koledzy redaktorzy Scott Andrews, Douglas Cohen, Howard Andrew Jones i John O'Neill za wiele cennych propozycji oraz wszyscy ludzie, którzy wzbogacili swymi sugestiami moją bazę danych epickiej fantazy.

Peter Ahlstrom, Deborah Beale, Kathleen Bellamy, Blanche Brown, Fran Bryson, Kristine Card, Gail Cross, Kaolin Imago Fire, Ty Franck, Russ Galen, Vaughne Lee Hansen, Kat Lemmer, Chris Lotts, Howard Morhaim, Eric Raab, William Schafer, Shawn Speakman, Matt Staggs, Jonathan Strahan i Simon Taylor za pomoc w uzyskaniu (albo próbach uzyskania!) zgody na przedruk i/lub pomoc w uzyskaniu dostępu do elektronicznych kopii potrzebnych tekstów.

David Carani, Caleb Jordan Schulz, LaShawn Wanak, Data Watson i Moshe Siegel za wyrażenie swoich opinii o tych opowiadaniach w trakcie opracowania redakcyjnego.

Gordon Van Gelder, mój przyjaciel i mentor.

Moja cudowna żona Christie oraz moja mama Marianne za miłość, wsparcie oraz niewyczerpany entuzjizm dla wszystkich

moich przedsięwzięć.

Moi drodzy przyjaciele Robert Bland, Desirina Boskovich, Christopher M. Cevasco, Doug Cohen, Jordan Hamessley, Andrea Kail, David Barr Kirtley i Matt London.

Czytelnicy i recenzenci, którzy chwalili moje poprzednie antologie, umożliwiając tym samym opracowanie kolejnych.

No i na koniec, ale na pewno nie mniej ważne: wielkie podziękowania dla wszystkich autorów pojawiających się w tej książce.

Książka znalazła się w niezwykłym czasie: w Prelecie, przedpowiednią epokę imperium, nadejście mrocznych wojowników. Wielkie bestie budzą się w czeluściach ziemi, w głębinach morza. Groźna magia się unosi, pojawiają się bogowie. Świat legnie w gruzach, nadążą się armie, pojawią się bogowie. Od starożytności do współczesności, to pełne rozmarzeń, barwne historie. Od starożytności do współczesności, to pełne rozmarzeń, barwne historie. Od starożytności do współczesności, to pełne rozmarzeń, barwne historie.

W tej antologii cenny redaktor John Joseph Adams przedstawił sześć opowiadań najbardziej znanych autorów współczesnej epiki fantazyjnej, m.in. Ursuli K. Le Guin, Jada Williamsa, Orsona Scotta Carda, Patricka Rothfussa, Michaela Moorcocka, Paula Biegajewskiego, Brandona Sandersona i Trudi Canavana. Powróć do krain, które pokochałeś, odkryj nowe magiczne światy. Zwycięstwo nad ciemnością nie zawsze jest pewne, ale na pewno przetrwasz: wielką przygodę!

Jeżeli z pięciu najlepszych antologii fantazyjnych 2013 roku, znalazła się w finale World Fantasy Award.

„Dokonały przegląd epiki fantazyjnej w najlepszym wydaniu”
—Library Journal



www.algoritm.pl



LEGENDY FANTASY

EPOPEJA

EPOPEJA

LEGENDY FANTASY

redaktor
JOHN JOSEPH ADAMS

- Patrick Rothfuss
- Tad Williams
- Ursula K. Le Guin
- Orson Scott Card
- Trudi Canavan
- Brandon Sanderson
- Robin Hobb

1 tom

